

C. J. Cherryh

Przybysz

Foreigner

Przełożyła: Agnieszka Sylwanowicz

Data wydania oryginalnego: 1994

Data wydania polskiego: 1997

TMN

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział 1

Głęboka czerń badana wyłącznie przez roboty. Zawieszona w niej masa stanowiła drugi kamień imlowy na trasie podróży z Ziemi ku obiecującemu sznurowi gwiazd. Dla pierwszego statku załogowego, który wszedł w strefę jej oddziaływania, punkt masy był miejscem samotnym, pozbawionym elektromagnetycznej sieczki wypełniającej ludzką przestrzeń, zawodowych plotek i gadaniny, poleceń wydawanych statkom i załogom przez kontrolę lotów, szybkich, sporadycznych sygnałów przebiegających między maszynami. Tutaj czujniki muskało jedynie promieniowanie masy, sygnały odległych gwiazd i szmer tła samego istnienia.

Tutaj ludzie musieli pamiętać, że wszechświat jest o wiele rozleglejszy niż ich własny gwiazdny grajdołek – że w szerokim wszechświecie cisza znaczy więcej niż najgłośniejszy krzyk życia. Ludzie badali ów wszechświat i naruszali jego spokój, budowali w nim stacje i wiedli na nich życie, stanowiąc biologiczne zanieczyszczenie nieskończoności – zanieczyszczenie lokalne i tymczasowe.

Nie byli jednak jedynymi mieszkańcami wszechświata – w to nie mogli już dłużej wątpić. Gdzie zatem sondy wskazywały możliwość istnienia życia, gdzie gwiazdy wyglądały na przyjazne istotom żywym, ludzie zapuszczali się z pewną ostrożnością, nadstawiali mechanicznych uszu i nasłuchiwali w ciemności – tak jak od stu godzin pilnie nasłuchiwał „Feniks”, przemierzając przestrzeń rzeczywistości.

Na żadnym z zakresów nie było nic słyhać, a kapitanowie statku i jego załoga byli z tego zadowoleni. „Feniks” nie chciał natknąć się na istoty, które by mogły zgłaszać wcześniejsze roszczenia do obiektów swych pragnień, stanowiących pomost do nowego, zasobnego terytorium, a szczególnie do gwiazdy typu G5, oznaczonej w książkach kodów Departamentu Obrony symbolem T-230, na mapach numerem 89020, a w planach umieszczonych w bazach danych „Feniksa” określonej jako cel misji.

Dotrzeć do gwiazdy, wysłać ciężki sprzęt... i stworzyć stację, która będzie przyjmowała kupców, rozszerzając obecność człowieka na nowy i zyskowny obszar przestrzeni.

Tak więc „Feniks” miał na pokładzie podstawowe elementy konstrukcyjne, glony i kultury do zbiorników podtrzymujących życie na stacji, projekty i plany obwodów, wykresy, procesy i programy, dane i szczegóły, a wraz z nimi pilotów-górników, mechaników, budowniczych, programistów i obsługę techniczną. Głównym wynagrodzeniem całego tego personelu miały być pierwsze udziały w wybudowanej na tym obszarze przestrzeni pierwszej stacji handlowej – najnowszym, bardzo śmiałym kolonizatorskim przedsięwzięciu Ziemi, za którym stało całe doświadczenie poprzednich sukcesów.

Optyka odpowiedziała Matce Ziemi, gdzie znajdują się zasobne gwiazdy. Roboty przetarły szlak bez narażania ludzi na ryzyko. Przetarły go i wróciły z danymi nawigacyjnymi oraz wynikami bezpośredniej obserwacji: T-230 był układem tak bogatym, że „Feniks” wziął maksymalny ładunek, pędząc z szybkością, jaką odważał się rozwinąć statek nie spodziewający się żadnych przeszkód i mający pewność, że będzie mógł uzupełnić paliwo u celu podróży. Rozgarniał otaczający go gaz i pył, tworząc krótkie, jasne turbulencje, a jego załoga kontynuowała stugodzinny cykl konserwacji, regulacji wskaźników i kontroli nawigacji. Podczas ostatniej wachty przed ponownym wejściem w nadprzestrzeń kapitanowie wypili wspólnie kawę, przyjęli ogólne sprawozdania oraz plan dalszej podróży sporządzony przez nawigatora McDonougha.

W wyniku tej dyskusji, na krawędzi ekranu pilota pojawiła się mrugająca zielona kropka, a sam pilot niejasno czuł, że wszystko toczy się zgodnie z planem i statek funkcjonuje bez zastrzeżeń. Taylor znajdował się w pozycji Włączony, co oznaczało, że otrzymuje dane z prędkością wymagającą obróbki komputerowej. Miał zablokowane skłonności do dygresyjnego przetwarzania informacji i odrywania się od ich strumienia – skłonności właściwe nie wspomaganemu umysłowi ludzkiemu – natomiast uszy dostrojono mu do sygnałów komputerowych, a oczy i postrzeganie dostosowano chemicznie do przefiltrowanej przez komputer prędkości statku.

Zanim Taylor odpłynie, zielona kropka musi znaleźć się na swoim miejscu. Kropka pojawiła się, a to, co robili z nią inni ludzie, Taylora nie obchodziło ani nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Kiedy popędził mu na spotkanie punkt wyjścia i na jego oczach zawinął się czas, sięgnął pewnie przed siebie poprzez przestrzeń ku T-230.

Był świetnym pilotem. Znajdujące się w jego krwi specyfiki ściśle ukierunkowały jego koncentrację i sprawiały, że dane błyskające mu przed oczyma i wwiercające się w uszy postrzegał w sposób bardzo oderwany. Gdyby komputer podał mu odpowiednie namiary, skierowałby „Feniksa” w środek piekła. Patrzył jednak na T-230.

Z tego powodu był jedyną przytomną osobą na pokładzie, kiedy statek leciał dalej, a czas był zawinięty.

Wciąż był zawinięty.

Serce zaczęło mu walić w czasie rzeczywistym, a oczy nie opuszczały ekranów, na których czerwono błyskały linie, a potem kropki, kiedy linie te stały się hipotetyczne, a w

końcu na czarnym ekranie zapłonęły czerwienią litery BŁĄD PUNKTU, niczym nieodwołalny wyrok Boga.

Serce biło coraz szybciej. Taylor sięgnął do przycisku przerywającego procedurę i poczuł pod palcami klapkę zabezpieczającą. Nic już nie widział. Wszystko było jednym BŁĘDEM PUNKTU. Ledwo wyczuwał klapkę, a kiedy ją uniósł, nie pamiętając już, po co, czas wciąż się zawijał. W przeciwieństwie do komputera nie miał celu, lecz tylko tę jedną, trudną konieczność.

Wyłączenie programu.

Pusty ekran.

BŁĄD PUNKTU.

Bóg nie miał więcej danych.

Rozdział 2

Statek zaczął opadać i rozległ się brzęczyk alarmowy: to nie są ćwiczenia. Awaria komputera. To nie są ćwiczenia.

McDonoughowi serce waliło jak młotem; z wysiłku po twarzy spływał mu pot. Nacisnął przycisk łączności z Taylorem. Wszystkie ekrany były puste.

To nie są ćwiczenia...

Nastąpiło przerwanie programu. „Feniks” ratował się. Wytracał prędkość, ignorując kruche ciała ludzkie w swoim wnętrzu.

Następnie „Feniks” spróbował ponownie załadować komputery napływającymi informacjami. Skontaktował się ze swoim kapitanem, nawigatorem, pilotem i drugim pilotem, za każdym razem powodując bolesny wstrząs na łączach. Dopiero po kolejnych dwóch takich wstrząsach McDonough zobaczył dane na ekranach swojego stanowiska nawigacyjnego.

Obraz wideo pokazywał gwiazdę.

Nie, dwie gwiazdy, jedną rozpaloną do białości, drugą lśniącą nikłą czerwienią. McDonough znieruchomiał w fotelu, widząc oczyma wyobraźni „Feniksa” powoli dryfującego ku białemu, nuklearnemu piekłu.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał ktoś. – Gdzie jesteśmy?

Pytanie to nawigator uznał za oskarżenie. McDonough odczuł je jako cios w i tak zmaltretowany żołądek i poszukał spojrzeniem odpowiedzi u pilota, Taylor jednak wpatrywał się nieruchomo w swoje ekrany.

– Inoki – powiedział McDonough. Drugi pilot siedział bezwładnie w fotelu. Stracił przytomność lub jeszcze gorzej.

– Przysłać na górę Greene’a. Greene i Goldberg, na mostek. – To LaFarge, starszy kapitan, stanowczy i bezkompromisowy, na kanale załogi wzywał dwóch pilotów zapasowych.

McDonough czuł, że ma dreszcze. Zastanawiał się, czy LaFarge wezwie całą zapasową załogę, a jakaś częśćka jego umysłu bardzo tego chciała, pragnęła tylko położyć się na koi i przestać stawiać czoło rzeczywistości. Musiał się jednak dowiedzieć, co to za gwiazda podwójna, gdzie się znajdują i jaki popełnił błąd, że statek tu się znalazł. Od odżywek wstrzykiwanych przez końcówkę medyczną robiło mu się niedobrze. Widok, jaki miał przed sobą, to było wariactwo. Optyka nie mogła się mylić. Podobnie jak roboty. Podobnie jak wszelkie instrumenty.

– Sir? – Obok niego siedziała Karly McEwan równie oszołomiona, jak on. Jego własna rezerwa: była wstrząśnięta, ale wciskała przyciski, usiłując z zaciśniętymi zębami wydobyć z chaosu jakiś sens. – Sir? Mam przełączyć na diagnozę ogólną? Sir?

– Na razie tak – mruknął czy też raczej zrobiła to za niego jakaś wyższa funkcja mózgu, podczas gdy jego świadomość działała na niższym poziomie. To asekuranckie „na razie” zabrzmiało w jego uszach jak wyrok, ponieważ McDonough nie widział żadnego szybkiego sposobu otrzymania podstawowych danych tego układu gwiazdowego. – Analiza widma, stanowisko dwa i trzy. Porównanie map, stanowisko cztery. Stanowisko pięć, jeszcze raz przeprowadzić inicjację systemu i wprowadzić współrzędne celu. – Przedomózgowie wciąż wydawało polecenia. Reszta funkcjonowała jak Taylor, czyli nie robiła nic. – Potrzebny nam tu lekarz. Czy na mostku jest Kiyoshi? Taylor i Inoki mają kłopoty.

– Czy jesteśmy zrównoważeni? – To głos Kiyoshiego Tanaki, pytający, czy można odpiąć pasy i pójść do pilotów, ale w każdym pytaniu brzmiało jakby echo podwójnego znaczenia, każde pytanie rozmywało się w coś nieznanego i niepoznawalnego.

– Tak zrównoważeni, jak to w tej chwili możliwe – odparł LaFarge, a tymczasem program analizy widma produkował strumień bieżących porównań ze wszystkimi układami gwiazdnymi figurującymi w zapisach statku, który to strumień przepływał przez główny ekran McDonougha jednostajnym ciągiem nie pokrywających się danych. Na dole ekranu tkwił napis: BRAK ZGODNOŚCI, PRZEBADANO 3298 OBIEKTÓW.

– Mamy pytania na kanale B – odezwał się ktoś z Łączności. – Specjaliści proszą o pozwolenie opuszczenia kabin. Proszą o obraz z monitorów.

Porządki Taylora. Taylor zawsze dawał pasażerom widok: opuszczenie układu Ziemi, zbliżanie się do punktów masy i opuszczanie ich...

– Nie – rzekł ostro LaFarge. – Żadnych obrazów. – Ślepy potrafiłby dostrzec, że oznacza to kłopoty. – Powiedz, że na mostku ktoś zachorował. Że jesteśmy zajęci.

Tanaka dotarł do Taylora i Inokiego. McDonough zorientował się, że wstrzykuje coś Taylorowi. Pasażerowie zauważyli zmianę procedury, a napis BRAK ZGODNOŚCI nie zmienił się.

SZUKAĆ DALEJ?

Komputerowi skończyły się okoliczne gwiazdy.

– Karly, dałaś priorytet diagnozie ogólnej jeden?

– Tak – odpowiedziała Karly piastująca stanowisko drugiego nawigatora. Poszukiwania pasujących gwiazd zaczęły się od Sol i jej bliskiego sąsiedztwa. – Od naszego wektora w zasięgu dziesięciu świetlnych w każdą stronę.

Żołądek McDonougha zbuntował się jeszcze bardziej.

Wszystko to nie miało sensu. Pokazali się piloci zapasowi, zadając pytania, na które nikt nie potrafił odpowiedzieć – te same pytania, które zadawał przyrządom i zapisom każdy nawigator. Kapitan kazał lekarzowi sprowadzić Taylora i Inokiego z mostku. Kłął, mówiąc to, i kiedy Tanaka postawił pilotów na nogi, McDonough zaczął sprawdzać urządzenia na własną rękę: Taylor mógł iść, ale sprawiał wrażenie ślepego na to, co działo się dookoła. Inoki ledwo się ruszał – po tym, jak Tanaka rozpiął mu pasy i odłączył rurkę od wszczepu, jeden z techników łączności musiał wyciągnąć go z fotela i nieść. Żaden z nich nie patrzył na Greene'a i Goldberga. Taylor utkwiał wzrok w nieskończoności. Inoki zamknął oczy.

SZUKAĆ DALEJ? – zapytał komputer, przeszukawszy wszystkie gwiazdy w promieniu trzydziestu świetlnych od Ziemi.

– Mamy pięć procent paliwa – kapitan ze spokojem oznajmił potencjalny wyrok śmierci.

– Czy odbieramy cokolwiek?

Przy tej gwiazdzie? – zapytał w duchu McDonough, a Łączność odparła:

– Martwa cisza. Ta gwiazda robi tyle hałasu, że wszystko zagłusza.

– Przełączyć na daleki zasięg, wzmocnić nasz wektor. Założyć, że zostawiliśmy gwiazdę w tyle.

– Tak jest, sir.

Po chwili zazgrzytały urządzenia hydrauliczne na kadłubie. To rozkładał się wielki talerz, przygotowując się do nasłuchu. Prędkość została zredukowana do tempa pełzania, bezpiecznego dla rozstawionej anteny – bezpiecznego, gdyby to było własne Słońce Ziemi, ale tak nie było. Nie mieli żadnych danych na temat tego układu. Zbierali je wszystkimi czujnikami, nic jednak nie dawało im choćby najmniejszej pewności, że na ich kursie nie ma żadnych asteroid. Nikt jeszcze nie podszedł tak blisko do gwiazdy podwójnej czy do tak dużej masy. Bóg jeden wie, co się stało z polem.

McDonough trzęsącymi się rękoma wywołał wyniki obu procedur poszukiwawczych, których zasięg zbliżał się do stu świetlnych we wszystkich kierunkach od celu ich podróży. Były negatywne. Wciąż nie wiedzieli, gdzie się znajdują, ale przy pięcioprocentowej rezerwie paliwa nie bardzo było się dokąd wybierać. Mieli natomiast statki górnicze: dzięki Bogu, mieli statki górnicze i elementy stacji. Mogli zebrać z układu lód i uzupełnić paliwo...

Tyle że na zewnątrz szalało piekło promieniowania, tyle że wiatr słoneczny tego błękitno-białego słońca zabijał. Nie była to gwiazda, w pobliżu której mogłoby się utrzymać życie, i jeśli górnicy mieliby tam pracować, to musieliby ograniczyć czas przebywania na zewnątrz.

A jeżeli statek spadał po łuku grawitacyjnym tej potężnej gwiazdy, co było dość prawdopodobne, to zetknął się z promieniowaniem na długo przed katastrofą.

- Jeszcze raz przeprowadziliśmy inicjację systemu – odezwał się Greene z fotela Taylora.
- Nie znajdujemy żadnych błędów w poleceniach.

To znaczy Taylor postąpił zgodnie z danymi, które otrzymał od nawigatora. McDonough poczuł w żołądku zimną kulę niepokoju.

– Są jakieś odpowiedzi, panie McDonough?

– Jeszcze nie, sir. – Mówił spokojnym tonem, ale wcale nie był spokojny. Nie popełnił błędu. Nie potrafiłby jednak tego udowodnić, powołując się na jakieś wskazania przyrządów.

Statek nie mógł wyjść z nadprzestrzeni skierowany w inną stronę niż przy wchodzeniu w nią. Tak się nie stało. Nie mogło się stać.

Jeżeli jednak jakaś część nadprzestrzeni namieszła w danych, jeżeli komputer zgubił punkt docelowy i odpowiedzią był BŁĄD PUNKTU, to ze swoimi zapasami paliwa nie mogli przecież oddalić się na tyle, żeby stracić z pola widzenia znane sobie gwiazdy.

Potrzebowali tylko dwóch sąsiadujących ze sobą gwiazd o widmach pasujących do map. Jakakolwiek zgodność dwóch gwiazd z mapami pozwoliłaby określić ich pozycję, a nawet gdyby skończyło im się całe paliwo, to nie mogli być dalej niż pięć świetlnych od ich drugiego punktu masy – to niemożliwe. W najgorszym wypadku nie dalej niż góra dwadzieścia świetlnych od Ziemi.

Ale w promieniu dwudziestu świetlnych od Słońca nie było żadnej potężnej błękitno-białej gwiazdy oprócz Syriusza, ale to nie był Syriusz. Widma tych słońc nie pasowały do siebie. To nie miało sensu. Nic go nie miało.

Zaczął szukać pulsarów. Kiedy kończą się krótkie miary, szuka się długich, takich, które nie kłamią, zaczyna się także wysuwać nieprzemyślane teorie, na przykład takie jak kosmiczne makrostruktury, zawinięte przestrzenie czy jakiegokolwiek strzępy rozsądku, mogące stanowić pożywkę dla umysłu czy zasugerować kierunek, w którym polecieci, lub choćby stanowić wskazówkę, które z setki nieprawdopodobieństw jest prawdą.

Rozdział 3

Od chwili, gdy personel stacji i robotnicy budowlani otrzymali pozwolenie swobodnego poruszania się po statku, na zewnętrznych korytarzach zaczęła krążyć pogłoska, że coś jest nie w porządku. Plotka rozszerzyła się na sale wypoczynkowe, gdzie personel, piloci pchaczy i mechanicy stali stłoczeni przed ekranami, na których błyskało słowo nadawane na wszystkich kanałach: UWAGA.

– Dlaczego nic nam nie mówią? – odezwał się ktoś, naruszając dotychczasowy spokój. – Powinni nam coś powiedzieć.

Inny technik zapytał:

– Dlaczego nie dostajemy obrazu? Przedtem zawsze mieliśmy obraz.

– Możemy iść do diabła – rzekł pilot pchacza. – Wszyscy możemy sobie iść do diabła. Są za dobrzy, żeby zawracać sobie nami głowę.

– Pewnie nic się nie stało – powiedział ktoś inny i po jego słowach zapadła niezręczna cisza, ponieważ było jakoś inaczej niż zwykle.

Wchodząc w czas rzeczywisty, statek zahamował z potężnym wstrząsem i technicy, którzy cokolwiek wiedzieli o otwartej przestrzeni, byli równie skonsternowani i zdenerwowani, jak górnicy i budowlańcy, którzy dotychczas pracowali w przestrzeni okołosolarnej i nie mieli żadnych doświadczeń z rejsów międzygwiazdnych.

Neill Cameron też nie uważał, że wszystko jest w porządku. Nawet taki mechanik pchacza, jak on, wyczuwał różnicę między wejściem do tego i do poprzedniego układu. Przyjaciele i pary, jak on i Miyume Little, stali blisko siebie i czekali. Dłoń Miyume była zimna i nieruchoma, jego spocona.

Być może – jak powiedział niedawno do Miyume – technicy na górze pracują nad jakimś wielkim widowiskiem z okazji przybycia do nowego domu.

Może to po prostu zwykła procedura, bo wszystko wyłączają i zostają tutaj. Może załoga wylicza kurs wewnątrzukładowy albo ocenia miejscowe zasoby i za chwilę otrzymają

polecenie zapięcia pasów, żeby „Feniks” mógł wykonać poprawki kursu? Słyszał, jak ktoś podawał takie wyjaśnienie. Miał szczerą nadzieję, że jest prawdziwe.

Chyba że „Feniks” ma jakieś kłopoty. Kryło się to we wszystkich pytaniach... ale na panikę było jeszcze o wiele za wcześnie. Załoga statku wykonuje swoje zadania, a astronauta znający okolicę tylko jednego słońca ma przynajmniej tyle rozumu, żeby nie wymyślać kłopotów ani nie rozpuszczać plotek – czy to przez pełne nadziei kłamstwa, czy spekulacje na temat najgorszego rozwoju wydarzeń, jak wpadnięcie do studni grawitacyjnej czy wejście w przestrzeń rzeczywiście zbyt blisko samej gwiazdy, o czym i tak wszyscy musieli myśleć.

Głupi strach. Były tu roboty i oznaczyły pozycję T-230 z największą dokładnością. Załoga „Feniksa” to doświadczeni, starannie dobrani ludzie – sam „Feniks” przez pięć lat był statkiem handlowym, zanim został skierowany do budowy stacji przy T-230, a Narody Zjednoczone nie wydawały miliardów na zdefektowany sprzęt czy załogę, która trafiłaby statkiem w gwiazdę.

Boże, to chyba nie może być studnia grawitacyjna! To zbyt mało prawdopodobne.

Potrafił rozłożyć na części i z powrotem złożyć pchacz i statek górniczy. Większość problemów ze statkiem wewnątrzukładowym mechanik potrafił rozwiązać dzięki trafnemu domysłowi i za pomocą śrubokrętu, ale odpowiedź na pytanie, co mogło się popsuć w napędzie gwiazdowym – co mogło zawieść w potężnych silnikach oddziałujących na nadprzestrzeń – leżała całkowicie poza jego kompetencjami i zrozumieniem.

Błyskające słowo UWAGA nagle zniknęło z ekranów monitorów, zastąpione widokiem gwiazd. W pomieszczeniu rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi, przytłumione pomrukiem konsternacji garstki techników, którzy stali razem pośrodku. Neill i Miyume mocniej ścisnęły się za ręce, bo personel techniczny powtarzał, że coś tu nie gra i gdzie, do diabła, jesteśmy?

Ten biały rozbłysk wyglądał mu na gwiazdę. Może Miyume też tak uważała. Technicy jednak potrząsali głowami. A na ekranie płonęło czerwienią coś, czego nie rozumiał.

– To nie jest G-5 – odezwał się któryś z techników. – To jakaś cholerna gwiazda podwójna. – A kiedy zwykli robotnicy zaczęli pytać, co chce przez to powiedzieć, technik warknął: – Nie jesteśmy tam, gdzie mieliśmy być, ty głupi ośle!

O czym oni mówią? – zapytał w duchu Neill. To, co słyszał, nie ma sensu, a Miyume wyglądała na przestraszoną. Technicy mówili, żeby zachować spokój i nie powtarzać pogłosek, ale przekrzykiwał ich ten, który twierdził, że coś jest nie tak.

– Nie jesteśmy przy żadnej G-5!

– To gdzie jesteśmy? – zapytała milcząca dotąd Miyume. Pytała jego albo kogokolwiek, a Neill nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Nie rozumiał, w jaki sposób mogli minąć T-230 – bo przecież dotarli do jakiejś gwiazdy... Z tego, co wiedział, co mu wpojono w szkole, statki po prostu leciały w założonym kierunku, to było podstawowe prawo fizyki, prawda? Ustalało się kurs, wytwarzało się pole i leciało, a jeśli miało się wystarczającą ilość paliwa, docierało się na miejsce.

A tymczasem przez jego ukierunkowany technicznie umysł przebiegały myśli: Czy mogliśmy przeskoczyć naszą gwiazdę? Jak daleko mogliśmy polecieć przy tej ilości paliwa?

– Mówi kapitan LaFarge...

To był ogólny komunikat i ludzie gwałtownie zaczęli się nawzajem uciszać.

– ...pechowe okoliczności – Neill dosłyszał tylko tyle, a rozpaczliwie chciał usłyszeć, co kapitan ma do powiedzenia. Paznokcie Miyume wbijały mu się głęboko w dłoń. Wszyscy znów mówili i Miyume na całe gardło krzyknęła: – Zamknijcie się! – Zawtórowali jej inni.

– ...problem w ustaleniu pozycji – dobiegło następne wyraźne sformułowanie – który nie stwarza bezpośredniego zagrożenia dla statku...

– To błękitno-biała gwiazda! – krzyknął któryś z techników. – Co to według niego jest?

Ktoś durnia uciszył. Inni uciszali tych, którzy chcieli o coś zapytać.

– ...proszę wszystkich o wykonywanie zwykłych obowiązków – mówił LaFarge – oraz o udzielenie pomocy personelowi technicznemu w czasie, kiedy my spróbujemy ustalić naszą pozycję. Poszukamy w tym układzie surowców do uzupełnienia paliwa. Jesteśmy bardzo dobrze przygotowani na taką sytuację. To wszystko. Proszę zachować spokój.

„Ustalić pozycję” – to brzmiało pocieszająco. „Uzupełnienie paliwa” przynosiło jeszcze większą nadzieję. „Dobrze przygotowani na taką sytuację” brzmiało, jakby załoga miała już jakiś plan. Neill kurczowo się tego trzymał, podczas gdy jakaś część podświadomości podsuwała mu myśli: „To nie mogło się nam przytrafić... Nic złego nie mogło się stać z tym statkiem, podjęto na to za dużo środków ostrożności, wszystko było sprawdzone...”.

Zostali przebadani, przetestowano ich umiejętności; żeby choćby zbliżyć się do tej pracy, musieli mieć sterty rekomendacji. Statkiem mającym na pokładzie cały cholerny program kolonialny Ziemi nie wysyłało się nieudaczników, a przy tak ważnej misji nie zdarzały się katastrofy. Zbyt długo była planowana. Podjęto zbyt wiele środków ostrożności. Wszystko szło tak dobrze.

– „Ustalić pozycję” – odezwał się jakiś technik. – Nie podoba mi się to „ustalić pozycję”. Czy mówimy o wpadaniu w studnię grawitacyjną?

– Nie – odparł starszy technik. – O tym, gdzie jesteśmy. Najwyraźniej nie tam, gdzie powinniśmy być.

– Uzupełnić paliwo, akurat – wtrącił jakiś inny technik. – Na zewnątrz wszystko zalewa promieniowanie.

Neill zdał sobie sprawę z sytuacji i czując, jak nagle ogarniają go mdłości, pomyślał, że pchacze nie mają wystarczających osłon do pracy w takich warunkach. Już promieniowanie Jowisza było niebezpieczne. A to... to podwójne słońce, którego blask powodował zakłócenia pracy kamer...

Piloci-górnicy tego nie przeżyją. A w każdym razie nie przeżyją długotrwałej operacji. Górniczy nie mogli tu pracować, nie ponosząc nieuniknionych tego kosztów – jeśliby przeciągać czas pracy, wskaźniki napromieniowania kiedyś wreszcie ściemnieją. Pchacze

wyposażone były w osłony dostosowane do otoczenia, w którym miały przebywać, a ich otoczeniem u celu podróży miała być łagodna, przyjazna G-5.

Nie powiedział tego. Miyume wyglądała na przestraszoną. On pewnie też. Liczby zaczęły się dodawać – tak mówili piloci, kiedy sprawy przybierały zły obrót – firma mogła kłamać, a wynajęty przez nią kapitan mógł odmówić udzielenia odpowiedzi, lecz bez względu na okoliczności cyfry nigdy człowieka nie oszukają.

Zsumowały się i wynik dodawania w żaden sposób nie mógł się zmienić. Pobożne życzenia się nie liczyły.

Rozdział 4

Pojawił się cień McDonougha i zawisł nad fotelem Taylora, mówiąc, że nie było błędu. Taylor przetworzył tę daną w informatycznej pustce. Wszystko działo się straszliwie powoli albo wcale. Inne bodźce w jego otoczeniu nie miały znaczenia. Jego umysł nie dawał się rozproszyć drobiazgom. Na nawigatora zwrócił jednak pilną uwagę... i spróbował zadać mu pytanie, chociaż trzeba było niewiarygodnie spowolnić pracę umysłu, żeby wyprodukować ten złożony dźwięk:

– Co?

Bełkot, dotyk niepowołanych osób, które coś do niego mówiły. Taylor wyłączył ich głosy, aż znów słyszał tylko McDonougha, który w nieskończenie powolny sposób oznajmił mu, że uzupełnili paliwo do pełna.

To wymagało przetworzenia: tkwili zatem przy tej gwiazdzie kilka miesięcy w czasie rzeczywistym. To były istotne dane.

Następnie nawigator powiedział, że Greene jest chory, dodał coś o wypadku, o pilotach-górnikach i członkach załogi zmarłych lub umierających na chorobę popromienną, o pilotach szkolących swoich następców, którzy, gdy oni umrą, przejmą ich zadania... coś o gwiazdzie, do której mieli nadzieję dotrzeć. Nawigator miał dla niego jakąś gwiazdę, statek był zaopatrzony w paliwo i właśnie opuszczał tę piekielną okolicę, oddalał się od tego podwójnego potwora, który nieustannie do niego śpiewał w wolno poruszającej się ciemności. Po raz pierwszy w tej samotnej wieczności nadeszły nowe dane.

– Punkt – udało się powiedzieć Taylorowi. Potrzebował celu i McDonough podał mu współrzędne, które nie miały sensu ani w odniesieniu do linii zerowej, ani do miejsca, gdzie musieli się znajdować.

– Błąd – rzekł Taylor. McDonough powiedział wtedy, że obrali sobie inny punkt zerowy, tę gwiazdę, że optycznie wykryli możliwy punkt masy i namierzili za nim gwiazdę typu G-5.

McDonough wyrzucał z siebie kolejne liczby – ulga była tak wielka, że Taylor się nimi upajał, ale nie przetwarzał danych, wciąż słuchał McDonougha z boleśnie wyęzowaną uwagą. McDonough powiedział, że załoga i kapitan chcą, żeby Taylor wiedział, że zamierzają wykonać skok. Powiedział – tu McDonough nie był zbyt pewny – że według nich Taylor może mieć świadomość ruchu statku.

No jasne, że ma. Wszystko poruszało się coraz szybciej. Miał w zasięgu wzroku nawet punkty danych, i to po kilka naraz. Taylor powiedział z wysiłkiem, dostosowując się do szybkości McDonougha:

– Mostek. Już.

McDonough odszedł. Dane przestały napływać. Taylor czekał. I czekał. Czasami wydawało mu się, że minęły lata i że jedynym sposobem na pozostanie przy zdrowych zmysłach jest czekanie na następny punkt, na następny usankcjonowany kontakt.

Po długim, bardzo długim czasie, głos McDonougha jednak powrócił z wiadomością, że kapitan chce go mieć jako pilota na mostku. Pomoże mu Goldberg. Greene, jak przypomniał McDonough, jest chory. Inoki nie żyje. Zmarł przed trzema laty. Według ziemskiego czasu.

Dane. Musiał wprowadzić czynnik Goldberga jako wsparcie. Jego umysł rwał się do biegu. Powstrzymał go. Zaraz nadejdą cyfry. Nareszcie będą napływały fale danych, misja zostanie podjęta.

Usiadł. Zagłębił się w fotelu. Ktoś powiedział – to był kompetentny głos, pomyślał, że to Tanaki – że już nie potrzebuje tego specyfiku. Że teraz jego mózg sam go już wytwarza.

Ciekawe dane. Potem Goldberg zaczął mówić, że dolecieli do samego piekła, zostawiając Ziemię i Sol daleko w tyle, że wciąż nie wiedzą, jak się tu dostali, ale że przeszli przez coś, co chyba nie było na stałe związane z tą gwiazdą.

– Uważaj – powiedział Goldberg. – Słyszysz mnie?

– Tak – odparł Taylor cierpliwie. Cyfry zaczęły się mnożyć.

Zobaczył masę docelową. Miał ją. Tym razem jej nie zgubi.

Był z nim Goldberg. Wszechświat znów do niego przemawiał, i to z prędkością, którą rozumiał. Wpadł w strefę przyciągania masy i wyskoczył z niej z beztroskim lekceważeniem grawitacji. Miał w polu widzenia G-5. Goldberg przestał do niego mówić albo po prostu mówił zbyt wolno, by Taylor go słyszał. Miał przed sobą gwiazdę i sięgnął do niej, spokojny i pewny, że teraz cyfry są właściwe.

Doprowadził statek do celu.

Wyłączył po kolei wszystkie systemy w blasku złotego słońca.

Wtedy poczuł pewność, że może zasnąć.

KSIĘGA DRUGA

Rozdział 1

Obca gwiazda wisiała wysoko na niebie, w ostatnich promieniach słońca płynąc wraz z księżycem nad wzgórzami z piaskowca. Manadgi przykucnął nad dziwnymi, równymi śladami, ciągnącymi się w glinie nad brzegiem strumienia, i widząc w nich blizny pozostawione przez maszynę w piaskowcu, zagarnął poły kaftana między kolana i zaczął nasłuchiwać ze wszystkich kwadrantów nieba, tak pomyślnych, jak i niepomyślnych. Słyszał jedynie ciche ćwierkanie i cmokanie jakiegoś stworzonka ukrytego gdzieś w krzakach.

Na niebie pojawiły się inne ruchome gwiazdy – maleńkie drobiny światła, chaotycznie krążące wokół tej pierwszej. Czasami osoby obdarzone bardzo bystrym wzrokiem mogły je policzyć, po dwie i trzy drobinki naraz, lśniące blisko obcej gwiazdy, przed świtem lub przed zmierzchem.

Ich liczba zmieniała się. Łączyły się i rozdzielały. Czy powinno się zaliczyć do nich obcą gwiazdę, czy też może należało brać pod uwagę tylko gwiazdy towarzyszące? I od kiedy? Jak można obliczyć, czy ich ruchy są pomyślne, czy też nie?

Nie potrafili na to odpowiedzieć nawet astronomowie, kiedy przed stu dwudziestu dwoma laty na niebie zaczęła rosnąć obca gwiazda, gwiazda początkowo tak słaba, że podobno widziały ją tylko najlepsze oczy – gwiazda, która wznosiła się i zachodziła wraz z księżycem, towarzysząc mu w odwiecznym tańcu ze słońcem.

Potem astronomowie wpadli w zakłopotanie, ponieważ mimo swoich lunet i planetariów wciąż nie potrafili określić, czy owo zjawisko jest księżycem czy gwiazdą, bo sądząc po jego wyglądzie i zachowaniu, było i jednym, i drugim, a nie byli pewni jego oddziaływania na inne ciała niebieskie. Niektórzy uważali, że to dobrze, inni, że źle, a tyle samo pomyślnych wydarzeń dowodziło racji zwolenników tej pierwszej teorii, ile niepomyślnych zdawało się potwierdzać słuszność drugiej. Tylko nand? Jadishesi jednoznacznie i słusznie utrzymywał, że wszystko to zapowiada zmiany.

W końcu jednak do tego zdania przychyliła się większość astronomów, a gwiazda z każdym rokiem robiła się coraz większa i dobierała sobie towarzystwo: znajdowała się w stanie ciągłej niestabilności.

Czyż więc można się ośmielić nazwać ją szczęśliwą?

Te ślady, zrobione przez jakąś maszynę, były niewątpliwie prawdziwe i świadczyły o wielokrotnych wypadach z lądowiska – nawet o zmierzchu, nawet dla oczu mieszczucha. Tachi, którzy na tych wzgórzach wypasali swe stada i znali je tak dobrze, jak mieszkaniec miasta swoją ulicę, mówili, że z nieba spadły maszyny zawieszane na kwiatach, opadając coraz niżej, aż do samej ziemi.

Zatem nawiedzenie rzeczywiście miało początek w chmurach, a wraz z tymi opadającymi kwiatami przybyły maszyny, które jeździły po okolicy, wrywając drzewa i strasząc dzieci Tachi.

Manadgi wątpił w ich pochodzenie z chmur, tak samo, jak wątpił, że cień rzucany przez jesienny księżyc leczy reumatyzm. Obecnie było wiadomo, że ziemia krąży wokół słońca, że pochylenie jej osi powoduje zmiany pór roku. W trwającym wieku rozumu zaczęli pojmować wszystkie te sprawy, a pojmowali je lepiej od czasu, kiedy astronomowie dworu aijiego zajęli się problemem krnąbrnej gwiazdy i zamawiali coraz lepsze soczewki.

Księżyc, jak teraz wiedzieli wszyscy posiadający odpowiednie wykształcenie, był kulą o cechach planety, przemieszczającą się w eterze, podobnie jak ziemia – był to jakby ich mniejszy kuzyn, odmierzający swe lata według ziemi, tak jak ziemia mierzyła upływ swego czasu według słońca.

Tak więc spadanie maszyn z nieba było rzeczą zdumiewającą, lecz nie niewiarygodną. Przyjrząwszy się tym budzącym grozę śladom, jakich nie mógł zrobić w glinie żaden rolniczy wóz, z łatwością można było dopuścić myśl o osobach żyjących na księżycu. Wyobrazić sobie, jak spadają na ziemię na wielkich, białych płatkach czy na żaglach z materiału, co Manadgi miał nadzieję zobaczyć jutro na własne oczy, ponieważ księżyc, najbardziej prawdopodobne źródło gości, był w pełni.

A drugim źródłem żagli-kwiatów mogła być ta ruchoma gwiazda, której uporczywa odmienność przemawiała za tym, że ma ona coś wspólnego z pojawieniem się maszyn, ponieważ sama niedawno zjawiała się na niebie i w ciągu ostatnich czterdziestu lat wzbogaciła się o mnóstwo jakby ruchomych księżyców, będących zaledwie iskierkami.

Ale, pomyślał Manadgi, te iskierki mogą urosnąć albo przybliżyć się do ziemi i rozprawić się z jej mieszkańcami.

Może księżycowe osoby przyprowadziły tę obcą gwiazdę na jej obecne miejsce, żeglując na stworzonym przez siebie świetle poprzez wiatry eteru, tak jak statki pływające po oceanach wykorzystują ziemskie wiatry.

Jak dotąd, wydawało się, że nie ma związku między wyglądem gwiazdy czy fazami księżyca i opadaniem żagli-kwiatów.

Można się jednak było zastanawiać nad prowadzeniem zapisów przez Tachi i nad ich rozumieniem sytuacji, skoro jako prości pasterze upierali się przy kwiatach, zamiast uznać te twory za zwykłe płócienne żagle i mimo wyraźnych dowodów na spadanie osób z chmur znosili to zjawisko przez ćwierć roku, dumając nad tym, co robić. Dopiero teraz, kiedy maszyny zadomowiły się na dobre i wszędzie siały zniszczenie, aiji Tachi zażądał od aijiego Patronatu Mospheirańskiego natychmiastowego i stanowczego działania, zmierzającego do powstrzymania tej dewastacji zachodnich ziem Tachi i straszenia ich dzieci.

Manadgi wstał, otrzepał ręce i w dogasającym blasku dnia znalazł płaski kamień, dzięki któremu mógł przejść przez strumień suchą nogą. Była to płyta z piaskowca, którą maszyna na kołach odłupała z brzegu, wspinając się pod górę. Zostawiła za sobą dziwny ślad: wzór jej kół stale się powtarzał, z powodu ciężaru pojazdu koleiny wyżłobione w wilgotnym gruncie były głębokie. Maszyna wcale nie utknęła, co dowodziło mocy jej silnika – lecz nic w tym dziwnego: skoro księżycowe osoby potrafiły chwytać wiatry eteru i spuszczać się na ziemię na olbrzymich żaglach, to były potężnymi inżynierami. Można było podejrzewać, że okażą się potężne i pod innymi względami.

Nie miał najmniejszych trudności z podążaniem śladem maszyny – trasę jej przejazdu znaczyły wyrwane drzewa i zabłocona trawa. Robiło się coraz ciemniej i Manadgi miał tylko nadzieję, że księżycowe osoby nie znajdą go w mroku, zanim on je znajdzie i określi charakter oraz zasięg ich działań.

Niedaleko, powiedział aiji Tachi. Pośrodku doliny, za kamieniem babki.

Kiedy dotarł do kamienia, prawie go nie poznał. Leżał na boku.

To smutne. Można się było jednak domyśleć, widząc powalone drzewa i zniszczone koryto strumienia, który płynął w dole, że księżycowe osoby są bezwzględne i nie boją się osądu swoich czynów albo po prostu nie zdają sobie sprawy, że Tachi są cywilizowani i należy się im szacunek.

Chciał się przynajmniej dowiedzieć, jaką siłą dysponują obcy albo czy można sobie z nimi jakoś dać radę. Ta kwestia stała przed wszystkimi innymi pytaniami, takimi jak: skąd przybyli albo czym może być ta niestała gwiazda i co to oznacza?

Manadgi miał nadzieję tego wszystkiego się dowiedzieć.

Do czasu, kiedy idąc wrytym w ziemi, gliniastym śladem maszyny na kołach, wszedł na następne wzniesienie i zobaczył w zapadającym zmierzchu ogromne budynki. Były białe, kwadratowe i zupełnie pozbawione ozdób.

Przysiadł na piętach. Tylko w ten sposób można było się ukryć na pustkowiu, jakie stworzyły księżycowe osoby na tej nagiej ziemi, pozbawionej życia, jednostajnej, ciągnącej się przez całą szerokość doliny wokół zimnych, kwadratowych budynków, pomalowanych na kolor śmierci i niepomysłnie usytuowanych względem wzgórz. Manadgi uniósł do ust dłoń, by je ogrzać, ponieważ zachód słońca przynosił ochłodzenie powietrza.

A może zrobiło mu się zimno dlatego, że nagle poczuł się przygnieciony tą obcością i zważył, czy potrafi wkroczyć do miejsca, które było tak złowieszczo pomalowane i zaprojektowane tak jawnie, a może i wyzywająco, w niezgodzie z ziemią – zaczął się bać tego, co mogło się okazać celem osób, które spadły na Ziemię na żaglach jak płatki kwiatów.

Rozdział 2

Słońce chowające się za krawędzią planety stanowiło z kosmosu wspaniały widok, lecz mieszkańiec stacji widział je tylko dzięki kamerom i zachowanym taśmom, podczas gdy mieszkańiec planety widywał je codziennie, jeśli tylko chciało mu się wyjść na dwór albo zatrzymać po drodze z pracy. Ianowi Bretano wciąż się chciało, ponieważ dla niego wciąż było to coś nowego.

Nowego i dezorientującego, jeśli zaczynał myśleć o tym, gdzie się znajduje na planecie... albo gdzie jest jego dom, albo co będzie tym domem przez resztę jego życia.

A czasami, nocą, kiedy nad doliną przepływały gwiazdy, czasami, kiedy księżyc znajdował się nad linią horyzontu, a nad głowami mieli niezgłębioną przestrzeń, rozpaczliwie tęsknił za stacją i w momencie dzikiej paniki zadawał sobie pytanie, dlaczego zachciało mu się znaleźć tu, na dole planetarnej studni grawitacyjnej, dlaczego opuścił rodzinę i przyjaciół i dlaczego nie mógł pracować dla sprawy w czystych, bezpiecznych laboratoriach Na Górze – wszyscy teraz tak mówili o stacji, przejąwszy to określenie od pierwszego zespołu, który wylądował na planecie.

Na Górze – jakby stacja, bezpieczeństwo, rodzina i przyjaciele byli osiągalni za naciśnięciem guzika w windzie.

Lecz rodzina i przyjaciele nie znajdowali się w ich zasięgu – a z tego, co wiedzieli, tak będzie jeszcze długo, a może zawsze. To było ryzyko, które podjęli, schodząc na planetę i wystawiając się na działanie nieuregulowanej pogody i powietrza tak rozrzedzonego, że samo przejście z jednego budynku do drugiego było wyczerpującym ćwiczeniem.

Lekarze twierdzili, że bez żadnych kłopotów przywykną do rzadszego powietrza, że się dostosują – chociaż botanik, który dotąd miał do czynienia głównie z glonami w wygodnych zbiornikach i taksonomią w tekstach, nie był przekonany, czy nadaje się na odkrywcę lub pioniera.

Jednak oprócz wszystkich tych niewygód istniały i plusy. Każdy okaz w laboratorium był nowym gatunkiem, całą chemię i genetykę trzeba było odkryć na nowo.

A ci, którzy przyzwyczaili się do dziennego nieba i całej tej rozświetlonej, uginającej światło błękitnej przestrzeni nad nimi, ci, którzy przekonali swoje żołądki, że kiedy sięgną wzrokiem do horyzontu, to nie spadną z planety – Bogu dzięki za otaczające ich wzgórza, które dawały złudzenie krzywizny dodatniej, a nie ujemnej – mogli podejmować rozmyślne ryzyko w imieniu swoich żołądków i chodzić z oczyma utkwionymi w nieprzezroczystym niebie, obserwując zmiany kolorów za wzgórzami, gdzie świat odwracał się twarzą do kosmosu.

Każdy wieczór i każdy poranek przynosił nowe odmiany pogody i inny rysunek cieni na wzgórzach.

Pogoda i wzgórza... Słów tych nauczyli się na zajęciach z nauki o Ziemi, ze zdjęć, które nie dawały najmniejszego pojęcia o przezroczystości ziemskiego nieba czy chłodzie burzowego wiatru i szelestu, z jakim przeczesywał trawy. Iana wciąż niepokoiło, że okna mogą być tak cienkie, iż drżą od grzmotu. Nie miał pojęcia, że chmura nasuwająca się na słońce może spowodować tak szybkie ochłodzenie powietrza. Nigdy by się nie domyślił, że burze pachną. Nie wyobrażał sobie, jak złożony może być dźwięk przemieszczający się w terenie i jaką dziwną mieszankę mogą tworzyć zapachy zarówno przyjemne, jak przykre – zapachy, które być może okażą się jeszcze ostrzejsze, kiedy przestanie mu krwawić nos i przestaną go boleć płuca.

Wciąż trudno mu było przestawić się z mieszkania na stacji, gdzie na taśmach oglądał planetę, której nie mógł dotknąć, na przebywanie na ziemi, skąd patrzył na świetlny punkt, na który mógł już nigdy nie wrócić.

Trudno było się pożegnać Na Górze. Rodzice, dziadkowie, znajomi... Cóż można było powiedzieć? W saloniku, gdzie nie wolno było instalować kamer, uścisnął ich – możliwe, że po raz ostatni w życiu i trzymał się do chwili, gdy zobaczył wyraz twarzy ojca, kiedy to poczuł nagle wszystkie wątpliwości niczym kulę tkwiącą w gardle. Dawała o sobie znać przez całą podróż w kapsule, nawet po rozwinięciu spadochronu.

– Do zobaczenia – powiedział na pożegnanie. – Pięć lat. Za pięć lat przylecicie na dół.

Taki był plan – założyć bazę i zacząć sprowadzać na dół wybranych kolonistów, a po znalezieniu czegoś, na czym Gildii bardzo by zależało, wybudować lądownik wielokrotnego użytku. Pierwszeństwo w korzystaniu z niego miałyby rodziny i znajomi członków zespołu biorącego udział w początkowej fazie kolonizacji planety. Taki właśnie przywilej zdobył dla nich Ian, przybywając tu i podejmując ryzyko. Nie było go wśród tych, którzy wylądowali jako pierwsi, ale znajdował się na liście, ponieważ przybył na dół na tyle wcześnie, by zaliczać się do pionierów.

O Boże, ale był przerażony, kiedy przeszedł z saloniku do pomieszczenia ze skafandrami, gdzie było już pozostałych dziesięciu członków zespołu. Gdyby tylko można było odwrócić

się, uciec, odczekać jeszcze jeden rok zrzucania kapsuł, żeby przekonać samego siebie, że spadochron się otworzy...

Jeśli to było bohaterstwo, to nie chciał przeżywać tego dwa razy, i, Boże, to swobodne spadanie i lądowanie...

Pierwsi astronauta lądowali w takich kapsułach na spadochronach. Tak mówiły historyczne zapiski. W bankach danych znajdowała się cała technika starej Ziemi. Wiedzieli, że ta pierwsza kapsuła zda egzamin, tak samo jak wiedzieli, że uda się zbudować lądownik wielokrotnego użytku – kiedy Gildia przeznaczy na to odpowiednią ilość środków.

Tak czy owak znaleźli się na dole. Gildia mogła odmówić przewiezienia ich na planetę, ale nie miała prawa wstrzymać startu tego, co sami zbudowali – a bezsilnikowe kapsuły, które skonstruowali, z natury rzeczy nie potrzebowały obsługi pilotów z Gildii; posłużyli się częściami zamiennymi i planami z archiwów, które Gildia w swej mądrości uznała za nieistotne.

Gildia mogła zatrzymać ich siłą, przyciągnąć kapsuły po starcie – oczywiście, Gildia wciąż mogła to zrobić, bo podziały były potencjalnie tak ostre.

Gdyby Gildia chciała postępować według takich zasad, to stacja też dysponowała siłą. Gildia jednak albo nie osiągnęła porozumienia, albo nie spodziewała się, że pierwszy lądownik z ładunkiem dotrze do celu, albo może przeżywała kryzys – pożał się Boże – sumienia. Żaden z mieszkańców stacji nie wiedział, co się dzieje podczas narad Gildii, lecz wszechpotężna Gildia nie wykonała jeszcze żadnego ruchu. A kiedy pionierzy znaleźli się już na dole, to Gildia nie mogła ich zagłodzić, bo wywołałaby tym konflikt ze stacją, którego przedtem wielokrotnie unikała. Na razie zrzuty żywności i sprzętu nie ustawały.

Zrzuty, które za rok mogły już nie być tak absolutnie konieczne. Wtedy niech sobie Gildia zarządza, co chce. Gdy będą mogli jeść to, co tu wyhodują, będą mogli tu żyć. Na pierwszym wyraźniejszym obrazie planety uzyskanym przez „Feniksa” widać było miasta, zapory, wyraźne dowody istnienia rolnictwa i kopalń oraz wszelkich innych atrybutów średnio rozwiniętej cywilizacji... Są tam tubylcy, mający oczywiście swoje prawa – ale nie takie, które byłyby ważniejsze od ich praw.

Słońce zachodziło w czerwieniach, żółciach i złocie. Nad wzgórzami zabłysła jakaś planeta. To Miraż, druga od słońca, które nazywali po prostu... Słońcem, nie mając dla niego lepszej nazwy, tak jak trzecią planetę nazywali światem albo czasami Dołem – w taki sposób, w jaki urodzeni pod rządami Gildii tego słowa nie używali.

Ian pomyślał, że to głupia nazwa dla planety; osobiście wolałby, żeby pierwsze pokolenie wymyśliło jakąś określoną nazwę, którą mogliby nadać światu. Niektórzy chcieli go nazwać Ziemią, argumentując, że tak nazywa się własną planetę, a ta pod każdym liczącym się względem taka była. Gildia natychmiast odrzuciła to uzasadnienie.

Inni natomiast, szczególnie biolog od hydroponiki, Renaud Lenoir, żarliwie i elokwentnie dowodzili, że nie, to nie jest Ziemia. Nie wolno jej tak nazywać. To nie jest Słońce. I nie jest

to gwiazda, do której zmierzali – kiedy w nadprzestrzeni wydarzyło się to, co się wydarzyło, a Taylor uratował statek.

Taylor mógł być świętym Gildii – Taylor, McDonough i piloci-górnicy, którym, niech Bóg ich ma w opiece, wszyscy inni zawdzięczali życie – lecz Lenoir, który tak przekonująco opowiadał się przeciwko przenoszeniu ziemskich nazw na to miejsce, też kwalifikował się na świętego, mimo że grupa, która wkrótce miała stać się Gildią, głosowała za nim z powodów całkowicie sprzecznych z tym, w co wierzył Lenoir, a budowlańcy i technicy stacji, których synowie i córki mieli zrealizować wizje Lenoira i zejść na powierzchnię planety, w większości głosowali podczas tego spotkania. przeciwko niemu.

Lenoir argumentował, że to nie Ziemia ani gwiazda, do której lecieli. Planeta przeszła własną ewolucję, aż do rozwinięcia się na niej wysokiej inteligencji, i w trakcie tego procesu ustaliła własne prawa biologiczne – poprzez własny udany eksperyment z życiem i własne, jedyne w swoim rodzaju wymagania, stawiane pierwotnym organizmom przez środowisko.

Biochemia, taksonomia i związki między gatunkami od mikroobów po główne ekosystemy Ziemi – biblioteka „Feniksa” mieściła całe gałęzie ludzkiej nauki: systematyczną wiedzę na temat żyjącej, poddanej wpływowi człowieka biosfery, którą ludzie całkowicie rozumieli, przez tysiące lat gromadzoną wiedzę o naturalnych systemach Ziemi, ich ewolucji i wzajemnych związkach.

Lenoir twierdził, że przeniesienie ziemskich nazw na miejscowy grunt nie pozwoli – ze względu na powierzchowne podobieństwa desygnatów – przyszłym pokoleniom właściwie ocenić, gdzie się znajdują i kim są. Mogłoby to doprowadzić do powstania poglądu, że świat ten jest w jakiś sposób powiązany z dziejami ich własnej ewolucji, poglądu protekcyjnego, który Lenoir uważał za niewłaściwy – co więcej, poglądu, który wielokrotnie prowadziłby do tworzenia błędnych powiązań w naukach przyrodniczych, a w konsekwencji do niewłaściwych, a zatem mogących drogo kosztować decyzji. Naginanie języka do określenia tego, co nie w pełni rozumieli, mogło z jednej strony okazać się szkodliwe dla ich własnej kultury i człowieczeństwa, a z drugiej – niebezpieczne dla tych samych ekosystemów, dzięki którym chcieli przeżyć.

A zatem nie była to Ziemia. Jeśli chodzi o inne nazwy, rada utknęła w martwym punkcie. Jak więc praprawnuk Lenoira mógł nazwać tę planetę, jeśli nie światem – ten błękitny, spowity w chmury dom, który znalazł dla nich Taylor?

I teraz, kiedy potrafili eksploatować surowce miejscowego systemu słonecznego, wybudowali stację i stworzyli gospodarę, dzięki której, choć z trudem, mogli zbudować ładownik, by dotrzeć na powierzchnię planety, Gildia Pilotów zażyczyła sobie, żeby się wynieśli – poprosiła, żeby po blisko stu pięćdziesięciu latach orbitowania zamknęli stację i przenieśli wszystko do pozbawionej powietrza i wody bazy planetarnej, jaką Gildia chętnie dałaby im na Maudette, czwartej planecie od słońca. Z dala od świata, który według Gildii powinien zostać dziewiczy, nie skażony wpływem człowieka, nie skalany jego obecnością.

Co oznaczało, że Gildia chciała, by wszyscy żyli pod jej pantoflem – taka była cena Maudette.

Słońce oświetlało już tylko górne krawędzie budynków. Całe zachodnie zbocze wzgórza znalazło się w cieniu. Ian oparł się o ścianę lab. 4 i obserwował płonące kolory, patrząc ponad wyrytą w glinie czerwoną blizną bezpiecznego szlaku prowadzącego na wzgórza szeleszczących traw.

Zdecydowanie były to trawy – tak oficjalnie orzekł wydział i od dwóch tygodni mogli oficjalnie i naukowo używać tego słowa, potwierdzając teorie i domysły zrodzone z półtorawiecznej obserwacji orbitalnej. Ci, którzy uważali, że takie rzeczy są ważne, stosowali precyzyjne kryteria. Byli to ludzie, którzy przez całe swoje zawodowe życie uczyli się na pamięć nazw rzeczy widzianych tylko na zdjęciach, a potem wpajali je pokoleniom uczniów – sto pięćdziesiąt lat studiowania taksonomii i ekosystemów swego byłego świata, którego nawet nie znali...

Gildia oczywiście utrzymywała, że nie ma to żadnego sensu. Synowie i córki Gildii nie studiowali nauk o ziemi – o, nie. Przez te wszystkie długie lata, jakie upłynęły, zanim „Feniks” znów wystartował, synowie i córki Gildii uczyli się fizyki, konserwacji statku i lotów międzygwiazdnych. Tylko czy praktyczny był start statku międzygwiazdowego, kiedy brakowało im podstawowych rzeczy?

Szczeniaki Gildii nazywały jednak dzieci ze stacji durniami albo jeszcze gorzej...

I za co? Durnie, bo narażają na niebezpieczeństwo planetę, która Gildię guzik obchodziła? Dumie, bo pragną świata, który najwyraźniej oferuje bogactwo tego wszystkiego, co zdobywali z takim ryzykiem, a większość wydobytych surowców i tak lądowała na liście priorytetów Gildii?

Durnie, bo rzucają wyzwanie władzy Gildii – kiedy nie można było do niej wejść, jeśli nie było się potomkiem członka załogi „Feniksa”? Czy właśnie to nie był prawdziwy powód, dla którego dziedziczni członkowie Gildii nazywali ich durniami? Bo żaden dzieciak stacyjnego budowlańca nie mógł przekroczyć tej granicy i uczyć się w ramach Gildii, a Gildia miała wszelkie powody, by taki stan rzeczy utrzymywać.

Oczywiście, przezwiska kłuły ze szczególną siłą, tak jak tego chciały szczeniaki Gildii. Nieważne, że jeśli przyłapał je na tym ktoś starszy, winni byli karani tygodniowym ograniczeniem racji żywnościowych... Nie łamało to dumy szczeniaków, nie pozwalało dzieciakowi ze stacji sięgnąć po to, co nie było jego dziedzictwem ani nie nadawało w oczach Gildii znaczenia i wagi nauce o ich utraconej Ziemi i utraconym celu podróży.

A teraz Gildia mówi: opuście ten świat? Skolonizujcie jałową Maudette, a oni poszukają wśród gwiazd innych układów planetarnych, wolnych od roszczeń – aha, przy okazji, wydobywajcie surowce i budujcie na tych gwiazdach stacje, żeby statki Gildii mogły uzupełniać paliwo, mieszkać tam, umierajcie, a potem powtarzajcie wszystko od początku – wszystkie te śmierci, pot i niebezpieczeństwa – bądźcie robotami, a statki Gildii będą

podróżować do miejsc, które trzeba będzie zbudować przy pomocy jeszcze większej liczby robotów, bez końca poprzez przestrzeń, a przez cały czas Gildia będzie utrzymywać swoje priorytety i przywileje, na potrzeby których szła większość wszystkich surowców, jakimi dysponowali.

Już lepiej być tutaj, na zimnym wietrze i pod blednącym niebem. Ich niebem, na którym zachodził teraz Miraż, a Maudette jeszcze nie weszła, niebem stanowiącym coś dziwnie pośredniego między blaskiem dnia i prawdziwą nocą.

Mogli tu umrzeć. Jeszcze wszystko mogło się nie udać. Jakiś drobnoustrój mógł ich wykończyć szybciej, niż byliby w stanie się zorientować, co ich dopadło. Mogli spustoszyć ten świat i skrzywdzić każde żyjące tu stworzenie.

Łzy wciąż pojawiały się w środku nocy albo w pełnej szelestów ciszy na obcym wzgórzu. Wracała tęsknota za domem, kiedy pomyślał sobie o czymś, co chciał powiedzieć rodzinie albo przyjaciołom, których znał całe życie – a potem, jakby wspominając czyjąś niedawną śmierć, przypominał sobie, że otrzymanie połączenia telefonicznego wcale nie jest takie łatwe i że nie ma żadnej gwarancji, iż ładownik wielokrotnego użytku, na który postawili swoją przyszłość, zostanie kiedykolwiek zbudowany.

Razem z nim przybył na Dół Estevez. Biedny Julio, z tym swoim katarem. Nie rozmawiał z Estevezem o Górze, nie rozmawiał o wątpliwościach. Razem odbyli studia, razem przeszli szkolenie – znali się przez całe życie... no bo jak mogło być inaczej w ograniczonym świecie stacji? Zanim dokonali tego cięcia, wspólnie roztrząsali wszelkie wątpliwości, ale kiedy dowiedzieli się, że zostali zakwalifikowani do zespołu, już się nad nimi nie rozwodzili, a już zupełnie o nich nie rozmawiali, od kiedy znaleźli się na dole. Tutaj wszystko było w porządku, a oni się nie bali. Estevez nie martwił się, kiedy Ian spóźniał się na kolację, nie, oczywiście, że nie. Julio po prostu na pewno już stoi przy oknie, zastanawiając się, czy Iana nie chwyciły gdzieś po drodze mdłości albo nie ukąsiło jakieś latające stworzenie, którego jeszcze nie skatalogowali.

Ian wepchnął ręce do kieszeni i zaczął iść w kierunku baraków – Estevez prawdopodobnie wsadził już kolację do mikrofalówki, ustawiając czas na koniec zachodu słońca – nie mieli ustalonej pory posiłków, bo wszyscy pracowali w laboratorium według grafiku, i kolację – kiepską, bo kiepską, ale zawsze – jadło się po skończonej robocie. Żadnych rozkoszy podniebienia, żadnego urozmaicenia w jadłospisie, brak było zamrażarek czy bardziej skomplikowanego wyposażenia; najważniejszy był sprzęt laboratoryjny. Wszystko było liofilizowane, wysuszone, albo wymagało jedynie dolania wody i zagotowania, i jako perspektywa na resztę życia zapowiadało się dość paskudnie. Prawdopodobnie Gildia chciała ich rzucić na kolana za pomocą kuchni – żeby zaczęli błagać o ratunek i dobry, stacyjny obiad.

Tymczasem odkrył u siebie nagłą i niezwykłą chęć na słodkie, które wobec posmaku miedzi, jaki prawie ciągle czuł w ustach, były jedyną rzeczą, która mu smakowała. W

większości pochodziły z tych laboratoriów, gdzie pracował, więc nazywał je tym, czym chemicznie były.

Ponieważ byli zależni od dostaw żywności z orbity, bardzo ważną sprawą była identyfikacja traw, analiza ich nasion, zbadanie procesów życiowych i chemii, określenie, w czym są podobne do ziemskich i w czym się od nich różnią. Gildia mówiła, że różnią się ekologicznie, pewnie mają mnóstwo toksyn i że nie powinno się ich ruszać.

Jeśli jednak wyniki będą się powtarzały, to Gildia nie miała racji – Boże, testy wyglądają nieźle aż do poziomu chemii, gdzie dopiero tak naprawdę wszystko się liczy: rozpoznawali skrobię i cukry, nie było natomiast żadnych toksyn. Ziarna, jak wyczytali z zapisków na „Feniksie”, można było przetwarzać i przyrządzać tak, jak robili to ludzie od tysięcy lat.

A wszystko to mimo upartych twierdzeń Gildii, że nie muszą rozumieć naturalnych systemów. Gildia dowodziła, że na nic się nie przydadzą, ponieważ zdaniem Gildii planety na nic się nie przydają i, czego nie mówiła głośno, stacje i ich mieszkańcy przydają się tylko o tyle, o ile dostarczają pewnych usług. Gildia mówiła o katastrofach ekologicznych – o prawach tubylców, o wszelkich prawach dotyczących miejscowej fauny, która miała więcej praw niż robotnicy na stacji... Gildia, która niezłomnie odmawiała zrozumienia jakiegokolwiek systemu naturalnego.

Jednak wbrew przewidywaniom drobnoustroje zebrane przez nich, oraz te związane z człowiekiem, nie wykazywały żadnych chęci do wściekłych ataków na siebie nawzajem, na nich czy na planetę. Tego bali się najbardziej: że w ludzkich ciałach zagnieżdżą się jakieś wirusy albo że bakterie będące nosicielami ludzkich chorób poczynią spustoszenia szybciej, niż genetycy będą w stanie sobie z tym poradzić. Przygotowali się na to, zabezpieczyli się, ale nie nastąpiła żadna katastrofa; nie napotykali problemów, na które się przygotowali, nawet w kulturach laboratoryjnych. Oczywiście, sam fakt znajdowania biologicznych zgodności wskazywał na ryzyko, ale na razie, trzymając kciuki, immunolodzy zaczęli dowodzić, że istnienie owych zgodności może oznaczać skuteczną ochronę. W laboratorium coraz więcej zaczęło się rozmawiać o tym, że ewolucja na poziomie mikroorganizmów może być ściślej związana z geologią i powstaniem planety, niż głosi to teoria, szalony pomysł zrodzony w wieczór po zrzucie zaopatrzeniowym, w którym znalazł się niespodziewany prezent Z Góry, kiedy to podczas potężnej popijawy genetycy, geolodzy i botanicy zrobili burzę mózgów.

Boże, to bezczelne szaleństwo na dole, po całym życiu poświęcania się Sprawie, polityce i Ruchowi. Lecz po półtora wieku biernego studiowania taksonomii zalewały ich odkrycia. Byli pijani inwencją. Rozumieli naturalne systemy, które widzieli. Przez sto pięćdziesiąt lat, kiedy to informacje napływały cienkim strumyczkiem dzięki urządzeniom optycznym i zdalnej obserwacji planety, stworzyli na bazie zasad Lenoira system porównawczy oparty na zasadniczych pytaniach; kultywowali naukę planetarną – i zrobili to wbrew szyderstwom Gildii, wbrew zagarnianiu przez nią wszystkich surowców, wbrew budowaniu przez Gildię

statku i na przekór wszystkim pobłogosławionym przez nią przedsięwzięciom, które pochłaniały czas i materiały stacji.

I jeśli Gildia głęboko żałowała czegoś, czemu pozwoliła przejść przez radę, to musiała być to decyzja o budowie stacji tutaj, na orbicie błękitnej żyjącej planety, zamiast na jałowej, prawie całkowicie pozbawionej powietrza Maudette.

Tak będzie bezpieczniej, przekonywali ówcześni naukowcy. W zasięgu surowców, jeśli coś pójdzie nie tak.

Stacja jak najbardziej znajdowała się w zasięgu surowców, surowców oraz inteligentnej cywilizacji, którą odkryli na planecie. O tak, Gildia od początku wysuwała argumenty etyczne, ale prawdę mówiąc... Gildia z tym swoim gadaniem o wyborach moralnych, o prawie planety do samodzielnego rozwoju – tata mawiał, że tak głęboko się troszczyła o mieszkańców planety. Tylko dlaczego życie na dole jest dla Gildii takie święte i dlaczego nasze życie znaczy dla niej tak mało?

Znalazł się więc tu, bo tata przybyć tu nie mógł, a mama bez niego nie chciała: jeśli ten ładownik miał przejść w głosowaniu rady, to stacja i Ruch potrzebowały ich tam, gdzie byli.

Nie wiedział, co teraz mówiła Gildia, ani go to nie obchodziło. Dzięki Bogu, odtąd polityka Ruchu – to, kto nim rządził, kto wydawał polecenia i kto je wykonywał (jako syn administratora słyszał wszystkie argumenty za i przeciw jego obecności na dole oraz sam z ich powodu cierpiał), jakie kroki trzeba podjąć najpierw i jaką politykę powinni przyjąć w postępowaniu z Gildią – nic z tego nie było już jego problemem. Był tu, żeby uprawiać naukę, która go zafascynowała, gdy miał osiem lat. A kiedy szczeniaki Gildii wyśmiewały się z niego, zdał sobie sprawę, że nigdy nie będzie miał szansy zając się nią zawodowo.

Lecz marzenie taty było dla niego czymś oczywistym, nawet w wieku ośmiu lat. Dlatego powiedział bez zastanowienia, że, oczywiście, udadzą się na ten świat i, oczywiście, kiedyś będą po nim chodzić.

A teraz rzeczywiście chodził po powierzchni planety i prowadził dzieło Lenoira, prowadził je, kierując się zasadami Lenoira: wyszukiwał zbiory, taksonomie i zgodności, które pozwoliłyby im wykorzystać naturalny system zawarty w bazach danych do zrozumienia żywego systemu. Kładł podwaliny nauk przyrodniczych świata oraz zrozumienia go i uchronienia od ich błędów – ponieważ, do diabła, musieli to robić; prędzej czy później musieli na niego przybyć. Lenoir miał rację, na tym świecie mogła się wykształcić wyższa forma życia i na pewno już od tysięcy lat miał on nazwę w jakimś języku, lecz ludzkość przybyła do tego układu słonecznego nie mając wyboru i było równie nieuniknione, że będzie musiała jakoś ułożyć sobie z tym światem stosunki – przed wyruszeniem jego mieszkańców w przestrzeń lub też potem. Albowiem nie wybrali Maudette i wiedzieli, że nie wybrała jej nawet Gildia: Maudette była jedynie sposobem na odciążenie robotów Gildii od jedynej planety, która dawała im jakieś możliwości. Ten świat stał się ich nadzieją i sposobem na zapewnienie sobie wolności i tożsamości, zanim jeszcze postawili na nim stopę.

A on, Ian Bretano, był tu, w miejscu, na dotarcie do którego pracowały całe pokolenia. Tak czy owak, na pewno nie przyzna się do porażki. Nie wróci Na Górę, uratowany od śmierci głodowej przez jakiś statek Gildii.

I na pewno nie da się przewieźć na pozbawioną powietrza Maudette pod dyktando Gildii.

Już na to za późno, o wiele za późno.

A propos spóźniania się...

W oknie stał Julio, cień na tle światła.

Cień, który pochylił głowę w nagłym ataku kichania.

Rozdział 3

Manadgi pomyślał, że to może tchórzostwo powstrzymało go przed zejściem w dolinę. Może to ostrożność przekonała go, w ciszy, która na jego oczach ogarnęła budynki wraz z zachodem słońca, że spędzenie nocy na obserwacji i rozmyślaniu może pomóc mu zrozumieć.

Jeden budynek miał okna. Większość ich nie miała. Oglądane z tej odległości okna, ich rozmiary i wysokość, niewiele mu mówiły. Widział pojedyncze poruszenia żywych istot między budynkami przed zapadnięciem zmroku, a czasami po jego nadejściu.

Widział drapieżne maszyny krążące po stworzonej przez siebie pustyni. Żadna nie zbliżyła się do niego, może dlatego, że usadowił się z dala od ich śladów, których robienie było najwyraźniej zadaniem maszyn na całym obszarze, robienie całej sieci śladów, jakby liczyło się nie tyle dotarcie do danego miejsca, ile stworzenie jak największej liczby szlaków w sąsiedztwie budynków.

Ale czy pustynia była im potrzebna do chodzenia?

A może takie ogołacanie ziemi miało dla księżycowych osób jakiś sens? Może bały się przybycia jakichś wrogów? Może chcieli, żeby szpiedzy nie mieli się gdzie ukryć?

Może chcieli pochwalić się zniszczeniem albo – jakaż to wstrętna myśl – dostarczało im ono przeżyć estetycznych.

Mógłby podejść do budynków, jak zamierzał, i przedstawić się jakiejś władzy. Ale niszczenie z powodów estetycznych... ta myśl go powstrzymała.

Poniżej jego kryjówki przejechała maszyna, oświetlając zrytą ziemię i trawę rosnącą przy granicy zniszczeń światłem tak jasnym, jakby rzucało je zaszłe właśnie słońce. Maszyna nie miała kół, lecz pełzła na połączonych ze sobą płytkach. Jej przednią część tworzył sztywno wyciągnięty szpon. Mógł służyć do kopania lub zdzierania ziemi. Mogła to być broń.

Na pewno nikt nie chciałby do tego czegoś podejść i zapytać o zamiary.

Promień światła uderzył w skały i pobiegł wzdłuż wzgórza. Manadgi wstrzymał oddech, nie śmiejąc się poruszyć. Powiedział sobie, że ktoś na pewno tą maszyną kieruje, ale ruchy

tych światel miały w sobie coś tak niepokojąco mechanicznego, że od samego patrzenia przebiegały go ciarki.

A co, zapytał się w duchu, jeżeli takie maszyny są jednak mechaniczne? Co, jeśli ich właściciele po prostu je puszczają, żeby czyniły zniszczenia, zdając się na los i nie przejmując się, co lub kogo niszczą?

Ze szczękającej maszyny wystrzelił do tyłu promień światła. Robi się gorąco, pomyślał Manadgi i zaczął się wycofywać – po czym nagle się zatrzymał, dojrawszy wśród krzewów i trawy, na zboczu tuż poniżej, błysk szkła i gładkiego metalu.

Oko, pomyślał, pojedyncze oko jakiejś maszyny sterczące w trawie, na razie nieruchome, być może jeszcze nie wiedzące o jego obecności.

Przyszedł tu, żeby ostrożnie się zbliżyć. Ale nie do czegoś takiego. Na pewno nie do czegoś takiego. Wstrzymał oddech, zastanawiając się, czy ośmieli się poruszyć albo czy poruszy się oko, albo od jak dawna już tu tkwiło przed tym, jak wydobyło je z mroku światło maszyny.

Porośnięty krzakami teren, na którym zniknęła szponiasta maszyna, był teraz pograżony w ciemności. Manadgi siedział niewygodnie skulony, gotów wycofać się, wątpiąc, czy się na to odważy, zastanawiając się, czy gdzieś nie czai się z mechaniczną cierpliwością jeszcze jedna taka maszyna albo czy takie oczy nie znajdują się wszędzie wśród trawy i skał i czy jakoś udało mu się je ominąć, będąc nie zauważonym. Z drzeniem pomyślał, że od niego zależy los osób ważniejszych niż on i że szanse na powodzenie zależą od jego pomyślnego lub niepomyślnego wyboru, od sumy obcych uczestników zdarzenia, których liczby zupełnie nie potrafił określić, oraz że wszystko czeka na jego decyzję puszczenia, lub nie, wydarzeń w ruch, na dobre czy złe dla aijiego, od którego zależało życie wielu, wielu osób.

To jasne, że księżycowe istoty nie mają prawa wdzierania się na ziemię Tachi, będącą we władaniu aijiego. W swojej arogancji i dzięki swej potędze wywołały zniszczenia i zagroziły mieszkańcom całej Ziemi – i to od niego zależała decyzja, jak postąpić, czy ryzykować, że temu oku wyrosną nogi, na których pobiegnie złożyć raport, albo że zaalarmuje głosem inne oczy i wezwie szponiastą maszynę do powrotu na to zbocze.

Jak dotąd oko nie zrobiło nic z tych rzeczy. Może jest nieczynne. Może nie stanowi całej maszyny, może jest tylko częścią uszkodzonego urządzenia. Jeśli spadli z nieba, to może jeden z żagli-kwiatów zawiódł i takie oko rozbiło się na skałach.

Ledwo oddychał, cichutko się wycofując, wpatrując się z napięciem swoimi śmiertelnymi oczyma w oko i zadając sobie w duchu pytanie, czy oko może mieć uszy, którymi usłyszałoby szelest ubrania lub oddech albo – wydawało mu się to możliwe – bicie jego serca? Oko jednak tkwiło w ciemności, może oślepie, może śpiące – albo tylko udawało. Czy mechaniczne przedmioty słyszą, węszą albo myślą?

A skąd wiedziałyby, jak się poruszać? Czy same się włączały i wyłączały? To wydawało się niemożliwe.

Oko przynajmniej było nieruchome. Manadgi wstał i z największą ostrożnością ruszył pod górę, na szczęście nie natykając się w trawie na żadne inne oczy.

Schronił się w jakimś zagłębieniu bliżej szczytu, między nie uszkodzonymi jeszcze skałami, żeby zaczerpnąć tchu i uspokoić się.

Stwierdził w duchu, że aiji powinien wysłać jednego ze swoich zabójców, a nie mówcę – powinien wysłać kogoś ze straży, kogoś przyzwyczajonego do ryzykownych akcji, kto wiedziałby, jak się cicho poruszać i jak ocenić niebezpieczeństwo.

Może, wyraźnie zobaczywszy, że sprawa leży poza jego zdolnością oceny, najmądrzej byłoby wycofać się na tym etapie i doradzić aijiemu oraz hasdrawadowi wysłanie kogoś, kto potrafi prześlizgnąć się przez ten zniszczony teren. On nie widzi możliwości bezpiecznego podejścia.

Czy jednak zaatakowała go któraś z maszyn? Czy maszyny skrzywdziły dzieci albo czy Tachi mogli udowodnić, że takie krążące maszyny zabiły jakieś zwierzęta z ich stad?

Musiał przyznać, że przed chwilą strach wpłynął na jego osąd. Mechaniczne maszyny spustoszyły ziemię, ale nie atakowały osób czy zwierząt, choć miały do tego sposobność. Dzieci, które je widziały, uciekły im bez szwanku i nic nie szło ich śladem do wiosek. Pasterze, którzy obserwowali łądowiska żagli-kwiatów, uciekli cali i zdrowi, nie gonieni przez maszyny księżycowych osób.

Może więc te maszyny są głuche, a nawet bezrozumne, a on, uciekając, postąpił głupio.

Cieszył się, że nie ma tu nikogo, kto byłby świadkiem jego dylematu, kto widziałby, jak skulony w jakiejś dziurze w ciemnościach drży, i to wcale nie z zimna.

Czy ma powiedzieć aijiemu i jego dworowi, że uciekł, nie dokonując bliższych obserwacji? Szczycił się swoimi umiejętnościami obserwatora i negocjatora. Czy nie może zebrać choćby przybliżonych informacji o liczbie i położeniu, które pomogłyby hasdrawadowi w obradach, a aijiemu w wysłaniu następnej, bardziej agresywnej misji?

Nie śmiał sporządzić błędnego sprawozdania ani poprosić o zabójców, którzy we właściwy sobie sposób, zbyt szybko reagując na zagrożenie, mogliby wbrew wszystkim zainteresowanym doprowadzić do wrogich posunięć. Przyszedł tu, żeby po prostu zapytać księżycowe osoby, co robią, i zanieść ich odpowiedź aijiemu. Zawsze zdawał sobie sprawę, że może zginąć przez pomyłkę lub w wyniku wrogiego działania. Był gotów podjąć ryzyko, kiedy aiji zapytał go o to w swoich bezpiecznych apartamentach.

Czy może się teraz wycofać, twierdząc, że maszyny stanowiły dla niego zagrożenie, za jedyne usprawiedliwienie mając własne tchórzostwo i wiedząc, że jego konkluzje zostaną uznane za przemyślane, co pociągnie za sobą nieodwołalne następstwa?

Nie. Nie może. Nie miałby najmniejszego uzasadnienia. Aiji dostrzegł u niego umiejętności predestynujące go do tej misji.

Manadgi miał nadzieję, że aiji dostrzegł też u niego inteligencję, rozsądek i zaradność – nie tylko dlatego, że to honor mieć taką opinię u aijiego, ale także dlatego, że jego osobiste zdolności wydawały mu się w tej chwili bardzo mierne, noc była zimna i nic w ciągu całego jego życia nie przygotowało go na taką sytuację.

Rozdział 4

Poranek był tak mlecznoblady jak pierwszy poranek Iana na tej planecie, z porozrzucanymi na niebie nieprawdopodobnie różowymi chmurami. Różowymi i złocistymi, i perłowobiałymi: w obniżeniach terenu zalegało nieco mgły. Kondensacja spowodowana przez wilgoć przesycającą powietrze oraz osiągnięcie przez otaczającą temperaturę punktu krytycznego: to pogoda. Wilgoć pochodziła z poprzednich opadów oraz parowania gleby i procesów oddechowych roślin. Poprzez kombinację naturalnych i mechanicznych procesów taki sam efekt można było wywołać w cieplarni na stacji.

Tutaj efekt był bardzo ładny. Nigdy jednak nie pomyśleli o różowych chmurach. Szkoda, pomyślał Ian. Powinno się w odpowiednich miejscach położyć żel i organizować zwiedzanie. Oglądanie efektów planetarnych.

Ładnie, powiedział wtedy Julio od wejścia do baraku. Ładnie, zimno, baw się dobrze.

Estevez ze swoimi regulowanymi temperaturami i przefiltrowanym powietrzem: inżynier systemów podtrzymywania życia, reagujący na środowisko alergią, nie był dla medyków dobrym okazem eksperymentalnym.

Estevez chował się przed dziennym niebem. Czyżby tylko raz rzuciwszy okiem na pogodę przyznawał się do swego strachu? Uciekał przed nim? Nie, jeżeli musiał wracać do środka i wymiotować. Mówił, że to alergia.

Śmieszne, tylko że wcale nie było to śmieszne, ponieważ Estevez nie mógł opuścić tego świata. Steroidy nie stanowiły rozwiązania na dłuższą metę, a przez ponad sto lat na stacji nie było żadnych problemów immunologicznych. W ich małym laboratorium nauk o ziemi, jakie tu mieli, modyfikowanie genów nie wchodziło w rachubę, nie mogli wysłać próbki Na Górę, nie mieli nikogo, kto potrafiłby obsłużyć sprzęt, gdyby udało się im go tu sprowadzić, wcale nie mieli stuprocentowej pewności, czy w tych egzotycznych warunkach powinni próbować modyfikacji genów, a tymczasem Archiwum wpadło na starszy, prostszy pomysł: znaleźć substancję alergogenną. Spróbować odczulenia.

Świetnie – powiedział Estevez, cierpiący na bezsenność od steroidów, najeżony igłami, oklejony taśmą, poddawany eksperymentom przez botaników i biologów. Spróbuje wszystkiego. Tymczasem oddychał filtrowanym powietrzem, zachowywał poczucie humoru i było mu dobrze – tyle że przerażała ich jego reakcja na cokolwiek jeszcze po dwóch miesiącach spędzonych na dole. Medycy sądzili, że powinno to trwać dłużej. Nie mieli pewności. Nie istniała dotychczas stu pięćdziesięcioletnia, genetycznie odizolowana i poddana promieniowaniu populacja ludzka, która byłaby w dodatku wystawiona na działanie środowiska obcego świata. A przynajmniej nie figurowała w ich danych.

Cudownie – powiedział Estevez.

Tymczasem wszyscy, którzy przeprowadzali pomiary, wyznaczając za pomocą taśmy siatkę i licząc gatunki, zbierali próbki wszystkiego, co było nowe: krzaków, traw, roślin nasiennych i zarodnikowych, grzybów i tak dalej. Medycy podstawiali niektóre próbki pod nos Estevezowi, a inną ich część przyklejali mu taśmą do skóry. Wieszali na wietrze samoprzylepne paski i liczyli, co się do nich przyklejało; analizowali wkłady filtrów, sądząc początkowo, że to, na co reaguje Estevez, musi unosić się w powietrzu. Teraz jednak zajęli się nową teorią i analizowali próbki gleby i martwych traw, szukając pleśni.

Do zwykłych testów dodali więc przyrząd do pobierania próbek gleby i rozszerzyli siatkę poza wysterylizowany obszar. Ian pobierał próbkę co sto metrów, wbijając plastikową rurkę głębiej niż sięgały korzenie, i zostawiał do zabrania w drodze powrotnej niebieskie plastikowe pojemniki z próbkami w rzędzie ciągnącym się za nim w dół wzgórza. Starzy wyjadacze potrafili chodzić szybko. On szedł wolnym krokiem i często się zatrzymywał, bo bolały go płuca. Szedł w górę długim stokiem prosto we wschodzące słońce.

Wczoraj zobaczył na tym wschodnim wzgórzu jakiś inny kolor. Wyglądało to na kwitnącą roślinę, a jeśli kwitła w tej oszczędnej przyrodzie, to można było się domyślać, że w celu wyprodukowania materiału genetycznego do reprodukcji płciowej mającej zaowocować nasieniem, tak jak u traw, co zgodnie z ich ziemskim nastawieniem było metodą prawdopodobną i korzystną.

To zaś wskazywało, że roślina rozsiewa coś w powietrzu, a jeśli coś rozsiewa, to można było przyjąć, że jest to pyłek. Komitet wciąż się spierał nad tą sprawą – niby-pyłek czy niby-zarodniki z niby-kwiatów, ale można było zapytać Esteveza, czy go to cokolwiek obchodzi. Problem rozmnażania traw szerokolistnych może wymagać dyskusji i prawdopodobnie nowego nazewnictwa, ale to wyglądało mu na kwiaty podobne do tych, które hodowali w cieplarni z ziemskich nasion. Były czerwono – fioletowe i różniły się od wszystkiego, co dotąd widzieli w tutejszym krajobrazie.

A kiedy, chcąc uzyskać próbkę w postaci całej rośliny, wspiął się na tyle wysoko, że poczuł jej woń, okazało się, że kwiat ma cudownie słodki zapach.

Chowając go i mając dużą nadzieję na wyleczenie Esteveza, wyjął kątownik, naciągnął na plastikową ramkę metrowe linki, wziął do ręki rejestrator i zaczął liczyć zwykłe trawy –

Lawton twierdził, że jest jeden typ, który przy przeciętnie 136 ziarnach w kłosie stanowi dowód na sztuczną selekcję. Zapewne rozprzestrzenił się z pól uprawnych i może pozwolić im na zbieranie z bezpiecznej odległości informacji na temat przydatności do jedzenia roślin, które uprawiają tubylcy.

A to z kolei...

Na dole wśród budynków bazy zawyła nagle syrena. Siedzący na ziemi Ian zamarł w bezruchu, spojrzął w dół i rozejrzał się wokół siebie, myśląc, że jakiś mierniczy po drugiej stronie doliny musiał źle ocenić swoją pozycję i uruchomił alarm obwodowy.

Rosnąca obok niego trawa zaszeleściła nie tak, jak muskana wiatrem.

Zaskoczony Ian obrócił się na jednym kolanie i wlepił wzrok w parę brązowych, zakurzonych wysokich butów, potem w skraj brązowego, sięgającego kolan kaftana, zapinanego na liczne guziki, i górującego nad nim czarnego jak heban olbrzyma.

Nie mógł się poruszyć. Słyszał wyjący w dali alarm i nagle uświadomił sobie, że to on znajduje się w niebezpieczeństwie i że uruchomił go ten... człowiek, ta istota, która zaczęła na właściwą chwilę i wybrała właśnie jego...

Tubylec skinął na niego ręką – raz, dwa razy, wyraźnie dając mu znak, żeby wstał. Nie można było nie rozpoznać inteligencji, celowości ruchów, cywilizowanego charakteru tubylca. Był czarny jak noc, a jego twarz nawet w najmniejszym stopniu nie przypominała ludzkiej, choć jej płaszczyzny i krzywizny składały się na oblicze w surowy sposób przystojne.

Skinął ręką trzeci raz. Nie widząc żadnego bezpośredniego zagrożenia, Ian wstał. Tubylec był imponująco wysoki – przerastał go co najmniej o głowę – i miał szerokie ramiona. Ian nie zauważył u niego żadnej broni. Nagle zdał sobie sprawę, że tubylec może za broń uznać część jego sprzętu. Bał się nawet sięgnąć po swoją sondę, bał się zrobić jakikolwiek ruch, przypominając sobie ziemską historię błędów, których skutkiem bywały wojny, i zaprzepaszczonej szans na rozsądne rozwiązania.

Sięgnął jednak ostrożnie ręką do kieszeni na piersi i włączył kciukiem kieszonkowe radio, cały czas obserwując, czy tubylec nie wykazuje choćby najmniejszych oznak niepokoju.

Powiedział cicho, obserwując twarz tubylca:

– Baza, nawiązałem kontakt. Baza. – Mówił cicho, nie spuszczać oka z obcego, jakby przemawiał do niego. – Baza, tu Ian. Nawiązałem kontakt. Mam tu towarzystwo.

Tubylec nadal stał spokojnie, lecz w nagłym strachu, że z głośniczka może zabrzmieć jakaś nieostrożna odpowiedź bazy, Ian przesunął kciukiem potencjometr głośności z gorącą nadzieją, że robi to we właściwym kierunku.

– Nil li sat-ha – odezwał się obcy, a przynajmniej tak to zabrzmiało. Miał cichy i, dzięki Bogu, rozsądnie brzmiący głos. Ian zaprosił go z kolei do bazy, pokazując ręką za siebie w dół.

Obcy znów machnął w kierunku szczytu wzgórza.

– Baza – powiedział Ian, starając się powstrzymać drżenie głosu – to mówił on. To chyba mężczyzna. Na to wygląda. Wysoki gość. Dobrze ubrany. Nie ma broni. Nie przychodźcie tu. Wygląda na cywilizowanego. Posłucham go, wyjdę poza granicę, nie chcę go zaniepokoić. Nie podchodźcie. I nic do mnie nie mówcie.

Poczuł na ręce twardy, mocny uścisk. Obejrzał się w zdumieniu na obcego – jeszcze nigdy w życiu nikt go nie chwycił z taką siłą. Sytuacja jednak nagle zaczęła się komplikować: rzuciwszy okiem w dół, stwierdził, że pod górę w ich kierunku biegną jego towarzysze, obcy był wyraźnie zaniepokojony – gdyby ktoś teraz popełnił błąd, ich życie i wszystko, nad czym pracowali, mogło stanąć pod znakiem zapytania.

Obcy chciał, żeby Ian z nim poszedł. Jakaś jego część nade wszystko chciała wrócić biegiem do strefy bezpieczeństwa, do tego, co znał, z czym potrafił dawać sobie radę na własnych warunkach.

Lecz ręka, która ciągnęła go za ramię, była zbyt mocna, by się jej skutecznie opierać. Ian dał się więc obcemu pociągnąć za sobą, wciąż próbując wymyślić, co ma robić. Nie wyłączył komunikatora w nadziei, że nikt ich nie będzie gonił ani nie osaczy, i teraz wydyszał:

– Baza, nic mi nie jest, jestem bezpieczny, on chce rozmawiać, na litość boską, baza, każcie im się wycofać...

Nie miał jednak pojęcia, dlaczego tak za nimi pędzą, czy może wiedzą coś, o czym nie wie on, ani czy baza coś do niego mówi. Nie mogli walczyć. Mieli trochę broni na wypadek, gdyby na ich teren zabłąkały się jakieś niebezpieczne zwierzęta, ale stanowili nieliczną garstkę ludzi na nie należącej do nich planecie, której nie mogli opuścić, na którą do czasu zbudowania lądownika nikt nie mógł do nich przylecieć, nawet Gildia, i w żaden sposób nie mogliby powstrzymać tubylców, gdyby ci postanowili zaatakować.

Ktoś znajdujący się poniżej zawołał, Ian nie dosłyszał słów, ale obcy zaczął biec, zmuszając Iana do pójścia w jego ślady. Brakło mu tchu i potykał się.

– Cofnijcie się! – krzyknął do kogokolwiek, kto go słuchał. – On mi nie robi krzywdy, nie ścigajcie go, do cholery!

Zabrakło mu tchu. Nie zaaklimatyzował się w tutejszym powietrzu, nie mógł jednocześnie biec i mówić, starał się nie upaść, kiedy obcy kluczył między krzakami i skałami, ciągnąc go za sobą.

Wtem nogi go jednak zawiodły i Ian runął na kolana na kamienisty grunt. Obcy wciąż trzymał go za ramię chwytem, który nie pozwalał krwi docierać do dłoni.

Ian podniósł wtedy na niego przestraszony wzrok, usiłując złapać oddech i wstać. Obcy poderwał go w górę, wykręcając mu rękę i oglądając się za siebie. Mimo bólu Ian pomyślał, że obcy boi się tak samo jak on.

– Nic mi nie jest – odezwał się do mikrofonu. – Ściszyłem dźwięk. Nie słyszę was. Nie chcę go przestraszyć, nie idźcie za mną!

Obcy znów go szarpnął i Ian z całych sił starał się dotrzymać mu kroku. Palily go płuca, oddech ranił gardło niczym nóż. Poczul, że kręci mu się w głowie i obcy zaczął go na wpół nieść. Ian spazmatycznie chwytal powietrze ustami, a świat widzial w odcieniach szarości.

W końcu obcy zaciagnął go w jakies ciemne miejsce i przydusil własnym ciałem oraz kaftanem. Ian nie protestowal, usilujac jedynie oddychac i, wysunawszy twarz na swieze powietrze, ulozyc sie u boku dyszacego obcego, chcąc jedynie zachowac zycie i nie sprowokowac nikogo do zadnego glupstwa.

Rozdział 5

Odszedł z tym stworem – rzekł Patton Bretano z ciężkim sercem, a znajdujący się daleko w dole Pardino wciąż mówił, że dotarł do nich przekaz radiowy, że wciąż odbierają sygnał i że żądają od stacji jakiejś decyzji. Patton Bretano siedział z odbiornikiem w dłoni, słuchając go i zastanawiając się, dlaczego trafiło akurat na jego syna, że chyba musiał oszaleć, żeby wychodzić samemu, i dlaczego nie pobiegł do bazy, tylko się od niej oddala, ale bał się, że na to pytanie zna już odpowiedź.

Ian nie zaryzykowałby zniszczenia placówki, po prostu nie mógłby tego zrobić. Pardino powiedział, że pracował przy granicy. Na terenie, gdzie według nich mieli znaleźć odpowiedzi dopiero za kilka lat.

A tu odpowiedzi znalazły ich. Znalazły Iana, na granicy i bezbronnego. Pardino mówił, że radio wciąż nadaje i jeśli nic się nie zmieni, to mają szanse ich wytropić.

Lecz w głowie Pattona wirowała tylko jedna myśl, rozbijając po drodze co rozsądniejsze pomysły: Jak mam to powiedzieć Joy? Instynkt ojcowski nakazywał mu zmontować wyprawę poszukiwawczą, przekląć Iana za to, co zrobił, instynkt ojcowski za cholere nie przejmował się ryzykiem, z jakim wiązały się poszukiwania.

Ojciec w nim zupełnie się nie przejmował tym, w jakim świetle zechce zobaczyć próbę ratunku Gildia. Polityk natomiast myślał o ryzyku, na jakie świadomie narażali załogę bazy. Boże, to oczywiste, że istnieją niebezpieczeństwa i że są sposoby ich unikania. Zbudowali płot elektroniczny. Tubylcy nie byli na tyle technicznie zaawansowani, by go sforsować. Przez te kilka miesięcy od wylądowania nie zdarzył się żaden incydent. Ani razu nie zaniedbali środków ostrożności, a Ian nie znajdował się w pierwszej grupie, Patton użył wszystkich swoich wpływów, by Ian w żadnym wypadku nie znalazł się w pierwszej grupie...

– Pat – odezwał się Pardino – Pat, jesteś tam?

– Tak – odparł, myśląc: „Boże, miej nas w opiece, stało się, tak? Nawiazaliśmy kontakt. Od tej chwili to już nieodwołalne. Ale mój syn...”.

– Nie możemy iść za nim – rzekł Pardino. – Personel jest zgodny, że nie możemy iść za nim, nie mamy tu odpowiedniej pozycji...

– Chcę słyszeć te przekazy. – Cały się trząsał. Nerwy miał wciąż rozedrgane od przeżytego szoku i nic nie wydawało mu się prawdziwe. Otwarty kanał radiowy stanowił jednak jedyne kruche ogniwo łączące go z Ianem, i Patton chciał, żeby to on był na nasłuchu, a nie Pardino; chciał słyszeć osobiście, że Ianowi nic się nie stało, nieważne, jak to zrozumie Gildia, nieważne, że wiadomość rozejdzie się po całej stacji z szybkością połączeń telefonicznych, a musiał jeszcze jakoś zawiadomić Joy i przygotować coś w rodzaju oficjalnej informacji.

Musi zająć stanowisko, zanim Gildia przedstawi własną wersję wydarzeń.

Nie był złym człowiekiem. Powiedział sobie w duchu, że nie jest złym człowiekiem. Stapał po cienkiej linii rozpiętej między Gildią Pilotów, która bez skrupułów wykorzystałaby tę historię przeciwko wszystkiemu, w czym pokładali nadzieje, a radą bojącą się przeciwstawić Gildii zbyt radykalnie... A teraz Ian wpakował się w sam środek tego, co – niech Bóg ma go w swojej opiece – on sam zaplanował.

Ponieważ zarówno on, jak i członkowie komitetu wiedzieli, że ten obszar wyspy jest zamieszkały, że tubylcy nie są zaawansowani technicznie – co, jak liczyli, miało im ułatwić pierwszy kontakt, nie stawiając ich twarzą w twarz z najwytrawniejszymi politykami i najbardziej rozwiniętą techniką na całej planecie... Lecz Patton w żadnym wypadku nie chciał, żeby Ian stał się ośrodkiem tego spotkania.

Pardino mówił coś o wejściu na kanale B i Patton nie mógł się powstrzymać od myśli, jak to Gildia zacznie śledzić ich przekazy, kiedy tylko się dowie, że coś się dzieje. Można się założyć, że wszystko, co powiedzą, wszystko, co powie Ian, natychmiast zostanie przekazane Gildii.

– Pat – mówił Pardino, zagłuszając to, co chciał usłyszeć: głos Iana – Pat, chłopak jest zaradny, sprytny, nic mu nie jest, bez względu na to, co się stało, nikt mu niczym nie grozi. Mówi, ale tubylcy nie mogą podejrzewać, że jest słyszany, oni nie mają radia. Powiedział, że ściszył głośność, żeby nic nie słyszeli, ale nie odszedł bardzo daleko. Baterie wystarczą na cztery bite dni, powiedział, żeby nie iść za nimi, obcy mu nie zagraża. Słyszysz, Pat?

– Tak. Tak, rozumiem cię. Chcę mieć te przekazy, do cholery.

– Masz wszystko to, co my.

Po tych słowach Pardino wyłączył się, jakby mogło to cokolwiek naprawić, ale powiedział też, że Ian jest zaradny i Patton uchwycił się tej myśli, gdy Pardino się wyłączył i zostawił mu cichy, przetykany zakłóceniami oddech.

I wtedy odezwał się zadyszany głos Iana:

– Nadal wszystko jest w porządku, nie martwcie się, on się po prostu boi, że ktoś za nami idzie. Jesteśmy w jakiejś jaskini wśród skał. Ciągłe dotyka mojego ramienia, bardzo delikatnie, jakby chciał prosić, żebym był cicho, mówi do mnie, a ja udaję, że mu odpowiadam.

Tu dał się słyszeć inny głos, niski, cichy pomruk.

– Jest wyższy ode mnie przynajmniej o głowę – powiedział Ian – bardzo podobny do nas, ale niewiarygodnie silny. Skórę ma czarną jak kosmos, wąskie oczy i nieco zakrzywiony nos, niezbyt wystający, widać, że marszczy czoło...

I znów ten inny głos. Chwila przerwy.

– Mówi do mnie, chyba to słyszycie, naprawdę cicho, jakby chciał mnie uspokoić.

Głos Iana drżał. Patton wyczuł strach syna, wyczuł, że trudno mu wytrzymać napięcie. Oddychał z trudem, spazmatycznie. Patton splótł dłonie i pomyślał, że Gildia wszystko na pewno już nagrywa, każdą rozpaczliwą minutę, żeby potem to odtworzyć radzie i całej stacji.

Ian się nie załamał, Patton znał swego syna. Ian trzymał emocje na wodzy. Drzenie w jego głosie brało się z napięcia fizycznego lub fizycznych ograniczeń, ale inni mogli sądzić co innego.

Wcisnął numer biura żony, żeby uprzedzić oficjalną wiadomość. Powiedział to tak, jak przedtem Pardino, po prostu:

– Joy, Ian ma trochę kłopotów, nie wpadaj w panikę, ale na dole nawiązali kontakt i zrobił to Ian.

– Kontakt – odparła po drugiej stronie linii Joy. – Jak to, nawiązali kontakt? Nic mu nie jest? Pat? Czy nic mu nie jest?

– Na razie nie – rzekł Patton. – Słyszemy go, ma włączone radio, mam go na drugim kanale. Włącz u siebie B.

– Już. Mam go.

– ...trochę zdyszany – mówił Ian i kaszlnął. – Płaczą mi się nogi. Nie jestem tu zaaklimatyzowany. Jesteśmy parę kroków od bazy, nie potrafię ocenić odległości. Rosną tu jakby drzewa z miękkimi pniami, dużymi płaskimi liśćmi, jest tu dużo jakby mchu, musi gdzieś tu chyba być woda, wszystkie liście są miękkie...

Boże, pomyślał Patton, chłopak wciąż obserwuje, wciąż przesyła te cholerne spostrzeżenia botaniczne, ale on sam chce posłuchać o tubylcu.

Znowu usłyszał głos stwora i pytanie Joy: – Czy to jeden z nich? – na co sam odmruknął: – Na razie jest tylko jeden. Przeszedł prosto przez płot, włączając alarm, i podszedł do Iana. Ian kazał zawrócić ekipie ratunkowej. Najwyraźniej nie czuł się zagrożony.

– Sir – wtrąciła się sekretarka na linii priorytetowej. – Dzwoni Vordict, mówi, że to pilne, w sprawie pańskiego syna, sir.

A więc Gildia już usłyszała. Gildia rozpęta piekło w związku z zaistniałą sytuacją i przystąpi do twardej rozgrywki politycznej z elektoratem. Nie był do tego przygotowany. Tam na dole jego syn ma kłopoty, a Vordict, niech go cholera, chce rozdmuchać sprawę, która – jak wszyscy wiedzieli – była nieunikniona od chwili, kiedy dotarli do tej gwiazdy, chce mu przedstawić całe gdybanie.

– Chce, żebyśmy szli dalej – odezwał się słaby głos Iana. – Chce, żebyśmy ruszyli w drogę. Zimno mi, brak mi tchu, przepraszam za trzęsący się głos...

– Przełącz go – polecił sekretarce, mając na myśli Vordicta, a do Joy powiedział:

– To Vordict. Muszę z nim porozmawiać. Ian nas nie słyszy. Cokolwiek jednak znalazł tam na dole, nie jest to wrogo nastawione, wszystko jest w porządku...

Ian nagle szybko wciągnął powietrze i Pattonowi zamarło serce.

Z daleka dobiegł głos Iana:

– Tylko straciłem równowagę. Nic mi się nie stało, wszystko w porządku, niech nikt nie zrobi jakiegoś głupstwa.

Patton bardzo chciał, żeby Gildia wzięła to sobie do serca.

– Patton – dobiegł go głos z innego kanału. – Patton, ty to wymusiłeś, spadnie to na twoją głowę, to twój syn znalazł się w niebezpieczeństwie, a ty cholernie dobrze wiedziałeś, że w pobliżu bazy znajduje się osada. Mam odpowiednie dokumenty. Mam świadka. Wiedziałeś o tym przed lądowaniem, spróbuj zaprzeczyć, i wiedz, że zamierzam przedstawić to radzie.

Rozdział 6

Nie było żadnych oznak oporu, żadnych gróźb czy broni i jak dotąd sprzyjało mu szczęście. Może księżycowa osoba to wyczuła i dlatego nie sprzeciwiała się porwaniu. A może złośliwy przypadek tylko się przyczaił i wszystko jedynie wydawało się takie łatwe.

Manadgi nie uważał się za osobę przesadną ani łatwowierną, a przynajmniej starał się takim nie być. Wszystko, co toczyło się tak gładko przy takiej ilości siły, jaką dysponowała druga strona, traktował z wielką podejrzliwością.

Księżycowa osoba, przynajmniej o głowę niższa od niego, wydawała się istotą kruchą, łatwo tracącą oddech, szybko wpadającą w zadyszkę, choćby na najłagodniejszym wzniesieniu. Błada skóra stwora pobladła jeszcze bardziej, a on sam czasami potykał się, wciąż jednak starał się dotrzymać mu kroku.

Być może boi się o swoje życie. Być może księżycowe osoby są po prostu z natury zgodne, z jakichś sobie tylko znanych przyczyn, lecz Manadgi nie potrafił zmusić się do zawierzenia takiej możliwości, podobnie jak nie potrafił w pełni uznać, że mechaniczne maszyny są nieszkodliwe dla obcych.

Szedł i szedł, a księżycowa osoba potykała się obok niego, mrużąc coś do siebie tak uporczywie, że Manadgi zaczął się zastanawiać, czy stwór jest cały czas tak otumaniony czy też może ma uszkodzone zmysły. Znalazł go siedzącego nad kwadratem trawy, jak wrywał źdźbła i mówił do siebie, jednocześnie szturchając czarne pudełko pełne przycisków, które być może miało jakąś funkcję, ale nie potrafił określić, jaką.

Może był szalony? Może wszystkie księżycowe osoby są szalone – razem z tymi innymi, którzy na początku ich gonili, a potem przestali?

A może, mimo wszystko, jest to kruchy i łagodny lud, który nie potrafi nawet przeciwstawić się porwaniu jednego z nich...?

Kto w takim razie wypuścił mechaniczne maszyny, żeby zniszczyły dolinę?

Księżycowa osoba coraz bardziej zostawała w tyle, potykała się i w końcu padła na kolana, trzymając się za bok.

– Wstawaj! – surowo rozkazał Manadgi i machnął ręką. Księżycowa osoba otarła twarz. Z nosa ciekła jej krew, najwyraźniej krew, czerwona jak u każdego mężczyzny – powódź życia wywołana biegiem i wspinaniem się, do którego Manadgi zmusił stwor.

Wtedy zrobiło mu się go żal – nie chciał wyrządzić mu krzywdy, a on, mimo krwi ściekającej po twarzy, próbował robić to, o co Manadgi go prosił.

Naciskiem dłoni na jego ramię Manadgi nakazał mu z powrotem usiąść, a stwór przyjął to z zadowoleniem i ulgą. Pochylił się i zacisnął palcami nozdrza, a potem zaczął kaszleć, aż Manadgi zaniepokoił się, że obcy się udusi.

Manadgi wsunął dłonie między kolana i przykucnął, mając nadzieję, że stwór sam najlepiej wie, jak sobie pomóc. W tej chwili nikomu nie zagrażał. Wyglądało na to, że się dusi i że jego życiu zagraża tak bezpośrednie niebezpieczeństwo, że Manadgi podał mu swoją manierkę z wodą w nadziei, że to coś pomoże.

Księżycowa osoba spojrzała na niego z cierpieniem w oczach, po czym otworzyła manierkę i wylała sobie na dłoń nieco wody, żeby się upewnić, że to woda, jak pomyślał Manadgi, a potem przetarła nią twarz. Następnie wylała na skrwawioną dłoń jeszcze trochę i napiła się, co uśmierzyło kaszel.

W chwili, gdy przestała się dusić, znów zaczęła coś mamrotać, co za dziwny stwór...

Manadgi stwierdził, że nie jest brzydki ani groźny, tylko ta krew rozmazana na bladej twarzy... Jego obcość przyprawiała o mdłości przy dotykaniu go, a już na pewno Manadgi nigdy więcej nie użyje tej manierki, ale bardzo żałował, że nie mając pojęcia, jak jest delikatny, zrobił mu krzywdę.

A jednak z tego, co wiedział, jego towarzysze wypuścili za nimi jednego z tych mechanicznych potworów.

– Wstań – powiedział wyraźnie do stwora, używając dokładnie tych samych słów, co przedtem. – Wstań.

Księżycowa osoba natychmiast spróbowała wykonać polecenie bez jednego gestu, a więc coś zrozumiała. Wstała, trzymając manierkę pod pachą, jakby chciała ją zatrzymać, i idąc, wciąż mówiła do siebie cienkim, niepewnym głosem.

Minęli już przewrócony kamień babki. Zostawili za sobą zrytą ziemię i szli w płątrawie, która czepiała się spodni i owijała wokół kostek. U stóp wzgórza płynął strumień, pamiętał, że jest on po drugiej stronie stromego podejścia, kępy paproci i wielkiego głazu. Tam właśnie zmierzał – zimny, czysty strumień i chwila odpoczynku w bardziej osłoniętym miejscu, trudnym do spenetrowania przez mechaniczne maszyny.

– Ostrożnie – przestrzegł stwora i pociągnął go za niebieski rękaw, a stwór spojrzał na niego, blady, z zakrwawioną twarzą i zaskoczonym wzrokiem, po czym pośliznął się i obsunął w dół z grzechotem kamieni i chrzęstem paproci.

Stwór nawet nie krzyknął. Zatrzymał się na dole na wpół w wodzie, a na wpół na brzegu i ani drgnął, kiedy przerażony Manadgi ześliznął się do niego.

Manadgi pomyślał, że tak upadając, stwór mógł połamać sobie kości. Leżał nieruchomo i Manadgi pomyślał, że jeśli w ich spotkaniu było jakieś miejsce dla pecha, to właśnie za jednym zamachem zniszczył siebie i aijiego – bał się nawet stwora dotknąć, ale co miał robić albo gdzie indziej mógł znaleźć pomoc?

Wyciągnął więc z wody jego rękę – a stwór spojrzał na niego oszołomionym, obcym wzrokiem i patrzył nadal, jakby jego zdumienie było równie wielkie, jakby jego rozumienie wszechświata też zostało zniszczone i strzaskane.

Wtedy Manadgi go puścił, a stwór przysiadł, obmył sobie twarz i szyję. Krew zabarwiła czystą wodę – Manadgi bał się, że to zły znak.

Zobaczył też wyraźnie, że zmusił go do wysiłku nad wszelką rozsądną miarę, że stwór jest zrozpaczony i wyczerpany, a jednak nie protestuje.

W sumie sprawiał wrażenie odważnej istoty, nigdy nie uciekającej się do przemocy, zawsze chcącej spełniać wszystkie jego życzenia. Kiedy stwór odzyskał oddech i nie wydawał się szczególnie uszkodzony po upadku, Manadgi ucieszył się. Stwór spojrzał na niego, jakby oczekiwał, że znów będzie musiał gdzieś iść równie zwariowanym szlakiem, pytając tylko wzrokiem, kim Manadgi jest, czego od niego chce i dokąd idą – to, co chciałaby wiedzieć rozumna istota, prawda? Czyż każdy mężczyzna nie zapytałby go, czego Manadgi chce i dlaczego on musi iść?

Właśnie, dlaczego miałby iść, skoro w tych dziwnych budynkach mógł się świetnie bronić, dlaczego był sam na wzgórzu, dlaczego uciekał od własnych towarzyszy, ten dziwny księżycowy stwór, który na siedząco liczył źdźbła trawy?

Może los zdążał w tym kierunku, obcy to wyczuł i mu się poddał?

A jeśli tak, jeśli tak, to czy Manadgi może zaryzykować utratę tego, co pomyślna chwila włożyła mu w ręce, lub narazić go na niebezpieczeństwo przez zmuszanie do nadmiernego wysiłku?

Przemówił do niego cicho i ukląkszy obok, na brzegu strumienia, odważył się delikatnie dotknąć jego kolana. Starał się, by jego głos brzmiał uspokajająco:

– Odpocznij, odpocznij tutaj, złap oddech. Wszystko w porządku. Napij się.

Można było przypuszczać, że stwór pija zwykłą wodę, a nie substancje czerpane z powietrza. Manadgi zaczerpnął dłonią wody ze strumienia i sam się napił, powtórzył dla pewności: – Napij się. – I księżycowa osoba, choć była słaba, powtórzyła je za nim.

Co więcej, jej oczy były przez chwilę czyste i pozbawione lęku, jeśli Manadgi potrafił odczytać wyraz takiej twarzy, wyrażający zainteresowanie jego osobą, a nawet wdzięczność.

– Ian – powiedział mężczyzna, wskazując na siebie, i powtórzył jeszcze raz, tak że Manadgi nabrał pewności, że to imię. W taki sam sposób wypowiedział własne:

– Manadgi.

– Ian – powiedział mężczyzna i wyciągnął rękę, jakby Manadgi miał zrobić to samo.

– Manadgi. – Wyciągnął dłoń, robiąc z siebie głupca, a stwór ją chwycił i energicznie potrząsnął.

– Ian, Manadgi – rzekł stwór i wydawał się zachwycony tym odkryciem. Siedzieli tak, potrząsając dłońmi, razem robiąc z siebie głupców, razem przestraszeni, razem odprężeni, razem oszołomieni różnicami.

Manadgi nie miał pojęcia, jakie są zwyczaje czy oczekiwania stwora. Stwór zapewne nic nie wiedział o nim. Mimo wszystko można jednak było okazywać temu dziwnemu stworowi uprzejmość i miłosierdzie – a może, cóż to za oszałamiający pomysł, nawiązać stosunki z tym z pewnością potężnym patronatem o nieznanym zasięgu, tworzonym przez istoty posiadające przedziwne zdolności.

– Pójdziemy – odezwał się, popierając słowa ruchem palców. – Pójdziemy do wioski, Ian i Manadgi, razem.

KSIĘGA TRZECIA

Rozdział 1

Powietrze przepływało leniwie obok otwartej kraty ogrodowej, ciężkie od zapachu kwitnących nocą pnączy rosnących na zewnątrz sypialni. O'oi-ana cykała, zapowiadając deszcz, a Bren leżał, nie śpiąc i rozmyślając, że gdyby był mądry, to by wstał, żeby przed zaśnięciem zamknąć kratę i drzwi. Wiatr się zmieni. Morskie powietrze ochłodzi pokój. Żeby wpuścić je do środka, wystarczą wywietrzniki. Była to jednak letargiczna, parna noc i Bren czekał na conocną zmianę wiatru ze wschodniego na zachodni, czekał jeszcze, kiedy pierwsze błyskawice rzuciły na powiewający muślin firanki cień kraty.

Poszczególne jej elementy miały kształty Losu i Przypadku, baji i naji. Cień pnączy poruszał się na wietrze, który w końcu wydał firankę, obiecując zelżenie upału.

Następny błysk oświetlił sylwetkę atevy stojącego na tarasie, niczym niespodziewanie przeniesiona tam statua. Brenowi na moment przestało bić serce, kiedy zobaczył cień na białym, falującym muślinie, na tarasie, gdzie nikogo nie powinno być. Na chwilę znieruchomiał, a potem zsunął się z łóżka.

Kolejna błyskawica oświetliła otwierającą się szerzej kratę i intruza wchodzącego do pokoju.

Bren wsunął rękę pod materac i wyciągnął ukryty tam pistolet. Oparł ręce na łóżku, jak nauczył go tego aiji, i pociągnął za spust. Odrzut broni sprawił, że stracił czucie w dłoniach, a błysk zupełnie go oślepił. Z czystego przerażenia wystrzelił drugi raz w oślepy mrok i dzwoniącą ciszę.

Potem nie mógł się poruszyć. Nie mógł złapać tchu. Nie słyszał, żeby ktokolwiek upadł. Pomyślał, że spudłował. Białe, cienkie firanki powiewały w orzeźwiającym wietrze, który hulał po jego sypialni.

Ręce, którymi ścisnął pistolet, zdrętwiały. Był głuchy na dźwięki cichsze od grzmotu, cichsze od szczęku skobla na drzwiach do sypialni – pomyślał, że to klucze ochrony.

Ale niekoniecznie. Przetoczył się tak, że plecami opierał się o bok łóżka i kolanami ścisnął wyprostowane ręce, celując bronią w środek drzwi, które otworzyły się z trzaskiem. Światło i cień uderzyły go w twarz.

Strażnicy aijiego nie tracili czasu na pytania. Jeden z nich podbiegł do kraty i wybiegł na podwórze, w padający deszcz. Drugi – pozbawiona twarzy, błyskająca iskierkami metalu ciemność – pochylił się nad nim i wyjął mu broń z dłoni.

Pojawili się inni strażnicy, a Banichi – to jego głos dobiegał z góry – odebrał mu broń.

– Przeszukać teren! – rozkazał Banichi. – Zajmijcie się aijim!

– Czy Tabiniemu nic się nie stało? – zapytał Bren roztrzęsionym głosem. – Czy nic mu się nie stało, Banichi?

Banichi jednak mówił coś do kieszonkowego komunikatora, wydając kolejne rozkazy, głuchy na jego pytanie. Aijiemu na pewno nic się nie stało, powiedział sobie w duchu Bren, bo inaczej Banichi by tu nie stał i nie rozmawiałby tak spokojnie ze strażnikami pełniącymi służbę na zewnątrz. Usłyszał, jak Banichi wydaje rozkazy, a potem głos mówiący, że nic nie przedostało się na dach.

Był przerażony. Wiedział, że ta broń została przemycona. Banichi o tym wiedział i mógł go zaarrestować – tego się bał, ale kiedy Banichi skończył z radiem, chwycił go za nagie ramiona i posadził na łóżku.

Przez drzwi do ogrodu wrócił drugi strażnik – to była Jago. Zawsze pracowała z Banichim.

– Jest krew. Dałam znać bramie.

A więc kogoś postrzelił. Jago znów zniknęła, a on zaczął się trząść. Banichi zapalił światło i wrócił: czarny ateva o gładkiej skórze, ze zwężonymi żółtymi oczyma i ciężką szczęką zaciśniętą w grymasie gniewu.

– Pistolet dał mi aiji – odezwał się Bren, zanim Banichi zdążył go oskarżyć. Banichi stał, patrząc na niego i w końcu rzekł:

– To mój pistolet.

Bren nic nie rozumiał. Siedział pokryty gęsią skórką, więc naciągnął na siebie koc. Słyszał hałas w ogrodzie, Jago krzyczącą coś do innych strażników.

– To mój pistolet – powiedział z mocą Banichi. – Czy są co do tego jakieś wątpliwości? Zbudził cię jakiś hałas. Ja zacząłem się na zabójcę. To ja wystrzeliłem. Co widziałeś?

– Jakiś cień. Cień przemykający między firankami. – Kolejny napad dreszczy. Wiedział, jak głupio postąpił, strzelając prosto w kratę. Kula mogła wpaść przez ogród do kuchni. Mogła odbić się od ściany i trafić kogoś śpiącego w innym apartamencie. W dłoniach i uszach wciąż czuł wystrzał, mocny jak unoszący się w powietrzu zapach prochu, który tu, w tym pokoju, był nie na miejscu...

Zaczęła się ulewa. Banichi skontaktował się przez swój kieszonkowy komunikator z poszukiwaczami i centralą, kłamiąc, że to on wystrzelił, widząc intruza zmierzającego do

pokoju paidhiego; nie, paidhi nie jest ranny, tylko przestraszony i jeśli aiji nie słyszał strzałów, to nie trzeba go budzić. Straż powinna jednak zostać podwojona, a poszukiwania rozszerzone na południową bramę, zanim, powiedział Banichi, deszcz zmyje ślady.

Banichi wyłączył się.

– Dlaczego przyszli tutaj? – zapytał Bren. Rozumiał, że to zabójcy, ale żeby jakiś zwykły zabójca pojawił się w kompleksie mieszkalnym, gdzie wszędzie są strażnicy, gdzie śpi aiji otoczony setkami gorliwych obrońców – czegoś takiego nie zrobiłby nikt będący przy zdrowych zmysłach.

I żeby zabić jego, Brena Camerona, kiedy aiji jest u szczytu potęgi, a wszyscy nai'aijiin są w swoich domach i go wspierają? Gdzie tu sens? Gdzie tu korzyść dla kogoś przy zdrowych zmysłach?

– Nadi Bren. – Banichi stał nad nim ze skrzyżowanymi ramionami, patrząc z góry, jakby miał do czynienia z jakimś nierozgarniętym dzieckiem. – Co takiego widziałeś?

– Powiedziałem ci. Tylko cień wychodzący spomiędzy firanek. – Nacisk, z jakim padło pytanie, przestraszył go. Może mu się coś śniło. Może postawił na nogi cały dom i zaalarmował strażników z powodu jakiegoś koszmaru. Wszystko się działo na krawędzi snu, a wtedy przecież nigdy nie wiadomo z całą pewnością, co się widzi.

Ale była tam krew. Tak powiedziała Jago. Kogoś jednak postrzelił.

– To ja wystrzeliłem – rzekł Banichi. – Wstań i umyj ręce, nadi. Umyj je dwa lub trzy razy. I nie otwieraj drzwi do ogrodu.

– Ale to tylko szkło – zaprotestował Bren. Do tej pory czuł się bezpieczny. Aiji dał mu pistolet przed dwoma tygodniami. Aiji nauczył go posługiwać się nim, sam aiji w jego posiadłości w Taiben. Nikt nie mógł o tym wiedzieć, nawet Banichi, a już na pewno nie zabójca – jeśli to najście mu się nie przyśniło, jeśli właśnie nie postrzelił jakiegoś niewinnego sąsiada, który wyszedł zaczerpnąć świeżego powietrza w parną noc.

– Nadi – powtórzył Banichi – idź umyć ręce.

Nie mógł się poruszyć, nie potrafił stawić czoła przyziemnym sprawom ani zrozumieć, co się stało, ani dlaczego – na litość boską, dlaczego aiji dał mu taki niesłychany i niepokojący prezent, poza tym, że miał ogólne przeczucie czegoś złego, a strażnicy pilniej niż zwykle sprawdzali przepustki i trzymali się przepisów...?

Tyle że Tabini-aiji powiedział: „Trzymaj go pod ręką”. A on bał się, żeby służący nie znaleźli go w jego pokoju.

– Nadi.

Banichi był na niego zły. Wstał, nagi i roztrzęsiony, i poszedł po dywanie do łazienki, czując coraz większe mdłości.

Ostatnie kroki zmieniły się w bieg do toalety. Ledwo zdążył opróżnić żołądek, co było dość upokarzające, ale nic nie mógł na to poradzić – odzyskał oddech i spuścił wodę po trzech bolesnych skurczach.

Było mu wstyd i czuł do samego siebie obrzydzenie. Nalał do umywalki wody i mył się, tarł i szorował, aż na dłoniach nie został ani ślad zapachu prochu, zastąpiony świeżym aromatem mydła i środków ściągających. Pomyślał, że Banichi pewnie już wyszedł albo wezwał nocnych służących, żeby posprzątało w łazience.

Kiedy jednak wyprostował się, żeby sięgnąć po ręcznik, zobaczył w lustrze odbicie Banichiego.

– Nadi Bren – powiedział Banichi z powagą. – Zawiedliśmy cię dzisiaj.

To bolało, naprawdę zabolało, szczególnie z ust Banichiego, który nigdy by się tak nie upokorzył. Bren wytarł twarz i ociekające wodą włosy, a potem musiał spojrzeć Banichiemu w oczy, w jego czarne, żółtookie oblicze równie obojętne i potężne, co wyrzeźbiony wizerunek bóstwa.

– Byłeś odważny – znów powiedział Banichi i Bren Cameron, potomek astronautów, przedstawiciel sześciu pokoleń siłą przywiązanych do ziemi w świecie atevich, odebrał to jak uderzenie potężnej dłoni Banichiego.

– Nie zabiłem go. Ktoś biega tam z bronią albo...

– My go nie zabiliśmy, nadi. Zabić go to nie twoja sprawa. Czy zwracał się do ciebie ktoś niezwykły? Czy widziałeś może coś dziwnego?

– Nie.

– Skąd wzięłeś broń, nadi?

Czy Banichi uważa, że on kłamie?

– Dał mi ją Tabi...

– Z jakiego miejsca ją wzięłeś? Czy ta osoba poruszała się bardzo powoli?

Zrozumiał, o co pyta go Banichi. Owinął się ręcznikiem w pokoju, w którym hulał burzowy wiatr, było zimno. Usłyszał przetaczający się nad miastem grzmot.

– Spod materaca. Tabini powiedział, żebym trzymał go na podorędziu. I nie wiem, jak szybko się poruszał, to znaczy ten zabójca. Zobaczyłem tylko cień, zsunąłem się z łóżka i chwyciłem pistolet.

Banichi leciutko unióśł brew.

– Za dużo telewizji – powiedział z kamienną twarzą i ujął go za ramię. – Wracaj do łóżka, nadi.

– Banichi, co się tu dzieje? Dlaczego Tabini dał mi broń? Dlaczego powiedział mi...?

Uścisk się wzmocnił.

– Wracaj do łóżka, nadi. Nikt ci już nie będzie przeszkadzał. Zobaczyłeś jakiś cień. Zawołałeś mnie. Ja wystrzeliłem dwa razy.

– Mogłem trafić w kuchnię!

– Najprawdopodobniej jeden ze strzałów trafił. Pamiętaj z łaski swojej, nadi-ji, że kule mają duży zasięg. Czy to nie ty nas tego uczyłeś? Proszę.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Brena, Banichi wyciągnął z kabury własny pistolet.

– Włóż go pod materac – rzekł Banichi i zostawił go samego. Wyszedł z sypialni do holu, zamykając za sobą drzwi.

Bren usłyszał trzask zapadki. Stał golusieńki z pistoletem Banichiego w dłoni i wodą kapiącą na podłogę z jego długich, mokrych włosów.

Podszedł do łóżka i wepchnął pistolet pod materac, tam, gdzie poprzednio ukrył prezent od Tabiniego, z nadzieją, że Jago wybierze sobie inną drogę powrotną, zamknął kratę i szklane drzwi, odgradzając się od zimnego wiatru i ratując firanki oraz dywan przed deszczem.

Zagrzmiało. Bren był przemarznięty. Bez przekonania spróbował wygładzić pościel, po czym wyciągnął z szafy grubą szatę, owinał się w nią, zgasił światło i z trudem wśliznął się pod splecione koce. Wstrząsany dreszczami zwinął się w kłębek.

Dlaczego ja? To pytanie nie dawało mu spokoju, zapytał też samego siebie, czy może stanowić dla kogokolwiek tak skrajne zagrożenie, żeby ta osoba aż ryzykowała życie, by się go pozbyć. Nie wierzył, że mógł się znaleźć w takiej sytuacji i ani razu nie dostrzegł najmniejszych oznak takiej całkowitej zawodowej porażki.

Może zabójca uznał go za najbardziej bezbronnego mieszkańca apartamentów ogrodowych, a jego otwarte drzwi wydały mu się najwygodniejszą drogą do kogoś innego, może do wewnętrznych korytarzy i samego Tabiniego?

Było jednak tylu strażników. To był szalony plan, a wynajmowani zabójcy nie byli szaleni ani skłonni do podejmowania takiego ryzyka.

Zabójca po prostu mógł pomylić pokoje. W pomieszczeniach gościnnych na górnym tarasie ogrodu mógł zostać umieszczony ktoś ważny. Bren nic o tym nie słyszał, ale w przeciwnym wypadku wokół ogrodu przebywali jedynie strażnicy, sekretarze, szef kuchni i rachmistrz – no i on sam – a nikt z tych osób nie był postacią wzbudzającą kontrowersje.

Ale Banichi zostawił mu w zamian za pistolet aijiego, z którego wystrzelił, swój własny. Zrozumiał teraz, dlaczego Banichi zabrał pistolet od Tabiniego i dlaczego kazał mu umyć rękę: gdyby szef bezpieczeństwa ogólnego nie uwierzył w sprawozdanie Banichiego i gdyby chciał przesłuchać paidhiego oraz poddać go badaniom w policyjnym laboratorium.

Miał szczerą nadzieję, że zostanie mu to oszczędzone. Poza tym szef bezpieczeństwa nic na niego nie miał – nie miał żadnego powodu do przesłuchiwania go, skoro to właśnie on był potencjalną ofiarą zbrodni, ani powodu podawania w wątpliwość sprawozdania Banichiego, ponieważ pod pewnymi względami Banichi stał wyżej od samego szefa bezpieczeństwa.

Ale... kto chciałby się włamywać do jego pokoju? Ciągłe wracał myślą do tego pytania i do niepokojącego faktu, że Banichi zostawił mu inny pistolet. To było niebezpieczne. Ktoś mógł zechcieć go przesłuchać. Ktoś mógł przeszukać jego pokój i znaleźć broń, której pochodzenie z pewnością zostałoby wykryte. Podniósłby się wielki krzyk. Czy Banichi postąpił rozsądnie? Czy Banichi w jakiś sposób się poświęcał, czego Bren by nie chciał, i to za to, co Bren mógł spowodować?

Przyszło mu nawet do głowy, czy by nie zakwestionować prawości Banichiego – ale Banichi i jego młodsza partnerka Jago byli jego ulubieńcami spośród osobistych ochroniarzy Tabiniego. Otaczali go szczególną opieką, zarazem codziennie stojąc tuż obok Tabiniego, zdolni do wyrządzenia mu każdej krzywdy, gdyby tylko zechcieli – nie mówiąc już o wiele łatwiejszym do zastąpienia człowieku.

Boże, nie – podejrzewać ich, to głupota. Banichi nie pozwoliliby, żeby coś mu się stało. Banichi kłamałby dla niego w żywe oczy. Podobnie jak Jago dla dobra Tabiniego. Bren był paidhim, Tłumaczem, i aiji go potrzebował. To był wystarczający powód dla każdego z nich. Tabini-aiji potraktowałby to, co się stało, bardzo poważnie, Tabini natychmiast wszcząłby śledztwo, spowodował wielki zamęt...

A on, do cholery, nie chciał, żeby cała cytadela stanęła z tego powodu na uszach. Nie chciał rozgłosu ani nie chciał znaleźć się w centrum atewskiej waśni. Rozgłos szkodził jego pozycji wśród atevich. Kompletnie niszczył skuteczność jego działań, szczególnie gdy do jego osobistych wpływów wkraczała polityka, a polityka na pewno w tej sprawie się pojawi – polityka do niej wkroczy w momencie, gdy pokażą ją w telewizyjnych wiadomościach. Każdy będzie miał jakieś zdanie, każdy będzie miał własną teorię, a to mogło jedynie zaszkodzić jego pracy.

Skulił się w wyiębionej pościeli, usiłując odzyskać klarowność umysłu, ale pusty żołądek nie pozwalał mu się skupić, a zapach prochu przyprawiał o mdłości. Gdyby poprosił o coś na uspokojenie nerwów, nocny personel przyniósłby mu wszystko, czego chciał albo o co poprosiliby w jego imieniu służący, ale biedni Moni i Taigi prawdopodobnie już zostali wyrwani ze snu dziwnymi pytaniami: „Czy strzelaliście do paidhiego? Czy zostawiliście jego drzwi otwarte?”.

Służba bezpieczeństwa pewnie przeglądała listę zatrudnionych, wzywając cały personel nocny i każdego, z kim miał do czynienia – jakby ktokolwiek w tym całym skrzydle mógł teraz spać. Strzały na pewno było słyhać na wzgórzu i na dole w mieście, linie telefoniczne były prawdopodobnie zablokowane, ruch na stacji kolejowej z całą pewnością będzie mocno ograniczony aż do porannego szczytu przewozowego... Nie świadczyło to wcale o wadze jego osoby: Bren widział już, co się dzieje, kiedy wybucha alarm wśród służby bezpieczeństwa Tabiniego.

Zachciało mu się gorącej herbaty i krakersów. Gdyby jednak kogoś o nie poprosił, to jego wysłannik, płaczący się po korytarzach, które służba bezpieczeństwa usiłowała przeszukać, tylko utrudniłby jej zadanie.

Tymczasem o szyby uderzał deszcz. Było coraz mniej prawdopodobne, że złapią zabójcę.

Moni i Taigi przyszli rano z wózkiem śniadaniowym – oraz wiadomością z centrali personelu, że Tabini-aiji chce się z nim widzieć podczas porannej audiencji.

Nic dziwnego. Spodiewając się wezwania, Bren jeszcze przed świtem wziął prysznic, ogolił się i ubrał bez niczyjej pomocy – to znaczy włożył swoje zwykłe miękkie spodnie i koszulę i sam zaplótł sobie warkocz. Przed ich przyjściem włączył telewizor, żeby wysłuchać porannych wiadomości: bał się, że sprawa może być już szeroko znana, lecz ku swemu zdumieniu nie usłyszał żadnej wzmianki o zajściu, a jedynie sprawozdanie o nocnej burzy, która sprowadziła na okręg Shigi grad oraz uszkodziła dachówki w Wingin, po czym przeniosła się, przy wtórze grzmotów, nad otwarte równiny.

Był dziwnie rozczarowany, wręcz obrażony tym milczeniem. Jeśli do pokoju człowieka wdzierają się zabójcy, to – mimo szczerzej chęci zachowania anonimowości – miał jednak prawo spodziewać się potwierdzenia, że do posiadłości aijiego wtargnął intruz – mogli przecież wypuścić taką przefiltrowaną informację albo jeszcze lepiej, powiedzieć, że intruz znajduje się w rękach aijiego i jest przesłuchiwany.

Nic z tych rzeczy – przynajmniej w wiadomościach telewizyjnych, a Moni i Taigi podali śniadanie bez jednego pytania czy słowa komentarza o wydarzeniach w apartamencie ogrodowym zeszłej nocy, nie pytając też o ręczniki zaścielające podłogę w łazience. Po prostu przynieśli wiadomość z centralnego biura personelu, przyjęli do wiadomości nieład panujący w apartamencie, zdając się go nie zauważać, i w żaden sposób nie dali do zrozumienia, że coś jest nie w porządku, czy że po korytarzach krążą jakieś plotki.

Zeszłej wiosny drugi dziedzic prowincji Talidi zabił w wodnym ogrodzie swego dalekiego krewnego podczas sprzeczki o antyczną broń palną i korytarze kompleksu rozbrzmiewały tą sprawą przez kilka dni.

Ale nie tego ranka. „Dzień dobry, nand’ paidhi, jak się czujesz, nand’ paidhi? Jeszcze jagód? Herbaty?”.

I w końcu odezwał się ze spuszczonego wzrokiem Moni, który rzadko miał coś do powiedzenia:

– Bardzo się cieszymy, że nic ci się nie stało, nand’ paidhi.

Przełknął kawałek owocu. Zadowolony.

Ugłaskany.

– Czy słyszeliście zeszłej nocy bieganinę?

– Obudził nas strażnik – odpowiedział Taigi. – Dopiero wtedy dowiedzieliśmy się, że coś jest nie w porządku.

– Nic nie słyszeliście?

– Nie, nand’ paidhi.

Przypuszczał, że przy tych wszystkich błyskawicach, grzmotach i ulewnym deszczu wystrzał mógł zabrzmieć dziwnym echem, szczególnie że wokół wzgórza hulał wiatr, a broń wypaliła wewnątrz pokoju, a nie na dworze. Postać stojąca zeszłej nocy w drzwiach nabrała dla Brena cech snu, koszmarne wydarzenia, którego szczegóły zmieniły się i zmniejszyły. Całkowite milczenie jego służących na temat incydentu zaniepokoiło go, a nawet podało w

wątpliwość jego pamięć... nie mówiąc już o jego rozumieniu najbliższych mu atevich czy też oczekiwaniach, jakie względem nich żywił.

Z przyjemnością wysłuchał rozsądnego wyjaśnienia. A zatem echo nie dotarło do apartamentów służby leżących niżej na stoku wzgórza, tuż przy dawnych murach. Prawdopodobnie grzmot zagłuszył strzały. Być może w chwili, kiedy zaczynała się burza, a zabójca próbował wykonać swoje zadanie, zagrzmiało szczególnie głośno. Bren był ogłuszony wystrzałem, który brzmiał dla niego niczym trąby sądu ostatecznego, nie oznaczało to jednak, że wszyscy inni znajdowali się równie blisko.

Moni i Taigi byli przynajmniej stosownie przejęci i Bren sądził, że, być może, zdumieni jego ludzkim zachowaniem lub swoimi co do niego oczekiwaniami, nie bardzo wiedzieli, co jeszcze powiedzieć. Zupełnie inaczej zbierało się plotki, znajdując się w samym środku wydarzeń. Wszelkie informacje, szczególnie w sytuacji zagrożenia życia, stawały się ważne; sprawianie wrażenia, że coś się wie, stwarzało możliwość oficjalnych pytań, a nikt rozsądny z otoczenia Brena nie chciał rozpuszczać plotek – podobnie jak on sam nie życzył sobie żadnych spekulacji na jego temat ze strony służących, którzy mogli mieć jakieś informacje.

Moni i Taigi też nie chcieliby usłyszeć kolejnego stukania do drzwi i znosić drugiej kolejki nocnych pytań. Mówiąc klasycznym językiem, zdrada i służba szły w atewskich dramatach ręka w rękę. To było idiotyczne, co jednak nie oznaczało, że nie odczuwają brzemienia podejrzliwości lub strachu, który Bren doskonale rozumiał, przed nieokreślonymi oskarżeniami, w odparciu których nie mógł im pomóc żaden świadek.

– Mam szczerą nadzieję, że to już koniec – powiedział Bren. – Bardzo mi przykro, nadiin. Ufam, że policja więcej się tu nie pojawi. Wiem, że jesteście uczciwi.

– Jesteśmy ci głęboko wdzięczni za zaufanie – rzekł Moni, po czym obaj skłonili się. – Prosimy cię, bądź ostrożny.

– Sprawą zajmują się Banichi i Jago.

– To znakomicie – powiedział Taigi i postawił przed nim jajecznicę.

Bren zjadł więc śniadanie, a potem włożył swój najlepszy letni kaftan, ten ze skórzanym kołnierzem i skórzanymi lamówkami z przodu.

– Prosimy cię, nie ociągaj się w korytarzach – rzekł Taigi.

– Macie moje słowo – odparł Bren.

– Czy nie ma tu ochrony? – zapytał Moni. – Pozwól nam wezwać ochronę.

– Żeby pójść do sali audiencyjnej? – Oni naprawdę się martwią, co dało się zauważyć, gdy tylko pękła tama milczenia. Brenowi zrobiło się jeszcze przyjemniej. – Zapewniam was, że nie ma takiej potrzeby. To pewnie był jakiś wariat chowający się gdzieś w beczce na zapasy. Mogli w samo południe zaatakować w wodnym ogrodzie pana Muridę – ale nie mnie. Zapewniam was. Przy krążącej wszędzie własnej ochronie aijiego... małe szanse. – Wziął klucz i włożył go do kieszeni spodni. – Po prostu uważajcie na zamki. Przez kilka następnych dni, szczególnie od strony ogrodu.

– Nadi – rzekli i znów się skłonili, z niepokojem, jak ocenił, który też odczuwali, kiedy do niego przyszedli, tyle że oni nie ujawniali swych emocji. Atevi nigdy tego nie robili. Przypomniało mu to, że on też nie powinien okazać niepokoju. Wyszedł różnym krokiem z pokoju...

...prosto na czarny mundur i, dobrze powyżej poziomu oczu, zmarszczoną atevską twarz.

– Nand' paidhi – odezwał się oficer. – Mam cię odprowadzić do sali.

– To zupełnie niepotrzebne – odparł Bren. Serce na chwilę przestało mu bić. Nie znał tego mężczyzny. Zabójca nie śmiałby jednak sfałszować tego munduru, choćby od tego zależało jego życie, więc Bren poszedł z oficerem. Weszli w korytarze kompleksu, minęli biurko stałego strażnika i wkroczyli do głównej bryły budynku, idąc zatłoczoną kolumnadą, gdzie dmuchał wiatr pachnący deszczem i porannym chłodem.

Na starych murach blask słońca przeplatał się z cieniem: to mury obronne Bu-javid, cytadeli i kompleksu rządowego, rozłożonego na wysokim wzgórzu, górującym wyniośle nad miejskim rojowiskiem Shejidan. Leżące poniżej hotele i zajazdy na pewno są przepelnione. Odbywająca się co trzy lata publiczna audiencja, która zaczynała się tego ranka, sprowadziła do miasta setki prowincjonalnych władców oraz oficjeli z miast, miasteczek i okręgów. Przybyli tu kolejną podziemną lub zwykłymi pociągami, a ostatnią milę wszyscy pokonywali pieszo, idąc z hoteli otaczających starodawny Bu-javid: tłumy z petycjami, wspinające się tarasową, wyłożoną kamieniami drogą, przechodzące przez ufortyfikowaną Bramę Obietnicy Sprawiedliwości i w końcu podążające ostatnią, szeroką, obsadzoną kwiatami aleją ku Podziwiałnym Odrzwiom: nieustający strumień wysokich, barczystych atevich o czarnej jak smoła skórze i lśniących, czarnych warkoczach. Niektórzy mieli na sobie bogate kaftany oblamowane złotem i atłasem, inni kaftany z prostych, wytrzymałych tkanin, choć na pewno były to ich najlepsze dworskie szaty. Zawodowi politycy tłoczyli się obok zwykłych rzemieślników, panowie z Patronatów obok niespokojnych, niewprawnych petentów, ściskających swoje zwinięte i związane petycje ozdobione kolorowymi wstążkami oraz bukietami kwiatów, które zgodnie ze starym zwyczajem tej pory roku chcieli zostawić na stołach w foyer.

Hol na końcu otwartej kolumnady pachniał niedawnym deszczem i kwiatami, rozbrzmiewając licznymi głosami: to spotykali się dawni znajomi, inni atevi ustawiali się w kolejkach do sekretarzy, na których biurkach, ustawionych w olbrzymim dolnym foyer, rosły sterty dokumentów i petycji.

Dla bywalców człowiek przepychający się w drodze na dwór przez ten kłębiący się tłum stanowił zwyczajny widok – blada, drobna postać o dobrą głowę niższa od otaczających ją zewsząd osób, postać nosząca się konserwatywnie: prosty warkocz bez wstążek i skórzane wykończenie stroju – widok niezwykły stanowiła natomiast eskorta policyjna, nikt jednak się nie oglądał, chyba że ci, co przybyli ze wsi, i prywatni petenci.

– Spójrz! – zawołało jakieś dziecko i pokazało Brena palcem.

Płonący ze wstydu rodzic trzepnął wyciągniętą rękę dziecka, a echo jego głosu rozbrzmiewało wysokim, czystym echem pod sklepieniami. Atevi patrzyli. I udawali, że nie widzą ani Brena, ani jego eskorty.

Przez sale przeszedł jakiś prowincjonalny władca w towarzystwie własnych pomocników i straży oraz straży aijiego, nie wywołując niegrzecznych spojrzeń. Bren szedł ze swoją eskortą, też udając, że jest niewidzialny, nieco zaniepokojony tym dziecięcym okrzykiem, lecz pełen zaufania do strażników aijiego widocznych przy każdych drzwiach i każdym zakręcie, co w dzień audiencji było zwykłym środkiem ostrożności.

Zbliżając się do sali audiencyjnej, pożegnał się uprzejmie z eskortą policyjną przy Szepczących Drzwiach, które, stanowiąc część wielkich wrót, dyskretnie i bez oficjalnej zapowiedzi pozwalały wejść do tylnej części sali audiencyjnej. Bren prześliznął się przez nie i cicho zamknął je za sobą, żeby nie zakłócać toczących się spotkań.

Bał się, że jest spóźniony. Moni i Taigi wcale nie obudzili go wcześniej, po prostu pojawili się o zwykłej porze. Nie mieli innych rozkazów, a widząc straż policyjną przy jego drzwiach, być może bali się zrobić coś niezwykłego. Bren miał nadzieję, że Tabini nie liczył na nic innego, i ruszył do biurka recepcjonisty, żeby sprawdzić, kiedy ma posłuchanie.

Był tam Banichi, ubrany w nabijany ćwiekami czarny mundur osobistej straży aijiego. Zatrzymał go dotknięciem ręki.

– Nadi Bren. Spałeś tej nocy?

– Nie – wyznał i dodał z nadzieją w głosie: – Złapaliście go?

– Nie, nadi. Była burza. Nie mieliśmy szczęścia.

– Czy Tabini wie, co się stało? – zerknął ku podwyższeniu, gdzie Tabini-aiji rozmawiał z gubernatorem Brominandim. To jedno z prywatnych posłuchań dla zaproszonych osób. – Chyba jestem na liście. Czy on chce ze mną rozmawiać? Co mam mu powiedzieć?

– Prawdę, tylko na osobności. To przecież był jego pistolet, prawda?

Posłał Banichiemu spojrzenie pełne troski. Jeśli Banichi wątpi w jego historię, to, w każdym razie, zeszłej nocy nie robił takiego wrażenia.

– Powiedziałem ci prawdę, Banichi.

– Jestem tego pewien – odparł Banichi, a kiedy Bren chciał podejść do biurka sekretarza, żeby podać mu swoje nazwisko, Banichi przytrzymał go za rękaw. – Żadnych formalności.

Banichi skinął głową w kierunku podwyższenia, wciąż trzymając za rękaw Brena, i podprowadził go do Tabiniego.

Brominandi z prowincji Entaillan kończył. Brominandi, którego czarne włosy były przetykane siwizną, a dłonie lśniły od ozdobnych i urzędowych pierścieni, potrafił zanudzić kamień na śmierć, a stojący tuż obok strażnicy nie znaleźli jeszcze eleganckiego sposobu na odciągnięcie go na bok.

Tabini przytaknął słowom Brominandiego, skinął głową drugi raz i w końcu rzekł:

– Przedstawię to radzie. – Brzmiało to bardzo podobnie do tej okropnej sprawy praw do rzeki Alujis: dwie prowincje z jej górnego biegu przeciwko trzem prowincjom z dolnego biegu, które wykorzystywały jej wodę do nawadniania pól. Ten kocioł od pięćdziesięciu lat wrzał, przynosząc kolejne procesy.

Bren złożył przed sobą dłonie, pochylił głowę i stanął z Banichim, stając się tak niezauważalny, jak było to możliwe w przypadku człowieka na dworze atevich.

W końcu Tabini-aiji przyjął od Brominandiego nieuniknioną petycję (a może kontrpetycję?) – ciężki zwój z licznymi pieczęciami i wstążkami – którą podał swoim pomocnikom prawnym.

Wtedy Bren zerknął na Tabiniego, który oddał mu spojrzenie. Był to znak dla niego i Banichiego, żeby weszli na kilka stopni i stanęli przy fotelu aijiego. Podczas tej przerwy faworyzowani pierwsi petenci mogli krążyć po sali i plotkować, co wywoływało głuchy pomruk, odbijający się echem od białych i złoconych ścian.

Tabini powiedział od razu:

– Czy wiesz, kto to był, Brenie? Masz jakiś pomysł?

– Żadnego, aiji-ma, nic. Strzeliłem do niego. Spudłowałem. Banichi kazał mi mówić, że to on wystrzelił.

Aiji spojrzał ponad jego głową na Banichiego. Żółte oczy Tabiniego były bardzo jasne, w pewnym oświetleniu niesamowite – przerażające, kiedy był zły. Teraz jednak nie wydawał się rozgniewany i chyba żadnemu z nich nie przypisywał winy za to, co zaszło.

Odezwał się Banichi:

– To zapobiegało pytaniom.

– Żadnych pomysłów co do charakteru najścia.

– Włamywacz byłby głupcem. Schadzka...

– Nie – rzekł Bren zaniepokojony tą sugestią, ale Tabini go znał, wiedział, że stanowi obiekt pewnej ciekawości atewskich kobiet i był to żart jego kosztem.

– Żadna wielbicielka.

– Nie, aiji-ma. – Żywił co do tego głęboką nadzieję, zważywszy na krew, którą Jago zauważyła na tarasie tuż przed deszczem.

Tabini dotknął jego ramienia, przepaszając w ten sposób za brak powagi.

– Nikt tu nie zawiódł. To poważna sprawa. Ja ją traktuję poważnie. Uważaj na zamki.

– Drzwi do ogrodu są z samego szkła – powiedział Banichi. – Ich wymiana rzuciłaby się w oczy.

– Przewód nie – rzekł Tabini.

Bren zdenerwował się. Drzwi i okna aijiego mogły mieć takie śmiercionośne zabezpieczenia. On sam miał w tej sprawie duże zastrzeżenia.

– Dopilnuję tego – powiedział Banichi.

– Mógłbym wejść na przewód – rzekł Bren.

– Ale nie wejdiesz – odparł Tabini i zwrócił się do Banichiego: – Dopilnuj tego. Jeszcze dziś. Po jednym na każdych drzwiach. Jego klucz będzie rozbrajał. Zmień zamki.

– Aiji – zaczął Bren.

– Mam dzisiaj długą listę – powiedział Tabini, co znaczyło, żeby się zamknąć i usiąść, a kiedy Tabini przyjmował w jakiejś sprawie taki ton, to nie było dyskusji. Zeszli z podwyższenia. Bren zatrzymał się na czwartym stopniu, na swoim zwykłym miejscu.

– Zostań tu – rzekł Banichi. – Przyniosę ci nowy klucz.

– Banichi, czy ktoś na mnie dybie?

– Na to wygląda, prawda? Wątpię, czy to była kochanka.

– Czy wiesz coś, czego ja nie wiem?

– Wiele rzeczy. Co cię interesuje?

– Moje życie.

– Uważaj na przewód. Ten od ogrodu też będzie się włączał kluczem. Przesuwam twoje łóżko sprzed drzwi do ogrodu.

– Jest lato. Jest gorąco.

– Wszyscy cierpimy jakieś niewygody.

– Chciałbym, żeby ktoś mi powiedział, co się tu dzieje!

– Nie powinienes odmawiać damom. Niektóre z nich źle to przyjmują.

– Nie jesteś poważny.

Nie, Banichi nie był poważny. Banichi znów unikał odpowiedzi na jego pytania. Banichi, przeklętnik, coś wiedział. Bren stał zdenerwowany, a Banichi radośnie odszedł, by zamienić jego pokój w śmiertelną pułapkę: dywaniki przed drzwiami, śmiercionośne przewody zamykające obwód, jeśli głupi, rozespany człowiek zapomni i rzuci się, by wobec nagłej nawałnicy zamknąć własne drzwi do ogrodu.

Przestraszył się wydarzeń zeszłej nocy. Teraz był wściekły, piekielnie zły na zakłócenie jego życia, zmiany w jego mieszkaniu, w jego swobodzie wychodzenia do miasta – przewidywał strażę, ograniczenia, groźby... bez najmniejszej przyczyny, poza jakimś wariatem, który z jakichś powodów chyba nie lubi ludzi. To był jedyny wniosek, jaki mu się nasunął.

Usiadł na stopniu, gdzie miał prawo siedzieć paidhi-aiji, i przysłuchiwał się ostatniej przedaudiencyjnej audiencji, licząc, że może usłyszy coś, co da mu przynajmniej jakąś wskazówkę, czy istnieje jakiś większy, bardziej polityczny powód do niepokoju. Jednak to, jak Banichi zdawał się ukrywać przed nim informacje, oraz milczenie Tabiniego, kiedy Tabini prawdopodobnie sam coś wiedział, wskazywało raczej na jakiegoś urażonego atevę.

Żaden licencjonowany zabójca nie podpisałby kontraktu na człowieka, który był bardzo ważną, przewidzianą układem osobistością na dworze aijięgo – osobistością nie mającą prawa noszenia broni, ale mimo wszystko będącą urzędnikiem dworskim i bliskim znajomym

aijiego Patronatu Zachodniego. Żaden zawodowiec przy zdrowych zmysłach nie podjąłby się czegoś takiego.

Pozostawał jakiś przypadkowy głupiec, który zaatakował go być może jako symbol, albo wróg wszelkiej techniki. Któż to mógł wiedzieć? Któż potrafiłby wysledzić taką rzecz?

Jedyną pocieszającą myślą było to, że jeśli nie był to licencjonowany zabójca, to napadł go wariat lub jakiś amator, który nie dostał licencji – ktoś, kto mógł przez przypadek pozabijać niewinne osoby i pod tym względem był rzeczywiście niebezpieczny.

Lecz Banichi, w przeciwieństwie do większości strażników aijiego, miał licencję. Z nim się nie zadzierało. Nie zadzierało się też z Jago. Wczorajszy deszcz był szczęśliwym trafem dla napastnika – który albo liczył, że deszcz zatrze jego ślady na żwirze i cemencie ogrodowych ścieżek, albo był głupi i miał szczęście zarazem.

Teraz zabójca nie miał już szczęścia. Szuka go Banichi. A jeśli mężczyzna ten – zakładając, że był to mężczyzna – zostawił na kwietniku odcisk stopy lub gdziekolwiek odcisk palca, to znalazł się w dużych kłopotach.

Przede wszystkim nie odważy się pójść do licencjonowanego lekarza. Na tarasie była krew. Bren miał nadzieję, że utrudnił życie zabójcy, który najwyraźniej nie spodziewał się takiego przyjęcia. A najbardziej liczył na to, że – biorąc pod uwagę, iż sprawą zajął się Banichi – życie stanie się na tyle trudne dla pracodawcy zabójcy, jeśli taki istniał, że wycofa kontrakt.

Otworzyły się drzwi. Strażnicy i mistrzowie ceremonii wprowadzili tłum, a sekretarz przyjął od Mistrza Ceremonii Dnia olbrzymią stertę zaopatrzonych we wstążki petycji, oświadczeń i wniosków.

W kontaktach atevich z ludźmi zdarzały się trudne chwile. Nie można jednak było winić atevich za trzymanie się tradycyjnych procedur – te sterty dokumentów były doprawdy niewygodne – mimo istnienia zapisów komputerowych. Tworzyli je sekretarze w foyer.

Prosić jednak atevich o posługiwanie się numerami obywatelskimi czy numerami spraw? Najpierw trzeba ich przekonać, że przydzielone im przez komputer osobiste numery są pomyślne i zgodne z ich własnymi numerologiami. Przekonać ich, że zmiana tych numerów wywołuje chaos i powoduje utratę zapisów – ponieważ jeśli coś zaczynało się źle dziać, to ateva winił za to swój numer i żądał jego natychmiastowej zmiany.

Utworzyć kody dla prowincji tylko po to, żeby ułatwić komputerom klasyfikację? Czy te numery są pomyślne, czy też jest to może jakaś złośliwa próba dworu aijiego w Shejidan umniejszenia znaczenia i władzy prowincji?

No i istniała, oczywiście, przerażająca plotka, że wystukiwanie numerów na klawiaturze powoduje powstawanie nowych numerów w komputerach, numerów zawierających w sobie nieszczerze i niewątpliwie złe intencje aijiego, spiskującego – oczywiście – z ludźmi, którzy sprowadzili to zdradzieckie urządzenie na ziemię.

Rzecz jasna, nie wszystko, co ludzie sprowadzili na ziemię, podlegało klątwie. Atevi uzależnili się od telewizji. Samoloty stawały się coraz ważniejszym środkiem transportu, traktowanym przez zdeterminowanych mieszkańców prowincji jako zło konieczne, chociaż po słynnej katastrofie nad mostem na Weinathi aiji wprowadził na swoich terenach przepis, wedle którego wymagany był plan lotów.

Dzięki atewskim bogom, że Tabini-aiji był osobą całkowicie niereligijną.

Petenci wnoszący sprawy przed aijiego mieli jeden obrót klepsydry, podczas którego musieli streścić całą rzecz. Większość spraw dotyczyła wsi, niektóre handlu, a kilka projektów robót publicznych – dróg, tam i mostów, portów i praw do polowania oraz łowienia ryb, które miały związek z prawami Patronatów zjednoczonych pod wpływami aijiego. Wysuwanie projektów i opracowywanie szczegółów ich finansowania należało do dwóch izb ustawodawczych, hasdrawadu i tashridu – aiji nie miał w tym względzie inicjatywy, a jedynie prawo jej przyjęcia lub odrzucenia. Mimo wszystko bardzo wiele, niewiarygodnie wiele spraw wciąż wymagało osobistej pieczęci aijiego i osobistego posłuchania.

Na przykład trzeba było zarejestrować dwie waśnie. W jednej żona stawiała przeciwko byłemu mężowi za sprzeniewierzenie jej własności.

– Lepiej udać się z tym do sądu – powiedział otwarcie Tabini. – Mogłabyś odzyskać pieniądze w ratach z jego przychodu.

– Wolałabym go zabić – odparła kobieta, a Tabini rzekł:

– Zapisać. – Machnął ręką i przeszedł do następnej sprawy.

Dlatego ludzie woleli swoją enklawę na Mospheirze. Mospheira była wyspą, znajdowała się pod ludzką administracją, komputery dysponowały tam niepodważalnymi numerami, a alternatywą dla prawa nie była krwawa zemsta.

Oznaczało to jednak, że dla wszystkich sześciu tak zwanych prowincji i, lekko licząc, trzystu milionów osób znajdujących się pod rządami aijiego istniał jeden areszt, w którym przebywało zwykle mniej niż pięćdziesiąt osób oczekujących na proces lub przesłuchanie, których nie można było wypuścić za kaucję. Istniało kilka szpitali psychiatrycznych dla potrzebujących. Były cztery więzienia dla jednostek niepoprawnie antyspołecznych – takich, które, na przykład, przejmowały funkcje zabójców we własne ręce po odmowie wydania im licencji przez Gildię, która zdecydowanie odrzucała nieuzasadnione prośby.

Zdrowi na umyśle, praworządni atevi po prostu unikali sporów. Rozwody przeprowadzano bez awantur. Starano się nie zrażać sobie ani nie wprawiać w zakłopotanie naturalnych przeciwników. Dzięki Bogu, atevi w większości woleli uciekać się do negocjacji lub – jako ostatecznego rozsądnego posunięcia przed zgłoszeniem waśni – do konfliktu niezbrojnego, czego też należało unikać. Wysocy, silni ludzie i tak byli o ponad głowę niżsi i ważyli o jedną trzecią mniej niż przeciętni atevi, mężczyźni czy kobiety – i była to druga przyczyna, dla której ludzie woleli własną jurysdykcję.

Najwyraźniej Bren zdenerwował kogoś, kto nie stosował się do zasad. Ciągłe wracał do tego myślni. Nikt nie zgłosił waśni. Musieliby go zawiadomić, był to jeden z najsurowszych warunków zgłoszenia, lecz nikt nie wspomniał choćby o przelotnym rozdrażnieniu wywołanym przez niego – a teraz Tabini instalował w jego mieszkaniu śmiertcionośne zabezpieczenia.

W jego myślach wciąż panował zamęt spowodowany nocnym incydem, aż Bren nagle zdał sobie sprawę, że tak właściwie, chodząc po tym budynku, wcale nie jest bezpieczny. Zawodowi zabójcy unikali rozgłosu i raczej ukrywali twarze – istniały jednak przypadki, gdy noże wysuwały się z anonimowego tłumu lub zdarzały się „potknięcia” na schodach.

A wielu panów miało w swoim personelu licencjonowanych zabójców, o których codziennie się ocierał, nawet się nad tym nie zastanawiając – aż do tej pory.

Starszy mężczyzna przedstawił sześćdziesiątą szóstą sprawę, która w streszczeniu dotyczyła zaproszenia aijiego na regionalną konferencję rozwoju miejskiego. Zaproszenie zostało złożone na stertę innych dokumentów przeznaczonych do archiwum.

Pewnego dnia, powiedział kiedyś samemu aijiemu, a wiedział, że mówili to też jego poprzednicy, pewnego dnia archiwa zawała się pod ciężarem pieczęci, wstążek i papieru – wszystkie dziesięć pięter budynku zajmującego cały kwartał zawali się w chmurze pyłu. To jednak musiała być na razie ostatnia petycja. Sekretarz nie wywołał już żadnego nazwiska. Jego biurko było puste.

Ale nie, jest coś jeszcze. Tabini wezwał sekretarza, który przyniósł mu niezwykle ozdobny dokument, obciążony czerwonymi i czarnymi wstążkami wysokiego rodzaju.

– Zgłoszenie Zamiaru – rzekł Tabini, wstając. Zaskoczył tym pomocników i zgromadzonych świadków, a sekretarz uniósł dokument i odczytał:

– Tabini-aiji przeciwko nieznanym osobom, które, nie zgłosiwszy Zamiaru, zakłóciły pokój mego domu i sprowadziły zagrożenie na osobę paidhi-aijiego, Brena Camerona. Jeśli, licząc od tej chwili, jakkolwiek gość lub osoba z mojego otoczenia dozna jakiegokolwiek krzywdy od tej osoby lub jakichkolwiek innych osób chcących wyrządzić krzywdę rzeczonemu paidhi-aijiewi, osobiście oznajmiam Zamiar zgłoszenia waśni, z powodu zagrożenia bezpieczeństwa osób znajdujących się pod moim dachem, Banichiemu z miasta Dajoshu w prowincji Talidi jako mojemu zarejestrowanemu i licencjonowanemu reprezentantowi. Ogłaszam to i umieszczam w publicznych rejestrach wraz ze stemplami, podpisami i pieczęciami.

Bren był wstrząśnięty. Czuł, że zwraca na siebie powszechną uwagę: wszyscy odwracali głowy i cicho komentowali słowa Tabini-aijiego, który zszedł z podwyższenia i, przechodząc obok Brena, powiedział:

– Bądź ostrożny, nadi Bren.

– Aiji-ma – mruknął Bren i złożył głęboki ukłon, starając się ukryć oszołomienie. Audiencja była skończona. Jago wraz z oddziałem dworskiej i osobistej straży szybko

dołączyła do Tabiniego, który zdążył do bocznych drzwi i wewnętrznych korytarzy, zostawiając za sobą wycięty w tłumie pas wolnej przestrzeni.

Bren też ruszył do wyjścia, bojąc się drogi przez korytarze, zastanawiając się, czy w tej sali jest może jego niedoszły zabójca lub jego zleceniodawca i czy na zewnątrz wciąż na niego czeka policyjna eskorta.

Na jego drodze stanął jednak Banichi, który odprowadził go przez Szepczące Drzwi do sal publicznych.

– Tabini ogłosił Zamiar – odezwał się do Banichiego, zastanawiając się, czy Banichi wiedział, co planuje Tabini.

– Nie jestem zaskoczony – odparł Banichi.

– Powiniennem odlecieć następnym samolotem na Mospheirę.

– Niezwykle głupie posunięcie.

– Mamy odmienne prawa. A na Mospheirze ateva będzie się wyróżniał. Znajdź mi zabójcę w tym tłumie.

– Nawet nie wiesz, czy to był ktoś z nas.

– No to był to, cholera, najpotężniej zbudowany człowiek, jakiego widziałem w życiu. Wybacz mi. – Jeśli było się paidhi-aijim, to się nie przeklinało, przynajmniej w miejscu publicznym. – To nie był człowiek. Ja to wiem.

– Wiesz, kto przyszedł do twojego pokoju. Nie wiesz jednak, kto mógł go wynająć. Jak paidhi zdaje sobie sprawę, na Mospheirze istnieje szmugiel. Powiązania, o których istnieniu nie wiemy, stanowią bardzo niebezpieczną możliwość.

Język atevich miał zaimki osobowe nie określające płci. Ten oznaczał jego lub ją. A politycy i personel aijiego używali tego zaimka bardzo często.

– Wiem, gdzie będę bezpieczniejszy.

– Tabini potrzebuje cię tutaj.

– Po co? – To, że aiji podejmował jakieś nierutynowe działania, było dla niego nowością. O niczym nie słyszał. Banichi mówił mu coś, o czym nie wspominał nikt inny.

A kilka tygodni temu Tabini uległ bezprecedensowemu kaprysowi, by go uzbroić i udzielić mu dwugodzinnej prywatnej lekcji w swojej prywatnej posiadłości. Żartowali, strzelali do arbuzów na tyczkach i razem zjedli kolację. Tabini miał dość czasu, by go ostrzec, gdyby szykowało się coś jeszcze, oprócz rutynowych narad i posiedzeń komitetów, co dotyczyłoby paidhiego.

Skreśli za róg. Banichi, co nie umknęło uwagi Brena, nie zauważył jego pytania. Wyszli na kolumnadę, mając za sobą jasne, równe mury starożytnego Bu-javid. Ruch na schodach odbywał się teraz w przeciwnym kierunku – na dół. Atevi, którzy zgłosili się na posłuchanie, otrzymali numerki i aiji będzie ich przyjmował w ustalonym porządku.

Kiedy jednak weszli w pusty korytarz prowadzący do apartamentów przy ogrodzie, Banichi dał mu dwa klucze.

– To są jedyne dobre klucze – rzekł. – Bądź uprzejmy nie pomieszać ich ze starymi. Stare otwierają i zamykają drzwi. Tylko że nie wyłączają przewodów.

Spojrzał na Banichiego z niepokojem – czego Banichi także zdawał się nie zauważać.

– Nie możecie po prostu przestraszyć drania? To nie zawodowiec. Nie było zgłoszenia...

– Działam w ramach mojej licencji – odparł Banichi. – Zamiar został zgłoszony. Przecież sam to powiedziałeś. Napastnik byłby bardzo głupi, gdyby znów czegoś spróbował.

Bren poczuł mdłości.

– Banichi, do cholery...

– Zawiadomiłem służbę. Odtąd uczciwi i mądrzy służący, zdolni do służby w tym domu, będą prosić o wpuszczenie do środka. Teraz twoje mieszkanie nie różni się od mojego. Ani Jago. Sam zmieniam sobie pościel.

Mimo że znał Jago i Banichiego, nie miał pojęcia o niebezpieczeństwach w ich mieszkaniach. Miało to sens, jeśli chodziło o nich czy Tabiniego. W jego przypadku nie.

– Ufam – rzekł Banichi – że nie rozdawałeś zapasowych kluczy. Żadnych dam. Żadnych... hmmm... innych kontaktów. Chyba nie uprawiasz hazardu?

– Nie! – Banichi go znał, wiedział, że na Mospheirze utrzymuje kontakty z kobietami nie stroniącymi od tego, co Banichi nazwałby nocą jednej świecy. Poza tym paidhi-aiji nie miał czasu na życie towarzyskie. Ani na długie romantyczne manewry czy zranione uczucia, długie powitania czy pożegnania – a nade wszystko nie miał czasu na to, by kupczyć wpływami czy dawać sobie wmówić to czy tamto. Jego znajome nie zadawały pytań. Ani nie chciały nic więcej niż bukiet kwiatów, telefon i wieczór w teatrze.

– Po prostu uważaj, jeżeli dałeś komuś klucze.

– Nie jestem takim głupcem.

– Takich głupców jest pełno w Bu-javid. Miałem ostrą rozmowę z aijim.

Dać atevim jakąś technologię, a czasami złożą elementy inaczej, niż zrobili to ludzie w toku swojej historii – na podstawie własnej struktury społecznej wynalazcy łączyli pojęcia w nieoczekiwany i nigdy nie zamierzony przez ludzi sposób, czy to pod względem skutków społecznych, czy konsekwencji technicznych. Jednym z takich przykładów był przewód. Wziąwszy pod uwagę atewski pociąg do wynalazków związanych z ochroną osobistą oraz fakt, że atewskie prawo nie zakazuje śmiercionośnych urządzeń, można by zapytać, jak dalece przekształcili inne urządzenia i w jakich nie ujawnianych celach je wykorzystywali.

Paidhi starał się to wszystko wyprzedzać. Paidhi starał się być na bieżąco, jeśli chodzi o każdą technologię i każdy termin techniczny w znanym wszechświecie, ale różne drobiazgi stale mu umykały i proces ucieczki wiedzy, przetasowywania elementów w urządzenia pozostające całkowicie poza ludzką kontrolą odbywał się coraz szybciej.

Co jednak najważniejsze, atevi nie byli niezdolni do dokonywania odkryć technologicznych na własną rękę... i bez żadnych skrupułów oraz z dużą dozą ostrożności utrzymywali je w tajemnicy. Nie byli komunikatywną rasą.

Doszli do drzwi. Bren posłużył się kluczem, który dał mu Banichi. Drzwi otworzyły się. Nie było widać ani dywanika, ani przewodu.

– Na wysokości kostek i czarny – rzekł Banichi. – Teraz jednak jest opuszczony i nieuzbrojony. Użyłeś właściwego klucza.

– Twojego klucza. – Nie lubił żartów Banichiego. – Nie widzę dywanika.

– Pod dywanem. Nie chodź po nim boso. Połałaby się krew. Przewód jest w odległości małego kroku od drzwi. Kiedy jest wyłączony, możesz po nim chodzić. Tylko też nie rób tego na bosaka.

Ledwo go widział. Przeszedł po dywaniku. Banichi został po jego przeciwnej stronie.

– Przebija przez izolację – rzekł Banichi. – I przez skórę butów, paidhi-ji, jeżeli jest włączony. Nie dotykaj go, nawet kiedy jest wyłączony. Zamykaj drzwi na klucz i nie wążaj się po korytarzach.

– Dziś po południu mam spotkanie rady do spraw energii.

– Zapewne zechcesz zmienić kaftan, nadi. Zaczekaj tu na Jago. Ona cię odprowadzi.

– O co tu chodzi? Mam wszędzie chodzić z eskortą? Czy ma się na mnie rzucić minister robót? Zaatakować dyrektor administracji wodnej?

– Ostrożność, ostrożność, nadi Bren. Jago stanowi dowcipne towarzystwo. Fascynują ją twoje brązowe włosy.

Bren był oburzony.

– Ciebie to bawi. Nie ma w tym nic śmiesznego, Banichi.

– Wybacz mi. – Banichi zachowywał niezmienną powagę. – Wczuj się jednak w jej nastrój. Eskortowanie to takie cholernie nudne zajęcie.

Rozdział 2

Kontrowersje między transportem drogowym i koleją miały długą historię. Lobby przedstawicieli transportu drogowego, które chciało rozbudowy dróg do miast na wzgórzach, wywierało silny nacisk, przeciwstawiając się równie mocnej presji przemysłu kolejowego, żądającego pieniędzy na badania związane z rozwijaniem dużych prędkości oraz rozszerzenia sieci kolejowej na wyżyny, przeciwstawiając się zarazem lotniczym przewozom handlowym i płatnikom podatków, którzy nie chcieli ich podnoszenia. Gubernator prowincjonalny chciał dróg zamiast odnogi linii kolejowej i wysuwał odpowiednie argumenty, używając swych znacznych wpływów w stosunku do ministra robót.

Z dawno już wyłączonym komputerem pod ręką Bren wysłuchiwał argumentów, które słyszał przy wielu okazjach – to była ich przerobiona wersja – a w notesie leżącym przed nim na stole rysował zachodzące na siebie kółka, które zapewne miały jakieś znaczenie psychologiczne.

Było to o wiele bardziej interesujące zajęcie niż słuchanie wypowiedzi ministra. Jago była gdzieś na zewnątrz, prawdopodobnie delektowała się jakimś napojem, podczas gdy paidhi-aijiemu kończyła się woda z lodem.

Minister robót mówił śpiewnym, usypiającym tonem. Paidhi-aiji miał jednak obowiązek słuchania, na wypadek, gdyby propozycja wymagała podjęcia jakiegoś działania. Paidhi-aiji nie miał oczywiście prawa głosu, nawet gdyby doszło dzisiaj do głosowania nad sprawą drogi, na co się jednak nie zanosilo. Nie miał nawet prawa samowolnego odzywania się, chyba żeby zdecydował się skorzystać ze swej jedynej prawdziwej prerogatywy – prawa zawetowania zalecenia rady dla izby niższej, tashridu. Weto zachowywało moc do czasu zebrania się tashridu w celu rozważenia go. Bren skorzystał z niego dwa razy na posiedzeniach rady do spraw badań i rozwoju, nigdy jednak względem tego ministra robót, chociaż jego poprzednik uczynił to osiemnaście razy, co było rekordową liczbą, w sprawie

nigdy nie ukończonej drogi Transmontane, której powstanie, od czasów zbudowania połączenia kolejowego, stało się wątpliwe.

Człowiek miał nadzieję.

W bibliotece na Mospheirze znajdowała się cała ludzka historia, wszystkie zapisy ich przodków czy też wszystkie te, do których wciąż mieli dostęp – zapisy, które mówiły z mądrością mądrego po szkodzie, że zużywanie zasobów petrochemicznych planety w orgii prywatnego transportu nie było najlepszym długofalowym podejściem – czy to dla środowiska, czy dla jakości życia. Rada paidhiego mogła być sprzeczna z miejscowymi ambicjami. W przypadku systemu dróg rada była sprzeczna, i to zdecydowanie. Atevi jednak czynili olbrzymie postępy, a powietrze nad łańcuchem Bergid wciąż lśniło. Paidhi czerpał z tego pewną dumę – w imieniu licznych paidhiin przed nim, od niemal dwustu lat sprawujących ten urząd.

Atevi nie całkiem jeszcze opanowali siłę pary, kiedy na ich planetę przybyli nieproszeni i niechętni ludzie.

Atevi widzieli zalety techniki i podobnie jak ludzie pragnęli zysków i postępu – lecz w przeciwieństwie do nich postrzegali zysk raczej w kategoriach władzy przypisanej do ich skomplikowanych wzajemnych powiązań. Ludzcy teoretycy mówili, że ma to związek z ich psychiką, ponieważ skłonność ta wydawała się przekraczać granice kulturowe. Takie uczone dywagacje były użyteczne dla teoretyków siedzących bezpiecznie na Mospheirze, lecz nie dla paidhi-aijiego, którego wypowiedzi musiały mieć praktyczne zastosowanie dla aijiego atevich Ragi w mieście Shejidan, dla Patronatu będącego najbliższym sąsiadem i długoletnim sprzymierzeńcem Mospheiry.

W przeciwnym wypadku mogła mieć miejsce druga paskudna konfrontacja ludzkiej techniki z atevskim haroniin, pojęciem, dla którego nie istniało żadne ludzkie słowo ani nawet pełne tłumaczenie. Dość powiedzieć, że atevska cierpliwość ma swoje granice, że zabójstwo jest zasadniczym elementem utrzymywania równowagi w atevskim społeczeństwie, a haroniin oznacza coś w rodzaju „skumulowanej presji na system, usprawiedliwiającej dostosowanie”. Podobnie jak wszystkie inne przybliżenia: aiiji niezupełnie był „księciem”, a już na pewno nie „królem”, a atevska koncepcja państw, granic i stref władzy miała pewne wspólne elementy z atevską koncepcją planów lotów.

Nie, pomysł rozwoju dróg i niezależnego transportu, decentralizującego oparty na podatkach skuteczny system robót publicznych, na którym wspierali się poszczególni aiijiin na całym kontynencie, którzy z kolei wspierali Tabiniego i system w Shejidan – nie był dobry.

Nie było dobrym pomysłem popieranie systemu, w którym przedsiębiorcy mogli zacząć robić duże pieniądze, zakładając kolejne osiedla wzdłuż dróg i tworząc korporacje w ludzkim stylu.

Nie w systemie, gdzie zabójstwo stanowiło zwyczajny i legalny sposób regulacji konfliktów społecznych.

Niech to diabli, ten atak na jego apartament był niepokojący, a niepokój Brena rósł tym bardziej, im więcej czasu dzieliło go od chwili przeżytego strachu. W labiryncie myśli, do którego człowiek był automatycznie wciągany, będąc paidhim – dzięki wieloletnim studiom i współzawodnictwu o to stanowisko, w rezultacie czego nabierało się płynności w używaniu języka, na który ludzkie słowa i ludzkie myśli nie przekładały się łatwo – na powierzchnię bardzo ciemnych wód atevskiej psychiki, tak jak ją rozumiał Bren, zaczęły wypływać fragmenty różnych powiązań. Fragmenty te robiły to od zeszłej nocy: przypadkowe urywki niepokojących myśli wypływające z miejsca styku atevskich i ludzkich pojęć.

Niepokojące myśli, które mówiły, że atak na paidhi-aijiego, tego pozornie nieszkodliwego, neutralnego i dyskretnie milczącego paidhi-aijiego, był albo wynikiem szaleństwa, albo zamierzonym atakiem na jakiś system, to znaczy na każdy element status quo.

Starał się być najbardziej apolityczną, najcichszą osobą na dworze Tabiniego. Nie angażował się w żaden proces polityczny: podczas posiedzeń jakichś rad o znaczeniu technicznym czy społecznym, milcząc, siedział w kącie i rzadko, bardzo rzadko, przedstawiał jakiś referat. Zwrócenie na niego publicznej uwagi, co właśnie zrobił Tabini, było sprzeczne z całą ugruntowaną polityką jego urzędu.

Żałował, że Tabini zgłosił swój Zamiar – ale Tabini najwyraźniej musiał surowo zareagować na wtargnięcie do Bu-javid, a szczególnie na niedopełnienie przez zleceniodawcę zabójcy obowiązku zgłoszenia waśni.

Mimo że zabójstwo było legalne i akceptowane, w myśl zasad atevich nie dokonywało się go bez zgłoszenia, nie dokonywało się go, nie mając licencji, i nie zamawiało się krwawych łaźni. Usuwało się dokładnie tę osobę, której usunięcie rozwiązywało problem. Atevi nazywali to biichi-gi. Ludzie tłumaczyli ten termin jako „finezja”.

Finezja była z pewnością tym, czego atakowi na Brena brakowało – prawdopodobnie zabójca nie spodziewał się, że paidhi będzie miał pistolet, którego po tej stronie cieśniny Mospheiry ludziom nie wolno było nosić.

Pistolet, który bardzo niedawno dał mu Tabini.

A Banichi i Jago twierdzili, że nie mogą znaleźć żadnych śladów.

Cholernie niepokojące.

Atak na jakiś system? Paidhi-aiji mógł być identyfikowany z wieloma systemami – na przykład jako człowiek, jako paidhi-aiji, jako osoba informująca aijiego, że pod względem długofalowych planów ekologicznych system kolejowy jest lepszy od transportu drogowego... Kto jednak poza stroną, która postanowiła potraktować sprawę „finezyjnie”, dokładnie znał powód?

Historycznie paidhi-aiji nigdy nie był celem. Jego zadaniem podczas trwania kadencji było zbieranie słów, uzupełnianie słownika, obserwacja zmian społecznych. Rad, które dawał Tabiniemu, bynajmniej nie wymyślał wyłącznie sam: wszystko, co robił i mówił, pochodziło

od setek specjalistów i doradców na Mospheirze, którzy szczegółowo instruowali go, co ma mówić, co oferować, do czego się przyznawać – zatem finezyjne wyeliminowanie go mogło być wyrazem niezadowolenia z ludzi, na pewno jednak nie przyspieszyłoby powstania dróg.

Tabini wyczuł, że coś wisi w powietrzu, i uzbroił go.

A on nie doniósł o tym fakcie na Mospheirę, co stanowiło drugi punkt do rozważenia: Tabini poprosił go, żeby nikomu nie mówił o pistolecie, a Bren zawsze cenił pewne nieliczne osobiste rozmowy z aijim i swoją dyskrecję rozszerzył na oficjalne sprawozdania. Martwił się tym, ale osobiście i zawodowo pochlebiało mu zaufanie Tabiniego – tam, w domku myśliwskim w Taiben, gdzie zawieszano wszystkie dworskie zasady i wszyscy byli na wakacjach. Strzelanie do celu było sportem atevich, ich pasją, a Tabini, doskonały strzelec, najwyraźniej uległ kaprysowi i pogwałcił szczegółowy zapis Traktatu, dając paidhiemu, jak się wtedy wydawało, niezwyklej osobistej zażyłości, co było rzadkim gestem – jeśli nie przyjaźni, a przynajmniej tego, co u atevich uchodziło za przyjaźń, to zniesienia wszelkich formalności wiążących tak Brena, jak Tabiniego.

Natychmiast podniosło to jego status w oczach niektórych osób. Tabini sprawiał wrażenie zadowolonego, że Brenowi spodobały się lekcje, a podarowanie mu pistoletu wydawało się chwilą ekstrawaganckiego buntu. Podczas gdy Tabini nalegał, żeby Bren „trzymał go na podorędziu”, jego myśli miały się między niezaprzeczalnym, bezprecedensowym i być może zapowiadającym zmianę polityki ciepłym gestem Tabiniego względem człowieka, a natychmiastową, pełną winy paniką, wynikającą z jego oficjalnej pozycji oraz obowiązku informowania o wszystkim przełożonych.

Od razu zaczął się martwić, co zrobi z pistoletem w samolocie i w jaki sposób – jeśli w ogóle – się go pozbędzie, a może go zgłosi, skoro Tabini mógł to wszystko ukartować, żeby przekonać się, czy narzuconym przez zwierzchników regułem Bren nadaje wymiar osobisty, czy też traktuje je wybiórczo.

Kiedy znalazł się już bezpiecznie na pokładzie samolotu lecącego do domu, ze straszliwą tajemnicą pistoletu i amunicji w torbie pod nogami, obserwował przesuwany się krajobraz i uświadomił sobie, jak bardzo została wzmocniona ochrona Tabiniego w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Wtedy ogarnął go strach. Wtedy zrozumiał, że wplątał się w coś, z czego nie wiedział, jak się wyplątać – że powinien o tym donieść, ale tego nie zrobił, ponieważ nikt na Mospheirze nie potrafił tak dobrze jak on odczytać sytuacji na dworze Tabiniego w czasie rzeczywistym. Wiedział, że w powietrzu wisi jakieś niebezpieczeństwo, lecz w jego ocenie sytuacji mogło brakować zasadniczych elementów, a bardzo nie chciał otrzymać rozkazów od przełożonych, zanim nie będzie się orientował w nastrojach panujących w stolicy.

Dlatego właśnie włożył pistolet pod materac, którego jego służący zasadniczo nie ruszali, zamiast do którejś z szuflad, w których czasami robili porządek.

Dlatego kiedy przez drzwi do jego sypialni wszedł tamten cień, nie stracił ani sekundy na pościg, tylko natychmiast wystrzelił. Mieszkał w Bu-javid na tyle długo, żeby gdzieś na elementarnym poziomie świadomości wiedzieć, że atevi nie wchodzą bez zaproszenia – nie w społeczeństwie, gdzie wszyscy są uzbrojeni, a zabójstwa są legalne. Zabójca z pewnością był przekonany, że paidhi nie będzie miał broni – i spotkała go największa niespodzianka w życiu.

Nie była to próba mająca na celu złapanie go z pistoletem w ręku. Nie wyjaśniało to jednak, dlaczego...?

Bujał w obłokach, tymczasem postawiono wniosek o głosowanie na następnym posiedzeniu. Przegapił ostatnie uwagi ministra. Jeśli paidhi bez sprzeciwu dopuści, żeby rada coś zaakceptowała, to może stracić pozycję, o której utrzymanie walczyli przez dwieście lat jego poprzednicy. Istniały takie punkty, po przekroczeniu których nawet Tabini nie mógł cofnąć zaleceń rady, nie chcąc podjąć walki mogącej stać w sprzeczności z jego interesami – bo, co oczywiste, w razie wątpliwości Tabini stawał po atevskiej stronie.

– Będę prosił o protokół – powiedział po zakończeniu obrad, zewsząd ściągając na siebie zaskoczone spojrzenia.

Prawdopodobnie wszystkich to niepotrzebnie zaalarmowało – mogli wziąć jego ponury nastrój za gniew, a prośbę o protokół za ostrzeżenie, że paidhi rozważa możliwość weta.

I to przeciwko jakim interesom? Zobaczył grymas rodzący się na twarzy ministra, który zastanawiał się, czy paidhi zajmuje jakieś niezrozumiałe stanowisko – a niedobrze było wywoływać w myślach atevy zamęt. Działanie rodziło działanie. Miał dość kłopotów bez niepotrzebnego wzbudzania strachu u innych.

Minister robót mógł nawet dojść do wniosku, że za atak, o którym wiadomość na pewno już obiegła cały kontynent, Bren wini kogoś z jego biura, a w takim wypadku minister mógł pomyśleć, że powinien bronić swoich interesów lub znaleźć sobie sojuszników, których w jego przekonaniu Bren mógłby się bać.

Powiedzieć, że nie słuchał przemowy? Urazić łagodnego i gadatliwego ministra robót, trafiając w najczulszy punkt jego próżności? Obrazić całą radę sugestią, jakoby jej sprawy go nudziły?

Niech to lichy, drobne zaburzenie atevskich spraw prowadziło do takich konsekwencji. Już samo poruszanie się wśród nich było piekielnie delikatne. A oni nie rozumieli osób, których twarze odzwierciedlały każde przelotne uczucie.

Wziął swój komputer. Wszedł na korytarz, pamiętając o ukłonach i uprzejmości dla atevich, których mógł zaniepokoić.

U jego boku natychmiast pojawiła się Jago, sztywna Jago, nie tak wysoka, jak otaczający ją atevi, lecz stanowcza, rozważna i niebezpieczna w stopniu, który nakazywał wszystkim z jego otoczenia ponownie rozważyć jego pozycję i środki, jakimi dysponuje.

A raczej środki, jakimi dysponuje aiji, jeśli przed chwilą mieli co do Brena jakiegokolwiek zastrzeżenia.

To była kolejna zasada myślenia atevich – jeśli ktoś ma taką władzę i jeszcze jej nie użył, to nie zrobi tego tak długo, jak długo utrzyma się status quo.

– Odkryliście coś? – zapytał Jago, kiedy tylko znaleźli się sami w korytarzu.

– Obserwujemy – odparła. – To wszystko. Trop ostygł.

– Bezpieczniejsza byłaby dla mnie Mospheira.

– Ale Tabini cię potrzebuje.

– Banichi też tak powiedział. Do czego? Nie mogę mu udzielić żadnych rad. Nie wiem o jakichkolwiek skierowanych do mnie pytaniach, chyba że coś wypłynie w protokole energetycznym. Przepraszam. Nie skupiałem się na sprawach urzędowych.

– Prześpij się dziś w nocy.

Ze śmiertelnymi pułapkami przy obojgu drzwiach. Na tę radę nie miał nic do powiedzenia. Skręcił na pocztę, żeby odebrać korespondencję, mając nadzieję na coś przyjemnego. List z domu. Czasopisma, zdjęcia ludzkich twarzy, artykuły napisane w ludzkim języku i oparte na ludzkiej logice, przez kilka godzin po kolacji, żeby pozbyć się myśli, które będą go nawiedzać we śnie przez drugą noc z rzędu. Był to jeden z tych dni, kiedy chciał powiedzieć Barb, żeby wsiadła do samolotu, przyleciała tutaj, to tylko dwadzieścia cztery ludzkie godziny...

Ze śmiercionośnymi przewodami u drzwi jego sypialni?

Wyciągnął klucz do skrzynki, sięgnął do drzwiczek i poczuł na ramieniu dłoń Jago.

– Może je wyjąć urzędnik.

Ktoś próbuje go zabić, a Jago nie chciała, żeby Bren sam sięgał po pocztę do skrzynki.

– To już skrajność – powiedział.

– Mogą się też do niej posunąć twoi wrogowie.

– Myślałem, że właściwym słowem jest tu „finezja”. Wysadzić skrzynkę pocztową?

– Albo włożyć do koperty igłę. – Wzięła od niego klucz i schowała go do kieszeni. –

Poczta paidhiego, nadi-ji.

Urzędnik na chwilę odszedł. I wrócił.

– Nic – oznajmił.

– Zawsze coś jest – rzekł Bren. – Wybacz mój upór, nadi, ale moja skrzynka nigdy nie jest pusta. Nie była pusta za mojej kadencji. Upewnij się, proszę.

– Nie mogłem popełnić błędu, nand’ paidhi. – Urzędnik rozłożył ręce. – Ja też nigdy nie widziałem, żeby ta skrzynka była pusta. Może jest jakieś święto.

– Nie ostatnio.

– Może ktoś już odebrał twoją korespondencję.

– Nikogo nie upoważniałem.

– Przykro mi, nand’ paidhi. Po prostu nic nie ma.

– Dziękuję. – Ukłonił się, bo nic już nie można było powiedzieć ani nigdzie indziej sprawdzić. – Dziękuję za uprzejmość. – Po czym zwrócił się cicho, ze zdumieniem i niepokojem do Jago: – Ktoś odebrał moją pocztę.

– Pewnie Banichi.

– To bardzo ładnie z jego strony, że się fatygował, Jago, ale sam potrafię odebrać korespondencję.

– Może chciał ci zaoszczędzić kłopotu.

Westchnął, potrząsnął głową i odszedł. Od chwili, kiedy znalazł się na korytarzu, Jago nie odstępowała go na krok.

– Jak sądzisz, czy jest w swoim biurze?

– Chyba go tam nie ma. Mówił coś o jakimś spotkaniu.

– Zabrał moją pocztę na spotkanie?

– Być może, nadi Bren.

Może Banichi przyniesie mu ją do pokoju. Wtedy mógłby nad nią zasnąć w łóżku albo napisać listy, zanim zapomni ludzkiego języka. Jeśli mu się to nie uda, to może w telewizji będzie jakiś dramat machimi. Trochę zemsty, nieco humoru, lekka rozrywka.

Do głównego dolnego korytarza dotarli przez tylne sale i poszli do jego pokoju. Użył swojego klucza – otworzył drzwi i zobaczył, że łóżko zostało przesunięte w drugi koniec pokoju. Na miejscu łóżka stał telewizor. Wszystko było ustawione odwrotnie.

Przestąpił przez opuszczony przewód, mimo że nie miał być włączony. Jago też przeszła nad nim i bez pytania poszła do łazienki, po czym obeszła całą sypialnię z wykrywaczem pluskiew.

Wziął do ręki pilota i włączył telewizor. Zmienił kanał. Kanał nadający wiadomości nie nadawał. Podobnie jak wszystkie kanały ogólne. Działał kanał pogodowy. I jeden rozrywkowy.

– Połowa kanałów nie działa.

Jago spojrzała na niego i schyliła się, badając skrzynkę, w której tkwił jeden koniec przewodu.

– Może to ta burza zeszłej nocy.

– Rano działały.

– Nie wiem, nadi Bren. Może je naprawiają.

Rzucił pilota na łóżko.

– Mamy takie powiedzenie: to jeden z tych dni.

– Co, jeden z tych dni?

– Kiedy nic nie działa.

– Dzień teraz czy dzień w przyszłości? – Jago leżała bokiem na podłodze. Atevskie czasowniki miały rozróżnienie czasu. Banichi mówił trochę mospheiranem. Jago była trochę bardziej związana językiem.

– Nadi Jago. Czego szukasz?

– Licznika wejść.

– On liczy wejścia.

– W bardzo szczególny sposób, nadi Bren. Jeśli to jest zawodowiec, to trzeba przypuszczać, że podejmie środki ostrożności.

– To nie będzie żaden zawodowiec. Oni mają się zgłaszać. Prawda?

– Ludzie mają się dobrze zachowywać. Czy zawsze tak robią? Musimy zakładać skrajny przypadek.

Można by się spodziewać, że zabójcy aijiego będą dokładni i że podejmą środki ostrożności, jakich nie podjąłby nikt inny po prostu dlatego, że znają wszelkie możliwości swego zawodu. Powiedział sobie w duchu, że powinien się cieszyć z ich opieki.

Boże, miał nadzieję, że nikt się dzisiaj w nocy do niego nie włamie. Nie chciał się zbudzić i znaleźć na dywanie jakiegoś płonącego ciała.

Nie chciał też, żeby ktoś go zastrzelił czy zadźgał nożem w łóżku. Ateva, którego nie wykryto po pierwszej próbie, mógł stchórzyć i zaniechać dalszych działań. Jeśli był zawodowcem, jego zleceniodawca mógł stchórzyć i go odwołać.

Mógł.

Nie można było na to liczyć. Nie można było ani trochę na to liczyć – w miarę upływu czasu można było jedynie trochę się uspokoić i mieć nadzieję, że drań nie czeka na lepszą okazję.

– Zawodowiec zrobiłby wszystko jak należy – powiedział do Jago.

– Niewielu gubimy z tych, których tropimy – odparła.

– Padało.

– Nie szkodzi.

Żałował, że to powiedziała.

Banichi wrócił w porze kolacji. Przyszedł z dwojgiem nowych służących oraz wózkiem z kolacją dla trojga. Algini i Tano, przedstawił ich Banichi. Algini i Tano ukłonili się z chłodem, który świadczył, że służą w wysokich salach, serdeczne dzięki, i przywykli do lepszych apartamentów.

– Ufałem Taigiemu i Moniemu – mruknął Bren, kiedy służący zostawili wózek.

– Algini i Tano mają upoważnienia – rzekł Banichi.

– Upoważnienia. Czy odebrałeś moją pocztę? Ktoś zabrał moją pocztę.

– Zostawiłem w biurze. Wybacz mi.

Mógł poprosić Banichiego, żeby po nią wrócił. Mógł się przy tym uprzeć. Wtedy jednak wystygłaby kolacja – Banichi i Jago zaprosili się na kolację do jego apartamentu.

Westchnął i przyniósł dodatkowe krzesło. Jago przyniosła drugie spod ściany. Banichi rozłożył stół i ustawił na nim dania, głównie mocno przyprawione gotowane owoce i

dziczyznę z rezerwatu w Nanjiran. Atevi, a przynajmniej atevi Ragi, nie trzymali zwierząt rzeźnych. Mospheira handlowała z rejonami tropikalnymi, z mieszkającymi na południu Nisebi, kupując od nich przetworzone mięso, mięso zakonserwowane, którego nie trzeba było cienko krajać, żeby przeszło przez nie światło – który to handel Tabini nazywał haniebnym i który Bren z niechęcią obiecał ukrócić, ponieważ paidhi był zobowiązany do wywierania wpływu w obu kierunkach, chociaż bez prawa weta w sprawach obyczajów ludzi.

Tak więc nawet na Mospheirze paidhi czyniłby nierozsądnie, jedząc coś poza dziczyzną, a i to w odpowiednim sezonie. Konserwowanie mięsa było czynnością handlową, a coś takiego związanego z odebraniem zwierzęciu życia, nie było kabiu, „w duchu dobrego przykładu”. Dom aijiego musiał być kabiu. Bardzo kabiu.

A przestrzeganie tej wyrafinowanej zasady stanowiło, na co zwrócił mu uwagę Tabini, czerpiąc szczególną satysfakcję z odwrócenia ról, ekologicznie pożyteczną praktykę. Paidhi oczywiście musi ją wspierać z takim samym entuzjazmem, jeśli pochodzi ona od atevich.

Na rynku w mieście można było dostać pełen wybór mięsa. Mrożonego, konserwowego i suszonego na słońcu.

– Nie jesteś głodny, nadi?

– To nie jest moja ulubiona dziczyzna. – Tego wieczoru nie tryskał humorem. – Nikt nic nie wie. Nikt mi nic nie mówi. Doceniam troskę aijiego. I waszą. Czy jest jednak jakiś szczególny powód, dla którego nie mogę polecieć na kilka dni do domu?

– Aiji...

– Potrzebuje mnie. Nikt jednak nie wie, po co. Chyba nie wprowadziłabyś mnie w błąd, co, Jago?

– To mój zawód, nadi Bren.

– Kłamać mi.

Przy stole zapadła niezręczna cisza. Ta bezpośredniość miała być gorzkim żartem. Wybrał jednak niewłaściwy moment, niewłaściwy nastrój, uderzając w ich szczerze i prawdopodobnie nieudane próby znalezienia odpowiedzi. Spośród wszystkich ludzi właśnie on był wyszkolony, żeby nie popełniać takich błędów.

– Wybaczcie mi – rzekł.

– Jego kultura kłamać – wyjaśnił Banichi Jago. – Przyznanie jednak, że zrobiło się coś takiego, obraża ofiarę.

Jago przybrała zdziwiony wyraz twarzy.

– Wybaczcie mi – powtórzył Bren. – To był żart, nadi Jago.

Jago wciąż była zaskoczona i zmarszczyła czoło, lecz bez gniewu.

– Traktujemy tę groźbę bardzo poważnie.

– Ja teraz też zaczynam.

Gdzie jest moja poczta, Banichi? – pomyślał. Zamiast zapytać, zjadł łyżkę zupy. Zbyt ni pośpiech w odniesieniu do atevich w żadnym wypadku nie przynosił pożądanых rezultatów.

– Jestem wdzięczny. Na pewno mieliście inne plany na dziś wieczór.

– Nie – odparła Jago.

– Mimo wszystko – powiedział, zastanawiając się, czy telewizja już nadaje jak dawniej i jakimi tematami będzie zabawiał Banichiego i Jago przez resztę wieczoru. Może na kanale rozrywkowym jest jakiś dramat. Wyglądało na to, że mogą zostać na noc.

Zadał sobie pytanie, w czym łóżku będą spali? Zupełnie nie było po nich widać skutków zeszłej nocy.

– Gracie w karty?

– W karty? – powtórzyła Jago, a Banichi odsunął swoje krzesło i powiedział, że ją nauczy.

– Co to są karty? – powiedziała Jago, kiedy Bren chciał zapytać o swoją pocztę. Banichi najprawdopodobniej miał jednak na głowie o wiele ważniejsze sprawy, jak sprawdzenie ochrony i dopilnowanie, żeby działały urządzenia monitorujące.

– To gra liczbowa – powiedział Bren, żałując, że Banichi zostawia go sam na sam z Jago; miał nadzieję, że nie na całą noc. „Kiedy wychodzisz?” nie było grzecznym pytaniem. Wciąż usiłował wymyślić, jak je zadać Banichiemu albo co powinien powiedzieć, gdyby Banichi powiedział, że Jago zostaje... kiedy Banichi wyszedł z pokoju ze słowami:

– Uważaj na przewód, nadi Bren.

– Remi – rzekła Jago.

Bren westchnął i odłożył karty z zadowoleniem, że nie grali o pieniądze.

– Wybacz – powiedziała Jago. – Powiedziałeś, że powinnam to powiedzieć. Niestosowne napawanie się zwycięstwem wcale nie było...

– Nie, nie. Taki jest zwyczaj.

– Ateva nie ma pewności. Czy mam być pewna?

Zawstydził Jago. Był mishidi – niezręczny. Wyciągnął dłoń, co było gestem pojednania.

– Masz być pewna. – Boże, człowiek nie mógł zrobić kroku, nie potykając się o ich wrażliwe punkty. – Właściwie uprzejmie jest powiedzieć, że się wygrało.

– Nie liczysz kart?

Pamięć atevich, szczególnie jeśli chodziło o liczby, była niezawodna. Nie miał tu znaczenia fakt, że Jago nie należała do fanatycznych rachmistrzów, jakich pełno było w otaczającym fortecę mieście. Nie, nie policzył dokładnie kart. Nigdy nie należy grać w gry liczbowe z atevimi.

– Zapewne poszłoby mi lepiej, nadi Jago, gdyby nie rozpraszała mnie ta sytuacja. Obawiam się, że ma ona dla mnie trochę bardziej osobistą wagę.

– Zapewniam cię, że postawiliśmy na twoje bezpieczeństwo naszą osobistą reputację. Nigdy nie pozwolilibyśmy sobie na niepełne zaangażowanie.

Chciał oprzeć głowę na rękę i w ogóle zaprzestać rozmowy, ale to także Jago potraktowałaby jako dowód, że się obraził.

– Nie spodziewałbym się niczego innego, nadi Jago, i wcale nie wątpię w wasze umiejętności. Żałuję jedynie, że nie jestem w pełni swoich władz umysłowych, bo inaczej nie przyniosłbym sobie wstydu, sprawiając wrażenie, że w was wątpię.

– Bardzo mi przykro.

– Będę o wiele bystrzejszy, kiedy się wyśpię. Połóż, proszę, moje pomyłki na karb dezorientacji.

Płaska, czarna twarz Jago i jej pełne życia żółte oczy wyrażały więcej niż zwykle – nie urazę, pomyślał, lecz ciekawość.

– Wyznaję, że nie czuję się swobodnie – powiedziała ze zmarszczonymi brwiami. – Twierdzisz, że w żadnym wypadku nie zostałeś obrażony.

– Nie. – Rzadko dotykało się atevich, lecz jej zachowanie do tego zachęcało. Poklepał jej rękę leżącą na stole. – Rozumiem cię. – Chyba niezupełnie wyraził to, co chciał, i spojrzawszy jej w oczy, dorzucił swoje szczere myśli. – Chciałbym, żebyś mnie w tym zrozumiała. To ludzka myśl.

– Czy potrafisz mi to wyjaśnić?

Nie pytała Brena Camerona: nie знаła Brena Camerona. Pytała paidhiego, tłumacza przy jej narodzie. Tylko tyle była w stanie zrobić, pomyślał Bren, jeśli chodzi o człowieka, do którego ochrony przydzielił ją aiji po zesłanocnym incydencie – człowieka, który w jej oczach nie traktował zagrożenia wystarczająco poważnie ani nie traktował poważnie jej samej. I jak miała o nim cokolwiek wiedzieć? Jak się miała domyślić, skoro paidhi dawał jej dziwaczne wskazówki? „Wyjaśnisz mi to?” zapytała, kiedy wyraził na głos życzenie, żeby go zrozumiała.

– Gdyby to było łatwe – powiedział, wyteżając wszystkie władze umysłowe, żeby mówić z sensem, a może odwrócić bieg jej myśli – to paidhi wcale nie byłby potrzebny. Ja wtedy jednak nie byłbym człowiekiem, a ty nie byłabyś atevą i nikt by mnie nie potrzebował, prawda?

To wcale niczego nie wyjaśniało. Próbował tylko zbagatelizować nieporozumienie. Jago na pewno tyle potrafiła zrozumieć. Martwiła się tym i myślała o tym. Widział to w jej oczach.

– Dokąd poszedł Banichi? – zapytał, czując, że to, co się między nimi dzieje, coraz bardziej wymyka się spod jego kontroli. – Czy zamierza tu wrócić na noc?

– Nie wiem – odparła, wciąż zmarszczona. Wtedy stwierdził, pogrążony w zamięcie zmęczonych i coraz bardziej chaotycznych myśli, że nawet to mogło zabrzmieć, jakby wołał od niej Banichiego.

Bo wołał. Powodem nie był jednak jakikolwiek brak kompetencji z jej strony. Rozmowa ze sprzedawcą nie ufającym komputerom to co innego. Nie kleiła się rozmowa z Jago. Nie

potrafił zapomnieć o uwadze Banichiego, że podobają jej się jego włosy. Postanowił zmienić temat.

– Chcę moją pocztę.

– Mogę go wywołać i poprosić, żeby ją tu przyniósł.

Zapomniał o komunikatorze kieszonkowym.

– Będę wdzięczny – powiedział i Jago spróbowała uzyskać połączenie.

Próbowała kilka razy.

– Nie mogę go złapać.

– Czy nic mu się nie stało? – Sprawa poczty zesłała na dalszy plan, lecz Bren obawiał się, że nie straciła swego znaczenia. Działo się zbyt wiele dziwnych rzeczy.

– Na pewno nie. – Jago zebrała karty. – Chcesz zagrać jeszcze raz?

– A co będzie, jeśli ktoś się tu włamie i będziesz potrzebowała pomocy? Jak myślisz, gdzie on jest?

Szerokie nozdrza Jago rozchyliły się.

– Mam pewne środki, nadi Bren.

Nie potrafił przestać jej obrażać.

– A jeśli on będzie miał kłopoty? Jeśli zastawią na niego pułapkę w korytarzach? Możemy nic o tym nie wiedzieć.

– Bardzo się dziś martwisz.

Owszem. Tonął w tym, co atevskie, a ta niemożność zrozumienia wywołała u niego w nagłej chwili paniki wątpliwości co do jego własnej przydatności na tym stanowisku. Zaczął się zastanawiać, czy brak przenikliwości, jakim się wykazał przy Jago, nie ma o wiele bardziej ogólnego charakteru – czy w przypadku pewnej osoby nie doprowadził do zagrożenia, w jakim teraz się znalazł.

A z drugiej strony pomyślał, czy nie dał się zwieść nadgorliwości swoich strażników, wywołanej pewnym zagrożeniem zagrożenia, które już nigdy więcej się nie pojawi.

– Czym się tak martwisz, paidhi?

Zamrugnął i przypadkiem spojrzął w żółte, nieruchome oczy Jago. Nie wiesz? pomyślał. Czy to pytanie to jakieś wyzwanie? Czy świadczy o twojej nieufności? Po co pytasz?

Nie całkiem jednak potrafił powiedzieć „zaufanie” w języku Jago, a przynajmniej w takim znaczeniu, jakie ten termin miał wśród ludzi. Każdy dom, każda prowincja należała do dziesiątków patronatów oplatających swymi sieciami cały kraj, którego prowincje nadgraniczne łączyły się w patronaty ponad domniemanymi granicami z patronatami sąsiednimi, tworząc nie kończącą się, mętną płataninę granic, które nie były granicami zarówno pod względem geograficznym, jak i wspólnoty interesów. Czy można tu powiedzieć „zaufanie”? Raczej man’chi – „główny patronat”, jedyny patronat określający daną osobę.

– Man'china aijiiia nai'am – powiedział, na co Jago zamrugała oczyma po raz trzeci. „Przed wszystkim moim patronem jest aiji”. – Nai'danei man'chini somai Banichi? – „Kto jest przede wszystkim patronem twoim i Banichiego?”.

– Tabini-aijiiia, hei. – Ale atevi mogli kłamać wszystkim oprócz swego głównego patrona.

– A nie jesteście wzajemnie swoimi patronami? – zapytał. – Sądziłem, że jesteście sobie z Banichim bardzo bliscy.

– Mamy to samo man'chi.

– A względem siebie?

Zobaczył, jak przez jej twarz przemknęło coś, co mogło być prawdą, po czym nastąpiło nieuniknione zmarszczenie brwi.

– Paidhi zna szkody, jakie może wyrządzić takie pytanie – rzekła Jago.

– Paidhi-aiji – odparł – wie, o co pyta. Uważa, że to jego obowiązek, nadi.

Jago wstała od stołu, przeszła przez pokój i przez chwilę nic nie mówiła. Wyrzała przez drzwi ogrodowe, stojąc obok uzbrojonego przewodu – denerwował się, ale pomyślał, że nie powinien jej ostrzec, a tylko być gotowym, żeby jej o tym przypomnieć. Jago i tak była drażliwa. Właściwie jej nie obraził, ale pytał o niezwykle osobiste sprawy.

Sugerowała, że Tłumacz powinien być świadom, że nie otrzyma szczerzej odpowiedzi, na co on odparł, wyraźnie przemawiając do jej słuchu wrażliwego na wszelkie polityczne niuanse, że Tłumacz służy aijiemu, pytając o prawdziwą hierarchię jej prywatnych związków.

W wolnym tłumaczeniu: „Gdybyś miała kogoś zdradzić, aijiego albo Banichiego, to którego z nich byś zdradziła, Jago?”.

Którego z nich zdradziłaś?

Czy jest głupcem, zadając takie pytanie, skoro jest z nią w pokoju sam na sam?

Jeśli jednak o to chodzi, to jest sam w całym kraju, jest jedynym człowiekiem wśród trzystu milionów atevich, a nawet kilku miliardów atevich żyjących na tym świecie, i jego obowiązkiem jest zadawanie pytań – owszem, z większą dozą inteligencji i sprytu, niż właśnie wykazał, ale jest na tyle zmęczony i zdezorientowany, że chce mieć pewność przynajmniej co do ich trojga, Tabiniego, Banichiego i Jago, zanim ruszy dalej brukowaną i przyjemną drogą wiary. Mógł wyrządzić swemu gatunkowi zbyt wiele szkód, wierząc w kłamstwo, za daleko idąc fałszywą ścieżką, przypisując zbyt wiele prawdy niewłaściwym osobom...

Bo nie był tylko tłumaczem aijiego. Miał swój główny patronat, przerastający rangą wszystko inne, patronat wypisany na jego skórze i twarzy – patronat, który atevi widzieli za każdym razem, kiedy na niego patrzyli.

Czekał, aż Jago przemyśli jego pytanie, a może nawet zada sobie pytanie o własną lojalność, o co atevi woleliby nie pytać. Może w umysłach atevich, podobnie jak u ludzi, były setki sprzecznych ze sobą przedziałów, których nikt nie ośmielał się szeroko otwierać i zaglądać do środka. Nie wiedział. Być może pytał o zbyt wiele, być może pytanie było zbyt

osobiste i zbyt niebezpieczne. Może pytanie o lojalność atevich jako grupy samo w sobie podawało w wątpliwość jakiś dogmat – i może ich koncepcja man'chi była u samej podstawy równie fałszywa, jak zawsze chcieli tego ludzie, pragnąc, na poziomie emocji, żeby atevi traktowali pojedyncze wartości interpersonalne tak jak oni.

Paidhi w to nie wierzył. Paidhiemu nie wolno wierzyć w tę najgroźniejszą i najbardziej niebezpieczną z iluzji. Był rozdygotany.

I, być może, widząc, że paidhi jest rozdygotany, Jago nie chciała mu odpowiedzieć. Znów posłużyła się kieszonkowym komunikatorem, pytając Banichiego, czy ją słyszy, wciąż jednak nie patrzyła na Brena.

Banichi wciąż nie odpowiadał.

Wtedy, zmarszczywszy się, może z jakiegoś innego powodu, Jago wywołała centralę i zapytała, gdzie jest Banichi lub czy ktokolwiek to wie – lecz nie, centrala nie wiedziała.

Bren pomyślał, że może Banichi jest z jakąś kobietą, chociaż postanowił, że zachowa to dla siebie, domyślając się, że jeśli w ogóle jest to prawdopodobne, to Jago sama do tego dojdzie. Nie był pewien, czy Banichi i Jago sypiają ze sobą. Nigdy nie miał całkowitej pewności co do panujących między nimi stosunków, poza zażyłym, długoletnim zawodowym partnerstwem.

Zobaczył, że Jago marszczy się jeszcze bardziej.

– Niech ktoś się dowie, gdzie jest – powiedziała do komunikatora.

Istniały kody słowne; wiedział o tym i nie potrafił powiedzieć, czy podsłuchana przez niego odpowiedź jest jednym z nich. Centrala odparła: „Praca laboratoryjna”, ale Jago chyba się to nie spodobało.

– Powiedzcie mu, żeby się ze mną skontaktował, jak skończy – poleciła Jago, sprawiając wrażenie niezadowolonej, i po otrzymaniu potwierdzenia przerwała łączność.

– Nie spałeś zeszłej nocy – powiedziała swoim delikatniejszym, zawodowym tonem i, przestąpiwszy przewód, rozsunęła drzwi ogrodowe. – Proszę cię, odpocznij, nadi Bren.

Był wyczerpany. I wolałby otrzymać jasne odpowiedzi. Wcale też nie był pewien, czy chce, żeby drzwi do ogrodu były otwarte. Może to oni zastawiają pułapkę. Nie miał dzisiaj nastroju do bycia śpiącą przynętą.

– Nadi – powiedział – czy zapomniałaś o moich pytaniach?

– Nie, paidhi-ji.

– Ale nie zamierzasz na nie odpowiedzieć.

Jago utkwiała w nim żółte, świetliste spojrzenie.

– Czy na Mospheirze zadaje się takie pytania?

– Zawsze.

– Nie wśród nas – odparła Jago i przeszła przez pokój do drzwi.

– Jago, powiedz, że się nie gniewasz.

Znów to spojrzenie. Zatrzymała się tuż przed śmiercionośnym kwadratem na dywanie, wyłączyła go i odwróciła się do Brena.

– Po co zadawać takie zbędne pytanie? Nie uwierzyłbyś w żadną z odpowiedzi.

Zaskoczyło go to. I spowodowało, że jego reakcja była z rozmysłem obca.

– Ale ja jestem człowiekiem, nadi.

– A więc twoje man'chi nie jest związane z Tabinim.

Niebezpieczne pytanie. Zabójcze pytanie.

– Oczywiście, że tak. Ale co by było, gdybyś miała dwa... dwa bardzo silne man'chiin?

– Nazywamy to próbą charakteru. – Przy tych słowach Jago otworzyła drzwi.

– My też, nadi Jago.

Przyciągnął jej uwagę. Czarna, rośła, potężna, stała na tle pasa jaśniejszego światła padającego z korytarza. Stała, jakby chciała coś powiedzieć.

Zapisał komunikator, domagając się jej uwagi. Zapytała centralę, gdzie jest Banichi. Okazało się, że wyszedł z laboratorium, ale jest na jakiejś naradzie i prosi, żeby mu nie przeszkadzać.

– Dziękuję – powiedziała do mikrofonu. – Przekażcie moją wiadomość. – A do Brena: – Oba przewody będą włączone. Połóż się do łóżka, nadi Bren. Gdybyś mnie potrzebował, będę na zewnątrz.

– Całą noc?

Przez chwilę milczała.

– Nie wychodź do ogrodu, nand' paidhi. Nie stawaj przed drzwiami. Bądź ostrożny i idź spać.

Zamknęła za sobą drzwi. Przewód ponownie się uzbroił – chyba. Kiedy drzwi się zatrzasnęły, uniósł się.

Czy to wszystko było potrzebne – Jago i w dodatku przewód – żeby mógł spać spokojnie?

I gdzie był Banichi, i co miała znaczyć ta wymiana pytań, ta rozmowa o lojalności? Nie pamiętał, kto ją zaczął.

Jago mogła sobie darować tę sprzeczkę na krawędzi snu, kiedy bardzo potrzebował spokojnego umysłu – ale teraz nie był nawet pewien, kto zaczął, kto drażył sprawę i w jakim celu. Nie poszło mu dobrze. Cały wieczór z Banichim, a potem z Jago był jakiś napięty, jakby...

Cofając się w myślach, doszedł do wniosku, że Jago cały czas równie zawzięcie, jak on, chciała się czegoś dowiedzieć – wykorzystując każdą okazję, naciskając go, przeciwstawiając się mu lub w każdej chwili będąc gotowa się obrazić czy zobaczyć sytuację w jak najgorszym świetle. Mogła to być wina niedoświadczenia Jago w kontaktach z nim – stykał się głównie z Banichim i na nim polegał jako na tłumaczu. Nie potrafił jednak sobie wyjaśnić, dlaczego

Banichi go tego wieczoru opuścił – poza oczywistym uzasadnieniem, że Banichi, jako zwierzchnik Jago, miał na głowie sprawy, które dla aijiego były ważniejsze niż paidhi.

O ile potrafił stwierdzić, to żadne z nich, ani on, ani Jago, nie zdobyło całkowitej przewagi, nie dowiedziało się niczego pożytecznego, poza kolejnym przypomnieniem, jak głębokie dzielą ich różnice i jak wciąż niebezpieczny może się w jednej chwili okazać punkt styczności atevich z ludźmi.

Nie potrafił nawet przekazać swoich racji wykształconej i pozbawionej przesądów kobiecie, mającej wszelkie powody, by go wysłuchać. Jak więc mógł cokolwiek zasugerować różnym radom przez wcześniej przygotowane wystąpienia, zrobić jakiegokolwiek postępy wśród szerokich rzesz atevich, którzy po dwóch wiekach pokoju zgodzili się, że najlepszą rzeczą dla ludzi jest pozostanie na Mospheirze i niechętnie przyznali, że komputery mogą zawierać liczby, podobnie jak stoły mogą mieć określone rozmiary, a przedmioty określoną wysokość, ale, Boże jedyny, nawet ustawienie mebli w pokoju oznaczało rozważanie stosunków i wymiarów oraz pomyślnych i niepomyślnych kombinacji, nazywanych przez atevich agingi'ai, „pomyślną harmonią liczbową”.

Według atevich stąd wypływa piękno. To, co niepomyślne, nie może być piękne. Z niepomyślnym nie da się dyskutować. Właściwe liczby muszą się ładnie dodawać, a parzysty podział kwiatów w prostym bukiecie oznaczał wrogość.

Bóg jeden wie, co przekazał Jago z tego, czego nie miał zamiaru powiedzieć.

Rozebrał się, zgasił światło i zerknął z niepokojem na firanki, które skrywały wszelki ślad śmiertelności przewodu, ale nie dostrzegł żadnego cienia czającego się zabójcy. Położył się do łóżka – stojącego w niewłaściwym miejscu – gdzie nie dochodziły bezpośrednie powiewy wiatru od rzeźbionej kraty.

Nie zaśnie, dopóki nie zmieni się kierunek wiatru. Mógłby oglądać telewizję. Jeśli działa. Wątpił w to. Przerwy zwykle trwały do końca zmiany, na której się przytrafiły. Obserwował firankę, próbował myśleć o sprawie przedstawionej na radzie... lecz wciąż wracał myślami do sali audiencyjnej, do Tabiniego, który ogłosił tę cholerną waśń, czego Bren wcale sobie nie życzył, a już na pewno nie publicznie.

I ten cholerny pistolet – czy przesuwając łóżko też go przenieśli?

Nie mógł znieść niepewności, czy ktoś go znalazł. Wstał i pomacał pod materacem.

Pistolet był na miejscu. Bren powoli wypuścił z płuc powietrze, wsparł się kolanem o materac i z powrotem wsunął się do pościeli, by wpatrywać się w pociemniały sufit.

Spędził wiele czasu przed świtem, wątpiąc w to, co wiedział. Mimo że pod pewnymi względami był z Tabinim bardzo blisko, wątpił, czy dzięki niemu tamten zrozumiał cokolwiek, czego nie nauczył się od jego poprzedników na tym stanowisku. Bren przykładał się do badań językowych. Rozprawę, która postawiła go na ścieżce prowadzącej do biura paidhiego, napisał bardzo rzetelnie: była to analiza liczby mnogiej rzeczowników zbiorowych w dialekcie atevich Ragi. Bardzo się nią szczycił, choć nie była to żadna przełomowa praca, a

jedynie opracowanie wniosków, które jednak od tego czasu wciąż uzupełniał dzięki cierpliwej i areligijnej analizie Tabiniego.

Czasami jednak nie rozumiał ani Tabiniego, ani Taigiego i Moniego. Bóg jeden wie, czego będzie w stanie dociec o tych ponurych służących podrzuconych mu przez Banichiego i Jago, ale to będzie kolejny długotrwały wysiłek. Znalazł się w cholernych kłopotach, których sam sobie narobił – nie chwycił niuansów, zaplątał się w coś, czego nie rozumiał. Groziło mu zawalenie sprawy. Kiedyś sobie wyobrażał, że ma talent do zrobienia tego, co zrobił pierwszy paidhi: do zasypania przepaści językowej, poczynając od pojęciowego zera, i to w samym środku wojny...

W latach, kiedy ludzie przybyli tu po raz pierwszy, początkowo nieliczni, potem w coraz większych grupach, ponieważ wszystko wydawało się takie łatwe... Byli również przekonani, że rozumieją atevich – kiedy pewnego wiosennego dnia, w dwadzieścia jeden lat po wylądowaniu, gdy ludzie podejmowali pokojowe wyprawy na kontynent, złudzenie to – nagle i z powodów, o które kandydaci na jego stanowisko wciąż się między sobą sprzecali – przysło niczym bańka mydlana.

Wojna, którą atevi nazwali Wojną Lądowania, była krótka i okrutna – cała zaawansowana technika po stronie ludzi oraz olbrzymia liczebność i niesamowita zawziętość atevich, którzy w ciągu tego jednego roku wyparli ludzi z wybrzeża Ragi z powrotem na Mospheirę, atakując ich nawet w dolinie, którą oszołomione niedobitki uznały za swój bezpieczny teren. Ludzkość na tym świecie została prawie doszczętnie wyteplona, lecz podczas spotkania twarzą w twarz z człowiekiem, który miał zostać pierwszym paidhim, czwarty poprzednik Tabiniego zrzekł się Mospheiry i pozwolił ludziom całkowicie odizolować się od atevich. Na wyspie mieli być bezpieczni i niegroźni.

Mospheira i zawieszenie broni w zamian za technikę dla atevich. Czwarty poprzednik Tabiniego nie był głupcem i zobaczył stojący przed nim wyraźny wybór: albo dogada się z ludźmi i stanie się dla nich nieodzowny, albo jego sprzymierzeńcy będą na jego ziemiach walczyć o technikę, na której mieli nadzieję położyć rękę szukający nad nim przewagi rywale, zabijając ostatnich ludzi i w ten sposób niszcząc źródło wiedzy.

Stąd wziął się Traktat, oznaczający stworzenie stanowiska paidhiego oraz uporządkowane przekazywanie ludzkiej techniki Patronatowi Zachodniemu w tempie – ani przodek Tabiniego, ani pierwszy paidhi nie byli głupcami – które pozwoli utrzymać atewską gospodarkę i względną władzę aijiin różnych Patronatów w istniejącej równowadze.

Co oznaczało, że wszyscy rywale, ludzie i technika znalazły się bezpiecznie w rękach poprzednika Tabiniego. Wojna skończyła się. Atevi z Mospheiry osiedlili się na przybrzeżnych ziemiach należących do aijiego Ragi, o wiele żyzniejszych od ich własnych pól. Oznaczało to dla aijiego Ragi olbrzymią ofiarę, lecz było przemądrym posunięciem, zapewniającym pokój – oraz spełnienie wszelkich żądań atevich z Mospheiry i atevich Ragi.

Ludzie nie znaleźli się pod tym słońcem z własnego wyboru. Do dziś dnia (była to stała, przemilczana prawda) ludzie nie utrzymywali kontaktów z atevimi ani z własnego wyboru, ani dla korzyści. Ludzie przegrali Wojnę: było ich niewielu, znaleźli się w izolacji, ich stacja wkrótce zaczęła podupadać, ich liczebność zmniejszała się na górze i na dole... Zstąpienie na planetę stanowiło dla nich ostateczne, rozpaczliwe wyjście.

Nie byli w stanie ukryć swojej inności ani zaufać gatunkowi, który nie potrafił przetłumaczyć słowa „przyjaźń”, nie byli w stanie przyznać, co naprawdę chcieli uzyskać dzięki umowie, ponieważ atevi zasadniczo nie – ach, to obce słowo – ufali ludziom na tyle głupim, żeby wylądować bez pozwolenia i mającym tajemnice, których jeszcze nie zdradzili.

Paidhi nie mówił wszystkiego, co wie – był jednak zobowiązany przez traktat do powolnego oddawania wszystkiego, czym dysponowali ludzie, by w ten sposób opłacić dzierżawę Mospheiry oraz umożliwić jednemu przyjaznemu ludziom rządowi na planecie trzymanie w ryzach najzagorzalszych ich wrogów. Ówczesny aiji żądał dalekonośnych dział – atevi mieli strzelby ładowane przez lunę oraz nieporęczne armaty, toteż kule wystrzeliwane z wielką prędkością polubili – cóż za okropne wyrażenie – z całego serca.

Dokonując cudów elokwencji, których nie przebił już potem żaden paidhi, naciskany przez aijiego o dane techniczne, które oddałyby do dyspozycji atevich Ragi przerażający arsenał, Bretano zauważył, że taka broń z pewnością dotarłaby i do przeciwników Ragi, oraz że Ragi i tak są silniejsi. Czy chcą zakłócić równowagę?

Naciskany o zaawansowaną technologię przemysłową, Bretano zaprotestował przeciwko kosztom ekologicznym, jakie musiałaby ponieść planeta, i cała stojąca za nim komisja oraz jego następcy zaczęli powolne, systematyczne uczulanie nauki atevich na sprawy ekologii.

A także ukierunkowywanie jej na produkcję materiałów przydatnych ludziom.

Pierwsza taktyka, taktyka filozofii ekologicznej, dążyła do wyeliminowania wojny z atevskiej mentalności, nakłaniała atevich do budowy eksperymentalnych rakiet zamiast pocisków, kolei zamiast dział, do zastanowienia się, co stanie się w dolnym biegu rzeki, jeżeli w górnym odcinku wrzuci się do niej śmieci, do rozważenia skutków zanieczyszczenia lasów toksycznymi wyziewami czy przenikania trujących chemikaliów do wód gruntowych. Dzięki Bogu, atevim pomysł się spodobał, ponieważ dotyczył on jakiegoś aspektu kulturowego już istniejącego w mentalności Ragi. Zadomowił się on w kolejnych pokoleniach tak mocno, że w obecnym półwieczu dzieci uczyły się wierszyków o czystych rzekach, podczas gdy taktycy na Mospheirze – bezpieczni na Mospheirze, w przeciwieństwie do paidhiego – naradzali się, jaki przemysł mogą odważyć się poprzeć i co atevi powinni rozwijać, by ludzie w końcu otrzymali potrzebną im wyrzutnię oraz statek.

Oto niepisany, dwustuletni program, który znał każdy człowiek i który śmiertelnie przerażał paidhiego. Bo nawet jeśli atevi domyślili się już, że stworzenie programu kosmicznego oznacza produkcję materiałów równie przydatnych ludziom, jak im samym, nawet jeśli biorąc udział w posiedzeniach komisji kosmicznej podejrzewał, że każdy ateva na

sali wie, że to, co wytworzyli, ma taki właśnie potencjał, to była to sprawa, której nigdy nie podnosił, nie przy nich ani przy atevich, których znał najlepiej. Był to jeden z tych nieprzebytych gąszczy atevskiej mentalności: jak przyjmą tę wiedzę, kiedy już jej nie będzie można ignorować. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak zostałyby to przyjęte poza dworem Tabiniego, w całym kraju – gdzie w popularnych powieściach wciąż ludzie występowali w rolach złoczyńców, a w dramatach machimi pojawiali się w cieniu, w nebai – ponieważ nie było aktorów – ludzi...

Ludzie byli potworami w szafie, monstrami pod łóżkiem – w kulturze, gdzie wszyscy nieustannie mieli się na baczności przed prawdziwym zagrożeniem ze strony prawdziwych zabójców, w kulturze, gdzie dzieci uczyły się z telewizji paranoicznego strachu przed obcymi.

Co tak naprawdę ludzie knują na Mospheirze? Jakie mroczne techniczne tajemnice Tabini-aiji zachowuje dla siebie? Co to jest ta telemetria, łącząca stację w kosmosie z wyspą odległą od brzegów Tabiniego o godzinę lotu?

I dlaczego jakiś szaleniec chciał zabić paidhiego?

Jutro ma posiedzenie komisji kosmicznej – nic kontrowersyjnego, krótki referat zawierający informacje techniczne, o który poprosiła komisja i który przetłumaczył z oryginału w bibliotece na Mospheirze.

Nie było w tym nic kontrowersyjnego. Ani w zbliżającym się wystrzeleniu satelity. Komunikacja nie była kontrowersyjna. Przepowiadanie pogody też nie.

Istniała co prawda kwestia finansowa: trzeba było dodać czy też odjąć z przydzielonej kwoty milion, żeby budżet automatycznego satelity zsumował się w pomyślną liczbę – lecz w zestawieniu z już wydanymi sześcioma miliardami milion nie wydawał się sprawą kluczową ani jątrzącą, sprawą, z powodu której w jego sypialni mogłoby się zaroić od zabójców.

Istniała, czasami rozpalająca się, delikatna debata na temat lotów załogowych i bezzałogowych – czy atevi powinni spróbować odzyskać ludzką stację kosmiczną, która była w coraz gorszym stanie, miała puste zbiorniki i powoli schodziła ze stałej orbity.

Ludzka polityka nie zmierzała do straszenia kogokolwiek przez roztrząsanie bardzo odległej możliwości upadku stacji na zamieszkały obszar. Oficjalnie, statystycznie, fragmenty stacji miały spaść na otwarte oceany za jakieś pięćset lat i jedną więcej czy mniej burzę słoneczną – Bren nie mógł osobiście niczego zagwarantować, ponieważ nie był mocny z astrofizyki, ale specjaliści kazali mu tak mówić, więc mówił.

Przedstawił swój skromny referat, na temat celów misji, podczas inauguracyjnego spotkania z komisją kosmiczną, prezentując bynajmniej nie zaskakujące stanowisko, że wynoszenie metalu na orbitę jest kosztowne, że pozwolenie na spalenie się tego, co już znajduje się na orbicie, nie jest ekonomiczne, oraz że zanim utopią duże środki w misjach bezzałogowych, powinni coś zrobić z wymarłą, opuszczoną stacją.

Zwolennicy lotów załogowych oczywiście natychmiast się z tym entuzjastycznie zgodzili. Astronomowie i pewne kręgi antyludzkie zawzięcie zaprotestowały. Zepchnęło to

całą kwestię na plan dalszy, bo członkowie komisji radzili się numerologów w sprawach tak istotnych, jak (było to ostatnio najbardziej palące pytanie): czy daty startu są pomyślne czy nie, oraz ustalenie ilu terminów rezerwowych jest pomyślne – co rozwinęło się w kolejną debatę między kilkoma konkurującymi ze sobą (oraz mających znaczenie etniczne) szkołami numerologii nad tym, czy w obliczeniach powinno się uwzględnić obecną datę czy też może powinno się liczyć datę powstania całego programu, tego konkretnego projektu, a może datę powstania harmonogramu startu.

Nie mówiąc już o dyskusji, czy kołnierz komory spalania w silniku dużego udźwigu może być podzielony na cztery części bez wpływu na starannie dobrane, zharmonizowane liczby w projekcie zbiornika paliwa.

Rzeczywiście niebezpieczne kwestie, jakie potrafił sobie przypomnieć, leżąc tak na plecach w oczekiwaniu na zabójców, były co do jednej kwestiami niepozornymi – a wykorzystanie stacji jako celu atewskiej misji kosmicznej stanowiło jedyny kontrowersyjny punkt, który zaczął zdecydowanie popierać, gdy dodał do głosów komisji głosy innych zwolenników, choć niektórzy z nich nie byli tak rozsądni.

Poza tym, w każdej debacie na tematy kosmiczne należy uwzględniać nieustanny, trwający od dwustu lat przepływ instrukcji między Mospheirą i stacją.

Pewne elementy radykalne wśród atevich utrzymywały, że na opuszczonej stacji jest ukryta broń. Zagorzali szaleńcy z fanatycznego marginesu byli przekonani, że powolne spadanie stacji to nie przypadek spowodowany prawami fizyki, lecz starannie wyliczone podejście, którym kierują być może ludzie pozostawieni w tajemnicy na stacji lub instrukcje przekazywane w tajemnicy z Mospheiry, skoro już wiedzieli o sterowaniu komputerowym, i że zakończy się to upadkiem stacji po ognistym torze przecinającym niebo, „wprowadzającym w eter dysharmonię i gwałt”, oraz powstaniem huraganów i olbrzymich fal, a porażona ogniem z jej broni cywilizacja atevich nigdy już nie wyzwoli się spod ludzkiej dominacji.

Wybacz im, mawiał krótko Tabini. Oni spodziewają się także, że księżyc ma wpływ na ich przedsięwzięcia finansowe, a starty statków kosmicznych zakłócają pogodę.

Obcy aijiin spoza Patronatu Tabiniego nawet utworzyli w Shejidan biura, których zadaniem była analiza przekazów telemetrycznych przechwyconych przez Shejidan – numerolodzy zatrudnieni przez tych obcych aijiin podejrzewali tajne przydziały niepomyślnych szyfrów, mających wpływ na pogodę, rolnictwo albo losy rywali Tabiniego... Takich przekonań człowiek ani ateva nie śmiał nazywać głupimi.

Właściwie Tabini tak je właśnie nazywał w obecności zaufanych osób, lecz publicznie był bardzo kabiu, bardzo poprawny, i zatrudniał całe zastępy rachmistrzów i geometrów różnych wyznań, by z taką samą powagą studiowali każdą wypowiedź i każdy fragment przechwyconej transmisji – oczywiście, żeby dać odpór zarzutom konserwatystów.

Od czasu do czasu – było to warte uśmiechu, nawet po ciemku – Tabini przychodził do paidhiego z prośbą o przekazanie tego czy owego. Wtedy Bren dzwonił na Mospheirę i podawał fragment szyfru, który po przesłaniu na stację, jak zapewniali go technicy, nie miał dla komputerów najmniejszego sensu. Umieszczali go po prostu w jakimś pliku Uwag i posyłali wyłącznie po to, by został przechwycony – i tyle, jak mawiała Barb. Wtedy w transmisjach pojawiały się liczby, które rozbijały teorię tego czy owego wieszca zagłady, zanim mógł ją ogłosić publicznie.

Oto ich pożałowania godny program kosmiczny. I to nie było warte uśmiechu. Tak wyglądał każdy popierany przez nich program. Tak działała komisja, hasdrawad, tashrid oraz wyspecjalizowane grupy nacisku kryjące się w cieniu – a w ich ramach grupy radykalne, grupy nazywające Traktat Mospheirski błędem. Grupy wzywające do tego, czego istnienie w formie szeroko zakrojonych planów podejrzewali najbardziej radykalnie nastawieni ludzie – Bóg jeden wie, że tacy istnieli – a co Tabini lekceważył jako głupotę. Na przykład do kolejnego ataku na Mospheirę.

Ludzie być może nie mieli złudzeń co do serdecznego przyjęcia na tym świecie – ale z pewnością istniały zagrożenia poważne oraz niepoważne. Jedno z poważnych zagrożeń stanowili przeciwnicy ludzi, którzy uważali debatę nad drogami za ludzki spisek, mający na celu utrzymanie gospodarki w sferze wpływów Tabiniego – co o wiele za bardzo zbliżało się do prawdy, której ujawnienia nie życzył sobie ani paidhi, ani aiji.

Istniał, dzięki Bogu, margines wyznawców teorii promieni księżycowych, którego przedstawiciele niezbyt dobrze orientowali się w historii, prawach fizyki i w ogóle w rzeczywistości. Wybrali sobie program kosmiczny (pewnie dlatego, że wiązał się z najwyższą i najmniej wyobraźną techniką) jako kulminację wszelkich katastrofalnych teorii, poczynając od głoszącej, że starty raket powodują wyciek atmosfery do eteru, po ulubioną teorię Brena, że stacja kosmiczna będzie krążyć na poziomie gruntu, powodując huragany i zalewając miasta promieniami śmierci. Atevi mogli się z tego śmiać. Ludzie też. Kpiny z najbzdurniejszych sposobów wzbudzania nienawiści wszystkim dobrze robiły i stanowiły wentyl bezpieczeństwa dla zbyt zaognionych tematów.

W gruncie rzeczy, ten margines zrobił więcej dobrego dla sprawy ludzko-atevskiego zrozumienia niż wszystkie wystąpienia Brena przed komisjami.

Jeśli jednak szukało się źródła, z którego mógł się wywodzić stuknięty zabójca bez licencji, to możliwe, że jedno z ugrupowań marginesu całkowicie, kompletnie zwariowało.

Może pewnego pięknego dnia liczby powiedziały jednemu z tych czubków, że jeśli zabije paidhiego, to atmosfera przestanie wyciekać.

Jak dotąd, Tabini i poprzednicy Brena przynajmniej dobrze żonglowali. Dzielili się techniką w tempie, które nie szkodziło gospodarce ani środowisku, nie włączali do procesu decyzyjnego różnic etnicznych między atevimi ani opinii politycznych dzielących ludzi – a atevi Ragi oraz Patronat Zachodni, któremu przewodzili, odnosili kolosalne i szybkie korzyści

z powodu bliskiego sąsiedztwa z Mospheirą oraz szczególnych stosunków z wyspą. Oczywiście zdawali sobie sprawę z gospodarczej wartości tych stosunków. Tabini prawdopodobnie już od lat doskonale się orientował, dokąd go prowadzą ludzkie rady i ludzka technika.

Patronat Tabiniego cieszył się też najwyższą jakością życia w świecie i bardzo był przywiązany do swoich wygod i telewizji. Poza tym samoloty Ragi już nie zderzały się z mostami.

Najbardziej prawdopodobnym wytłumaczeniem, które wciąż wypływało na powierzchnię, było to, że ktoś poluje na Tabiniego. W teorii tej było nawet miejsce na paidhiego, bo osoba dybiąca na aijiego wiedziała, jakim trudnym jest on celem i zadowoliliby się zlikwidowaniem jego łącznika z ludźmi, utrudniając mu w ten sposób na jeden sezon kontakty z nimi.

Nowy paidhi – okres destabilizacji, podczas którego żaden paidhi nie jest bezpieczny. Ktoś mógłby nawet dążyć do renegocjacji Traktatu Mospheirskiego, by rozszerzyć płynące z niego korzyści na inne patronaty. Wysuwano już takie propozycje, lecz Patronat Zachodni stanowczo je odrzucił.

W tej sytuacji paidhi-aiji mógł stać się punktem zapalnym. Dogadywał się z Tabinim. Lubił Tabiniego. Tabini oczywiście nie odwzajemniał mu się sympatią – był atevą. Lecz Tabini i paidhi może zbyt często pozwalali sobie na brak powagi i dobry nastrój i niektórzy mogli czegoś się w tym dopatrywać, jak w tej historii z wyjazdem do posiadłości w Taiben, gdzie miało miejsce o wiele za dużo poufałości.

Mogli się też znaleźć tacy, którzy tę poufałość wymyślili, nawet wśród samych Ragi lub ich sprzymierzeńców, z których każdy, w myśl mglistych zasad rządzących patronatami atevich, przynajmniej jedną nogą był w innych patronatach.

Może sytuację tę spowodował ten lepszy, szczególny związek, który, jak sądził, łączył go z Tabinim – może zbyt szybko, zbyt niezręcznie przekroczył jakąś granicę, powodowany ślepym entuzjazmem i zbytnią pewnością siebie.

Straszna myśl. Przerazająca myśl. Odnieść zbyt wielki sukces i całkowicie zawieść?

A gdyby tak rząd Tabiniego się zachwiał i środek ciężkości sieci atevskich Patronatów przesunął się, powiedzmy, na wschód i daleko w głąb lądu, gdzie stosunki z ludźmi nigdy nie były tak swobodne, gdzie różnice etniczne i historyczne między Ragi, Nisebi i Meduriin mogły jedynie sprawić, że ludzie wydaliby się im jeszcze bardziej odmienni i podejrzani, niż oni byli dla siebie nawzajem.

W czasach, kiedy ludzie nie wytworzyli jeszcze cywilizacji globalnej, atevi, z wyjątkiem najbardziej odizolowanych plemion w głębi lądu i na wyspach Archipelagu Edi, już ją mieli. Atevscy badacze wyruszali na wyprawy drewnianymi statkami i robili wszystko to, co – jak mówiły zapisy – robili ludzie na utraconej Ziemi, tyle że atevi nie znaleźli Nowego Świata, tylko Edi i niewiele ponad łańcuch wulkanicznych, niezbyt zaawansowanych cywilizacyjnie i

kulturowo wysp, które nie potrafiły oprzeć się podwójnemu najazdowi badaczy ze Wschodu i z Zachodu. Tamci natychmiast zagarnęli wszystko, co było w zasięgu wzroku, a jednak – z przyczyn wciąż wywołujących kontrowersje wśród etnografów – ci sami badacze spotkali się na tych obcych wyspach i znaleźli wystarczająco wiele wspólnego u siebie nawzajem i wystarczająco wiele różnic geograficznych – dział wód na głównym kontynencie wznosił się na dziesięć tysięcy metrów – żeby rozwinąć handel nie lądowy, a morski, którego szlaki, po nastaniu ery wielkich żaglowców, raczej omijały wyspy, na których spotkały się dwie główne gałęzie atevich.

Historycznie rzecz biorąc, atevi w porównaniu z ludźmi doskonale ze sobą współpracowali. Stąd brała się ich trudność zrozumienia, dlaczego ludzie tak chętnie chcą zostać sami na Mospheirze i nie chcą przystąpić do żadnego patronatu – takiej postawie atevi po prostu nie dowierzali. Shejidan wziął na siebie zasypanie tej przepaści, przełamując swój strach przed przybyszami dla obcego pojęcia „traktatu”, który ledwo rozumiał jako nawiązanie pożądanego stosunków patronackich z ludźmi. Był to jeden z najważniejszych przełomów pojęciowych dokonanych przez pierwszego paidhiego.

Po dziś dzień Tabini utrzymywał, że nie rozumie ludzkiego słowa „traktat” ani „granica”, które według niego nie miały prawdziwego znaczenia nawet między ludźmi. Tabini nazywał je sztucznymi pojęciami. Ludzkimi złudzeniami. Każdy należy do wielu patronatów. Granice istniały jako arbitralne, przybliżone linie określające wielkość prowincji – nie miały jednak znaczenia dla osób, których domy czy więzy pokrewieństwa mogły leżeć po obu stronach linii.

Bren leżał w ciemności, patrząc, jak oświetlone przez blask księżyca firanki zaczynają się wydymać na silnym, chłodnym wietrze – po przejściu frontu zeszłej nocy pogoda znacznie się uspokoiła. Nie wyszedł po południu do ogrodu. Jago powiedziała, że ktoś mógłby do niego strzelić z dachu. Powinien trzymać się z dala od ogrodu. Nie powinien chodzić tu, nie powinien chodzić tam, nie powinien pojawiać się w tłumie.

Banichi wcale nie zapomniał jego poczty. O nie, nie Banichi. Sprawy dotyczące osoby, której Banichi pilnował, nigdy nie były na tyle trywialne, żeby mu umknąć. Był to mężczyzna, który, jak mówili ludzie, zawsze stawiał kropkę nad i.

To druga przerażająca myśl.

Dlaczego Banichi miałby ukraść jego pocztę – żeby pozbawić go reklam pasty do zębów, kaset wideo i wyjazdów na narty na górę Allan Thomas?

A jeśli to nie Banichi odebrał jego pocztę, to dlaczego kłamał? Żeby ochronić złodzieja, który ukradł reklamówki?

Głupia myśl. Prawdopodobnie Banichi wcale nie kłamał, prawdopodobnie Banichi był po prostu zajęty, a on od tego koszmarnego mignięcia cienia na firance zeszłej nocy cierpi na rozdygotane nerwy oraz nadczynność wyobraźni.

Leżał tak, wyobrażając sobie dźwięki dochodzące z ogrodu, czując woń kwitnących w nim kwiatów, zastanawiając się, jaki dźwięk usłyszy, kiedy ktoś wejdzie na przewód i usmaży się, oraz nad tym, co powinien zrobić w powstałej sytuacji...

Albo jakie ma szanse na wyciągnięcie Deany Hanks z biura na Mospheirze, żeby chwilowo przejęła jego obowiązki na dworze aijiego, powiedzmy, na jakiś miesiąc wakacji – Boże, miałyby czas zobaczyć się z Barb, ponurkować na wybrzeżu, podjąć rozsądne ryzyko w kontakcie z wrogim środowiskiem, zamiast z drażliwym atevskim dworem.

To tchórzostwo. Nie można było podrzucić tego Deanie. „Ach, Deano, jeszcze jeden drobiazg, ktoś próbuje mnie zabić, zrób, co w twojej mocy, postaraj się, jak tylko możesz, a ja wrócę, jak wszystko przyschnie!”.

Nie mógł uciec w taki sposób. Nie wiedział, czy ma zadzwonić do swego biura i spróbować dać im znać, co się dzieje – istnieje duże ryzyko, że jeśli zrobi coś takiego, to do już niełatwej sytuacji doda błędną informację czy niewłaściwą interpretację. Istniały wyrażenia szyfrowe na oznaczenie kłopotów i zabójstwa – może powinien zaryzykować i powiedzieć im aż tyle.

Lecz jeśli Tabini z jakiejś przyczyny jeszcze bardziej ograniczy łączność, to ostatnia informacja, na której podstawie jego biuro mogłoby działać, głosiłaby, że ktoś próbował go zabić – de facto oddając jego stanowisko Hanks. A Hanks była cholerną, w gorącej wodzie kąpaną babą, która obejmowała stanowisko i ruszała do przodu, taka jest przykra prawda. Była zdolna do podjęcia wszelkich środków dla przełamania milczenia Tabiniego, co mogło nie być najmądrzejszym posunięciem w delikatnej sytuacji politycznej atevich. Bren ufał Tabiniemu – w zaistniałych warunkach Hanks na pewno by mu nie dowierzała i mogłaby zrobić coś, co poderwałoby jego autorytet lub przysłużyłoby się jego wrogom.

Niech go diabli, jeśli to zrobi i niech go diabli, jeśli tego nie zrobi. Milczenie Tabiniego było zaskakujące. Sytuacja miała zbyt wiele zmiennych. Bren był na miejscu i nawet on nie miał wystarczająco dużo informacji, żeby podjąć jakieś działania – Hanks miałyby ich o wiele mniej, gdyby tu przyleciała, i w obliczu całkowitego braku informacji odczuwałaby większą presję, żeby zrobić coś, co sprowadziłoby go z powrotem, gdyby nie było jego zwłok... Od samego początku istniała bardzo uzasadniona obawa, że jakiś aiji w Shejidan lub gdzieś indziej może się zniecierpliwic wydzieleniem przez paidhiego informacji technicznych po kawałku.

Coś o mitycznej kurze i źródle złotych jajek – przypowieść, którą pierwsi paidhiin dość bezceremonialnie zaszczepili atevskiej kulturze, tak że teraz atevi byli pewni, że istnieje coś takiego jak kura, chociaż na całym świecie nie było ani jednego prawdziwego ptaka, oraz że jest to zagraniczna, ale z całą pewnością atevska bajka.

Tak toczyła się ta gra. Z pomocą cierpliwości, czasu, a także małych posunięć, zamiast szeroko zakrojonych akcji, i ludzie, i Tabini-aiji otrzymywali to, co chcieli.

Kuriin i złote jajka.

Rozdział 3

Banichi przyszedł ze śniadaniem i całym nareczem poczty, łatwymi do przewidzenia reklamami wakacji, nowych produktów i zwykłych towarów. Były tak nudne, jak Bren się spodziewał, a chłodny jak na tę porę roku poranek sprawił, że z przyjemnością wypił gorącą herbatę, którą przyniosło mu dwoje zastępczych służących. Jak zwykle zjadł lekkie śniadanie, a teraz chciał pooglądać telewizję.

– Czy programy nie działają w całym mieście? – zapytał Banichiego, co ten skwitował wzruszeniem ramion.

– Nie mam pojęcia.

Działał przynajmniej kanał pogodowy, informując o deszczu w górach na wschodzie i nietypowej o tej porze roku fali chłódów na zachodnim wybrzeżu. Żadnego pływania na plażach Mospheiry. Wciąż myślał o domu – o białych plażach Mospheiry, wysokich górach wciąż pokrytych śniegiem w osłoniętych miejscach, myślał o ludzkich twarzach i tłumach ludzi.

Zeszłej nocy, podczas dwóch godzin snu przyśnił mu się dom: kuchnia, wczesne poranki, matka i Toby przy śniadaniu, tak jak kiedyś bywało. Matka pisała do niego regularnie. Toby nie lubił pisać, ale dostawał wiadomości, kiedy listy Brena docierały do domu; przez matkę odpowiadał, co robi i jak mu się wiedzie.

Matka Brena zajęła komunalną działkę, której się zrzekł po zdobyciu posady paidhiego, bo nie potrzebował już należnego mu spadku; dołożyła do niej swoje nauczycielskie oszczędności i pożyczyła jego obarczonemu rodziną i godnemu najwyższego szacunku bratu pieniądze na rozpoczęcie praktyki medycznej na północnym wybrzeżu.

Toby wiódł całkowicie zwyczajne i dostatnie życie, jakiego ich matka pragnęła dla siebie i swoich dzieci, dając jej odpowiednio śliczne i uległe wnuczeta. Była szczęśliwa. Bren nie posyłał jej wiadomości typu: cześć, Mamo, ktoś próbował zastrzelić mnie w łóżku. Cześć, Mamo, nie pozwalają mi stąd odlecieć. Pisał zawsze: Cześć, Mamo, u mnie wszystko w

porządku, a u Ciebie? Mam dużo pracy. Jest bardzo interesująca. Chciałbym móc powiedzieć coś więcej na jej temat...

– Nie ten kaftan – rzekł Banichi, kiedy wyjmował z szafy swój zwykły strój. Banichi sięgnął obok niego i zdjął z wieszaka kaftan audiencyjny.

– Na posiedzenie komisji kosmicznej? – zaprotestował, ale wiedział, z całą pewnością wiedział, mimo że Banichi nie powiedział ani słowa, że wzywa go Tabini.

– Posiedzenie zostało przełożone. – Banichi strzepnął kaftan i podał mu go, uzurpując sobie obowiązki nowych służących. – Proporcje zastawek paliwowych będą musiały poczekać przynajmniej kilka dni.

Wsunął ręce do rękawów, wyłożył warkocz na kołnier i z głębokim westchnieniem włożył kaftan. Tego rześkiego poranka jego ciężar był nawet miły.

– Czego więc chce Tabini? – mruknął. W pokoju byli jednak oboje służący i Bren nie spodziewał się od Banichiego odpowiedzi. Kiedy się obudził, Jago nie było. Tylko Tano i jego ponury partner, którzy przynieśli mu śniadanie. Już od dwóch nocy nie spał dobrze. Piekły go ze zmęczenia oczy. A musiał wyglądać porządnie i mieć jasny umysł.

– Tabini jest zaniepokojony – rzekł Banichi. – Stąd to przełożenie posiedzenia. Chce, żebyś po południu wyjechał z miasta. Zespół strażników ogląda teraz to miejsce.

– Co? Jego posiadłość?

– Kamień po kamieniu. Jeśli będzie to konieczne, Tano i Algini spakują twoje rzeczy.

O co mógł zapytać, skoro wiedział, że Banichi mu nie odpowie – że nie może udzielić odpowiedzi, do której udzielenia Tabini go nie upoważnił? Zaczerpnął głęboko powietrza, poprawił kołnier i spojrział w lustro. Po jego oczach było widać, że potrzebuje snu – i że po prawdzie jest lekko spanikowany, ponieważ decyzja nie zawiadamiania Mospheiry szybko stawała się nieodwołalna: rysowało się coraz mniej możliwości jej zmiany bez poważnego i hałaśliwego przeciwstawienia się osobom, których uprzejmej manipulacji – jeśli było nią to, co widział wokół siebie – być może nie warto było się opierać.

Może to paraliż woli. Może to instynkt mówi mu: siedź cicho, nie sprzeciwiaj się jednemu przyjacielowi, jakiego ma ludzkość na tej planecie.

Paidhiin można poświęcić. Mospheiry nie. Nie możemy stawić czoła całemu światu. Tym razem mają samoloty. I radar. I wszelkie środki techniczne.

Niewiele brakuje, żeby w ogóle już nas nie potrzebowali.

Za Brenem otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Jago, żeby, jak przypuszczał, dopilnować służących, którzy ciągle się dopytywali: „Marynaty, nadi?” i „Herbata z cukrem?”.

Moni i Taigi znali już odpowiedzi na takie pytania i nie zadawali ich przy każdej okazji. Tęsknił za nimi. Obawiał się, że już do niego nie wrócą, że już ich przydzielono komu innemu – miał nadzieję, że jakimś spokojnym, wpływowym, całkowicie normalnym atevim. Miał

nadzieję, że nie są w rękach policji i nie odpowiadają na szczegółowe pytania o niego i ludzi w ogóle.

Kiedy wychodzili na audyencję, Banichi otworzył drzwi po raz drugi. Wyszedł razem z nim, czując się raczej jak więzień niż obiekt oficjalnej troski.

– Aiji-ma. – Bren uklonił się ceremonialnie z rękoma na kolanach. Tabini miał na sobie koszulę i spodnie; nie włożył jeszcze swego najlepszego formalnego stroju i siedział w słońcu przed otwartymi drzwiami balkonowymi. Umieszczone wysoko w potężnej bryle Bu-javid nie wychodziły na ogród, lecz na niebo, zstępujące w dół tarasy starożytnych murów, i miasto stanowiące obrzeże fortecy – geometria dachów pokrytych dachówkami, które poranna mgiełka zmiękczyła do delikatnej czerwieni, dachów pomyślnie ustawionych względem siebie i względem położenia miasta nad rzeką. Za nimi łańcuch Bergid, wnoszący się ponad zamglonymi przez odległość równinami: wspaniały widok, chłodny, zapierający dech w piersiach poranek.

Stół stał w blasku słońca, do połowy wysunięty na balkon, na tle tego widoku. Tabini jadł śniadanie.

Tabini skinął na służących, którzy natychmiast przynieśli dwie filiżanki i odsunęli od stołu pozostałe dwa krzesła.

A więc spotkanie jest całkowicie nieformalne. Bren i Banichi usiedli na wskazanych miejscach. Łańcuch Bergid stanowił zamglone błękitne pasmo na niebie, a pod balustradą balkonu delikatną czerwienią dachówek rozłożyło się miasto.

– Ufam, że incydent się nie powtórzył – odezwał się Tabini.

– Nie, aiji-ma – odparł Banichi, słodząc sobie herbatę.

– Jestem tym wydarzeniem bardzo zaniepokojony – rzekł Tabini. Upił herbaty. – A także zaniepokojony, że stałeś się przedmiotem publicznych domysłów, Bren-paidhi. Musiałem zająć wyraźne stanowisko. Nie mogłem tego tak zostawić. Czy podczas posiedzeń ktoś się do ciebie zwracał?

– Nie – odpowiedział Bren. – Ale obawiam się, że wczoraj nie byłem zbyt spostrzegawczy. Nie jestem przyzwyczajony do czegoś takiego.

– Boisz się?

– Niepokoję. – Sam nie był pewien, co czuje. – Niepokoję się, że stałem się przyczyną takiego zamętu, skoro jestem tu dla twojej wygody.

– To bardzo dyplomatyczna odpowiedź.

– I jestem bardzo zły, aiji-ma.

– Zły?

– Że nie mogę chodzić tam, gdzie chcę i robić tego, co chcę.

– A czy paidhi kiedykolwiek może to robić? Nigdy nie chodzisz do miasta bez eskorty. Nie podróżujesz, nie urządzasz mi przyjęć, co z pewnością załatwia sprawę nawyków o najwyższym stopniu ryzyka, jak nazwałby je Banichi.

– To jest mój dom, aiji-ma. Nie jestem przyzwyczajony do przemykania się przez własne drzwi ani zastanawiania się, czy jakiś biedny służący nie otworzy ich sobie moim starym kluczem... Mam nadzieję, że ktoś ich ostrzegł.

– Owszem – odparł Banichi.

– Martwię się – powiedział Bren nad filiżanką. – Wybacz mi, aiji-ma.

– Nie, nie, nie, sam cię zapytałem. Są to uzasadnione troski i uzasadnione skargi. I nie ma potrzeby, żebyś z ich powodu cierpiał. Sądzę, że dobrze by ci zrobił krótki wyjazd do Malguri.

– Do Malguri? – Była to posiadłość nad Jeziorem Madingi – schronienie Tabiniego na wczesną jesień, kiedy kończyła się sesja ciał ustawodawczych i kiedy on sam regularnie wyjeżdżał na wakacje. Bren nigdy nie zapuszczał się tak daleko na kontynent. Właściwie, kiedy się nad tym zastanowił, tak daleko nie był żaden człowiek. – A ty jedziesz, aiji-ma?

– Nie. – Filiżanka Tabiniego była pusta. Służący nalał mu herbaty. Tabini odmierzoną porcją wrzucił do niej dwie kostki cukru i zamieszał. – Przebywa tam moja babka. Nie zetknąłeś się z nią osobiście, prawda? Nie przypominam sobie, żebyś doświadczył tej przygody.

– Nie. – Perspektywa spotkania z aiji-wdową napęłała go większym niepokojem niż zabójcy. Ilisidi przegrała wybory. Dzięki Bogu. – Czy, wybacz mi, nie wysyłasz mnie na teren nieco bardziej ryzykowny?

Tabini roześmiał się, marszcząc nos.

– Owszem, ona lubi się sprzeczać. Teraz jednak zupełnie wycofała się z życia. Mówi, że umiera.

– Mówi to od pięciu lat – mruknął Banichi. – Aiji-ma.

– Świetnie dasz sobie radę – rzekł Tabini. – Jesteś dyplomatą. Poradzisz sobie.

– Równie dobrze mógłbym polecieć na Mospheirę i usunąć się w cień, jeżeli ma to w czymś pomóc. Właściwie bardzo by to pomogło mnie. Czeka na mnie mnóstwo spraw osobistych. Moja matka ma chatę na północnym wybrzeżu...

Żółte oczy Tabiniego były kompletnie pozbawione wyrazu, całkowicie nieugięte.

– Ale ja nie mogę zagwarantować jej bezpieczeństwa. Całkowicie zaniedbałbym swoje obowiązki, gdybym sprowadził niebezpieczeństwo na twoich krewnych.

– Żaden ateva nie dostanie się na Mospheirę bez wizy.

– Na Mospheirę może dostać się staruszek na łodzi wiosłowej – mruknął Banichi. – I zapytaj mnie, czy potrafiłbym odnaleźć chatę twojej matki.

Staruszek na łodzi wiosłowej nie dostałby się na Mospheirę nie zauważony. Był gotów założyć się o to z Banichim. Nie miał jednak ochoty bez przyczyny ujawniać tego faktu ani Tabiniemu, ani Banichiemu.

– O wiele lepiej ci będzie w Malguri – powiedział Banichi.

– Jakiś głupek próbował wejść do mojej sypialni! Z tego, co wiem, równie dobrze mógł to być mój sąsiad, który wracał po pijanemu do domu przez ogród: prawdopodobnie jest przerażony, że mógłby zostać oskarżony o usiłowanie zabójstwa, a teraz mam przy moich drzwiach przewody!

Nie krzyczy się w obecności Tabiniego. I Tabini poparł Banichiego w kwestii przewodów. Bren przypomniał sobie swoje miejsce i ukrył zażenowanie, unosząc do ust filiżankę.

Tabini upił kolejny łyk herbaty; razem z Banichim odstawili filiżanki.

– Nie szkodzi – rzekł. – Śledztwo toczy się dalej i nie wymaga twojej pomocy. Przyjmij moją ocenę sytuacji. Czy kiedykolwiek zrobiłem coś na twoją szkodę?

– Nie, aiji-ma.

Tabini podniósł się i wyciągnął rękę, co nie było atevskim zwyczajem. Tabini zrobił to po raz pierwszy, kiedy się poznali, a potem jeszcze kilka razy. Bren wstał, ujął podaną rękę i uściskał ją z powagą.

– Uważam cię za jednego z cenniejszych pracowników mojej administracji – rzekł Tabini. – Uwierz mi, proszę, że to, co robię, bierze się z tej oceny, nawet to wygnanie.

– Co ja takiego uczyniłem? – zapytał, wciąż mając dłoń uwięzioną w większej dłoni Tabiniego. – Czy zrobiłem coś, co powinienem zrobić inaczej? Jak mogę się poprawić, jeśli nikt mi nic nie mówi?

– Kontynuujemy śledztwo – powiedział cicho Tabini. – W tej chwili mój prywatny samolot tankuje paliwo. Proszę cię, nie denerwuj mojej babki.

– Jak mogę tego uniknąć? Nie wiem, czym to na siebie sprowadziłem, Tabini-aiji. Jak mogę zachowywać się mądrzej niż dotąd?

Nacisk palców Tabiniego, a potem uwolnienie dłoni.

– Czy ktoś powiedział, że to twoja wina, Bren-paidhi? Pozdrów ode mnie babkę.

– Aiji-ma. – Jedynym wyjściem, jakie zostawił mu Tabini, było poddanie się. Pozwolił sobie tylko na cień buntu. – Czy mogę prosić o przesyłanie mi tam mojej korespondencji?

– Nie powinno z tym być żadnych trudności – rzekł Banichi – jeśli będzie się ją wysyłało przez biuro ochrony.

– Nie chcemy rozgłaszać miejsca twego pobytu – powiedział Tabini. – Ale ochrona oczywiście musi je znać. Uważaj na siebie. Stosuj wszelkie środki ostrożności. Pojedziesz prosto na lotnisko. Czy wszystko załatwione, Banichi?

– Bez żadnych problemów – potwierdził Banichi. Co to było to „wszystko”, Bren nie miał pojęcia. Nie pozostawało mu jednak nic innego, jak oficjalnie się pożegnać.

„Prosto na lotnisko” najwyraźniej znaczyło właśnie to, prosto w dół schodami w Bu-javid, na najniższy, wewnętrzny poziom, gdzie znajdowała się stacja kolejowa mająca połączenia z sieciami kolejowymi na całym kontynencie.

Było to pilnie strzeżone miejsce. Stacja leżała głęboko w samym sercu Bu-javid i mogli z niej korzystać jedynie mai'aajiiin: sam aiji oraz jego personel. Zwykły ruch obsługiwała inna stacja, usytuowana nieco niżej na wzgórzu.

Wszędzie stali strażnicy, co nie było niczym niezwykłym, ilekroć tu schodził. Przypuszczał, że stale obserwowali tory i stojące tu wagony – dyspozytorzy nie mieli pojęcia, kiedy komuś może przyjść do głowy, by gdzieś pojechać albo kiedy komuś innemu może przyjść do głowy, by ich skompromitować.

Czekał na niego wagon wyglądający na towarowy. Tramwaj wjeżdżający do środka zgarniał go po drodze na dół i wagon ten poruszał się po torach wśród innych zwykłych wagonów, wyglądając dokładnie jak wagon towarowy, aż po swoje namalowane i, jak można było się domyślać, stale zmieniane numery.

Był to wagon Tabiniego – luksusowe wnętrze, sala posiedzeń na kołach. Tam właśnie prowadził Brena Banichi.

– Ktoś jednak go odprawił – powiedział do Banichiego. Korzystał już z tego szczególnego wagonu, ale tylko raz do roku, kiedy jechał na lotnisko, i nigdy w czasie toczącej się waśni. Wszystko to trąciło nieco surrealizmem.

– Cel podróży: lotnisko – potwierdził Banichi, sprawdzając papiery. – Bez najmniejszych wątpliwości. Nie denerwuj się, nadi Bren. Zapewniam cię, że nie zamienimy cię miejscami z bagażem.

Banichi z niego żartował. Bren był naprawdę przerażony. Denerwował się, idąc po schodach, denerwował się na peronie, ale poszedł na koniec pozbawionego okien wagonu i usiadł na miękko wyściełanym krześle, nie dostrzegając niczego oprócz otaczającego go luksusu oraz pojedynczego monitora, pokazującego obraz stacji i śpieszących się robotników. Ogarnęło go uczucie, że jest żywcem połknięty, unoszony do miejsca, gdzie nie odnajdzie go żaden człowiek. Nikomu nie powiedział, dokąd wyjeżdża, nie zadzwonił do Hanks ani nie napisał do domu – i wcale nie był przekonany, czy Banichi wysłałby list, gdyby napisał go w tej chwili i poprosił Banichiego o tę przysługę.

– Jedziesz ze mną? – zapytał Banichiego.

– Oczywiście. – Banichi stał wpatrzony w monitor. – A, jest.

Z windy wyjechał wózek wysoko wyładowany białymi plastikowymi pudłami. Pchała go w kierunku wagonu Jago. Utknął na nierównym progu, Jago szarpała się z nim i klęła, aż Banichi ruszył się, żeby jej pomóc. Bren też wstał, żeby zaproponować wsparcie, ale w tej chwili wózek wjechał do wagonu, popchnięty z drugiej strony przez Tano, który też wchodził do środka.

Bren pomyślał z niepokojem, że bagaż na wózku musi zawierać wszystko, co miał w apartamencie, chyba że trzy czwarte ładunku stanowiły rzeczy Banichiego i Jago. Nie rozładowali wózka, tylko przymocowali go pasami do przedniej ściany.

Protesty byłyby na nic. Pytania w tej chwili mogły jedynie zdenerwować tych, którzy usiłowali ich wysłać ze wszystkimi niezbędnymi im rzeczami. Bren usiadł i nie ruszał się, podczas gdy Banichi i Jago podchodzili do drzwi, coś podpisywali i rozmawiali z innymi strażnikami.

Po chwili oboje wrócili do środka, oznajmili, że pociąg już jedzie i że zostaną do niego przyłączeni za parę minut. Tano zaproponował mu tymczasem napój orzeźwiający. Bren napił się apatycznie, a Algini przyniósł Banichiemu do podpisu jeszcze jeden papier.

Co to takiego? pytał się w duchu Bren. Czego dotyczy? Może to moja delegacja do Malguri?

Do więzienia, w którym umierała aiji-wdowa, ta osławiona, zgorzkniała kobieta, dwukrotnie pominięta w wyborach na stanowisko aijiego.

Człowiek zastanawiał się, czy miała jakikolwiek wybór miejsca pobytu i czy prawdziwe są krążące na jej temat plotki – że, obraziwszy Tabiniego, miała niewielki wybór.

Odrzutowiec szybko wzniosł się nad rozległym miejskim krajobrazem Shejidan – człowiek mógł wyróżnić wśród pokrytych dachówkami dachów trzy czy cztery główne budynki w centrum, publiczny Urząd Zapisów, Związek Rolniczy, długi kompleks Huty Shejidan, iglicę Zachodniego Zrzeszenia Kopalń i Przemysłu, biura administracyjne Patanadskich Zakładów Lotniczych i Kosmicznych. Ostatni zakręt przed wejściem na kurs ukazał oczom Brena przesuwający się pod skrzydłem samolotu Bu-javid, ufortyfikowane wzgórze, płataninę dziedzińców, tarasów i ogrodów – Bren wyobraził sobie, że widzi dziedziniec, przy którym mieszkał. Ogarnięty nagłą paniką zaczął się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczy swój apartament.

Wzniesli się na wysokość podrózną, przekraczającą możliwości przypadkowych prywatnych linii lotniczych. Pojawił się napój. Zapobiegliwość Tano. Właściwa troska Tano. Bren dąsał się, nie chcąc polubić Tano, który zastąpił bardzo lubianych służących, obsługujących go od jego przybycia do Shejidan, a teraz prawdopodobnie przeniesionych na inne stanowiska przez anonimową biurokrację, bez słowa wyjaśnienia. To nie było względem nich uczciwe. Lubił ich, nawet jeśli – co zapewne miało miejsce – nie potrafiliby tego zrozumieć. Był do nich przyzwyczajony, a teraz został ich pozbawiony.

Dąsanie się jednak na Tano i Alginię nie było też uczciwe względem nowych służących: wiedział o tym i, stosując zasady ateńskiej grzeczności, starał się nie okazywać im niechęci ani, w ogóle, żadnych uczuć względem tych dwóch obcych osób. Rozsiadł się więc wygodnie z najspokojniejszą miną, jaką udawało mu się utrzymać, i obserwował

przesuwając się pod skrzydłem ziemi i chmury, żałując że nie leci na bezpieczną Mospheirę.

Żałował też, że Banichi i Jago nie są tak kulturowo czy też biologicznie uwarunkowani, by zrozumieć słowo „przyjaciół” lub „sprzymierzeniec” w sposób, w jaki on je pojmował. No właśnie. Było to jednak równie prawdopodobne, jak to, że uda mu się przejść cieśninę Mospheiry suchą nogą.

Zbierało mu się na mdłości. Był już teraz prawie całkowicie przekonany, że popełnił poważny błąd, nie dzwoniąc do Deany Hanks natychmiast po incydencie, kiedy domniemany zabójca był jeszcze obiektem gorączkowych poszukiwań i zanim Banichi i Jago mogli otrzymać rozkazy odcinające go od telefonu.

Wtedy jednak o tym nie pomyślał – nie pamiętał o czym w ogóle myślał i uznał, że musiał przejść umysłowy wstrząs: najpierw usiłował całą sprawę zbagatelizować i odgrywał przed Banichim bohatera, potem postanowił sam wszystko „załatwić” wbrew obawom, że Hanks może przejąć kontrolę nad sytuacją – co oznaczało, że traci kontakt z rzeczywistością, że o tym wie i że wciąż nie przyjmuje do wiadomości faktu utraty panowania nad sytuacją.

W tej chwili, o ile potrafił to właściwie ocenić, nie miał już żadnych możliwości działania, chyba że chciałby rozważyć otwarty sprzeciw wobec zaproszenia Tabiniego do posiadłości leżącej o wiele godzin podróży od miasta, że chciałby się wyrwać z rąk obstawy na tamtym odległym lotnisku, z krzykiem, że go porwali i mordują, i błagać przypadkowe osoby o ratunek przed aijim.

Głupi pomysł. Równie głupi, jak pomysł odrzucenia zaproszenia Tabiniego w obecnych warunkach. Skoro zaś już zaczął myśleć o telefonach i posiadłości nad jeziorem, i uzyskaniu stamtąd połączenia z Mospheirą – prośba o połączenie z mospheirską siecią telefoniczną musiałaby przejść przez Bu-javid, na jedno więc wychodziło.

W końcu jego biuro na Mospheirze zaczęłoby się zastanawiać, dlaczego nie dzwoni... po jakichś dwóch tygodniach milczenia. Taka zwłoka między jego telefonami i konsultacjami nie była niczym dziwnym.

Po tych dwóch tygodniach milczenia jego biuro mogłoby się zaniepokoić na tyle, żeby pomyśleć o skontaktowaniu się z Departamentem Spraw Zagranicznych, który poleciłby czekać, aż sprawa zostanie przepuszczona przez odpowiednie kanały.

Po następnym tygodniu Departament Spraw Zagranicznych na Mospheirze mógłby już wyczerpać dostępne sobie kanały i zdecydować się na wysłanie notatki do prezydenta, który być może – być może – po konsultacji z odpowiednimi departamentami rady sam przeprowadziłby dochodzenie i w końcu przesłałby zapytanie do Tabiniego.

Można liczyć, że nim Mospheira nabierze pewności, że Shejidan gdzieś zawieruszył paidhiego, minie prawie miesiąc.

Niepokojące jest to odkrycie, że poszczególni atevi, których, jak sądził, rozumiał osobiście, oraz atevskie społeczeństwo, które, jak sądził, rozumiał intelektualnie, nagle nie

zachowują się w przewidywalny sposób. Za obrazę swojej dumy uznał to, że nie znalazł niczego mądrzejszego czy bardziej pomysłowego do roboty niż udawanie, że jest kompletnie naiwny i że wcale nie jest porywany na drugi koniec kraju – gdzie, jeśli spojrzeć prawdzie w oczy, mógł zniknąć na dobre. Nikt z Mospheiry, nawet Hanks, nie złamałby Traktatu, żeby wybrać się na poszukiwanie paidhiego, który mógł popełnić jakiś niewybaczalny błąd.

Nie, do diabła, oni nie zażądałoby wydania go. Po prostu wysłaliby nowego paidhiego, udzielając mu takich instrukcji, jakie byłoby w stanie przygotować, i zalecając, by trochę się hamował i nie był taki głupi.

Wierzył tak ślepo... Oczywiście wiedział, że Tabini zawsze będzie się opowiadał za atevimi i dbał wyłącznie o swoje własne interesy, ale Bren był przekonany, że wie, co to za interesy. Tabini nie odrzucał jego sugestii: w sprawach kolei, programu kosmicznego, badań medycznych czy komputeryzacji systemu zaopatrzenia. Tabini nie był przeciwny niczemu, co proponował Bren, bo inaczej, na litość boską, mógł coś powiedzieć i mogliby to razem omówić – ale nie, Tabini słuchał z inteligentnym zainteresowaniem, zadając bystre pytania. Wszyscy poprzednicy Tabiniego słuchali głosu rozsądku i z całego serca angażowali się w połączenie ekologii z postępem technicznym, którą to koncepcję atevi szybko pojęli.

Z drugiej strony, od czasu Wojny Ładowania, ludzie spełniali lub przynajmniej próbowali spełniać wszystkie prośby aijiin z rodu Tabiniego, aż po ostatni referat Brena na temat przetworzonego mięsa, w którym usiłował wyjaśnić Mospheirze, że komercjalizacja produkcji mięsa głęboko obraża uczucia Ragi, mimo że Nisebi nie widzą w tym nic złego i chętnie takie mięso sprzedają. Adaptacja kulturowa dotyczyła obu stron i Mospheira powinna opierać się na morzu i rybach, na które nie było okresu ochronnego, a tym samym pokazać swoim gospodarzom na tej planecie, że uczyniła wysiłek, by dostosować się do wrażliwości atevich, podobnie jak atevi zmienili swoje zachowanie, by dogodzić ludziom...

Czasami jego zadanie wydawało mu się podobne do toczenia pod górę przysłowiowego głazu. Już samo utrzymanie równowagi wydawało się trudne.

Atevi stali jednak u progu ery załogowych lotów kosmicznych. Mieli komunikację satelitarną. Posiadali niezawodny system lekkich wyrzutni. Niedługo będą mogli rozwinąć produkcję materiałów, dzięki którym, przy ludzkim doradztwie, zyskają szansę, by przeskoczyć etapy, jakie musieli pokonać ludzie, by wylądować na tej planecie, aż po wejście w atmosferę z użyciem silników i manewry złożone. Były to terminy, których on sam musiał się uczyć, pojęcia, które zgłębiał podczas swoich tak zwanych jesiennych wakacji, wbijając sobie do głowy szczegóły stanowiące ośnowę kolejnego referatu na temat polityki, który mógł wygłosić – i który pragnął wygłosić – w ciągu najbliższych pięciu lat, oczywiście, jeżeli uda się start rakiety o średnim udźwigu.

Ten etap nawet nie był konieczny, ale biuro na Mospheirze mówiło: grajmy na zwłokę, niech atevi opracują technologię średniego udźwigu. Materiały syntetyczne nie osiągnęły jeszcze odpowiedniej jakości, a chemiczny napęd raketowy i wczesne doświadczenia z lotów

załogowych dadzą atevim pewność siebie oraz stworzą polityczne i emocjonalne związki z programem kosmicznym – bo atevi bardzo lubią bohaterów.

Była to decyzja kulturowa, naukowa. Rozczarowała go jak diabli, ponieważ chciał być paidhim, który wprowadzi ich w kosmos, a chciał tego dokonać, będąc na tyle młodym, żeby samemu polecieć. To była jego tajemnica, osobiste marzenie, że jeśli atevi mieli na tyle zawierzyć jakiemuś człowiekowi, żeby go wysłać w kosmos, to mogliby zawierzyć paidhiemu, a on chciałby być właśnie tą osobą i sterować, jeśli nie statkiem kosmicznym, to ich postawami...

To był jego piękny sen. Koszmar był mniej konkretny; polegał jedynie na przeświadczeniu, które na długo przed wtargnięciem zabójcy do jego sypialni usiłował zasugerować Hanks i reszcie personelu biura, że nie można bez końca, po kawałku udostępniać atevim techniki, nie zwiększając w ten sposób roli przypadku. Chciał przez to powiedzieć, że umysły atevich nie działają na tych samych zasadach, co umysły ludzi, i że kulturowe uwarunkowania atevich każą im postrzegać pewne udogodnienia techniczne inaczej, niż robią to ludzie, oraz że dzięki swej pomysłowości atevi będą składać coraz więcej elementów, tworząc własne wynalazki, co do których nie będą się konsultować z Mospheirską Komisją Techniczną.

Dzięki Bogu, jak dotąd tymi niezależnymi wynalazkami nie były międzykontynentalne pociski rakietowe czy bomby atomowe. Bren jednak wiedział, podobnie jak wszyscy paidhiin przed nim, że jeśli pewnego dnia Traktat zostanie złamany, to on dowie się o tym jako pierwszy.

Patrzył na przepływającą pod skrzydłami samolotu ziemię, pola uprawne, pastwiska i lasy. W końcu wszystko przykryła warstwa chmur, przez którą, niczym strome wyspy, przebijały się czarne, pokryte śniegiem szczyty łańcucha Bergid. To fascynujące: obserwować przesuwanie się krawędzi jego widzialnego świata; i w pewien niepokojący sposób ekscytujące: widzieć tereny, których ludzie nigdy nie oglądali. Wszystko było nowe, dotąd zakazane.

Po pewnym czasie jednak chmury przykryły i szczyty. Mimo że niebo pozostało błękitne, ziemię pod nimi skrywała teraz pomarszczona powłoka bieli.

Cóż za rozczarowanie. Jeśli coś takiego pojawiało się nad cieśniną, to na długo. Nawet planeta dochowywała tajemnic atevich.

Nie oznaczało to jednak, że w trakcie porwania nie mógł wykonać jakiejś pożytecznej pracy. Już przedtem wyłowił z bagażu swój komputer. Ustawił go na stole i wyjął notatki dotyczące kwartalnej konferencji na temat rozwoju, które zawierały argumenty na rzecz utworzenia centrum informatycznego nad zatoką Costian, połączonego modemami ze studentami w Wingin.

„Jeżeli obecnie istnieje” – pisał – „jakiś obszar trudności technicznych, to jak na ironię jest to matematyka, gdzie odmienne wykorzystanie tej nauki przez nasze oddzielne kultury i

języki wytworzyły odmienne wyrażenia matematyczne na poziomie działań. Mimo że to różne postrzeganie matematyki stanowi bogate źródło rozważań dla matematyków i projektantów komputerów na przyszłość, to w obecnej chwili owe zasadnicze różnice pojęciowe są przeszkodą, szczególnie dla początkującego ateckiego studenta informatyki, usiłującego zrozumieć maszynę logiczną, która nie potwierdza pewnych jego oczekiwań, nie uwzględnia uproszczeń jego języka i która bazuje na architekturze logicznej przez wieki przystosowanej do ludzkiego umysłu.

Rozwój architektury komputerowej zgodnej z postrzeganiem ateckim jest zarówno nieunikniony, jak i pożądanym z punktu widzenia rozwoju gospodarczego państw, szczególnie jeśli chodzi o rozwój materiałów, lecz paidhi z całym szacunkiem zwraca uwagę, że z powodu tych trudności opóźnia się rozwój wielu pożytecznych i ważnych dla życia technologii.

Mimo że paidhi dostrzega ważne i rzeczywiste przyczyny utrzymywania w Traktacie Mospheirskim doktryny separacji, to wydaje się, że technika komputerowa sama w sobie może stać się łącznikiem między instruktorami na Mospheirze i studentami na kontynencie, tak by ateccy studenci mogli bezpośrednio korzystać z wiedzy ludzkich praktyków i teoretyków w celu upowszechnienia komputerów wraz z wszystkimi ich zaletami – zachęcając jednocześnie studentów do tworzenia programów redukujących rozbieżności, podczas czego mogą oni wykazać się właściwymi ateckimi umiejętnościami matematycznymi.

Ponadto taki ośrodek studiów może służyć jako model do wyszukiwania innych dziedzin, w których bez szkody dla żadnej ze stron ateckich mogą bezpośrednio wkraczać na terytorium nauk empirycznych i tworzyć robocze porozumienia odpowiednie dla obu kultur.

Przywołuję tu na pamięć dokładne sformułowania Traktatu Mospheirskiego, który przewiduje eksperymentalne kontakty naukowe, prowadzące do stworzenia jednolitych definicji i jasnej terminologii, co ma na celu przyszlą międzykulturową współpracę pod kierownictwem odpowiednich władz ateckich.

Wydaje mi się to jednym z tych obszarów, na których współpraca mogłaby się okazać korzystna dla ateckich, rozszerzając zrozumienie międzykulturowe, wypełniając wszystkie zalecenia Traktatu, w którym...”.

W fotelu stojącym naprzeciwko usiadł Banichi.

– Jesteś taki zajęty – powiedział.

– Pisałem tekst mojego wystąpienia na konferencję kwartalną. Ufam, że wrócę na czas.

– Twoje bezpieczeństwo jest ważniejsze. Gdybyś jednak nie mógł być obecny, na pewno dopilnuję, żeby tekst dotarł do uczestników.

– Z pewnością moja obecność nie podlega żadnej kwestii. Do konferencji są jeszcze cztery tygodnie.

– Prawdę mówiąc, nie wiem.

Nie wiem, pomyślał z niepokojem Bren. Nie wiem. Jago postawiła przed Banichim napój i sama usiadła w drugim fotelu stojącym naprzeciwko Brena.

– To przyjemne miejsce – rzekła. – Nigdy tam nie byłeś.

– Nie. Byłem w Taiben. W Malguri nie. – Grzecznością mógł się posługiwać automatycznie, usiłując jednocześnie znaleźć eufemizm na porwanie. Zapisał swoje dzieło na dysku i zamknął komputer. – Ale cztery tygodnie, nadi! Nie mogę wykonywać mojej pracy z drugiego końca kraju.

– To wielka okazja – rzekł Banichi. – Żaden człowiek przed tobą, nand' paidhi, nie odbył takiej podróży. Rozchmurz się.

– A co z aiji-wdową? Mieszkanie pod jednym dachem z członkiem rodziny aijiego, z kobietą, której nie znam – czy ktoś jej powiedział, że przyjeżdżam?

Banichi obnażył zęby w grymasie rozbawienia.

– Jesteś zaradny, paidhi-ji. Z pewnością dasz sobie z nią radę. Mogła być aijim, przynajmniej dla twojego poprzednika...

– Gdyby nie hasdrawad – wtrąciła Jago.

Hasdrawad wybrał jej syna, na którym, jak podobno głośno oznajmiła, powinna dokonać aborcji, kiedy jeszcze miała po temu okazję; po czym, jakby tego było mało, hasdrawad pominął ją drugi raz po zabójstwie jej syna, ignorując roszczenia wdowy do sukcesji i wybierając jej wnuka, Tabiniego.

– Ona darzy Tabiniego względami – rzekł Banichi. – Wbrew raportom. Zawsze go faworyzowała.

W wieku siedemdziesięciu dwóch lat upadła podczas polowania. Złamała ramię, rękę i cztery żebra, wstała i przejechała resztę trasy, dopóki nie schwytano zwierza.

Następnie podobno zaatakowała palcatem gospodarza terenu za skaleczenie, które odniósł jej cenny, rodowodowy skoczek rasy matiawa.

– Nie jest znana – powiedział poważnie Banichi – z cierpliwości.

– Ależ skąd – zaprzeczyła Jago. – Szczególnie, kiedy wymaga jej coś, do czego dąży wdowa.

– Czy to prawda, co się mówi o sukcesji?

– Ze ojciec Tabiniego został zabity? – zapytał Banichi. – Tak.

– Nie odnaleziono zleceniodawcy – dodała Jago. – A szukały go bardzo kompetentne osoby.

– Nie było żadnych poszlak, z wyjątkiem zadowolenia wdowy – powiedział Banichi. – Co nie jest dopuszczalnym dowodem. Oczywiście, nie ona jedna miała motyw. Jej ochrona osobista to jednak nie przelewki.

– Licencjonowani? – zapytał Bren.

– O, tak – odparł Banichi.

– Większość jej ochroniarzy jest wiekowa – rzekła Jago. – Trochę zacofani.

- Teraz – wyjaśnił Banichi. – Nie powiedziałbym jednak, że tak było wtedy.
- I to takie schronienie znalazł mi Tabini-aiji?
- Aiji-wdowa naprawdę darzy go względami – rzekła Jago.
- No, w większości spraw – uzupełnił Banichi.

Samolot opadł ciężko na pas startowy, tonący w straszliwej ulewie – inne samoloty zostały skierowane na lotnisko na nizinie. Tak powiedział Banichi. Załoga aijiego leciała jednak dalej. Silniki przeszły na ciąg hamujący, hamulce zapiszczały na wilgotnych płytach, samolot wykonał kontrolowany skręt w prawo i szybko podjechał pod niewielki terminal.

Bren popatrzył ponuro na potoki deszczu, na strażników i ciężarówki śpieszące do samolotu aijiego – na Mospheirze nie witano go z taką pompą. No, ale ludzie witający go na Mospheirze nie byli uzbrojeni.

Rozpiął pas, wstał z komputerem w rękę i poszedł za Banichim do otworzonych przez pilota drzwi. Jago trzymała się w pobliżu.

Deszcz uderzył ich w twarze, tworząc widoczną mgiełkę. Uderzał w płyty pasa startowego, spowijając wszystko w szarości, tak że jezioro widoczne z lotniska zlewało się z niebem, a otaczające je wzgórza stanowiły na tym tle zapórę cienia.

Malguri, pomyślał, musi leżeć gdzieś na tym wysokim brzegu, z widokiem na jezioro.

– Wysyłają samochód – krzyknęła do nich Jago. W rękę trzymała kieszonkowy komunikator. Ktoś zaczął ciągnąć w kierunku samolotu ruchome schodki, żeby mogli zejść na ziemię. Nie miały osłony przed deszczem, w jakie były wyposażone schodki na lotnisku w Shejidan. Przypuszczalnie mieli po tych schodkach zbiec.

Zastanawiał się, czy gdyby tym samolotem przyleciał Tabini, to taka osłona by się znalazła. Albo czy samochód zaparkowałby bliżej.

Zagrzmiało; na mokrym betonie zaśniły odbicia błyskawic.

– Pomyślności – mruknął Bren, wcale się nie paląc do zejścia po metalowych schodkach przy tak częstych wylądowaniach. Schodki jednak uderzyły w bok samolotu, powodując lekki wstrząs. Do środka wpadł deszcz, zimny jak sama jesień.

Ubrana w płaszcze przeciwdeszczowe obsługa zaczęła krzyczeć i machać na nich, żeby wyszli z samolotu. Banichi posłuchał. Cholera, pomyślał Bren i pośpieszył skulony za nim, kurczowo trzymając się zimnej, śliskiej metalowej poręczy. Wzdrygnął się, kiedy błyskawica oświetliła schodki i beton, a nad głową odezwał się grzmot. Zapaliłyby się jak świeca, ot co. Dotarł do płyty lotniska i z ulgą rozstał się z metalowymi schodkami. Zobaczył Banichiego w otwartych drzwiach furgonetki i, usiłując nie pośliznąć się, ruszył do niej biegiem, słysząc, jak z tyłu schodki trzeszczą pod stopami Jago.

Dotarł do schronienia. Tuż za nim przybiegła Jago i rzuciła się na fotel. Jej czarna skóra lśniła od deszczu. Kierowca wysiadł, żeby zamknąć drzwi, i stanął jak wryty z

wytrzeszczonymi oczyma. Zimna mgła wtargnęła do środka. Najwyraźniej nikt mu nie powiedział, że będzie wiół człowieka.

– Zamknij drzwi! – rzucił Banichi. Przemoczony kierowca zatrzasnął je i pośpiesznie usiadł na swoim fotelu z przodu.

– Algini i Tano – zaprotestował Bren, pochylając się, by spojrzeć na samolot przez zalaną deszczem szybę. Trzasnęły drzwi kierowcy.

– Przywiozą bagaże – rzekła Jago. – Innym samochodem.

Na wypadek bomb, domyślił się ponuro Bren. Kierowca zwolnił hamulec, włączył bieg i rozpoczął zwyczajową przemowę powitalną, dziarsko życząc im miłego pobytu w Maidingi, Klejnocie Gór, i z wprawą klepiąc informacje o pomyslnym rozmieszczeniu gór, kosmicznie harmonijnym i szczęśliwym, oraz o „wdzięcznym wpływie” górskich źródeł leżących nad Jeziorem, Zwierciadłem Niebios.

W tej chwili w Zwierciadle Niebios nic się nie odbijało. Deszcz rozbijał obrazy zalewanych wodą budynków i szarej pustki przesuwającej się za szybami pędzącego auta – Bren spodziewał się, że staną przy terminalu i złapią pociąg do Malguri, ale furgonetka przemknęła obok wszystkich wejść do terminalu i ruszyła w kierunku ogrodzenia z siatki, i jeziora.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Bren, rzucając na Banichiego spojrzenia pełne niepokoju. Pomyślał, że Banichi z pewnością zaprotestuje przeciwko temu dziwnemu objazdowi; być może wszyscy są w niebezpieczeństwie i powinien trzymać język za zębami.

– To zgodne z planem, nadi – rzekła Jago, kładąc mu rękę na kolanie. – Wszystko jest ustalone.

– Co jest ustalone?

Był rozdrażniony. Nerwowo dzielił uwagę między zbliżające się ogrodzenie i spokojną twarz Jago, a potem poświęcił ją już tylko ogrodzeniu. Zderzenie wydawało się nieuniknione.

Kierowca skręcił jednak do bramy, która automatycznie się przed nimi otworzyła. Jago nie odpowiedziała na pytanie.

– Dokąd jedziemy?

– Zachowaj spokój – rzekł cicho Banichi. – Przyjmij, proszę, moje zapewnienie, nand' paidhi, że wszystko jest w najlepszym porządku.

– Nie jedziemy koleją?

– Kolej nie dociera do Malguri – odparł Banichi. – Jedzie się samochodem.

Nie powinno się jechać samochodem. Nie powinno być żadnych połączeń samochodowych między lotniskiem i jakąkolwiek miejscowością, bez względu na to, jak się było bogatym: zasadą podobno było najbliższe połączenie kolejowe... Czy między Malguri a lotniskiem w ogóle nie ma torów?

Napis na furgonetce, zrobiony dużymi literami tuż nad głową kierowcy, głosił: „Linie Lotnicze Maidingi”. Czy pojazd linii lotniczych zwykle obsługiwał prywatnych pasażerów? Nie mieli licencji na transport naziemny.

Może ochrona ma specjalne upoważnienie. Ale czy sprawa jest tak poważna?

– Czy obawiamy się wynająć autobus? – zapytał i pokazał palcem wyraźnie napisaną nazwę linii lotniczych.

– Do Malguri nie jeździ autobus.

– Takie jest prawo. Powinien być wynajęty autobus...

Furgonetka gwałtownie skręciła, rzucając Brena na Jago.

Jago poklepała go po nodze, on zaś założył ręce i oparł się wygodnie w fotelu, by zebrać resztki godności i pewności siebie. Ciągłe grzmiało.

Istniały miejsca, gdzie lokalna technika nie nadążała za przepisami. Istniały miejsca stanowiące gospodarcze wyjątki.

Ale własna posiadłość aijiego nie była, do cholery, jednym z nich. Tabini nie mógł wynająć autobusu? Albo autobus do miasteczka Maidingi nie obsługiwał Malguri, które leżało tuż obok? Aiji miał dawać przykład w stosowaniu przepisów ochrony środowiska. Kabiu. Dobry precedens. Właściwe zachowanie. Pozory.

Gdzie, do diabła, znajduje się ta posiadłość, skoro nie może ich tam dowieźć miejski autobus?

Żwir prysnął spod opon i furgonetka wjechała, podskakując, na drogę. Po jednej stronie widniała szara pustka, po drugiej piętrzyła się góra. Droga przestała być utwardzona w jakikolwiek sposób i przypomniał mu się poprzednik, który wykorzystał prawo weta przeciwko projektowi ustawy o drogach dojazdowych, wysuniętemu przez wysoko położone wioski, oraz jego własne zapewnienia, skierowane do lekko wstawionego aijiego, że coś takiego „podkopałoby priorytet kolei” i że projekt górskich wiosek jest zasłoną dymną (kiedy aiji zrozumiał to wyrażenie, z zachwytem zaczął je stosować) skrywającą prowincjonalne ambicje i zachęcającą prowincjonalnych aijiin do buntu.

Identyczną argumentacją posługiwali się jego poprzednicy. Jego samego paranoiczna logika, którą ta argumentacja wyzwalała u Tabiniego, przyprawiała o mdłości z etycznego punktu widzenia, ale Tabini wydawał się przyjmować ją jako całkowicie rozsądną atejską logikę i paidhi z czysto ludzkich powodów nie odbiegał od argumentów swoich poprzedników: paidhi trzymał się tego, co było skuteczne w przypadku minionych administracji i za czym stała atejska logika, chyba że bardzo starannie opracował poprawkę i przepuścił ją przez radę.

A ta droga była najwyraźniej efektem ubocznym tej logiki, opartej na wecie jego poprzednika co do systemu dróg, logiki podtrzymywanej przez niego.

Żadnego autobusu. Żadnego utwardzenia.

W czasie wakacji jeździł na nartach. Był zapalonym narciarzem. Przemierzał interesujące drogi na górze Allan Thomas na Mospheirze.

Utwardzone drogi. Serdeczne dzięki. Zjeżdżanie na nartach z góry to jedno.

Ten...

...pojazd nie był przeznaczony do jazdy po górskich drogach. Na zakrętach wpadał w poślizg.

Kurczowo trzymał komputer, żeby nie poleciał na tył furgonetki. Pomyślał, że może zmieni swoje zalecenia co do wniosku dotyczącego dróg pozamiejskich.

Furgonetka wspinała się po zalewanym deszczem żwirze dobrze ponad godzinę, wyła, ślizgała się i walczyła z pnącymi się pod górę serpentynami, wyrzucając spod kół fontanny żwiru. Szara przestrzeń i zacinający deszcz wypełniały okna prawie ze wszystkich stron. Furgonetka szarpnęła w górę, w pustkę, przechyliła się; Bren chwycił się fotela wolną i zbieła z wysiłku ręką. Jago wpadła na niego, a obok, pod nim i przed nim, zamajaczyło coś, co mogło być Jeziorem Maidingi lub wolną przestrzenią – nie chciał patrzeć. Nie chciał sobie tego wyobrazić.

Ile czasu zajmie ratownikom odnalezienie ich, gdyby któraś opona ześliznęła się z rozmokłej od deszczu krawędzi i samochód runąłby do jeziora?

Kolejny wstrząs – i ześlizg.

– Boże!

Kierowca z zaskoczeniem spojrział na niego przez lusterko wsteczne, co na chwilę oderwało jego uwagę od kierownicy. Potem Bren trzymał już usta na kłódkę. Banichi zaczął jednak z kierowcą rozmowę, podczas której atewa wciąż zerkał do tyłu, by nadać wagę swoim słowom.

– Proszę cię, nadi! – odezwał się Bren.

Żwir spadł w przepaść. Prawe opony trafiły na dziurę wymytą przez wodę i omal nie ześliznęły się z krawędzi drogi. Bren był tego pewien.

A potem, za zakrętem, zamajaczyła na szarym tle spowita w deszcz potężna bryła cienia. Wznosiły się tam kamienne wieże i iglice, widoczne poprzez krystaliczne rozbryzgi deszczu na szybie. Nie potrafił teraz stwierdzić, gdzie jest droga, chociaż chrzęst żwiru pod kołami mówił mu, że jeszcze jej nie opuścili.

– Malguri – oznajmił Banichi swym głębokim głosem.

– Forteca z XLIII wieku – dodał kierowca – klejnot architektury tej prowincji... utrzymywana z prowincjonalnych funduszy, jesienna rezydencja głównego aijiego, obecnie aiji-wdowy...

Siedział, ściskając walizeczkę z komputerem, i obserwował przez przednią szybę wieże, które rosły coraz bardziej i, wyłaniając się z wszechogarniającej szarości mgły, ujawniały

szczegóły, leżące poniżej jezioro, ciemną szarość kamienia i ociekające deszczem chorągwie herbowe, zwisające z najwyższych kondygnacji.

Był przyzwyczajony do atevskiej architektury, nawykł do starożytności w Shejidan i znajdował ją w obyczajach dworu aijiego, lecz to miejsce, najeżone wieżyczkami i blankami, nie było zbudowane w stylu lądowania, tak rozpowszechnionym w stolicy. Data podana im przez kierowcę pochodziła z czasów na długo przedtem, nim ludzie zawitali do tego układu, na długo przed istnieniem zabłąkanego statku czy stacji kosmicznej, z czasów, zanim – Bren szybko to obliczył – człowiek w ogóle wyruszył w kosmos.

Wycieraczki oczyszczały obraz naprzemiennymi machnięciami. Z pierwotnego potopu tworzył się świat i zaraz w nim znikał. Rozwarły się drewniane wrota, przez które wjechali do środka, na wyłożoną kamieniami drogę, która zakręcała pod szeroki portyk, dający dość dobrą osłonę przed deszczem.

Furgonetka zatrzymała się. Banichi wstał i otworzył drzwiczki od środka. Za nimi widać było pograżony w cieniach ganek i otwarte drewniane drzwi. Z tej cieplej, na złoto oświetlonej ciemności pośpieszyła na spotkanie furgonetki garstka atevich. Wszyscy byli swobodnie ubrani, co pasowało do wiedzy Brena o wiejskim życiu. Wyjąwszy wysokie buty, były to stroje odpowiednie do domku myśliwskiego, takiego jak Taiben czy, jak podejrzewał Bren, także i Malguri, zważywszy na otaczającą je dziką okolicę... Prawdopodobnie odbywały się tu duże polowania, kiedy w posiadłości przebywał jakiś bardziej energiczny członek rodziny aijiego.

Wyszedł z furgonetki za Banichim, z komputerem w ręku, domyślając się ze stylu tego miejsca, że jeśli personel zechce dostarczyć gościom rozrywki, to podczas jego wizyty mogą się tu nawet odbyć jakieś oficjalne polowania. Banichi i Jago na pewno chętnie wzięliby w nich udział. On nie – przedzieranie się przez zakurzone chwasty, nabawianie się oparzeń słonecznych i patrzeć na własną kolację przez muszkę strzelby nie było jego ulubionym sportem. Bał się o komputer, który mógł mu zawilgnąć w kłębiącej się wokół nich zimnej mgły, wciąganej pod portyk przez przeciąg. Bardzo chętnie skończyłby już to powitanie i schroniłby się przed deszczem.

– Paidhi – powiedział Banichi i położył mu ciężką dłoń na ramieniu. – Bren Cameron, pozostający w bliskim związku patronackim z Tabini-aijim, we własnej osobie, przywitajcie go serdecznie... – Była to zwykła formalność. Bren skłonił się, mruknął w odpowiedzi na grzeczności personelu: „Honor i dzięki”, podczas gdy Jago zatrasnęła drzwiczki furgonetki i odprawiła kierowcę. Samochód odjechał zgrzytliwie w burzę i jakimś sposobem cały komitet powitalny stopniowo zaczął się posuwać po kocich łbach w kierunku głównych drzwi, pytając o zdrowie i samopoczucie aijiego. „Dzięki Bogu” – pomyślał Bren. Kiedy obejrzał się, odpowiadając na jakieś pytanie, zauważył na wybrukowanym dziedzińcu starożytną armatę spowitą w zasłonę deszczu; kiedy zaś spojrzął przed siebie, jego wzrok napotkał złociste, przytłumione światło wylewające się przez drzwi wraz z falą cieplejszego powietrza.

Podłoga holu była wyłożona kamiennymi płytami, a drewnianą konstrukcję ścian wypełniał tynk. Chorągwie zwisające z poczerniałych ze starości krokwi same musiały mieć setki lat – ich kolory spłwiałały, a zawiłych, węzowych znaków zdobiącego je starożytnego pisma paidhi z całą pewnością nie znał. Rozpoznał barwy Tabiniego, a na środkowej chorągwi widniało jego osobiste godło: baji na czerwonym kole w niebieskim polu. Na wszystkich ścianach wisiał oręż: miecze i broń, której nazw nie znał, ale widział ją też w domku w Taiben, wiszącą przy podobnych skórkach, plamistych i cieniowanych, przybitych do ścian lub przerzuconych przez fotele, których kształt nie miał nic wspólnego z wzornictwem ludzi.

Banichi znów chwycił go za ramię i przedstawił kolejnym osobom, tym razem dwóm służącym płci męskiej, co wymagało następnej kolejki ukłonów.

– Zaprowadzą cię do twoich apartamentów – rzekł Banichi. – Zostaną ci przydzieleni.

Już zapomniał ich imion. Ale, już miał na końcu języka, co z Alginim i Tano jadącym z lotniska? Po co mi ktoś inny?

– Przepraszam – powiedział z pełnym zakłopotania ukłonem. – Nie zapamiętałem imion.

Paidhi był dyplomata, paidhi nie pozwalał sobie na takie rozluźnienie uwagi, nawet jeśli chodziło o imiona służących. Jeszcze nie był w pełni skupiony, zadawał sobie pytanie, czy Banichi albo Jago znają tych służących, albo jak mogą im ufać?

Oni jednak złożyli ukłon i cierpliwie oraz uprzejmie jeszcze raz się przedstawili: Maigi i Djinana, zaszczytzeni służbą dla niego.

Okropny początek – atevi starają się być dla niego uprzejmi. Wpychano go do miejsc, których nie znał, w kulturze i tak już wystarczająco dziwnej, i Bren był tym wszystkim przytłoczony.

– Idź z nimi – rzekł łagodnie Banichi i dodał coś w jednym z regionalnych dialektów, na co służący skinęli głowami i ukłonili się, przyglądając się mu z twarzami równie pozbawionymi wyrazu, jak twarze Banichiego i Jago.

– Nand’ paidhi – odezwał się jeden z nich. Maigi. Musi nauczyć się ich rozpoznawać.

Maigi i Djinana, powtarzał sobie w kółko, idąc za nimi przez hol i pod sklepionym przejściem do kamiennych schodów z balustradą z brązu. Nagle zdał sobie sprawę, że właśnie stracił kontakt wzrokowy z Jago i Banichim, ale Banichi kazał mu iść, Banichi najwyraźniej uznał, że służący są godni zaufania. Nie miał zamiaru obrazić ich po raz drugi brakiem ufności.

Ruszył zatem schodami na piętro dziwnego domu, rządzonego przez jeszcze dziwniejszą starą kobietę. Służący, za którymi szedł, rozmawiali ze sobą w języku, którego paidhi nie znał, a w powietrzu unosił się zapach kamienia i starożytności. Sale o drewnianych podłogach na piętrze nie były tynkowane – Bren przypuszczał, że są przeznaczone dla pomniejszych gości. Pod wyraźnie starymi sufitami biegły rury i przewody, a nagie wolframowe żarówki

zwieszały się z kinkietów oplecionych zakurzonymi, wiekowymi przewodami z izolowanej miedzi.

To jest gościnność Tabiniego? zapytał się w duchu Bren. To tak mieszka jego babka?

Nie do wiary. Był obrażony, naprawdę obrażony i nieco urażony, że Tabini wysłał go do tego obskurnego, przygnębiającego domostwa z przestarzałą kanalizacją i, Bóg wie, jakimi łózkami.

Korytarz się kończył. Zamykało go dwoje ogromnych drzwi. Następna wędrówka, pomyślał ponuro, do jakiegoś zatęchłego kąta oddalonego od wdowy i jej personelu.

To prawdopodobnie nie była wina Tabiniego. Może to wdowa zmieniła jego polecenia. Być może babka nie chce gościć u siebie człowieka i umieści go pod schodami czy w jakimś składziku. Banichi i Jago zaprotestują, kiedy się o tym dowiedzą. Babka się obrazi, Tabini się obrazi...

Służący otworzyli drzwi: dywan, przestronny salon i meble... Boże, całe pozłacane i rzeźbione, a dywany, jak nagle uświadomił sobie Bren, nie były fabryczne. Miękkie, blade światło padało z dużego, ostrołukowego okna o małych, prostokątnych szybkach, obramowanego szybkami koloru bursztynu i nieba – piękna rama dla szarej, spryskanej deszczem nicości.

– To pokój przyjęć paidhiego – rzekł Maigi, a Djinana otworzył boczne drzwi i wprowadził Brena do równie bogatego pokoju z ogniem płonącym na kominku – nielegalne źródło ciepła, zauważył odizolowaną, obserwującą częścią mózgu, lecz przodomózgowie miał zajęte innymi szczegółami, głowami, skórą i bronią na ścianach, rzeźbionymi meblami z drewna, antycznym dywanem z powtarzającymi się w nieskończoność medalionami baji-naji, oknami identycznymi jak w poprzednim pokoju, od którego ten, choć mniejszy, wcale nie był mniej bogato urządzone.

– Prywatny salon – rzekł Maigi i otworzył drzwi do pozbawionego okien bocznego pokoju w tym samym stylu, z długim, wypolerowanym drewnianym stołem biegnącym od ściany do ściany.

– Jadalnia – oznajmił Maigi i pokazał mu sznur od dzwonka, którym można ich wzywać.

– Taki sam jak w salonie – powiedział Maigi i pociągnął Brena do tyłu, żeby mieć pewność, że paidhi go zobaczył.

Bren zaczerpnął głęboko powietrza. Wszędzie kamienne ściany, wypolerowane drewniane podłogi, przyćmione światła, pozłota... Zaczęło to przypominać zwiedzanie muzeum: Maigi i Djinana pokazywali szczególnie duże głowy zwierząt, których trzy gatunki, jak wyznali, były już wymarłe, i rozwijali objaśnienia dotyczące sprzętów o szczególnej wadze historycznej.

– Prezent ślubny aijiego prowincji Deinali dla spadkobiercy aijiego z czwartej dynastii i spadkobierczynie Deinali: małżeństwo to nie zostało skonsumowane z powodu śmierci spadkobiercy aijiego po upadku ze ścieżki w ogrodzie...

Jakiej ścieżki w ogrodzie? zapytał się w duchu, postanawiając unikać tego niebezpiecznego miejsca.

To paranoja związana z przylotem do Malguri działa mu na nerwy. Na pewno.

A może to szklane oczy martwych zwierząt, patrzące na niego ze ścian, nieme i bezradne.

Maigi otworzył jeszcze jedne drzwi: sypialnia o wiele, wiele większa, niż nakazywał rozsądek, z jakimś – Bren przypuszczał, że to łóżko, a nie kanapa – meblem na podwyższeniu. Włócznie podtrzymywały spowijające go zasłony, a samo łóżko było zarzucone skórą zwierząt i ustawione na kamiennym postumencie. Maigi pokazał mu jeszcze jeden sznur od dzwonka i szybko poprowadził go do jeszcze dalej położonego – Boże! – pokoju.

Poszedł za służącym; zaczynał mieć idiotyczne wrażenie, że cała sprawa zakwaterowania paidiego wymknęła się spod kontroli. Maigi otworzył boczne drzwi prowadzące do pokoju z kamienną podłogą, dziurą w tej podłodze, srebrną misą i stertą lnianych ręczników.

– Wygódka – oznajmił eufemistycznie Maigi. – Proszę używać tych ręczników. Papier zatyka rury.

Domyślał się, że jego konsternacja dała się zauważyć. Maigi wziął z wypolerowanego srebrnego kotła bardzo ozdobny czerpak i wylał wodę do dziury w podłodze.

– Właściwie – odezwał się Djinana – woda stale płynie. Aiji Padigi kazał założyć instalację w 4879 roku. Czerpak służy, oczywiście, do spłukiwania ręczników.

Było to wyrafinowane, eleganckie, było... przerażające, takie właśnie miał wrażenie. Atevi nie byli zwierzętami. Podobnie jak on. Nie mógł z tego korzystać. Musi być coś innego, może na dole; dowie się i będzie chodził aż tam.

Djinana otworzył podwójne drzwi za wygódką, które prowadziły do łazienki z olbrzymią kamienną wanną i rurami biegnącymi po podłodze.

– Uważaj pod nogi, nadi – ostrzegł Djinana. Najwyraźniej kanalizację założono tu też dopiero po pewnym czasie. Ilość wody zużywanej na jedną kąpiel musiała być ogromna.

– Twoi służący będą co wieczór rozpalać dla ciebie ogień – oznajmił Djinana i zademonstrował, że jest bieżąca woda, podczas gdy Bren oswajał się z drobną informacją, że Algini i Tano nie zaginęli, że jego bagaż może jeszcze do niego dotrzeć i że mimo wszystko może nie zostanie sam na sam z Djinaną i Maigim.

Tymczasem Maigi otworzył boiler wiszący na kamiennej ścianie. Z góry wchodziły do niego dwie rury: grubsza musiała doprowadzać zimną wodę, a gorąca woda spływała inną rurką do wanny. Brena intrygowała jednak druga, cieńsza rura – dopóki nie zdał sobie sprawy, że błękitny płomyk w boilerze musi być zasilany właśnie przez nią. Metan. Tylko czekać aż nastąpi eksplozja. Albo udusi się, jeżeli płomyk zgaśnie i w łazience zgromadzi się gaz.

Mój Boże, pomyślał, dodając do listy kolejny złamany zakaz – w przypadku niektórych groziło to śmiercią – i idąc za służącymi przez wygódkę z powrotem do pokoju.

Czy Tabini wysłał go tu ze względu na bezpieczeństwo? Gdy już zrozumiał, czym są niektóre z tych rur i linii elektrycznych, przypomniał sobie inne widziane po drodze instalacje w starożytnych murach, z których jedne, jak teraz zdawał sobie sprawę, z pewnością rozprowadzały po pomieszczeniach metan, a inne były antycznymi przewodami elektrycznymi, źródłem iskier.

Budynek jeszcze stał. Kable były bardzo stare. Podobnie jak rury. Najwyraźniej personel jest ostrożny... na razie.

– My, oczywiście, jesteśmy do twoich usług – powiedział po drodze Maigi. – Twój własny personel powinien niedługo przybyć. Będą mieszkać w pokojach dla służby. Jeden dzwonek na nich w sprawach osobistych; dwa na nas w sprawach jedzenia i poprawek w pokojach. Służymy samemu Malguri i w imię tutejszej gościnności spełnimy oczywiście wszelkie specjalne wymagania paidhiego.

Djinana poprowadził procesję powrotną do salonu i, wzięwszy ze stołu oprawny w skórę tomik, podał go wraz z piórem Brenowi.

– Zechciej dodać swoje nazwisko do naszych znamienitych gości – poprosił Djinana, a kiedy Bren zabierał się do pisania, dodał: – Jeszcze większym wyróżnieniem byłoby, nadi, gdybyś podpisał się w swoim własnym języku. Coś takiego nie miało tu jeszcze miejsca.

– Dziękuję – powiedział dość wzruszony tak wyraźnym dowodem prawdziwie ciepłego przyjęcia w tym sanktuarium i posłusznie podpisał się pismem atevich oraz, o ironio, o wiele mniej wprawnie w mospheiranie.

Usłyszał ciężkie kroki w holu. Podniósł głowę.

– Niewątpliwie to twoi służący – stwierdził Maigi i po chwili przez zewnętrzne drzwi wszedł Tano z dwoma dużymi pudłami, zagrażając po drodze przez pokój przyjęć antycznemu stolikowi.

– Nand' paidhi – rzekł zdyszany i przemoczony Tano. Djinana pośpiesznie zaprowadził go do sypialni, żeby uratować meble, jak przypuszczał Bren. Miał nadzieję, że w tych przemoczonych pudłach są jego ubrania, szczególnie swetry i średniej grubości kaftan.

– Czy paidhi zechce się napić herbaty? – zapytał Maigi.

Stuknięcie zewnętrznych drzwi oznajmiło przybycie jeszcze jednej osoby, prawdopodobnie Alginiego. Przeciąg zachwiał płomieniami na kominku i zaraz potem, zgodnie z domysłem Brena, przez salon przeszedł Algini, również przemoczony. Udało mu się po drodze uklonić, co było dość trudne, zważywszy na dwa duże pudła, które trzymał w ramionach.

Wszystko, co mam – pomyślał Bren, przypominając sobie stertę pudeł załadowanych do pociągu. Boże, na jak długo planują mój pobyt tutaj?

– Herbata – przypomniał sobie z roztargnieniem. – Tak, proszę...

Mimo ognia czuł się wyziębiony – niedawno przybył z o wiele cieplejszego, morskiego klimatu, kilka godzin trząsł się na wyboistej drodze. Gorąca herbata była dużą pokusą.

Przyszło mu na myśl, że w całym tym zamieszaniu nie jadł śniadania ani obiadu, nie licząc kilku wafelków w samolocie.

– Jak myślisz, czy znalazłaby się zapiekanka z serem?

To danie było zwykle bezpieczne bez względu na porę roku.

– Oczywiście, nadi. Chociaż powinienem przypomnieć paidhiemu, że za godzinę zostanie podana kolacja...

Strefy czasowe, uświadomił sobie. Nigdy nie oddalał się od Mospheiry na tyle, żeby zmienić strefę. Nie tylko klimat był tu zimniejszy, ale i czas musiał być przesunięty do przodu, co najmniej o dwie godziny. Nie miał pewności, jak pogodzi się z tą nagłą informacją jego żołądek albo czy wytrwa tę godzinę do kolacji, skoro zaczął myśleć o jedzeniu.

Zagrzmiało i błysnęło bielą w oknach.

– Dobrze, więc bez zapiekanki – powiedział i uznał, że życie nie toczy się tu zbyt szybko: spokojna, wiejska kolacja może być przyjemną odmianą. – Poproszę tylko herbatę.

Myślał jednak, słysząc, jak kolejna fala deszczu wściekle uderza w okna: Boże, rozumiem, skąd się tu wzięło jezioro.

Po herbacie pojawiła się kolacja, elegancko podana w jadalni. Kuchnia okazała się zdecydowanie wiejska i Bren nie miał najmniejszego powodu do uskarżania się na menu – dzięki Bogu, sezonowa dziczyzna tu, w górach, okazała się inna.

Była to jednak samotna kolacja. Siedział u szczytu bardzo długiego pustego stołu, widział więc okna salonu, co, jak sądził, mogło być miłe, ale znajdowały się tak wysoko, na drugim piętrze, że jedynym widokiem okazało się szare, posępnie ciemniejące w zmierzchu niebo. Tano i Algini jedli u siebie, a przy stole usługiwali mu Maigi i Djinana, lecz Bren nie znał ich na tyle dobrze, by z nimi rozmawiać. Próby konwersacji kończyły się na „Tak, nand’ paidhi”, „Dziękuję, nand’ paidhi”, „Kucharz się ucieszy, nand’ paidhi”.

W końcu jednak, przy zupie podanej po dziczyźnie, przyszła Jago, wsparła się rękoma na oparciu najbliższego z dziesięciu krzeseł stojących po obu stronach stołu i zaczęła pogwarke. Jak mu się podoba apartament, jak mu się podoba personel?

– Bardzo – odpowiedział. – Chociaż nie widziałem gniazdka telefonicznego ani przewodów. Czy jest tu jakiś przenośny telefon, który mógłbym pożyczyć?

– Chyba tak, na posterunku ochrony. Ale pada.

Hm.

– Chcesz powiedzieć, że posterunek ochrony jest na zewnątrz.

– Obawiam się, że tak. I naprawdę nie sądzę, żeby dzwonienie było rozsądne, nadi Bren.

– Dlaczego? – W pytaniu dała się słyszeć nuta gniewu. Bren nie chciał, żeby to tak zabrzmiało. Jago natychmiast zabrała łokcie z oparcia krzesła i stanęła prosto. – Wybacz mi, nadi – rzekł z większą powściągliwością. – Muszę jednak z pewną regularnością kontaktować

się z moim biurem. Bardzo pilnie potrzebna mi jest moja poczta. Mam nadzieję, że dotrze tu tą trudną drogą.

Jago głęboko westchnęła i oparła dłonie na krześle.

– Nadi Bren – rzekła cierpliwie – chociaż nie sądzę, żeby wywiezienie cię ze stolicy kogokolwiek zmyliło, to dzwonięcie stąd doprawdy nie byłoby rozsądnym krokiem. Będą się spodziewali mylnych tropów. Niech myślą, że nasz lot do Malguri był właśnie taką pułapką.

– A zatem coś o nich wiesz.

– Nie. Właściwie nie.

Był zmęczony; strach, jaki przeżył, jadąc w góry, pozbawił go powściągliwości i bez względu na to, jak bardzo atevi lubili swoje uprzejmości i pozory, od dwóch dni czuł, że sytuacja coraz bardziej wymyka mu się spod kontroli. Chciał, żeby coś w końcu było jasne. Był gotów stracić wszelką cierpliwość.

Zamiast tego powiedział łagodnie:

– Wiem, że robiliście, co w waszej mocy. Prawdopodobnie wolelibyście znaleźć się gdzie indziej.

Jago zmarszczyła brwi.

– Czy sprawiam takie wrażenie?

Boże, ratuj, pomyślał.

– Nie, oczywiście, że nie. Sądzę jednak, że macie jakieś inne obowiązki poza mną.

– Nie.

Stwierdził, że Jago ma zwyczaj takiego ucinania rozmowy, kiedy człowiek pytał o cokolwiek użytecznego, o cokolwiek, co naprawdę chciał wiedzieć. Zjadł łyżkę zupy, mając nadzieję, że Jago znajdzie jakiś temat.

Nie znalazła. Spokojnie opierała się o krzesło.

Zjadł następną łyżkę, potem trzecią, a Jago wciąż opierała się o krzesło, najwyraźniej zadowolając się obserwowaniem go, pilnowaniem czy czymś podobnym. Na zewnątrz wciąż grzmiało.

– Zostaniecie w Malguri? – zapytał.

– Najprawdopodobniej.

– Spodziewacie się, że, ktokolwiek wtargnął do mojego pokoju, może dotrzeć i tu?

– To mniej prawdopodobne.

I tak to się toczyło, po dwa – trzy słowa, nigdy więcej, kiedy zaczął zadawać pytania.

– Jak myślisz, kiedy przestanie padać? – zapytał w końcu tylko po to, żeby zmusić Jago do wypowiedzenia większej liczby słów.

– Jutro – odparła. I zamilkła.

– Jago, czy ty mnie lubisz? A może nie cieszę się twoją przychylnością?

– Oczywiście, że nie, nadi Bren.

– Czy rozgniewałem czymś Tabiniego?

- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Czy dostanę moją pocztę?
- Banichi się tym zajmuje. Potrzebne są upoważnienia.
- Czyje?
- Pracujemy nad tym.

Nad fortecą przetoczył się grzmot. Bren dokończył kolację przeplataną pytaniami i odpowiedziami, wypił kilka drinków, przy których Jago nie chciała mu towarzyszyć, i zapragnął, żeby Jago – jeśli, jak mówił Banichi, był choć trochę dla niej atrakcyjny – została w salonie i przynajmniej grzecznie go ponapastowała, jeśli miałyby przy tym wypowiedzieć cztery zdania z rzędu. Chciał po prostu z kimś porozmawiać.

Jago jednak wyszła, sprawiając wrażenie, że jest bardzo czymś zajęta. Służący sprzątnęli ze stołu w milczeniu.

Zaczął się zastanawiać, co z sobą zrobić, i pomyślał o podjęciu swych regularnych nawyków, na przykład oglądania wieczornych wiadomości... tyle że nie bardzo je miał na czym oglądać.

Nie zapytał służących o telewizor. Otwierał kredensy i szafy i w końcu obszedł cały apartament, nie szukając już niczego bardziej wyrafinowanego niż gniazdko. Ani jednego. Ani śladu możliwości podłączenia telewizora czy telefonu.

Czy akumulatora od komputera.

Pomyślał, czy nie zadzwonić na służących i nie zażądać przynajmniej przedłużacza, żeby jeszcze tego wieczora móc użyć komputera, nawet gdyby musieli doprowadzić prąd z kuchni lub użyć zasilacza, który musiał istnieć w jakimś składzie elektronicznym w tym barbarzyńskim regionie.

Banichi jednak nie pojawił się, od chwili, kiedy rozstali się na dole, a Jago już raz odmówiła jego prośbie o telefon. Po spędzeniu paru chwil na krążeniu po wyłożonej dywanami drewnianej podłodze i przeszukaniu małej biblioteczki Bren poszedł z niesmakiem spać – rzucił się na osłonięte draperiami łóżko, między zwierzęce skóry, i odkrył, że po pierwsze nie ma nocnej lampki, po drugie wszystkie światła gasi się i zapala kontaktem przy drzwiach i, po trzecie, z przeciwległej ściany patrzy prosto na niego gniewnym wzrokiem jakiś martwy zwierz.

To nie byłem ja, posłał ku niemu myśl. To nie była moja wina. Prawdopodobnie nie było mnie jeszcze na świecie, kiedy cię zabito.

Mój gatunek prawdopodobnie nie opuścił jeszcze swego świata.

To nie moja wina, zwierzu. Ugrzęźliśmy tu obaj.

Rozdział 4

Poranek zawitał do pokoju przez zachlapanie deszczem szyby, a śniadanie wcale nie pojawiło się automatycznie. Bren pociągnął za sznur, żeby o nie poprosić, załatwił sprawę z Maigim, który przynajmniej szybko się pojawił, i polecił Djinanie rozpaść ogień do kąpieli, którą chciał wziąć po śniadaniu.

Potem powstał problem „wygódki”. Przed śniadaniem, stojąc przed perspektywą wyprawy na dół w poszukiwaniu nowoczesnej łazienki, wybrał prywatność i zdanie się na to, co najwyraźniej na swój sposób zdawało egzamin i co nie powodowało krępujących pytań ani (dyplomatycznie mówiąc) wrażenia, że gardzi z trudem osiągniętą elegancką, historyczną gościnnością. Wszystko poszło dobrze. Stwierdził, że jeśli dadzą mu spokój, przyzwyczai się.

Pomyślał, że zadaniem paidhiego jest dostosować się. Obojętnie jak.

Śniadanie składało się – o Boże! – z czterech dań. Zobaczył oczyma duszy swój podwojony obwód w pasie i zamówił na obiad zwykłą rybę z wody i kawałek owocu, po czym odprawił służących i wziął długą, leniwą kąpiel. Życie w Malguri z konieczności polegało na planowaniu z wyprzedzeniem. Choć tu nie wystarczyło odkręcić po prostu kranu, woda była jednak gorąca.

Nie poprosił Tano i Alginiego, by mu towarzyszyli ze swoją nie-rozmową podczas kąpieli („Tak, nadi, nie, nadi”) ani o pomoc przy ubieraniu się. Właściwie nie widział powodu, by się ubierać: żadnych zajęć, żadnych planów aż do obiadu, przynajmniej zgodnie z tym, co powiedzieli mu Banichi i Jago.

Owinął się więc w szlafrok i zaczął wyglądać przez okno gabinetu na szarość, w której jedynym kolorem była błękitna i bursztynowa obwódka okna. Jezioro było srebrzyście szare, oprawione w ciemnoszare urwiska i mgłę. Mlecznoszare niebo zapowiadało więcej deszczu. Na szkle lśniły klejnoty ostatnich kilku kropli.

Egzotyka. To z całą pewnością nie był Shejidan. Ani Mospheira. Nie było w tym nic ludzkiego i, o ile potrafił się zorientować, wcale nie było tu bezpieczniej niż w domu Tabiniego, natomiast mniej wygodnie. Bez kontaktu dla jego komputera.

Może zabójca pożałuje na bilet lotniczy.

Może nuda wygoni drania do atrakcyjniejszych krain.

Może po tygodniu tych wspaniałych luksusów pójdzie pieszo do stacji kolejowej i ucieknie razem z zabójcą.

Fantazje, ot co.

Zdjął z półki księgę gości – musiał czymś zająć myśli – przyniósł ją do okna, do lepszego światła i zaczął przeglądać. Odczytując nazwiska, uświadamiał sobie – na widok stron dodawanych od przodu, a nie na końcu, zgodnie z układem atevskich książek – że trzyma w rękach antyk co najmniej siedmusetletni i że większość osób mieszkających w tych pokojach była aijiin lub osobami skoligaconymi z nimi przez małżeństwa, a niektóre z nich zapisały się w historii, jak Pagioni, jak Dagina, który podpisał z Mospheirą Traktat o Kontrolowanym Rozwoju Środków – sprytny, praktyczny gość, który, dzięki Bogu, rządził twardą ręką i wyeliminował kilka bardzo niebezpiecznych, grożących wojną przeszkód metodami niedostępnymi dla ludzi.

Bren był pod wrażeniem. Otworzył księgę od tyłu, tak jak czytali atevi – od prawej do lewej i z góry na dół – i odkrył, że data fundacji pierwszej fortecy w tym miejscu, jak to mówił kierowca furgonetki, pochodzi rzeczywiście sprzed dwóch tysięcy lat. Została wzniesiona z miejscowego kamienia, by utrzymać dla nizin cenne zasoby wodne Maidingi i powstrzymać ciągłe ataki górskich plemion na nizinne wsie. Druga, rozbudowana forteca – przypuszczał, że należą do niej otaczające ściany – pochodziła z LXI wieku.

Przejrzał zmiany i dobudówki, znalazł rozkład wycieczek – cóż za odkrycie! – odbywających się raz na miesiąc i ograniczonych do dolnego holu („Prosimy naszych gości o niezwracanie uwagi na te comiesięczne wizyty, które aiji uznaje za konieczne i właściwe, ponieważ Malguri stanowi zabytek należący do ludu prowincji. Gdyby któryś z gości pragnął przyjąć grupę wycieczkową na oficjalnej bądź nieoficjalnej audiencji, prosimy o poinformowanie o takim zamiarze personelu, który z najwyższą przyjemnością wszystko przygotowuje. Niektórzy goście skorzystali z takiej możliwości, wzbudzając tym zachwyt turystów i czyniąc im w ten sposób wielki zaszczyt...”).

Przeraziłbym ich na śmierć, pomyślał ponuro Bren. Dzieci z krzykiem uciekałyby do rodziców. Nikt z miejscowych nigdy nie widział człowieka twarzą w twarz.

Za dużo telewizji, powiedziałaby Banichi. Podobno dzieci w Shejidan trzeba było uspokajać co do Mospheiry, że ludzie nie opuszczą wyspy i nie pojawią się nocą w ich domach. Atevskie dzieci wiedziały o zabójcach. Z telewizji wiedziały o Wojnie Lądowania. I o stacji kosmicznej, o którą ten świat nie prosił. Stacji, która na niego spadnie i zniszczy go.

Jego poprzednik przed dwóch kadencji próbował uzyskać dla ludzi pozwolenie odwiedzania oddalonych miast. Kilku burmistrzów poparło ten pomysł. Jeden z tego powodu zginął.

Paranoja wciąż mogła być głęboko zakorzeniona – w odległych rejonach – i Bren nie miał ochoty przeciągać struny, nie teraz, nie w tej krytycznej sytuacji, kiedy już raz próbowano targnąć się na jego życie. Wysyłając go tu, Tabini chciał, by się nie wyrывał i siedział cicho. A on wciąż, do diabła, nie wiedział, co mógłby zmienić na lepsze w swoim postępowaniu po zaprzepaszczeniu możliwości zadzwonienia na Mospheirę.

Jak gdyby taka możliwość w ogóle istniała.

Ludzie prowadzili na zmianę z atewskimi załogami samoloty towarowe z Mospheiry do Shejidan oraz do kilku nadmorskich miast i z powrotem. Taki był obecnie zasięg ich swobody, podczas gdy ich pradziadowie latali między gwiazdami, których nikt już nie pamiętał.

A teraz, gdyby paidhi przeszedł się do miasta po przedłużacz, najprawdopodobniej zostałby aresztowany. Jego widok mógłby wywołać rozruchy, panikę gospodarczą, plotki o spadających stacjach kosmicznych i promieniach śmierci.

Szczerze mówiąc, był przygnębiony. Sądził, że dobrze się rozumieją z Tabinim, sądził, po ludzku potrzebując czegoś takiego, że Tabini jest tak bliskim przyjacielem, jak to tylko możliwe u atewy.

Coś było absolutnie nie tak. A przynajmniej na tyle, że Tabini nie mógł mu tego wyjawić – wszystko na to wskazywało – ani oficjalnie, ani prywatnie. Bren odłożył księgę na półkę i znów zaczął chodzić po pokojach. Nie miał takiego zamiaru, ale to było silniejsze od niego, tam i z powrotem, do sypialni i z powrotem, do salonu, gdzie okno wychodzące na jezioro pozwalało mu przynajmniej dostrzec promień słońca przebijający się przez chmury. Srebrzyste blaski kładły się na wodzie.

To było piękne jezioro. Wspaniałe pejzaż, kiedy nie jest szaro.

Gdyby śniadanie nie ciążyło Brenowi w żołądku ołowiem, widok ten mógłby podnieść go na duchu.

Niech go diabli, jeśli nadal chce mu się zachowywać cierpliwość. Praca paidhiego być może tego wymaga. Praca paidhiego być może polega na siedzeniu cicho i wymyślaniu, jak zachować pokój, a on być może niezbyt dobrze ją wykonał, strzelając w domu aijiego. Ale...

Nie poszukał broni. Nawet o niej nie pomyślał. To Tano, Algini i Jago pakowali i rozpakowywali jego rzeczy.

Popędził do sypialni, rzucił się na kolana i wsadził rękę pod materac.

Jego palce trafiły na twarde metal. Dwa kawałki twardego metalu: pistolet i magazynek.

Wyciągnął je, nie wstając z klęczek. Siedział tak na podłodze, w szlafroku, z pistoletem w ręku, bojąc się nagle, że ktoś go zaskoczy. Szybko wepchnął broń i magazynek na miejsce i zaczął się zastanawiać, o co tu, do diabła, chodzi?

Niewątpliwie o to, że paidhi został odstawiony na boczny tor. Że jest uzbrojony i strzeżony. A jego ochrona nie chce mu nic powiedzieć.

No cóż, niech to diabli, pomyślał.

Wstał z podłogi w nagłym przyplywie stanowczości, zamierzając posunąć się jak najdalej w ramach przydzielonej mu swobody i sprawdzić, gdzie mogą leżeć (choćby najbardziej mgliste) jej granice. Podszedł do szafy, z której wyciągnął porządne spodnie, sweter – uparcie ludzki i uniemożliwiający atevim ocenę jego statusu – oraz dobre brązowe buty myśliwskie, ponieważ taki panował styl w tym wiejskim domu.

Swój ulubiony codzienny kaftan – ten ze skóry.

Następnie wyszedł przez imponujące drzwi frontowe apartamentu i wolnym, beztróskim krokiem ruszył wzdłuż korytarza do schodów, zupełnie nie starając się ukryć, zszedł na dół, na główny poziom wyłożony kamiennymi płytami i przeszedł przez hol do wielkiej sali, w której na kominku płonął rozrzutnie ogień. Światła dostarczały wyłącznie świece; potężne drzwi frontowe były zamknięte.

Przeszedł się wokół sali, leniwie oglądając antyki i poustawiane na stolikach bibeloty, które mogły mieć jakąś funkcję albo być jedynie ozdobami – tego nie wiedział. Nie wiedział, jak się nazywa wiele przedmiotów wiszących na ścianach, szczególnie tych śmiercionośnych. Nie rozpoznawał co dziwniejszych wypchanych głów i skór – postanowił odszukać te gatunki, określić ich status i dołączyć je do bazy danych na Mospheirze, z ilustracjami, gdyby udało mu się zdobyć jakąś książkę albo kopiarke...

...albo włączyć komputer do kontaktu.

Przy tej ostatniej myśli zniechęcenie Brena osiągnęło kolejny poziom. Pomyślał o sprawdzeniu, czy drzwi frontowe są zamknięte, i przejściu się po dziedzińcu, gdyby tak nie było – może mógłby się przyjrzeć armacie, a może bramie i drodze.

Potem stwierdził, że prawdopodobnie byłaby to zbyt wielka próba dla dobrego humoru Banichiego, zapewne naruszająca też, co ważniejsze, starannie zaplanowaną przez niego sieć zabezpieczeń, w którą mógłby wpaść, zamiast zabójcy, on sam.

Bren postanowił więc przejść się po tylnej części budynku; poszedł bogato zdobionym korytarzem, a potem zapuścił się w skromniejsze przejścia, mijając drzwi, których nie ośmielał się otworzyć. Gdyby wtargnęli tu zabójcy, szczególnie w ciemności, chciał znać rozkład korytarzy, sal i schodów, które mogłyby służyć za drogę ucieczki.

Zlokalizował kuchnię. I magazyny.

A także odchodzące pod kątem prostym przejście do holu, przez którego wąskie okna widać było góry. Skręcił tam, sądząc, że odkrył zewnętrzny mur, i poszedł długim korytarzem do końca, gdzie miał wybór drogi: w lewo lub w prawo.

Uznał, że korytarz odchodzący w lewo musi się już znajdować w innym skrzydle budynku, a zobaczywszy znajdujące się tam podwójne, zamknięte drzwi, pomyślał z

niemiłym dreszczem o pomieszczeniach prywatnych, przewodach i systemach bezpieczeństwa.

Stwierdził wtedy, że jeśli przyszedł do jakichś prywatnych apartamentów, gdzie zabezpieczenia mogą być o wiele nowocześniejsze od oświetlenia, to rozsądniej będzie wrócić do frontowej części budynku, zamykając w ten sposób kwadrat w kierunku frontowego holu i przedsionka.

Bren miał coraz większą pewność, że korytarz, którym szedł, prowadzi właśnie tam i skończy się przy schodach prowadzących na jego piętro. Minął jeszcze jeden boczny hol i rozgałęzienie, którego odnogi prowadziły w lewo, w prawo i prosto, i rzeczywiście znalazł się w sklepionym wejściu do wielkiego holu przed głównymi drzwiami, gdzie znajdował się kominek.

Niezła nawigacja, pomyślał i podszedł do ognia, skąd zaczął ekspedycję do tylnych pomieszczeń.

– No, proszę – odezwał się ktoś tuż za nim.

Sądził, że przy kominku nikogo nie ma. Odwrócił się z zaskoczeniem i zobaczył pomarszczoną, drobną atewę o czarnych włosach przyprószonych siwizną, siedzącą na jednym z obitych skórą krzesel z wysokim oparciem. Jak na przedstawicielkę swojego gatunku była maleńka.

– No? – powtórzyła i zamknęła z trzaskiem książkę. – Jesteś Bren. Tak?

– Jesteś... – zmagął się z tytułami i polityką: kiedy człowiek stoi twarzą w twarz z atewskim wielmożą, używa innych zwrotów grzecznościowych. – Szacowna aiji-wdowa.

– Szacowna, akurat. Powiedz to hasdrawadowi. – Skinęła na niego szczupłą, pomarszczoną ręką. – Podejź tu.

Usłuchał, nawet o tym nie myśląc. Ilisidi miała w sobie coś władczego. Jej palec wskazywał miejsce przed krzesłem i Bren stanął właśnie tam, poddając się gruntownej lustracji jej bladożółtych oczu, których kolor zapewne był cechą rodzinną. Obiekt ich zainteresowania zaczynał myśleć o wszystkim, co zrobił w ciągu minionych trzydziestu godzin.

– Niepokażnyś – rzekła.

Z wdową się nie spierało. Był to fakt dobrze znany.

– Nie, jak na moją rasę, nand' wdowo.

– Maszyny do otwierania drzwi. Maszyny do wchodzenia po schodach. Nic dziwnego.

– Maszyny do latania. Maszyny do latania między gwiazdami.

Przypominała mu Tabiniego. Nagle przekroczył granicę uprzejmości względem obcych. Zapomniał o zwrotach grzecznościowych i postawił się jej. Nie widział żadnej drogi odwrotu. Tabini potraktowałby odwrót z pogardą. Podobnie jak Ilisidi, był o tym przekonany w chwili, kiedy zobaczył jej zaciśnięte szczęki, iskrę ognia w oczach, które były oczami Tabiniego.

– A wy dajecie nam to, co pasuje do naszych zacofanych osobowości.

Rzeczywiście, odgryzła mu się bezpośrednio. Skłonił się.

– Przypominam sobie, że to wy wygraliście wojnę, nand' wdowo.

– Doprawdy?

Te żółte, blade oczy były bystre, a zmarszczki wokół ust wdowy świadczyły o stanowczości. Uderzyła w niego. Oddał jej cios.

– Tabini-aiji też podaje to w wątpliwość. Spieramy się.

– Siadaj!

Był to swego rodzaju postępek. Ukłonił się i przyciągnął do siebie stojący w pobliżu podnózek, nie chcąc szarpać się z krzesłem, co chyba nie poprawiłoby jego wizerunku w oczach starej damy.

– Ja umieram – rzuciła Ilisidi. – Wiesz o tym?

– Wszyscy umierają, nand' wdowo. Wiem o tym.

Nie spuszczała z niego żółtych, okrutnych i zimnych oczu, a kąćki jej ust opadły w dół.

– Bezczelny szczeniak.

– Pełen szacunku, nand' wdowo, dla tej, która przetrwała.

Skóra w kąćkach jej oczu zadrgała, a podbródek nieco się uniosł, sprawiając wrażenie surowości i siły.

– Tania filozofia.

– Nie dla twoich wrogów, nand' wdowo.

– A jak tam zdrowie mojego wnuka?

Prawie go zaskoczyła. Prawie.

– Tak dobrze, jak na to zasługuje.

– A na jakie zdrowie zasługuje? – Chwyciła powykręcaną dłonią laskę opartą o krzesło i załomotała nią w podłogę.

– Do cholery z tobą! – wrzasnęła w powietrze. – Gdzie ta herbata?

Najwyraźniej rozmowa się skończyła. Bren był zadowolony, że to jej służący byli przyczyną tej irytacji.

– Przepraszam, że ci przeszkodziłem – zaczął, podnosząc się.

Laska uderzyła w kamienie. Wdowa spiorunowała go wzrokiem.

– Siadaj!

– Proszę wdowę o wybaczenie, mam... – pilne spotkanie, chciał powiedzieć, ale zamilkł. Tutaj to kłamstwo było niemożliwe.

Laska uderzyła w podłogę raz, drugi.

– Cholerne wałkonie! Cenedi! Herbata!

Czy ona jest zdrowa na umyśle? zadał sobie pytanie Bren. Usiadł. Nie wiedział, co innego mu pozostaje. Nie był nawet pewien, czy w ogóle istnieją jacyś służący albo czy herbata figurowała w tym równaniu, zanim staruszka o niej wspomniała, ale przypuszczał, że osobisty personel aiji-wdowy wiedział, jak z nią postępować.

Stary personel, powiedziała Jago. Niebezpieczny, dał mu do zrozumienia Banichi.

Łup! Łup!

– Cenedi! Czy ty mnie słyszysz?

Z tego, co wiedział Bren, Cenedi mógł nie żyć od dwudziestu lat. Siedział na podnóżku, skamieniały niczym dziecko, rękoma oplatając kolana, gotów do osłonięcia głowy i ramion, gdyby kaprys Ilisidi obrócił łaskę przeciwko niemu.

Ku jego uldze ktoś się jednak pojawił, atewski służący, którego na pierwszy rzut oka wziął za Banichiego, ale po bliższym przyjrzeniu się poznał swój błąd. Taki sam czarny mundur. Twarz pobruździł jednak czas, a włosy były gęsto przetykane siwizną.

– Dwie filiżanki – warknęła Ilisidi.

– Bez najmniejszego kłopotu, nand’ wdowo – odpowiedział służący.

To Cenedi, domyślił się Bren, który wcale nie chciał herbaty, był po śniadaniu, zjadł wszystkie cztery dania. Wolał zniknąć sprzed oczu Ilisidi i uniknąć jej wrogich pytań zanim powie lub zrobi coś, co wpędzi Banichiego – kimkolwiek Banichi jest – w kłopoty.

Albo Tabiniego.

Jeśli babka Tabiniego jest, jak twierdzi, umierająca, to prawdopodobnie nie ma już powodów, by z tolerancją odnosić się do świata, który według jej oświadczenia nie wykazał się mądrością, pomijając jej osobę. Ta rozgniewana kobieta może być niebezpieczna.

Lecz serwis do herbaty zwykle składał się z sześciu filiżanek i Cenedi umieścił jedną pełną filiżankę w dłoni wdowy, a drugą podał Brenowi, filiżankę, z której najwyraźniej miał się napić. Przez chwilę miał w uszach słowa mądrych atevich, powtarzane wszystkim dzieciom, nie bierz, nie dotykaj, nie rozmawiaj z obcymi...

Ilisidi upiła łyżek, wpatrując się nieugiętym wzrokiem w Brena. Był przekonany, że jest rozbawiona. Może uważa go za głupca, ponieważ nie odstawił natychmiast filiżanki i nie pobiegnął po radę do Banichiego albo ponieważ potężnie się zagalopował, spierając się z kobietą, której bał się niejeden ateva, i to nie z powodu jej szaleństwa.

Wypił łyk. Nie widział innej drogi wyjścia, jak paniczna ucieczka, lecz nie było to wyjście kiedykolwiek dostępne paidhiemu. Pijąc, patrzył Ilisidi prosto w oczy, a kiedy nie poczuł niczego dziwnego w samej filiżance ani w herbacie, pociągnął drugi raz.

Kiedy Ilisidi piła, sieć zmarszczek wokół jej oczu napinała się. Nie widział jej ust kryjących się za dłonią i filiżanką, a kiedy ją opuściła, sieć zmarszczek rozluźniła się, pozostawiając jedynie mapę lat i niespełnionych zamiarów, labirynt linii na oświetlonej blaskiem ognia, czarnej, lśniącej skórze.

– A więc jakim nałogom oddaje się paidhi w wolnych chwilach? Hazardowi? Uprawianiu seksu ze służbą?

– W interesie paidhiego leży rozwaga.

– I celibat?

Nie było to uprzejme pytanie. Obawiał się też, że nie zostało zadane w duchu uprzejmości.

– Na Mospheirę można szybko dolecieć samolotem, nand’ wdowo. Odwiedzam dom, kiedy tylko mam na to czas. Ostatni raz... – nie czuł się zaproszony do pogawędki, wołał jednak to od śledztwa Ilisidi – ...było to 28. madara.

– Ach. – Kolejny łyk herbaty. Strzepnięcie długich, szczupłych palców. – Niewątpliwie perwersyjna historia.

– Złożyłem uszanowanie matce i bratu.

– A ojcu?

To już trudniejsze pytanie.

– W separacji.

– Na wyspie?

– Jak być może aiji-wdowa wie, my nie praktykujemy krwawych waśni. Jedynie prawo.

– Zimnokrwiste plemię.

– Kiedyś praktykowaliśmy waśnie.

– Ach. I to jest kolejna rzecz, którą w swojej wielkiej mądrości uznaliście za nierozsądną?

Wyczuł, że tu być może kryje się podstawa jej niechęci. Nie miał pewności. Jednak chodził już przedtem po tym polu minowym – było to znane mu terytorium i Bren spojrział rozmówczynie prosto w twarz.

– Zadaniem paidhiego jest doradzanie. Jeśli aiji odrzuca nasze rady...

– Czekacie – dokończyła za niego – na innego aijiego, innego paidhiego. Ale oczekujecie, że postawicie na swoim.

Nikt jeszcze nie powiedział mu tego tak wyraźnie. Zastanawiał się, czy atevi to rozumieją, chociaż sądził, że tak.

– Sytuacja się zmienia, nand’ wdowo.

– Herbata ci stygnie. – Znów się napił. Rzeczywiście, była zimna, w małych filiżankach szybko stygła. Zastanawiał się, czy Ilisidi wie, co sprowadza go do Malguri. Wyobrażał ją sobie jako starą kobietę, pozbawioną kontaktów ze światem, ale teraz zmienił zdanie. Wysączył herbatę do końca.

Ilisidi dopiła swoją i cisnęła filiżankę do ognia. Porcelana rozprysnęła się. Podskoczył – wstrząśnięty jej gwałtownością, ponownie zadając sobie pytanie, czy Ilisidi jest przy zdrowych zmysłach.

– Nigdy mi się ten serwis nie podobał – rzekła wdowa.

Przez chwilę miał ochotę postąpić za jej przykładem. Gdyby coś takiego powiedział Tabini, to wystawiałby go na próbę i Bren rzuciłby filiżanką. Nie znał jednak Ilisidi. Musiał zawsze brać to pod uwagę. Wstał i podał swoją filiżankę Cenediemu, który czekał z tacą.

Cenedi cisnął wszystko do kominka. Herbata zasyczała na węglach. Na podłodze leżały kawałki rozbitej porcelany.

Bren skłonił się, jakby otrzymał komplement i zobaczył starą kobietę, która, umierając pośród tych wszystkich cennych antyków, niszczyła to, co urażało jej poczucie estetyki, rozbijała bezcenne skarby, bo jej się nie podobały. Pragnąc od niej uciec, mruknął:

– Dziękuję aiji-wdowie za poświęconą mi uwagę. – Zrobił nawet dwa kroki, zanim laska znów załomotała w kamienie. Zatrzymał się i odwrócił, powstrzymany atewskim obyczajem oraz podejrzaniem co do usług, jakie oddawał jej Cenedi.

Rozbawił aiji-wdowę. Jej chude ciało trzęsło się ze śmiechu. Obiema rękoma wspierała się na lasce.

– Uciekaj. Uciekaj, nand' paidhi. Ale gdzie jest bezpiecznie? Wiesz?

– Tutaj – odparował. Nie można było cofać się przed bezpośrednim wyzwaniem – chyba że było się dzieckiem i nikomu nie służyło. – W twojej posiadłości. Tak uważał aiji.

Nic nie powiedziała, śmiała się tylko i kiwała w przód i w tył, wsparta na lasce. Po chwili niepokoju uznał, że może odejść, uklonił się i ruszył do drzwi, mając nadzieję, że skończyła już z żartami, i zadając sobie pytanie, czy Ilisidi jest normalna, czy Tabini o tym wiedział, i dlaczego zniszczyła ten serwis?

Bo sprofanował go człowiek?

A może było coś w herbacie, co teraz ulatywało jako para z wiatrem nad kominem? Trochę go mdliło. Powiedział sobie, że to autosugestia. Przypomnił sobie, że pewnych herbat ludzie nie powinni pić.

W drodze przez hol i po schodach puls walił mu jak młotem i Bren zastanawiał się, czy powinien spróbować zwymiotować i gdzie to zrobić albo czy zdąży dotrzeć do swojej łazienki, żeby nie zdenerwować służby i by nie stracić swojej godności...

To było głupie, gdyby został otruty. Serce biło mu mocno prawdopodobnie ze strachu. To pewnie jeden z tych środków pobudzających, takich jak midagra, przedawkowanie których mogło zaprowadzić człowieka na salę reanimacyjną. Powinien znaleźć Banichiego albo Jago i powiedzieć im, co zrobił, co wypił i co już się dostaje do jego krwiobiegu.

Kiedy dotarł do górnego holu, na skórze wystąpił mu lepki pot.. Być może to nic więcej niż strach i autosugestia, ale zaczynało brakować powietrza i robiło mu się ciemno przed oczami. Hol stał się sennym koszmarem, rozbrzmiewającym echem jego kroków na drewnianej podłodze. Wyciągnął rękę w stronę ściany, żeby się na niej oprzeć, ale ręka zniknęła w dziwnej czarnej nicości na granicy pola widzenia.

Mam poważne kłopoty, pomyślał. Muszę dojść do drzwi. Nie wolno mi upaść w korytarzu. Nie wolno dać im do zrozumienia, że reaguję na herbatę. Nigdy nie okazywać strachu, nigdy nie ujawniać złego samopoczucia...

Drzwi przybliżyły się chwiejnie, stanowiąc rosnący jasny punkt w ciemnym tunelu. Dostrzegł rozmytą klamkę i nacisnął ją. Drzwi otworzyły się, wpuszczając go w oślepiający blask padający z okien, biały niczym roztopiony metal.

Zamknąć drzwi, pomyślał. Zamknąć je na klucz. Kładę się do łóżka. Może trochę się prześpię. Nie mogę spać przy otwartych drzwiach.

Zamek zaskoczył. Był tego pewien. Stał przodem do rozświetlonych okien, przeszedł chwiejnie kilka kroków i stwierdził, że idzie w złą stronę, do światła.

– Nadi Bren!

Odwrócił się błyskawicznie, przestraszony donośnym dźwiękiem, przestraszony czającą się na niego zewsząd ciemnością, docierającą już do środka pola widzenia, ciemnością, która wyciągnęła do niego ręce, schwyciła i uniosła w powietrze, podczas gdy on tracił wszelkie pojęcie, gdzie jest góra, a gdzie dół.

Potem była sama biel, dopóki nie wróciła szarość i zamęt. Poczuł, że jest przechylony nad kamienną krawędzią, ktoś wykrzykiwał polecenia rozbrzmiewające echem w uszach i ściągał mu sweter przez głowę.

Następnie w tył głowy uderzyła go woda, zimna woda, twardy potop, od którego mózg objął mu się wewnątrz czaszki. Mimowolnie zaczerpnął wodnistego powietrza i usiłował nie dać się utopić, ale ramiona, podobnie jak kark, miał unieruchomione w czyimś żelaznym uścisku – ktokolwiek go trzymał, miał za dużo rąk. Kiedy próbował odwrócić głowę, dusił się. Jeśli nie ruszał się z miejsca, trzymając głowę pod strumieniem wody, to mógł oddychać między skurczami żołądka, który nie mógł już pozbyć się niczego więcej.

Coś boleśnie ukłuło go w ramię. Ktoś przebił mu skórę i Bren teraz krwawił, może puchło mu ramię, a ten, kto go przytrzymał, wciąż chciał go utopić. Przez żołądek przetaczały mu się fale mdłości, czuł we krwi piekące przyływy nie mające nic wspólnego z księżycami tego świata. Te otaczające go i przytrzymujące istoty to nie byli ludzie; wcale go nie lubiły – nawet w najlepszym wypadku atevi woleliby, żeby ludzi nigdy nie było, żeby nigdy tu nie przybyli... To ich trzymanie się Mospheiry kosztowało tyle krwi i ludzie byli jej winni, ale co innego mogli zrobić?

Zaczęło mu się robić zimno. Chłód wody zaczął coraz głębiej przenikać mu do głowy, aż ciemność zaczęła się rozwiewać i Bren dostrzegł już szary kamień, wodę w wannie, a uścisk na szyi i ramionach odczuwał jako bolesny. Kolana zdrętwiały mu od klęczenia na kamiennej posadzce. Nie czuł rąk.

Poczuł dziwną lekkość w głowie. Zastanawiał się, czy to już koniec. Czy ja umieram? Jeśli tak, to Banichi się wścieknie.

– Zakreć wodę – powiedział Banichi i Bren nagle stwierdził, że leży na plecach, wciśnięty w coś, co niejasno uznał za czyjś podołek. Poczuł, jak na jego wychłodzoną skórę ktoś narzuca koc, bardzo miły, lecz zbyt cienki. Pomyślał, że jest żółty, nie wiedział dlaczego wydało mu się to ważne. Przestraszył się, gdy ktoś go wziął na ręce jak dziecko, że ta osoba zechce znieść go po schodach, które gdzieś tu są, o ile nie zawodzi go pamięć. Wcale nie czuł się bezpiecznie u kogoś na rękach.

Ręce zniknęły i upuściły go.

Wrzasnął. Najpierw plecami i ramionami, a potem całą resztą uderzył w materac.

Potem ktoś przetoczył go szorstko na brzuch po jedwabistych, ślizgających się futrach, i zdjął z niego koc, buty i spodnie, a on leżał jak sparaliżowany, zdając sobie sprawę ze wszystkiego, a także z ucisku w skroniach, który zapowiadał potężny ból głowy. Usłyszał głos Banichiego wybijający się spośród ogólnego szumu panującego w pokoju, więc wszystko było dobrze. Będzie dobrze, ponieważ jest tu Banichi. Powiedział, żeby mu pomóc:

– Wypiłem herbatę.

Otrzymał potężne uderzenie w ucho.

– Głupiec! – rzekł Banichi gdzieś z góry. Przewrócił Brena na plecy i okrył futrami.

Nie pomogło to na ból głowy, który narastał w przerażającym tempie i powodował przyspieszone bicie serca. Bren pomyślał o udarze, tętniaku i bliskim ataku serca. Zmaltretowane przez Banichiego ucho było gorące i na wpół zdrętwiałe.

Banichi chwycił go za rękę i wbił w nią igłę – bolało, ale nie tak, jak właśnie zaczynała go boleć głowa.

Potem chciał już tylko leżeć zagrzebany w skórach martwych zwierząt i oddychać. Słuchał bicia własnego serca, mierzył długość oddechów, znajdował przerwy między falami bólu i w nich żył. Z oczu porażonych dziennym światłem ciekły mu łzy i Bren żałował, że nie jest na tyle zdrowy, żeby kazać Banichiemu zaciągnąć story.

– To nie jest Shejidan! – zbeształ go Banichi. – Jedzenia nie przynosi się tu w plastikowych torebkach!

Wiedział o tym. Nie był głupi. Pamiętał, gdzie jest, chociaż nie był pewien, co mają tu do rzeczy plastikowe torebki. Ból głowy osiągnął punkt, w którym Bren myślał, że umrze i chciał już z tym skończyć...

Czegoś takiego jednak nie mówiło się atevim, którzy nie myśleli tak jak ludzie, a Banichi i tak już był na niego wściekły.

I słusznie. Banichi musiał go ratować drugi raz w ciągu tygodnia. Bren zadawał sobie pytanie, czy aiji-wdowa usiłowała go zabić, i próbował ostrzec Banichiego, że Cenedi jest zabójcą – tego był pewien. Wyglądał jak Banichi – nie był pewien, czy to przekonujący argument, ale usiłował tak uporządkować swoje racje, żeby Banichi nie sądził, że jest kompletnym głupcem.

– Cenedi to zrobił?

Myślał, że tak powiedział. Nie był pewien. Za bardzo bolało go serce. Chciał tylko leżeć w ciepłych futrach, zasnąć i żeby go nie bolało, kiedy i jeśli się obudzi, ale bał się, że już nigdy się nie obudzi, a nie zadzwonił do Hanks.

Banichi przeszedł przez pokój i z kimś rozmawiał. Bren nie miał pewności, ale pomyślał, że to Jago. Miał nadzieję, że nie będzie kłopotów i że nikt ich nie atakuje. Żałował, że nie słyszy, co mówią.

Zamknął oczy. Światło za bardzo go raziło. Ktoś zapytał, czy dobrze się czuje i Bren uznał, że gdyby zaprzeczył, to Banichi zawoła lekarzy czy coś w tym rodzaju, więc skinął potakująco głową i obsunął się w ciemność, myśląc, że może jednak zadzwonił do Hanks, a może tylko o tym myślał. Nie był pewien.

Rozdział 5

Światło raziło. Poruszanie się sprawiało ból. Nie było żadnej części jego ciała, która przy najmniejszym poruszeniu nie odzywała się bólem, szczególnie głowa, a zapach jedzenia wcale go nie nęcił. Jednak ktoś potrząsnął go za ramię drugi raz i pochylił się nad nim Tano. Był pewien, że to Tano, chociaż nie bardzo mógł skupić wzrok i raziło go światło.

– Powinieneś coś zjeść, nand' paidhi.

– Boże.

– Proszę. – Tano zaczął bezlitośnie poprawiać poduszki przy jego głowie i ramionach, co spowodowało ból głowy i niepewność co do zachowania żołądka.

Spoczywał na posłaniu, uznając to za wystarczające współdziałanie ze swoimi dręczycielami. W drzwiach do łazienki zobaczył Alginiego. Rozmawiał z Jago, ale bardzo cicho. Ich głosy rozbrzmiewały zniekształconym echem. Wrócił Tano z miską zupy i kilkoma wafelkami.

– Jedz – powiedział, ale Bren nie chciał. Chciał kazać Tano odejść, ale jego służący nie odchodzili, zatrudnił ich Tabini, i Bren musiał robić, co mu kazali.

Poza tym, kiedy miało się nudności i nie chciało się wymiotować, jadło się białe wafelki. Przypomniawszy sobie Mospheirę, swoją własną sypialnię i matkę, ale głowę podtrzymywał mu Tano, nalegając, żeby zjadł choć połowę, i Bren skubał po kawałeczku, a pokój i wszystko inne przechylało się i usiłowało się ześliznąć na rozbrzmiewającą echem krawędź świata.

Potem dał odpocząć oczom i zbudził się od zapachu zupy. Nie chciał jeść, ale kiedy Tano przytknął mu kubek do warg, przełknął jeden łyk i poparzył sobie usta. Smakowało herbatą. Chciał przestać pić, ale Tano usiłował go karmić, upierając się, że musi jeść, że to jedyna metoda wypłukania herbaty z organizmu. Wytknął więc rękę na zimne powietrze, zlokalizował uszko kubka, pozwolił Tano podeprzeć sobie głowę poduszkami i pił, nie wypuszczając kubka z ręki, dopóki jego żołądek nie oświadczył, że nie zniesie ani kropli więcej.

Wyczerpany, ujął wtedy kubek obiema dłońmi, nie potrafiąc się zdecydować, czy chce włożyć rękę z powrotem pod kołdrę, żeby się rozgrzać, czy może lepsza jest ciepła porcelana. Zostanę tak jak teraz, pomyślał. Nie chciał się poruszać, chciał tylko oddychać.

Wtedy do pokoju wszedł Banichi, odprawił Tano i stanął nad łóżkiem Brena z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Jak się czujesz, nand' paidhi?

– Bardzo głupio – mruknął. Jeśli to nie halucynacje, to pamiętał aiji-wdowę i dzbanek herbaty roztrzaskany na kominku. I mężczyznę, lustrzane odbicie Banichiego.

Stał właśnie w drzwiach.

Serce skoczyło Brenowi do gardła.

Kiedy Cenedi zobaczył, że Bren patrzy na niego, wszedł do pokoju i zatrzymał się po drugiej stronie łóżka.

– Chciałbym przeprosić – odezwał się Cenedi. – Z zawodowego punktu widzenia, nand' paidhi. Powinienem wiedzieć o herbacie.

– To ja powinienem o tym wiedzieć. Będę miał nauczkę na przyszłość. – W ustach wciąż czuł smak herbaty. Kiedy mrugał, bolała go głowa. Nie podobało mu się, że Banichi wpuścił tego obcego do pokoju, i zadał sobie pytanie, czy udając, że ufa Cenediemu, Banichi nie realizuje jakiegoś planu, którego on nie rozumie. Jedynym sensownym wyjściem było odpowiadać w umiarkowanym tonie, być uprzejmym i nikogo niepotrzebnie nie obrażać.

– Herbata aiji-wdowy jest przyrządzana według bardzo starego miejscowego przepisu – rzekł Banichi. – Jednym ze składników jest silny środek pobudzający, który wdowa uważa za zdrowy lub co najmniej orzeźwiający. Przy niewielkiej wadze ciała ludzi i negatywnej reakcji na alkaloidy...

– Boże.

– Tą mieszanką jest herbata zwana dajdi, której radzę ci na przyszłość unikać.

– Kucharz prosi o zapewnienie, że miał jak najlepszą wolę – odezwał się Cenedi z drugiej strony łóżka. – Nie miał pojęcia, że herbatę będzie pił człowiek.

– Uspokój go, proszę. – W głowie mu wirowało. Opadł na poduszkę i prawie wylał pozostałe pół kubka zupy. – Niczyjej złej woli. Moja cholerna wina.

– To ludzkie obyczaje – powiedział Banichi. – On pragnie podkreślić swoje przekonanie, że to był przypadek, nadi.

Zapadło milczenie. Bren wiedział, że nie powiedział tego, co miał nadzieję powiedzieć, i że nie powinien przeklinać, ale za bardzo bolała go głowa.

– Nie chciałem urazić – mruknął, co stanowiło powszechny sposób wyplątywania się z niezręcznych sytuacji. – Sama dobra wola. – Znow zaczęła go boleć głowa. Banichi wziął od niego zupę i postawił ją na stoliku z trzaskiem, który zabrzmiał jak grzmot.

– Aiji-wdowa chce, żeby paidhiego zbadał jej lekarz – rzekł Cenedi – jeśli będziesz w tej sprawie świadkiem obu stron, Banichi-ji.

– Podziękuj aiji-wdowie – odparł Banichi. – Dobrze.

– Nie potrzebuję żadnego lekarza – zaprotestował Bren. Nie życzył sobie, żeby dopuszczono do niego lekarza wdowy. Chciał tylko odrobiny czasu na odpoczynek, by poleżeć w pościeli i uspokoić żołądek po zupie.

Nikt jednak nie zwracał uwagi na jego życzenia. Cenedi wyszedł z Jago, wrócił ze starszym atewą, trzymającym wyładowaną torbę, który odrzucił z Breną ciepłe futra, wystawił jego skórę na chłód, posłuchał serca, zajrzał mu w oczy, zmierzył puls i omówił z Banichim kwestię tego, co dostał, ile wypił filiżanek herbaty...

– Jedną – upierał się Bren, ale nikt nie słuchał ofiary.

W końcu lekarz podszedł do niego i zmierzył go wzrokiem, niczym okaz z jakiejś kolekcji, zapytał, czy ma posmak w ustach lub czuje zapach podobny do herbaty, odpowiadający posmakowi.

– Mleko – rzekł lekarz. – Szklanka co trzy godziny. Ciepłe albo zimne.

– Zimne – powiedział Bren, wzdrygając się.

Kiedy je przynieśli, było podgrzane, smakowało herbatą i Bren się na to poskarżył; Banichi spróbował go, przysiągł, że to tylko smak w jego ustach i powiedział, że kiedy minie, to będzie znak, że pozbył się tej substancji z organizmu.

Tymczasem Algini, ten bez poczucia humoru, przynosił mu sok owocowy i upierał się, żeby Bren go pił, aż musiał ciągle chodzić do wygodki, jak ją delikatnie nazywał Maigi.

Tymczasem Banichi znów zniknął, Algini nie miał pojęcia o poczcie, nie mógł wydać zezwolenia na kontakt elektryczny...

– To zabytek, nand' paidhi. Jak rozumiem, projekt jakiegokolwiek przeróbki tych murów musi być przedstawiony Komisji Konserwacji. Nie możemy nawet zdjąć obrazu i zawiesić na tych samych uchwytych grafika dyżurów.

Nie brzmiało to zachęcająco.

– Jakie są szanse, żebym niedługo wrócił do stolicy? – zapytał Bren.

– Oczywiście mogę przedstawić twoją prośbę, nand' paidhi. Muszę powiedzieć, że chyba małe. Jestem pewien, że względy, które spowodowały twój wyjazd, wciąż są aktualne.

– Jakie względy?

– Ochrona twojego życia, nand' paidhi.

– Tu chyba nie wydaje się bezpiecznie, co?

– Ostrzeżliśmy kuchnię, żeby pytali, czy będziesz jadł dany posiłek. Kucharz jest nadzwyczaj zatroskany. Zapewnia cię o swej ostrożności na przyszłość.

Nachmurzył się jak dziecko, ale czując niepokój Alginiego, usiłował zmienić wyraz twarzy – czuł się jednak jak dziecko, ograniczane, nie mogące podejmować własnych decyzji i pomijane w rozmowach wielkich osób, kierujących się motywami zbyt mrocznymi i skrytymi, żeby się nimi z nim dzielić. Budziło to u niego chęć takich dziecinnych zachowań,

jak wysłanie Alginiego z jakimś skomplikowanym poleceniem, żeby samemu przekraść się na dół, wymknąć z fortecy i dostać do miasta.

Siedział jednak spokojnie w łóżku jak rozsądny dorosły, starał się nie być zgryźliwy dla personelu i pił to cholerne mleko. – Ma być zimne! – zażądał od Alginiego, uznając, że z resztą jakoś sobie poradzi.

Po czym kuchnia, najwyraźniej nigdy nie słyszawszy o czymś takim, przysłała mleko z lodem.

Mleko przestało w końcu smakować herbatą, a sok owocowy przepłukał go tak, że miał go w żyłach zamiast krwi, jak powiedział to Djinanie, który stwierdził, że jest to wyjątkowo śmieszne.

On tak nie sądził. Poprosił o książki dotyczące Maidingi i czytał o zamku Malguri, studiując tomy pełne kolorowych ilustracji przedstawiających jego apartament, oraz dat określających wiek poszczególnych sprzętów.

Łoże miało na przykład siedemset lat. Jeśli nie było tu akurat gości, oprowadzano po tej części zamku wycieczki. Wyobrażał sobie przechodzących tędy turystów, dzieci patrzące z lękiem na łoże, i przewodnika mówiącego o paidhim, który zmarł w zamku Malguri i który podobno chodzi nocami po korytarzach i straszy w kuchni, szukając filiżanki herbaty...

Była to jednak historia, do której ludzie nie mieli wstępu – wiedział o tym: czytał wszystkie teksty swoich poprzedników. Chciał zrobić notatki, poprosić o *Kronikę Maidingi* Tagisiego z miasta Maidingi, z klanu Polgini, z rodu Carditi-Aigorana, dla biblioteki naukowej paidhiin na Mospheirze... a potem przypomniał sobie o gniazdku, którego nie można było zainstalować. A nikt, oczywiście, nie mógł wykręcić cholernie historycznej żarówki, żeby podłączyć „złodziejkę”. Ta przeklęta historyczna instalacja mogłaby od tego spaść z historycznych krokwi.

Pomyślał o baterii słonecznej. Zastanawiał się, czy w pobliskim miasteczku mógłby znaleźć coś takiego, co by pasowało do jego komputera, i czy mógłby to kupić, obciążając swój rachunek, za pośrednictwem miejscowego banku. Banichi na pewno mógłby to zrobić.

A na razie... papier i pióro. Wstał, przeszukał biurka w gabinecie i znalazł papier. Pióra nie. Poszukał tego, którym podpisał się w księdze gości. Nie było go.

Można było się wściec. Zadzwoił na służących, powiedział Djinanie, że natychmiast chce mieć pióro i dostał je z pokojów dla służby. Ślizgało się i sadziło kleksy, ale pisało. Bren owinał się ciepłym szlafrokiem, nałożył na zmarznięte nogi skarpetki, usiadł i napisał kilka ponurych słów do swego następcy.

„...o ile – dodał na końcu – dotrze to kiedykolwiek przed ludzkie oczy. Pod materacem mam pistolet. Kogo mam zastrzelić? Alginiego, który nie może powiesić swojego grafika dyżurów? Cenediego, który zapewne nie miał pojęcia, że herbata jest dla ludzi zabójcza?

Tabini-aiji przysłał mnie tu dla mego dobra. Na razie byłem bliższy śmierci z rąk kucharza w Malguri niż zabójców w Shejidan...”.

Pewnych rzeczy nie napisał, bojąc się, że jego pokój może być przeszukiwany, choćby przez służbę i jego własną ochronę, co zapewne wychodziło na jedno – zadał sobie jednak raz pytanie o aiji-wdowę, i aż dwa razy o to, co Tabini miał na myśli, rzucając od niechcienia uwagę, że przebywa tam jego babka.

Oczywiście, jest najzupełniej nieprawdopodobne, żeby Tabini przewidział zaproszenie go na tę fatalną herbatę: było to mimo wszystko zbyt nieoczekiwane i dziwne, nawet jak na aiji-wdowę – nawet jeśli człowiek robił się nadzwyczaj podejrzliwy wobec przypadków zdarzających się w obecności osób o dwakroć zranionej ambicji.

Nasuwała się oczywiście myśl, że Ilisidi nie lubi ludzi.

Ale co, jeśli – bo zatruty, mającący umysł mógł wysnuwać bardzo dziwne wnioski – wysłanie go tu przez Tabiniego wcale nie miało na celu przeniesienia jego, ale przeniknięcie do Malguri Banichiego i Jago, przeprowadzenie ich przez ochronę Ilisidi?

Zamach na Ilisidi?

Od tych rozmyślań rozboleła go głowa.

Przy kolacji wciąż nie miał apetytu. Nie czuł się na siłach zjeść oficjalnej kolacji, zamówił tylko miskę zupy i wafelki – co smakowało lepiej niż wczoraj. Bren uznał, że na tym pozbawionym telewizji, towarzystwa i telefonu wygnaniu może zmierzyć się z drugą porcją zupy.

Pory posiłków stały się wyznacznikami mijającego czasu, który dotąd, nie mając nawet zegara, odmierzał krokami po apartamencie, odwracanymi stronicami, powolnym ruchem chmur na niebie, czy łodzi na zmarszczonej przez wiatr tafli jeziora.

Zmusił się do wypicia zwykłej herbaty i zamarudził nad słodkim mlecznym budyniem, w którym była tylko jedna wątpliwa kluskowata substancja, bardzo gorzka w smaku – można było jednak przy pewnej dozie zręczności wyjąć jej kawałki z talerzyka.

Jedzenie stało się rozrywką, hobby i mimo zapewnień kucharza, przygodą. Książka, która leżała otwarta obok talerza, była dość ciekawą opowieścią o błąkających się, pełnych urazy duchach osób zamordowanych w Malguri lub zmarłych w często zdarzających się tu wypadkach. Jezioro także było nawiedzane przez rozmaitych niespokojnych rybaków i pewnego nieszczęsnego pana na Malguri, który w pełnej zbroi rzucił się ze skał do wody, unikając w ten sposób „haniebnego małżeństwa”, jak określiła to książka.

Dziwny pomysł. Postanowił kogoś o to zapytać i poznać niewątpliwie obsceniczne szczegóły.

Kiedy wyjął z budyniu ostatni gorzki kawałek kluchy i dokończył jedzenia, do pokoju wszedł Djinana, zapewne po nakrycia.

– Poproszę jeszcze jedną filiżankę herbaty – powiedział Bren. Czuł się o wiele lepiej. Djinana wielce uroczystym gestem położył obok jego talerza maleńką srebrną tulkę na zwój.

– Co to jest?

– Nie wiem, nand' paidhi. Przekazał to nadi Cenedi.

– Zechciałbyś ją otworzyć?

– Ależ to jest osobista tultka wdowy... – zaprotestował Djinana.

– Nadi. Zechciałbyś ją otworzyć?

Djinana zmarszczył brwi i wziął tulkę do ręki, złamał pieczęć i rozwinął papier.

Skoro Djinana udowodnił, że jest to tylko zwój, na który to coś wyglądało, Bren wziął go do ręki. Myślał jednak o poczcie w Bu-javid i uwadze Jago na temat igły w korespondencji.

Było to coś niemal tak samo miłego. Zaproszenie. Od aiji-wdowy. Na wczesne śniadanie.

Trudno było odrzucić zaproszenie osoby noszącej tytuł aijiego. Musiał mieszkać pod jednym dachem z tą kobietą. Mało brakowało, a byłaby go zabiła. Odmowa dałaby jej do zrozumienia, że nie uważa tego za wypadek. A to mogło oznaczać wrogie posunięcia.

– Powiedz Banichiemu, że muszę z nim porozmawiać.

– Spróbuję, nadi.

– Jak to, spróbujesz? Gdzie on jest, nadi?

– Mam wrażenie, że razem z nadi Jago gdzieś pojechali.

– Gdzieś pojechali.

Dość dobrze, acz bez zapału, zapoznał się z okolicą, a przynajmniej z miejscami o znaczeniu historycznym, do których można było dojechać z Malguri samochodem. Nie było takich miejsc poza lotniskiem i leżącym tuż obok niego miasteczkiem.

– W takim razie muszę porozmawiać z Tano.

– Też nie wiem, gdzie on jest, nand' paidhi. Sądziłem, że pojechał z twoją ochroną.

– No to z Alginim.

– Poszukam go, nand' paidhi.

– Chyba mnie tu nie zostawili samego?

– Nie sądzę, nand' paidhi. Zapewniam cię jednak, że Maighi i ja jesteśmy nieustająco do twoich usług.

– Co zatem byś mi doradził? – Podał Djinanie zwój razem z tulką. Djinana przebiegł go wzrokiem i zmarszczył brwi.

– To niezwykle – rzekł. – Aiji-wdowa nie przyjmuje wielu osób.

Świetnie, pomyślał Bren. A więc robi niezwykle gest. Stawka rośnie.

– Co zatem mam odpowiedzieć, nadi? Czy nic mi nie grozi?

Na twarzy Djinany pojawił się bardzo oficjalny wyraz spokoju.

– W żadnym wypadku nie mogę paidhiemu niczego doradzać.

– Czy zatem możemy znaleźć Alginiego? Rozumiem, że wymaga to dość rychłej odpowiedzi.

– W pewnym sensie. Mam wrażenie, że nand' Cenedi postanowił czekać...

– On wie, że Banichiego tu nie ma.

– Nie jestem pewien, nadi. – Fasada pękła. Przez szczeliny zaczęła przeziierać troska. – Może spróbuję znaleźć Alginiego.

Djinana wyszedł. Bren nalał sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty. Musiał odpowiedzieć na wezwanie – przyjąć je lub odrzucić. Przez głowę przeszła mu niegodna myśl, że aiji-wdowa rzeczywiście mogła zaczekać, aż Banichi i Jago będą zajęci czymś innym, chociaż Bren nie miał pojęcia, co mogło ściągnąć cały ten cholerny personel na lotnisko, skoro Tabini powiedział, że mają go pod opieką. Starannie zwinął niewielki zwój, włożył go do tutki i zamknął ją. Poczekał na powrót Djinany, który uklonił się ze zmartwioną miną.

– Nadi, nie wiem...

– ...gdzie jest Algini – dokończył za niego.

– Przykro mi, nand' paidhi. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Nie potrafię sobie wyobrazić. Pytałem w kuchni i nand' Cenediego...

– On wciąż czeka?

– Tak, nand' paidhi. Powiedziałem mu, że chcesz sprawdzić w etykietce.

Powiedzieć Cenediemu, że jest niedysponowany? To może go uratować – jeśli wdowa nie dostaje od personelu własnych sprawozdań.

Tego nie mógł zagwarantować.

– Nadi Djinana. Gdyby twoja matka miała broń i groziła mi – po czyjej stanąłbyś stronie?

– Zapewniam cię, nadi, że moja matka nigdy...

– Nie jesteś w ochronie. Twoje man'chi mnie nie obejmuje.

– Nie, nadi. Pracuję dla Komisji Konserwacji. Jestem dozorcą posiadłości, rozumiesz?

Jeśli na świecie był choć jeden ateva mówiący mu prawdę, to on nim był. Przekonał go o tym ten błysk kompletnego zaskoczenia w oczach Djinany, ten moment pełnego niepokoju wahania.

Oczywiście, nie sformułował tego całkiem właściwie, a przynajmniej nie nieodwołalnie. Banichi powiedziałyby: „Znajdujesz się w zakresie moich obowiązków, nand' paidhi”. A to mogło oznaczać wszystko.

Ale dozorca Malguri? Człowiek przynajmniej wiedział, jakie stanowisko zajmuje Djinana. Jest zdecydowanie przeciwko zawieszaniu grafików dyżurów, sprowadzaniu przedłużaczy i wbijaniu gwoździ w ściany Malguri. Bren teraz to już wiedział – ale w tej chwili nie wiedział o Banichim nawet tyle. Z pewnością Banichi nie był z nim całkowicie szczerzy – albo to, albo dopuścił się cholernego niedbalstwa, co wcale do Banichiego nie pasowało, o ile go znał.

Chyba że stało się coś naprawdę poważnego. Coś takiego, jak zamach na samego Tabiniego.

Od tego podejrzenia zrobiło mu się niedobrze.

Wcale nie było mu to potrzebne, do cholery, skoro właśnie udało mu się z powrotem przyzwyczaić żołądek do jedzenia. Nie, Tabini nie znajdował się w niebezpieczeństwie. Tabini ma o wiele lepszą ochronę niż on; Tabini ma całą tę przeklętą stolicę, by go pilnowała, podczas gdy jego personel pojechał na lotnisko, zostawiwszy go Cenediemu, który mógł tu wejść i zrobić z niego oraz Djinany mokrą plamę, gdyby przyszło mu do głowy zlekceważyć biichi-ji i zabrudzić historyczne dywany.

– Odpowiedni papier i pióro.

– Z twoją własną tutką na zwój, nadi?

– Paidhi nie wie, gdzie jego personel ją położył. Takie rzeczy nie są mu wyjawiane. Zjrzyj do jakiejś odpowiedniej szuflady. Jeśli nie znajdziesz tutki, zwój może się obejść bez niej. A jeśli Banichi nie wróci do jutra rano, ty pójdziesz ze mną.

– Ależ... – Djinana zaczął protestować, ale zaraz się skłonił. – Posiadam pewne drobne umiejętności w sprawach etykiety. Poszukam tutki. Albo przyniosę jedną z tutejszych. Czy paidhi będzie potrzebował rad co do wyrażień?

– Djinana, powiedz mi. Czy ja jestem przerażający? Czy jestem aż tak obcy? Czy mogę się przyśnić dzieciom?

– Nie... – Djinana wyglądał na podwójnie strapionego.

– Czy ja cię niepokoję, nadi? Nie życzyłbym sobie tego. Sądzę, że jesteś uczciwym mężczyzną. A ja spotkałem ich tak niewielu.

– Życzę paidhiemu wszystkiego najlepszego.

– Rzeczywiście, znasz się na etykietach. Czy myślisz, że uda ci się odprowadzić mnie tam i z powrotem nie otrutego?

– Proszę cię, nand' paidhi. Nie mam kwalifikacji...

– Ale jesteś uczciwy. Jesteś winien swojej matce więcej niż mnie. Podobnie jak ja swojej. A pod tym względem mógłbyś być człowiekiem, nadi, co według mnie nie jest aż tak straszne.

Djinana spojrzał na niego z troską spod ściągniętych brwi.

– Naprawdę nie rozumiem twojego sposobu wyrażania się, nadi.

– Gdyby chodziło o Malguri i twoją matkę, nadi – gdyby groziła im zagłada – co byś wybrał?

– Zagładę matki, nadi. Moje man'chi jest związane z tym miejscem.

– Zginąłbyś za reputację Malguri, nadi-ji?

– Nie jestem nadi-ji. Tylko nadi, nand' paidhi.

– Zginąłbyś, nadi-ji?

– Umarłbym za kamienie tego miejsca. Tak, nadi-ji. Nie potrafiłbym go opuścić.

– My też – powiedział, poddając się dziwnemu, gniewnemu nastrojowi. – My, ludzie, rozumiemy, czym jest starodawny zabytek. Rozumiemy, co to konserwacja. Doceniamy wagę dawnych opowieści. Wszystko, co mamy i wiemy – jest w dawnych opowieściach.

Chciałbym, żebyśmy mogli dać wam wszystko, co wiemy, nadi, i chciałbym, żebyście wy mogli dać nam to samo, i chciałbym, żebyśmy mogli razem polecieć na księżyc, zanim obaj będziemy na to za starzy!

– Na księżyc! – zawołał Djinana z pełnym niepokojem i niepewności śmiechem. – Co byśmy tam robili?

– Albo na starą stację. To twoje dziedzictwo, nadi-ji. Powinno nim być.

Stwierdził, że paidhi jest bardzo zdenerwowany i mówi rzeczy, które zwykle zachowywał dla jednej osoby – dla Tabiniego – rzeczy, których nie śmiał przedstawiać na otwartych posiedzeniach rady, ponieważ wiele osób miało swój interes w podejrzliwym traktowaniu ludzi i wszystkiego, co robił i mówił paidhi, jako dezinformacji i chęci oszukania atevich.

Wobec czego, powiedział prawdę służącemu-dozorczy.

I był zły na Banichiego, który prawdopodobnie, i słusznie, był zły na paidhiego. Paidhi jednak widział, jak sprawy wymykają mu się spod kontroli, a atevi, którym ufał, robią się obcy, odlegli – i w sytuacjach kryzysowych, które mogli przewidzieć, ukrywają przed nim informacje.

Zadziwił Djinanę, to było pewne. Djinana po prostu zabrał talerzyk deserowy, i nie mogąc znaleźć jego tutki, przyniósł mu antyczną tutkę należącą do posiadłości, a także pióro, papier i lak.

Napisał swoim najlepszym charakterem pisma: „Przyjmując niezwykle łaskawe zaproszenie aiji-wdowy na śniadanie o pierwszej godzinie, paidhi-aiji, Bren Cameron, z głębokim szacunkiem...”.

Taka była formuła – może trochę przesadna, ale nie bardzo. Ufał też, że nikt nie cenzuruje korespondencji wdowy. Poddał tekst ocenie Djinany, posiadającego niewątpliwie nienaganne wyczucie etykiety, po czym zapieczętował go pierścieniem pieczętnym i poprosił dozorcę o oddanie go Cenediemu, który prawdopodobnie miał już dość czekania.

A potem, kiedy Djinana zajął się uprzejmościami, ułożył drugi list – do Tabiniego.

„Jestem niespokojny, aiji-ma. Czuję, że w stolicy czeka na mnie mnóstwo obowiązków, ponieważ zostawiłem kilka spraw w toku. Mam nadzieję, że Twój personel udzieli mi koniecznych informacji, jako że bardzo bym nie chciał stracić kontaktu z bieżącymi wydarzeniami. Jak zapewne wiesz, Malguri nie jest skomputeryzowane, a telefonowanie zupełnie nie wchodzi w rachubę.

Przyjmij, proszę, moje serdeczne życzenia pomyślnych dni i szczęśliwego zakończenia. Niech baji-naji Ci sprzyjają. Paidhi-aiji Bren Cameron z głębokim szacunkiem oraz oddaniem dla Patronatu oraz Tabini-aijiego pozostającego na swym stanowisku, dnia...”.

Musiał przerwać pisanie i policzyć datę na palcach, domyślając się, że zgubił jeden dzień. Albo dwa. Pomyliło mu się – doszedł do wniosku, że zgubił tylko jeden dzień. Po czym napisał datę i zalakował list tylko ze wstążką, ale za to kładąc lak bezpośrednio na papier.

Chciał go dać Banichiemu, kiedy będzie następnym razem wybierał się na lotnisko i, jak zakładał, na pocztę.

Następnie, na wypadek, gdyby ten list nie dotarł do celu, zaczął pisać jego kopię.

Do pokoju wrócił Djinana, oznajmiając, że doręczył zwój i pytając, czy paidhi będzie jeszcze potrzebował stoczka do roztapiania laku.

– Mam do napisania kilka listów – odpowiedział Bren. – Zgaszę knot i potem trochę poczytam, dziękuję, nadi. Chyba nie będę niczego potrzebował. Czy kamerdyner wdowy wyszedł?

– Drzwi są zamknięte na noc, nand' paidhi, tak.

– Banichi ma klucz.

– Owszem. Nadi Jago też. Najprawdopodobniej wejdą jednak drzwiami kuchennymi.

Drzwi kuchenne. Oczywiście, że muszą tu być. Jedzenie docierało na jego stół nie od strony schodów, ale przez tylne korytarze, pokoje dla służby, jego sypialnię i salon.

– A zatem wszystko w porządku. Dobranoc, nadi Djinana. Dziękuję. Byłeś niezwykle pomocny.

– Dobranoc, nand' paidhi.

Djinana wrócił do siebie. Bren skończył przepisywać notatkę i dodał:

„Jeśli zostanie to znalezione, a nie dotarła przedtem do Ciebie, Tabini-aiji, podobnie sformułowana wiadomość, to podejrzewaj tego, kto powinien dostarczyć tę pierwszą notatkę. Po zatrutej przez wdowę filiżance, nikogo w Malguri nie jestem pewien, nawet mojego własnego personelu”.

Włożył kartkę do księgi gości, licząc na to, że znajdzie ją następny lokator, jeśli przedtem on sam jej stamtąd nie zabierze. Nie była to książka, którą czytałby Banichi.

A, jak właśnie napisał, tej nocy nie był pewien niczego ani nikogo w Malguri.

Na zewnątrz przetoczył się grzmot, a błyskawica oświetliła krople deszczu na ciemnej szybie, rozbłyskując na chwilę kolorem w witrażowych obwódkach okna.

Bren czytał do późna, nie będąc w nastroju do spania ani do dzielenia łoża z własnymi ponurymi myślami. Kiedy oczy i jego tolerancja wobec atejskich postaw podniosły bunt, Bren zaczął oglądać ilustracje. Czytał o dawnych wojnach. O zdradach i otruciach.

Banichi pojawił się wraz z grzmotem, wszedł do pokoju i stanął przy kominku. Na jego czarnym, wykończonym srebrem mundurze lśniła delikatna mgiełka, a on sam nie wydawał się zadowolony.

– Nadi Bren, wolałbym, żebyś przed podjęciem decyzji konsultował się ze mną.

Zapadła cisza. Popatrzył na Banichiego, bez słowa, z kamienną twarzą, i pomyślał, czyby nie powiedzieć: a ja wolałbym, nadi, żebyś konsultował się przed wyjściem.

Ale Banichi, jeśli go to obchodziło, mógł się domyślić, co myśli Bren, podobnie jak jemu pozwolono się domyślać, co myśli Banichi albo gdzie jest Jago, albo dlaczego tak zwani służący, którzy przyjechali z nim ze stolicy, byli nieobecni lub nieosiągalni.

I może złościł się niesłusznie, może obecność Banichiego na lotnisku, czy tam skąd właśnie wrócił, była całkowicie usprawiedliwiona i zbyt utajniona, żeby mu o tym powiedzieć, ale, do diabła, czuł złość, dziwną, piekącą złość, a Banichi sobie stał, powiększając jedynie urazę, z intensywności której Bren nie zdawał sobie dotąd sprawy, całkowicie nieprofesjonalną, głupią i ludzką urazę, która zaczynała się od Tabiniego i obejmowała jedynych dwoje atevich poza Tabinim, których, jak sądził, rozumie.

Prawdopodobnie miały coś z tym wszystkim wspólnego regularne próby opróżnienia i tak pustego żołądka. Równowaga mineralna. Witaminy. Nowe dania, które mogą pozbawić człowieka środków odżywczych, zamiast mu ich dostarczyć albo chemicznie wiązać to, co jest dla niego niezbędne... Bren potrafił wymyślić dziesięć całkowicie wiarygodnych powodów celowo samobójczego zachowania, z których połowa była związana z dietą, a druga połowa z tym, że, niech to diabli, jego własna konstrukcja biologiczna albo kultura domagały się, by polubił jednego przedstawiciela gatunku, współpracy z którym poświęcił całe swe życie.

– Ja nie muszę być paidhim – powiedział w końcu, ponieważ Banichi uparcie milczał. – Nie muszę opuszczać rodziny ani mojego gatunku i żyć w miejscu, gdzie nie jestem mile widziany przez dziewięć dziesiątych populacji.

– To jak się was wybiera? – zapytał Banichi.

– To są studia. Specjalizacja. Jeśli jest się najlepszym, a dotychczasowy paidhi zrezygnuje z pracy, dostaje się jego stanowisko. Właśnie tak. To coś, co się robi, żeby utrzymać pokój.

– Jesteś najlepszy w tym, co robisz.

– Staram się – odparł. – Naprawdę się staram, Banichi. Najwyraźniej zrobiłem coś nie tak. Może obraziłem aiji-wdowę. Może wpędziłem się w niebezpieczną sytuację. Nie wiem. To przyznanie się do klęski, Banichi. Nie wiem. Ale nie było cię tu, żebyś mógł cię zapytać. Jago też nie. Nie mogłem znaleźć Alginiego. Tano nie miał dyżuru. Zapytałem więc Djinanę, który nie wiedział, co ty mógłbyś mi odpowiedzieć, gdybyś tu był.

Banichi zmarszczył ponuro brwi.

– Gdzie byłeś, Banichi? A może nie powinienem pytać? Gdybyś zamierzał odpowiedzieć na moje pytania, powiedziałbyś mi, że wychodzisz, a gdybyś nie chciał, żebym się martwił, to nie ukrywałbyś przede mną dowodów i nie odmawiałbyś odpowiedzi na moje rozsądne pytania, kiedy polegam na tobie w sprawach ochrony, o którą Traktat nie pozwala mi zadbać osobiście.

Banichi przez chwilę nic nie mówił ani się nie poruszał. Następnie zdjął łokieć z obmurówki kominka i ruszył cicho do sypialni.

Bren zamknął książkę z trzaskiem. Banichi obejrzał się zaskoczony. Przynajmniej Bren miał tę satysfakcję. Widać tamtemu też puszczają nerwy.

– Gdzie jest Jago? – zapytał Bren.

– Na dworze. Ona także odmawia odpowiedzi na twoje rozsądne pytania.

– Banichi, do cholery! – Wstał, chociaż nie na wiele to się zdało: żeby spojrzeć Banichiemu w twarz, i tak musiał patrzeć w górę, nawet z tej odległości. – Jeśli jestem aresztowany i uwięziony, to mi to powiedz. I gdzie jest moja poczta? Czy do Maidingi nie przylatują rejsowe samoloty? Wyglądało mi to na prawdziwe lotnisko.

– Raz w tygodniu z Shejidan. Większość kraju, nadi, żyje innym tempem. Uspokój się. Ciesz się jeziorem. Ciesz się zwolnionym tempem.

– Zwolnionym tempem? Chcę baterii słonecznej, Banichi. Chcę zadzwonić. Nie mów mi, że nie ma tu telefonu.

– Rzeczywiście, telefonu tu nie ma. To zabytek. Przewody zeszcpeciłyby...

– Podziemne przewody, Banichi. Rury pod sufitem. Jest tu mnóstwo przewodów.

– Trzeba je tu doprowadzić.

– Jest gaz. Jest światło. Dlaczego nie ma gniazdek? Dlaczego nie może ktoś pojechać do miasta, pójść do sklepu ze sprzętem i kupić dla mnie cholerny przedłużacz i wtyczkę? Mógłbym poświęcić jedną lampę. Historycznym murom nic by się nie stało.

– Nie ma sklepu ze sprzętem. Miasto Maidingi jest bardzo małe, nadi Bren.

– Boże.

Zaczynała go straszliwie boleć głowa. Znowu podnosiło mu się ciśnienie, wszystko wokół zaczęło krążyć i kołysać się; blask, ciepło i syk ognia zalewały mu zmysły. Bren chwycił się obmurówki kominka.

– Banichi, dlaczego Tabini to robi?

– Co robi, nadi? Nie sądzę, żeby aiji-ji miał cokolwiek wspólnego ze sklepami ze sprzętem w Maidingi.

To nie było zabawne. Oparł się plecami o kamienie, założył ręce i wbił w Banichiego gniewny wzrok, zdecydowany tak czy owak wszystko mu wygarnąć.

– Wiesz, co robi. Poczuję się lepiej, gdybym sądził, że to polityka. Nie czuję się lepiej, myśląc, że to może coś, co zrobiłem, albo że wpędziłem Tabiniego w kłopoty. Ja go lubię, Banichi. Nie chcę być powodem jego krzywdy – ani twojej, ani Jago. To moje man'chi. Ludzie tacy już są. Jesteśmy irracjonalnie lojalni względem osób, które lubimy, a ty dawno już przekroczyłeś granicę mojej uprzejmości, Banichi.

– Najwyraźniej.

– A ja wciąż cię lubię, niech cię licho. Nie można się pozbyć jednego z nas, nie można odrzucić naszej przyjaźni, bo man'chi nakazuje coś innego. Nie można się nas pozbyć, kiedy was lubimy. Banichi, jesteś ze mną związany, więc zrób z tego jak najlepszy użytek.

Nie istniało wyraźne słowo na „lubić”. Oznaczało ono skłonność do surówek lub mrożonych napojów. „Kochać” było jeszcze gorsze. Banichi nigdy by mu tego nie wybaczył.

Nozdrza Banichiego rozchyliły się raz, dwa razy. Powiedział w mospheiranie z silnym akcentem:

– Jakie znaczenie? Jakie znaczenie mówisz, nand’ paidhi?

– To takie uczucie, jakie żywię względem matki, brata i mojej pracy, jakie mam względem Tabiniego, ciebie i Jago. – Zawiódł go oddech. Podobnie jak opanowanie. Wyrzucił z siebie wszystko. – Banichi, przeszedłbym tysiąc mil, żeby usłyszeć od ciebie miłe słowo. Dla ciebie zdarłbym z grzbietu ostatnią koszulę, gdybyś jej potrzebował; gdybyś miał kłopoty, przeniósłbym cię ten tysiąc mil. Jak to nazwiesz? Głupota?

Znów te rozdęte nozdrza Banichiego.

– To byłoby dla ciebie bardzo trudne.

– I tak jest z lubieniem atevich. – Wyrwało mu się, zanim zdążył to ocenzurować. – Bajinaji. To moje szczęście.

– Nie żartuj.

– Nie żartuję. Boże, ja nie żartuję. Musimy kogoś lubić, bo inaczej umieramy, Banichi, od razu umieramy. Umawiamy się z babkami, pijemy z filiżanek podawanych nam przez obcych i nie prosimy już o pomoc, Banichi, bo po co, skoro nie widzicie, czego nam trzeba?

– Jeśli się nie domyślę, co lubisz, grozisz mi zniszczeniem mojej reputacji. Czy to dokładna interpretacja?

Ból głowy stał się nagle nie do zniesienia. Wszystko się zlewało.

– Lubić, lubić, lubić – zostaw to cholerne słowo, Banichi. Ja przekraczam tę przepaść codziennie. Nie mógłbyś przekroczyć jej chociaż raz? Nie możesz przejść na moją stronę, Banichi, tylko jeden raz, żeby poznać moje myśli? Jesteś sprytny. Wiem, że trudno cię zwieść. Pójdź samotnym torem moich myśli, Banichi.

– Nie jestem jakimś przeklętym daniem obiadowym!

– Banichi-ji. – Ból osiągnął pewien poziom i na nim pozostał, możliwy do zniesienia, kiedy Bren już odkrył jego granice. Rękę opierał na obmurówce. Czuł jej fakturę, jedwabisty kurz wieków, rozgrzaną przez ogień skałę, wyrwaną ziemi, by powstał ten budynek, zanim jeszcze ludzie opuścili swój świat. Uspokoił się – pamiętał, że jest paidhim, pośrednikiem. Pamiętał, że sam to wybrał, wiedząc, że nie będzie żadnej nagrody, wierząc wtedy, że atevi oczywiście mają uczucia i że oczywiście, kiedy już znajdzie odpowiednie słowa, uruchomi odpowiedni przycisk, znajdzie klucz do atewskich myśli – otrzyma od nich wszystko, co poświęcał wśród ludzi.

Miał wtedy dwadzieścia dwa lata, i to, czego nie wiedział, znacznie przewyższało jego wiedzę.

– Twoje zachowanie mnie martwi – rzekł Banichi.

– Wybacz mi. – Ściśnięte gardło przeszkadzało mówić. Był jednak o wiele spokojniejszy. Wolał nie patrzeć na Banichiego. Wyobrażał sobie tylko podejrzliwość i gniew na jego twarzy. – Zareagowałem nieprofesjonalnie i nietaktownie.

– Na co, nand' paidhi?

Zdradliwy dobór słów. Rzeczywiście robi błędy, i to poważne. Ból głowy źle wpłynął na jego wciąż rozregulowany żołądek.

– Źle zrozumiałem twoje zachowanie. To ja popełniłem błąd, nie ty. Czy pójdziesz ze mną na to poranne spotkanie i będziesz mnie pilnował przed moją własną głupotą?

– Jakie zachowanie źle zrozumiałeś?

Z powrotem do ataku. Banichi nie chwycił przynęty. A Bren nie miał teraz sił do spierania się ani w ogóle do działania na zimno.

– Już to wyjaśniłem. Nic z tego nie rozumiałeś. I nie zrozumiesz. – Zapatrzył się w ciemne kąty, gdzie nie docierał blask ognia i przypomniał sobie, jak Banichi zinterpretował jego wyjaśnienie. – To nie była groźba, Banichi. Nigdy bym czegoś takiego nie zrobił. Cenię sobie twoją obecność i twoje zalety. Czy pójdziesz jutro ze mną?

Z powrotem do najprostszych, najwcześniejszych i najbardziej uzgodnionych słów. Słów zimnych. Nie obciążonych.

– Nie, nadi. Ateva nie zaprasza się sam do stołu wdowy. Ty przyjąłeś.

– Zostałeś przydzielony...

– Moje man'chi jest związane z Tabinim. Moje działania są jego działaniami. Paidhi nie mógł chyba zapomnieć tej prostej rzeczy.

Bren był zły. Spojrzał na Banichiego i nie odrywał od niego spojrzenia na tyle długo, że, miał nadzieję, Banichi zastanowi się, w jakich innych obszarach jego działania są działaniami Tabiniego.

– Nie zapomniałem. Jakże bym mógł?

Banichi odpowiedział mu ponurym spojrzeniem.

– Zapytaj o podsuwane ci dania. Dopilnuj, żeby kucharz wiedział, że jesz z aiji-wdową.

Otworzyły się drzwi najbardziej zewnętrznego pokoju. Banichi natychmiast zrobił się czujny. To jednak była Jago, zmoczona deszczem jak Banichi, najwyraźniej w dobrym humorze, dopóki ich nie zobaczyła. Jej twarz natychmiast przybrała obojętny wyraz. Przeszła do sypialni Brena bez słowa.

– Przepraszam – rzekł ponurym głosem Banichi i poszedł za nią.

Bren wbił wzrok w jego odziane w czarny mundur plecy, w rozkołysany warkocz – dwoje ochroniarzy Tabiniego, idących przez jego sypialnię do pokoi dla służby; uderzył pięścią w obmurówkę. Ból poczuł dopiero wtedy, kiedy odszedł od kominka.

Głupio, powiedział sobie w duchu. Głupio i niebezpiecznie próbować cokolwiek wyjaśnić Banichiemu: Tak, nadi, nie, nadi, jasne i proste słowa, nadi.

Banichi i Jago udali się do pokoi dla służby, gdzie mieli oddzielne kwatery. Bren poszedł do własnej sypialni i rozebrał się, jednym okiem obserwując wiszące na ścianie martwe zwierzę, na którego pysku zastygła złość jego ostatniej, beznadziejnej walki.

Oddało mu spojrzenie, kiedy się położył. Wziął do ręki książkę i zaczął czytać – był za bardzo rozgniewany, żeby zasnąć – o dawnych atejskich bitwach, o zdradach i morderstwach.

O statkach-widmach na jeziorze i zjawie straszącej w sali audiencyjnej na tym piętrze, o zwierzu, który czasami chodził, węsząc po korytarzach, szukając czegoś czy kogoś.

Był nowoczesnym człowiekiem. To były atejskie przesady. Spojrzał jednak tylko raz, po czym już unikał szklanych, wściekłych oczu zwierza na ścianie.

Uderzył piorun. Zgasły wszystkie światła, palił się tylko ogień na kominku w sąsiednim pokoju, rzucając niepewny blask, który nie sięgał wszystkich kątów sypialni i w ogóle nie docierał do korytarza dla służby.

Bren powiedział sobie, że piorun musiał uderzyć w transformator.

Wszędzie jednak panowała niesamowita cisza, przerywana jedynie dziwnym, odległym dudnieniem, brzmiącym niczym dochodzące zza ścian bicie serca.

Wtedy w korytarzu dla służby, za łazienką, odezwały się kroki. Zbliżyły się do jego sypialni.

Bren zsunął się z łóżka na kolana.

– Nand' paidhi – zawołała Jago. – To ja, Jago.

Wyciągnął rękę spod materaca i wśliznął się na łóżko. Siedząc, patrzył, jak cała brygada personelu przeszła niczym cienie przez jego pokój. Nie widział twarzy. Zobaczył błysk metalu na tym, co uznał za mundur Banichiego.

Jedna osoba została w sypialni.

– Kto to? – zapytał z niepokojem.

– Jago, nadi. Zostaję z tobą. Idź spać.

– Żartujesz!

– To najprawdopodobniej tylko uderzenie pioruna, nand' paidhi. To, co słyszysz, to dodatkowy generator. Zapewnia działanie lodówek w kuchni, przynajmniej do rana.

Wstał, zaczął szukać szlafroka i uderzył kolanem w krzesło, robiąc przy okazji hałas.

– Czego chcesz, nadi?

– Szlafrok.

– Czy to to? – Jago znalazła natychmiast szlafrok w nogach łóżka i podała mu. Przypomniał sobie, że atevi widzą w nocy o wiele lepiej niż ludzie, i wcale tak bardzo nie podniosło go to na duchu. Włożył szlafrok, zawiązał pasek i przeszedł do salonu, jako pomieszczenia mniej prowokacyjnego, gdzie trochę światła dawał kominek, a przez okna widać było z rzadka białe błyski piorunów.

Poszedł za nim cichy, skrzący się od metalu cień. W atewskich oczach odbijało się blade złoto. Dla atewich było niesamowite, że ludzkie oczy nie odbijają światła, że ludzie mogą przemykać się w ciemności nie zauważeni. Istniejące między nimi różnice stanowiły treść ich koszmarów.

Powiedział sobie jednak, że nie ma bezpieczniejszego towarzystwa na świecie i że cały ten zamęt spowodowało tylko uderzenie pioruna. Pomyślał też, że kiedy wróci Banichi, będzie mokry, zmarznięty i w kiepskim humorze.

Jago nie miała na sobie jednak szlafroka. Kiedy zgasły światła, Jago była w mundurze i uzbrojona, podobnie jak Banichi.

– Czy ty nie sypiasz? – zapytał, stając przed ogniem.

Bliźniacze odbicia w jej oczach przygasły – mruknęła – a potem zniknęły, kiedy podeszła na tyle blisko, żeby oprzeć łokieć na kamiennym gzymsie kominka. Jej cień górował nad nim. Ogień lśnił na jej czarnej skórze.

– Nie spaliśmy – rzekła.

Wszędzie wokół niego coś się działo bez żadnych wyjaśnień. Mimo szlafroka poczuł chłód i pomyślał, że bardzo potrzebuje snu przed rannym spotkaniem z wdową.

– Czy są tu wokół jakieś zabezpieczenia? – zapytał.

– Oczywiście, nadi-ji. To wciąż jest forteca, jeśli zachodzi taka potrzeba

– Z turystami i w ogóle.

– Turyści. Tak. Jutro przyjeżdża jedna grupa, nadi. Bądź rozważny, proszę. Nie powinni cię zobaczyć.

Zziębnięty, stojąc tak przy ogniu w samym szlafroku, poczuł się bardzo kruchy.

– Czy zwiedzający, kiedykolwiek... odłączają się od grupy, wymykają się spod obserwacji straży?

– Jest za to wyznaczona duża grzywna – odpowiedziała Jago.

– Za zabicie paidhiego pewnie też – mruknął. Szlafrok nie miał kieszeni. Żadnego atewskiego krawca nie można było przekonać do kieszeni. Wsunął ręce do rękawów. – Przynajmniej miesięczna pensja.

Jago uznała, że jest to zabawne. Usłyszał jej śmiech – rzadki dźwięk. To było jej pocieszenie.

– Mam być na śniadaniu z babką Tabiniego – powiedział. – Banichi jest na mnie wściekły.

– Dlaczego przyjąłeś zaproszenie?

– Nie wiedziałem, że mogę odmówić. Nie wiedziałem, jakie to spowoduje kłopoty...

Jago prychnęła szyderczo.

– Banichi powiedział, że to dlatego, że uważasz go za deser.

Przez chwilę nie mógł się śmiać. Cała sprawa była zbyt mroczna, graniczyła z bólem; potem jednak dostrzegł jej śmieszność, ponure zdumienie Banichiego, swoje ludzkie

pragnienie znalezienia celu dla sierocych uczuć. Nagłą, bezprecedensową chęć Jago do rozmowy.

– Rozumiem, że zaszła pomyłka w tłumaczeniu – rzekła.

– Wyraziłem swój najwyższy szacunek dla niego – powiedział Bren. Było to zimne, sztywne i właściwe sformułowanie. Znow miała nastąpić cała ta daremna dyskusja i nieprzekraczalne bariery. – Szacunek. Życzliwość. To jedno i to samo.

– Jak to? – zadała uczciwe pytanie Jago. Atewskie słowa nie miały tego znaczenia, które usiłował im nadać. To było niemożliwe, nigdy tak się nie stanie. Cała biologiczna konstrukcja atevich była inna, tak mówili eksperci. Dynamika stosunków międzyatewskich była inna – i żaden paidhi jej nie rozgryzł, być może dlatego, że paidhiin niezmiennie usiłowali znaleźć słowa pasujące do ludzkich kategorii, a potem, kiedy świat atevich ich przytłaczał, w samoobronie oszukiwali się co do ich znaczenia.

Boże, dlaczego ona postanowiła rozmawiać akurat tej nocy? Czy to polityka? Przesłuchanie?

– Nadi – rzekł ze zmęczeniem w głosie – gdybym potrafił to powiedzieć, to rozumielibyście nas o wiele lepiej.

– Banichi zna mospheiran. Powinieneś mu to powiedzieć w mospheiranie.

– Banichi nie czuje mospheiranu. – Było późno. Zachowywał się nadzwyczaj głupio. Zrobił rozpaczliwy, na wielką skalę zakrojony wysiłek nazwania abstrakcji. – Usiłowałem dać mu do zrozumienia, że uczyniłbym dla niego życzliwe rzeczy, ponieważ wydaje mi się on życzliwą osobą.

Stwierdzeniem tym przynajmniej przeniósł sprawę w królestwo abstrakcji, w sferę postrzegania losu jako czynnika rządzącego wszechświatem, który w myśleniu atevich Ragi mógł uchodzić za boga.

– Midei – oświadczyła Jago ze zdumieniem. Bren nigdy przedtem nie słyszał tego słowa, a to rzadko się zdarzało. – Dahemidei. Jesteś midedeni.

To już trzy słowa z rzędu. Był zbyt zmęczony, żeby robić notatki, a ten cholerny komputer nie działał.

– Co to znaczy?

– Midedeni wierzą, że szczęście i życzliwość mają źródło w osobach. To oczywiście była herezja.

Oczywiście.

– A więc było to dawno temu.

– Och, połowa Adjaiwaio wciąż wierzy w coś podobnego, w każdym razie na wsi – że powinno się wchodzić w relacje patronackie ze wszystkimi napotkanymi osobami.

Cały odległy Patronat, w którym atevi lubią innych atevich? Chciałby tam pojechać, ale jednocześnie bał się, że istnieją inne, zasadnicze różnice, może nawet zagrażające Traktatowi.

– Naprawdę w to wierzysz? – Jago drażyła sprawę. I rzeczywiście było to niebezpieczne: myśli Brena biegnące tym torem natychmiast rozpraszają się i przepełniają je tęsknota, trudno mu było znaleźć logiczne argumenty przeciwko bardzo pociągającej koncepcji, że atevi potrafią zrozumieć uczucie przywiązania. – Czy władcy techniki naprawdę tak sądzą?

Jago najwyraźniej uważała, że inteligentne osoby raczej tak nie myślą.

Sprawiło to, że Bren, zgodnie z wewnętrznym zwyczajem paidhiego, zadał sobie pytanie, czy ludzie w jakiś sposób nie są ślepi na prymitywny charakter takich związków.

Następnie poczucie przemieszczenia szarpnęło nim w przeciwnym kierunku, z powrotem w przekonanie, że ludzie mają rację.

– Coś w tym stylu – powiedział. Eksperci mówili, że atevi nie potrafią wyjść poza myślenie hierarchiczne. A Jago mówiła, że mogą? Serce waliło mu jak młotem. Rozsądek podpowiadał, żeby się wstrzymał, nie wierzył, że gdzieś tu jest sprzeczność. – A więc możecie czuć przywiązanie do kogoś, z kim nie jesteście związani poprzez man'chi.

– Nadi Bren, czy składasz mi propozycję seksualną?

Poczuł pustkę w żołądku.

– Co... Ależ nie, Jago-ji.

– Zastanawiałam się nad tym.

– Wybacz mi to niestosowne zachowanie.

– Wybacz mi moje błędne przypuszczenie. O co pytałeś?

– O... – Odzyskanie obiektywnego sądu było niemożliwe. A może nigdy go nie miał. – Chciałbym tylko poczytać o midedenich, jeśli mogłabyś znaleźć mi odpowiednią książkę.

– Oczywiście. Tu chyba jednak takiej nie będzie. W bibliotece Malguri są pozycje głównie dotyczące miejscowej historii. Midedeni żyli wyłącznie na wschodzie.

– Jeśli można, chciałbym taką książkę zatrzymać.

– Z pewnością. Jeśli nic się nie znajdzie, ja mam coś takiego, ale w Shejidan.

Strasznie nabałagał. Na osobie, która prawdopodobnie podlega bezpośrednio Tabinemu, zrobił wrażenie, że ludzie wyznają jakąś zatwardziałą herezję, która zapewne w najmniejszym stopniu nie odpowiadałaby atevim.

– Przypuszczalnie to nie ma znaczenia – powiedział, usiłując naprawić zło. – Całkowita zgodność jest po prostu zbyt nieprawdopodobna. – Jago miała bystry umysł. Bardzo bystry; Bren zaryzykował uwagę, jaką normalnie wypowiedziałby jedynie w obecności Tabiniego. – Właśnie pozorne zgodności mogą być najbardziej zwodnicze. Chcemy w nie wierzyć.

– My w Shejidan przynajmniej przestrzegamy zasad grzeczności. Nie strzelamy do innych z powodu różnic filozoficznych. Ja takiego kontraktu na pewno bym nie przyjęła.

Dobry Boże. Jago chyba zażartowała. Drugi raz tego wieczoru.

– Oczywiście, że nie.

– Mam nadzieję, że cię nie obraziłam, nadi.

– Ja też cię lubię.

W języku atevich brzmiało to bardzo śmiesznie. Wywołał rzadko pojawiający się uśmiech Jago, pochylenie głowy, błysk tej niesamowitej lustrzanej poświaty w jej oczach – zupełnie, całkowicie trzeźwych oczach.

– Nie zrozumiałam – rzekła. – Znaczenie umyka mi, nadi.

Najlepsza wola na świecie nie zasypie tej przepaści. Spojrzał na Jago z poczuciem takiego osamotnienia, jakiego nie zaznał od czasu pierwszego tygodnia pobytu na kontynencie, od pierwszej nie zamierzonej pomyłki w stosunkach z atevimi.

– Ale się starasz, Jago-ji. Banichi też się stara. To sprawia, że jestem mniej... – Nie istniało słowo „samotny”. – Mniej pojedynczy.

– Mamy wspólne man’chi – rzekła Jago, jakby rzeczywiście zrozumiała coś z tego, co mówił. – Względem rodu Tabiniego. Nie wątp w nas, paidhi-ji. My cię nie opuścimy.

Znów nie o to chodziło. Nie było niczego, co umożliwiłoby ten logiczny przeskok. Patrzył na Jago, zadając sobie pytanie, jak ktoś tak dogłębnie uczciwy i uprzejmy, biorąc pod uwagę jej licencję, może być tak całkowicie pozbawiony tego, co uczyniłoby możliwym taki wyraz emocjonalnej potrzeby. To po prostu nie pasowało do obrazu. I błędem było wiązać jakiegokolwiek nadzieje z Adjaiwaio czy z dawno już martwą filozofią.

Kluczem była tu filozofia: intelekt, nie emocje. Człowiek, który ją przyjmował, odchodził pusty i pogrążony w bólu.

– Dziękuję ci, nadi-ji – powiedział Bren i odszedł od ognia. Stał przy oknie, przez które było widać tylko krople deszczu na ciemnym tle.

Coś stuknęło, a może trzasnęło. Odbiło się echem od murów raz, dwa razy.

To nie była obluzowana okiennica. Bren pomyślał, że dźwięk dobiegł spoza murów, z kierunku południowo-zachodniego, spoza podjazdu.

Dom wydawał się bardzo cichy, jeśli nie liczyć deszczu i trzasku ognia na kominku.

– Odejdź od okna – powiedziała Jago, i Bren natychmiast się cofnął. Przywarł ramieniem do twardego kamienia, a serce waliło mu jak młotem. Spodziewał się, że Jago zostawi go i pobiegnie na pomoc Banichiemu. Wyobraźnia ukazała mu czterech czy pięciu zabójców, pokonujących antyczne zabezpieczenia zamku, znajdujących się już w obrębie jego murów.

Jago jednak stała, jak się wydawało, tylko nasłuchując. Nie było drugiego wystrzału. Zabrzęczał jej kieszonkowy komunikator – nie widział go u niej, ale oczywiście go miała; uniosła go i przełączyła na odbiór. Odezwał się Banichi, mówiąc szyfrem.

– Tano strzelił do cieni – przetłumaczyła, rzucając okiem na Bren. Jej czarna sylwetka rysowała się na tle ognia. – Wszystko w porządku. On nie ma licencji.

Chciała przez to powiedzieć, że jest zrozumiałą rzeczą, iż popełnił błąd w ocenie sytuacji. Zatem przynajmniej Tano, a prawdopodobnie i Algini, są w domowej straży Tabiniego – wolno im nosić broń palną dla obrony, ale nie wolno się nią posługiwać w miejscach publicznych.

– A więc to była błyskawica? – zapytał Bren. – Czy strzelają do błyskawicy?

– Nerwowe palce – odparła swobodnie Jago i wyłączyła komunikator. – Nie ma żadnego powodu do zmartwienia, nadi-ji.

– Kiedy będziemy mieli prąd?

– Gdy tylko monterzy przybędą tu z Maidingi. Można przypuszczać, że nie będziemy mieli światła do rana. To się zdarza, nadi. Armaty na murach bardzo często przyciągają pioruny. Podobnie jak, niestety, transformator. Nie ma w tym nic niezwykłego.

Z powodu braku prądu śniadanie może zostać odwołane. Może otrzyma chwilę wytchnienia od swego szaleństwa.

– Proponuję, żebyś się położył – rzekła Jago. – Posiedzę tu i poczytam, dopóki nie wróci reszta. Rano masz spotkanie.

– Rozmawialiśmy o man'chi – powiedział. Był zdenerwowany – z powodu burzy, strzału czy własnych niedociągnięć. Posunął się do zbyt wielkiej poufałości w rozmowie z Jago, aż do punktu, w którym uznała, że chce się z nią kochać – Boże, miej go w opiece. Zatykał wszystkie dostępne kanały komunikacji, znajdował się w emocjonalnym dołku, czuł się bardzo skrepowany wrażeniem, jakie na niej zrobił, wrażeniem, które niewątpliwie przekaze Banichiemu. Potem razem z nim powiedział Tabiniemu, że paidhi zachowuje się bardzo dziwnie. Zalecał się do Jago, zaprosił Djinanę na księżyc i myśli, że Banichi jest deserem.

– Naprawdę? – Jago podeszła do niego i chwyciła go za ramię. – Wróćmy do twojej sypialni, nand' paidhi, zmarzniesz... – Pociągnęła go tak mocno na drugą stronę okna, że – zupełnie na to nie przygotowany – poczuł ból.

Poszedł więc z nią, mówiąc sobie w duchu, że jeżeli byłaby naprawdę zaniepokojona, to kazałaby mu się pod tym oknem przeczołgać – ona jedynie chciała go od niego odciągnąć, bo świecił w nim wyraźny blask ognia, z którym kontrastowały ich sylwetki. Między tym oknem i jeziorem były przecież mury zewnętrzne.

Ale czy rzeczywiście bała się pioruna uderzającego w armatę?

– Połóż się do łóżka – powiedziała Jago, odstawiając go pod drzwi sypialni. – Bren-ji, nie martw się. Uszkodzenia są badane. Będziemy musieli przekazać tę informację elektrowni. Kiedy już zdarzy się nam awaria prądu, podejmujemy oczywiście specjalne środki ostrożności. To zwykła procedura. Być może usłyszysz, że wychodzę. Być może nie usłyszysz. Nie martw się o swoje bezpieczeństwo.

A więc istniała możliwość połączenia się z lotniskiem przez radio ochrony. Można się było domyślić. Po raz pierwszy jednak ktoś się do tego przyznał. A perspektywa nieustannych wędrówek ochrony przez jego sypialnię nie wróżyła, że będzie mógł się wyspać.

Usiadł jednak na łóżku, a Jago wróciła do pokoju, zostawiając go prawie w całkowitej ciemności. Zdjął szlafrok, wślizgnął się pod skóry i leżał, nasłuchując. Obserwował, jak nikłe światło padające z kominka w sąsiednim pokoju rzuca na ściany ruchome cienie i lśni w szklanych oczach zwierza naprzeciw łóżka.

Mówią, że tu jest absolutnie bezpiecznie, posłał mu myśl. Nie martw się.

Mówienie do zwierza miało swego rodzaju sens, skoro byli w tak zażyłych stosunkach. Było to stworzenie z tej planety. Zginęło, walcząc wściekle z atevimi, którym zabicie go sprawiło przyjemność. Nikomu nie musiało być nikogo żal. Nie było ostatnim przedstawicielem gatunku. Prawdopodobnie w zaroślach czały się setki tysięcy jego pobratymców równie wściekłych i bezlitosnych, jak ono.

Przystosowane do tej ziemi. Nie wiązało się ze swoim potomstwem czy towarzyszami. Nie potrzebowało ich. Natura wyposażyła je w hierarchiczne poczucie dominacji, wolę przeżycia, odporność na złamanie serca.

Żyło, dopóki nie zabiło go coś groźniejszego, co zatknęło jego głowę na ścianie, by dotrzymywała towarzystwa głupiemu człowiekowi, który sam się w to wplątał – który uganiał się za wiedzą, a potem za zaszczytem bycia najlepszym.

Musiał mu to wystarczyć jako towarzystwo do łóżka w takie noce. Z całą pewnością nie było bowiem nic innego, i jeśli pozwoli sobie na...

Nie mógł jednak tego zrobić. Mając dwadzieścia sześć atewskich lat, paidhi nie mógł zacząć przypisywać ludzkich cech osobom, z którymi miał do czynienia. To byłaby najgorsza pułapka. Wszyscy jego poprzednicy z tym walczyli. Wiedział o tym – teoretycznie.

Szło mu bardzo dobrze, kiedy znajdował się w odległości godziny lotu od Mospheiry. Kiedy jego poczta przychodziła na czas, dwa razy w tygodniu. Kiedy...

Kiedy ponad wszelką wątpliwość wiedział, że jeszcze kiedyś zobaczy ludzką twarz, i kiedy wszystkie sprawy toczyły się nadzwyczaj dobrze. Kiedy on i Tabini byli takimi dobrymi przyjaciółmi.

Wpisać to słowo: przyjaciel.

Tutaj paidhi znalazł się w poważnych kłopotach. Paidhi był tu kompletnie ślepy.

Paidhi nie wiedział, dlaczego się tu znalazł, paidhi nie wiedział, w jaki sposób wróci, paidhi nie doznawał w kontaktach z Banichim i Jago emocjonalnego spełnienia, jakie dawał mu Tabini, śmiejąc się i żartując z nim, aż do ostatniego ich spotkania.

Kiedy rozwalali kulami melony w drobny mak, Tabini klepał go po plecach – delikatnie, bo ludzkie plecy tak łatwo się łamią – i mówił, że ma prawdziwy talent strzelecki. Ważniejsze jednak było, jak dobry jest Tabini? Jak dobry jest w odczytywaniu ludzkiego serca?

Może jego poprzednik zdradził Tabiniemu, że paidhiin pragną osobistych związków?

Że im dłużej się ich zna, tym większymi głupcami się stają, tym bardziej są ufni i tym łatwiej wyciągnąć z nich różne rzeczy?

W gardle miał bolesną kulę, bolesny ludzki węzeł emocji, przeszkadzający mu w racjonalnej ocenie sytuacji. Czasami zadawał sobie pytanie, na jak długo wystarczy mu umiejętności, czy potrafi się dostosować? Nie wszystkim paidhiin udawało się wytrwać na stanowisku do końca życia. Źródło porad wyszło – Wilson zupełnie mu nie pomógł, tylko zrobił się jakiś dziwny i tak drażliwy, że rada mówiła o zastąpieniu go kimś innym, wbrew wyraźnemu sprzeciwowi ojca Tabiniego. Wilson miał trzeci atak serca w pierwszym miesiącu

po powrocie na Mospheirę, zachowywał się beznamiętnie podczas każdego cholernego spotkania, jakie razem odbyli. Nigdy nie powiedział Brenowi niczego, co mogłoby mu się przydać.

Rada twierdziła, że się wypalił. Bren uwierzył im na słowo i w myślach starał się nie nazywać Wilsona sukinsynem. Kiedy zastępował Wilsona pod jego nieobecność – po kilka dni z rządu podczas ostatnich dwóch lat administracji Valasiego – poznał Tabiniego. Uznał, że jego poprzednik, Valasi, dorównuje ponurym nastrojem Wilsonowi, ale Tabiniego polubił – znów to niebezpieczne słowo – w gruncie rzeczy, nigdy nie wierzył w wypalenie się Wilsona. Człowiek nie robił się taki dziwny, taki nieprzyjemny, bez udziału własnej osobowości. Nie lubił Wilsona, i kiedy zapytał go o wrażenie, jakie zrobił na nim Tabini, Wilson odpowiedział zgryźliwie: „Takie samo, jak cała reszta”.

Nie lubił Wilsona. Lubiał Tabiniego. Uważał, że rada popełniła błąd, pozwalając objąć stanowisko paidhiego Wilsonowi, człowiekowi tak uprzedzonemu.

Tej nocy się przestraszył. Zobaczył w wyobraźni lata, które mógłby spędzić na tym urzędzie, i lata, które mógł zmarnować na głupotę zwaną przyjaźnią z Tabinim, i zobaczył się na miejscu Wilsona, bez żony, bez dziecka, bez przyjaciółki, po tym, jak pewnego dnia Barb uzna, że jakiś inny mężczyzna na Mospheirze jest lepszą inwestycją. Życie jest za krótkie, żeby być na każde zawołanie faceta, który wkracza w jej życie bez żadnych wyjaśnień, nic nie mówiąc o swojej pracy – z twarzą, która zaczynała martwieć, jakby nerwy zawiadujące jej mimiką zostały przecięte.

Mógłby zrezygnować. Mógłby wrócić do domu. Mógłby się oświadczyć Barb.

Nie miał jednak gwarancji, że Barb chce za niego wyjść. Żadnych pytań, żadnego zaangażowania, żadnego dzielenia się kłopotami – bajkowy weekend w wykwintnych restauracjach i luksusowych hotelach... Nie wiedział, co Barb naprawdę myśli, nie wiedział, czego naprawdę chce, znał ją tylko z tych krótkich spotkań. To nie była miłość. To nie była nawet bliska przyjaźń. Kiedy próbował myśleć o ludziach, których przed pójściem na uniwersytet nazywał przyjaciółmi, nie wiedział, gdzie teraz są, czy wyjechali z miasta, czy zostali.

Od tygodnia nie potrafił przekazać sytuacji Deanie Hanks. Ciekawe, gdzie znajdzie w sobie siłę, żeby przekazać jej całą robotę i po prostu odejść – nieodwołalnie odwrócić się plecami od tego, do wykonywania czego przygotowywał się przez całe życie?

Jak Wilson, człowiek siedemdziesięcioletni, który właśnie widział zabójstwo Valasiego, który właśnie przyjechał do domu, ponieważ jego kariera skończyła się wraz z Valasim – z dorobkiem czterdziestu trzech lat pracy w postaci napisanych przez siebie słownikowych haseł, garści artykułów naukowych i rekordową liczbą wystąpień przeciwko projektowi drogi Transmontane. Żadnej żony, żadnej rodziny. Czekala na niego posada nauczyciela akademickiego, a on nie potrafił porozumieć się ze swoimi studentami.

Wilson nie potrafił porozumieć się ze studentami-ludźmi.

Kiedy z tego wyjdzie, napisze rozprawę, bez względu na to, jak bardzo będzie niepochlebna, rozprawę o Wilsonie i punkcie styczności obu kultur, i rozmowie, jaką odbył z Jago, i o tym, dlaczego Wilson, z taką twarzą, z takim zachowaniem, z takim podejściem, nie potrafi porozumieć się ze swymi studentami.

Tuż za ścianą uderzył piorun. Bren podskoczył. Serce biło mu dwa razy szybciej niż zazwyczaj, a w uszach dzwoniło.

Armata, powiedziała Jago. Zwykle wydarzenie.

Leżał, trzęsąc się, czy to z powodu hałasu, czy szaleństwa nocy. A może już nie rozumiał, dlaczego tu jest albo dlaczego taki strażnik z Bu-javid jak Tano wyciąga broń i strzela, kiedy inni oglądają transformatory.

Oglądają transformatory trafione przez pioruny, podczas gdy niebo nad głowami rozdziera ją błyskawice i leje się na nich deszcz.

Akurat, Jago – pomyślał. Akurat... Strzelanie do cieni. Jakich cieni spodziewa się Tano w deszczu, Jago?

Cieni, które latają rejsowymi samolotami, a najlepsza ochrona na tej planecie, poza naszą, nie wie, kto to jest i gdzie się podziewa?

Akurat, Jago.

Rozdział 6

– Wesoła noc – rzekła aiji-wdowa przy herbacie, której nieszkodliwość gwarantowała własnym słowem. – Spałeś, nand' paidhi?

– Z przerwami.

Ilisidi roześmiała się cicho i pokazała ręką na smoketkę lecącą nad zamglonym, chłodnym jeziorem. Z poręczy balkonu skapywały krople niedawno padającego deszczu. Nad górami po drugiej stronie jeziora weszło złociste słońce, rozświetlając swym blaskiem mgłę. Smoketka zanurkowała wzdłuż ściany urwiska, rozpostarłszy w słońcu błoniaste skrzydła, po czym znów wzbijała się w górę, trzymając coś w szponach.

Drapieżnik i ofiara.

– To pasożyty – odezwała się Ilisidi. – Mecheiti ich nie znoszą, ale nie pozwalam niszczyć ich gniazda. Były tu pierwsze. Co na to powie paidhi?

– Paidhi się z tobą zgadza.

– Że ci, co byli tu pierwsi, mają naturalne prawo do tego miejsca?

Dwa łyki herbaty, jeden kęs bułki i Ilisidi atakuje. Banichi powiedział, żeby uważał, ale Tabini twierdził, że da sobie radę.

Najpierw chciał się zgodzić, a potem pomyślał, czyby nie dać jakiejś wymijającej odpowiedzi. W końcu rzekł:

– Paidhi zgadza się, że nie powinno się przerywać łańcucha życia. Że utrata tego gniazda zubożyłaby Malguri.

Ilisidi utkwiała w nim swe blade oczy równie pozbawione wszelkiego wyrazu, jak oczy Banichiego, kiedy tego chciał – może była zła, że Bren zmienił temat.

Nie udało mu się jednak odejść od kierunku rozmowy.

– To rozbójnicy – powiedziała Ilisidi.

– Ale nie do zastąpienia – odrzekł.

– Szkodniki.

– Przeszłość potrzebuje przyszłości. Przyszłość potrzebuje przeszłości.

– Szkodniki, powiadam, które postanowiłam ochronić.

– Paidhi zgadza się. Jak się nazywają?

– Wi'itkitiin. Taki wydają dźwięk.

– Wi'itkitiin. – Popatrzył na następnego lotnika pokrytego łuską i piórami, zadając sobie w duchu pytanie, czy Ziemia знаła coś podobnego. – Nic innego nie wydaje takiego dźwięku.

– Nie.

– To wystarczający powód, by je oszczędzić.

Usta Ilisidi zacisnęły się, sugerując rozbawienie. Wdowa zjadła kilka łyżek płatków zbożowych oraz parę cienkich plasterków śniadaniowego steku.

Bren dotrzymywał jej kroku, świadomy, że nie mówi się do aiji-wdowy, kiedy ona myśli, a wspaniałe śniadanie stygnie. Kiedy się zastanawiał, w jaki sposób potrawy zostały podgrzane czy ugotowane, Cenedi powiedział, że przyrządzono je na ogniu z drewna. Przypuszczał, że dokonano tego w kuchennym kominku, jeśli tylko w kuchni jest kominek. Dudnienie, o którym Jago twierdziła, że to generator, ustało jeszcze w nocy. Może maszynie skończyło się paliwo albo się zepsuła. Pracownicy Elektrowni Madingi przysięgali na swoje życie i honor, że Malguri będzie miało prąd, gdy tylko, jak mówili, przywrócą elektryczność w dzielnicy miasta Madingi, w której tego ranka było ciemno i zimno.

Tymczasem zamek jakoś sobie radził: ogień na kominkach ogrzewał sale i pozwalał gotować, świece oświetlały miejsca, do których nie docierało światło z okien – te systemy niegdyś były w Malguri obowiązujące. Aiji-wdowa poleciła nakryć do śniadania na balkonie, w chłodnym, górskim powietrzu letniego poranka. Jak to dobrze, pomyślał Bren, że z powodu zimna panującego w pokojach włożył grubszy kaftan. Z jego filiżanki unosiła się para. Było rzeško – nie pamiętało się tu o dusznych nocach, stanowiących regułę w tym miesiącu w stolicy, i o burzach nadchodzących znad morza.

Przy świecach, płonącym ogniu i wśród starożytnych murów łatwo mógł sobie tego mglistego poranka wyobrazić, że przeniósł się w inne czasy, że z mgły po drugiej stronie jeziora w każdej chwili mogą się wyłonić wiosłowe statki z herbami na żaglach.

Przeleciała kolejna smoketka, wypatrując ofiary. Z wysokości spłynęło do nich jej żałosne wołanie.

– O czym myślisz, paidhi? Wpadłeś na jakąś mądrą i odkrywczą myśl?

– O statkach. O ogniu podsycanym drewnem. O tym, że Malguri nie potrzebuje niczego z zewnątrz, żeby przeżyć.

Aiji-wdowa zacisnęła usta i oparła podbródek na zwiniętej dłoni.

– Aei, jakieś sto osób personelu robi świece, zajmuje się praniem i nosi drewno – i zamek trwa. Kolejne pięćset osób do orania, oporządzania i polowania, żeby nakarmić tych, co robią świece, pracy, drwali i samych siebie. O tak, jesteśmy samowystarczalni! Poza kowalami i kopistami, którzy nas zaopatrują w swoje wyroby, oraz jeźdźcami i kanonierami, broniącymi

tego wszystkiego przed osobami spoza Patronatu, którzy nie chcą włączyć się do pracy i wolą żerować na innych. W Malguri była elektryczność jeszcze przed waszym przybyciem, nadi, zapewniam cię.

Napiła się herbaty, odstawiła filiżankę i machnęła serwetką na Cenediego, który stał w drzwiach i dyrygował służbą.

Bren uznał, że śniadanie się skończyło. Chciał wstać, lecz Ilisidi pokazała ręką na schody prowadzące na dół z tarasu.

– Chodź.

Był schwytyany, osaczony.

– Błagam wdowę o wybaczenie. Moja ochrona absolutnie zakazuje mi...

– Zakazuje! Oburzające. A może mój wnuk nastawił ich wrogo do mnie?

– Nic podobnego, zapewniam cię z najwyższym szacunkiem. Wyrażał się bardzo pozytywnie...

– To niech twoja ochrona ucieknie się do swojej słynnej pomysłowości. – Odsunęła krzesło. Cenedi podbiegł, żeby jej pomóc i podać laskę. – No już, pokażę ci resztę Malguri. Pokażę ci Malguri z twojej wyobraźni.

Nie wiedział, co robić. Nie była wrogiem – przynajmniej miał taką nadzieję – i nie chciał, żeby nim się stała. Tabini, niech go diabli, wysyłając go, wiedział, że przebywa tu jego babka. Banichi robił mu ostre wymówki, że przyjął zaproszenie, nie wysłuchawszy jego niewątpliwie mądrej rady. Zdany na gościnność wdowy, paidhi nie widział innego wyjścia jak paść z jękiem na podłogę i oznajmić, że dostał bólów brzucha – co raczej nie stanowiłoby komplementu dla i tak zmartwionego kucharza – albo wstać od stołu, pójść za staruszką i obejrzeć to, co chciała mu pokazać.

To ostatnie wydawało się mniej szkodliwe dla pokoju. Wątpił, czy Banichi doradziłby mu coś innego. Podążył więc za Ilisidi na skraj tarasu, zszedł po kamiennych stopniach na następny taras, a potem na następny, a po pokonaniu kolejnych schodów znalazł się na dziedzińcu wyłożonym kamiennymi płytami. Wszystko odbywało się bez pośpiechu, Cenedi szedł przed wdową, a jej czterech ochroniarzy zamykało pochód.

Bren znalazł się niżej, niż sądził. Poszli dalej w głąb fortecy, najpierw przez dziedziniec otoczony murem, potem przez drugi, podobny dziedziniec, pachnący świeżą ziemią, gdzie całkowicie już stracił poczucie kierunku, wraz z przekonaniem, że mądrze robi, idąc z obcymi.

Banichi mnie zabije, pomyślał. Jago zgłosił zamiar przeciwko mnie – o ile ochrona wdowy nie zamierzała tego zrobić od samego początku. Banichi nie będzie miał pojęcia, dokąd poszedłem, jeśli mnie nie śledzi...

Było to, skoro już o tym pomyślał, wielce prawdopodobne...

Coś mocno uderzyło w bramę przed nimi. Kiedy Cenedi ją otworzył, dał się słyszeć groźny kwik, którego nigdy nie słyszał z bliska, a znał jedynie z dramatów machimi...

Mecheiti, pomyślał z niepokojem, widząc, jak najpierw Cenedi, a potem wdowa przechodzą przez bramę. *Przybliżone Ekwiwalenty* podawały słowo „koń”.

Wyraz „koń” nie oddawał jednak tej kompletnej ciemności za bramą, wrywającej się trzymającym ją służącym, potrzęsającej głową, grożącej wszystkim wokół swymi potężnymi kłami, które służyły do rycia – był to „koń” tylko dlatego, że atevi na nim jeździli, był to „koń” w atewskiej skali, stworzenie, które pomagało im przemierzać kontynenty, ciągnąć wozy i patrolować granice. Rzucalo głową i wrywało się stajennym, zgrzytając potężnymi zębami. Na kły miało nałożone złote ochraniacze. Jego uździenica połyskiwała paciorkami wśród kosmyków gęstej, rozwianej grzywy. Było to rozhukane zwierzę, przerażające w swej nieopanowanej sile, z jaką miało stajennymi.

Bren zatrzymał się roztropnie w bramie, lecz Ilisidi szła dalej za Cenedim. Inni ochroniarze – było ich teraz więcej niż na początku drogi – mijali go, dowodząc w ten sposób, że mimo świadectwa zmysłów niepotrzebnie się boi. Zebrał się więc na odwagę i ruszył za ostatnim strażnikiem, doznając w towarzystwie tych wysokich istot nagłego wrażenia odwrócenia perspektywy: świat nagle dopasował się rozmiarami do atevich i delikatna stara ateva, opierająca się na lasce u boku tego straszego stworzenia i wyciągająca do niego rękę, nabrała tych samych gigantycznych proporcji, tej samej przerażającej czerni. To mogło się dziać przed wiekami w Malguri. To mógłby być jakiś aiji z epoki walk...

Patrzył z niepokojem, jak mecheita pochyła olbrzymi łeb i bierze coś z ręki Ilisidi. Przełknął smakotyłk i zaczął delikatnie muskać jej palce zwisającą górną wargą, jakby spodziewał się dokładki. Bren zdał sobie sprawę, że potwór, tak delikatny teraz w ruchach, bawi się, reagując na palce wdowy pochyleniem łba i łagodnym dotykiem, jakiego Bren by nie podejrzewał, sądząc z zachowania mecheity względem stajennych.

Mydlenie oczu i bufonada, pomyślał Bren. Ten stwór to pieszczoch. To wszystko było na pokaz, dla zrobienia wrażenia na paidhim, tym głupim człowieku.

– No, chodź – zachęciła go Ilisidi, oglądając się na niego. Rękę trzymającą laskę położyła na szyi mecheity, opierając się na nim. Życzyła sobie, żeby Bren podszedł.

No cóż, już nieraz atevi – łącznie z Tabinim – próbowali go zastraszyć. Na dworze zastawiali na niego pułapki, chcąc, by stracił godność, a wraz z nią i wiarygodność. Znał tę grę. Wzbudził w sobie niewielki gniew i rozbawienie, na jakie to wszystko zasługiwało, podszedł do mecheity z sercem podchodzącym do gardła i ostrożnie wyciągnął rękę. Spodziewał się, że jeśli pojawi się prawdziwe niebezpieczeństwo, wdowa go ostrzeże.

Nie ufał jednak zwierzęciu do końca. Był gotów błyskawicznie cofnąć rękę, kiedy mecheita wyciągnęła ku niemu szyję i szarpnęła się do tyłu.

Bren zrobił to samo. Serce waliło mu jak młotem.

– Jeszcze raz – rzekła Ilisidi. – Jeszcze raz, paidhi. Nie przejmuj się. Od kilku lat nie odgryza już palców.

Nabrał tchu i po raz drugi wyciągnął rękę – tym razem i on, i zwierzę byli ostrożniejsi, nozdrza mecheity gwałtownie otwierały się i zamykały, pewnie chwycił jego zapach – przypomniał sobie ze studiów, że takie zwierzęta kierują się głównie węchem. Głowa zwierzęcia była tak długa, jak ręka Brena od ramienia po czubki palców, a jego tułów przesłaniał słońce. Robił się coraz śmielszy, badając dłoń człowieka chwytną górną wargą. Nie wydawał się wrogo nastawiony, choć ciągnął jego palce w dół, ku zwieńczonym złotem kłom.

Na nosie miał niewielkie rogowe zgrubienie. Było ono nagie, szare i gładkie. Wścibska warga była pokryta zmarszczkami i zwężała się między kłami. Mecheita badał palce Brena, z wyraźnym entuzjazmem sapiąc i dmuchając na niego ciepłym oddechem, strzygąc uszami jak wtedy, gdy witał się z wdową, i najwyraźniej nie mając Brenowi za złe, że nie ma dla niego żadnego smakołyku. Łaskotał delikatną skórę między palcami Brena i badał ich opuszki językiem szorstkim jak pilnik.

Zwierzę już nie cofał się przed nim, lecz podtrzymywał ten dziwny kontakt, zajmując się palcami człowieka z entuzjazmem, mogącym zetrzeć z nich całą skórę. Bren był zachwycony, przestraszony i oczarowany, że coś na tym świecie poznaje go z taką całkowitą, nieskomplikowaną ciekawością – i akceptuje go. Wbrew nadziejom wdowy, liczącej na zmieszanie Brena, stworowi nie przeszkadzał jego obcy zapach.

Wtem mecheita pozwolił sobie na ostateczną, nieoczekiwaną poufałość i szturchnął Brena nosem w twarz. Bren wyrzucił w górę ręce, żeby go odepchnąć – i następny widok mecheity miał już z kamiennych płyt, na których leżał i patrzył na jego potężny cień.

– Hei – rzekła Ilisidi, stojąc nad Brenem z ręką na uździenicy wierzchowca. – Nie naciskaj nosa, nand' paidhi. Babs przeprasza, prawda, Babs? Nie spodziewałaś się ręki na nosie, co, biedaku?

Brenowi udało się jakoś wstać. Głowę uratował przed zetknięciem z płytami, ale nie siedzenie. Otrzeptał się i uparcie znowu wyciągnął rękę do mecheity – okazywanie zażenowania nie było przyjęte wśród atevich, mimo że wdowa podśmiewywała się z jego przygody i powiedziała, że powinien wziąć Nokhadę, stosunkowo spokojnego wierzchowca.

– Wziąć... dokąd, aiji-mai?

– W objazd po Malguri, oczywiście – oznajmiła Ilisidi, jakby jego wcześniejsza zgoda obejmowała wszystko. Oddała laskę Cenediemu, odgarnęła połę kaftana i uderzyła Babsa po łopacie, co było sygnałem – Bren widział to w telewizji – żeby ugiął przednią nogę. Inny służący podsadził Ilisidi na złączonych dłoniach i w chwili, kiedy Babs dźwigał się w górę, wdowa wyćwiczonym ruchem usiadła w siodle. Wszystko odbyło się gładko i szybko, niczym dworski ukłon. Ilisidi i mecheita górowali nad Brenem, odcinając się czernią na tle nieba: zwierzę cały był cieniem, a Ilisidi, której blade oczy stanowiły jedyny jasny punkt tego obrazu, przypominała postać z gwałtownej przeszłości Malguri. Przepłynęła obok niego, odwróciła się i niecierpliwie ponagliła resztę.

Przy wejściu do dalej położonego budynku zawrzało. Była to stajnia, z której stajenni wyprowadzali następne mecheiti – wir czarnych kształtów, z miejsca, gdzie stał Bren, wyglądających na równie wysokie i groźne; po jednym dla każdej osoby towarzyszącej Ilisidi.

W tym również dla niego.

– Wybacz mi – zaczął, gdy Cenedi skinął na stajennych, by przyprowadzili Brenowi jednego z wierzchowców. – To nie zostało zaaprobowane. Nie potrafię jeździć. Pragnę przypomnieć, że zostałem przysłany tu dla mojego własnego bezpieczeństwa, na czym bardzo ucierpiały pewne ważne sprawy, wymagające mojej obecności na dworze – nie uzgadniałem tego z moją ochroną, której reputacja...

Widok przesłoniła mu Nokhada, żywa góra przesuwająca się między nim i kamiennym murem Malguri.

– Daj jej się powąchać – poradził Cenedi, zatrzymując mecheitę szarpnięciem powroza, na którym go prowadził. – Tylko nie dotykaj nosa. Reakcja jest mimowolna. Kły mają ochraniacze, ale mimo wszystko... mogą spowodować obrażenia.

Mecheita wyciągnęła szyję, by leniwie powąchać rękę Brena, a potem już z większą ciekawością zająć się jego ubraniem, polizać go po twarzy i spróbować uszczypnąć w szyję. Bren cofnął się, widząc zamach wielkiego łba, ale zrobił to niezdarnie i tępy kiel trafił go w szczękę, zapalając mu w oczach wszystkie gwiazdy. Cenedi przytrzymał Nokhadę, a służący, nie zważając na protesty Brena, przygotowywali się do podsadzenia go tak, jak pomogli Ilisidi.

– Włóż nogę tutaj, nand' paidhi, tak jest zupełnie dobrze.

– Nie potrafię jeździć, do cholery, nie wiem, jak to się robi!

– Wszystko w porządku – rzekł Cenedi. – Trzymaj się tylko pierścieni. Nie dotykaj wodzy. Ona pójdzie za Babsem.

– Dokąd? – zapytał bez ogródek: – Dokąd jedziemy?

– Na krótką przejażdżkę. No, dalej. Zapewnię ci bezpieczeństwo, nand' paidhi. Wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Nazwać Cenediego kłamcą na jego własnym terenie? Otaczali go ludzie, którym pozwolił wyprowadzić się ze strefy bezpieczeństwa, bo nie chciał dać się zastraszyć. Cenedi przysięgał, że nic mu nie grozi. Odpowiadał za jego bezpieczeństwo i Banichi go z tego rozliczy – za cenę jego życia.

Paidhi mógł być martwy tylko do pewnego stopnia. Mógł być zastąpiony nowym w ciągu godziny od zawiadomienia Mospheiry, że skręcił kark.

– Na twoją odpowiedzialność – rzekł do Cenediego, biorąc do ręki wodzę. – Tabini-aiji zgłosił w moim imieniu Zamiar. Ufam, że zdajesz sobie sprawę, co się wydarzyło zeszłej nocy.

Z tymi słowy przygotował się do włożenia nogi w strzemię i zostawienia całej sprawy na głowie Cenediego. Zdecydowanym ruchem uderzył Nokhadę w łopatkę, żeby zmusić ją – czy też go – do ugięcia przedniej nogi: z telewizji wiedział, jak się wsiada

Kiedy jednak Nokhada wykonała swój krótki ukłon, a on nie potrafił znaleźć strzemienia, a potem włożyć do niego stopy, stajenni podsadzili go do pierścieni. Jego lekkie ciało oderwało się od pomocnych dłoni szybciej, niż się spodziewał i zaledwie wylądował w siodle, Nokhada podniosła się z przykłąku.

Przeleciał na drugą stronę, mimo rozpaczliwej próby chwycenia się siodła, prosto w ręce ochrony, a Nokhada zaczęła kręcić się w kółko.

Atevi rzadko głośno się śmiali. Zrobiła to teraz Ilisidi. Babs rzucał głową, zataczał kręgi i parskał. Stajenni próbowali złapać Nokhadę.

Teraz nie miał już wyboru. Nie miał absolutnie żadnego wyboru. Otrzeptał się, poprosił Cenediego o wodzę i z trzęsącymi się kolanami odnowił znajomość z Nokhadą, która wygłupiła się razem z nim.

– Nie przynieś nam obojgu wstydu – mruknął do potężnej łopatki i spróbował zmusić Nokhadę do ugięcia nogi drugi raz.

– Uderz mocniej – rzekł Cenedi, więc Bren uderzył mocniej, Nokhada westchnęła ze znużeniem i ugięła nogę.

Ponownie włożył nogę w strzemię i ponownie Nokhada razem z nim wstała z przykłąku.

Tym razem spodziewał się tego. Chwycił się pierścieni przy siodle i poddał się ruchowi Nokhady – wylądował po męsku, po czym przechylił się, bo Nokhada nadal kręciła się w kółko.

– Poluzuj wodzę, poluzuj wodzę, nand' paidhi!

Usłyszał serdeczny śmiech wdowy i przywarł do pierścieni, wypuszczając koniec wodzy między kciukiem i palcem wskazującym. Nokhada wstrząsnęła się i nie przestawała się kręcić.

– Ha! – rzekła Ilisidi. Wirowy, upokarzający ruch Brena ukazywał mu innych jeźdźców, którzy dosiadali swych wierzchowców w o wiele mniej spektakularny sposób. Spróbował dojść do ładu z wodzą. Spróbował przeciągnięciem ręki zaprzyjaźnić się z Nokhadą, która, zwolniwszy nieco ruch wirowy, wydawała się teraz bardziej zainteresowana badaniem jego prawej stopy. Bren zabrał ją szybko z zasięgu pyska mecheity.

Wtem Ilisidi coś krzyknęła, Babs minął go w nagłym pędzie, niczym góra cienia, Nokhada wzięła to za przyzwolenie i zmieniła ostatni obrót w sus do przodu, który wyrwał Brenowi wodzę spomiędzy palców tak mocno, że aż go zapiekło. Kamienna fasada budynku przemknęła obok niego, tworząc rozmazaną plamę, podobnie brama. Podczas gdy Bren, przywarłszy do pierścieni, usiłował odzyskać równowagę, przecięli dziedziniec i przez sklepioną bramę wjechali w biegnący obok schodów kamienny tunel, kończący się otwartą bramą i słonecznym blaskiem.

Przed nimi było urwisko. Bren zobaczył, że Ilisidi i Babs skręcają na drogę, szarpnął więc głową Nokhady, żeby też skręciła, co ta potraktowała jako obrazę i z rozmysłem zatańczyła na krawędzi urwiska, mając przed sobą zamglone jezioro, a pod sobą powietrze.

– Nie szarp jej za głowę, nand' paidhi! – krzyknął ktoś zza pleców Brena. Minał go Cenedi, trącając go w nogę i pociągając Nokhadę za sobą na trasę wzdłuż samej krawędzi przepaści. Nokhada potrząsała głową i wierzgała dla kurazu.

Ilisidi zatrzymała się przed nimi na ścieżce prowadzącej pod górę. Odwróciła się i zaczęła, aż dołączą do niej z resztą ochrony. Nokhada była spocona i prychała. Bren dokłusował do Cenediego. Czuł drzenie w każdym stawie i był bardzo zadowolony, że Nokhada zatrzymała się i spokojnie czeka, aż zbiorą się wszyscy jeźdźcy.

Przeżył. Znajdował się na bezpieczniejszym stoku góry. Nokhada nie mogła już rzucić ich obojga do jeziora. To było trudne zwycięstwo.

– Złapałeś oddech? – zapytała go Ilisidi. – Jak ci idzie, nand' paidhi?

– Dobrze – skłamał, zadyszany.

– Ścieżka nad jeziorem jest dla początkującego trochę stroma – rzekła Ilisidi, a Bren pomyślał, że wdowa chyba żartuje. Na tej krawędzi urwiska nie było żadnej ścieżki. Z całą pewnością nie było żadnej ścieżki. – Jesteśmy gotowi? Kciuk i palec, nand' paidhi. Delikatnie, delikatnie. Pójdzie za innymi. Ty tylko się trzymaj.

Babs ruszył, Nokhada poszła za nim jak wiedziona na niewidzialnym sznurku. Babs rzucił się pod górę, Nokhada chwilę zaczęła i zrobiła to samo, pędząc tuż za nim. Za Brenem podążał Cenedi. Przed Ilisidi jechało jednak dwóch mężczyzn, którzy zniknęli za grzbietem – ochrona, jak domyślał się Bren, chociaż przypuszczał, że każdy snajper zaczekałby na bardziej zyskowny cel.

– Ktoś naprawdę próbował mnie zabić – wydyszał do Cenediego, na wszelki wypadek chcąc wyjaśnić wszystkie szczegóły i przekonać go, że sprawa jest poważna. – W Shejidan. Pod własnym dachem aijiego. Bez zgłoszenia. Banichi pewnie o tym wspominał. To nie jest wymyślone zagrożenie.

– Wszyscy jesteśmy tego świadomi – odparł Cenedi. – Naszą najlepszą okazją była ta herbata.

Miał nadzieję, że Cenedi żartuje. Beznamiętny odwet za jego uwagę, kiedy wsiadali.

Cenedi jednak twierdził, że cały czas wiedział o ryzyku i mimo wszystko on czy też Ilisidi uparli się wyprowadzić go poza mury i zdać na łaskę Nokhady. Pod pewnym względem był to gest w stylu Tabiniego, całkowite sprzeniewierzenie się jego zakazom i rozsądkowi jego ochrony – mimo zapewnień Cenediego, Bren był niespokojny. Przeszła mu przez głowę myśl, że jeśli w Malguri są wrogowie bądź porywacze... to może właśnie razem z nimi teraz jedzie.

Banichi nie ostrzegł go jednak przed niczym takim. Banichi przyprowadził Cenediego do jego sypialni. Cenedi powiedział, że wie, dlaczego są w Malguri, i uważał, że potrafi zagwarantować mu bezpieczeństwo.

Nokhada nagle opuściła głowę, by zbadać grunt. Nie był to najlepszy moment, więc Bren chwycił się pierścieni i szarpnął mecheitę za głowę, żeby ją podniosła – co miało taki skutek, że urażona Nokhada zatrzymała się na dwa uderzenia serca, przynosząc mu wstyd, po czym sama ruszyła dalej pod górę z nosem przy ziemi.

– Złapała trop – zauważył Cenedi. Jego mecheita robił to samo, podobnie jak znajdujący się wyżej od nich Babs. – Na twoim miejscu trzymałbym się, nand’ paidhi. Babs jest czołowym.

– Jakim czołowym?

– Mecheit’-aiji – odparł Cenedi i Bren nagle przypomniał sobie polowania pokazywane w telewizji, legendarną zdolność mecheiti tropienia atewskich uciekinierów lub czworonożnych zwierząt łownych. Przypomniał sobie, jak Babs badał jego dłoń i jak obwąchiwała go Nokhada. Nagle przyszło mu na myśl, że to nie była po prostu telewizja, coś wymyślonego czy przesadzonego.

A on nie potrafił powstrzymać cholernej mecheity, na której siedział, przed zanieśieniem go wszędzie tam, gdzie miała kaprys udać się Ilisidi.

Babs machnął nagle ogonem i rozpryskując żwir, ruszył ukosem przez zbocze. Nokhada, wierzchowiec Cenediego i cała reszta, wykonała zwrot i rzuciła się naprzód, jakby ktoś do nich strzelał. Nokhada na ślepo podążyła w górę śladem Babsa, odsadzając się od Cenediego i pozostałych. Bren nie chciał prowadzić, mógł jednak tylko trzymać się pierścieni i nie wypuścić wodzy z ręki.

Przed nim wyłonił się żleb, biegnący w dół pas miękkiej ziemi, i Ilisidi nie wykazywała żadnej chęci zwolnienia biegu Babsa.

Babs skoczył.

O Boże, pomyślał Bren, oczyma wyobraźni widząc na ziemi swoje skrwawione ciało, stratowane przez mecheiti pędzące za nim. Skulił się, z całej siły chwycił pierścienie – nie ważyć dużo, nie ważyć dużo, powtarzał sobie w rytm szaleńczego biegu Nokhady w poprzek stoku. Nokhada skoczy i nie przewróci się. Nokhada zebrała się w sobie przed skokiem, tylne nogi pchnęły, łopatki powędrowały w górę...

Uczucie oderwania się od ziemi, rzucenia się w przód, na co ciało Brena instynktownie zareagowało odchyleniem się w tył – a potem szarpnięcie, od którego pękało szkliwo na zębach, kiedy Bren jakimś sposobem znów wahał się do przodu i uderzył ustami w kark Nokhady.

Jej nogi znów znajdowały się pod nią, wszystkie cztery, i wybijały grzmiący rytm. Z przodu widać było ciemny zad Babsa, który nagle zaczął rzucać się w lewo i w prawo, śladem

czegoś brązowego i białego, co przed nim uciekało. Nokhada biegła po prostszej linii, a za nią z grzmotem niczym trzęsienie ziemi pędziły inne mecheiti.

Gdzieś z przodu huknął strzał. Ilisidi. Cokolwiek to było, padło na ziemię w chmurze pyłu i, ześlizgując się po zboczu, gniotło trawę.

Ochroniarze głośnymi okrzykami pochwalili strzał. Babs się zatrzymał, a pozostałe mecheiti otoczyły go grupą, sapiąc i tupiąc, kładąc uszy, parskając i trącąc się bokami.

Bren miał rozcięte usta. Osuszył krew, patrząc, jak jeden z ochroniarzy jedzie w dół zbocza do miejsca, gdzie padło upolowane zwierzę. Wszyscy uważali, że Ilisidi oddała wspaniały strzał. Bren musiał się z tym zgodzić. Dygotał. Wargę już mu puchła i zapewne posiniaczył boki Nokhady, kurczowo ściskając je nogami – wewnętrzne mięśnie ud drżały mu ze zmęczenia, a on sam ociekał potem, chociaż w czasie pościgu nie robił nic oprócz utrzymywania się na grzbiecie wierzchowca.

Aiji-wdowa właśnie ustrzeliła kolację dla siebie i swoich sług. Mecheiti toczyły wokół dzikim wzrokiem i były podekscytowane, jak się domyślał, unoszącym się w powietrzu zapachem krwi i prochu.

– Jak nam idzie, nand' paidhi?

– Wciąż tu jestem, nadi-ji. – Brzmiało to trochę zbyt wyzywająco. – Zawdzięczam to mecheicie, nie sobie.

– Jakies obrażenia, nand' paidhi?

Można na niej polegać. Taka sama jak Tabini. Zatrokała się – ponieważ.

– Jej karku i mojej twarzy – odparł ze smutkiem.

– Za bardzo do przodu – orzekła Ilisidi i znów ruszyła pod górę z wawym kłusem, podczas gdy – Bren obejrzał się przez ramię – jeden ze strażników wciągał ubite zwierzę na siodło.

Zdolności tych wierzchowców nie wymyślili telewizyjni autorzy. Dramaty machimi, w których uciekinier był rozdierany ich kłami, nie przesadzały, Bren szczerze w to wierzył. Nie chciałby się znaleźć na ziemi pod tymi nogami albo w zasięgu tych kłów, których w czasie wojny nie zakrywano obłymi ochraniaczami.

Zapewnienia Cenediego o całkowitym bezpieczeństwie Brena w ich towarzystwie zaczęły się wydawać mniej więcej uzasadnione. Ale przypomniał sobie z dreszczem, jak obwąchiwał go Babs, czując zapach, z którym nigdy przedtem się nie zetknął. Mecheiti-aiji, jak nazwał go Cenedi, zakodował ten zapach w swoim zwierzęcym mózgu i w hierarchii spatronizowanej grupy, która to hierarchia, jak zaklinali się specjaliści, rozciągała się aż na królestwo zwierząt...

Polityka. Czworonożna polityka. Na Mospheirze, gdzie prowadzono badania drobnych miejscowych zwierząt, nazywano to zachowaniem kolonijowym, na wyspie jednak nie było niczego takiego jak mecheiti, niczego podobnego do tych myśliwych, które jadły – pamiętał z

zajęć z historii – wszystko, co mogły wykopać z ziemi lub schwytać. Wszystkożercy. Stadni myśliwi.

Nogi miał jak z waty. Ręka trzymająca wodzę drżała, jak sobie tłumaczył, z nadmiaru adrenaliny.

I ten wystrzał. Bren nie był przyzwyczajony do takich rzeczy. Angażowały one jego zmysły bez reszty, do szaleństwa, na poziomie, który taki zawodowy ryzykant jak Cenedi na pewno dawno już przekroczył. Bren nie wiedział, co jest ważne, chłonał więc wszystko, co trafiało do jego zmysłów, jak szalenie, i usiłował coś zrobić, kiedy nie było nic do zrobienia, co oczywiście taki uporządkowany umysł jak umysł Cenediego doskonale dostrzegał.

Strażnik, którego zostawili, dogonił ich, przecinając skosem zbocze. Z tyłu za siodłem miał przywiązane nieduże, wdzięcznie wyglądające zwierzę. Głowa zwieszała się bezwładnie; oczy miało takie, jak zwierz na ścianie sypialni, chociaż nie były złe, a miękkie i pełne zdumienia. Z czarnych, delikatnych nozdrzy – ładny nos, ładny pysk – sączyła się strużka krwi. Bren z całą pewnością nie chciał jeść dziś kolacji z wdową.

Kiełbaski nie dawały wrażenia takiej śmiertelności. Wolał zachowywać dystans względem swoich posiłków. Tabini nazywał to skazą moralną. On cywilizacją, a Tabini iluzją. „Wy jecie mięso poza sezonem” – mawiał. „W niezgodzie z rytmem czasu ziemi sprzedajecie mięso dla zysku. Jecie to, co nigdy nie biega wolne, i to nazywasz cywilizacją?”.

Bren nie potrafił znaleźć żadnego argumentu przeciw temu rozumowaniu. Jechał za, machającym ogonem, Babsem, a towarzyszący mu atevi wymieniali między sobą uwagi na temat wspaniałego strzału wdowy. Ilisidi stwierdziła, że skoro zaopatrzyli już spiżarnię, to teraz mogą cieszyć się samą przejażdżką.

W wolniejszym tempie, jak miał nadzieję Bren. Wewnętrzna część mięśni nóg, nawet teraz, kiedy odpoczywały, miał nienaturalnie naprężoną wskutek pozycji na siodle, a kiedy próbował usiąść wygodniej, przypadkiem kopnął Nokhadę, i ku swemu zmieszaniu zjechał ze szlaku, zboczem prosto w dół. Udało mu się zatrzymać i zawrócić mecheitę dopiero po chwili.

– Nand’ paidhi? – odezwał się do niego z góry Cenedi.

– Już idziemy – odparł. Przypuszczał, że Nokhada uzasadniała użycie liczby mnogiej. W każdym razie wyraziła swoje zdanie stulonymi uszami i ciężkim chodem, kiedy już dotarli do szlaku i dogonili koniec kolumny, gdzie czekał Cenedi.

– Co się stało? – zapytał.

– Staramy się do tego dojść – mruknął Bren. Cenedi udzielił mu jednak skróconego instruktażu: dotknięcie stóp wskazuje kierunek, lekkie pociągnięcie wodzy pobudza uwagę lub powstrzymuje otwarty bunt. Nie dotykaj nosa, nie ciągnij za pysk. Lewa stopa, idź w prawo; prawa stopa, idź w lewo; lekkie pociągnięcie, idź szybciej; mocne pociągnięcie, zwolnij. Nie kop mężczyzny w krocze ani mecheity za żebrami.

Wydawało się to cywilizowanym układem.

– Jeśli będzie chciała skoczyć – rzekł Cenedi – zrób tak, jak przedtem. Twoja waga jej nie przeszkodzi. Czy strzemiona są wystarczająco krótkie?

– Obawiam się, nadi, że nie mam pojęcia.

– Powiedz, jeżeli złapie cię skurcz w nogach.

– Na razie nie złapał. – Nie wspomniał o wacie, w jaką się zmieniły. Przypisał to swemu przerażeniu, i wysiłkowi mięśni, których zwykle nie używał.

– Dobrze – stwierdził Cenedi i odjechał stromym skosem pod górę. Jego mecheita pochyliła głowę i od czasu do czasu węszyła po ziemi, ani na chwilę nie wypadając z rytmu długich kroków.

Dziwna umiejętność. Mecheita węszyła za czymś na ziemi, a kiedy dotarli na grzbiet wzniesienia, uniosła głowę, by powęszyć w powietrzu.

A Cenedi panował nad swoim wierzchowcem z taką przekłątą swobodą. Teraz zatrzymał się, dał sygnał ręką i Ilisidi wypuściła Babsa pod górę dość szybkim krokiem.

Nokhada pobiegła po skosie pod górę, za wszelką cenę chcąc odzyskać drugie miejsce w szeregu. Niech to lichy, pomyślał Bren, przecinając drogę strażnikom; bał się jednak pociągnąć za wodze wśród skał i obsuwającego się żwiru.

– Przepraszam! – zawołał przez ramię. – Nadiin, to jej pomysł! – To wywołało śmiech ochroniarzy, a Nokhada znalazła się za ogonem Babsa.

To przynajmniej lepsze niż niechęć. Wśród mecheiti rzeczywiście panuje hierarchia i Ilisidi oraz wszyscy inni wiedzieli, że choćby się waliło i paliło, Nokhada ustawi się za Babsem. Żart im się udał. Bren zyskał rozcięcie wargi i ból mięśni, ale nie spadł i dobrze przyjął żart. Wcześniej nauczył się tak właśnie postępować, przynajmniej na dworze Tabiniego, i tak właśnie postępował z Tabinim.

Człowiek po prostu nie cofał się przed wyzwaniem – a atevi musieli wypróbować nowicjusza, choćby tylko dlatego, żeby ustalić jego miejsce w porządku rzeczy: robili to z każdym i robili to rutynowo, by w jednej chwili wykryć głupca lub przywódcę... Bren nie planował być dla nich tym pierwszym, ani zostać drugim, żeby nie zagrozić Ilisidi, Cenediemu, czy komukolwiek innemu.

A kiedy spostrzegł, że Ilisidi sobie z niego zażartowała, i dał to po sobie poznać, wtedy sprawy przybrały łatwiejszy obrót: mógł jechać za ogonem Babsa i nie przejmować się miejscem, jakie wyznaczyła mu Ilisidi, dając mu mecheitę odpowiednią dla gościa wysokiej rangi, wywodzącego się z osobistego personelu Tabiniego. Poza tym Bren doceniał humor całej sytuacji: mecheita, która da popalić niewprawnemu gościowi, szczególnie, jeżeli ten sądzi, że sam sobie wybierze miejsce w szeregu albo że się będzie spierał z Ilisidi.

Upokorzyć go? Ilisidi mogła to zrobić jednym machnięciem palcata. Jechać w takim terenie za skoczkiem, który zapewne wygrywał zawody? Paidhi-aiji miałyby dużo szczęścia, gdyby ucierpiała na tym tylko jego godność.

Musiał jednak przejść próbę Ilisidi zwycięsko, skoro Cenedi dał mu co najmniej uczciwe wskazówki, jak kierować mecheitą w lewo, w prawo, jak ruszać i zatrzymać ją. Wiedza ta wystarczyła, by wpędzić głupca w kłopoty lub powstrzymać osobę mądrzejszą przed zrobieniem czegoś zupełnie szalonego – jak ten wyjazd z bramy i droga nad urwiskiem. Bren był teraz przekonany, że wcale nie jest ono tak strome, jak mu się początkowo wydawało, i że Nokhada ma pewniejszy chód, niż sądził. Spuścić paidhiego ze zbocza? Tak. Stracić rasowego mecheitę? Kobieta, która z powodu kilku zadrapań zaatakowała gospodarza terenu palcatem?

Nie miał całkowitej pewności. Podanie herbaty na pewno było obliczone na przekazanie jakiejś informacji; Bren nie miał też całkowitej pewności, czy Ilisidi była niewinna w tej kwestii – chociaż założylby się, że gwałtowność jego reakcji przysporzyła wdowie i Cenediemu trochę zmartwienia. Ogólna lekkomyślność atevich w sprawach życia i śmierci oraz bihawa, ta agresywna skłonność do wypróbowywania obcych, zdradziła ich i postawiła w nieco niekorzystnej sytuacji: Bren podejrzewał, że pod tym względem był to rzeczywiście wypadek – plama na ich wspólnej godności, którą musieli zmyć.

Musieli. A Bren nie mógł przyjąć zaproszenia na śniadanie, a potem wymówić się od tej przejażdżki z Ilisidi. Odczytał to właściwie. Niech tam Banichi mówi, co chce, on odczytał to właściwie.

Osiągnąwszy więc coś w rodzaju statusu w grupie Ilisidi, miał nadzieję po prostu cieszyć się odtąd słońcem i górą – samą jej wysokością i rozpościerającym się pod nią światem, tworzącym krajobraz zapierający dech w piersiach.

Jechali przez wysoką, falującą na wietrze trawę, na grzbiecie wzniesienia gęsto przetykaną żółtymi, strzępiastymi kwiatkami, mając niczym nie zakłócony widok na jezioro i wznoszące się po jego drugiej stronie góry. Przy każdym oddechu Bren czuł ciężki zapach ziemi, trawy i zgniecionych kwiatów, naoliwionej skóry upręży oraz miękką, piżmową woń samych mecheiti. Trawa i zwirowate podłoże przywiodły mu na pamięć żywe wspomnienie ostatniego razu, kiedy polował z Tabinim w Taiben, mozolnie wspinając się pieszo na pokryte pyłem wzgórze.

Tabini starał się pokazać Brenowi co trudniejsze aspekty polowania i podkradania się...

Wszystko stanęło mu przed oczyma bardzo wyraźnie: tamten dzień, tamten dokładny czas, jakby rzeczywistość wsi i rzeczywistość miasta były w jego umyśle oddzielone od siebie tak dokładnie, że istniały w oddzielnych strumieniach czasowych, i wchodząc do jednego z nich, Bren zaczynał tam, gdzie poprzednio skończył, bez żadnych pośrednich wydarzeń. Czas mu się wymykał, stawał się zdradliwy. Dzisiejsze głupie ryzyko zmieniło się niepostrzeżenie w przypadkowy, oszalamiający sukces: paidhi dosiada mecheity, tysiąc, dwa tysiące mil od bezpiecznej Mospheiry, i cieszy się widokami, zapachami i dźwiękami, jakich nie doświadczył jeszcze żaden człowiek. Mecheiti z dramatów machimi okazały się tak prawdziwe jak pył, kwiaty i słońce.

A najdziwniejsza z tego wszystkiego była cisza, która nie była ciszą, lecz całkowitą nieobecnością – co świadomie zauważył po raz pierwszy w życiu – hałasu maszyn. Dźwięki docierające do uszu Brena były bogate same w sobie: wiatr, skrzypienie skóry, pobrząkiwanie pierścieni przy upręży i uździe, chrzęst żwiru, poszum trawy na wzgórzu – ale Bren nigdy nie był jeszcze w żadnym miejscu, nawet w Taiben, gdzie by nie widział linii wysokiego napięcia czy nie słyszał choćby najsłabszego hałasu samolotu, przejeżdżającego pociągu, czy po prostu ogólnego szumu pracującej maszynierii. Nawet nie wiedział, że ten szum istnieje, dopóki nie doświadczył jego nieobecności.

Pod nimi widać było maleńkie z tej odległości mury Malguri. Z pewnością niewielu atevich miało przywilej zobaczenia ich z tej perspektywy. Wśród wszystkich tych wzgórz i na całym brzegu jeziora nie można było dostrzec ani drogi, ani torów kolejowych, ani żadnego śladu atewskich siedzib, z wyjątkiem tych murów.

Czas znów zawirował. Bren wyobraził sobie trzepoczące na wietrze chorągwie z dramatów machimi, starcia zdrady z konspiracją wśród wzgórz, fortecę oczekującą ataku. Jak wywabić jej pana na otwartą przestrzeń albo wprowadzić zabójców za mury, angażując w konflikt pojedyncze osoby zamiast całych armii – ratując istnienia, ratując bogactwa, ratując ziemię od przyszłych waśni?

I zawsze w tych dramatach był domownik wielmoży z zadawnionymi pretensjami, zaufany zabójca o niejasnym man'chi oraz coś, co aiji na smaganym wiatrem wzgórzu lub aiji w murach fortecy powinien wiedzieć, ale czego nie wiedział. Człowiek niemal słyszał łopot chorągwi na wietrze, chrzęst zbroi... Atewska cywilizacja, atewska historia, która teraz kwitła wyłącznie w machimi, w telewizji – gdzie ludzka historia nie pojawiała się w ogóle.

Było coś nieoczekiwanie kuszącego w całym tym widoku: od jaskrawej krwi na upolowanym zwierzęciu po jego białe i brązowe futro, od niedbale spadających odchodów mecheiti po zapach kwiatów, aromat zgniecionej trawy i leniwe ruchy uszu wierzchowca. Nie była to ta sama rzeczywistość, co w salach Bu-javid. Z całą pewnością nie była to Mospheira. Był to świat atevich – taki, jakim ludzie mogli go nigdy nie zobaczyć, ponieważ sąsiedowali jedynie z kominami i maszynami parowymi Shejidan.

Był to świat, którego za jakieś sto lat mogą już nie zobaczyć albo i nie zrozumieć sami atevi. Przyszłość, która naturalnym biegiem rzeczy wyrośnie z przeszłości Malguri, nie rozwinie się już wyłącznie na atewską modłę – ponieważ Mospheira dała atevim kolej i satelity komunikacyjne, ponieważ odrzutowce woziły atewskich podróżnych po kraju zbyt wysoko i zbyt szybko, żeby mogli zobaczyć takie miejsce jak Malguri.

Spierał się z Tabinim o mięso i sezony polowań, uważając atewskie obyczaje za... niewygodne.

Lecz w tym sporze chodziło też o odrzutowce i satelity. O atak na jeszcze jeden bastion przeszłości.

A jeśli już o ataku mowa...

– Czy rozmawiałeś z Banichim, nadi? – zapytał Cenediego, który jechał za nim. – Nie chciałbym wjechać na jakieś zabezpieczenia.

Cenedi poczęstował go spojrzeniem bez wyrazu.

– My też nie, nadi.

Znał tę reakcję. Życzliwość kamiennego muru. Oznaczało to, że paidhi nie miał wiedzieć o zabezpieczeniach – albo że Cenedi o nich nie wie i nie cieszy się zaufaniem Banichiego, a teraz myśli, że on to zaufanie ma, co nie na wiele się zda, jeżeli wjadą na coś, czego Bren nie potrafi przewidzieć.

Lecz ci dwaj, którzy odłączyli się od nich na początku, wciąż nie wracali ani nawet się nie pokazali. Pewnie są po drugiej stronie grzbietu. Co pewien czas Babs opuszczał łeb i węszył po ziemi. Nokhada postępowała podobnie, co pociągało za sobą niespodziewane potknięcia i zapadanie się łopatki, ale Bren nauczył się odczytywać zamiary mecheity z ustawienia jej uszu i rytmu kroków.

Pomyślał, że nie są to zwierzęta, które łatwo można złapać w pułapkę i które weszłyby na ślepo w coś podejrzanego na ich drodze.

Zaczął się uspokajać. Malguri nie było zachwaszczoną, opuszczoną posiadłością, którą mogli sobie dowolnie odwiedzać przedsiębiorczy zabójcy. Intruzów powinna odstraszać sama obecność mecheiti.

Człowiek mógł też chyba słusznie uwierzyć, że ta awaria prądu, która wciąż nie została zlikwidowana w Malguri, była zwykłym skutkiem uderzenia pioruna, zwłaszcza, że prądu nie miała też chyba jedna czwarta miasteczka w dolinie.

Ilisidi zapytała, czy przespał całe to zamieszanie – a właściwie nie: Ilisidi nazwała tę noc wesołą i zapytała, czy wszystko przespał.

Co miał przespać? Awarię prądu? Czy strzały w nocy, nerwowy palec Tano na spuście i rozmowy Banichiego przez radio?

Ani Banichi, ani Jago nie dali mu wskazówek, co ma robić, o ile wiedzieli o planowanym rannym polowaniu. Żadne z nich nie ostrzegło go, że może zostać zaproszony... Może ufali mu jako paidhiemu. Albo po prostu nie wiedzieli.

Ale Tabini, który niewątpliwie znał aiji-wdowę jak nikt inny w Shejidan, stwierdził, mówiąc o kontaktach Brena z Ilisidi, by postępował dyplomatycznie.

Ilisidi zwolniła i zatrzymała się tam, gdzie szlak znów zaczynał opadać w dół.

– Z tego miejsca – rzekła, wskazując ręką na rozciągający się przed nimi widok – widać trzy prowincje: Maidingi, Didaini, Taimani. Jak ci się podoba moja ziemia?

– Jest piękna – odparł szczerze Bren.

– Moja ziemia, nand' paidhi.

Wszystko, co mówiła Ilisidi, miało jakiś cel i było starannie ułożone.

– Twoja ziemia, nai-ji. Wyznaję, że opierałem się wysłaniu mnie do Malguri. Uznałem, że wyjazd nie leży w moich obowiązkach. Myliłem się. Inaczej nie dowiedziałbym się o

istnieniu smoketek. Nigdy w życiu nie dosiadłbym mecheity. – W tej chwili zgadzał się wewnętrznie z tym, co mówił, ciesząc się krótkim odpoczynkiem od Banichiego, Jago, i trzeźwej odpowiedzialności, ciesząc się – postawa atevich była zaraźliwa – z okazji do przekroczenia ograniczeń, jakim paidhi z konieczności podlegał w życiu prywatnym i zawodowym. – Ale Banichi zabije mnie, kiedy wrócę.

Ilisidi spojrzała na niego z ukosa, a kąciki jej ust zacisnęły się.

Te dosłowne umysły atevich.

– Mówiąc obrazowo, nai-ji.

– Jesteś pewien mojego wnuka?

Niepokojące pytanie.

– A czy powinienem mieć wątpliwości, nai-ji? – Ilisidi z pewnością była właściwą adresatką tego pytania, ale człowiek nie mógł wierzyć jej odpowiedzi. Nikt nie znał man'chi Ilisidi. O ile Bren wiedział, ona nigdy się nie zadeklarowała, a przynajmniej gdyby Banichi i Jago o tym wiedzieli, to by mu powiedzieli.

Nie znał też jednak man'chi Tabiniego. Z aijiin było tak zawsze – nie mieli man'chi albo nie znajdowało się ono w zasięgu ich podwładnych.

– Tabini to solidny młodzieniec – rzekła Ilisidi. – Młody. Bardzo młody. Technika rozwiąże wszystko.

Wskazówka co do jej myśli i motywów? Nie był pewien.

– Nawet paidhi nie twierdzi, że tak jest, nai-ji.

– Czyż Traktat nie zakazuje – to chyba wy na to nalegaliście – mieszania się w nasze sprawy?

– Zakazuje, nai-ji. – Niebezpieczny teren. Bardzo niebezpieczny teren. Ta kobieta wcale nie jest tak krucha, na jaką wygląda. – Czy moje postępowanie kiedykolwiek wydawało się z tym sprzeczne? Bądź łaskawa mi to powiedzieć.

– Czy mój wnuk ci to mówi?

– Gdyby mi powiedział, że się wtrącam, to przysięgam ci, nai-ji, że na pewno zastanowiłbym się nad moją działalnością.

Przez chwilę milczała. Jadąc obok niej w wietrznej ciszy, myślał z niepokojem, czy cokolwiek, co powiedział, zrobił lub poparł w trakcie rozmaitych posiedzeń mogło być kontrowersyjne albo, jak zasugerowała wdowa, zostać uznane za wtrącanie w sprawy atevich czy zbyt szybkie przepychanie techniki.

– Proszę cię, aiji-ji. Mów bez ogródek. Czy ja sprzeciwiam się, czy też popieram stanowisko, z którym ty się nie zgadzasz?

– Cóż za dziwne pytanie – rzekła Ilisidi. – Dlaczego miałabym ci to powiedzieć?

– Ponieważ postaraliśmy się dojść twoich pobudek, nai-ji, nie przeciwstawiać się twoim interesom, nie odbierać ci twoich środków, lecz unikać obszarów twojego największego

zainteresowania. Pozwól sobie przypomnieć, że my nie posługujemy się zabójcami, nai-ji. My nawet nie bierzemy pod uwagę takiej możliwości.

– Ale biorą ją atevi, którzy mogą popierać twoje stanowisko.

Ten argument słyszał już przedtem. W rozmowie z Tabinim potrafił go obejść. Tęsknił za jego towarzystwem, pragnął go tylko zapytać, bezpośrednio dowiedzieć się rzeczy, o których nikt inny ostatnio mu nie mówił.

I podobnie jak kilka razy od czasu przybycia do Malguri, znów miał poczucie zaburzenia: w jednym momencie był przekonany, że wszystko jest w porządku, a zaraz potem bez żadnej przyczyny w to wątpił, przypominając sobie, jak całkowicie jest odizolowany, bardziej niż kiedykolwiek, od swego zaplecza.

– Wybacz mi moje pytanie – powiedział do Ilisidi – ale paidhi nie zawsze jest na tyle mądry, by zrozumieć swoją pozycję w waszych sprawach. Mam nadzieję na twoją dobrą opinię, nai-ji.

– Co masz nadzieję osiągnąć podczas swego urzędowania?

Nie spodziewał się tego pytania. Odpowiadał jednak na nie wielokrotnie podczas posiedzeń.

– Postęp dla atevich i ludzi, nai-ji. Postęp, krok ku technicznej równości, w tempie, które nikomu nie zaszkodzi.

– To jest pewnik, prawda? Zawarty w Traktacie, nieciekawym i nudnym pewnikiem. Bądź mniej skromny. Podaj tę jedną cudowną rzecz, której chciałbyś dokonać przed śmiercią – dar, którym w swej wielkiej mądrości chciałbyś nas najbardziej obdarzyć.

Nie uważał, że jest to niewinne pytanie. Mógłby wymienić kilka rzeczy. Naprawdę nie miał jasnej odpowiedzi.

– Nie wiem – odparł.

– Co, paidhi bez pojęcia, co chce zrobić?

– Krok za krokiem, nai-ji. Nie wiem, co jest możliwe. A już samo powiedzenie ci pogwałciłoby zasady...

– Najambitniejsza sprawa, jaką kiedykolwiek popierałeś.

– System kolei.

– Też coś! To my wynaleźliśmy kolej. Wy ją ulepszyliście.

To była prawda, chociaż atewskie pociągi i statki parowe nie odznaczały się wysoko zaawansowaną konstrukcją, a ich kotły wybuchały z przerażającą regularnością.

– A co więcej, paidhi? Rakiety na księżyc? Podróże wśród gwiazd?

To dużo bardziej niebezpieczny temat.

– Owszem, chciałbym dożyć chwili, kiedy atevi przynajmniej osiągną ten próg. Tyle mielibyście wtedy możliwości, nai-ji, tyle moglibyście zrobić. Nie mamy jednak pewności co do zmian, jakie to by za sobą pociągnęło, a ja chcę zrozumieć, co by się mogło stać. Chcę dawać dobre rady. To moje zadanie, nai-ji. – Nigdy dotąd nie zdawał sobie z tego sprawy tak

wyraźnie. – Jesteśmy na skraju kosmosu. Kiedy da się spojrzeć na świat z góry, możliwych jest tyle zmian...

– Jakich zmian?

Kolejne niebezpieczne pytanie, tym razem pod względem kulturalnym i filozoficznym. Bren spojrział na jezioro. Wydawało mu się, że poniżej ścieżki, którą jada, leży cały świat.

– Wysokość zmienia perspektywę spojrzenia, nai-ji. Stąd widzimy trzy prowincje. Moje oko nie widzi jednak granic wytyczonych Traktatem.

– Moje potrafi. Ten grzbiet. Rzeka. Są zupełnie wyraźne.

– Ale gdyby ta góra sięgała do księżyca, nai-ji, i jeżeli urodziłabyś się na tej bardzo wysokiej górze, to czy widziałabyś te linie? Albo gdybyś je widziała, to czy te odległe, niewidzialne linie znaczyłyby dla ciebie to samo, co dla osób urodzonych na równinie?

– Man'chi to man'chi. Ważne jest man'chi. A dla mieszkającego na granicy – jakie znaczenie mają te linie, które ustalają aijiin? Man'chi nigdy nie widać.

Przyjemnie było spodziewać się takiej odpowiedzi, jaką człowiek dostawał, takiej, jaką nieodmiennie dawał Tabini. Miło było pomyśleć, że człowiek dokładnie przewidział tok myślenia atevy. Ta wiedza na temat Ilisidi była pożyteczna.

– A zatem to by nie uległo zmianie – rzekł Bren. – Nawet gdybyś stanęła na najwyższej górze.

– Man'chi nigdy się nie zmienia – powiedziała Ilisidi.

– Nawet jeśli na całe lata opuścisz świat?

– W piekle czy na ziemi, man'chi jest niezmiennie. Wy, ludzie, jednak tego nie rozumiecie. – Babs trafił na niewielkie wzniesienie i przez chwilę siedł samotnie, dopóki Nokhada go nie dogoniła. Ilisidi-wdowa ciągnęła: – A jeżeli już się zmieni man'chi, to nigdy nie mówi się tego swoim wrogom.

To też było w dramatach machimi. Katastroficzne wydarzenie, przeniecowanie założeń wyznawanych przez całe życie. Zawsze jednak w kierunku prawdy. Zawsze w kierunku właściwego man'chi.

Ilisidi nie wyjaśniła swojej uwagi. Może Bren powinien zadać jakieś mądre pytanie. Wyobraźnia go jednak zawiodła.

– Kiedy tu przybyliśmy, nai-ji, rzeczywiście nie rozumieliśmy waszego podejścia do wielu spraw. Nie rozumieliśmy atevich. Wy nie rozumieliście nas. To była jedna z wielkich i pożałowania godnych przyczyn wojny.

– Pożałowania godną przyczyną wojny było zajęcie przez ludzi Mospheiry, do czego nie mieli żadnego prawa. Setki tysięcy atevich zostało przesiedlonych. To było złamanie man'chi, bo nie mogliśmy dać sobie rady z waszą bronią, nand' paidhi. – Wdowa nie mówiła z gniewem, lecz surowo i z naciskiem. – A teraz powoli podnosicie nas do poziomu umożliwiającego posługiwanie się techniką, coraz większą ilością techniki. Czyż nie wydaje się to niemądrym postępowaniem?

I z tym pytaniem nie spotkał się po raz pierwszy. Atevi zadawali je między sobą, kiedy myśleli, że do paidhiego nie dotrze żadne sprawozdanie z ich dyskusji. Zawiedzeni radni rzucali je paidhiemu na posiedzeniach rady. Nawet Tabiniemu nie mógł dać prawdziwej odpowiedzi, której nie dawało się przetłumaczyć: „Sądziliśmy, że potrafimy zrobić z was naszych przyjaciół”.

Podał zatem oficjalną, starannie wypracowaną i dającą się przełożyć odpowiedź:

– Widzieliśmy możliwość stworzenia patronatu. Tu, gdzie rzucił nas los, w waszej dobrej woli względem nas widzieliśmy korzyść.

– Mówicie nam, czy mamy mieć drogi, czy kolej. Odmawiacie nam tego, co chcecie nam odmówić. Obiecujecie nam cuda. Ale, jak słyszę, wielkie cuda są na Mospheirze, ku uciesze ludzi, którzy mają brukowane drogi.

– Mamy ich bardzo mało. Mniej niż wy.

– Na kontynencie tysiąc razy większym od Mospheiry. Bądź uczciwy, nand' paidhi.

– Przy pojazdach nie mających silników spalinowych. To nadejdzie, nai-ji, to nadejdzie.

– Za twojego życia... czy mojego?

– Może za trzydzieści lat. Może wcześniej. To zależy od tego, czy będziemy mieli odpowiedni przemysł. Od znalezienia środków. Od tego, czy patronaty i prowincje uznają współpracę przy produkcji aparatury i przy posługiwaniu się komputerami za rzecz polityczną. Od man'chi i tego, kto zechce, a kto nie zechce pracować razem, i od powodzenia pierwszych programów... ale nie muszą tego mówić aiji-wdowie, która zna upór inwestorów.

Rozbawił wdowę, choć roześmiała się krótko i ponuro. Czarny profil Ilisidi odcinał się wyraźnie na tle spowitego w mgiełkę wynikającą z odległości jeziora i nieba. Przez chwilę jechali górskim grzbietem w milczeniu, wiatr bawił się grzywami mecheiti, a on, drobny jak dziecko, kiwał się na grzbiecie stworzenia wyhodowanego po to, by nosiło atevich na ich nieczęste i straszliwe wojny.

– Tam jest lotnisko – odezwała się Ilisidi, pokazując ręką przed siebie.

Wyteżając wzrok, dostrzegał chyba lotnisko Maidingi, obok zamglonego obrazu aglomeracji, którą uznał za miasto Maidingi. Blżej widział wijącą się w dół drogę – albo to, co za nią brał.

– Czy to jest miasto? – zapytał. Wiedział, że to głupie pytanie, ale chciał przerwać milczenie. Ilisidi potwierdziła.

Potem, patrząc na rozległą równinę, Ilisidi pokazywała, gdzie leżą wioski otaczające Maidingi i wymieniała nazwy roślin, regionów i gór leżących za jeziorem.

Bren myślał jednak o historii, z którą się zetknął w książkach w swoim pokoju, o zamku wytrzymującym atak Patronatu zza jeziora, jeszcze zanim pojawiły się armaty. Malguri od wieków opierało się atakom ze wschodu. Powiewające chorągwie, dym z dział na murach...

„Nie bądź romantyczny” – powiedział mu jego poprzednik. „Nie wyobrażaj sobie. Patrz, obserwuj i pisz sprawozdania”.

Dokładność. Nie bujanie w obłokach.

Od dokładności paidhiego zależało wiele istnień. Od prawdziwości jego spostrzeżeń zależały miliardy istnień.

A także od dokładnego reprezentowania obu stron względem siebie.

Ale, pomyślał Bren, jak bardzo o nich zapominamy? Jak bardzo zachęcamy ich do przegranej? Ile lekceważymy, narzucając im nasze priorytety i nasze stadia rozwoju techniki?

A może te możliwości rzeczywiście zostały tu zapomniane? Czy kiedykolwiek były całkowicie zapomniane?

Dojechali na koniec grzbietu. Nad południowy kraniec jeziora napływały chmury. Zawisły nad ciemnoszarymi wodami, same ciemnoszare od spodu, rozświetlane błyskawicami. Błękitne wschodnie szczyty były jednak oświetlone ukośnymi promieniami słońca, które zmieniały wodę wzdłuż malgurskiego brzegu w wypolerowane srebro. Z gniazda wśród skał wyskoczyła smoketka, głośno skarżąc się wiatrom. Zagrzało. Druga smoketka pęzła w górę po skale. Po locie musiały wracać w ten mozolny sposób ze złożonymi skrzydłami, używając szponów na ich końcach do znajdowania oparcia na stromych urwiskach.

Smoketki były też w Shejidan. Bren słyszał, że budynki w okolicach parku mają pochyłe ściany, żeby smoketki mogły po nich pęzłać. Atevi cenili je za upór, za pragnienie latania, mimo wiedzy, że droga powrotna jest niepewna i najeżona niebezpieczeństwami.

Drapieżnik w locie – i potencjalna ofiara w drodze powrotnej.

Ilisidi zawróciła Babsa na końcu szlaku i puściła się po skosie w dół, między skały. Bren pojechał za nią.

Po pewnym czasie minęli stary, zrujnowany budynek. Cenedi objaśnił, że to stanowisko artyleryjskie z czasów pewnego prowincjonalnego sporu, ale że jego fundamenty są starsze i że niegdyś stała na nich forteca zwana Tadiiri, Siostra, najeżona lufami armat.

– W jaki sposób obróciła się w ruinę? – zapytał Bren.

– Zatarg z Malguri – rzekł Cenedi. – Oraz beczka wina, która nie posłużyła aijiemu Tadiiri i jego dworowi.

Trucizna.

– Ale cała forteca? – wymknęło się Brenowi.

– Zabrakło finezji – wyjaśnił Cenedi.

Wtedy Bren zorientował się, kim jest Cenedi – kimś takim samym, jak Banichi i Jago. Był też całkowicie przekonany, że fakt, iż otarł się o śmierć, był dla Cenediego żenujący, jak tamten sam powiedział, z powodów zawodowych.

– Potem – ciągnął Cenedi – Tadiiri zostało zniszczone, a jego armaty zabrane. Kiedy przyjechałeś, widziałeś je przy głównym wejściu.

A on nawet nie był pewien, czy są autentyczne. Myślał, że to jakiś pomnik. Nie wiedział takich rzeczy. Okres wojen i armat był jednak tak krótki! Wojna na ziemi atevich tak rzadko

była sprawą starć, a prawie zawsze manewrów i zdrady. Armie strzegły swoich przywódców. Ateva najbardziej musiał strzec się zabójstwa.

A on jechał sobie z Ilisidi i jej strażą, zostawiwszy ochronę pożyczoną mu przez Tabiniego.

A może to zmuszenie go do przejażdżki było w kategoriach atevich manewrem, poza deklaracją pozycji i władzy? Być może okaże się, że wypił lub zjadł coś innego, niezdrowego dla ludzi. Jeśli atevi źle życzyli człowiekowi, to mógł się zetknąć z wieloma niebezpieczeństwami.

A Banichi i Cenedi rzeczywiście rozmawiali ze sobą, wkraczając wzajemnie na swoje tereny – Banichi był zły na Brena za przyjęcie zaproszenia, Banichi powiedział, że nie było sposobu wycofać się z obietnicy – ale to wszystko działo się z atewskich powodów, to atevi starali się w najlepszym wypadku zażegnać konflikt między Tabinim i jego babką, i może była to próba władzy, jaką ma tu Banichi? Bren po prostu nie potrafił powiedzieć.

Może Ilisidi i Tabini przedstawili swoje stanowiska, i odtąd można mieć nadzieję na pokój między dwoma odłami rodu Tabiniego?

Rzeczywiście, to dyplomacja, pomyślał, znów wjeżdżając na swoje miejsce za ogonem Babsa.

Zrozumiał, kto rządzi w Malguri. Z całą pewnością dotarło to do niego jasno i wyraźnie. Przypuszczał, dzięki Banichiemu, że Tabini.

Jednocześnie sądził, że jest tu może nieco bezpieczniejszy, jeśli strzeże go zarówno Ilisidi, jak i Tabini.

Rozdział 7

Na dziedzińcu rozbrzmiewającym echem okrzyków i kwiczenia mecheiti Nokhada ugięła nogę dopiero za trzecim razem, głównie, jak sądził Bren, ponieważ zrobiły to już wszystkie inne zwierzęta.

Ześliznął się po rozgrzanym słońcem boku Nokhady i patrzył nieufnie, jak mecheita zgina szyję i podszczypuje jego rękaw, szturchając go w bok co prawda osłoniętymi, lecz wciąż groźnymi kłami, podczas gdy on próbował wyprostować poskręcaną wodzę. Nie był jednak na tyle głupi, żeby znów nacisnąć nos Nokhady. Uniosła głowę, wężąc – czarna góra stojąca między nim i przedpołudniowym słońcem głośno się na coś uskarżająca – a może tylko podobało jej się echo własnego głosu.

Podeszli stajenni, żeby wziąć wodzę. Bren poklepał Nokhadę na pożegnanie po łopacie, sądząc, że jej się to należy. Nokhada wydała głęboki pomruk i wyrwała mu wodzę z ręki, idąc za resztą zwierząt prowadzoną przez stajennych w labirynt dziedzińców.

– Zażywaj jej, póki tu jesteś – usłyszał tuż obok głos Ilisidi. – Kiedykolwiek chcesz, o każdej porze. Stajnie otrzymały polecenie służenia paidhi-aijiemu.

– Wdowa jest niezwykle uprzejma – odparł, zastanawiając się, czy pozostała mu na dłoni jakaś skóra.

– Dosiad masz jeszcze nie najlepszy – rzekła Ilisidi, wzięła laskę od służącego i odeszła w kierunku schodów.

Uznał to za odprawę.

Zatrzymała się jednak przy pierwszym stopniu i obejrzała się, obiema rękoma wspierając na lasce.

– Jutro rano. Śniadanie. – Laska dźgnęła dzielące ich powietrze. – Żadnych sprzeciwów, nand' paidhi. To przywilej twojej gospodyni.

Skłonił się i poszedł za Ilisidi schodami, unoszony w górę przez falę jej służących i ochroniarzy, których funkcje, podobnie jak u jego personelu, prawdopodobnie się zazębiały.

Spuchła mu warga, stracił zewnętrzną warstwę skóry na prawej dłoni, intymne obszary jego ciała były podrażnione i obiecywały jeszcze większe podrażnienie, a z polecenia wdowy miał ponowić próbę jutro. Najwyraźniej przekroczył próg, za którym nie mógł się już wycofać.

Bren poszedł za atevimi aż na balkon apartamentu Ilisidi, ponieważ była to jedyna znana mu droga do zamku. Wdowa, zmierzająca do swoich pokojów, nie zwracała już na niego żadnej uwagi – co nie było nieuprzejmością, za jaką uchodziłoby wśród ludzi: oznaczało tylko tyle, że aiji-wdowa straciła zainteresowanie towarzystwem poprzedniejszej osoby. Przy takiej różnicy ich rangi nic mu nie była winna, a w ciszy, jaka zapadła, mógł odejść, chyba że służący przyniosłby mu jakieś inne polecenie.

Nie stało się nic takiego. Bren minął drzwi wdowy, przeszedł przez publiczne pokoje przyjąć jej apartamentu. Odprowadzali go mniej ważni służący, którzy otworzyli przed nim zewnętrzne drzwi i uklonili się z życzeniami szczęścia na dalszą część dnia.

Bren także złożył im życzenia szczęścia do wtóru odpowiednich skinieć głową i ukłonów z ich strony, po czym odszedł korytarzem, posiniaczony i poobijany, ale z wiedzą dotyczącą ziemi, prowincji, widoku zamku i jego panowania nad okolicą, a nawet historii i pochodzenia działa, które widział przez otwarte drzwi frontowe.

Gdzie – niech Bóg ma go w swojej opiece – stało zaparkowanych kilka pojazdów.

Może przyjechał z miasteczka jakiś urzędnik. Może przybyła obiecana ekipa monterów do naprawy awarii prądu. Tak czy owak, paidhi nie był osobą, którą większość prowincjonalnych atevich przyjęłaby bez zmrużenia oka. Bren postanowił się pośpieszyć i przeciął frontowy pokój szybkim, sprawiającym ból krokiem.

Wyszedł prosto na wchodzącą do zamku grupę miejscowego personelu i stadko turystów.

Dziecko z wrzaskiem schowało się za swoich rodziców. Rodzice stanęli jak wryci, czarna ściana z szeroko otwartymi, żółtymi oczyma. Bren skłonił się przepaszająco; wiedział – było to minimalne zadanie paidhiego – że musi naprawić szkodę, mimo swego dzikiego wyglądu, rozciętej wargi i zakurzonego kaftana.

– Witajcie w Malguri – odezwał się. – Nie miałem pojęcia, że przybyli goście. Proszę uspokoić tę młodą damę. – Chwila na oddech. Drugi ukłon. – Paidhi Bren Cameron, do usług. Czy macie względem niego jakieś życzenia?

– Czy możemy dostać wstążkę? – zapytał dość bezpośrednio starszy chłopiec.

– Nie wiem, czy mam je ze sobą – odparł Bren. Zwykle trzymał je w biurze na oficjalne okazje. Nie wiedział, czy Jago przywiozła takie rzeczy. Jeden ze służących powiedział jednak, że można je przygotować razem z woskiem, jeżeli Bren ma swój pierścień pieczętny.

Znalazł się w pułapce. Banichi rzeczywiście go zabije.

– Przepraszam – powiedział. – Właśnie wróciłem z dziedzińca stajennego. Muszę umyć ręce. Za chwilę tu wrócę. Przepraszam, bądźcie łaskawi, dziękuję... – Ukłonił się jeszcze dwa i trzy razy. Kiedy był w połowie schodów, spojrzął w górę.

U ich szczytu stał Tano z bardzo niezadowoloną miną i z wyraźnie widoczną na biodrze bronią. Skinął dłonią na Brena, który resztę schodów pokonał biegiem, mając nadzieję, że cała scena rozegrała się w miejscu uniemożliwiającym turystom dostrzeżenie powodu jego nagłego przyływu energii.

– Nand’ paidhi – rzekł surowo Tano. – Miałeś korzystać z tylnego holu.

– Nikt mi nie powiedział, nadi! – Był wściekły. I powstrzymał wybuch. Winnym był Banichi, wszystkim tu zarządzający, a drugą odpowiedzialną za to osobą był najwyraźniej on sam. – Muszę się umyć. Obiecałem im...

– Wstążki, nand’ paidhi. Zajmę się tym. Pośpiesz się.

Mimo bólu minął Tano biegiem i puścił się pędem do swego apartamentu. Nie miał czasu na kąpiel. Umył się tylko z grubsza, narzucił świeżą koszulę i spodnie, włożył czysty kaftan i przeciągnął dłońmi zwilżonymi wodą kolońską po włosach, które wiatr wyplątał mu z warkocza.

Następnie wyszedł z pokoju, przeszedł korytarz i w bardziej już cywilizowany sposób zszedł schodami ku ustawionym w kolejce turystom. W holu przed kominkiem czekało na niego miejsce przy stole z płonącym stoczkim, wstążkami, niewielkimi kartami oraz niespokojnymi atevimi – dla każdego podpisać kartę, przyłożyć wstążkę i przypieczętować ją woskiem. Pierwszy podpis i pieczęć, pierwszy zadowolony i zdenerwowany turysta, który otrzymał nagrodę za swoją wycieczkę, a w kolejce czekało jeszcze trzydziestu, zerkając sobie nad głowami na jedyną ludzką twarz, jaką prawdopodobnie kiedykolwiek widzieli, chyba że zapuścili się aż do Shejidan.

Paidhi był przyzwyczajony do spojrzeń dorosłych. Z dziećmi radził sobie o wiele gorzej. Wyrosły na dramatach machimi o Wojnie. Niektóre z nich były nadąsane. Inne chciały dotknąć ręki paidhiego, żeby zobaczyć, czy jego skóra jest prawdziwa. Jedno zapytało go, czy jego matka też jest takiego koloru. Kilkoro bało się spojrzeć mu w oczy albo pytało, czy ma broń.

– Nie, nadi – skłamał z raczej czystym sumieniem – nic podobnego. Teraz mamy pokój. Mieszkam w domu aijiego.

Któryś z rodziców zapytał:

– Jesteś na wakacjach, nand’ paidhi?

– Zachwycam się jeziorem – odparł, zastanawiając się, czy próba jego zabójstwa znalazła się już w wiadomościach telewizyjnych w prowincji, z której pochodził mężczyzna. – Uczę się jeździć. – Ulał wosku i przypieczętował wstążkę do karty. – Są tu piękne widoki.

Zagrzmiało. Turyści spojrzeli z niepokojem na drzwi.

– Pośpieszę się – rzekł Bren i zaczął obsługiwać kolejkę szybciej, przypominając sobie czarną chmurę, którą widzieli z grzbietu wzniesienia przy krańcu jeziora. To codzienny potop, pomyślał i zadał sobie pytanie, czy to typowe dla tej pory roku i dlaczego Tabini przyjeżdża tu jesienią, a nie w środku lata? Może wie lepiej i wysłał tu paidhiego, żeby ten się utopił?

A prądu wciąż nie było.

– To wygląda tak autentycznie – powiedział jeden z gości do sąsiada, patrząc na blask świec.

Zwiedz łazienki, pomyślał Bren ponuro i zapragnął gorącej kąpieli, na którą podgrzanie wody zajmie przynajmniej pół godziny. Siedząc na twardym krześle, zaczynał czuć się niewygodnie, co było skutkiem siodła i chodu Nokhady oraz rozciągnięcia mięśni, o których istnieniu nie miał dotąd pojęcia.

Przez otwarte drzwi frontowe wpadł wilgotny, zimny podmuch wiatru. Zachwiał płomieniami świec i prysnął woskiem ze stoczka na wypolerowany drewniany blat. Bren pomyślał, czyby nie zawołać na służbę, żeby zamknęła drzwi, zanim nie zacznie padać, ale nikogo nie było w pobliżu, a on już kończył. Turyści wyjadą za kilka chwil, a od drzwi padało więcej światła, niż dostarczały go świece.

Zagrzmiało, odbijając się echem od ścian, a Brenowi zostało dwoje ostatnich turystów, starsza para, która poprosiła o „Cztery karty, jeśli paidhi łaskaw, dla wnuków”.

Podpisywał i pieczętował, podczas gdy turyści ze swoimi ozdobionymi wstążkami kartami zbierali się przy otwartych drzwiach. Podjeżdżały furgonetki, a powietrze pachniało deszczem, który to zapach ostro kontrastował z wonią wosku.

Bren podpisał ostatnią kartę, przypieczętował ostatnią wstążkę, dla starca, który powiedział, że jego wnuki to Nadimi, Fari, Tabona i mała Tigarti, której właśnie wyrznęły się pierwsze ząbki, że jego syn Fedi jest rolnikiem w prowincji Didaini i czy paidhi pozwoli sobie zrobić zdjęcie?

Wstał, czując sztywność w naciągniętych mięśniach, uśmiechnął się do obiektywu i z takim samym uśmiechem przetrzymał ogólny trzask migawek, kiedy pozostali uznali to za przyzwolenie. Poczul się o wiele lepiej, pocieszony tym, że turyści okazali się kontaktowi i że nawet dzieci zachowywały się w stosunku do niego o wiele swobodniej. Przypuszczał, że poza nielicznymi osobami, które spotykał na audiencjach w Shejidan, bliżej ze zwykłymi atevimi już się nie zetknie, lecz mimo obecnego sukcesu nawyki jego pracy ograniczyły go do zdawkowej uprzejmości. Odprowadził ich do drzwi i do autobusów – taki dodatkowy gest dobrej woli, mimo chłodu, to zawsze dobre posunięcie, a poza tym polubił tę parę starszków, którzy szli obok niego i zadawali pytania o rodzinę.

– Nie, nie mam żony – odpowiedział. – Nie, już o tym myślałem...

Barb umarłaby z nudów i frustracji w tym klasztorze, w którym żył paidhi. Udusiłaby się wśród wszechobecnej ochrony, a jeśli chodzi o rozwagę – jej życiorys nie wytrzymałby gradu pytań rady, nie przeszłaby przez sito, a Barb... Nie kochał jej, ale była mu potrzebna.

Do ramienia przysunął mu się jakiś chłopiec i powiedział niezbyt dyskretnie:

– Zobacz, jaki jestem wysoki.

Owszem, był. Jego rodzice pośpiesznie go jednak odciągnęli, oznajmiając, że takie słowa są bardzo insheibi, niedyskretnie, niegrzeczne i niebezpieczne, i prosząc paidhiego o wybaczenie, bardzo uprzejmie zapytali, czy mogą się z nim sfotografować, gdyby tylko ktoś z personelu paidhiego zechciał zrobić zdjęcie?

Uśmiechnął się po atewiemu, cierpliwie zaczekał, aż się ustawią, i przybrał tak cywilizowaną i swobodną minę, na jaką tylko było go stać. Trzasnęła migawka.

Kiedy odchodził od dwojga atevich, nastąpiła istna lawina trzasków migawek pozostałych aparatów.

Oraz trzy ciche puknięcia, dochodzące zza otwartych drzwi. Bren odwrócił się z zamarłym sercem, rozpoznawszy dźwięk wystrzałów, lecz ktoś chwycił go za rękę i przyparł do otwartych drzwi, podczas gdy turyści wybiegli hurmem pod portyk na deszcz.

Zabrzmiał jeszcze jeden strzał. Turyści zrobili owację.

Brena przyduszał Tano, a on nawet nie wiedział, że Tano jest w pobliżu.

– Zostań tu – polecił mu Tano i wyszedł na dwór, trzymając dłoń na kolbie pistoletu.

Nie mógł tu tak stać ani nie wiedząc, co się dzieje, ani nie znając grożącego mu niebezpieczeństwa. Zaryzykował rzut oka za oddalającymi się plecami Tano, wystawiając głowę, a resztę ciała chroniąc za masywnymi drzwiami. W przerwach między szpalerem turystów zobaczył mężczyznę leżącego w deszczu na kamiennych płytach i kilka atewskich postaci schodzących z trawnika na kolisty podjazd w pobliżu armaty. Widziani przez zasłonę deszczu, stanowili ledwie widoczne cienie. Kierowca autobusu, który nie zwracał na zajście najmniejszej uwagi, krzyczał na swoich pasażerów, żeby wsiadali, że czeka ich dzisiaj długa podróż i lekki obiad nad jeziorem, jeśli pogoda na to pozwoli.

Turyści wsiedli do autobusu, a atewskie cienie otoczyły postać leżącą na podjeździe. Bren uznał, że strzelanina już się skończyła. Wyszedł przed drzwi. Uderzyły go wilgotne podmuchy wiatru. Nadbiegł Tano.

– Wejź do środka, nand' paidhi – polecił. Pierwsza furgonetka odjeżdżała. Turyści przyciskali twarze do szyb, kilku z nich machało rękami. Bren im też pomachał – cóż za beznadziejny nawyk – zmrożony groteskowym widokiem ich twarzy. Furgonetka objechała armatę i Brena minął drugi autobus.

– Wszystko jest pod kontrolą, nand' paidhi, wejź do środka. Myślą, że to machimi dla turystów, wszystko w porządku.

– W porządku? – Powstrzymał oburzenie i uspokoił głos. – Kto został zabity? Kto to jest?

– Nie wiem, nand' paidhi, spróbuję się dowiedzieć, ale nie mogę cię zostawić tu na dole. Proszę cię, idź na górę.

– Gdzie jest Banichi?

– Gdzieś tam – odparł Tano. – Wszystko jest w porządku, nadi, chodź, zaprowadzę cię do twojego apartamentu. – Zaskrzeczał kieszonkowy komunikator Tano. Tano włączył go jedną ręką. – Mam go – powiedział do mikrofonu. Bren pomyślał, że to głos Banichiego, dzięki Bogu, że to Banichi, ale gdzie jest Jago? Usłyszał, jak Banichi mówi coś szyfrem, coś o jakimś rozwiązaniem problemie, a potem inny głos – rozpoznawanie płci atevich po głosie nie zawsze było łatwe – powiedział coś o drugim zespole i że wszystko jest w porządku.

– Wdowa – odezwał się cicho Bren, zadając sobie nagle pytanie, bo w obliczu zwłok na terenie posiadłości człowiek musiał je zadać, czy Ilisidi jest w to jakoś zamieszana, czy nic jej się nie stało, czy może wraz z Banichim jest w jakiś sposób autorką tego zajścia?

– Absolutnie bezpieczna – odparł Tano i znów delikatnie go popchnął. – Proszę cię, nadi, Banichiemu nic się nie stało, nikomu nic się nie stało...

– Kto zginął? Ktoś z zewnątrz? Ktoś z personelu?

– Nie jestem pewien – powiedział Tano – ale proszę cię, nadi, nie utrudniaj nam pracy.

Pozwolił się więc odciągnąć spod drzwi, z dala od falującej mgły, od której wilgło i lodowaciało ubranie, dał się poprowadzić przez mroczny hol i w górę po schodach. Przez cały czas myślał o cieniach w deszczu, o Banichim kręcącym się gdzieś na zewnątrz i o zwłokach leżących na brukowanym podjeździe tuż obok klombów i pamiątkowej armaty...

Myślał też z niepokojem o zesłanocnym alarmie, o przejeździe niespełna godzinę temu z Ilisidi i Cenedim, podczas której stanowili tak łatwy cel. Wróciło żywe wspomnienie tamtej nocy w Shejidan, odrzutu pistoletu, z którego strzelił, i Jago mówiącej, niczym w koszmarze, że na tarasie jest krew. Tak jak tutaj, na trawniku w deszczu.

Kiedy wchodził po schodach, zaczęły mu drżeć kolana. Zanim dotarł do drzwi apartamentu, zrobiło mu się niedobrze, jakby to rzeczywiście była tamta noc, jakby wszystko znów wymykało mu się spod kontroli.

W ostatniej chwili Tano wyprzedził go o dwa kroki i otworzył drzwi do pokoju przyjęć, do pozornego schronienia, gdzie uderzyła Brena ściana ciepłego powietrza, a z okna oślepionego deszczem wlewała się fala światła. Zamigotała błyskawica, zalewając na chwilę okno bielą. Turyści zjeżdżali z góry w ulewie. Ich obiad nad jeziorem był bardzo niepewny.

Ktoś wtargnął zeszłej nocy na teren posiadłości i leżał teraz martwy na podjeździe. Jego plany zawiodły. Brenowi trudno było uwierzyć, że nikt ich nie zna.

Tano zadzwonił na innych służących i zapewnił Brena cichym głosem, że zaraz przyniosą herbatę.

– Kapiel – odparł Bren – jeśli to możliwe.

Nie chciał teraz mieć do czynienia z Djinaną i Maigim, chciał Tano, chciał towarzystwa osób, o których wiedział, że są związane z Tabinim – bał się jednak powiedzieć o tym Tano, jakby pytanie o ich plany mogło zmienić się w wyzwanie rzucone tej znowu milczenia, w znak, że więzień nabrał chęci do buntu, w ostrzeżenie, że jego strażnicy powinni być ostrożniejsi...

Kolejna głupia myśl. Chciał mieć przy sobie Banichiego i Jago, a Tano powiedział, że jego osobiste potrzeby mogą jedynie przeszkodzić Banichiemu w dochodzeniu, jakie właśnie prowadził. Jego potrzeba, by dowiedzieć się, o co chodzi, nie dorównywała potrzebie Banichiego, by pójść za tym tropem w deszczu. Jemu musiało wystarczyć przepytywanie personelu, w jaki sposób ten ateva dostał się do środka, czy przyjechał autobusem, a może Banichi popełnił straszliwy błąd i to był po prostu jakiś biedny nieświadomy turysta, który wszedł na trawnik, żeby lepiej ustawić się do zdjęcia.

Pasażerowie autobusu chyba zauważą nieobecność jednej osoby? Czy któraś z grup nie zapyta, dlaczego jedno miejsce jest puste albo kto to był, albo czy to tylko machimi, jakiś aktor, pouczająca rozrywka? Czyż nie jest to historycznie kształcąca scena, tu w Malguri, gdzie podczas spacerów zdarzały się śmiertelne wypadki?

Djinana i Maigi stawili się szybko, odebrali Brena spod opieki Tano i usadzili w salonie przed kominkiem, rozbierając go po drodze z wilgotnego kaftana i pytając o śniadanie z wdową. Jakby nie przyjechali żadni turyści, jakby na zewnątrz nic się nie działo, jakby niczyje życie nie było w niebezpieczeństwie...

Gdzie jest Algini? – pomyślał nagle Bren. Nie widział partnera Tano od wczoraj, a ktoś tam leżał martwy. Nie widział Alginiego zeszłej nocy, tylko same cienie przechodzące przez jego pokój. Nie widział Alginiego może od przedwczoraj... Po tym wypadku z herbatą stracił poczucie czasu.

Tano nie wyglądała na zmartwionego. Atevi jednak nie zawsze wszystko wyrażali twarzą. Nie zawsze wyrażali, co czują, jeśli w ogóle coś czuli, i nie było wiadomo...

– Włącz grzejnik – rzekł Maigi do Djinany i otulił Brenowi nogi kocem. – Nadi, zechciej usiąść i ogrzej się. Pomogę ci zdjąć buty.

Bren osunął się na krzesło przed kominkiem, a Maigi ściągnął mu buty. Ręce miał lodowate, a stopy, bez najmniejszego powodu, zimne.

– Ktoś został zastrzelony – odezwał się w nagłym przypiływie brawury, chcąc przełamać milczenie Maigiego w tej sprawie. – Wiesz o tym?

– Jestem pewien, że wszystko jest pod kontrolą. – Maigi ukląkł na dywanie, energicznie rozcierając mu prawą stopę. – Oni są bardzo dobrzy.

Banichi i Jago, to chyba chciał powiedzieć Maigi. Bardzo dobrzy. Ktoś nie żył. Może to już koniec i jutro będzie mógł wrócić tam, gdzie działa jego komputer i przychodzi poczta.

Przy ciągłym braku prądu, kręcących się po zamku turystach i wdowie wystawiającej ich wszystkich na niebezpieczeństwo podczas porannych przejazdów?

Jeśli Banichi wiedział, że ktoś dostał się na teren posiadłości, to dlaczego nie dał żadnego ostrzeżenia? Dlaczego nie dotarło do niego ostrzeżenie Banichiego o turystach?

A może Jago coś mu wczoraj powiedziała, coś o wycieczce, ale on tego nie pamiętał, do diabła, myślał o tej innej sprawie, w którą się wplątał, i wyleciało mu to z głowy.

Nie była to więc ich wina. Ktoś go ścigał, a on wszedł między turystów, gdzie mógł zostać zastrzelony ktoś inny – gdyby jego ochrona jakoś go nie obroniła swoją obecnością, w imię finezji.

Zrobiło mu się zimno. Maigi otulił go kocem i przyniósł gorącą herbatę. Bren siedział z nogami wyciągniętymi w stronę ognia, a za oknem grzmiało i deszcz siekł w szyby. Jego apartament znajdował się jedno piętro ponad zwieńczeniem murów. Okno wychodziło na pustą przestrzeń nad jeziorem. Hałas był taki, jakby sypało żwirem. Albo jakby padał grad. Bren zastanawiał się, w jaki sposób okna to wytrzymują, czy są jakoś wzmocnione i czy są, biorąc pod uwagę pobliski mur i możliwość, że ktoś na niego wejdzie, także kuloodporne.

Zeszłej nocy Jago nie chciała, żeby przy nim stał. Algini zniknął poprzedniego dnia. Zabrakło prądu.

Siedział tak i przebiegał w myślach poranne wydarzenia: śniadanie, przejażdżkę, zachowanie Ilisidi i Cenediego, turystów i Tano. Najlepiej pamiętał uszczęśliwione twarze i machające do niego z autobusu ręce, jakby wszystko to widział w telewizji, jakby wszystko było dramatem machimi. Wyprawił się na wycieczkę po okolicy, spotkał się z atevimi, których przekonał, żeby się go nie bali, jak te dzieci czy para starszków, i ktoś został na ich oczach zastrzelony.

Przedtem on sam wystrzelił, jednocześnie dowiedział się, że chce strzelać tak, by zabić, ze strachu, z – jak odkrył – straszego gniewu, od którego wciąż jeszcze się trząsał – gniewu, o który się nie posądzał, o którym nie wiedział, skąd się wziął i do czego zmierza albo czy jest skierowany przeciwko niemu samemu, atevim czy jakiejś określonej sytuacji.

Ten alarm zeszłej nocy nie był fałszywy – albo, jak powiedziałyby Barb, był to piekielny zbieg okoliczności. Może Banichi sądził, że Bren jest bezpieczny, a napastnik po prostu wdarł się na jego teren. Może cały czas śledzili zabójcę i pozwolili Brenowi pojechać rano z Ilisidi w nadziei, że wywabi go z ukrycia.

Za dużo telewizji, powiedział Banichi w jego pokoju tamtej nocy śmierdzącej prochem, nocy deszczu na tarasie. Za dużo dramatów machimi.

Za dużo strachu na twarzach dzieci. Za dużo pokazujących palców.

Chciał dostać swoją pocztę, do cholery, choćby same katalogi, obrazki do oglądania. Nikt mu ich jednak nie przyniesie.

Może Hanks już zauważyła jego nieobecność, próbowała się dodzwonić do jego biura i nie dostała połączenia.

Powiedzą, że jest na wakacjach z Tabinim. Hanks może się domyśli. Śledzą przecież transmisje atevich. W tej sprawie jednak nie postawią się Bu-javid. Kiedy zorientują się, że coś jest nie tak, dalej będą monitorować przekazy, usiłując go znaleźć – i obarczą go winą za niewykonywanie obowiązków. Hanks zacznie się pakować, żeby przejąć jego stanowisko. Hanks zawsze miała mu za złe, że jest lepszy od niej.

A Tabini nie będzie w stanie ścierpieć Hanks. Mógłby o tym powiedzieć członkom komisji, gdyby nie uznali, że robi to we własnym interesie i że jest to efekt zatargu między nim i Hanks.

Jeśli jednak jest tak cholernie dobry w przewidywaniu posunięć Tabiniego – albo w odczytywaniu sytuacji – to nie może tego stąd udowodnić. Nie wykonał tego zasadniczego telefonu, nie uczulił Mospheiry na tę sytuację...

Boże, ależ to było głupie. Spanikował przez jakiegoś pomyłeńca, a teraz widzi koniec Traktatu, jakby przez te wszystkie stulecia atevi tylko czekali, żeby podjąć wojnę, ukrywając program budowy pocisków, który sami stworzyli, i wystrzeliwując rakiety na Mospheirę.

Było to tak samo głupie jak atewski pomysł satelitów latających nad planetą i rażących ją promieniami śmierci. Owszem, stosunki między Mospheirą i Shejidan bywały napięte. Administracja Tabiniego była najmniej skryta, najbardziej komunikatywna ze wszystkich administracji, z jakimi mieli kiedykolwiek do czynienia.

Promienie śmierci, mawiał Tabini i wybuchał śmiechem. Zapraszał go na kolację, kiedy tajemnie oddawali się, wspólnym ludziom i atevim, występny nałogom. Śmieję się, mawiał Tabini. Bren, głupcy są na Mospheirze i w Bu-javid. Nie traktuj ich poważnie.

Spokojna ręka, Bren-ji, jakbyś pokazywał palcem, nie ma żadnej różnicy.

Dobry strzał, świetny strzał, Bren...

Deszcz uderzał o szyby. Zmywał dowody. Autobusy odjeżdżały drogą, turyści się śmiali, zdumieni i rozbawieni spotkaniem. Nie nienawidzili go. Chcieli zrobić mu zdjęcia, żeby udowodnić sąsiadom jego istnienie...

– Nadi – odezwał się Djinana od drzwi. – Kąpiel gotowa.

Zebrał się w sobie, wstał, owinął się kocem i poszedł z Djinaną przez sypialnię, korytarz i wilgotną wygodkę do przegrzanej łazienki, gdzie mógł wreszcie zrzucić koc i resztę ubrania i zanurzyć się po szyję w ciepłej, parującej wodzie.

Wokół niego unosiły się kłęby pary. Woda spotęgowała bóle, do których nie chciał się przyznać. Mógł leżeć, moczyć się i gapić głupio w starożytne sztukaterie – zadawać sobie ważne pytania, takie jak: dlaczego wanna nie przebiła się przez podłogę, skoro cała reszta drugiego piętra jest z drewna?

Albo dlaczego oba zestawy służby nie poinformowały się nawzajem o alarmie zeszłej nocy i dlaczego Cenedi pozwolił im na przejażdżkę?

Rozmawiali o armacie i dawnych wojnach.

Wszystko się zlewało. Kamienie, niepewność, wiek, gorąco, zagrożenie życia. Nie docierały tu odgłosy burzy. Tylko od czasu do czasu dawało się odczuć przez kamienie wibracje grzmotów, brzmiących jak wystrzały z dawnych armat.

A wszyscy mówią: „Nic się nie stało, nand’ paidhi, nie ma się czym przejmować, nand’ paidhi...”.

Usłyszał gdzieś na zewnątrz kroki. Jakieś zamierające głosy.

Może to wraca Banichi. Albo Jago czy Tano. Może nawet Algini, jeśli żyje i nic mu nie jest. Nic w tym domu nie wydawało się wymagać pośpiechu. Jeśli zawiodła wyższa technika, działał palnik na metan.

Paidhi przyzwyczał się, że jego los spoczywa całkowicie w cudzych rękach. On nie mógł nic zrobić. Nie miał dokąd pójść.

Leżał nieruchomo w wodzie, poruszając palcami u nóg, zdrętwiałymi i otartymi przez buty, oraz stopami sztywniejącymi z wysiłku spowodowanego utrzymywaniem się na grzbiecie mecheity. Pewnie przez cały czas zaciskał nogi. Tkwił w wannie, pozwalając stygnącej wodzie wyciągnąć z niego wszystkie dolegliwości. W końcu wyszedł i wytarł się do sucha – Djinana chętnie by mu pomógł, lecz Bren nie przyzwyczał się do takiej obsługi przez własnych służących, a co dopiero obcych. I tutaj.

Włożył więc przygotowany przez Djinanę szlafrok i wrócił do gabinetu, żeby usiąść przy własnym bezpiecznym ogniu, poczytać książkę i poczekać, aż otrzyma jakieś informacje, uwolnią go czy też piekło zamarnie – cokolwiek nadejdzie jako pierwsze.

Może wzięli zabójcę żywcem. Może zadają pytania i otrzymują odpowiedzi. Może Banichi nawet mu powie, czy tak jest...

A może nie.

– Kiedy będziemy mieli prąd? – zapytał Djinanę, kiedy ten przyszedł, żeby zapytać, czy paidhi jeszcze czegoś sobie życzy. – Czy jest jakiś przybliżony termin?

– Jago mówiła coś o zamówieniu nowego transformatora – odparł Djinana – i przywiezieniu go koleją z Raigan. Coś się spaliło w elektrowni między nami i Maidingi. Nie wiem, co. Paidhi prawdopodobnie zna się na działaniu sieci o wiele lepiej ode mnie.

Tak było. Nie zdawał sobie sprawy, że jest i podstacja. Nikt mu o tym nie mówił – tylko że jedna czwarta Maidingi czeka na tę samą naprawę. To logiczne, że elektrownia przyciąga pioruny, ale to, że nikt w promieniu stu mil nie potrafi przywrócić prądu w okręgu bez sprowadzenia części zapasowych, nie trzymało się kupy.

– To nie jest uboga prowincja. Coś takiego musi się tu zdarzać od czasu do czasu. Czy dzieje się tak każdego lata?

– Och, czasami – odrzekł Djinana. – Zeszłego lata dwa razy.

– Czy zdarza się, że dostają się tu zabójcy? Czy to się zdarza?

– Zapewniam cię, że nie, nand' paidhi. Teraz wszystko jest już w porządku.

– Czy on nie żyje? Czy wiadomo, kto to był?

– Nie wiem, nand' paidhi. Nie powiedzieli nam. Jestem pewien, że usiłują się tego dowiedzieć. Nie przejmuj się takimi rzeczami.

– To chyba naturalne, że przejmuję się czymś takim – mruknął, spoglądając na książkę. Nieładnie było odbijać sobie zdenerwowanie na Djinanie i Maigim, którzy tu tylko pracowali i którzy traktowali reputację Malguri w sposób bardzo osobisty. – Chciałbym się napić herbaty, Djinano, dziękuję.

- Z kanapkami?
- Chyba nie, Djinano, dziękuję, ale nie. Posiedzę tu sobie i poczytam.

Po jeziorze pływały statki-widma. Jednym z nich był statek pasażerski, który wciąż zawijał do portów w zimowe noce. Raz nawet był w porcie Maidingi, w pełnym blasku latarni, i próbował brać na pokład osoby nieostrożne oraz zasłużenie potępione, ale wsiadł tylko sędzia miejski, przed stu laty, i odtąd statek już nie zawinął do żadnego portu.

Czasami podczas burz pojawiała się też łódź rybacka – raz, niecałe dwadzieścia lat temu, ukazała się załodze uszkodzonego trałowca, który nabierał wody i zaczynał tonąć. Przesiedli się wszyscy oprócz dwóch osób – kapitan wraz z synem postanowili zostać na uszkodzonym trałowcu. Łódź rybacka, która według wszystkich była stara i zdezelowana, odpłynęła z załogą i nikt już jej więcej nie oglądał.

Wszystko w tych legendach zdawało się polegać na źle ulokowanym zaufaniu, chociaż atevi nie mieli na to określenia: duchy traciły wszelką moc, jeżeli ofiary nie wierzyły w to, co widzą, albo jeżeli zdawały sobie sprawę, że sytuacja jest zbyt piękna, żeby była prawdziwa, i nie dawały się oszukać.

Banichi wciąż nie wracał. Maigi i Djinana przyszedli zapytać, co Bren chce zjeść na kolację, i polecili mu dziczyznę – jakieś płochliwe, zimnokrwiste stworzenie, które jemu nie wydawało się apetyczne, chociaż wiedział, że służący uważają je za przysmak. Poprosił o skorupiaki. Maigi uznał spełnienie tego życzenia za łatwe, chociaż, jak powiedział Djinana, o tej porze roku mięczaki mogą nie być najlepsze: posłają do miasteczka, gdzie może uda się je kupić, ale na stole mogą się znaleźć dopiero za jakieś dwie, trzy godziny.

– Mogę poczekać – powiedział Bren i dodał: – Niech odłożą trochę więcej na jutrzejszy obiad.

– Nie ma lodu – oznajmił przeproszającym tonem Djinana.

– Może w miasteczku.

– Ateva może się dowiedzieć, nadi. Jednak spora część miasteczka nie ma prądu, a większość domów na pewno wykupiła lód na zapas. Zapytamy...

– Nie, nie, nadi, proszę cię. – W okresach rozpaczki żył mięczakami. – Inni niewątpliwie potrzebują tego lodu. A jeżeli nie da się ich przechować; nie ryzykujcie, proszę. Jeśli w domu udałoby się gdzieś znaleźć grzankę z owocami i herbatę, to zupełnie mi to wystarczy. Nie jestem specjalnie głodny.

– Nadi, musisz zjeść coś więcej niż grzanka z herbatą. Nie jadłeś obiadu.

– Muszę wyznaczyć, Djinana-nadi, że te sezonowe dania są dla mnie bardzo mocne. To różnica w percepcji. Jesteśmy dość wrażliwi na alkaloidy. W daniach mięsnych mogą się one łatwo znaleźć, a unikanie ich jest dla mnie sprawą absolutnie zasadniczą. Jeżeli byłby jakiś kabiou wybór owoców czy warzyw... Aiji-wdowa jadła bardzo dobre bułeczki śniadaniowe, które mi smakują.

– Na pewno powiem o tym kucharzowi. I... – Djinana zrobił konspiracyjną minę. – Chyba został z zeszłego miesiąca wędzony udziec. Jeśli to resztko, to z pewnością nie jest nie-kabiu. Zawsze odkładamy kilka kawałków pieczeni.

Przechowywane mięso. Poza sezonem. Niech Bóg ma ich w opiece.

– Nigdy nie wiemy, ilu będzie goście – powiedział Djinana z kamienną twarzą. – Bardzo nie lubimy, kiedy kończy nam się jedzenie.

– Djinana-nadi, uratowałeś mi życie.

Djinana był wielce rozbawiony, bardzo zadowolony z rozwiązania i przed wyjściem uklonił się dwa razy.

Na resztę popołudnia Bren wrócił do swoich widmowych statków i bezgłowych kapitanów trałowców, które pływały wzdłuż wybrzeży Malguri podczas burz. Podobno kiedy miała się wydarzyć jakaś katastrofa, odzywał się dzwon.

Zamiast tego otworzyły się drzwi, w salonie dało się słyszeć skrzypienie wilgotnych butów i do gabinetu wszedł przemoczony i bardzo zmęczony Banichi, który powiedział:

– Zjem z tobą kolację, nadi.

Zatrzasnął książkę i chciał powiedzieć, że większość osób czeka na zaproszenie, że Banichi jest niegrzeczny i że on sam zaczyna mieć dość mijania go bez słowa, ignorowania, mówienia do niego z góry i ogólnego traktowania jak niesforne dziecko.

– Cieszę się, że będę miał towarzystwo – rzekł Bren i przekonał samego siebie, iż rzeczywiście jest zadowolony, że będzie miał z kim porozmawiać. – Powiedz Djinanie, żeby dołożył jeszcze jedno nakrycie. Czy Jago też będzie?

– Jago poleciała do Shejidan. – Banichi szedł do pokojów służby i łazienki, i jego głos dobiegł Brena z sypialni. – Wróci jutro.

Nie zapytał nawet, po co. Nie zapytał, dlaczego samolot miałby startować w środku burzy, już drugi od południa, skoro prawdopodobnie był to samolot aijiego i mógł latać według własnego rozkładu. Banichi zniknął w tylnym korytarzu i po chwili Bren usłyszał szum wody z łazienki. Boiler powinien jeszcze być włączony. Banichi nie musiał czekać na swoją kąpiel.

Bren wrócił do widmowych dzwonów, bezgłowych ofiar i całych załóg, które przepadały w niesławnej atmosferze Maidingi, zawsze żywiącej się nieszczęściami innych, kiedy w Malguri przebywał jakiś aiji.

Tak mówiła książka, a atevi, którzy nie wierzyli we wszechmocnych bogów i uważali, że wszechświatem i jego pseudo-boskimi siłami rządzi baji i naji, wierzyli przynajmniej, że naji może przepływać od jednej osoby do drugiej – albo wierzyli w to dawniej, zanim stali się nowocześni, cyniczni i oświeceni i zanim zdali sobie sprawę, że większa siła ognia może przynieść szczęście osobom, które zupełnie na to nie zasługują.

Przesiedział w szlafroku całe popołudnie, nabawiając się podrażnień na bardzo intymnych częściach ciała. Nie chciało mu się ruszać, a co dopiero ubierać do kolacji – skoro Banichi sam się wprosił, to może znieść jego nieoficjalny strój.

Banichi pojawił się w gabinecie ubrany jedynie w czarną koszulę, spodnie i wysokie buty – co było nieco bardziej formalnym strojem, ale tylko nieco – bez kaftana i z warkoczem ociekającym wodą.

– Paidhi-ji – rzekł z ukłonem.

– Służę drinkiem – odparł Bren, ponieważ sam ostrożnie raczył się aperitifem z własnych bezpiecznych zapasów. Miał butelkę dimagi, której nie mógł pić bez bólu głowy, a później poważniejszych skutków – jak przypuszczał, znakomitej dimagi, ponieważ dał mu ją Tabini. Nalał jej Banichiemu hojną ręką.

– Nadi – rzekł Banichi, ujmując kieliszek z westchnieniem, i usadowił się przy ogniu na krześle stojącym po przeciwnej stronie kominka.

– A zatem? – Trunek zapiekł Brena w rozciętą wargę. – Ktoś nie żyje. Czy to była ta sama osoba, która wtargnęła do mojej sypialni?

– Nie mamy pewności – odparł Banichi.

– To nie był żaden zabłąkany turysta.

– Żaden turysta. Zawodowiec. Wiemy, kto to jest.

– I nadal żadnego zgłoszenia waśni?

– To bardzo niepokojący aspekt całej sprawy. Ten mężczyzna miał licencję. Robiąc to, co zrobił, ryzykował wszystkim. Zostanie wykreślony z list, pozbawiony korzyści płynących z wykonywania zawodu, jego instruktorzy będą zhańbieni. To nie są błahe sprawy.

– Przykro mi z powodu jego instruktorów – rzekł Bren.

– Mnie też, nadi, To byli i moi instruktorzy.

Impas. Banichi – i ten nieznaną mężczyznę – mieli jakieś powiązania? Koledzy ze studiów?

– Znasz go?

– Często się spotykaliśmy na gruncie towarzyskim.

– W Shejidan?

– Syn znamienitej rodziny. – Banichi pociągnął łyk i wpatrzył się w płomienie. – Jago eskortuje ciało i wiezie sprawozdanie dla Gildii.

Nie jest to dobry dzień, pomyślał Bren, straciwszy cały apetyt na kolację. Banichi patrzył na niego beznamiętnym, mrocznym wzrokiem, z którego nic nie potrafił odczytać – ani zdania Banichiego, ani jakie zobowiązania miał względem Tabiniego w przeciwieństwie do swojej Gildii czy tamtego mężczyzny, ani gdzie teraz spoczywa jego man'chi.

– Bardzo mi przykro. – Nie potrafił powiedzieć nic więcej.

– Masz prawo do odwetu.

– Nie chcę brać żadnego odwetu. Nie chciałem tej awantury, Banichi.

– Teraz ją wywołali.

– Z tobą? – Bren poczuł wzbierającą rozpacz. Zaczął mu się buntować żołądek. Rozbolały go zęby. Siedzenie sprawiało ból. – Banichi, nie chcę, żeby tobie albo Jago coś się stało. Nie chcę żeby ktokolwiek zginął.

– Ale oni tego chcą, nadi. To jasne. Pewien zawodowiec zgadzał się z nimi na tyle, by złamać prawo Gildii – dla man’chi, nadi. To właśnie musimy wykryć – z kim było związane jego man’chi? Tylko ono mogło go pchnąć do czynu.

– A skoro twoje jest związane z Tabinim...?

Banichi zawahał się, po czym powiedział ponuro:

– To postępują wysoce nierozważnie.

– Nie możemy ich aresztować? Złamali przecież prawo, Banichi. Nie mamy jakiegś możliwości zatrzymania ich za pośrednictwem sądu?

– To – odparł Banichi – byłoby bardzo niebezpieczne.

Bo nie powstrzymałoby ich. To Bren rozumiał. Nie mogłoby ich legalnie powstrzymać, dopóki nie zostanie wydany wyrok na jego korzyść.

– Wystarczy, że wniosą pozew o zniewagę – rzekł Banichi – albo pogwałcenie interesów. A w jaki sposób ty możesz się bronić? Nikt nie rozumie twoich powiązań. Sąd nie ma środków, by je wykryć.

– A moje słowo nic nie jest warte? Moje man’chi jest związane z Tabinim, tak jak twoje. Muszą przecież o tym wiedzieć.

– Ale nie wiedzą – odrzekł Banichi. – Nawet ja nie wiem tego z całkowitą pewnością, nadi. Wiem tylko to, co mi powiesz.

Brenowi zrobiło się zimno i poczuł się zupełnie odizolowany. I zły.

– Nie jestem kłamcą. Nie jestem kłamcą, Banichi. Nie współzawodniczyłem przez piętnaście lat z moimi najlepszymi rodakami, żeby tu przybyć z kłamstwami.

– Przez piętnaście lat.

– Żeby mnie wysłano do Shejidan. Żeby zająć stanowisko, które zajmuję. Żeby być tłumaczem dla atevich. Ja nie kłamię, Banichi!

Banichi patrzył na niego przez długą, milczącą chwilę.

– Nigdy? Sądziłem, że takie jest zadanie paidhiego.

– Nie w tej sprawie.

– Do jakiego stopnia wybiórco ośmielamy się być? Kiedy ty kłamiesz?

– Po prostu dowiedz się, kto go wynajął.

– Do działania nie mógł go zmusić żaden kontrakt.

– A co mogło?

Banichi nie odpowiedział. Patrzył tylko w ogień.

– Co mogło, Banichi?

– Nie znamy myśli martwej osoby. Pragnąłbym jedynie, żeby Cenedi nie był taki dokładny.

– Zastrzelił go Cenedi. – A więc wiadomo, gdzie ulokowali swoją lojalność, przynajmniej Cenedi i Ilisidi. Bren odczuł ulgę.

Banichi nie wydawał się jednak w pełni zadowolony z Cenediego. Albo z efektu jego działania. Nie odrywając wzroku od ognia, Banichi upił łyk z grzejącego mu się w rękach kieliszka.

– Ty się jednak martwisz – rzekł Bren.

– Zdecydowanie nie podobają mi się te pojazdy dostawcze. To nieusprawiedliwione ryzyko. Z turystami jest przynajmniej ktoś, kto ich liczy.

– Myślisz, że tak się dostał do środka?

– Bardzo możliwe.

– Nie będzie już więcej wycieczek, prawda?

– Rezerwacje są robione z kilkumiesięcznym wyprzedzeniem. Turyści byliby niepokieszeni.

Czasami Bren zderzał się z atewskim sposobem myślenia, którego nie rozumiał. Ani się go spodziewał.

– Te osoby znalazły się w niebezpieczeństwie, Banichi!

– Nie z jego ani naszej strony.

Finezja. Biichi-ji.

– Tam były dzieci. Widziały, jak kogoś zastrzelono.

Banichi patrzył na niego, jakby czekał na końcowy sensowny wniosek. Jakby zupełnie zmienili temat.

– Tak nie można, Banichi. Oni myśleli, że to machimi! Myśleli, że to jak w telewizji!

– No to nie czuli się urażeni. Prawda?

Zanim udało mu się nadażyć za tą linią rozumowania, przyszli z wewnętrznych pomieszczeń Djinana i Maigi z wózkiem z kolacją.

Był wybór potraw – te odpowiednie dla pory roku oraz plastry przechowanej pieczeni. Kiedy usiedli w jadalni i półmiski zostały odkryte, Banichiemu zaświeciły się oczy. Czy był w stanie żałoby, czy planował zabójstwo – Banichi bez wahania nałożył sobie na talerz, najwyraźniej nie cierpiąc na brak apetytu.

Kucharz przygotował niezwykle artystycznie ułożoną kompozycję z owoców przyrządzonych na różne sposoby. To było miłe. Człowiek mógł pominąć spreparowaną głowę niesezonowego zwierzęcia w roli przykrywki rondla, lecz Banichi uniósł ją za uszy i delikatnie odłożył na bok, na szczęście z drugiej strony naczynia. Ze ścian patrzyły inne martwe zwierzęta.

– To jest znakomite – oświadczył Banichi.

Bren bawił się pokrojonym w plastry mięsem. Nerwy miał napięte. Siedzenie na krześle sprawiało mu ból. Wziął nóż i odkroił kęs, usiłując zapomnieć o duchach i zabójcach. Smak okazał się wspaniały, więc Bren dołożył sobie jeszcze mięsa i polał warzywa dużą ilością ostrego przepyszego sosu.

– Czy są może jakieś wiadomości o mojej poczcie? – zapytał w ciszy zapadłej podczas jedzenia. – Wiem, że masz ręce pełne roboty, ale...

– Mam, jak to osobliwie nazywasz, ręce pełne roboty. Może Jago nie zapomni sprawdzić.

– Mógłbyś do niej zadzwonić. – Zalała go fala złości. A może niejasnej rozpacz. – Czy ktokolwiek wytłumaczył moim zwierzchnikom, dokąd i dlaczego pojechałem?

– Naprawdę nie wiem, paidhi-ji.

– Chcę, żebyś im przekazał wiadomość. Chcę, żebyś mnie z nimi połączył przez wasz system łączności. Wiem, że możesz to zrobić z posterunku ochrony.

– Nie bez zezwolenia. Jeśli paidhi korzysta z naszych kanałów ochrony, to jest to posunięcie publiczne. Rozumiesz, że taka polityczna deklaracja dałaby broń do ręki przeciwnikom twoim i Tabiniego.

– A co się stało z ochroną?

– Nadal o wiele lepszy byłby kurier. O wiele lepszy, nadi. Przygotuj to oświadczenie. Wyślę je, kiedy tylko ktoś z nas wyjedzie ze sprawozdaniem.

Banichi mu nie odmówił. Banichi nie powiedział „nie”. Wciąż jednak wszystko sprowadzało się do zwlekania. „Zapomniałem”. „Są po temu powody”.

Resztę mięsa zjadł w milczeniu, uważając na zranione usta.

Pytania wciąż nie dawały mu spokoju.

– Czy ten brak prądu to przypadek?

– Najprawdopodobniej. Pogrążyć w ciemności jedną czwartą domów w okręgu Maidingi? To nie jest styl Gildii.

– Ale zeszłej nocy wiedziałeś. Wiedziałeś, że ktoś dostał się na teren posiadłości.

– Nie wiedziałem. Podejrzywałem. Włączył się alarm graniczny.

Doprawdy? pomyślał Bren z goryczą. Zapytał jednak o coś innego:

– Gdzie jest Algini?

– Wróci z Jago.

– Wyjechał z Jago?

– Poleciał rejsowym samolotem. Wczoraj.

– Ze sprawozdaniem?

– Tak.

– Na jaki temat? Wybacz mi szczerść, Banichi-ji, ale nie sędzę, że można tu przeprowadzić jakieś śledztwo – owszem, żeby zidentyfikować osoby działające tu na miejscu, ale ani przez chwilę nie wierzę, żeby Tabini dokładnie nie wiedział, co jest nie tak i

kto za tym stoi. Nie wierzę, że ty tego nie wiesz. Nie wierzę, że nie wiedziałeś, gdzie byłem dziś rano.

– Głównie za grzbietem, sporo czasu. Zauważyłem, że utykasz.

Ból nie polepszył Brenowi nastroju.

– Mogłeś mnie ostrzec.

– O czym? Że Ilisidi może się wybrać na przejażdżkę? Często to robi.

– Do cholery, gdybyś mi powiedział, że istnieje niebezpieczeństwo snajpera, gdybyś mi powiedział, że oddalimy się od zamku, to mógłbym wymyślić jakieś rozsądny wykręt.

– Miałeś rozsądny wykręt. Mogłeś powołać się na niedawną niedyspozycję. Wątpię, czy zanieśliby cię do stajni siłą.

– Nie powiedziałeś mi, że istnieje niebezpieczeństwo!

– Niebezpieczeństwo istnieje stale, nadi.

– Nie zbywaj mnie byle czym, do cholery! Pozwoliłeś mi pojechać. Trudniej znaleźć wymówkę na jutro, kiedy też mam jechać. I czy wtedy będę bezpieczny? Nie zawsze rozumiem twoje poczucie ważności, Banichi, i szczerze wyznaję, że jest tak w tej chwili.

– Herbata stanowiła dla Ilisidi osobistą okazję. A Cenedi był z nami całą noc podczas poszukiwań. Gdyby Cenedi miał taki zamiar, to by mnie zlikwidował. Przeprowadziłem próbę.

Zrozumienie tego zajęło Brenowi chwilę.

– Chcesz powiedzieć, że dałeś Cenediemu szansę zabicia cię?

– Upierając się przy dawaniu obietnic obcym bez konsultacji ze mną, paidhi-ji, naprawdę bardzo mi utrudniasz pracę. Jago została poinformowana o sytuacji. Cenedi prawdopodobnie ją znał i wiedział, że będzie jeszcze miał do czynienia z Jago, ale Cenedi nie zawarł kontraktu przeciwko tobie, dokładnie się o tym upewniłem. A ja przez cały ranek znajdowałem się między tobą i posiadłością.

– Banichi, przepraszam. Z całego serca.

Banichi wzruszył ramionami.

– Ilisidi jest stara i przebiegła. O czym rozmawialiście? O pogodzie? O Tabinim?

– O śniadaniu. O tym, że nie skrzyłem karku. Jeden mecheita imieniem Babs...

– Babsidi. – Znaczyło to „zabójczy”. – I o niczym więcej?

Bren rozpaczliwie starał się sobie przypomnieć.

– Że to jest jej ziemia. Jakie tu rosną rośliny. O smoketkach.

– I?

– O niczym. O niczym ważnym. Cenedi mówił o ruinach i armacie na frontowym trawniku. Ścigała się ze mną pod górę, rozciąłem sobie wargę... Potem byli dla mnie uprzejmi. I turyści byli dla mnie uprzejmi. Dałem im wstążki, podpisałem karty, rozmawialiśmy o naszych rodzinach, skąd pochodzą. Czy cokolwiek z tego mogło sprowadzić

katastrofę, Banichi-ji, zanim jakiś dureń spróbował wejść na trawnik? Powiedz mi. Proszę cię o radę.

Kolejne długie, trzeźwe spojrzenie Banichiego. Jego oczy były przejrzyste i niewiarygodnie żółte. Jak szkło. I równie wymowne.

– Obaj jesteśmy zawodowcami, paidhi-ji. Zapewniam cię, jesteś zupełnie niezły.

– Myślisz, że kłamię?

– Chcę powiedzieć, że i ty, i ja zawsze jesteśmy na służbie. – Banichi podniósł butelkę i z umiarem nalał im obu. – Ja wierzę w twój instynkt zawodowy. Uwierz w mój.

Doszli do owoców i sosu śmietankowo-likierowego. Bren mógłby dać mu się uwieść, gdyby jego żołądek nie ucierpiał od prowadzonej przy stole rozmowy.

– Jeśli istnieje służba kurierska – powiedział Bren, kiedy atmosfera wydała się lżejsza – to możesz przekazać ode mnie list do mojego biura na Moshpeirze.

– Moglibyśmy – odparł Banichi. – Jeżeli Tabini się zgodzi.

– Jakież wieści o baterii słonecznej, o którą prosiłem?

– Obawiam się, że jeśli jakaś się znajdzie, to zostanie przekazana komuś innemu. Sami oddaliśmy nasz generator. W dolinie są domy bez prądu, osoby starsze i chore...

– Oczywiście. – Nie mógł tej odpowiedzi nic zarzucić. Była całkowicie rozsądna. Jak wszystko inne.

Wiary – powiedział w myśli Bren do zwierząt na ścianie. Cierpliwości. Szklane oczy oddały mu spojrzenie, niektóre gniewne, inne bezwolnie tępe. Można było sądzić, że czekały na myśliwych ze spokojem.

Banichi powiedział, że ma coś do roboty – musi napisać sprawozdania. Pewnie ręcznie.

A może nie. Przyszedł Djinana i zabrał talerze. Rozpalił lampy naftowe, zdmuchnąwszy świece na kandelabrach w jadalni.

– Czy będziesz jeszcze czegoś potrzebował?

– Nie – odpowiedział Bren, myśląc, że ze wszystkich osób, które mają tu nienormowany czas pracy i nie otrzymują uczciwych wyjaśnień, Djinana jest najbardziej poszkodowany. Zastanawiał się, gdzie jest Tano – Tano, który miał być jego osobistym służącym. A Algini jest w Shejidan. – Na pewno nie. Poczytam sobie przed snem.

– Przygotuję ci nocny strój – rzekł Djinana.

– Dziękuję – mruknął Bren, wziął książkę i usiadł przy kominku. Jeśli ustawił krzesło pod kątem, a lampy stołowe przysunął jedną do drugiej, oba te źródła światła umożliwiały jakie takie czytanie. Płomienie chwiały się. Bren odkrył zasadniczy powód istnienia żarówek.

Djinana zabrał wózek z nakryciami – sprząając ze stołu, ateva nie potrafił nawet kieliszka. Świece w jadalni były zgaszone, co czyniło z niej ciemną jaskinię. Ogień płonący na kominku rzucał po całym pokoju rogate i uszate cienie, tańczył w szklanych oczach zwierząt.

Bren usłyszał, jak Djinana otwiera szafę w sypialni, a potem wychodzi.

Potem w apartamencie zapanowała dziwna cisza. Żadnego deszczu, żadnych grzmotów, tylko trzask ognia. Bren czytał, odwracając kartki ze zdumiewająco głośnym szelestem. Czytał o rzadkim wśród tych historii romansie bez żadnej krwawej zemsty, bez wewnątrzklanowych tarć, dramatycznych skoków z wieży Malguri czy choćby jednego utonięcia. Była to po prostu opowieść o romantycznej parze, która poznała się i pielęgnowała swoje uczucie w Malguri. Młodzi byli aijiin dwóch sąsiadujących prowincji i mieli mrowie utalentowanych dzieci.

To miła myśl, że ktoś sypiający w tych pokojach nie skończył źle; ciekawie jest dowiedzieć się o romantycznych wydarzeniach, kwiatkach dawanych w prezencie, o długim i czułym związku dwóch osób, które jako głowy państwa właściwie nigdy nie miały domu oprócz Malguri jesienią. Tej strony swojej natury atevi paidhiemu nie pokazywali – chyba żeby policzyć flirty, co do których Bren nigdy nie miał pewności, czy powinien traktować je poważnie. Tak to się jednak odbywało: drobne prezenty, przywiązywane wzajemnie do bram lub przesyłane przez osoby trzecie. Atewskie małżeństwa nie zawsze oznaczały wspólne mieszkanie. Małżonkowie często mieszkali osobno, chyba że w grę wchodziły nieletnie dzieci – wtedy małżeństwo mieszało razem albo nie. To, co atevi myślą lub czują, wciąż Brenowi umykało z powodu ich języka.

Polubił jednak aijiin Malguri tak samo, jak polubił starszą parę mającą wnuki, która podróżowała razem, jak przypuszczał, w poszukiwaniu przygód. Być może starsi państwo nie mieszkali razem, choć tego nic nie gwarantowało.

Z powodu atewskiej powściągliwości przez cały okres przebywania na kontynencie paidhiin nie odkryli grzecznego sposobu zapytania swoich gospodarzy o ich życie domowe, adresy czy obyczaje. Wszystko to kwalifikowało się jako „sprawy osobiste” i takimi pozostawało.

Bren sądził, że można zapytać Jago. Jago przynajmniej bawiły jego niegrzeczne pytania. I Jago była nadzwyczaj odczytana. Mogła nawet wiedzieć o tej historycznej parze.

Tęsknił za Jago. Gdyby tu była, nie doszłoby do tej prawie kłótni z Banichim. Bren nie wiedział, dlaczego Banichi uparł się, żeby towarzyszyć mu przy kolacji, skoro zamierzał pozostawać w zgryźliwym nastroju.

Może coś się nie powiodło.

W dniu, w którym Cenedi kogoś zastrzelił, a zastrzelony okazał się znajomym Banichiego, rzeczywiście coś się nie powiodło i Banichi miał wszelkie powody do fatalnego samopoczucia. To, że atevi tego nie okazywali i zwyczajowo posługiwali się niedomówieniami, nie oznaczało, że Banichi nie jest zdenerwowany – i że sam, być może, nie żałuje, że nie ma tu Jago. Bren przypuszczał, że Banichi też nie bawił się dobrze w towarzystwie zgryźliwego człowieka okazującego emocje, do jakich nie przyznałby się atewski dwunastolatek.

Chyba powinien Banichiego przeprosić.

Brenowi się to nie uśmiechało. To, że rozumie, nie oznaczało, że godzi się ze stanem rzeczy. Znów zapragnął, żeby była tu z nimi Jago: była nieco młodsza i trochę bardziej powściągliwa, jak teraz widział, nawet nieśmiała, ale kiedy już zdecydowała się mówić, to stawała się troszeczkę bardziej bezpośrednia od Banichiego – czy to z natury, czy to dlatego, że man'chi Tabiniego nie było dla nikogo małym obciążeniem, a już najmniej dla Banichiego.

Oczy piekły go od czytania w pełgającym świetle. Od podtrzymywania ognia na tyle, żeby rzucał blask aż do krzesła, Brenowi zrobiło się gorąco, a lampy naftowe kopciły. Stwierdził, że boli go głowa, wstał więc i cicho, żeby nie obudzić personelu, poszedł do chłodniejszej części pokoju. Był zbyt niespokojny, żeby zasnąć.

Brakowało mu wieczornych wiadomości. Brakowało mu możliwości zatelefonowania do Barb czy nawet, niech Bóg go ma w opiece, do Hanks, by powiedzieć to, czego nie bał się powiedzieć, wiedząc, że linia jest na podsłuchu. O mało co nie zaczął mówić do siebie, żeby tylko usłyszeć w ciszy brzmienie ludzkiej mowy, by chociaż na krótko wyrwać się z kręgu atewskiego myślenia.

Gdzieś włączył się silnik. Bren stanął nieruchomo i zaczął nasłuchiwać, uznał, że ktoś wyjeżdża do miasteczka lub bliżej, ale kto to był, nie miał bladego pojęcia.

Niech to diabli, pomyślał i podszedł do okna, ale z tego miejsca nie było widać dziedzińca, bo przeszkadzał wystający narożnik głównego holu. Boczne szybki okna były zamknięte na skobelek. Bren wyciągnął go, żeby sprawdzić, czy samochód zjeżdża główną drogą, czy jedzie we wzgórza, a może – czy w ten sposób uruchomi jakiś niezabytkowy alarm.

To tylko furgonetka linii lotniczych. Malguri miało własną furgonetkę! Drogą przywożono żywność i pasażerów. Mogli go przytransportować z lotniska.

Może jednak Banichi sądził inaczej. Może chciał wybadać sytuację, zanim zda się na Cenediego.

Może wciąż żywił jakieś wątpliwości.

Hałas silnika przesunął się w górę, wokół murów. Brenowi trudno było określić, skąd dobiega. Wpadające do dusznego pokoju nocne powietrze było rześkie i chłodne. Zrobił kilka głębokich oddechów.

Jego pierwsza tutaj noc bez deszczu, pierwsza godzina pełnej ciemności. Niebo nad jeziorem i górami na wschodzie było tak czyste, czarne i zimne, że człowiek widział wysoko zawieszoną, czerwonawą Maudette i prawie niewidocznego jej towarzysza, Gabriela, co na Mospheirze było prawdziwym sprawdzianem dobrego wzroku.

Nocne powietrze pachniało wspaniale, pełne woni dzikich kwiatów. Bren nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu brakuje ogrodu za oknem i jak bardzo czuje się uwięziony.

Podczas czystych nocy na górze Allana Thomasa, tuż po zachodzie lub przed wschodem słońca, widywał stację. Nie śledził jej drogi, tak jak niegdyś w młodości, kiedy razem z Tobym chodzili na wycieczki w góry i opowiadali sobie historie o Lądowaniu, wyobrażając

sobie – teraz myślał o tym ze wstydem – że wśród wysokich wzgórz kryją się atewscy partyzanci. Prowadzili tam wyimaginowane wojny, zabijając setki atevich i narażając się na strzały fikcyjnych atewskich złoczyńców. Historie te były mniej więcej tak dobre, jak dramaty machimi o ukrytych ludzkich partyzantach wspieranych przez szaleńców mających swoją bazę na stacji – na Obcej Gwieździe, jak nazywali ją atevi w tamtych dawno minionych, wojennych czasach.

Przynajmniej dopracowali się wspólnej mitologii, wspólnej przeszłości, wspólnego zestawu bohaterów i złoczyńców – a kto był kim, zależało jedynie od punktu widzenia.

Bren nigdy nie wspomniał Tabiniemu, że jego ojciec był potomkiem z nieprawego łoża owego Polanskiego, który jako generał dowodził obroną Plaży Półksiężycy i nie dopuścił atewskich posiłków na Mospheirę.

Nie było to coś, z czym daleki potomek Polanskiego miał cokolwiek wspólnego – coś, do czego chciałby się przyznać, wykonując swą obecną pracę.

Człowiek robił postępy w miarę swoich możliwości. Wolałby, żeby dzieci atevich nie widziały ludzi jako postaci z teatru cieni i szaleńców, a ludzkie dzieci nie bawiły się w lesie w strzelanie do atevich. Przyszedł mu do głowy pomysł, żeby zrobić z tego główny temat swego zimowego przemówienia do zgromadzenia, nie wiedział jednak, jak dobrać się do wszystkich tych filmów i całej telewizji, która tylko zaogniała problem.

W tej sytuacji nie było też całkiem rozsądne stać plecami do okna. Zeszłej nocy Jago odciągnęła go stamtąd... Ale podejrzewać niebezpieczeństwo, zagrażające z okien lub dachu drugiego skrzydła, wydawało się głupie.

Bren sądził jednak, że każdy mógł mieć łódkę na jeziorze, chociaż nie na tyle blisko, żeby on sam stanowił dla zabójcy łatwy cel. Każdy mógł przybić do brzegu Malguri, czy to przy potężnych murach, czy przy skałach pod murami.

Bren cofnął się i zaczął zamykać okno.

Wszędzie wokół niego rozbłysły żarówki. Rozdzwonił się alarm, a Bren, mrugając w blasku elektrycznego światła, zatrzaskał okno i zamknął je na skobelek. Serce biło mu pod wpływem kompletnego zaskoczenia; z sąsiedniego pokoju dobiegł go odgłos bosych stóp na drewnianych deskach podłogi.

Pokazał się zupełnie nagi Tano z bronią w ręku, a tuż za nim Djinana i Maigi, ten ostatni owinięty w ręcznik i ociekający wodą. Korytarze w całym Malguri rozbrzmiewały tupotem nóg, a alarm wciąż dzwonił.

– Czy otwierałeś okno? – zapytał Tano.

– Tak, nadiin, przepraszam.

Jego ochroniarze wydali zbiorowe westchnienie ulgi. W sąsiednim pokoju załomotała klamka i Tano machnięciem ręki wysłał tam Djinanę.

– Nadi, podłączyli nam prąd – rzekł Tano. – Twoja ochrona wolałaby, żebyś dla własnego dobra raczej nie otwierał okien. Szczególnie w nocy.

Djinana wpuścił kogoś z zewnętrznego korytarza. Do pokoju wszedł Cenedi z parą strażników wdowy.

– Paidhi otworzył okno, nadi – poinformował ich Tano.

– Nand’ paidhi – rzekł Cenedi. – Proszę, żebyś tego w przyszłości nie robił.

– Proszę o wybaczenie – powiedział Bren. Alarm wciąż dzwonił, działając mu na nerwy.

– Czy ktoś mógłby wyłączyć alarm?

Cenedi wydał odpowiednie polecenia. Zaprowadzenie porządku i tak wymagało czasu, a zanim Bren mógł się pozbyć całego personelu z apartamentu, trzeba było zgasić lampy naftowe.

Kiedy ucichła wrzawa, a wszystkie drzwi i okna zostały zamknięte, Bren opadł na krawędź łóżka, zadając sobie pytanie, gdzie był Banichi i jakie to czarne myśli musi na jego temat snuć teraz wdowa.

To cholerne niedbalstwo, podłączyć system alarmowy do prądu. To nie w stylu Banichiego. I zapewne nie Cenediego. Bren nie sądził, że widział wszystkie zabezpieczenia Malguri. Mógłby się założyć, że mają baterie słoneczne. Znają odpowiednią technologię.

Nie powstrzymało to jednak paidhiego przed obudzeniem całego zamku i zrobieniem z siebie głupca.

Nie przysporzyło mu to sympatii Ilisidi. O to też mógł się założyć.

Rozdział 8

– Głośna noc – rzekła Ilisidi, nalewając sobie herbaty, której zapach uniósł się wraz z parą nad stołem i Bren poczuł mdłości.

– Jest mi niewymownie przykro i wstyd, aiji-mai.

Ilisidi uśmiechnęła się, wyraźnie się uśmiechnęła i wsypała sobie cukru.

Drobne szpilki podczas całego śniadania. Ilisidi była w znakomitym humorze. Pochłonęła cztery ryby, miseczkę płatków zbożowych i dwa ciastka ze słodką oliwą, podczas gdy Bren poprzestał na płatkach i bułeczkach śniadaniowych, myśląc, że biorąc pod uwagę ból, jakiego doznawał, siedząc na twardym krześle, wolałby chyba wypić herbatę Ilisidi niż znów dosiąść Nokhady.

Zeszli jednak na dół. Ilisidi upajała się rześkim wiatrem wiejącym od jeziora, wiatrem, który szarpał za poły kaftana i przenikał przez swetry, kiedy człowiek wychodził ze słońca na dziedziniec stajni.

Tego ranka Nokhada przynajmniej zechciała ugiąć nogę i tym razem Bren był gotowy na jej gwałtowny wyprost, zanim jeszcze dobrze usiadł w siodle.

Bolało. Boże, ależ bolało. Nie był to akurat ten ból, do którego mógł się przyznać mężczyzna ani którym mógłby się wykręcić. Bren miał tylko nadzieję na szybkie odrętwienie i wytłumaczył sobie, że jego przodkowie byli jeźdźcami, a mimo to nie dali zginąć gatunkowi.

Stanowczo ukrócił kręcenie się Nokhady w kółko, zdecydowany mieć ostatnie słowo w sprawie ich trasy – co trwało do chwili, kiedy Ilisidi wyjechała z dziedzińca, a Nokhada popędziła w kierunku drogi, przepychając się obok mecheity Cenediego, żeby zająć miejsce za ogonem Babsa.

Prosto przed siebie. Ilisidi i Babs zniknęli za grzbietem urwiska, na kilka kroków przedtem, nim Nokhada wygrała z wierzchowcem Cenediego i rzuciła się za nimi w dół.

Dzięki Bogu – na ścieżkę, a nie w powietrze.

Bren nie krzyknął ani nie zaprotestował, choć zrobiły to jego nogi. Ból przez chwilę był przenikliwy – Nokhada zrobiła tuzin sztywnych kroków zakurczonym żlebem, który zaczynał się nad miejscem, gdzie poprzedniego dnia dała przedstawienie z wodzą.

Gdyby wtedy zniknęli za grzbietem, to wcale by nie spadli – niech diabli tę mecheitę. Owszem, przemierzyliby długą drogę na drugi taras nad jeziorem, ale ten taras tam był, bez względu na to, czy na początku przejażdżki Bren potrafiłby się utrzymać na grzbiecie Nokhady.

Uznał za równie interesujące, że mając do dyspozycji stromy szlak prowadzący w dół, ale niegroźny dla początkującego głupca, Ilisidi poprowadziła ich wczoraj prosto pod górę, chociaż droga była trudna. A zatem przepuszczona druga okazja. Może jednak ta herbata to rzeczywiście był przypadek.

Co prawda, wobec faktu, że wczoraj ktoś wdarł się na teren posiadłości, najważniejszą rzeczą było przejechać za grzbiet lub powyżej poziomu fortecy.

A biorąc pod uwagę słowa Banichiego, że byli pod bezpośrednią obserwacją...

– Dlaczego nie powiedziałeś mi wczoraj, że ktoś może tam być? – zapytał Cenediego. Reszta ochrony wdowy jechała z tyłu. – Wiedziałeś, że grozi nam niebezpieczeństwo. Banichi ci powiedział.

– Zwiadowcy byli wystarczająco czujni – odparł Cenedi. – A Banichi kręcił się w pobliżu.

– Nadi, ryzyko dla wdowy? Z całym szacunkiem, czy to rozsądne?

– Przy człowieku Tabiniego? – Twarz Cenediego miała kilka cech wspólnych z twarzą Banichiego. Między innymi równie wyrazistą mimikę. – Nie. Ryzyka nie było.

Nie było? Być może to komplement dla Banichiego, niemniej jednak ryzyko było cholerne, w każdym ludzkim znaczeniu tego słowa, chyba że, co przyszło mu do głowy zeszłej nocy, istniało tu więcej systemów bezpieczeństwa, niż Banichi i Cenedi byli gotowi przyznać. Jechał w milczeniu obok Cenediego, a fale omywały leżące poniżej głowy. Niebo było błękitne. Woda tańczyła. Przed pyskiem Nokhady przeleciała smoketka i mecheita skoczyła w bok, przez zapierający dech w piersiach moment balansując na krawędzi urwiska.

– Cholera! – powiedział Bren i przez chwilę toczył w milczeniu wojnę z Nokhadą. Cenedi zachował całkowicie obojętny wyraz twarzy i pełne panowanie nad swoim mecheitą.

Ilisidi jechała na przedzie, najwyraźniej nie wiedząc, co się dzieje. Kiedy Bren odchylił głowę i spojrział w górę, nie widział już murów fortecy, a jedynie wybrzuszoną skalną ścianę, a za nią sam skraj współczesnego muru, oddzielającego dziedziniec od szlaku. Przed nim droga wiała się coraz wyżej, dochodząc do cypla z oszałamiającym widokiem, gdzie Ilisidi zatrzymała się i gdzie, dołączywszy do niej, Bren też stanął, tłumacząc sobie, że jeśli Babs nie rzuci się w przepaść, to Nokhada tego też nie zrobi i on nie musi się martwić.

– Wspaniały dzień – odezwała się Ilisidi.

– Niezapomniany widok – odparł i pomyślał, że nigdy go nie zapomni, tej niebezpiecznej wysokości, siły zwierzęcia, na którym siedzi, zaskakującej panoramy jeziora rozciągającego się wokół nich jak okiem sięgnąć. Jeżdżąc z Tobym na nartach, spotykał takie widoki, ale żaden z nich nie zawierał w sobie atewskich znaczeń, żaden nie był tak obcy, a zarazem przepełniony nazwami, z tożsamością i historią. W Bu-javid – z jego naciskami, rozkładami zajęć, tłumami politycznych lizusów – nie było takich widoków, takich zapierających dech w piersiach chwil, które oferowało Malguri... w przerwach między godzinami klaustrofobicznej, przytłaczającej ciszy i bólami głowy od palących się lamp naftowych, nie mówiąc już o zimnych, ciemnych kątach przepastnych korytarzy i kolanach poparzonych przez zbyt przysuwanie się do ognia.

Ani o kanalizacji.

Ale miało to swój urok. Miało zalety, niewiarygodną fakturę życia nie mierzonego liniami prostymi i ujednoliconymi jednostkami miary, życia, które nie toczyło się wzdłuż ulic i prostych krawędzi, gdzie ludzie mieszkali stłoczeni jedni nad drugimi, a światła przyćmiewały w nocy blask gwiazd. Tutaj człowiek słyszał wiatr i fale, odnajdywał nieskończoną różnorodność kamieni wygładzonych przez powietrze i wodę i nie było tu żadnego rozkładu zajęć oprócz niepodważalnego faktu, że jeśli się wyjechało z zamku, to w drodze powrotnej trzeba było pokonać taką samą odległość...

Ilisidi mówiła o statkach handlowych i rybakach, a wysoko nad Malguri przeleciał odrzutowiec, zostawiając za sobą cienką smugę. Zdązał na wschód, nad działem kontynentalnym, barierą, która przez tysiące lat nie pozwalała się zetknąć dwóm atewskim cywilizacjom, a teraz można ją było pokonać w cztery, pięć godzin, takie to było łatwe. Ilisidi mówiła jednak o podróżach przez Maidingi trwających kilka dni, kiedy to przejeżdżało się przez tereny oddzielnych aijiin.

– W tamtych czasach – powiedziała Ilisidi – ateva zapuszczał się na teren obcych aijiin bardzo ostrożnie.

Nie bez kozery. Znowu.

– Wiele się już od tego czasu nauczyliśmy, nand' wdowo.

– To znaczy?

– Że otaczanie murami innych w takim samym stopniu ogranicza nas samych, nand' wdowo.

– Ha – oświadczyła Ilisidi i ruchem, którego Bren nawet nie zauważył, obróciła Babsa i puściła się pędem wzdłuż wzgórza, rozpryskując kamienie na wszystkie strony.

Nokhada ruszyła za nią. Wszyscy musieli pójść w jej ślady. Kiedy wpadli na ścieżkę prowadzącą w dół do jeziora, bolało, Boże, jak bolało. Przed nimi jechała Ilisidi, powiewając warkoczem przeplatany siwizną – żadnej wstążki oznaczającej pozycję, żadnych ozdób, tylko czerwono-czarny kaftan i lśniący czarny zad Babsa z wymachującym ogonem,

świadczącym o nadmiarze energii – i nie myśląc być może o niczym innym, jak rozciągająca się przed nią wolna przestrzeń.

Dogonienie Babsa było pomysłem Nokhady, ale mając za sobą resztę straży, a obok siebie Cenediego, Bren mógł tylko zdać się na nią.

Kiedy indziej zatrzymali się na wąskiej, półkolistej piaszczystej plaży, gdzie jezioro wypychało linię brzegu. Człowiek myślący o zabójcach mógł jedynie stwierdzić, że na brzegu są miejsca, do których może przybić łódź i skąd można dotrzeć do Malguri.

Czekając, aż mecheiti złapią oddech, Ilisidi mówiła o jeziorze, jego głębokości i mieszkańcach – o jego duchach.

– Kiedy byłam dzieckiem, fala wyniosła na południowy brzeg wrak, właściwie sam dziób, ale dorośli sądzili, że może to być fragment statku wiozącego skarb, który zatonął przed czterystu laty. Nurkowie poszukiwali go wzdłuż całego tutejszego wybrzeża. Podobno go nie znaleźli. Jednak mniej więcej w tym czasie w Malguri pojawiły się zabytkowe przedmioty, które służący czyścili w beczkach na dziedzińcu stajennym. Ojciec wysłał najlepsze eksponaty do muzeum w Shejidan. Prawdopodobnie kosztowało go to jedną z posiadłości. Jednak większość mieszkańców prowincji Maidingi przetopiłaby je na złoto.

– Dobrze, że je uratował.

– Dlaczego?

– Dla przeszłości – odparł Bren, zastanawiając się, czy może znów czegoś nie zrozumiał w atejskim sposobie myślenia. – Żeby ją uratować. Czy to nie jest ważne?

– A jest? – Ilisidi odpowiedziała mu pytaniem i Bren nadal był w kropce. Znów ruszyła pod górę i Bren dał sobie spokój z filozofią na korzyść ochrony tego, co, jak się obawiał, zmieniło się już w pęcherze. Do diabła z tą kobietą! Pomyślał, że gdyby zwolnił i został w tyle tak długo, jak długo udawałoby mu się hamować zapędy Nokhady, to wdowa mogłaby uznać to za poddanie się i zwolnić – ale niech go diabli, jeśli to zrobi, niech go diabli, jeśli zawoła o pomoc czy poprosi o przystanek. Ilisidi wykluczyłaby go wtedy ze swego towarzystwa, prawdopodobnie straciłaby całe zainteresowanie nim, a on mógłby poleżeć w ciepłej kąpieli, czytając opowiadania o duchach, aż jego zabójcy nadziałiby się na bariery, jakie niewątpliwie ustawił Banichi, i zginęliby, a on mógłby wrócić do klimatyzowanego domu, porannych wiadomości i herbaty, której ufał. Od czasu do czasu wydawało się to jedyną ucieczką.

Dotrzymał jednak kroku Ilisidi. Atevi nazywali to na'itada. Barb nazywała to cholerną głupotą. Nigdy w życiu nie spędził tak długiej godziny, bo tyle trwał powrót do domu. Godziny, podczas której raz po raz powtarzał sobie, że wolałby raczej spać w przepaść i mieć wszystko z głowy.

W końcu pojawiły się przed nimi wrota na dziedzińcu stajenny, a mecheiti ożywiły się na myśl o stajni i obroku. Udało mu się zmusić Nokhadę do ugięcia nogi i zsunął się na ziemię, nie mając pewności, czy potrafi ustać.

– Gorąca kąpiel – zawołała do niego Ilisidi. – Przyślę ci trochę ziół, nand’ paidhi. Do zobaczenia rano!

Udało mu się uklonić i bez widocznego utykania wejść po schodach w otoczeniu świąty wdowy.

– Ból znika – powiedział cicho Cenedi – w ciągu czterech lub pięciu dni.

Przez całą długą drogę przez główny hol myślał jedynie o gorącej kąpeli. Gorąca kąpiel, przez jakąś godzinę. Miękkie i nieruchome krzesło. Moczenie i czytanie wydawało się wspaniałym sposobem spędzenia reszty dnia, podobnie jak siedzenie na słońcu, pilnowanie własnych interesów oraz unikanie aijiin i ich sportowych wyczynów. Przekuśtykał długi hol i zaczął wchodzić na schody prowadzące na jego piętro.

Na kamiennej podłodze pod schodami zastukały szybkie kroki. Bren odwrócił się, lekko zaniepokojony o swoje bezpieczeństwo, i zobaczył podchodzącą do schodów Jago, uosobienie energii i napięcia.

– Bren-ji – zawołała do niego. – Dobrze się czujesz?

Wyraźnie utykał. Włosy wymknęły mu się z warkocza, a na kaftanie miał kurz, sierść i ślinę.

– Świetnie, nadi-ji. Czy lot był przyjemny?

– Długi – odparła, doganiając go kilkoma krokami, za którymi człowiek ledwo by nadażył. – Spadłeś, Bren-ji? Chyba nie spadłeś...

– Nie, jestem tylko obolały. To nic takiego. – Bardzo się starał nie kuleć przez resztę drogi po schodach. Szedł obok niej korytarzem... jakby zakładał, że interesuje ją zapach potu i sierść mecheity. Jago pachniała kwiatami, i to dość przyjemnie; Bren nie zauważył tego wcześniej. Sam czuł lekkie skrepowanie – paidhiin przekazywali swoim następcom, że nie jest grzecznie pocić się w towarzystwie. Przegrzani ludzie pachnieli inaczej, a w sprawach higieny osobistej atevi nie przyjmowali inności dobrze; administracja wbijała to do głowy młodszym urzędnikom. Bren usiłował więc dyskretnie trzymać się jak najdalej od Jago, zadowolony z jej powrotu, marząc o możliwości kąpeli przed wymianą informacji, a najbardziej żałując, że nie było jej tu zeszłej nocy.

– Wiesz, gdzie jest Banichi? Nie widziałem go od wczoraj.

– Pół godziny temu był na lotnisku – odpowiedziała Jago. – Rozmawiał z osobami z telewizji. Chyba tu jadą.

– Po co?

– Nie wiem, nadi. Lecieliśmy tym samym samolotem. Może ma to jakiś związek z próbą zabójstwa. Nie mówili.

Nie mój interes, stwierdził w myślach Bren. Banichi załatwi sprawę ze zwykłą dyskrecją, prawdopodobnie odeśle ich następnym samolotem.

– Żadnych innych kłopotów tutaj?

– Tylko z Banichim.

– Jak to?

– Nie jest ze mnie zadowolony. Chyba coś zrobiłem albo powiedziałem, nadi-ji, nawet nie jestem pewien.

– Napisanie sprawozdania o hańbiącym zachowaniu kolegi nie jest łatwą sprawą – rzekła Jago. – Daj mu trochę luzu, nand' paidhi. Pewne rzeczy nie leżą w twoich kompetencjach.

– Rozumiem to – odparł, mówiąc sobie, że nic nie zrozumiał: zeszłej nocy uparcie koncentrował się na własnych dolegliwościach, nie zauważając usprawiedliwionego przygnębienia Banichiego. Zaczęło mu świtać, że zanim niezręcznie się pożegnali, Banichi mógł od niego czegoś chcieć, czego on mu po prostu nie dał. – Chyba zeszłej nocy byłem bardzo nieuprzejmy, nadi. Nie powinienem tak się zachować. Nie wypełniałem swoich obowiązków. Chyba słusznie się na mnie zdenerwował. Mam nadzieję, że mu to wytłumaczysz.

– Nie masz względem niego żadnych obowiązków, Bren-ji. To my mamy obowiązki względem ciebie. I bardzo wątpię, żeby się obraził. Jeśli pozwolił ci zauważyć, że się czymś gryzie, to uznaj to za komplement.

Niezwykły pomysł. Jedna część mózgu Brena zaczęła przetrząsać pamięć, przeglądając stare dane. Druga część udała się na wakacje, rozważając, czy to oznacza, że Banichi mimo wszystko go lubi.

A ta rozsądna, robocza część mózgu powiedziała pozostałym dwóm częściom, żeby zajęły się pracą i przestały oczekiwać ludzkich reakcji od atevich. Jago mówiła to, co myślała, koniec, kropka; Banichi odsłonił się przed nim, Banichi był zdenerwowany brudną sprawą i ani Banichi, ani Jago nie mieli zamiaru nagle przejawiać ludzkich uczuć tylko dlatego, że zostali zamknięci ze znużonym człowiekiem. To nie było zaraźliwe, nie dawało się tego przekazać i Bren prawdopodobnie okropnie zdenerwował Banichiego, który z równym, jak on, zapałem posyłał mu sygnały, ale Bren ich nie zauważył. Jako współbiednik był smętnym zastępcą Jago, która wyjechała do Shejidan, żeby wyjaśnić Gildii, dlaczego ktoś chciał zabić paidhiego. Prawdopodobnie pod koniec wieczoru Banichi potrafił już na to pytanie odpowiedzieć.

Dotarli do drzwi. Bren miał klucz w kieszeni, ale Jago była pierwsza i to ona je otworzyła.

– Jaki jesteś ponury – powiedziała, oglądając się na niego. – Dlaczego, nand' paidhi?

– Zeszłej nocy mówiliśmy różne rzeczy. Żałuję tego, co powiedziałem. Żałuję, że nie przeprosiłem. Gdybyś mogła mu przekazać, że...

– Słowa i czyny nie są nawet braćmi – rzekła Jago. Zamknęła drzwi, włożyła klucz do kieszeni i wyjęła spod pachy teczkę. – To powinno cię pocieszyć. Przywiozłam ci pocztę.

Już się poddał. Przyjął do wiadomości, że ochrona jej nie przepuści, a Jago wyrzuciła do góry nogami wszystkie jego przypuszczenia co do swego położenia w Malguri.

Przejrzał plik papierów, które mu podała, nie zadając sobie nawet trudu, żeby usiąść. Szukał korespondencji prywatnej.

W większości były to katalogi i to nie tyle, ile ich zwykle dostawał; trzy listy, ale żaden nie był z Mospheiry – dwa od przewodniczących komisji rolnictwa i finansów, jeden z oficjalną pieczęcią Tabiniego.

To nie była cała poczta, a przynajmniej nie jego zwykła poczta – nic od Barb czy matki. Żadnych wiadomości z biura, pytań typu: „Gdzie jesteś? Czy jeszcze żyjesz?”.

Jago na pewno wiedziała, czego brakuje. Musiała wiedzieć, nie była tak ograniczona. A co on na to powie? Stała, czekając, prawdopodobnie ciekawa listu od Tabiniego.

A może doskonale wiedziała, co w nim jest.

Zaczął bać się odpowiedzi – bać się własnej ignorancji i tego, że nie będzie umiał odgadnąć, co mówi otaczająca go cisza albo które z sygnałów Tabiniego miał odczytać.

Przecięgnął paznokciem kciuka pod pieczęcią na liście od Tabiniego, mając nadzieję na ratunek – nadzieję, że znajdzie w nim jakieś wyjaśnienie, które nie spowoduje katastrofy.

Tabini nie miał najwyraźniejszego charakteru pisma, z jakim w życiu miał do czynienia. Zwykła wylicznanka tytułów. „Mam nadzieję, że jesteś zdrow” – list zaczynał się kaligraficznym zawijaszem Tabiniego. „Mam nadzieję, że z radością zażywasz słońca i wody Malguri”.

Dziękuję, Tabini, pomyślał kwaśno, bardzo ci dziękuję. Przecież jest pora deszczowa. Oparł się bolącym siedzeniem o stół, a Jago czekała w milczeniu.

Coś o telewizji. O telewizji, na litość boską.

„...mój zamiar, by poprzez ten wywiad pokazać wszystkim na całym świecie ludzki sposób myślenia i zachowania, całkowicie odmienny od przedstawianych przez machimi. Uważam, że jest to korzystna okazja, której nie powinno się zmarnować, i wiele sobie obiecuję po twoich zdolnościach dyplomatycznych, Bren. Proszę, żebyś był z tymi zawodowcami tak szczery, jak prywatnie ze mną”.

– Nadi Jago. Czy wiesz, co tu jest napisane?

– Nie, Bren-ji. Czy coś się stało?

– Tabini przysłał ekipę telewizyjną!

– To wyjaśniałoby jej obecność w samolocie. Jestem zaskoczona, że nie zostaliśmy zawiadomieni. Chociaż to pewne, że mają listy polecające.

„W sytuacji, w której było rozsądne odizolować cię od miasta i tamtejszych kontaktów, nie widzę skuteczniejszego sposobu przeciwstawienia się twojemu wrogowi, niż zyskanie większej przychylności opinii publicznej. Osobiście rozmawiałem z kierownictwem działu informacji i świadomości publicznej w sieci ogólnokrajowej i zezwoliłem szanowanej i bardzo uznanej ekipie dziennikarskiej na przeprowadzenie z tobą wywiadu w Malguri, który to wywiad, na co z szacownym panem ministrem edukacji mamy nadzieję, może doprowadzić do comiesięcznych konferencji prasowych...”.

– On chce, żebym co miesiąc występował w specjalnym programie! Czy wiesz coś o tym?

– Z całą pewnością nie, nadi. Jestem jednak przekonana, że jeśli Tabini-aiji zezwolił tym osobom na rozmowę z tobą, to są one godne zaufania.

– Godne zaufania. – Przejrzał list w poszukiwaniu kolejnych hiobowych wieści, lecz znalazł jedynie fragment: „Wiem, że pogoda o tej porze roku nie jest najlepsza, ale mam nadzieję, że przyjemności dostarcza ci biblioteka oraz mieszkanie pod jednym dachem z szacowną aiji-wdową, której, żywią nadzieję, przekażesz moje osobiste życzenia pomyślności”.

– To niemożliwe. Muszę porozmawiać z Tabinim. Jago, potrzebuję telefonu. Natychmiast.

– Nie mam zezwolenia, Bren-ji. Tutaj nie ma telefonu, a ja nie mam zezwolenia na wypuszczenie cię spod naszej...

– Do diabła, Jago!

– Nie mam zezwolenia.

– A Banichi?

– Wątpię, nadi-ji.

– No to ja też nie mam zezwolenia na występ w telewizji. Nie mogę z nimi rozmawiać.

Zmarszczone czoło Jago świadczyło o niepokoju.

– Paidhi mówi mi, że Tabini-aiji dał tym osobom zezwolenie. Jeśli Tabini-aiji zezwolił na ten wywiad, to paidhi z pewnością zdaje sobie sprawę, że byłby to dla nich i dla ich przełożonych spory afront, sięgający nawet dworu aijiego. Jeśli paidhi otrzymał w tym liście zezwolenie na odmowę, to muszę poprosić o ten list.

– Nie chodzi o Tabiniego. Nie mam zezwolenia z Mospheiry na żaden wywiad. Absolutnie nie mogę tego zrobić bez konsultacji z moim biurem. A na pewno nie mogę tego zrobić w pół godziny po otrzymaniu wiadomości. Muszę skontaktować się z moim biurem. Natychmiast.

– Czy twoje man’chi nie jest związane z Tabinim? Czy tak właśnie nie mówiłeś?

Boże, trafiła prosto w przewidywalny i bezdyskusyjny punkt.

– Moje man’chi do Tabiniego nie wyklucza sprzeczenia się z nim czy ochrony mojego autorytetu wśród rodaków. To mój obowiązek, nadi-ji. Nie dysponuję żadną siłą. Cała siła jest po waszej stronie. Moje man’chi daje mi jednak moralną władzę poproszenia cię o pomoc w wykonywaniu moich obowiązków.

Wykręty i wybiegi prawnika procesowego stanowiły konieczną część pracy paidhiego. Jednak namówienie Jago do innego spojrzenia na man’chi było jak wytoczenie sprawy sile ciężenia.

– Musiałby na to zezwolić Banichi – rzekła Jago z niezmaconym spokojem – jeśli ma taką władzę, w co wątpię, Bren-ji. Jeśli chcesz, żebym pojechała na lotnisko, przekażę mu

twoje zastrzeżenia, chociaż obawiam się, że ekipa telewizyjna pojawi się zgodnie z planem, co może nastąpić, zanim da się coś załatwić, a nie wyobrażam sobie, jak Tabini mógłby wycofać zezwolenie, które najwyraźniej wydał, bez...

– Słabo mi. To pewnie ta herbata.

– Proszę cię, nadi, nie żartuj.

– Nie mogę z nimi rozmawiać!

– To rzuciłoby bardzo złe światło na wiele osób, nadi. Chyba rozumiesz...

– Nie mogę samodzielnie decydować o takich zmianach polityki, Jago! Nie należy to do nadanych mi uprawnień...

– Odmowa spotkania z tymi osobami z pewnością będzie miała daleko idące reperkusje. Nie potrafię ich przewidzieć, Bren-ji, ale czy nie mógłbyś się zgodzić przynajmniej dla pozorów? To z pewnością nie ukaże się na antenie natychmiast, a jeśli chodzi o politykę, to z pewnością można będzie coś poprawić. Tabini polecił tę ekipę. Stawką jest tu reputacja wielu osób.

Jago sama była niezgorszym prawnikiem, biegłym przynajmniej w sprawach man'chi i płynących z niego zobowiązań oraz niuansów, na podstawie których jej profesja dopuszczała zażalenia lub nie. Życie i śmierć. Uzasadnione i nieuzasadnione. I miała rację. Miała dużo racji.

– Czy mogę zobaczyć ten list, Bren-ji? Oczywiście nie upieram się przy tym, ale może wyjaśni to nieco sprawę.

Podał jej list. Jago podeszła do okna, żeby go przeczytać, a nie dlatego – pomyślał – że potrzebowała więcej światła.

– Uważam – odezwała się – że Tabini-aiji doradza ci daleko posuniętą szczerość, nadi. Chyba rozumiem jego sposób myślenia, jeśli mogę sobie pozwolić na taką śmiałość. Gdyby coś ci się stało, publiczne współczucie byłoby bardzo przydatne.

– Gdyby coś mi się stało.

– Nie definitywnie. Ale przecież zabraliśmy jedno atewskie życie.

Stał nieruchomo, usłyszawszy z ust Jago to, co wydawało mu się, że usłyszał. To ta jej nieskazitelna uczciwość. Nie była w stanie dostrzec, że w jej słowach brzmiało uprzedzenie. Myślała w kategoriach atewskiej polityki. To była jej praca, praca dla Tabiniego i dla niego.

– Atewskie życie.

– Zabraliśmy je w obronie twojego życia, nand' paidhi. Wymagało tego nasze man'chi. Nie wszyscy jednak zgodziliby się z takim wyborem.

Musiał zapytać.

– A ty, nadi?

Jago przez chwilę nie odpowiadała. Złożyła list.

– Ze względu na Tabiniego, oczywiście bym się zgodziła. Czy mogę zatrzymać go z innymi dokumentami, nadi?

– Tak – powiedział i wyrzucił afront z pamięci.

Czego się spodziewałeś? – powiedział do siebie, po czym zadał sobie pytanie, co może zrobić bez konsultacji, o co mogą go pytać i co może im odpowiedzieć?

Jago po prostu wzięła list i wyszła przez sypialnię Brena, nie odpowiadając na jego pytanie.

Jago to uczciwa kobieta; nie dała mu żadnych podstaw do kwestionowania jej kwalifikacji zawodowych. Jemu nie o kwalifikacje chodziło, ale ona niewątpliwie widziała to inaczej.

Zraził do siebie Banichiego, a teraz obraził Jago. Tego dnia nie szło mu za dobrze.

– Jago – zawołał za nią. – Jedziesz na lotnisko?

Atewskie dobre wychowanie nie uznawało też krzyczenia na innych. Żeby mu odpowiedzieć, Jago zawróciła.

– Jeśli chcesz. Jednak to, co przeczytałam w liście, nie daje mi podstaw do powstrzymywania ekipy, nand' paidhi. Mogę jedynie powiedzieć Banichiemu o twoich odczuciach. Nie istnieje możliwość, bym postąpiła inaczej.

Zaczynało mu brakować konceptu. Złożył płytki ukłon.

– Tak jak mówiłem. Jestem zmęczony, nadi, nie wyraziłem się właściwie.

– Nie jestem urażona, Bren-ji. Opinia tych osób nie ma znaczenia. Czy mam spróbować wywołać Banichiego?

– Nie – odparł w rozpacz. – Nie. Porozmawiam z nimi. Poinformuj tylko Tabiniego w moim imieniu, że postawił mnie w sytuacji, która może mnie kosztować moje stanowisko.

– Na pewno mu to przekażę – rzekła Jago. A kiedy Jago mówiła coś w ten sposób, Bren jej wierzył.

– Dziękuję, nadi – powiedział. Jago skłoniła się i wyszła przez sypialnię.

Poszedł za nią z ogłoszeniami urlopowymi i katalogiem rzemieślniczym, który wybrał do przejrzenia w wannie.

Żegnaj, godzinna kąpiel. Zadzwoił na Djinanę, żeby poinformować go o zmianie planów, w sypialni zrzucił kaftan i pokuśtykał do łazienki. Po drodze wrzucił do kosza na brudną bieliznę zakurzone, opryskane śliną ubranie.

Kąpiel była gorąca, pachnąca ziołami i Bren z radością spędziłby w niej pół dnia, gdyby tylko Djinana dolewał gorącej wody. Utopił katalog, usnąwszy w połowie lektury – opuścił rękę i zamoczył papier. Tak bardzo był zmęczony i tak mało nad sobą panował.

Oczywiście przyszedł Tano z wiadomością, że pod portyk zajęchała furgonetka z ekipą telewizyjną i Banichim. Mają zamiar rozstawić sprzęt na dole. Czy paidhi zechce się ubrać?

Paidhi zechciałby się raczej utopić, niż ubrać w sztywny dworski strój i ten cholerny szyty na miarę kaftan, ale Tabini miał inne plany.

Nie wziął ze sobą notatek na temat problemów transportu. Teraz tego żałował. Padało pytanie za pytaniem, aż w końcu w miejscu, gdzie ciało Brena stykało się z krzesłem i gdzie pusty żołądek upominał się o obiad, zapanowało odrętwienie.

– Co określa tempo przekazywania informacji? – zapytał wtedy reporter. – Czy nie jest prawdą, że wszystkie te systemy istnieją na Mospheirze?

– Wiele z nich.

– A które nie?

– Nie korzystamy tak dużo z kolei. Lokalne przewozy lotnicze są łatwiejsze. Ze względu na wzniesienia w głębi wyspy lotnictwo jest dla nas bardziej praktyczne.

– Dwieście lat temu nie przedstawiliście jednak tego aijiemu jako jednej z możliwości.

– Autentycznie obawialiśmy się ataku.

– A zatem istnieją i inne względy oprócz środowiskowych.

Bystry reporter. I upoważniony przez kogoś do zadawania pytań, które być może nie dotrą na antenę, a może i dotrą. Tabini dowierzał temu dziennikarzowi i przysłał go tutaj.

– Istnieje także ryzyko – powiedział Bren – stworzenia problemów wśród atevich. W okresie Lądowania już prawie mieliście kolej. Gdybyśmy natychmiast zaproponowali aijiemu w Shejidan transport powietrzny, mogłoby to wywołać niepokoje w dalej leżących Patronatach. Nie wszyscy wierzyli, że Barjida-aiji podzieli się tą techniką. A lepsze pociągi parowe stanowiły o wiele mniejsze zagrożenie. Moglibyśmy przekazać rakiety. Moglibyśmy powiedzieć podczas pierwszych negocjacji: „Oto przepis na dynamit”. I może nieodpowiedzialne osoby postanowiłyby zrzucić nawzajem na swoje miasta materiały wybuchowe. Właśnie przeszliśmy wojnę. Położenie jej kresu było bardzo trudne. Nie chcieliśmy dostarczyć nowej broni na następną wojnę. To my moglibyśmy zrzucić materiały wybuchowe z samolotów, kiedy już je wybudowaliśmy. Nie chcieliśmy jednak tego robić.

– Dobry argument – rzekł reporter.

Bren miał taką nadzieję. Miał nadzieję, że atevi się nad tym zastanowią.

– Nie chcemy już nigdy więcej wojny – powiedział. – Jeśli chodzi o pobyt na tej planecie, to nie mieliśmy wielkiego wyboru. Wyrządziliśmy szkody, których nie zamierzaliśmy ani nie chcieliśmy wyrządzić. To, o co prosi Traktat, wydaje się uczciwą odpłatą.

– Czy istnieją granice tego, co chcecie przekazać?

Potrząsnął głową.

– Nie.

– A co z bitymi drogami?

Cholera, znów to pytanie. Wziął głęboki oddech, żeby się nad nim zastanowić.

– Znam oczywiście realia transportu w górach. Zamierzam przedstawić moje spostrzeżenia naszej radzie. Jestem też pewien, że nai-aijiin będą mieli dla mnie własne zalecenia.

Niewielki wybuch śmiechu. I następne trzeźwe pytanie:

– A jednak to ty sam, a nie żadne ciało ustawodawcze, decydujesz, czy dane miasto otrzyma transport, jakiego potrzebuje.

– Nie ja sam. Po konsultacjach z aijim, radami i ciałami ustawodawczymi.

– Dlaczego nie rozwija się dróg?

– Bo...

Bo mecheiti idą za przywódcą stada. Bo Babs jest przywódcą stada, a Nokhada nie ma wyboru – bez walki, której nie chce. Co za cholernie głupi pomysł: musi coś odpowiedzieć na to pytanie, coś, co nie urazi atevich.

– Bo – powiedział, zapędzony w kozi róg – nie potrafilibyśmy przewidzieć, co się stanie. Bo dostrzeżliśmy trudności administracyjne. – Ogarnęła go panika. Tracił wątek, mówił bez sensu, a rzecz bez sensu brzmiała jak kłamstwo. – Początkowo baliśmy się, że przydział funduszy na budowę dróg może wywołać podział wewnątrz Patronatu. Jakieś załamanie władzy, którego byśmy nie zrozumieli.

Reporter zawahał się, zachowując uprzejmie obojętną twarz.

– Czy chcesz powiedzieć, nand' paidhi, że ta polityka była oparta na błędnym mniemaniu?

O Boże.

– Początkowo być może tak. – Myśli wskoczyły we właściwe koleiny: problemem atevich są wioski. – Nie uważaliśmy jednak, że doprowadzi to do rozwiązania problemu wsi. Gdyby sto, dwieście lat temu były drogi, to rozwinąłby się nieuregulowany handel. Gdyby zaś do tego doszło, przedsiębiorstwa handlowe budowałyby tam, gdzie są największe drogi – a im prostsze są drogi, tym więcej dużych ośrodków powstaje w jednej linii i tym bardziej stają się one atrakcyjne – podczas gdy nikt oprócz aijiego nie broniłby odległych wiosek, które i tak miałyby problem w uzyskaniu transportu, tak jak się to dzieje teraz. Oprócz tego wzdłuż tych dróg zwiększyły się poziom zanieczyszczeń z silników. Mielibyśmy koncentrację jeszcze większej władzy politycznej w głównych ciągach miast. Ja widzę miejsce dla systemu dróg w wioskach, a nie w dużych ośrodkach, jako linii łączących je ze scentralizowanym systemem transportu.

Nie wzbudził zainteresowania reportera. Jego wypowiedź stała się zbyt szczegółowa, zbyt techniczna, a przynajmniej zaczęła zmierzać ku sprawom technicznym, które reportera nie interesowały lub które według niego nie interesowały widzów. Bren wyczuł to przesunięcie uwagi, kiedy reporter poprawił się na krześle i zmarszczył brwi. Ucieszył się z tego. Reporter zadał jeszcze kilka pytań o to, gdzie mieszka, o jego związki rodzinne, co robi podczas wakacji – dzięki Bogu żadne z nich nie było krytyczne. Kiedy wywiad się skończył, Bren był cały spocony od gorąca bijącego z reflektorów. Reporter nie mógł pominąć obowiązkowych uprzejmości.

– Dziękuję, nand' paidhi – powiedział, a kiedy zgasły światła, Bren powstrzymał westchnienie ulgi.

– Przepraszam – rzekł od razu – nie jestem przyzwyczajony do kamer. Obawiam się, że mówiłem nie bardzo sensownie.

– Mówisz bardzo dobrze, nand' paidhi, zapewniam cię, że o wiele lepiej niż niektórzy z naszych rozmówców. Jesteśmy bardzo zadowoleni, że znalazłeś dla nas czas. – Reporter wstał, Bren wstał, Banichi też wstał. Siedział na granicy cienia, gdzie światła maskowały jego obecność. Wszyscy się uklonili. Reporter wyciągnął rękę. Ktoś go musiał tego nauczyć.

– Znasz nasze obyczaje – odważył się powiedzieć Bren. Reporter się ucieszył, skłonił i omal nie zmiażdżył ręki Brena w uścisku.

Samolot rejsowy wracał o zachodzie słońca. Ekipa wiadomości miała następne spotkanie w Maidingi na temat awarii prądu. Dzięki Bogu. Już pakowała reflektory i rozłączała kabel, płózający się na starożytnych dywanach jak czerwono-czarny powój, który nikał w dalej położonych salach. Maigi poszedł po jego końcówkę gdzieś w kierunku kuchni, gdzie, czego Bren był pewien, personel niechętnie dopuszczał obcych. Wszystko zniknęło w szuflach. Szklanookie zwierzęta patrzyły ze ścian równie zdumione i oszołomione, jak paidhi.

Co ja zrobiłem? – rzekł do siebie, a potem zadał sobie pytanie, czy w sprawozdaniu dla Mospheiry potrafi uzasadnić wszystko, co powiedział; co prawda, omijali w rozmowie drażliwe tematy – tyle udało mu się osiągnąć, jeśli nie liczyć potknięcia w kwestii dróg.

– Chcielibyśmy przeprowadzić więcej takich wywiadów – powiedział na odchodnym reporter. Bren nie pamiętał jego imienia: Daigani czy coś takiego. – Z chęcią nagralibyśmy jeden z nich na Mospheirze. Może zawrzemy jakieś umowy z waszą telewizją, nasza ekipa na miejscu, wywiady ze zwykłymi ludźmi, takie rzeczy.

– Oczywiście, jeżeli tylko coś takiego da się wypracować – odpowiedział. To była odpowiedź na każdą nieprawdopodobną propozycję. Nie mógł pozwolić, żeby dotarła na Mospheirę jako coś, na co się już zgodził. – Musiałbym się skontaktować z odpowiednimi ludźmi... – Te słowa były wyraźnym zadaniem: „Dajcie mi telefon!”. Rzucił w ten sposób wyzwanie Banichiemu, Jago i Tabiniemu. Przez zakamarki umysłu przewinęło mu się z tuzin niespokojnych myśli. Służby informacyjne musiały wiedzieć, że ktoś usiłował go zabić, a nikt nie wspominał o tym słowem. Nie zrobił tego i on. Konspiracyjne podejście Bu-javid do bezpieczeństwa wchodziło w krew jego mieszkańcom. Człowiek nie rozmawiał z prasą bez upoważnienia, nie roznosił plotek, prezentowanie oficjalnego stanowiska politycznego zostawiał odpowiednim departamentom.

Ale czy nie mógł powiedzieć ekipie telewizji, że wczoraj zginął tu ateva? A może oni wiedzieli i nie zapytali?

Bren nie miał pojęcia, co ukazywało się w wiadomościach przez ostatni tydzień. Nie wiedział, co jest ogólną wiedzą, a co nie, a polityczne zasady jego urzędu mówiły, że kiedy się czegoś nie wie, to trzeba siedzieć cicho.

Wygłaszał więc uprzejmości i kłaniał się. Wciąż był spocony, mimo że się ochłodziło. Zbliżał się front atmosferyczny. Ekipa wyraziła nadzieję, że ich samolot nie da się pogodzić.

Przelecieli już przez ten front rano – był to niespokojny, pełen wstrząsów lot, który Jago nazwała „długim”, a ekipa wiadomości „niewygodnym”.

Frontowe drzwi były jednak otwarte. Do środka wiał wiatr i wpadało światło, jaśniejsze od światła elektrycznych żarówek w holu, którym udawało się wytworzyć jedynie nikłą, złocistą poświatę. Ekipa wynosiła reflektory, reporter gawędził z personelem zamku, a stojący przy drzwiach Tano i Algini cicho rozmawiali i patrzyli na ekipę noszącą sprzęt. Algini z nią przyjechał. Podobnie jak Banichi. Jago była... gdzieś indziej, prawdopodobnie odpoczywała. Tymczasem myśli o tym, co Bren powiedział i co mu przyszło do głowy, objęły się o siebie w zakamarkach jego umysłu, domagając się uwagi i dalszej analizy.

Wtedy Banichi delikatnie przerwał rozmowę z reporterem i odprowadził go aż do drzwi, gdzie nastąpiła ostatnia obowiązkowa seria ukłonów.

Bren dołączył do niej, a kiedy ostatni członek ekipy znalazł się na zewnątrz, oparł się plecami o ukryte w półmroku skrzydło drzwi i westchnął z ulgą.

– Tano i Algini odprowadzą ich na lotnisko – powiedział Banichi, wyłaniając się cieniem ze słonecznego blasku. – Może zostaną tam na kolację. Znalazłem dobrą restaurację.

– Świetnie – odparł Bren. Nie zapytał: „Może pojechalibyśmy tam wszyscy?”, bo większość klientów nie lubi zabójstw przy sałacie. Uświadomił sobie, że denerwował się tym wywiadem jak diabli, nie tylko z powodu pytań, jakie mogły paść, ale i dlatego, że nie dowierzał ekipie i temu całemu sprzętowi, a poza tym nie znał tych osób.

Stwierdził, że wpadł w kompletną paranoję. Że się boi. Przecież tak naprawdę nie sądził, że ekipa ogólnokrajowej sieci informacyjnej nagle wyjmie broń czy jakieś materiały wybuchowe.

To było głupie.

– Poszło ci bardzo dobrze, nand’ paidhi.

– Nie mogłem zebrać myśli. Mogło mi pójść lepiej.

– Tabini uważa, że powinno być więcej takich wywiadów – rzekł Banichi. – Sądzi, że nadszedł czas, żeby paidhi stał się osobą bardziej publiczną. Utrzymującą bliższy kontakt z atevimi.

– Czy to ma powstrzymać tych, którzy chcą pozbawić mnie życia? – Nie chciał, żeby zabrzmiało to negatywnie. Niewątpliwie to posunięcie było dobrym pomysłem. Niewątpliwie Tabini tak uważał. Jednak Brena nie opuszczał niepokój.

– Może pójdziesz na górę, nadi, i zdejmiesz kaftan? Odprężysz się.

Nie wiedział, czy uda mu się odprężyć przed nocą, ale kołnierz kaftana uwierał, a od siedzenia nieruchomo cały zeszywniał. Pójście na górę i przebranie się było więcej niż dobrym pomysłem. Była to jedyna rzecz, co do której pozwolono mu tego dnia podjąć decyzję. Jego jedna ważka decyzja.

Aż do jutra.

Powiedział, ponieważ w danej chwili było to na miejscu i ponieważ chciał to powiedzieć wcześniej i ponuro obiecał sobie, że to zrobi:

– Zeszłego wieczoru byłem nieuprzejmy, Banichi, wybacz mi.

– Nie zauważyłem – odparł Banichi. Uwagę skupił na furgonetce, której drzwiczki właśnie się zatrzaśniały.

– Przykro mi z powodu twojego kolegi. I twoich instruktorów.

– To nie była twoja wina. Ani moja. Ateva jedynie żałuje, że intruz nie był mądrzejszy, ale dobrze, że nie był skuteczniejszy. – Banichi położył Brenowi rękę na ramieniu. – Idź na górę, nadi.

Odejdź, nie zwracaj mi głowy. Paidhi potrafił to przetłumaczyć. Banichi był myślami gdzie indziej, więc Bren postanowił wrócić na górę i dokończyć przerwana kąpiel. W kąpiel nikt mu nie przeszkadzał. W wannie nie musiał prowadzić dysput filozoficznych. I dobrze mu to robiło na otarcia, o których nie chciał rozmawiać ze służącymi.

Ponowne rozpalenie bojlera i napuszczenie wody zajęło sporo czasu. Bren wykorzystał go na zjedzenie lekkiego obiadu, podczas którego przeczytał listy od przewodniczących komisji. Pomyślał – oto przykład, jak szybko umysł powraca w znajome koleiny – że powinien zrobić notatki na komputerze.

Nie doprowadzono jednak przedłużaczy z kuchni dla paidhiego – o, nie, zrobiono to tylko dla kamerzystów wiadomości! I nikt nie wspominał o powrocie do Shejidan.

Wziął więc kąpiel, odchylając głowę na krawędź wanny. Wokół niego unosiła się para. Pod ręką miał kieliszek alkoholu odpowiedniego dla organizmu człowieka oraz stertę katalogów. Wśród nich znajdował się katalog z ofertami urlopowymi oraz jeden ze sprzętem sportowym. Nie potrafił co prawda znaleźć rozsądnego zastosowania dla drugiej pary nart czy jeszcze jednego kombinezonu narciarskiego, ale i tak przerzucał katalogi – prawie wyłącznie dla samej przyjemności oglądania obrazków.

Przez kamienne ściany doszedł go grzmot. Bren zastanawiał się leniwie, czy samolot ekipy telewizyjnej odleciał zgodnie z rozkładem. Miał nadzieję, że tak. Chciał się jej pozbyć na dobre. Zastanawiał się też, co porabiają Tano i Algini wśród wiejskich uciech miasteczka Maidingi. Może zwiedzają brzeg jeziora? Miał nadzieję, że nie przemokną.

Pociągnął z pokrytego rosą kieliszka. „Lód w dobrym alkoholu?” – zapytał z niedowierzaniem Tabini na początku ich znajomości.

W obliczu takiej prośby Djinana zachował się o wiele bardziej dyplomatycznie – uniósł tylko brwi i zamrugał oczyma. Ponieważ mieli już prąd i działało światło, w kuchni można było dostać też lód.

Bren odwrócił stronę katalogu i popatrzył na buty narciarskie, a potem przejrzał wkładkę poświęconą sztuce i kulturze, w której opisywano odzyskiwanie dawnej sztuki z banków pamięci. Przeczytał artykuł o budowie ośrodka wypoczynkowego na górze Allan Thomas,

pierwszego luksusowego ośrodka na Mospheirze, gdzie garstka śmiazków przywróciła do życia narciarstwo.

Atevi ostatnio okazywali zainteresowanie tym sportem we własnych górach. Tabini nazywał go samobójstwem – a potem, kiedy obejrzał amatorskie filmy wideo z wyjazdów narciarskich, których pokazanie paidhi uzgodnił z komisją, wydawało się, że zdradza, acz niechętnie, cień zainteresowania.

Potencjalna wspólna namiętność ludzi i atevich. Dobrze robi na wzajemne stosunki.

Już prawie namówił Tabiniego na spróbowanie, ale wybuchł ten cholerny kryzys. Może jeszcze mu się uda. Podobno dobre stoki są w górach Bergid, tylko o godzinę drogi od Shejidan – gdzie głupcy ryzykują głową, jak określił to Tabini.

Wywiad wciąż nie dawał Brenowi spokoju. Martwił się tym, co powiedział, albo wyrazem swojej twarzy, podczas gdy atevi niczego twarzami nie wyrażają. Poza tym nie był przyzwyczajony do kamer telewizyjnych i mówienia prosto w rozjarzone reflektory...

Zagrzmiało. Światła zamrugały. I zgasły.

Nie do wiary. Bren rzucił gniewne spojrzenie na mroczny sufit i pociemniałą żarówkę.

Tym razem jednak się nie poddał. Gorąca woda nie stygnie od razu. W kinkiecie wciąż tkwiły świece. Bren wyszedł z wanny w ciepłe powietrze, wziął świecę z lichtarza na stole, zapalił ją od pilota w bojlerze, po czym zapalił nią świece w kinkiecie. Usłyszał, jak służący wołają do siebie na korytarzu, ale bez paniki, może z wyjątkiem kucharza, który o tej porze prawdopodobnie miał wszelkie ku temu powody. Choćby jednak grzmiało i łało, Malguri jakoś sobie radziło.

Z powrotem zanurzył się w gorącej wodzie, zadowolony i pewny swojej wiedzy na temat atewskiej przeszłości – paidhi nauczył się, że awaria prądu nie oznacza końca świata. Sącząc drinka z lodem, wrócił do kontemplacji bezpiecznikowych wiązań narciarskich. Klient mógł sobie wybrać czarne, białe albo odbłaskowe zielone.

Od strony wygodki dobiegły pospieszne kroki. Bren podniósł oczy, w które uderzył snop światła z latarki. Trzymała ją czarna, błyskająca iskierkami metalu postać.

– Bren-ji? – zapytała Jago. – Przepraszamy. Obawiam się, że to ogólna awaria. Nic ci nie jest?

– Wszystko w porządku – odparł. – Chcesz powiedzieć, że to urządzenie, które właśnie przywieziono i zainstalowano, tak po prostu wysiadło?

– W tej chwili naprawdę nie wiemy. Podejrzewamy, że ten pierwszy incydent został zaaranżowany. Badamy, co teraz się stało. Proszę cię, nie ruszaj się stąd.

Poczucie bezpieczeństwa gdzieś zniknęło. Myśl o napastnikach chodzących po korytarzach, podczas gdy on siedzi w wannie, nie była przyjemna.

– Wychodzę.

– Ja tu będę – rzekła Jago. – Nie musisz, nadi-ji.

– Wolałbym. Wszystko w porządku. Właśnie chciałem sobie poczytać.

– Będę w pokoju przyjąć. Powiem Djinanie.

Jago wyszła. Bren ubrał się przy świecach i wziął jedną z nich ze sobą, ale ktoś już pozapalał lampy w sypialni i w salonie.

W okna uderzał deszcz. Brenowi ta szara jednolitość zaczęła już się wydawać naturalna. Żał mu się zrobiło Banichiego, który prawdopodobnie był gdzieś na dworze. Martwił się też o jego bezpieczeństwo. Nie rozumiał, jak można sztucznie wywołać uderzenie pioruna ani co takiego mogli znaleźć, co zmieniło ich pogląd na tę sprawę.

Wszedł do pokoju przyjąć. Jago stała przed oknem. Przytłumione światło sprawiało, że jej twarz wyglądała z profilu jak maska; ćwieki lśniły na jej mundurze. Patrzyła na jezioro i na zasnuite równo chmurami niebo.

– Nie próbowaliby tego samego dwa razy – odezwał się. – Nie mogą być aż tak szaleni.

Jago spojrzała na niego i roześmiała się dziwnym, urywanym śmiechem.

– Może to właśnie znaczy, że są sprytni. Spodziewają się, że nie potraktujemy tego jako rzeczy oczywistej.

– Oni?

– ...albo on, albo ona. Ateva nie wie, nadi. Próbujemy się dowiedzieć.

Uznał, że znaczy to, by nie zawracał jej głowy. Wyjrzał przez okno, co nic mu nie dało.

– Idź i poczytaj sobie – rzekła Jago.

Jakby można było tak szybko wrócić do katalogów narciarskich. On na pewno nie mógł. Nie znosił informacyjnej próżni; nie podobali mu się milczący strażnicy, czający się w jego pokoju przyjąć, ani to, że być może uzasadnienie ich obecności właśnie w tej chwili wspina się na mur.

Poczytaj sobie, akurat... Bren zapragnął, by z okna otwierał się widok na cokolwiek innego niż na tę monotonną szarość.

Stwierdził, że nie jest w nastroju. Za bardzo był zdenerwowany.

– Nadi Bren. Odejdź od okna.

Nie myślał o takich rzeczach. Zły na siebie, że dał się złapać dwa razy, potrząsnął głową i cofnął się.

Jago patrzyła na niego z pełną niepokoju troską. Oddelegowana do pilnowania głupca, pomyślał Bren, który kręci się wciąż koło okien.

– Przepraszam – powiedział.

– Myśl jak ktoś, kto usiłuje cię dopaść – rzekła. – Nie oddawaj im przysług. Idź, usiądź, odpręż się.

Zabójca z Gildii, powiedział Banichi. Ktoś, kogo Banichi znał. Spotykał się z nim na gruncie towarzyskim.

A jednak nie wiedział, dlaczego ten ktoś złamał zasady?

– Jago, jak się zdobywa licencję?

– Na co, Bren-ji?

– No, wiesz. Gildia. – Nie chciał poruszać z Jago drażliwych tematów. Żałował, że w ogóle zaczął.

– Żeby otrzymać licencję od Gildii? Ateva wybiera.

Wcale to nie wyjaśniło, co kieruje zdrową umysłowo osobę na tę ścieżkę. Jago nie wydawała się takim typem atevy – jeśli w ogóle istniał typowy reprezentant tego zawodu.

– Bren-ji. Dlaczego pytasz?

– Zastanawiam się, jaki rodzaj osoby się na mnie uwziął.

Wydawało się, że Jago zignorowała to pytanie. Odwróciła wzrok do okna. Na deszcz i nicość.

– Nie jesteśmy z jednej gliny, Bren-ji. Nie mamy takich samych twarzy.

To znaczy: nie twój interes.

– Nadi – powiedział, odchodząc, chcąc zostawić ją własnym myślom, gdyby tylko mógł otrząsnąć się ze swoich.

– Jaka osoba zostaje paidhim? – zapytała, zanim zrobił drugi krok.

Dobre pytanie, pomyślał. Celne uderzenie. Musiał się nad tym zastanowić i nie znajdował odpowiedzi, którą zwykle miał na podorędziu, nie potrafił nawet odnaleźć chłopca, który wszedł na tę ścieżkę, nie potrafił w niego choćby odrobinę uwierzyć.

– Chyba głupiec.

– Ateva wątpi, nadi-ji. Czy to wymagana cecha?

– Tak sądzę.

– A więc... jak ubiegacie się o ten zaszczyt? W jakich dziedzinach?

– W ciekawości. W chęci, by wiedzieć więcej niż Mospheira. By przynieść dobro planecie, na której jesteśmy, i osobom, obok których mieszkamy.

– Czy taki był też Wilson?

Celny strzał. Cóż mógł odpowiedzieć?

– Ty nie zachowujesz się jak Wilson-paidhi – rzekła Jago.

– Valasi-aiji też nie był Tabinim – odparował.

– To prawda. Szczera prawda.

– Jago... – zatrzymał się przed słowem, które rządziło jedynie sałatkami. Potrząsnął głową i ruszył do drzwi.

– Bren-ji. Dokończ, proszę.

Nie chciał rozmawiać. Nie był pewien swego rozumowania, nie mówiąc już o panowaniu nad sobą. Jago jednak czekała.

– Jago-ji, przez całe życie pracowałem najlepiej, jak umiem. Nie wiem, co innego mógłbym robić. Teraz znów zrobiło się ciemno. Chyba na to nie zasłużyłem. Zadaję sobie jednak pytanie, nadi, czy to moja wina, czy nie posunąłem się za daleko i za szybko? Czy zaszkodziłem Tabiniemu, usiłując mu pomóc, i czy ktoś się tak cholernie uparł, żeby mnie zabić? Dlaczego, Jago? Czy przychodzi ci cokolwiek do głowy?

– Przynosisz zmiany – rzekła Jago. – Niektórych to przeraża.

– Chodzi o tę cholerną kolej?

Zdziwił go główny wątek wywiadu. Jago była dla niego zaledwie pozbawionym wyrazu, nieosiągalnym cieniem. Machnął ze zniecierpliwieniem ręką i ruszył w kierunku salonu, żeby mieć miejsce do rozmyślań, usiąść, czytać, oderwać myśli od dziwacznych wydarzeń tego dnia, może jeszcze przed kolacją, którą Jago prawdopodobnie zje razem z nim, jeśli nikt nie otruł kucharza.

Zatrzymał się jednak w obawie, że może ją obraził.

– Jeśli pewnego dnia wypali ta sprawa z telewizją i na Mospheirę przyjedzie ekipa wiadomości, to poproszę, żebyście ty i Banichi przyjechali odwiedzić moją rodzinę. Chciałbym, żebyście zobaczyli, jacy jesteśmy. Chciałbym, żebyście nas poznali, nadi-ji.

– Będę wielce zaszczycona – odrzekła poważnie Jago.

Może więc załagodził sprawę. Poszedł do salonu i dorzucił kawałek drewna do ognia. Od ścian odbiło się echo grzmotu. Jago poszła za Brenem, najwyraźniej uważając, że on tego chce; nic jednak nie mówiła, tylko zajęła się przeglądaniem regałów z książkami.

Z Jago nie można było dyskutować o pojmowaniu przez nią jej obowiązków albo o tym, co uznawała za towarzyskie zachowanie. Bren wziął do ręki książkę i chciał usiąść.

Znów zabłysło światło.

Spojrzał z rozdrażnieniem na lampy sufitowe.

– To pewnie był bezpiecznik – odezwała się Jago z drugiego końca pokoju. – To dobrze.

Bren przypomniał sobie zakurzone, stare przewody, biegnące w holu pod sufitem obok gołych rur gazowych, i wyobraził sobie, jak cały apartament wylatuje w powietrze od jednej iskry.

– Malguri przydałaby się nowa instalacja elektryczna – mruknął. – Gdzie jest ten zbiornik z gazem?

– Z jakim gazem?

– Metanem.

– W piwnicy – odparła Jago.

– Pod budynkiem. To jest cholerna bomba, nadi. Tutaj naprawdę są potrzebne piece elektryczne. Jeśli zainstalowano światło, to z pewnością piece nie zaszkodzą.

– Fundusze – rzekła Jago.

– Czy szukając zabójców, pilnują też tego zbiornika?

– Pod obserwacją jest każde wejście do budynku.

– Chyba że zabraknie prądu.

Jago wzruszyła ramionami.

– Tych okien nikt nie pilnuje – powiedział Bren. – Przekonałem się o tym zeszłej nocy, kiedy przywrócono dopływ prądu.

Jago zmarszczyła się, podeszła do okna, przeciągnęła palcem po ramie, spojrzała w górę i w bok – Bren nie widział, na co.

– Jak się o tym przekonałeś, Bren-ji?

– Otworzyłem okno, żeby wyjrzeć. Przywrócono dopływ prądu. Zadziałał alarm. Rozumiem, że to stary system.

– Z całą pewnością – przytaknęła Jago. – Zameldowałeś o tym?

– Obudził się cały personel.

Jago nie wyglądała na zadowoloną, ale nie potrafił powiedzieć, co znalazła w oknie.

– Poza Banichim – dodał.

– Poza Banichim.

– Nie wiem, gdzie był. Mówiłem ci. Przemówiliśmy się. Dokąds poszedł. – Przyszła mu do głowy pewna nieprzyjemna myśl, ale nie wypowiedział jej na głos. Obserwował, jak Jago podchodzi do drzwi, przymyka je i patrzy na ścianę za nimi, wciąż ze zmarszczoną twarzą. Ochrona nigdy nie wdaje się w rozmowy o ochronie. Wątpił, czy otrzyma jakieś wyjaśnienie.

– Nadi Jago. Banichiego tu nie było. Czy masz jakieś pojęcie, gdzie przebywał zeszłej nocy?

Równie dobrze mógłby wygłosić uwagę, że na dworze pada. Wyraz twarzy Jago nie zmienił się ani na jotę. Otworzyła drzwi na zwykłą szerokość i przeszła do pokoju przyjąć.

Znów zgasło światło. Bren spojrzał ze zniecierpliwieniem w górę i wyszedł za Jago do pierwszego pokoju, żeby zaprotestować przeciwko milczeniu i dezorientacji jego ochrony. Jago stała przy oknie. Wyjęła skobelek, otworzyła i zamknęła boczną szybkę. Alarm się nie włączył.

– Co się tu, do diabła, dzieje, Jago?

Jago wyjęła z kieszeni komunikator, włączyła go i wypowiedziała ciąg niezrozumiałych dla Brena, zaszyfrowanych słów.

Odpowiedział Banichi. Bren był raczej pewien, że to jego głos, a postawa Jago uspokoiła go jeszcze bardziej. Odpowiedziała Banichiemu, wyłączyła komunikator i schowała go do kieszeni.

– Zadziałał – rzekła. – Nasz system zadziałał.

– Twój i Banichiego? – zapytał Bren, ale wtedy zapiszczał komunikator. Jago znów go włączyła i zgłosiła się, wciąż ze zmarszczonym czołem.

Odpowiedział głos Banichiego. Jago zmarszczyła się jeszcze bardziej. Pożegnała się krótko z Banichim, przyczepiła komunikator do pasa i ruszyła do drzwi.

– Co to było? – zapytał Bren. – Co się dzieje? Jago?

Wróciła, robiąc dwa kroki, chwyciła go za ramiona i spojrzała w dół na niego.

– Bren-ji. Nigdy cię nie zdradziłam. I nigdy tego nie zrobię, Bren-ji.

Po czym błyskawicznie zniknęła za drzwiami. Zamknęła je dokładnie.

Jago? pomyślał Bren. Na ramionach wciąż czuł jej silne palce. Jej kroki szybko cichły, a on zadawał sobie pytanie, gdzie był zeszłej nocy Banichi, kiedy uruchomił się alarm.

Jeśli istnieje inny system i Banichi miał go pod obserwacją, to wiedział, że Bren otworzył okno. I z jakiejś przyczyny nie wrócił do niego, kiedy włączył się ogólny alarm.

Może Banichi już nie uważał tego za zagrożenie. Nie było to jednak podobne do Banichiego, którego znał Bren. Banichi takich rzeczy nie lekceważył.

Wszystko to zakrawało na szaleństwo – od śniadania z wdową aż po ekipę telewizyjną wpuszczoną do zamku strzeżonego do tego stopnia, że Bren nie mógł dostać telefonu. Nie podobało mu się to, co teraz czuł. Nie podobały mu się powody, dla których Jago wybiegła z pokoju, dając mu do zrozumienia – w języku, w którym nie istniało słowo „zaufanie” – żeby jej zaufał.

Jeszcze raz sprawdził skobelek przy oknie. Nie wiedział, kto mógłby się dostać na piętro wznoszące się nad przepaścią, i nie chciał się tego dowiedzieć. Sprawdził zamek przy drzwiach zewnętrznych, chociaż słyszał trzask zapadki.

Na co się to jednak przyda, skoro cały personel ma klucze do tylnego holu...?

Zaniepokoiła go nagła myśl. Poszedł prosto do sypialni i, ukląkłszy przy łóżku, sięgnął pod materac.

Pistolet, który dał mu Banichi, zniknął.

Zaczął go szukać, sądząc, że personel Malguri mógł go przesunąć przy słaniu łóżka, nie wiedząc nawet, że tam leży. Dla pewności Bren podniósł nawet materac – i nie znalazł ani broni, ani amunicji.

Opuścił materac i ułożył porządnie pościel i futra. Potem usiadł na krawędzi łóżka, usiłując zwalczyć panikę, tłumacząc sobie, że ma tyle czasu na odkrycie braku pistoletu, ile dają mu ci, którzy go zabrali; a jeśli nie zainstalowali w pokojach jakichś urządzeń wizyjnych, to ktokolwiek zabrał pistolet, jeszcze nie wie, że Bren to odkrył.

Fakt: ktoś go ma. Co więcej, uzbrojony jest w niego ktoś, kto, być może, z natury rzeczy ma dostęp do tej służbowej broni albo amunicji jej kalibru. Należała do Banichiego – a jeśli pistoletu nie zabrał sam Banichi, to ma go ktoś inny, kto mógł go rozpoznać po identyfikatorze i charakterystycznych znakach na kulach i oddać go dowódcy Banichiego w Bu-javid.

Bez względu na to, do czego może zostać użyty.

Jeżeli Banichi nie wie, co się stało, to trzeba go zawiadomić, że pistolet zniknął – a on nie ma ani telefonu, ani kieszonkowego komunikatora, ani żadnego sposobu zdobycia go poza wyjściem z apartamentu, naruszeniem jakiejś strefy bezpieczeństwa i nadzieją, że alarm wezwie Banichiego.

Taki właśnie miał plan. Nie był to najbardziej dyskretny sposób zwrócenia na siebie uwagi.

Z drugiej strony, jeśli uda, że nic się nie stało, to być może do powrotu Banichiego albo Jago sprawa się nie wyda. Zniknięcie pistoletu nie było kwestią, na którą zwracało się uwagę służby. Prawdopodobnie mógł zawierzyć Tano i Alginiemu, którzy przyjechali z nimi z Shejidan – nie był jednak tego pewien.

Bren czuł przerażenie. Był zmęczony po niespokojnej nocy i nerwowym popołudniu. Być może nie podejmował najlepszych decyzji, ale wiedząc tylko tyle, ile wiedział, nie czuł się na siłach, by użyć sprytu.

Wzdrygnął się nerwowo na odgłos dalekiego grzmotu – to też świadczyło o jego zmęczeniu. Mógł wyjść i spróbować uruchomić jakiś alarm, ale Banichi i Jago albo byli na zewnątrz, ścigając kogoś w deszczu, albo jeszcze gorzej, ścigali kogoś w samym zamku. Wyobraźnia podsunęła mu obraz zbiornika z metanem w piwnicy i jakiejś postaci z materiałami wybuchowymi...

Nie wolno im jednak uszkodzić Malguri. Atevi nie obraliby tej drogi. Mishidi. Niezręczne. Niechlujne. Żadnego biichi-ji.

Nie wysadzą budowli w powietrze. Jeśli coś się stanie i kula ze znakami, które mogłyby ją powiązać z Banichim, pojawi się w miejscu, gdzie pojawić się nie powinna, on będzie mógł zaświadczyć o tym, co naprawdę się stało.

Chyba że właśnie on będzie tym nieboszczykiem.

To nie jest odpowiednia pora na chodzenie po korytarzach, stwierdził Bren, ani na zaskakiwanie własnej ochrony, która sądzi, że zna miejsce jego pobytu. Planował spędzić popołudnie na lekturze. Okazało się, że nie ma lepszych ani mądrzejszych planów. Włożył szlafrok, żeby się trochę ogrzać, wrócił do kominka w salonie i wziął do ręki książkę o historii Malguri.

O atevich. O lojalności. O niespełnionych nadziejach.

On też żywił nadzieje – dotyczące uczuć, które po prostu nie istnieją. Nie istnieją i koniec, kropka. Nie ma sensu – nie ma nawet możliwości – zmieniać biologii. Co można zrobić? Wlać ludzkie hormony do atewskiego krwiobiegu, tak przemodelować atewskie mózgi, żeby wysyłały impulsy, które w nich nie powstają?

I zapytać, w jaki sposób ludzie nie spełniają atewskich oczekiwań, na jakim poziomie emocjonalnym? Musi być jakiś poziom emocjonalny.

Nie. Wcale nie musi. Znow to myślenie terracentryczne. Żadne prawa wszechświata nie powiadają, że uwarunkowania, dzięki którym atevi samodzielnie stworzyli bardzo porządne społeczeństwo, muszą odpowiadać ludziom lub powodować u atevich pozytywne reakcje na ludzi, którzy próbują nawiązać z nimi ludzkie stosunki. W racjonalnym wszechświecie coś takiego wcale nie musi mieć miejsca; co więcej, w racjonalnym wszechświecie jest o wiele bardziej racjonalne, żeby atewskie lokomotywy przypominały lokomotywy zbudowane przez ludzi, niż żeby atewska psychika przypominała ludzką. Lokomotywy skonstruowane przez jakikolwiek gatunek jeżdżą po szynach, mają tłoki do napędzania kół, kotły parowe lub silniki

spalinowe, przekładnie do napędzania tłoków i rurę do odprowadzania dymu – tak nakazują prawa fizyki. Samoloty latające w powietrzu o podobnej jak na Ziemi gęstości, raczej nie będą wyglądać jak lokomotywy. Rakiety nie będą przypominały lodówek. Fizyka nakłada pewne ograniczenia na urządzenia wykonujące daną pracę, a fizyka na starej Ziemi i fizyka na planecie atevich nie różni się ani na jotę.

Natomiast biologia istot inteligentnych, mających do wykonania mnóstwo zadań podlegających wpływom mikrośrodków, ewolucji i genetycznego zamętu na dokładkę, może wykazywać piekielną liczbę zmiennych.

Nie jest to niczyja wina. Nie jest niczyją winą, że przybyli w pobliżu tej gwiazdy – może trafili na tunel podprzestrzenny czy jakąś nieciągłość; ludzie od fizyki mieli swoje teorie, ale żaden człowiek nie potrafił niczego udowodnić z miejsca, w którym się znajdowali. Z tego, co wiedzieli, mogła to być przeciwna strona, Bóg wie jakiego, dysku galaktycznego: żadne widmo nie pasowało do Sol ani do jego sąsiadów, pulsarów, według których, jak mówili fizycy, można by określić ich położenie...

Kiedy tu ugrzęźli i udało im się sklecić stację, nie wiedzieli, gdzie się znajdują, i nie wiedzą tego do tej pory, bo czy można określić to miejsce w jakiś bezwzględny sposób, skoro nie mieli nawet pojęcia, jak długo trwał ich lot? Równie dobrze mogli przebywać w podprzestrzeni setki lat.

Podróż do pasa zamarzniętego gruzu w pobliżu gwiazdy i z powrotem do strefy życia, gdzie skonstruowali stację, trwała długo i była bardzo powolna. Właśnie to, jak rozumiał sprawę Bren, stanowiło rzeczywisty problem polityczny: czy budować w obrębie strefy życia, czy na jej skraju. Zwyciężyła koncepcja budowania w strefie, mimo wiedzy, że otacza ona zamieszkały świat, mimo świadomości, że pewnego dnia może się okazać, że dokonali ryzykownego wyboru na podstawie bardzo niewielu danych...

Polityczny kompromis. Zaakceptowanie przyszłego problemu w imię rozwiązania teraźniejszych kłopotów.

Dodać do tego zniszczenie oczyszczalni i burze słoneczne, których zasięgu nikt wówczas nie znał, i leżącą pod ich stopami atrakcyjną planetę – do diabła, nie wyrządzą żadnych szkód, dogadają się z tubylcami, oni mają już napęd parowy, i tak spotkanie jest nieuniknione, dlaczego mieliby ryzykować swoje cenne życie, usiłując walczyć z przeciwnościami?

Tak przynajmniej zrekonstruował proces podejmowania decyzji potomek astronautów w jakimś dziewiątym pokoleniu... Atevi nie mogą być tak bardzo odmienni. Mają lokomotywy. Mają młyny parowe. Mają przemysł.

Mają też kompletnie odmienną psychikę, ale na podstawie znajomości fizyki, jaką się posługiwali, trudno się było tego domyślić.

Nie można było tego stwierdzić przy spotkaniu z atevą. Cześć, jak się masz, ładna pogoda. Co za mili ludzie. Zorganizujemy jakiś handel, trochę techniki za kilka sztuk dziczyzny poza sezonem...

Prosto w kulturową przepaść.

A kiedy próbowali ją zasypać, dojść do jakiejś ugody z miejscowymi przywódcami, wpadli w sam środek kulturowego wiru.

Ileż to razy pierwsi osadnicy zawalili sprawę. Ileż to razy na dobre zaangażowali się w powierzchowne kontakty, zanim nie zaczęli pojmować, że zdrada to nie zdrada, a morderstwo to nie morderstwo oraz że nie można faworyzować jednego miejscowego aijiego i walczyć z innym, nie angażując się w konflikt Patronatu o kontynentalnym zasięgu ze wszystkimi tego konsekwencjami. Nikt się nie spodziewał, że cywilizacja znająca napęd parowy będzie miała światowy rząd...

No, ale jeśli człowiek był wczesnym kolonistą, to być może nie spodziewał się, że ktokolwiek będzie się zachowywał inaczej niż on sam.

Przed pięćdziesięciu laty – co oznaczało dwóch paidhiin temu – Mospheira wzięła głęboki oddech i wyłożyła na stół swoje karty: komunikację satelitarną i rakiety, z nadzieją, że w kombinacji z zaawansowaną techniką łączności biichi-ji i kabiui nie dopuszczą, by jakiś przedsiębiorczy ateva połączył środki wybuchowe z technologią wytwarzania paliw i wysłał rywali do diabła.

Ponieważ ludzie już sądzili, że poznali atevich.

Niech Bóg ma w opiece głupców i turystów.

Bren przewrócił nie przeczytaną stronę, zdał sobie sprawę, że jej nie przeczytał i odwrócił ją z powrotem, starając się skupić na poczynaniach aijiin i ich doradców, którzy dawno temu zostali uniesieni z wiatrem Malguri i splukani deszczem do gleby i – poprzez jezioro Maidingi – do morza, co o tej porze roku odbywało się szybciej niż na jesieni.

Był na serio rozzłoszczony i jego myśli krążyły tu i tam, w ramach znanych mu ograniczeń, niczym zwierzęta w klatce. Prawdziwe odpowiedzi muszą leżeć poza kratami tej klatki, ograniczającymi jego możliwości zrozumienia.

Być może, to tego punktu dochodzili wszyscy paidhiin. Może on okazał się najbardziej naiwny, na przykład dlatego, że nawiązał stosunki z najbardziej przyjaznym ze wszystkich aijiin, a tak piekielnie łatwo było zignorować ostrzeżenia obecne we wszystkich tekstach, jakie kiedykolwiek studiował, i wpaść prosto w tę samą pułapkę, w którą wpadli pierwsi ludzie na tej planecie – oczekiwać, że atevi okażą się ludzcy. Oczekiwać, że będą robić to, czego można spodziewać się po miłych, zdrowych na umyśle ludziach oraz czego on sam by sobie życzył, czego emocjonalnie od nich potrzebował – podczas gdy w rzeczywistości powinien przestać marzyć, zacząć dostrzegać oznaki niebezpieczeństwa i robić to, po co tu został przysłany.

Powinien był zadzwonić, kiedy jeszcze był w Shejidan, nawet jeśli by towarzyszyć temu miało trzeszczenie drzwi wyważanych przez strażników Bu-javid. Nie powinien wciąż sądzić, że Tabini znajduje się pod jakąś presją i rozpaczliwie potrzebuje go w Shejidan, bo gdyby tak było, to sieć telewizyjna znajdująca się pod ścisłym nadzorem Tabiniego nie uciekałaby się

do wywiadów, żeby udowodnić, że paidhi jest miłym, sympatycznym, przyjaźnie nastawionym gościem, a nie jakimś czarnym charakterem, zamierzającym przejąć władzę nad światem czy wymyślającym promienie śmierci zrównujące miasta z ziemią.

Nie zdradzę cię, Bren-ji?

Cóż, do diabła, znaczyły te słowa, rzucone, zanim Jago wypadła z pokoju i jak szalona pobiegła korytarzem?

I gdzie jest pistolet, Jago? Gdzie jest pistolet Banichiego?

Kłody na kominku przepaliły się i osunęły, posyłając w górę fontannę iskieł. Bren dołożył drewna i wrócił do książki.

Ani słowa od Banichiego lub Jago, co się stało – czy ktoś przerwał kordon bezpieczeństwa, czy na lotnisko przyleciał ktoś dziwny albo czy mają jakieś złe wiadomości od Tabiniego?

Przewrócił kartkę, uznał, że drugi raz przerwał czytanie gdzieś w połowie strony i odwrócił ją z powrotem. Uparcie usiłował skupić się na tekście, zapisanym na atewską modłę, i zrozumieć coś z antycznej, ozdobnej czcionki.

Światło znów zapaliło się i zgasło.

Niech to diabli, pomyślał i spojrzał w okno. Deszcz ograniczył się do przelotnych bryzgów, szarej chmury i rozrzuconych na szybie jasnych kropli. Świece rzucały złocisty blask. Z okna dochodziło białe światło, jakby chmury nareszcie się rozwiewały.

Odłożył książkę i wstał, żeby przyjrzeć się niebu, gdy usłyszał kogoś w sypialni i zobaczył wchodzącego tylnym wejściem Djinanę.

– Transformator czy przetarty kabel? – zapytał Bren gawędziarskim tonem.

– Ateva ma nadzieję, że kabel – odparł służący i skłonił się. – Nadi, wiadomość dla ciebie.

Wiadomość? Tu, gdzie nie ma telefonów?

Djinana podał mu maleńki zwój – Bren nie patrząc, domyślił się, że to pieczęć i wstążka Ilisidi, ponieważ czerwień i czerni oznaczały ród Tabiniego. Otworzył zwój paznokciem kciuka, zastanawiając się, czy może chodzi o jakieś spotkanie po śniadaniu, odwołanym lub przesuniętym w związku z pogodą.

„Muszę z tobą natychmiast porozmawiać. Spotkamy się w holu na dole”.

I podpis Cenediego.

Rozdział 9

Na dole zapalone były wszystkie lampy naftowe, a na kominku płonął ogień. Hol, obwieszony dawną bronią, trofeami myśliwskimi i spłowiałymi chorągwiemi, cały mienił się złotem, brązem i wyblakłą czerwienią. Schody prowadzące na górę i znajdująca się pod nimi część pomieszczenia były pogrążone w cieniu rozjaśnionym kręgami światła z lamp naftowych na piętrze i na dole. Prądu wciąż nie było. Tym razem wyglądało, że na dobre, i Bren żałował, że schodząc, nie włożył kaftana. Ktoś chyba niedawno otwierał drzwi frontowe. W holu było zimno.

Bren nie spodziewał się jednak długiego, oficjalnego spotkania, a ogień przeganiał chłód. Stał przed kominkiem, grzejąc ręce i czekając. Kiedy usłyszał, że ktoś nadchodzi z części zamku należącej do Ilisidi, zerknął w kierunku prowadzącego tam korytarza.

To rzeczywiście był Cenedi, w ciemnym mundurze skrzącym się metalem, kwintesencja ochroniarza z licencją Gildii. Bren sądził, że Cenedi podejdzie do ognia, coś mu powie i pozwoli wrócić na kolację, lecz atewa zbliżył się tylko na tyle, by zetknęły się ich spojrzenia i skinął na Brena, żeby poszedł za nim.

Ale dokąd? zadał sobie pytanie Bren, wcale nie tak spokojny w obliczu tej pantomimy w mroku, jak byłby wobec prostego wezwania na dół – równie niemożliwego do odrzucenia, jak reszta zaproszeń Ilisidi.

W tym jednak wypadku, przez chwilę chciał wrócić na górę pod pretekstem ubrania się w kaftan i posłać Djinanę po Banichiego lub Jago – co, jak już teraz wiedział, powinien był dawno zrobić. Cholera, skarcił się w duchu, gdyby tylko choć trochę myślał, tam na górze...

Jednak już zupełnie nie wiedział, która z licznych stron, uczestniczących w grze, kieruje się tego wieczoru prawdą – ani wcale już nie był pewien, ile tych stron jest. Pistolet zniknął. Ktoś go miał... może Cenedi, może Banichi. Może zabrał go Banichi, żeby nie znalazł go Cenedi – było zbyt wiele możliwości, żeby czegokolwiek się domyślić. A gdyby odkryli go Djinana i Maigi i zanieśli Cenediemu? W głębi serca Bren był przekonany, że wówczas

Djinana nie mógłby przed nim stanąć, nie okazując choćby cienia poczucia winy. Nie wszyscy atevi byli tak opanowani jak Banichi czy Jago.

Z drugiej strony, gdy jego ochroniarze zajmowali się jakimiś swoimi interesami, Bren musiał podejmować decyzje na własną rękę i jak dotąd nic mu się nie stało, a jeśli Cenedi rzeczywiście chce z nim porozmawiać o pistolecie, to lepiej nie blefować i nie wzbudzać podejrzeń co do własnej prawdomówności. Bren mógł wziąć na siebie odpowiedzialność za broń pod materacem. Cenedi w żaden sposób nie był w stanie dowiedzieć się, że paidhi nie pakował się sam. Jeśli musiałby opuścić stanowisko w atmosferze skandalu... Bóg jeden wie, że lepsze to, niż wmieszać w to Tabiniego i osłabić Patronat. To jego kłopoty. Być może będzie musiał stawić czoło konsekwencjom.

Jeśli jednak Cenedi ma broń i zna jej numer seryjny, to z pewnością jako osobisty ochroniarz aiji-wdowy, ma możliwość skontaktowania się z policją i znalezienie właściciela pistoletu na podstawie jego dokumentów – za pomocą tych samych komputerów, z których paidhi miał nadzieję uczynić powszechne udogodnienie. Wtedy kłamstwo w celu krycia Banichiego mogło tylko pogorszyć sprawę.

Było tu zbyt wiele rzeczy nie na miejscu: zachowanie Banichiego, wybiegnięcie Jago z pokoju, ten trup na podjeździe, który okazał się starym kolegą szkolnym Banichiego... czy jak tam licencjonowani zabójcy nazywali swoich towarzyszy.

Cenedi przepuszczał okazję za okazją do strącenia paidhiego w przepaść. Ta herbata, która o mały włos stałaby się zabójczą, mogłaby być mocniejsza. Jeśli w tym domu dzieje się coś podejrzanego, jeżeli Tabini wysłał go tu tylko po to, żeby wprowadzić Banichiego i Jago do fortecy Ilisidi – to był własny koszmarny scenariusz Brena – to paidhi znalazł się w samym środku wydarzeń. Bardzo lubił Ilisidi, Cenedi nie zrobił mu żadnej krzywdy, więc w co, na Boga, teraz się wplątał, schodząc na dół, żeby porozmawiać na osobności z Cenedim? Kiedy miał wygłosić oficjalny, przygotowany tekst, mógł kłamać z absolutnie niewinną miną. Nie mógł jednak skutecznie kłamać w takich sprawach, jak broń, a jeśli chodzi o to, czy Banichi był w coś zamieszany... tu też nie znał żadnych odpowiedzi, ale nie potrafił dać sobie rady z pytaniami, nie okazując niepokoju, który ateva uznałby za skrajny.

Bren przeszedł przez kręgi blasku rzucanego przez lampy, coraz bardziej zagłębiając się w wewnętrzny hol, gdzie czekał na niego Cenedi. Na tle rozświetlonego prostokąta otwartych drzwi pokoju ateva rysował się jako wysoki, ciemny kształt, który zniknął w środku, zanim Bren dotarł do progu.

Spodziewał się tylko Cenediego, ale w biurze znajdował się jeszcze jeden ochroniarz Ilisidi, mężczyzna, z którym był rano na przejażdżce. Nie pamiętał jego imienia i w pierwszej, pełnej paniki chwili nie wiedział, co on może mieć z nim wspólnego.

Cenedi usiadł i zaproponował Brenowi krzesło stojące obok biurka.

– Proszę, nand' paidhi. Czy zechcesz napić się herbaty? Przysięgam, że jest bezpieczna. – To ostatnie zdanie wyrzekł z pewną ironią.

Trudno było odmówić takiej uprzejmości. Co więcej, wyjaśniało to obecność drugiego atey, który zapewne miał zadbać o zewnętrzną oprawę rozmowy, do rozniesienia się pogłosek o której Cenedi mógł nie chcieć dopuścić.

– Dziękuję – odparł z wdzięcznością Bren i usiadł na krześle. Ochroniarz nalał im obu herbaty.

Cenedi go odprawił; wychodząc, ochroniarz zamknął za sobą drzwi. W świetle dwóch lamp naftowych wiszących na ścianie za biurkiem barczysta sylwetka Cenediego rzucała ogromne, nakładające się na siebie cienie; lampy kopały, od czego powietrze robiło się ciężkie, a Cenedi, oparty jednym łokciem na biurku, drugą ręką sięgał od czasu do czasu po filiżankę i przeglądał leżące przed nim papiery, jakby to one były powodem wezwania, a on zgubił ten jedyny potrzebny.

Wtem Cenedi spojrział prosto na Brena: łagodny błysk żółci, charakterystyczny uśmiezek na twarzy.

– Jak ci się siedzi tego wieczora, nand' paidhi? Lepiej?

– Lepiej. – Zaskoczyło go to i rozśmieszyło, co było oznaką nieco rozedrganych nerwów. Musiał wziąć się w garść. I to szybko.

– Jest tylko jeden sposób: przetrzymać to – rzekł Cenedi. – Straż wdowy współczuje ci, nand' paidhi. Śmieją się, ale my też cierpieliśmy. Nie myśl, że śmieją się z ciebie.

– Zapewniam cię, że wcale tak nie sądziłem.

– Masz niezły dosiad jak na początkującego. Rozumiem, że nie spędzasz czasu tylko za biurkiem.

Pochlebiło mu to, nie zmyliło jednak jego czujności po raz drugi.

– Jeśli tylko mi się udaje, jeżdżę w góry. Jakies dwa razy w roku.

– Wspinaczka?

– Narty.

– Próbowałem tego – rzekł Cenedi. Przerzucił jakieś papiery, wyrównał stertę. – Widziałem w telewizji. W Bergid próbują tego młodzi. Bez obrazy, ale wolałbym żywego instruktora niż zdjęcie w przemyconym katalogu i rady jakiegoś organizatora wypoczynku, jak nie skreć karku.

– To tak kończy moja poczta?

– O, jest na te rzeczy zbyt. Urząd pocztowy bardzo się stara. Czasami jednak coś przeoczy.

To o to chodzi? zapytał w myślach Bren. O kogoś, kto kradnie moją pocztę? Sprzedaje nielegalne katalogi?

– Jeśli zawieszysz mnie tej zimy w Bergid – rzekł – to z przyjemnością pokażę ci podstawy. To uczciwa wymiana za lekcje jazdy.

Cenedi osiągnął wreszcie w procesie porządkowania biurka sukces w postaci ułożonej sterty papierów.

– Chętnie, nand' paidhi. Z kilku powodów. Chciałbym namówić wdowę do powrotu do Shejidan. Malguri w zimie jest nie do zniesienia.

Wciąż nie poruszali głównego tematu. Kiedy jednak atevi prowadzili interesy, często kluczyli, ustalali ton. Atewskie dobre wychowanie.

– Może nam się uda – rzekł Bren. – Chciałbym.

Cenedi upił herbaty i odstawił filiżankę.

– Nie uprawiacie jeździectwa na Mospheirze.

– Nie. Nie ma mecheiti.

– Polujecie.

– Czasami.

– Na Mospheirze?

Czy teraz rozmawiają o broni? Czy to w tym kierunku zmierza rozmowa?

– Zdarzyło mi się kilka razy. Na małe zwierzęta. Bardzo małe.

– Ateva pamięta – powiedział Cenedi, jakby rzeczywiście mogli to pamiętać jacykolwiek żyjący atevi. – Czy Mospheira jest bardzo inna?

– Od Malguri? – Nie dawał się do końca zmylić. – Bardzo. Od Shejidan o wiele mniej.

– Podobno była dość piękna przed Wojną.

– Nadal taka jest. Mamy bardzo surowe przepisy – ochrona rzek, malowniczych krajobrazów. Zachowanie gatunków, które tam zastaliśmy.

Cenedi odchylił się na oparcie krzesła.

– Czy sądzisz, nadi, że nadejdzie czas, kiedy Mospheira otworzy się – na obie strony cieśniny?

– Mam nadzieję.

– Ale czy myślisz, że tak będzie, nand' paidhi?

Cenedi może dotarł do swego tematu, a może odszedł od sprawy broni po prostu po to, żeby Bren się odprężył. Nie potrafił tego ocenić i poczuł niepokój. Pytanie to dotyczyło spraw polityki, o których nie mógł się wypowiadać bez konsultacji. Nie chciał dać Cenediemu negatywnej odpowiedzi, skoro ten był uprzejmy. Mogłoby to udostępnić jego ciekawości całe nowe obszary.

– Taką mam nadzieję. Nie mogę powiedzieć nic więcej. – Łyknął gorącej herbaty. – Bardzo ciężko nad tym pracuję, ale żaden paidhi nie potrafi powiedzieć, kiedy to się stanie. O tym muszą zdecydować aijiin i prezydenci.

– Czy uważasz, że ten wywiad telewizyjny jest – jak wy to mówicie – krokiem we właściwym kierunku?

To o to chodzi? O reklamę? O kampanię Tabiniego mającą na celu wejście w patronat z Mospheirą?

– Szczerze mówiąc, nadi Cenedi, byłem rozczarowany. Nie sądzę, żebyśmy poruszyli jakies ważne tematy. Są rzeczy, o których chciałem mówić, a o które wcale mnie nie pytali.

Nie byłem pewien, co z tym potem zrobią. Martwiłem się, że mogą dołożyć do wywiadu coś, czego nie miałem na myśli.

- Rozumiem, że jest mowa o comiesięcznych programach. Paidhi do mas.
- Nie wiem. Na pewno nie decyduję o takich sprawach sam. Muszę się konsultować.
- Chcesz powiedzieć, że takie jest ludzkie prawo.
- Tak.
- Nie jesteś samodzielny.

– Nie. – Na samym początku atevi spodziewali się, że paidhiin będą podpisywali umowy i ich dotrzymywali, teraz jednak dwór w Shejidan nie żywił już tych błędnych przekonań. Bren nie sądził, by Cenedi o tym nie wiedział. – Chociaż w praktyce, nadi, paidhiin często mają ostatnie słowo. Po prostu nie obiecujemy tego, czego według nas nie przyjmie nasza rada. Chociaż sprzeczamy się z nią i czasami wygrywamy.

- Czy jesteś za następnymi wywiadami? Poprzesz ten pomysł?

Ilisidi była w wieku, kiedy żywi się konserwatywne poglądy. Prawdopodobnie nie podobały się jej kamery telewizyjne w Malguri, a co dopiero pomysł regularnych programów z paidhim. Potrafił sobie wyobrazić, co mogłaby powiedzieć Tabinemu.

– Nie wiem, za czym się opowiem. Może poczekam i zobaczę, jak atevim podobał się pierwszy wywiad. Czy chcą oglądać ludzką twarz, czy nie. Mogę przestraszyć dzieci.

Cenedi roześmiał się.

– Twoja twarz już się pojawiała w telewizji, nand' paidhi, przynajmniej oficjalne zdjęcia. „Paidhi omówił program budowy dróg z ministrem robót, paidhi wspomniał o zbliżającym się zwolnieniu ważnych informacji w dziedzinie mikroelektroniki...”

– Ale to nie był wywiad. I pokazywano tylko fotografię. Nie rozumiem, dlaczego ktoś chciałby usłyszeć, jak przez całą godzinę omawiam stosunkowe zalety mikroukładów.

– Tak, tyle że wasze mikroukłady działają według liczb. Mają taką złożoną geometrię. Hobbyści zalaliby nas telefonami. „Dajcie nam paidhiego. Niech opowie o liczbach”, mówiliby.

Początkowo nie był pewien, czy Cenedi nie żartuje. Kilka dni poza Bu-javid i człowiek już zapominał o żarliwości czy wręcz pasji numerologów. Uznał jednak, że to żart – żart w stylu Tabiniego, który lekceważył wyznawców i nie miał cierpliwości do komplikacji stwarzanych przez różne ich frakcje.

– Atevi mogą też uznać, że moje sugestie zawierają złośliwe liczby – rzekł Bren, skierowując rozmowę na poważniejsze tory. – Jak najwyraźniej niektórzy już sądzą. – I kolejne odwrócenie uwagi, skoro Cenedi nie śpieszy się z ujawnieniem swoich zamiarów. – Czy tym razem to też przepalony bezpiecznik, nadi?

– Chyba gdzieś powstało zwarcie. Przerywacz ciągle się zacina. Próbuja znaleźć przyczynę.

– Jakiś czas temu Jago wyszła, bo otrzymała od Banichiego jakąś denerwującą wiadomość. Zaniepokoiłem się, nadi. Podobnie jak twoim wezwaniem. Czy może wiesz, co się dzieje?

– Banichi pracuje z personelem zamku. Nie wiem, co mógł znaleźć, ale on jest bardzo wymagający. Jego podwładni rzeczywiście się śpieszą, kiedy ich o to prosi. – Cenedi pociągnął kolejny łyk herbaty, tym razem dość duży, i odstawił filiżankę. – Nie przejmowałbym się tym. Gdyby znalazł coś odbiegającego od normy, to zapewne by mnie zawiadomił. Z całą pewnością zrobiłby to, niezależnie od niego, personel zamku. Jeszcze herbaty, nadi?

Odwrócił uwagę Cenediego od celu rozmowy. Musiał wypić jeszcze jedną filiżankę.

– Dziękuję – rzekł i zaczął wstawać, żeby pod nieobecność służącego nalać sobie samemu, nie sugerując, że ma to zrobić Cenedi, lecz ateva powstrzymał go gestem, sięgnął długą ręką ponad biurkiem, podniósł dzbanek i nalał do obu filiżanek.

– Nadi, to osobista ciekawość, a nigdy nie miałem pod ręką paidhiego, żeby zapytać. Przez te wszystkie lata wyjawiacie nam tajemnice. Kiedy wam się skończą? I co wtedy zrobicie?

Dziwne, że nikt nigdy nie zapytał o to paidhiin tak wyraźnie – po tej stronie cieśniny, chociaż Bóg jeden wie, że na Mospheirze bardzo się tym martwiono.

I może rzeczywiście było to osobiste pytanie Cenediego, choć, czego Bren był pewien, na pewno nie to, na które chciał usłyszeć odpowiedź, wzywając go na dół. O coś takiego mógł zapytać bystry reporter, dziecko – ale nie polityczny wyga, taki jak Cenedi, a już na pewno nie oficjalnie.

Była to jednak w dużym stopniu kwestia, którą już zaczął delikatnie poruszać podczas technicznych spotkań, badając grunt, zaczynając, jak miał nadzieję, zmieniać postawy atevich, i wiedząc, że w niektórych dziedzinach nie będą mogli pójść dalej bez wdrożenia osiągnięć, którym od lat opierał się kapitał zainwestowany w innych dziedzinach.

– Wynalazki nie płyną przez cieśninę tylko w jednym kierunku, nadi. Bardzo często my uczymy się od waszych naukowców. Nie chcę powiedzieć, że od Łądowania stoimy w miejscu. Główne zasady zostały jednak wyłożone na stół sto lat temu. Nie jestem naukowcem, ale, tak jak ja to rozumiem, wciąż brakuje kroków pośrednich, rzeczy, które atewska nauka musi sobie przyswoić, zanim zasady w innych dziedzinach staną się jasne. Jest materiałoznawstwo. Jest przemysł konieczny do wspierania nauki. I edukacja, dzięki której nowe pokolenia będą mogły ją pojąć. Komisje wciąż dyskutują o kształcie kołnierzy w zbiornikach paliwa, podczas gdy nikt nie mówi uczniom, po co w ogóle są one potrzebne.

– Sądysz, że uczymy się powoli?

Ta pułapka była tak oczywista, jak dziura w podłodze. Owszem, spodziewali się, że atevi szybciej będą chwytać różne sprawy, mimo nieugiętych aijiin i komisji, które nie aprobowały danego procesu, dopóki nie zadyskutowały go na śmierć. Niewiarygodnie krótka ścieżka

wiodła do lotów i zaawansowanej metalurgii. Niewiarygodnie trudna droga – do wybudowania mostu tak, żeby wytrzymał nacisk pociągów towarowych.

– Uczycie się niezwykle szybko, i w nieskończoność dyskutujecie – odparł Bren.

Cenedi roześmiał się.

– A ludzie nad niczym nie dyskutują.

– Nie musimy tego robić, jeśli chodzi o technikę, nadi Cenedi. My ją mamy. Posługujemy się nią.

– Czy odnieśliście dzięki niej sukces?

Uważaj, pomyślał Bren. Uważaj. Wzruszył po atewiemu ramionami.

– Dobrze się czujemy w patronacie, który stworzyliśmy. Ostatnie tajemnice leżą potencjalnie na stole, nadi. Nie możemy tylko przekonać atewskich konserwatystów do przyjęcia ich zasadniczych elementów. Nasze tajemnice są pełne liczb. Nasze liczby opisują wszechświat. A jak wszechświat może być niepomysłny? Gubimy się, kiedy niektórzy z was twierdzą, że suma liczb może być niepomysłna. My potrafimy wierzyć jedynie w przyrodę. – Mówił do przełożonego ochrony Ilisidi, tej Ilisidi, która wybrała rezydencję w Malguri. Ilisidi, która polowała, by jeść, a zarazem wierzyła w konieczność istnienia smoketek. – Moim zdaniem, które nie jest zdaniem eksperta, nadi, z pewnością ktoś musiał tu dodać coś, czego przyroda nie uwzględniła w równaniach.

Na pewnym poziomie było to bardzo ryzykowne stwierdzenie. Z drugiej strony, Bren nie powiedział, którą z tuzina filozofii liczb, jakie znał z praktyki, gani, a którą popiera, choć, będąc człowiekiem, po prostu nie potrafił pojąć żadnej z nich. Osobiście chciałby wiedzieć, jakie stanowisko zajmuje sam Cenedi. Usta tamtego zacisnęły się w rzadkim u niego grymasie rozbawienia.

– A budowane przez was komputery potajemnie przydzielają niepomysłne cechy – rzekł kwaśno ateva. – Oraz zmieniają drogi gwiazd.

– Tego nigdy nie widziałem. Gwiazdy podążają tam, gdzie nakazuje im przyroda, nadi Cenedi. To samo odnosi się do powodów instalowania kołnierzy w komorach spalania.

– Czy jesteśmy zabobonnymi głupcami?

– Z całą pewnością nie. W tym świecie nie ma nic złego. Nie ma nic złego w Malguri. Nie ma nic złego w biegu spraw przed naszym przybyciem. Tylko że... jeśli atevi chcą wiedzieć to samo, co my...

– Liczenie liczb to szaleństwo?

Cenedi chciał, żeby Bren przyznał się do herezji. Poczul nagły strach przed ukrytym magnetofonem i równie wielką obawę przed skłamaniem Cenediemu, co zniweczyłoby pozory uprzejmości, zanim jeszcze Bren w pełni zrozumiał zasady gry.

– Dajemy atewim prawdziwe liczby, nadi, przysięgam, że tak jest. Liczby, które się sprawdzają, chociaż niektórzy w nie wątpią, nawet mając przed sobą dowody oferowane przez przyrodę.

– Niektórzy nawet bardziej wątpią w dobrą wolę ludzi niż w ich liczbę.

A więc Cenedi nie prowadzi zwykłej rozmowy towarzyskiej. Siedzieli w blasku lamp naftowych – a właściwie on siedział na terytorium Cenediego. Jego ochrona była gdzie indziej i z tego, co wiedział, nie miała pojęcia o jego położeniu, tej rozmowie i niebezpieczeństwie, w jakim się znalazł.

– Nadi, moi poprzednicy na tym stanowisku nigdy nie taili, skąd się tu wzięliśmy. Znaleźliśmy się w sąsiedztwie tej gwiazdy całkowicie przez przypadek i w kompletnej rozpaczy. Nie mieliśmy pojęcia o istnieniu atevich. Nie chcieliśmy umrzeć z głodu. Nasz sprzęt został uszkodzony. Wiedzieliśmy, że dla nas i, przyznając, dla was, opuszczenie stacji i wylądowanie na planecie wiąże się z ryzykiem, ale widzieliśmy, że atevi posunęli się już daleko na drodze technicznego rozwoju, podobnie jak my wcześniej. Sądzieliśmy, że nikogo nie skrzywdzimy. Sądzieliśmy, że miejsce naszego lądowania jest odległe od wszelkich patronatów – nie było tam żadnych budynków. To był pierwszy błąd.

– A jak sądzisz, która strona popełniła drugi?

Stąpali po cienkim lodzie. Nic z tego, o co zapytał Cenedi, nie było zakazane. Nic z tego, co mu odpowiedział, nie budziło kontrowersji – aż po samą granicę tej prawdy, jaką od ponad stu lat głosili paidhiin.

Przez ułamek sekundy Bren pomyślał jednak o mecheiti i atewskim rządzie, a Cenedi czekał – zbyt długo, pomyślał Bren, żeby mógł mu odmówić zdobycia punktu.

– Winą za Wojnę – rzekł – obarczam obie strony, ponieważ wysyłały niewłaściwe sygnały. Sądzieliśmy, że otrzymaliśmy zachętę do robienia rzeczy, które okazały się niewłaściwe, katastrofalnie niewłaściwe.

– Jaką zachętę?

– Sądzieliśmy, że zachęca się nas do zbliżenia, do traktowania się nawzajem jak... – Nie było takiego słowa. – ...coś znajomego. Po tym, jak zyskaliśmy jakąś nadzieję. Przystąpiliśmy do wojny, kiedy mieliśmy już obiecujące początki osady. Ludzie, którzy sądzą, że zostali oszukani, nie wierzą już w zapewnienia.

– Mówisz, że wy nie ponosicie winy.

– Mówię, że nie ponoszą jej też atevi. Głęboko w to wierzę.

Cenedi zabębnił palcami jednej ręki o biurko. Wydawało się, że się zastanawia.

– Sprowadził was tu wypadek. Czy to była pomyłka w liczbach?

Brenowi zaczęło brakować powietrza, może od lamp naftowych, może od lekkomyślnie podjętej dyskusji z bardzo dobrze przygotowanym partnerem.

– Nie wiemy – odparł. – A przynajmniej ja nie wiem. Nie jestem naukowcem.

– Ale czy wasze liczby nie opisują natury? Czy to był wypadek nadnaturalny?

– Nie sądzę, nadi. Może popsuły się jakieś urządzenia. Takie rzeczy się zdarzają. Kosmos to próżnia, ale jest tam pył, kamienie... To tak, jakby próbować określić, które z milionów pyłków kurzu można poruszyć oddechem.

– A więc wasze liczby nie są doskonałe.

Kolejna pułapka herezji.

– Nadi, inżynierowie posługują się przybliżeniami, a przyroda ich poprawia. My tylko przybliżamy się do przyrody. Nasze liczby funkcjonują dobrze i przyroda nie poprawia nas bez przerwy. Tylko czasami. Jesteśmy w tym dobrzy. Nie jesteśmy doskonali.

– A Wojna była jedną z tych niedoskonałości?

– Olbrzymią niedoskonałością. Potrafimy się jednak uczyć, nadi. Obraziłem Jago przynajmniej dwa razy, ale ona zachowywała cierpliwość, dopóki sam się nie domyśliłem. Banichi przysporzył mi ogromnego zmartwienia – ale wiem z całą pewnością, że nie wiedział, co robi, i nie przestaję sobie cenić kontaktów z nim. Prawdopodobnie wyrządziłem innym nieświadomie krzywdę, ale przynajmniej, nadi, nie gniewamy się na siebie i wiemy, że ta druga strona chce dobrze. Popęlamy wiele błędów... ale potrafimy zdobyć się na cierpliwość.

Cenedi siedział, wpatrując się w niego, a Bren, sam nie wiedząc, dlaczego, odniósł wrażenie, że stąpa po bardzo chwiejnym gruncie. Jeszcze jednak nie przegrał. Nie popełnił ostatecznego błędu. Chciałby wiedzieć, czy Banichi jest świadom, gdzie on teraz jest.

– A jednak – odezwał się Cenedi – ktoś stracił cierpliwość. Ktoś porwał się na twoje życie.

– Najwyraźniej.

– Domyślasz się, dlaczego?

– Nie mam pojęcia, nadi. Naprawdę nie wiem, ale zdaję sobie sprawę, że niektórzy po prostu nie lubią ludzi.

Cenedi wysunął szufladę i wyjął z niej zwój papieru opleciony czerwonymi i czarnymi wstążkami rodu aijiego.

Od Ilisidi, pomyślał z niepokojem Bren, kiedy Cenedi pchnął zwój przez blat biurka ku niemu. Rozwinął go i zobaczył znany charakter pisma.

Tabini.

„Posyłam ci do dyspozycji człowieka, ‘Sidi-ji. Zgłosiłem w jego imieniu Zamiar, w celu uchronienia go przed nieznanymi osobami, chociaż, jak sądzę, nie są one nieznanne Tobie, nie czynię Ci jednak zarzutów za podjęcie działań, które w nadzwyczajnej sytuacji być może uznałaś za konieczne”.

Co to jest? pomyślał Bren. Nagle czując, że zostało mu bardzo niewiele czasu, przeczytał jeszcze raz, usiłując zrozumieć, czy Tabini grozi Ilisidi, czy też mówi, że Ilisidi stała za atakiem na niego?

I Tabini go tu przysłał?

„Dlatego uwalniam Cię od tej niemiłej i niebezpiecznej konieczności, ‘Sidi-ji, moja ulubiona przeciwniczko, wiedząc, że inni być może działają przeciwko mnie powodowani

zawiścią lub chęcią zysku, lecz jedynie Ty konsekwentnie, z zasady przeciwstawiasz się Traktatowi i uczyniłaś z tego swoją politykę.

Ani ja, ani moi agenci nie będą przeszkadzali w badaniach czy też w rozporządzaniu przez ciebie osobą paidhi-aijiego w tej niezwykle niebezpiecznej sytuacji. Wymagam tylko, żebyś poinformowała mnie o swoich wnioskach, abyśmy mogli omówić możliwe rozwiązania i stojące przed nami wybory”.

Rozporządzanie osobą paidhiego? Tabini, Tabini, na litość boską, co ty mi robisz?

„Moi agenci otrzymali instrukcje, by pozostać na miejscu, lecz mają się nie mieszać do sprawy.

Tabini-aiji, z głębokim szacunkiem.

Do Ilisidi z Malguri, w Malguri, w prowincji Maidingi...”.

Ręce mu się trzęsły. Usiłował nad nimi zapanować. Przeczytał list dwa, trzy razy i nie znalazł żadnej innej możliwej interpretacji. To był charakter pisma Tabiniego. I jego pieczęć. Fałszerstwo było niemożliwe. W tym krótkim czasie, w którym trzymał dokument w ręku, starał się zapamiętać sformułowania, ale kaligraficznie wypisane litery rozplływały mu się przed oczami. Rozsądek próbował interweniować, wtrącając zawodowe, intelektualne wytłumaczenie, że Tabini jest atevą, że nie kieruje nim przyjaźń, że Tabini nawet nie potrafi pojąć znaczenia tego słowa...

Że na dłuższą metę Tabini musi działać w interesie atevich, i to jako ateva nie wykazujący ludzkich zachowań, które byłyby zrozumiałe dla Brena...

Rozum argumentował, że nie wolno mu tracić czasu na jakiegokolwiek uczucia ani na interpretację czegokolwiek według ludzkich zasad. Rozum argumentował, że Bren znalazł się w poważnych kłopotach, że został mu cień nadziei, ponieważ Banichi i Jago otrzymali polecenie pozostania na miejscu i że istnieje jeszcze bardziej szalona nadzieja, że Tabini być może został zmuszony do zdradzenia go i że zatrzymał tu Banichiego i Jago w określonym celu, szaleńczego i nieprawdopodobnego wybawienia...

Biorąc jednak pod uwagę, że Tabini w ogóle poczuł się zmuszony napisać taki list, wszystko to stanowiło bardzo niepewną i odległą możliwość.

A jeśli Tabini chce zaryzykować życie paidhiego, a razem z nim korzyści płynące z mospheirańskiej techniki, to można jedynie dojść do wniosku, że władza Tabiniego jest poważnie zagrożona.

Można też stwierdzić, że paidhi zupełnie nie rozumie sytuacji, w jakiej się znalazł.

Nie dawało mu to żadnej nadziei.

Bren oddał Cenediemu list, mając nadzieję, że ręce nie drżą mu tak wyraźnie, jakby mogły. Nie bał się. Uznał to za rzecz dziwną. Czuł tylko kulę w gardle i niemiły brak czucia w palcach.

– Nadi – odezwał się cicho. – Nie rozumiem. Czy to wy próbowaliście zabić mnie w Shejidan?

– Nie bezpośrednio. Zaprzeczenie też jednak nie służyłoby prawdzie.

Tabini uzbroił go wbrew postanowieniom traktatu. Cenedi zabił zabójcę na terenie posiadłości. Prawda?

Bren miał coraz większy zamęt w myślach.

– Gdzie jest Banichi? I Jago? Czy o tym wiedzą? Czy wiedzą, gdzie ja jestem?

– Wiedzą. Powiadam, że nie możemy się wyprzeć odpowiedzialności. Przyznam też jednak, że jesteśmy zażenowani działaniem towarzysza, który namówił licencjonowanego zawodowca do haniebnego czynu. Postępowanie jednej osoby powodowanej osobistymi przekonaniami postawiło Gildię w niezręcznej sytuacji. Ja sam postawiłem się w podobnej sytuacji przy wypadku z herbatą. Co więcej, przyjąłem moje przeprosiny, co wcale mi nie ułatwia obecnego zadania, nand' paidhi. Zapewniam cię, że w tej konfrontacji nie ma nic osobistego. Zrobię jednak wszystko, co uznam za stosowne, by w tych okolicznościach dowiedzieć się prawdy.

– W jakich okolicznościach?

– Nand' paidhi, czy kiedykolwiek wprowadzasz nas w błąd? Czy kiedykolwiek mówisz nam mniej – lub więcej – niż tylko prawdę?

Niebezpieczeństwo, w jakim znalazł się Bren, nie usprawiedliwiało wydawania pochopnych osądów ani wszczynania powierzchownych dyskusji o sprawach ostatecznych z osobą, której stopnia poinformowania lub zdezinformowania nie znał. Usiłował myśleć. Usiłował zachować absolutną ostrożność.

– Nadi, czasami mogę znać... jakiś drobny szczegół techniczny, obwód, sposób działania – czasem całą dziedzinę techniki – którego nie opisałem odpowiedniej komisji czy też nie przedstawiłem aijiemu. Nie znaczy to jednak, że nie zamierzam tego zrobić. Podobnie jak inni paidhiin, którzy nigdy nie ukrywali swej wiedzy. Nie ma takiej technologii, którą zamierzam przed wami ukrywać.

– Czy kiedykolwiek umieszczales przy współdziale Tabiniego dodatkowe liczby w transmisjach przekazywanych z Mospheiry na stację?

Boże.

– Zapytaj aijiego.

– Czy te liczby podsuwał ci aiji?

– Zapytaj jego.

Cenedi przejrzał kilka papierów, po czym znów podniósł wzrok. Jego ciemna twarz była bez wyrazu.

– Pytam ciebie, nand' paidhi. Czy te liczby podsuwał ci aiji?

– To sprawa Tabiniego, nie moja. – Miał zimne ręce. Poruszył palcami i usiłował udawać przed samym sobą, że ta debata nie jest poważniejsza od posiedzenia komisji, kiedy to, bardzo rzadko, pytania nabierały wysokiej temperatury i zaczynały padać bardzo szybko. – Jeśli Tabini-aiji przekazuje coś na Mospheirę, ja tłumaczę jego słowa dokładnie. Takie jest

moje zadanie. Nie reprezentowałbym niewłaściwie ani jego, ani Mospheiry. Na tym zasadza się moja prawość, nadi Cenedi. Nie kłamię żadnej ze stron.

Kolejna cisza, długa i pełna napięcia. Wśród murów zadudnił kolejny grzmot.

– Czy zawsze mówisz prawdę, nadi?

– Podczas takich kontaktów? Tak. Obu stronom.

– Chcę ci zadać kilka pytań w imieniu aiji-wdowy. Odpowiesz na nie?

Pułapka zamknęła się. Był to koszmar, którego bał się każdy paidhi, lecz jak dotąd żaden z nich się z nim nie zetknął, dopóki, niech Bóg ma go w swojej opiece, on sam w niego nie wdepnął, ufając atevim, mimo że nie potrafił im wytłumaczyć pojęcia zaufania, upierając się przy tym zaufaniu wbrew radom własnych doradców i obstając przy wierze w osobiste przywiązanie Tabiniego do siebie, tak niezłomnie, że nie zadzwonił do biura, kiedy miał wszelkie możliwe sygnały, że coś jest nie tak.

Gdyby Cenedi chciał teraz użyć siły... Znikąd pomocy. Gdyby Cenedi zażądał przysięgi, że nie istnieje spisek ludzi przeciwko atevim... Bren nie miał pojęcia, czy potrafi powstrzymać się przed powiedzeniem wszystkiego, co zechce usłyszeć Cenedi.

Nieznaczenie wzruszył po atewsku ramionami, poruszył ręką.

– Odpowiem najlepiej jak potrafię, o tyle, o ile sam znam odpowiedzi – rzekł.

– Ilu ludzi mieszka na Mospheirze?

– Około czterech milionów.

– Żadnych atevich.

– Żadnych atevich.

– Czy od czasu podpisania Traktatu odwiedzali ją jacykolwiek atevi?

– Nie, nadi. Nie odwiedzali. Poza załogami samolotów.

– Co sądzisz o pomysłe atewskiego paidhiego?

– Początkowo popieraliśmy go. Próbowaliśmy umieścić go w Traktacie jako warunek rozejmu, bo chcieliśmy lepiej zrozumieć atevich. Wiedzieliśmy, że zaszło nieporozumienie. Wiedzieliśmy, że jesteśmy częściowo odpowiedzialni za Wojnę. Atevi jednak odmówili. Gdyby teraz zmienili zdanie, poparłbym ten pomysł bez zastrzeżeń.

– Jako gatunek nie macie nic do ukrycia? Czy stała obecność atevy na Mospheirze i wpuszczanie go na posiedzenia waszych rad nie wzbudziłoby niechęci?

– Sądzę, że poznanie naszych obyczajów przez atevich byłoby bardzo korzystne. Popierałbym coś takiego. Żarliwie bym za tym argumentował.

– Już nie boicie się atewskich szpiegów.

– Mówiłem ci – nie mamy już tajemnic. Nie ma już czego szpiegować. Żyjemy bardzo podobnie do was. Mamy bardzo podobne udogodnienia. Nie potrafiłbyś odróżnić Adams Town od Shejidan.

– Nie?

– Jesteśmy bardzo podobni. I nie chodzi o to – dodał z rozmysłem – że to my wpływamy na was. Zapewniam cię, że uznaliśmy wiele waszych pomysłów za bardzo mądre. W pewnych sytuacjach czulibyście się zupełnie swobodnie. Nauczyliśmy się od was wielu rzeczy.

Wątpił, czy Cenedi w to uwierzył. Zobaczył, że marszczy twarz.

– Czy w związku z tajemnicami, które, jak mówisz, wyjawiliście, mógłby istnieć jakiś zastrzeżony obszar?

– Badania biologiczne. Genetyka. To ostatnia, najtrudniejsza dziedzina.

– Dlaczego ostatnia?

– Z powodu liczb. Jak przestrzeń kosmiczna. Rozmiary liczb. Istniała nadzieja, że komputery spotkają się z bardziej powszechną akceptacją u atevich. Komputery są potrzebne, nadi, nawet komuś tak biegłemu w matematyce jak wy. Wyznaję, że nie nadażam za wszystkimi wyliczeniami, które przeprowadzacie w pamięci, ale komputery są konieczne do przechowywania dokumentów, są niezbędne w takiej astronautyce i genetyce, jakie my praktykujemy.

– Wyznawcy liczb w to nie wierzą. Niektórzy mówią, że komputery są niepomyślne i zwodnicze.

– A niektórzy przyznają się do fascynacji nimi. Słyszałem, że pewni numerolodzy piszą programy... i krytykują nasze rozwiązania techniczne. Mają całkowitą rację. Nasi naukowcy są bardzo zainteresowani ich opiniami.

– Atewskimi wynalazkami.

– Jak najbardziej.

– A cóż takiego możemy wynaleźć? Ludzie wynaleźli już wszystko.

– O, nie, nadi, w żadnym wypadku. Wszechświat jest ogromny. A nasz statek przecież się zepsuł.

– Wystarczająco ogromny jest ten wszechświat?

Prawie powiedział, że poza wszelkimi obliczeniami. To jednak było herezją.

– Przynajmniej większy, niż sięga moja wiedza, nadi. Poza wszelkie granice, do jakich dotarliśmy w naszych statkach.

– Doprawdy? A do czego jest on potrzebny?

Czasami Bren stykał się z nową postawą u atevich. Było to zawsze zdumiewające.

– A do czego jest potrzebna ziemia, nadi? Do czego jest potrzebny cały świat – poza tym, że na nim żyjemy? To miejsce, w którym istniejemy, nadi. Potrzebny jest do naszej egzystencji. Są być może we wszechświecie miejsca ważniejsze, ale z naszego punktu widzenia liczy się tylko to.

– Wierzycie, że pewne rzeczy są niepoliczalne?

Znów pułapka herezji. Poszukał odpowiedzi nie do obalenia, wiedząc, że jeżeli na taśmie nagra się coś niewłaściwego, to ekstremiści będą go mieli w garści.

– Jeśli tylko człowiek potrafi je dostrzec, to jestem pewien, że umiałby je policzyć.

– Czy jest ktoś, kto potrafi dostrzec wszystko?

Jeszcze jedna sekta.

– Nie wiem, nadi. Ja na pewno nie jestem taką osobą.

Niech go diabli, jeśli Cenedi wierzy numerologom. Bren w żaden sposób nie mógł jednak odgadnąć, co Cenedi chce usłyszeć ze względów politycznych. Marzył, żeby te pytania już się skończyły.

– Jeszcze herbaty? – zapytał Cenedi.

– Dziękuję, nadi, jeszcze trochę mam.

– Czy podejrzewasz, że jestem twoim wrogiem?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że nim nie jesteś. Twoje towarzystwo sprawia mi przyjemność i mam nadzieję, że będę się nim cieszył w przyszłości.

– W moim stanowisku nie ma nic osobistego, nand' paidhi.

– Ufam w to. Nie wiem, czym mogłem cię obrazić. Na pewno nie świadomie.

– Zrozum, że oskarżenie nie dotyczy herezji. Dla mnie całe to liczenie to kompletna, prymitywna głupota.

– Taśmy można jednak montować.

– Telewizja też to potrafi – rzekł Cenedi. – Dostarczyłeś dzisiaj Tabiniemu mnóstwo materiału.

Telewizja? Zapomniał o niej, wstrząśnięty listem Tabiniego. Teraz jednak połączył jedno z drugim – wszystkie te osobiste, swobodne pytania o jego życie, o powiązania.

Oszukany przez jedyne go atevę, któremu całkowicie zawierzył, przez aijiego, w którego rękach spoczywały wszystkie umowy z ludzką cywilizacją.

Tabini uzbroidł go przeciwko zabójcom – a w świetle tego listu Bren nie mógłby przysiąc, że zabójcy nie działali z polecenia Tabiniego. Tabini dał mu broń, którą można było odnaleźć i ustalić jej właściciela po znakach na kulach.

Kiedy jednak Bren jej użył i kogoś zranił, Banichi dał mu inną. Tego nie rozumiał.

Choć może Banichi też wtedy nic nie rozumiał i działał powodowany lojalnością, nie będąc wprowadzony w intrygę. Wszystkie domysły Brena tworzyły błędne koło. A teraz pistolet Banichiego zniknął spod materaca – mogli sfotografować cokolwiek, podrzucić jakiś dowód, a numer seryjny umieścić później... Bren znał przynajmniej kilka sztuczek, których mogli użyć. Interesował się tym. Administracja kazała mu się tym zajmować, aż pękała mu głowa. Nie chciał wierzyć, że kiedykolwiek mu się to przyda.

Nie w przypadku Tabiniego. O, nie...

Nie w przypadku atevy, który mu się zwierzał, który ujawniał mu oficjalne tajemnice. Powodowany szacunkiem dla niego, Bren nie mógł ich przekazać na Mospheirę...

– Ilu ludzi mieszka na Mospheirze? – zapytał Cenedi.

– Już o to pytałeś, nadi. Około czterech milionów. Cztery miliony trzysta tysięcy.

– Dla pewności będziemy co pewien czas powtarzać pytania. Czy ten rachunek uwzględnia dzieci?

Potem padało pytanie za pytaniem: o poparcie dla kolei, o prawo weta wykorzystywane przez jego poprzednika, o elektrownie, o tamy, drogi i studia ekologiczne, o Mospheirę i o kontynent.

O połączenie lotnicze między wyspą i kontynentem, o system dróg na górzystej północy Mospheiry i w centrum wyspy. Nic, co byłoby utajnione. Nic, czego nie mogliby znaleźć w katalogach czy jego osobistej korespondencji, gdziekolwiek ona trafiała.

I prawdopodobnie dowiedzieli się o tym wszystkim z jego korespondencji na długo przed satelitami. Z katalogów wakacyjnych mogli ułożyć mospheirańską mozaikę dróg, miast, ulic, mogli sfotografować miasta na wybrzeżu, nad którymi regularnie przelatywały samoloty towarowe z Shejidan, zabierające w drodze powrotnej wyprodukowany przez ludzi sprzęt elektroniczny, tkaniny, leki i owoce morza.

– Czy masz licznych towarzyszy na Mospheirze, nadi? Jak się nazywają?

– Co zwykle robisz po powrocie na Mospheirę, nadi? Na pewno masz jakieś oficjalne zajęcia...?

– Miałeś w swoim pokoju pistolet, nadi. Co zamierzałeś z nim zrobić?

Do niczego się nie przyznawać, pomyślał Bren. To nie było przyjazne pytanie..

– Nic nie wiem o żadnym pistolecie.

– Przedmiot tej wielkości, pod twoim materacem.

– Nie wiem. Może pojawił się i zniknął tego samego dnia.

– Proszę cię, nadi, nie żartuj. To jest bardzo poważna sprawa.

– Jestem tego świadom. Zapewniam cię jednak, że go tu nie przywozłem i nie włożyłem pod materac.

– Pojawił się sam z siebie.

– Zapewne. Nie znam innej odpowiedzi. Na co miałby mi się przydać, nadi? Nie jestem dobrym strzelcem. Z pistoletem w dłoni nie stanowią żadnego zagrożenia, chyba że dla siebie i mebli.

– Nadi. Wiemy, że ta broń nie pochodzi z Malguri. Mamy jej rejestrację.

Odwrócił wzrok, spojrzął na podwójne cienie na ścianie. Może Tabini przegrał politycznie, co w jakiś sposób zmuszało go, by przekazać Brena rywalom. Bren nie wiedział, kogo broni, mówiąc o znikającym pistolecie – czy Tabiniego przed jego przeciwnikami, czy Banichiego przed sądem. A może zamiana broni przez Banichiego tak zaciemniła sprawę, że wszyscy sprawiali wrażenie winnych?

Nie miał jednak pojęcia, co się stało z pistoletem.

A jeśli chodzi o kłamstwo, to przyjął wersję oficjalną.

– Nadi – rzekł Cenedi. – Odpowiedz na pytanie.

– Sądziłem, że to jest stwierdzenie, nadi. Wybacz. Nie mam broni. Nie włożyłem jej pod materac. To wszystko, co mam do powiedzenia.

– Strzeliłeś do zabójcy w Shejidan, nand' paidhi.

– Nie. Ja podniosłem alarm. Strzelił Banichi, kiedy tamten zaczął uciekać.

– A zatem Banichi nie strzela tak celnie, jak mógłbym się spodziewać.

– Było ciemno, padał deszcz, a zabójca biegł.

– W pokoju byłeś tylko ty sam.

– Usłyszałem jakiś hałas. Zawołałem strażę.

– Banichi regularnie pilnuje twoich drzwi w nocy?

– Nie wiem, pewnie miał coś do załatwienia w pobliżu – może chodziło o jakąś damę.

Nie pytałem go.

– Kłamiesz, nadi. To nikomu nie pomaga.

– Tylko trzy osoby na świecie wiedzą, co się zdarzyło tamtej nocy: ja, Banichi i zabójca na balkonie, którym z pewnością nie byłeś ty, Cenedi-ji. Prawda?

– Nie. To nie jest sposób, jaki bym wybrał.

To był prawdopodobnie żart. Bren nie wiedział, czy tak ma go traktować. Bał się i był pewien, że Cenedi ma informacje ze źródeł, o których on nie wie. Cenedi miał jakąś teorię. A choć istniało prawo przeciwko porywaniu i przetrzymywaniu kogoś siłą, nic nie zakazywało Tabiniemu przysłać tu Brena.

– Nie masz pojęcia, skąd się tam wziął pistolet – rzekł Cenedi. – Stanowczo twierdzisz, że nie wiedziałeś o jego obecności.

– Właśnie tak.

Cenedi odchylił się na oparcie krzesła i przez bardzo długą chwilę patrzył na Brena.

– Dał ci go Banichi.

– Nie, nadi. Nic podobnego.

– Nand' paidhi, są pewne osoby znane wdowie, osoby blisko z nią związane, które weszły w patronat z Tabinim-aijim poprzez aiji-wdowę. One nie przyjmują tego kawałka papieru, tego Traktatu z Mospheirą. Kawałki papieru nie robią na nich żadnego wrażenia i, szczerze mówiąc, osoby te nie uważają zrzeczenia się Mospheiry ani za legalne, ani za obowiązujące.

To oni, pomyślał Bren z wewnętrznym dreszczem. Margines konserwatywny. Elementy nawołujące do ataków na plaże. Nie chciał w to uwierzyć.

– Otrzymaliśmy od nich zapytanie – ciągnął Cenedi. – W gruncie rzeczy ich wysłannicy przybyli do Malguri z żądaniem wydania ciebie, namawiając jednocześnie aiji-wdowę do całkowitego wycofania się z patronatu Tabinięgo. Twierdzą oni, że Traktat jest bezwartościowy. Że Tabini-aiji zmierza w niewłaściwym kierunku. Osiągnęliśmy kompromis. Oni potrzebują pewnych informacji, ja dałem do zrozumienia, że możemy je dla nich zdobyć, a oni nie zażądają wydania ciebie.

To był koszmar. Bren nie wiedział, od czego zacząć. Najważniejsze wydawało się określenie stanowiska Cenediego.

– Czy pracujesz dla aiji-wdowy, nadi?

– Zawsze. Bez wyjątku.

– A po której stronie ona stoi? Za, czy przeciwko Tabiniemu?

– Ona nie ma man'chi. Działa dla siebie samej.

– Żeby go zastąpić?

– To jedna z możliwości, nadi. Nie zrobiłaby niczego, co ogranicza jej niezależność.

Niczego, co ogranicza jej niezależność. Ilisidi przegrała wybory w hasdrawadzie. Dwa razy. Raz przed pięciu laty, na rzecz Tabiniego.

A Tabini musiał napisać ten list i wysłać do Ilisidi właśnie Brena?

– Czy dasz mi oświadczenia, których potrzebuję, nand' paidhi?

Odpowiedź nie była łatwa. Być może Tabini tak naprawdę go nie zdradził. Być może administracja Tabiniego się chwiała, a on nie wyczuł żadnych wstrząsów. Nie mógł w to uwierzyć, choć atewska polityka nieraz już zaskakiwała poprzednich paidhiin.

– Nand' paidhi – powiedział Cenedi. – Ci wysłannicy przybyli do Malguri, żeby cię zawieźć do ich władz. Jeśli im cię przekażę, to nie mówię, że cię nie odzyskamy – ale nie mogę obiecać, w jakim stanie. Oni mogliby posunąć swoje pytania o wiele dalej, zahaczając o technikę, broń i kosmiczne systemy wojskowe. My się tymi sprawami nie interesujemy i nie mamy żadnego powodu sądzić, że nie mówiłeś nam o nich prawdy. Proszę, żebyś się nie oszukiwał: to nie jest machimi i nikt nie zachowuje tajemnic przed zawodowcami. Jeśli dasz mi oświadczenie, którego potrzebuję i które obali Tabiniego, możemy pozostać w serdecznych stosunkach. Jeśli nie będę im mógł pokazać, że...

Umysł Brena pracował na najwyższych obrotach. Gubił niektóre słowa Cenediego, a to mogło okazać się katastrofalne.

– ...miał wyboru i będę musiał pozwolić im je uzyskać na własną rękę. Bardzo chciałbym cię przed tym uchronić, nand' paidhi. Jeszcze raz: kto strzelał?

– Banichi.

– Kto ci dał pistolet?

– Nikt mi nie dał pistoletu, nadi.

Cenedi westchnął i przycisnął jakiś przycisk. To nie jest historyczna pamiątka, zaprotestowała jakaś oderwana część umysłu Brena. Prawdopodobnie jednak w gabinecie Cenediego znajdowało się dużo więcej niehistorycznych rzeczy.

Czekali. Brenowi przyszło do głowy, że może się rozmyślić. Może dać Cenediemu to, czego chce, przejść na drugą stronę – ale miał słowo Cenediego... no i ten list... na dowód tego, co się naprawdę dzieje, a on w to nie wierzył, a w każdym razie nie całkowicie. Tabini zawsze był zbyt przebiegły, był zbyt wytrawnym politykiem, żeby dać się obalić bez oporu. Z

tego, co Bren wiedział, mógł być pionkiem, który Tabini wciąż uważa za swój. Na którym wciąż polega.

Głupi pomysł. Jeżeli Tabini chciał, żeby Bren odegrał w tym wszystkim jakąś aktywną rolę, jeśli nie miał tego listu brać poważnie, to Tabini mógł mu o tym powiedzieć, Banichi albo Jago mogli mu to powiedzieć – ktoś mógł mu powiedzieć, co, u diabła, ma dla nich zrobić.

A on mógłby wtedy zadzwonić do swego biura, co należało do jego obowiązków, i złożyć sprawozdanie.

Rozdział 10

Drzwi za jego plecami otworzyły się. Nie miał złudzeń co do ucieczki z Malguri – miejsca odległego od terytorium ludzkiego o pół kontynentu, bez telefonu i nikogo zaufanego oprócz Jago i Banichiego – ale to być może była jego szansa. Jednak pokonać dwóch silnych atevich, których sylwetki zamajaczyły nad nim i którzy położyli mu ręce na ramionach, kiedy wstawał z krzesła... To raczej nie sprawiało wrażenia rozsądnej szansy. Szczególnie, że ludzie sięgają atevim do piersi.

Cenedi rzucił mu spojrzenie i nic nie powiedział. Wyprowadzili go do mrocznego holu i wiedli w głąb drugiego skrzydła Malguri, poza znany mu teren, coraz dalej od frontowych drzwi. Jeżeli Cenedi mówił prawdę, to Banichi jest gdzieś na terenie posiadłości, pracując w miejscu, gdzie przewody elektryczne wchodzą do budynku. Mógłby do niego dotrzeć, a przynajmniej go zaalarmować, gdyby tylko udało mu się pokonać dwóch atevich – trzech, licząc Cenediego, a jego lepiej było liczyć.

I wyjść poza zasięg jego słuchu.

– Muszę iść do łazienki – powiedział, mocno rozstawiwszy nogi. Serce waliło mu jak młotem. To było głupie, ale po dwóch filiżankach herbaty także i prawdziwe. – Poczekajcie minutkę, muszę do łazienki...

– Łazienka – powiedział jeden z nich. Zaprowadzili go do pokoiku pod schodami, który zapewne znajdował się pod jego własną wygodką i był równie nowoczesny, jak ona.

Jeden ze strażników zamknął drzwi. Drugi trzymał się blisko Brena i stanął obok niego, kiedy ten robił to, po co tu przyszedł, a potem mył ręce i rozpaczliwie oceniał swoje szanse. Dużo już minęło czasu, od kiedy ostatnio zajmował się sztukami walki, od kiedy ćwiczył, a był pewien, że w przypadku strażników tego czasu minęło znacznie mniej. Wrócił do drzwi w nadziei, że ateva stojący przy nich popełni błąd i otworzy je przed nim. Pomylił się, więc ta chwila przejścia przez drzwi stanowiła jedyną i ostatnią szansę. Bren wbił łokieć w brzuch atewy po lewej, spróbował obrócić się, żeby kopnięciem odrzucić go od drzwi, i na ułamek

sekundy, zanim poczuł, jak jego nadgarstek i ramię zostają wykręcone tak, że grozi to złamaniem, zrozumiał, że znalazł się w kłopotach.

– Dobrze już, dobrze – wydyszał. Uderzył policzkiem w twardą, kamienną ścianę i przekonał się, że wciągnięcie powietrza, którego tak rozpaczliwie potrzebował, grozi złamaniem uwięzionego ramienia.

Potem było dużo ciężkich oddechów, ich i jego. Miejsce nie służyło skomplikowanym rozumowaniom na temat inny niż ból. Bren poczuł, jak nadgarstek coraz mocniej ściska mu sznur i kiedy jeden z atevich otworzył drzwi łazienki, jeszcze raz spróbował się uwolnić. Sznur, wykręcenie ręki i mocny chwyt stanowiły jednak argumenty nie do pokonania.

Szedł tam, dokąd go prowadzili, nie miał innego wyjścia. Krótki korytarz, kamienne schody oświetlone lampą, prowadzące na dół, do piwnicy, o której istnieniu w Malguri nie miał pojęcia.

– Chcę rozmawiać z Banichim – powiedział, zapierając się na górnym stopniu.

Przekonało go to, że strażnik nie miał pojęcia o kruchości ludzkich stawów i za chwilę naprawdę złamałby mu rękę. Spróbował postawić nogę na następnym stopniu, nie trafił, stracił równowagę, a strażnik i tak go popchnął, używając jako środka perswazji jego wykręconego ramienia. Bren w końcu poczuł własne stopy i z kilku następnych stopni zszedł o własnych siłach. Zamazane pole widzenia, rozmyta mgiełka światła padającego od jedynej lampy. Kamienne ściany, żadnych mebli oprócz tej samotnej wiszącej lampy naftowej, stołu i krzesła. Kamieniami wstrząsnął grzmot, nawet tak głęboko w skale sprawiając wrażenie ostatniego przesłania z zewnętrznego świata. Następne drzwi wychodziły na ciemny korytarz. Popchnęli go w jego kierunku.

Znikąd pomocy. Jeżeli Banichi nie jest w to w jakiś sposób zamieszany, to nie pomoże mu nikt. Stracił swoją szansę, usiłując walczyć wręcz z dwoma atevimi – ale jeśli udałoby się mu wyrwać, zanim go gdzieś zamkną – i gdyby mógł zatrzasnąć im przed nosem jakieś drzwi...

To nie była dobra szansa. To nie była żadna szansa. Bren był jednak zdesperowany, a oni poprowadzili go w bok, przez jakieś drzwi do ciemnej celi bez światła, jeśli nie liczyć blasku padającego z tego pomieszczenia z jedną lampą. Domyślił się, że mają zamiar go tam puścić, i przygotował się do ataku: chciał się schylić i spróbować ich wyminąć.

Mimo jednak że strażnik rozluźnił chwyt, to nadal trzymał koniec sznura i obrócił Brena jednym szarpnięciem. Przyparł człowieka do ściany, a jego kompan chwycił go za drugą rękę. Bren kopnął na oślep, za co zarobił od niechcienia w żołądek kolaniem, ponieważ atevi mieli zajęte ręce.

– Przestań – powiedział ten od kolana, podczas gdy Bren usiłował odzyskać oddech. – Dostyc tego, słyszysz?

Potem przewrócił go i wyprostował jedną rękę Brena wzdłuż metalowej sztaby, a drugi strażnik pociągnął jego drugą rękę w przeciwną stronę i przywiązał ją mocno sznurem, od nadgarstka po łokieć.

Przez większość czasu Bren wciąż usiłował odzyskać oddech. Cholerna kabała – tylko o tym w kółko potrafił myśleć, klasyczny ateński sposób radzenia sobie z kłopotliwą sytuacją, tyle że sztaba nie była przystosowana do przeciętnego wzrostu człowieka i Bren nie mógł ani oprzeć kolan o ziemię, ani podeprzeć się stopami. Cholernie niewygodne, pomyślał. Nie potrafił się z tego wyplątać żadnym sposobem, nie mógł nawet znaleźć miejsca dla kolan, żeby osłonić wrażliwe części ciała przed ciosami, jakich się spodziewał.

Oni jednak bez słowa odeszli, otrzepując sobie jedynie ręce i ubrania, jakby Bren uraził ich godność. Bał się, że zamkną drzwi i zostawią go w ciemności, ale tego nie zrobili, miał więc w zasięgu wzroku otwarte drzwi i oddalające się po podłodze korytarza cienie. Usłyszał odbijające się echem ich głosy – mówili, że chcą się czegoś napić, niczym robotnicy po skończonej pracy.

Usłyszał, jak wchodzi po schodach, a potem dobiegł go hałas zamykanych drzwi.

Potem zapadła cisza.

Na samym początku szkolenia powiedziano mu, że jeśli sytuacja kiedykolwiek stanie się tak dramatyczna, to na tym stanowisku wymaga się samobójstwa. Administracja nie chciała, żeby człowiek znajdujący się w rękach atevich zaczął sypać informacjami technicznymi – na samym początku było to poważne zmartwienie, bo atevi nie osiągnęli jeszcze politycznej stabilności, którą teraz utrzymywali od stu lat, a rywalizacja między patronatami stanowiła stałe zagrożenie dla Traktatu. Ach nie, coś takiego nie może się stać, nawet w najśmielszych przewidywaniach...

Wciąż jednak tego uczyli – Bren znał z tuzin bezbolesnych metod – i wciąż mówili, że jeśli nie ma innego wyjścia, to trzeba to zrobić, bo ratunek znikąd nie nadejdzie i nikt nie zaryzykuje pokoju, żeby go uwolnić.

Co prawda, oprócz politycznych informacji świadczących przeciwko Tabiniemu, Bren nie miał wiele do wyjawienia. Technika obecnie była tak wyspecjalizowana, że paidhi nie miał o niej pojęcia, dopóki nie został oświecony na Mospheirze, po czym tak długo pracował nad danym zagadnieniem, aż był w stanie wszystko sensownie przetłumaczyć i zostać zrozumianym przez ateńskich specjalistów. W żaden sposób nie mogli zmusić go biciem do wyjawienia tajemnic atomu, podobnie jak nie potrafił wyjaśnić techniki transświetlnej.

Nie mógł jednak też dopuścić, żeby wykorzystali go politycznie. Nie mógł wydawać oświadczeń, które byliby w stanie zredagować po swojemu i pozbawiać kontekstu, chyba że miałby na ciele ślady mówiące światu, że działał pod przymusem.

A on udzielił tego wywiadu – siedząc zupełnie spokojnie przed kamerami telewizyjnymi.

Pozwolił Cenediemu nagrać swoje odpowiedzi na taśmę, łącznie z tą cholerną odmową przyznania się do broni. Mieli wszystkie efekty wizualne i dźwiękowe, jakich mogli potrzebować.

Cholera, pomyślał. Zawalił sprawę. Zawalił ją i nie było jakiegokolwiek możliwości naprawy. Od tej chwili jego obowiązki przejęła Hanks. Szkoda, że nie ma kogoś lepszego, obdarzonego większą wyobraźnią, w ogóle kogoś, kto zdaje sobie sprawę, że Tabini nadal jest ich najlepszym sprzymierzeńcem.

Obalić Tabiniego, zastąpić go humanofobami, a jego samego Deaną Hanks – i całe dzieło kilku pokoleń pójdzie w diabły. Bren był o tym przekonany. A zwolennicy twardej linii wśród ludzi, którzy uważali, że zbyt się zaprzyjaźnił z Tabinim... Nie mieli racji, Bren nie chciał wierzyć, że mają rację; ale i tak będą to rozgłaszać z najwyższą przyjemnością.

Ironia tkwi w tym, że twarogłowi, frakcje żądające zniszczenia opozycji wszelkimi środkami, są podobne po obu stronach cieśniny. I nie można oddać sprawy w ich ręce.

Błędem było dać się zabrać spod nadzoru Cenediego. Bren był teraz o tym przekonany. Musi jakoś wytrzymać, dowiedzieć się, czy jest w to wplątany Banichi, czy może został uwięziony. Trzeba zmusić ich do sprowadzenia Cenediego, znaleźć posłuch u kogoś, kto uwzględni głos rozsądku.

Miał mnóstwo czasu na gonitwę myśli, miotających się między dziesiątkami planów.

Kiedy jednak zimno przeniknęło do kości, mięśnie zaczęły sztywnieć, a potem boleć – umysł znalazł sobie inne zajęcie oprócz planowania, jak naprawić to, co Bren zawalił. Umysł stwierdził, że ciało jest cholernie niewygodnie, że boli i że jest całkiem możliwe, że Bren nie wyjdzie z tej piwnicy, jeśli nie da tym atevim wszystkiego, czego chcą.

Nie może jednak tego zrobić. Nie może i nie chce. Nie wykonał swojej roboty nawet w połowie, bo inaczej by go tu nie było, ale nie zamierza jej skończyć, obalając Tabiniego.

To jedyna nadzieja, jaką ma, powtarzał sobie w kółko. Kiedy trzeba, z Tabiniego jest przebiegły sukinsyn. Niech go diabli, oddał kartę, której i tak musiałby się zrzec – wiedział, że ludzie nie będą walczyć o Breną, a nie mając w sobie nic ludzkiego, nie wiedział, co czuje człowiek. Dostał swój wywiad telewizyjny. Pokazał światu i ludziom, że Bren Cameron jest do niego nastawiony przychylnie – przemycił tę ekipę telewizyjną bardzo sprytnie i uzyskał ten kluczowy wywiad tuż przedtem, jak przeciwnicy wysłali swoich agentów z żądaniem do Ilisidi, która prawdopodobnie nie zadeklarowała się po żadnej ze stron i udaje neutralną.

Szach i mat.

Ależ w cholernej sytuacji postawił go Tabini! Serdeczne dzięki, pomyślał Bren. Serdeczne dzięki, Tabini.

Ale jesteś nam potrzebny. Od twojego utrzymania się u władzy zależy pokój. Wiesz, że zostanę zastąpiony. Dadzą ci nowiutkiego paidhiego, nową pozycję dla numerologów do rozgryzienia i deliberowania. Rzucasz nową kostką – dajesz im nową łamigłówkę i ludzi, którzy nie reagują tak, jak atevi.

Ty sukinsynu, Tabini-ji.

Czas wydawał się rozciągać w godziny. Przeszedł od przerażenia do bólu, nudy i potwornej niewygody zeszywniałych mięśni, ścierpiętych kończyn, zimnego metalu i zimnego kamienia. Już nie słyszał grzmotów. Nie mógł znaleźć takiego kąta oparcia dla nóg, od którego nie bolałyby go plecy, kolana albo ramiona, a i tak każda próba sprawiała mu ból.

W ciszy i ciemności wyobraźnia nie była niczym cennym. Za dużo telewizji, powiedziałby Banichi.

Ale Banichi albo zmienił skórę – co znaczyłoby, że jego man'chi zawsze było inne, niż sądził nawet Tabini – albo wylądował w takich samych tarapatach, jak on.

Największą nadzieją Brena było to, że przez drzwi wejdzie Banichi albo Jago i uwolni go, zanim przeciwnicy umieszczą jego przypadek na liście spraw do pilnego załatwienia. Być może ta zwłoka brała się właśnie stąd, że szukają Banichiego i Jago. To szybkie wyjście Jago, kiedy rozmawiał z nią po raz ostatni, i ta wiadomość od Banichiego – może Banichi coś zauważył i skontaktował się z nią, wiedząc, że sami muszą być wolni, jeżeli mają go potem oswobodzić...

To dobra intryga dla machimi, ale takie rzeczy się nie zdarzają. Coś takiego nie zdarzy się i teraz. Bren po prostu wisiał, czując ból w licznych nadwerężonych miejscach. W końcu usłyszał, jak otwierają się drzwi sąsiedniego pomieszczenia.

Na prowadzących do niego kamiennych stopniach rozległy się kroki – schodziły dwie albo trzy osoby, Bren nie był pewien, ale po chwili stwierdził, że są trzy: słyszał głosy, ale nie rozumiał, co mówią. Osiągnął pewien poziom panicznego strachu, uznając, że co ma się stać, stanie się teraz. Nikt jednak do niego nie przyszedł, więc Bren zaklął z rezygnacją i zwiesił bezwładnie głowę, co może na pięć minut uśmierzało ból szyi.

Wtem głosy osób, które, jak już uznał, miały zostać w sąsiednim pomieszczeniu, przeniosły się na korytarz, a kiedy podniósł wzrok, do celi wszedł cień – ktoś w mundurze straży, nie widział pod światło, ale w ciemności wypełniającej jego pole widzenia dostrzegał iskierki metalu.

– Dobry wieczór – powiedział do swego gościa. – A może jest już środek nocy?

Cień wyszedł, a nerwy Brena napięte do granicy bólu zaczęły drżeć, co uznał za ostatnie stadium przed paralizem nóg. Palce u rąk już miał bezwładne. Nie podobało mu się to. Miał nadzieję, że może to tylko zajrzał do niego strażnik i wszyscy zaraz odejdą.

Kroki wróciły. Uznał, że to chodzenie ma go przerazić, co, w połączeniu z bólem, doprowadziło go do wściekłości. Miał nadzieję, że wpadnie we wściekłość – dawno już stwierdził, że złość lepiej mu służy niż przerażenie.

Tym razem jednak przyszło ich więcej. Przynieśli ze sobą drewniane krzesło i magnetofon. Cienie rzucały własne cienie w nikłym świetle padającym od wejścia.

Magnetofon też rzucał cień, a kiedy jedna z postaci pochyliła się i nacisnęła przycisk, zapaliło się na nim czerwone światełko.

– Nagranie na żywo – powiedział Bren. Nie widział żadnego powodu do wyrozumiałości i pielęgnował swój gniew, choć znajdował się na granicy przerażenia. Powiedział sobie, że nie zasłużył na coś takiego – ani ze strony Tabiniego, ani ze strony Cenediego, ani Ilisidi. – A więc kim jesteś? Czego chcesz, nadi? Czegoś rozsądnego? Nie sędzę.

– Żadnego strachu? – zapytał cień. – Żadnej skruchy, żalu?

– A czego powinienem żałować, nadi? Zdania się na gościnność wdowy? Jeśli jej nadużyłem, to przepraszam, i chciałbym... wyjechać...

Jeden cień oddzielił się od innych, uniósł krzesło, obrócił je i usiadł z rękoma złożonymi na jego niskim oparciu.

– Skąd wzięłeś pistolet? – zapytał cień obcym głosem.

– Nie miałem żadnego pistoletu. Strzelił Banichi. Nie ja.

– Dlaczego Banichi miały się w to angażować? I dlaczego pistolet pojawił się w twoim łóżku?

– Nie mam pojęcia.

– Czy Banichi jeździł z tobą na Mospheirę?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek tam był?

– Nie. Za mojego życia żaden ateva nie odwiedził Mospheiry.

– Kłamiesz o tym pistolecie, prawda?

– Nie – odparł.

Powróciło drżenie w lewej nodze. Bren starał się zachować spokój i myśleć, a pytania padały jedno za drugim, co pewien czas wracając do sprawy pistoletu.

Skończyła się taśma i trzeba było ją wymienić. Drżenie nie ustawało. Szykowało się następne, w prawej ręce, więc Bren spróbował zmienić pozycję, żeby ją odciążyć.

– Co planujecie – padło następne pytanie, nagrywane już na nowej taśmie – w związku z przyszłymi dostawami surowców na Mospheirę? Dlaczego je zwiększyliście?

– Bo infrastruktura Mospheiry się zużywa. – Była to wygodna, uproszczona odpowiedź. – Potrzebujemy tych surowców. Mamy własne wymagania co do ich przetwarzania.

– A wasza własna baza raketowa?

To nie to samo pytanie. Serce na chwilę mu zamarło. Bren wiedział, że milczy za długo.

– Jaka baza raketowa?

– Wszystko wiemy. To wy daliście nam satelity. A może nie powinniśmy wiedzieć?

– Z szerokości geograficznej Mospheiry nie wystrzeliwuje się rakiet. Nie da się. To niepraktyczne.

– Możliwe. Praktyczne, jeżeli to wasza jedyna baza. A może z Mospheiry wypływają łodzie nie mające nic wspólnego z łowieniem ryb?

Jakie cholerne łodzie? zapytał w duchu Bren. Jeżeli coś w tym jest, to on o niczym nie wie. Nie wykluczał jednak takiej możliwości.

– Nie budujemy żadnej bazy raketowej, nadi, przysięgam. Jeśli tak jest, to paidhi nic o tym nie wie.

– Umieszczacie liczby w strumieniu danych. Popieracie sekciarskie debaty, żeby nas opóźnić. Najwyraźniej gromadzicie metale. Zwiększacie zamówienia na stal i złoto – dajecie nam przemysł i wymieniacie mikroukłady na grafit, tytan, aluminium, palad – pierwiastki, o których istnieniu nie wiedzieliśmy jeszcze sto lat temu, a teraz, dzięki wam, potrafimy je wykorzystywać. Teraz je importujecie – minerały, których nie ma na Mospheirze. Po co? Do czego ich używacie, jeśli nie do tego samego, czego nas nauczyliście, do budowy lekkich statków powietrznych, którymi się nie lata, do...

– Nie jestem inżynierem. Nie znam się na naszej produkcji. Wiem, że używamy tych pierwiastków w elektronice, do wyrobu stali o dużej wytrzymałości, dla przemysłu...

– I lekkich statków powietrznych? Łopatek turbin dla odrzutowców?

Potrząsnął głową. To nawyk z dzieciństwa, nic nie znaczący dla atevich. Znalazł się w poważnych kłopotach i nie mógł powiedzieć o podejrzeniach, które żywili atevi, komuś, kto powinien jak najszybciej o nich usłyszeć. Bał się, że w ogóle nie będzie miał szansy powiedzieć o nich komukolwiek, jeżeli nie udzieli temu mężczyźnie jakichś wiarygodnych, uspokajających odpowiedzi.

– Nie wątpię, że istnieją eksperymentalne statki powietrzne. Mamy tylko wyrysowane plany tego, co niegdyś istniało. Budujemy pojazdy próbne. Modele. Wypróbujemy to, co w naszym mniemaniu sami rozumiemy, zanim udzielimy rad, które doprowadzą jakiegoś atewę do wysadzenia się w powietrze. Nadi, znamy niebezpieczeństwa związane z paliwami raketowymi i systemami sterowania...

– Troszczycie się o nas.

– Zapewniam cię, nadi, że nie chcemy, żeby jakiś atewa wysadził w powietrze laboratorium albo spadł z nieba i żeby wszyscy mówili, że to nasza wina. Atevi winią programy. Wiele osób wini nas za samoloty, które nie podają rozkładu lotów, i ulice miast zawałone zbożem, bo minister rolnictwa myślał, że komputer wymyśla liczby – całe szczęście, że mamy programy próbne. Najpierw staramy się zapobiegać katastrofom, a potem prosimy, żebyście ryzykowali życie. To nie konspiracja, a zasady współistnienia!

– To coś więcej niż próby – powiedział prowadzący śledztwo. – Aiji dobrze sobie z tego zdaje sprawę. Prawda?

– Nie. Ja też sobie z tego nie zdaję sprawy. Nie ma żadnej bazy raketowej. Nic przed wami nie ukrywamy. Jeżeli buduje się statki powietrzne, to jest to program badawczy.

– Kto ci dał pistolet, nadi?

– Nikt mi nie dał żadnego pistoletu. Nawet nie wiem, że był pod moim materacem. Zapytaj Cenediego, skąd się tam wziął.

– Kto ci go dał, nadi-ji? Odpowiedz mi. Powiedz: Dał mi go aiji, a będziesz mógł wrócić do łóżka i więcej o tym nie myśleć.

– Nie wiem. Powiedziałem, że nie wiem.

Mężczyzna stojący najbliżej Brena wyciągnął pistolet. Bren zobaczył w prawie całkowitej ciemności lśnienie lufy. Mężczyzna przysunął się i Bren poczuł na twarzy zimny metal. Dobrze, pomyślał, tego przecież chcemy, prawda? Koniec pytań.

– Nand' paidhi – powiedział prowadzący śledztwo. – Mówisz, że Banichi strzelił do intruza w twoim mieszkaniu. Czy to prawda?

Po przekroczeniu pewnego punktu – do diabła z tą grą. Bren zamknął oczy i pomyślał o śniegu i niebie nad zimowymi stokami. O wietrze i o tym, że w zasięgu wzroku nie ma żywego ducha.

Jego myśli nie pobiegły ku Barb, i to było wiele mówiące. Jakby ten fakt miał jakiegokolwiek znaczenie! Stanowiło to jednak dziwne, bolesne odkrycie.

– Czy to prawda, nand' paidhi?

Postanowił nie odpowiadać. Pistolet zniknął. Mocna dłoń uniosła mu głowę i uderzyła nią o ścianę.

– Nand' paidhi. Tabini-aiji wyrzekł się ciebie. Oddał cię w nasze ręce. Czytałeś list. Prawda?

– Tak.

– Jakie ma dla ciebie znaczenie nasza polityka? Puść go, nadi. Puść go. Wyjdźcie. Wszyscy.

Mężczyzna go puścił. Nagle zmienili zasady. Pozostali wyszli pojedynczo, wpuszczając nieco światła, które wyodrębniało przynajmniej kontury twarzy atevy zadającego pytania, ale Bren chyba go nie znał. Zastanawiał się tylko, jaka będzie jego ostateczna propozycja i co takiego chce mu powiedzieć na osobności. Bren nie sądził, żeby mu się to spodobało.

Ateva wyłączył magnetofon. W celi zapadła bardzo długa cisza.

– Czy myślisz – odezwał się w końcu – że odważymy się teraz wypuścić cię, nand' paidhi, żebyś wrócił na Mospheirę? Z drugiej strony, gdybyś dostarczył aiji-wdowie dowodu pozwalającego usunąć aijiego, gdybyś opowiedział się po naszej stronie – bylibyśmy głupcami, przekazując cię bardziej radykalnym frakcjom istniejącym w ramach naszego patronatu.

– Cenedi mówił to samo. I przysłał mnie tu.

– My popieramy aiji-wdowę. Byłoby ci u nas bardzo wygodnie, nand' paidhi. W stosunkach patronatu z Mospheirą nie zmieniliby się nic ważnego – oprócz osób u władzy. Jeśli mówisz prawdę i nie masz informacji, które chcielibyśmy uzyskać, to potrafimy być rozsądni. Możemy to zaakceptować, o ile będziesz gotów dostarczać nam oświadczenie służące naszemu punktowi widzenia. Nie będzie cię to nic kosztowało. Utrzymasz się na swoim stanowisku, nand' paidhi. Wszystko to za prostą odpowiedź. Co ty na to? – Ateva

pochylił się, znów stając się jednolitą plamą cienia, i włączył magnetofon. – Kto ci dostarczył pistolet, nand' paidhi?

– Nigdy nie miałem żadnego pistoletu – odparł Bren. – Nie wiem, o czym mówisz.

Ateva wyłączył magnetofon, podniósł go, wstał i wyszedł. Bren zwiślał ze sztaby, trzęsąc się i myśląc, że właśnie zrobił z siebie kompletnego durnia, że Tabini nie zasługuje na tak wielką przysługę. Zadawał sobie pytanie, czy rzeczywiście ma szansę wyjść z tego żywy, zostać na stanowisku i wrócić do załatwiania spraw z Mospheirą, jakby nic się nie stało...

Akurat mu na to pozwolą... Zaufanie to słowo, którego nie da się przetłumaczyć. Atevi mieli za to czternaście słów na oznaczenie zdrady.

Spodziewał się, że wrócą strażnicy, może go zastrzelą, może zabiorą go gdzieś indziej, do tych mniej rozsądnych atevich, o których mówił jego rozmówca. Jeśli ma się potencjalnego informatora, to nie przekazuje się go rywalizującym frakcjom. Nie. To cały Cenedi. Cała wdowa. Ta sama gra, bez względu na strategię. Tyle że gra zrobiła się ostrzejsza. Cenedi ostrzegł go, że niektórzy nie wytrzymują.

Usłyszał, że ktoś wychodzi z pomieszczenia i idzie korytarzem, potem zamyka drzwi. Podczas długiej chwili ciszy Bren zadał sobie pytanie, jak bardzo zły obrót mogą przybrać sprawy – i znalazł na to paskudne odpowiedzi rodem z machimi. Nie chciał o tym myśleć. Oddychanie sprawiało mu teraz ból, ale nie czuł już nóg.

Dłuższy czas potem otworzyły się zewnętrzne drzwi. Znow ktoś schodził po kamiennych schodach. Bren słuchał jego kroków, oddychając szybko i płytko, co nie dawało mu wystarczającej ilości tlenu, patrzył, jak ciemniejszym korytarzem zbliżają się cienie i usiłował zachować przytomność umysłu. Znajdź jakiś punkt do negocjacji, powiedział sobie w duchu. Zajmij czymś tych drani, niech mówią. Graj na zwłokę, żeby Hanks, Tabini albo w ogóle ktoś zdążył coś zrobić.

Do celi weszli strażnicy. Był teraz całkiem pewien, że to podwładni Cenediego.

– Powiedźcie Cenediemu, że się zdecydowałem – odezwał się tak rzeczowo, jakby znajdował się we własnym biurze, a oni przyszli po wiadomość. – Może dojdziemy do porozumienia. Muszę z nim porozmawiać. Wolałbym rozmawiać z nim.

– To nie nasza sprawa – powiedział jeden z nich. Bren rozpoznał tę postawę, to oficjalne umycie rąk atewskiego urzędnika, który zajął stanowisko, zerwał negocjacje i polecił podwładnym opóźniać próby porozumienia. Oficjalnie. Cenedi mógł nie chcieć słyszeć o ich metodach. Bren nie uważał Cenediego za kogoś takiego; sądził, że będzie chciał wiedzieć, co robią jego podwładni.

– Jest pośrednie stanowisko – powiedział. – Powiedźcie mu, że jest z tego wyjście. – Cokolwiek, co spowoduje, że Cenedi pośle po niego.

Strażnicy mieli jednak inne rozkazy. Zaczęli odwiązywać mu ręce. A więc zabiorą go gdzieś indziej. O Boże, żeby tylko to było w zamku.

Czterech na niego jednego. Idiocyzm. Nogi nie funkcjonowały mu jak należy. Jedna stopa ścierpła. Nie mógł poruszać rękami. Spróbował wstać o własnych siłach, ale dwóch strażników podniosło go, podpierając mu plecy splecionymi rękami, żeby mógł stanąć na nogach, choć byłoby prościej, gdyby jeden z nich go po prostu zaniósł.

– Przepraszam – powiedział Bren. Kiedy wyprowadzali go z celi, jedna stopa odmawiała mu posłuszeństwa co kilka kroków i Brenowi zrobiło się głupio, że w ogóle otwierał usta – był tak cholernie przyzwyczajony do uprzejmości, które teraz wydawały się tak cholernie bezużyteczne. – Tylko powiedzcie Cenediemu – poprosił w korytarzu. – Dokąd idziemy?

– Po prostu idź, nand' paidhi. Mamy rozkaz z tobą nie rozmawiać.

Co oznaczało, że rozmawiać z nim nie będą. Nic mu nie byli winni. To, że odpłacali uprzejmością za uprzejmość, było pocieszające i świadczyło przynajmniej o tym, że nie żywią do niego osobistej urazy, ale poza tym nie znaczyło nic. Man'chi było wszystkim, lecz nie wiadomo, gdzie spoczywało ich man'chi.

Przynajmniej prowadzili go w górę, do holu. Bren miał nadzieję, że może będą przechodzić obok gabinetu Cenediego, i tak też się stało – drzwi jednak były zamknięte i nie wydostawało się spod nich światło. Cholera, pomyślał, jeszcze jedna nadzieja zawiedziona. Wstrząsnęło to resztkami świadomości Brena, ale jego myśli wciąż zbaczały w kierunku tego, co się dzieje, co może się stać, kim są ci atevi, a to akurat nie było ważne, ponieważ nic nie mógł na to poradzić. Mógł natomiast uporządkować pytania, które mu zadali, i postarać się przewidzieć, o co jeszcze mogą go pytać – tylko to może się na coś przydać. Nie powinien wierzyć, że uparte pytanie o broń jest ważne – być może chcą, żeby skupił się na tej kwestii, podczas gdy oni będą po kawałeczku wyciągać z niego to, co naprawdę wie... dopóki nie określą granic jego wiedzy i ewentualnej jego przydatności.

Nie istniała żadna cholerna baza raketowa. To było najstraszniejsze pytanie, a oni nie mieli racji, nie mogli mieć racji – żadną miarą nie mógł sobie wyobrazić takiej bazy na Mospheirze. Jeśli natomiast chodzi o gromadzenie zapasów, to mieli dane handlowe. Na ten temat nie mógł kłamać. Atevi w końcu nauczyli się od swoich nauczycieli: wiedzieli, że ludzie gromadzą materiały potrzebne w pewnych dziedzinach, i jeśli będą zadawać właściwe pytania oraz stosować właściwe narkotyki, to Bren może im powiedzieć o wiele za dużo. Cenedi powiedział to samo, co mówili jego przełożeni: nie będzie żadnym bohaterem, chyba że wymyśli jeszcze lepsze kłamstwo od tego, które już wymyślił na poczekaniu, i będzie się go trzymał.

Boże, jedyna nadzieja w tym, że ich najważniejszym celem jest powiązanie tego pistoletu z Tabinim, a nie ta cała reszta. Nie mogli przecież pokonać Tabiniego, to niemożliwe, i wciąż pytać o to, o co pytają...

On jednak nie może im już nic więcej powiedzieć.

Nie może. Nie odważy się. Nie może brać udziału w tej niebezpiecznej grze. Musi posługiwać się głową, która w tej chwili wcale nie jest tak sprawna. Był obolały, a myśli

rozbiegały mu się przy najmniejszym rozluźnieniu uwagi, zatrzymując się na kwestiach tego, co może się zdarzyć, co on może zrobić, a czego mu nie wolno, i jaki może mieć wybór.

Prowadzili go obok kuchni, a potem korytarzem do schodów, co do których miał kiedyś podejrzenie, że mogą być zabezpieczone przed niepowołanymi osobami – do tylnych schodów Ilisidi, jej apartamentu i jej skrzydła fortecy, zupełnie odizolowanych od reszty Malguri.

– Banichi! – krzyknął Bren, kiedy zaczęli wchodzić na schody. Strażnicy wzmocnili chwyt. – Banichi! Tano! Ratunku!

Szarpnął się, żeby wszystkich zrzucić ze schodów, i chwycił ręką poręcz. Jeden ze strażników objął go ramieniem, pozbawiając tchu, i oderwał od balustrady, a drugi tymczasem odzyskał równowagę.

– Banichi! – krzyczał, aż zdarł sobie gardło; nie był jednak na tyle silny, żeby się im wyrwać, skoro mieli się już na baczności. Wwindowali go po schodach, przeciągnęli przez korytarz i wnieśli przez masywne drzwi do apartamentu Ilisidi.

Grube drzwi. Dźwiękoszczelne. U Ilisidi pachniało kwiatami, płonącym drewnem i naftą do lamp. Nie było już sensu się wyrwać. Bren odzyskał oddech i starał się iść o własnych siłach – dawał się prowadzić bez oporu, bo i tak nikt już go nie mógł usłyszeć – po wypastowanej drewnianej podłodze i antycznych dywanach, obok delikatnych mebli, bezcennych dzieł sztuki i, jak wszędzie w Malguri, wypchanych łbów zwierząt. Niektóre z tych gatunków były już wymarłe, wybite do ostatniego osobnika.

Z trudem łapiąc oddech, Bren poczuł czysty, zimny zapach przesyconego deszczem powietrza. Gdzieś były otwarte okna albo drzwi na balkon, wpuszczając wiatr na pokoje, z których bardziej odległe były pograżone w cieniu. Nie paliły się lampy, powietrze robiło się coraz zimniejsze, aż w końcu przeszli przez ciemny salon, który pamiętał, i wyszli na omiatany zimnym wiatrem balkon.

Stał tam w ciemności nakryty stół, a przy nim siedziała, jedząc grzanki z herbatą, ciemna postać o włosach przetykanych siwizną, ubrana w ciepłe szaty. Ilisidi, siedząca nad wczesnym śniadaniem, podniosła wzrok na wchodzących i, co Brenowi wydało się pełnym szaleństwem, machnęła w kierunku pustego krzesła. Lodowate podmuchy szarpały koronkowym obrusem.

– Dzień dobry, nand' paidhi – przywitała go. – Siadaj. Jakie masz śliczne włosy. Same się kręcą?

Padł na krzesło, do którego doprowadzili go strażnicy. Warkocz kompletnie mu się rozplótł. Włosy fruwały na wietrze, który porywał parę znad filiżanki Ilisidi. Strażnicy stanęli za jego krzesłem, a służący wdowy nalał mu herbaty. Wiatr, który nadlatywał znad pograżonego w mroku jeziora, od gór, porwał parę także z filiżanki Brena, przesywając go chłodem do szpiku kości. Na najniższych przełęczach pokazała się leciutka czerwień świtu.

– To godzina duchów – odezwała się Ilisidi. – Wierzysz w nie?

Zaczerpnął szybki, zimny haust powietrza – pozbierał kawałki swego rozsądku... i zaskoczył.

– Wierzę w powinność spełnianą bez nagrody, nand’ wdowo. Wierzę w zdradę i zaproszenia, których człowiek nie powinien pochopnie przyjmować. Wejdz na mój statek, rzekła dama do rybaka. – Ujął filiżankę trzęsącą się ręką. Herbata rozlała się, parząc go w palce, ale doniósł naczynie do ust i pociągnął ostrożnie łyk. Poczuł tylko słodycz. – To nie napar Cenediego. Jakie efekty wywołuje tym razem?

– Jaki dumny młodzian. Słyszałam, że lubisz słodycze. Słyszysz dzwon?

Słyszał. To pewnie pława dzwonowa gdzieś na jeziorze.

– Kiedy wieje wiatr, niesie ze sobą jego dźwięk – rzekła Ilisidi, jeszcze szczerzej owijając się w swoje szaty. – Ostrzega przed skałami. Wpadliśmy na ten pomysł na długo wcześniej, nim pojawiliście się ze swoimi darami.

– Nie wątpię. Atevi wynaleźli tyle rzeczy przed naszym przybyciem.

– Wasz statek się rozbił, tak? Wciąż podtrzymujecie tę historię? Nie było żadnych pław dzwonowych?

– Za daleko od zwykłych tras – odparł i pociągnął jeszcze jeden, rozgrzewający łyk. Ostry wiatr przenikał mu przez koszulę i spodnie. Tak bardzo dygotał, że znów oblał sobie palce gorącym płynem, odstawił więc filiżankę na stół. – Poza zasięgiem naszych map. Za daleko, żeby zobaczyć znajome gwiazdy.

– Ale wystarczająco blisko do naszej.

– W końcu tak. Kiedy byliśmy zdesperowani. – Dzwonienie to rozlegało się, to cichło, zależnie od kaprysów wiatru. – Nigdy nie chcieliśmy nikomu zrobić krzywdy, nand’ dowager. To wciąż jest prawda.

– Rzeczywiście?

– Kiedy Tabini przysłał mnie do ciebie, powiedział, że będzie potrzebował wszystkich moich zdolności dyplomatycznych. Wtedy nie rozumiałem, o co mu chodzi. Myślałem, że jego babka jest po prostu trudna w kontaktach.

Twarz Ilisidi nic nie wyrażała, nic, co ludzkie oczy mogłyby dostrzec w nikłym świetle poranka. Możliwe jednak, że ją to rozbawiło. Ilisidi często bawiły takie dziwne rzeczy. Być może, że zimno przeniknęło już do samego mózgu Brena, a może to skutki herbaty: stwierdził, że jakoś nie bardzo się jej boi.

– Czy zechciałabyś mi powiedzieć – odezwał się, podnosząc głos z powodu wiatru – czego chcesz? Bazy raketowe na Mospheirze to stek bzdur. Nieodpowiednia szerokość geograficzna. Podobnie bzdurny jest pomysł ze statkami wypływającymi do innych miejsc. Czy zatem aresztowanie mnie to po prostu sprawa polityczna, czy coś innego?

– Moje oczy nie są już takie, jak dawniej. Kiedy byłam w twoim wieku, widziałam waszą stację na orbicie. Potrafisz ją stąd dojrzeć?

Zwrócił głowę ku słońcu, ku górom, szukając nad ich szczytami gwiazdy, która nie migoce, gwiazdy lśniącej odbitym światłem słońca.

Zobaczył zamglony obraz. Stacja wydawała się zniekształcona, więc Bren spojrzął na sąsiednie ciemniejsze gwiazdy. Niebo było jeszcze na tyle ciemne, że widział je bez żadnego kłopotu. Żadne elektryczne światła nie zaćmiewały świtu miejską poświatą.

Ale kiedy patrzył przez dłuższą chwilę na stację, wciąż widział tę deformację, jakby – przestraszył się tej myśli – odchyliła się od swojej zwykłej płaszczyzny, zmieniając zarys z okręgu na elipsę.

Może to widać główny maszt? Czyżby stacja tak radykalnie odchyliła się od pionu?

Przez głowę przemykały mu rozmaite logiczne wyjaśnienia: stacja jest w gorszym stanie, niż sądzili, może spowodowała to jakaś burza na słońcu, a Mospheira mogła przesyłać instrukcje, usiłując ją uratować. To na pewno zwróciłoby uwagę atevich – mają odpowiednio silne urządzenia optyczne.

Może obluzowała się jakaś bateria słoneczna i odbija światło. Stacja co kilka minut wykonywała obrót. Jeśli coś się obluzowało, to powinno pojawiać się i znikać.

– No i co, nand' paidhi?

Wstał z krzesła i patrzył na stację, starając się nie mrugać oczyma, tak długo, aż zaczęły go piec od podmuchów wiatru, który przenikał jego ubranie niczym nóż.

Nic się jednak nie zmieniało, nie znikało. Małe nieregularności utrzymywała się z tej samej strony stacji, która miała wirować wokół swej osi... coraz wolniej z biegiem wieków, zgodnie z prawami entropii, ale...

Ale, pomyślał, mój Boże, nie za mego życia. Stacja nie miała się rozpaść, chyba że w wyniku jakiegoś wszechobejmującego astronomicznego kataklizmu...

A wtedy by tak nie wisiała – chyba że to naprawę jest maszt...

Postąpił krok w kierunku balkonu. Ręce atevich chwyciły go za ramiona i zatrzymały, ale Bren nie chciał rzucić się z murów Malguri, a jedynie jak najdalej odejść od nikłego światła docierającego z dalej położonych pokoi. Wciąż nie rozumiał, co widzi. Jego umysł wciąż usiłował zinterpretować nowy obraz stacji.

– To coś pojawiło się osiem dni temu i połączyło ze stacją – odezwała się Ilisidi.

Pojawiło się.

Połączyło ze stacją.

O mój Boże, mój Boże...

Rozdział 11

– Transmisje między Mospheirą i stacją są bardzo częste – rzekła Ilisidi. – Wyjaśnij to, nand' paidhi. Co widzisz?

– To statek. Nasz statek – a przynajmniej jakiś statek...

Mówił we własnym języku. Nie czuł nóg. Nie sądził, że potrafi zrobić choć jeden krok – dobrze, że strażnicy chwycili go za ramiona i doholowali do bezpiecznego stołu.

Nie pozwolili mu jednak usiąść. Obrócili go twarzą do Ilisidi i tak przytrzymali.

– Niektórzy nazywają to zdradą, nand' paidhi. Jak ty to nazywasz?

Osiem dni temu. Nagły powrót z Tabinim z posiadłości w Taiben. Odcięcie go od poczty. Ciągła obecność Banichiego i Jago.

– Nand' paidhi? Powiedz mi, co widzisz.

– Statek – udało mu się to powiedzieć w ich języku. Był przemarznięty do szpiku kości i gdyby nie podtrzymawały go silne atewskie ręce, to by upadł. Było mu tak trudno złapać oddech, że ledwo mówił. – To statek, który nas tu zostawił, aiji-mai, nic innego nie przychodzi mi do głowy.

– Wielu z nas przychodzi do głowy mnóstwo innych rzeczy, nand' paidhi – rzekła Ilisidi.

– Jak sądzisz, o czym rozmawia ten domniemany statek z twoimi rodakami po drugiej stronie cieśniny? Czy myślisz, że zajmujemy w tych rozmowach jakiekolwiek miejsce?

Zadrzał i znów spojrział na niebo, myśląc, że to niemożliwe... Popatrzył na Ilisidi, stanowiącą na tle porannego nieba plamę ciemności rozjaśnioną jedynie siwizną jej włosów i gniewem płonącym w oczach.

– Naprawdę nie rozumiem, aiji-mai. Nie wiedziałem, że coś takiego się stało. Nikt się tego nie spodziewał. Nikt mi nie powiedział.

– O, trochę trudno uwierzyć, paidhi-ji, że nikt o tym nie wiedział i że to zjawisko na naszym niebie jest dla ciebie takim całkowitym zaskoczeniem.

– Proszę. – Nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Krew nie dopływała do dłoni. Z tego, co wiedział, wdowa mogłaby kazać strażnikom zrzucić go z balkonu w atewskim geście dumy i rozpocząć wojnę, której świat nie mógłby wygrać, wojnę, której paidhiin mieli zapobiegać. – Nand’ wdowo, mówię prawdę. Nie spodziewałem się tego. Wiem jednak, dlaczego tu jest. Wiem rzeczy, które chciałybyś poznać.

– Czyżby? A paidhiin są tylko tłumaczami.

– Oraz ludźmi, aiji-mai. Wiem, co się tam w górze dzieje, tak jak wiem, co ludzie robili w przeszłości i czego chcą na przyszłość – nie planują niczego, co mogłoby wam zaszkodzić.

– Jak nie zaszkodziła nam stacja. Jak nie zaszkodziło nam wasze przybycie, wasze mieszanie się do naszych spraw, zdominowanie naszego handlu, nauki i rządów. Doprowadziliście nas do wytworzenia techniki, która wam była potrzebna, użyczyliście nam przemysłu, który wam się przydawał, nagięliście nasze potrzeby do waszych programów, pchnęliście nas w przyszłość telewizji, komputerów i satelitów, które zaczynamy kochać i na których zaczynamy polegać – a zapominamy o naszej przeszłości, naszych prawach i o drodze, którą poszlibyśmy, gdybyśmy wykorzystywali nasze własne zasoby. Nie jesteśmy tacy głupi, nand’ paidhi, nie jesteśmy tacy głupi, żeby sprowadzić na siebie zagładę, która, jak twierdziliście, groziła nam bez waszej pomocy, nie jesteśmy tacy głupi, żeby wierzyć, że nie dostarczamy wam materiałów, z których robicie własny użytek, nie działając według żadnego ustalonego z nami planu. Tabini bardzo w ciebie wierzył – ja bardzo w ciebie wierzył. Kiedy zrozumiał, co się stało, przysłał cię do mnie jako do osoby wciąż myślącej rozsądnie, osoby, która nie spędziła życia w Shejidan, oglądając telewizję i trwając w samozachwycie. Powiedz mi więc prawdę, nand’ paidhi! Daj mi swoje gwarancje! Powiedz mi, dlaczego wszystkie inne kłamstwa są usprawiedliwione i dlaczego ta prawda na naszym niebie jest dla nas dobra?!

Podmuchy wiatru były równie zimne, jak gniew Ilisidi. To wszystko była prawda, Bren wiedział o tym tak samo, jak znał niepisaną prawdę o swoich kontaktach z atevimi – że paidhiin robili, co w ich mocy w niesprzyjającej sytuacji, utrzymując pokój nie do utrzymania między zwykłymi członkami ich gatunków, ratując to, co prawie całkowicie zniszczyli – sprawy takie, jak otaczająca go teraz rzeczywistość: stare kamienie, jezioro, porządek życia w atewskiej fortecy odległej od nieba i gwiazd, których nie mógł stąd osiągnąć. Podniósł wzrok na tę prawdę i wszystko rozmazało mu się w oczach. Wiatr nie dawał mu żadnych wskazówek co do kierunku, gdzie jest góra, a gdzie dół, czy spada w niebo, czy też stoi na kamieniach, których nie czuje. Bał się – był przerażony tą obecnością ludzi w górze tak samo jak atevi – i nie rozumiał dlaczego.

– Aiji-mai, nie mogę powiedzieć, że dobrze się stało, po prostu się stało i jeśli mnie zabijesz, wcale nie poprawi to sytuacji. Mospheira tego nie zaplanowała. Owszem, ukierunkowaliśmy waszą technikę – chcieliśmy wrócić w kosmos, aiji-mai, sami nie dysponowaliśmy odpowiednimi środkami, nasz sprzęt był na wpół zniszczony i nie sądziliśmy, że statek jeszcze istnieje. Przybywając tu na dół, podjęliśmy ryzyko – była to

katastrofa i dla nas, i dla was. Od dwustu lat pracujemy, żeby tam wrócić, i nigdy nie chcieliśmy zniszczyć atevich, a jedynie dać wam tę samą wolność, jakiej pragniemy dla siebie.

– Cholernie ładnie z waszej strony. A zapytaliście?

– Byliśmy naiwni. Z naszego punktu widzenia nie mieliśmy jednak wyboru ani sposobu opuszczenia was, kiedy już wylądowaliśmy. Łatwiej jest spaść na planetę, niż z niej odlecieć. Była to nasza świadoma decyzja, aiji-mai, ale sądziliśmy, że znajdziemy drogę powrotną w kosmos i weźmiemy atevich ze sobą. Nigdy nie mieliśmy zamiaru prowadzić wojny – nie chcieliśmy wam niczego zabierać...

– Baji-naji, nand' paidhi. Los ma ludzką twarz, a bękart Przypadek prostytuuje się po pijanemu na waszych ulicach. Puśćcie go, nadiin. Niech idzie, gdzie chce. Jeśli chcesz pojechać do miasteczka, nand' paidhi, to może cię zawieźć samochód.

Bren zamrugał oczyma i zatoczył się, oszołomiony nagłą wolnością, która o mało nie powaliła go na kolana. Nie upadł tylko dzięki temu, że podtrzymali go strażnicy. Uwolnienie go i odesłanie z Malguri było w stylu innych szalonych wyczynów Ilisidi.

Bren jednak nie wiedział, czy dotarłby na lotnisko. Ilisidi nie obiecała mu niczego poza swobodą opuszczenia Malguri. Nie powiedziała, że chce, żeby stąd odszedł – w uszach ciągle mu dźwięczało: „jeśli chcesz pojechać...”. Przedtem też dawała mu szalone sygnały, rzucając wyzwanie, by się jej trzymał, co u atevich znaczyło: idź za mną, jeśli starcza ci odwagi.

Strząsnął z siebie ręce strażników i postąpił chwiejnie do przodu, by chwycić się krzesła stojącego przy stole. Atevi wyciągnęli broń, szczęknęły bezpieczniki. Bren odsunął krzesło i osunął się na nie. Było mu zbyt zimno, żeby czuć pod rękoma szkło przykryte koronkowym obrusem, a zachwiane poczucie równowagi sprawiało, że wąski balkon kołysał mu się przed oczyma.

– Tabini przysłał mnie tutaj – odezwał się. – Aiji-mai, twój wnuk nie dowierzał własnemu osądowi, więc przysłał mnie, polegając na twoim. Zatem i ja na nim polegam. Co mam zrobić?

Bardzo długą chwilę patrzyła na niego – cień okutany szatami, nieczuły na chłód. Brenowi było zbyt zimno, żeby dygotać. Wzdrygał się jedynie od podmuchów wiatru i kulił ramiona. Doskonale wiedział, co robi. Doskonale wiedział, że podsuwając mu możliwość ucieczki, Ilisidi rzuciła mu wyzwanie – a biorąc pod uwagę wszystko, czego się dowiedział o niej i o atevich, miał niezachwianą pewność, że gdyby wziął ją za słowo i skorzystał z propozycji, to Ilisidi spisałaby na straty i jego, i wszystkich innych ludzi.

– W obliczu zagrożenia życia – odezwała się w końcu Ilisidi – nie chciałeś złożyć prostego oświadczenia przeciwko mojemu wnukowi. Odmówiłeś, mimo że cierpiełeś ból. Co dla człowieka znaczy man'chi?

– Wszystko. – Nagle stało się to dla niego oślepiająco jasne. – Oparcie. Zrozumienie, kim jestem i gdzie stoję. Jeśli Tabini-aiji mnie tu przysłał, to polegał na twoim osądzie mojej osoby, całej sytuacji, mojej przydatności dla niego.

Kolejna długa chwila ciszy.

– Jestem staromodna. Niepraktyczna. Nie doceniam nowoczesnego świata. Czegóż może ode mnie chcieć mój wnuk?

– Najwyraźniej – odparł Bren i jednak znalazł w sobie wystarczająco dużo energii, by zacząć dygotać – najwyraźniej nauczył się cenić twoje zdanie.

Usta Ilisidi zacisnęły się w twardą linię. Zakrzywioną do góry.

– W Maidingi czekają atevi, którzy spodziewają się, że im ciebie wydam, a właściwie tego żądają – atevi, którzy w przeciwieństwie do mojego wnuka polegają na mnie. Twój wybór pozostania tu jest mądry. Jak jednak powinnam usprawiedliwić wobec nich fakt zatrzymania cię, nadi?

Dreszcze przybrały na sile. Bren potrząsnął głową, chciał coś odpowiedzieć, nie był pewien, czy Ilisidi oczekuje odpowiedzi. Krawędź słońca rzuciła nagle na góry po drugiej stronie jeziora ostre, płonące złote blaski.

– Ten młodzieniec jest przemarznięty – rzekła Ilisidi. – Zaprowadźcie go do środka. Gorąca herbata. Śniadanie. Nie wiem, kiedy będzie następne.

Kiedy będzie następne? Chciał usłyszeć jakieś wyjaśnienie, ale ochrona Ilisidi wyłuskała go z krzesła – atevi, których znał i którzy znali jego, a nie ci, co przyprowadzili go z dołu. Nie potrafił wstać o własnych siłach. Nie potrafił iść, nie potykając się, bo stawy zeszywniały mu z zimna.

– Mój apartament – zaprotestował. – Chcę porozmawiać z Banichim. Albo z Jago.

Ilisidi nic na tę prośbę nie powiedziała i strażnicy wyprowadzili Brena z balkonu w nieruchome powietrze komnaty, trzymając za ramiona, wiedli go między antykami i delikatnymi stolikami – otworzyli drzwi do pokoju oświetlonego blaskiem ognia płonącego na kominku, zapewne gabinetu Ilisidi, sądząc po wszędzie leżących książkach i papierach. Podprowadzili Brena do krzesła stojącego przed kominkiem, owinęli kocem i posadzili skulonego, żeby grzał się w nie dającej ciepła wełnie. Dołożyli do ognia, posyłając do komina roje iskier, a Bren wciąż był odrętwiały z zimna, ledwo czując ciepło na podeszwach swoich wysokich butów.

Jakiś ruch w przedpokoju zwrócił jego uwagę. To obserwował go w milczeniu Cenedi. Jak długo tam był, Bren nie miał pojęcia. Oddał mu spojrzenie, niejasno zdając sobie sprawę, że Cenedi razem z Ilisidi uzyskali od niego przyzwolenie – a to właśnie Cenedi urządził cały ten cholerny teatr cieni.

Ateva skinął tylko głową, jakby zobaczył to, co chciał zobaczyć i wyszedł bez słowa.

Bren zadrżał z gniewu i ciasniej owinął się kocem, żeby to ukryć. W pokoju został jeden ze strażników Ilisidi – Bren pamiętał, że nazywa się Giri – który poprawiał ogień na kominku. Giri spojrzął na niego z ukosa.

– Jest jeszcze jeden koc, nadi – powiedział, po czym wstał w ponurym milczeniu, przyniósł koc i narzucił go Brenowi na ramiona. – Chudzi szybciej przemarzają. Chcesz herbaty, nand' paidhi? Podać śniadanie?

– Nie. Dosyć herbaty. Dziękuję. – Obecność Cenediego źle wpłynęła na żołądek Brena. Wytłumaczył sobie, że Cenedi mógł mu wyrządzić o wiele większą krzywdę – mógł wyrzucić taką presję, że Bren wyznałby wszystko, czego Cenedi sobie życzył. Właściwie Cenedi oddał mu chyba przysługę, wyciągając z niego tylko to, co mu było potrzebne.

Mając jednak ręce poznaczone sinymi śladami atewskich palców, Bren nie mógł być tak wielkoduszny. Nie zostało mu wiele godności. Jedną ręką niezdarnie skręcił sobie włosy na karku, żeby choć trochę je uporządkować – chciał je zapleść, ale wykręcona ręka odmówiła mu posłuszeństwa, a poza tym cały się trząsnął. Był zły i obolały, a jego oszołomiony mózg nie wiedział, kogo za to winić: przecież nie Cenediego czy Ilisidi ani nawet Tabiniego, który miał wszelkie powody, by podejrzewać ludzi, skoro nad głową miał dowód ich kosmicznych przedsięwzięć, a jego własny rząd chwiał się w posadach.

Podczas gdy paidhi udzielał telewizyjnych wywiadów i rozmawiał z turystami, którzy nie powiedzieli o tym ani słowa.

Jego biuro prawdopodobnie rozgrzewało telefony do czerwoności, usiłując się z nim skontaktować, ale służba informacyjna atewich znajdowała się pod kontrolą. Nic, co miało taką wagę, nie oglądało światła dziennego bez zezwolenia Tabiniego ani w jego, ani w innych Patronatach. Atewskie pojęcie priorytetów, praw publicznych i obowiązków aijiin związanych z opieką nad społeczeństwem miało pierwszeństwo przed demokracją.

Turyści być może rzeczywiście nic nie wiedzieli, jeśli przez kilka dni nie mieli dostępu do telewizora. Nawet ekipa telewizyjna mogła nic nie wiedzieć. Dysydenci, którzy musieli zbliżyć się do Ilisidi jako do rywalki Tabiniego... oni na pewno mieli swoich informatorów w hasdrawadzie, jako że atewskie patronaty nie miały granic geograficznych. Na pewno chcieliby dotrzeć do paidhiego i do posiadanych przez niego informacji. Dotrzeć szybko i za wszelką cenę.

Może rywalizujące z Tabinim frakcje chciały uciszyć Brena, sądząc, że znają charakter jego rad, choć nawet ich nie słyszały.

A może chciały czegoś innego. Może nie było żadnej próby zabójstwa paidhiego – może chcieli go porwać, żeby dowiedzieć się, co w zaistniałej sytuacji powiedziałby człowiek i jakie by to miało znaczenie dla ich położenia, jeszcze zanim Tabini podejmie działania, których nie potrafiliby ocenić.

Tabini zarządził szybki i wcześniejszy powrót z Taiben – po tym, jak uzbroił Brena przeciwko jak najbardziej logicznym działaniom osób, do których i tak zamierzał go wysłać?

Czy wtargnięcie do jego sypialni w ogóle było prawdziwe, czy też zaaranżował je sam Tabini, by mieć odpowiedni pretekst?

I dlaczego ktoś o randze Banichiego akurat znalazł się tamtej nocy w jego skrzydle pałacu? Kucharze i urzędnicy nie zasługiwali na służbowe zainteresowanie Banichiego. To jego pokój był pilnowany, bo Tabini już został poinformowany o wydarzeniach na niebie.

Lecz czy ktoś z doświadczeniem Banichiego pozwoliłby pilnowanej przez siebie osobie spać przy otwartej kracie i drzwiach do ogrodu?

Wszystko się zamazało. Brenowi spotniały dłonie i nagle ogarnął go gniew na te wszystkie gierki. Uwierzył Cenediemu. Uwierzył, że kiedy w piwnicy przytknięto mu do głowy pistolet, sprawa jest poważna – przekonali go, że za chwilę umrze i w takiej chwili, cholera, spodziewałby się, że pomyśli o Barb, o matce, Tobym czy jakimś innym człowieku, ale tak nie było. Oni zmuszają go do przeżycia tej niepokojącej, osobistej chwili prawdy, a on nie znajduje u siebie żadnych szlachetnych uczuć czy choćby ludzkich reakcji. Potrafił tylko zobaczyć ośnieżone stoki i niebo, potrafił sobie jedynie wyobrazić samotność – tylko śnieg, niebo i mróz tam, gdzie zwykle szukał samotności, gdzie uciekał przed pracą i rodziną, która wymagała od niego, by poświęcał jej swój czas. Zmusili go do ujżenia tej właśnie prawdy: nie ma w sobie ani jednej ciepłej, ludzkiej myśli, odrobiny miłości, ludzkich uczuć...

Poderwał rękę do twarzy w ostatniej chwili, by zdążyć ukryć cieknące po niej łzy. Natychmiast wytłumaczył sobie, że to nerwy, psychiczne załamanie po kryzysie – to przynajmniej była ludzka reakcja, jeżeli w ogóle coś, co robił, było ludzkie czy naturalne, jeżeli nie było na zimno wyliczonym posunięciem.

– Nadi – Wokół niego krążył z niepokojem Giri. Bren nie znał Giriego. Giri nie znał Brena. Giri zobaczył tylko, że paidhi dziwnie się zachowuje, a wdowa nie chciała, żeby umarł, bo był jej potrzebny.

Dobrze, że jest jeszcze komuś potrzebny.

Wytał oczy, odchylił głowę na oparcie krzesła i przybrał obojętny wyraz twarzy, przecinając w wyobraźni prowadzące do niej nerwy. Oddychał coraz wolniej, aż mógł zaprezentować światu kamienny spokój na wzór Banichiego czy Tabiniego.

– Czy coś cię boli, nand' paidhi? Potrzebujesz lekarza?

Bezradność Giriego była śmieszna, tak szaleńczo, histerycznie śmieszna, że Bren po prostu nie wytrzymał. Parsknął zduszonym śmiechem, opanował się i wytarł oczy po raz drugi.

– Nie – odpowiedział, zanim Giri zdążył uciec. – Nie, do cholery, nie potrzebuję lekarza. Nic mi nie jest. Jestem tylko zmęczony.

Zamknął oczy, ucinając rozmowę, poczuł, że ciekną mu z nich łzy, ale nie uchylił powiek, tylko starał się spokojnie oddychać, wciągany w długą, długą spiralę bólu głowy, ciepła ognia i braku tlenu, która kończyła się gdzieś w niepewnej ciemności. Usłyszał w oddali kilka splatających się głosów, rozmawiających prawdopodobnie o nim. Dlaczego nie, do cholery? zapytał się w duchu.

Zwykle zdrajcami byli służący, tacy jak Djinana i Maigi, Tano i Algini. Jednak wśród łopotu chorągwi, brzęku broni i dymu unoszącego się ze strzaskanych budowli zmieniały się wszelkie zasady. Rozpętywało się piekło. A może to była telewizja. Machimi i teatr cieni.

Krew na tarasie, powiedziała Jago, wracając z deszczu, a w lustrze pojawiła się twarz Banichiego.

Po północy, kiedy wszyscy spali, korytarzami Malguri chodził zwierz, szukając swojej głowy. Był tym cholernie rozzłoszczony.

To mój pistolet, powiedział Banichi, i tak było. Bren został wykorzystany, Banichi został wykorzystany, Jago została wykorzystana – wszyscy zostali wykorzystani na wszelkie sposoby. To wszystko było machimi i zwykli atevi też nie wiedzieli, o co idzie ta gra – zwykli atevi nigdy nie rozumieli waśni między ludźmi, którzy musieli zostać na stacji, a tymi, którzy zabrali statek i zniknęli na dwieście przeklętych, spędzonych na planecie lat...

Wypadli z dziury w przestrzeni i nie znaleźli ani jednej znanej sobie gwiazdy, za to tysiące słońc na trzepoczących sztandarach atevich, sztandarach oznaczających wojnę, oznajmiających prawo własności do świata, który rozbitkom wydawał się jedyną szansą na życie w wolności.

Bren spoczywał nieruchomo na krześle, wsłuchując się w trzask ognia, cierpiąc kolejne nawroty bólu głowy, wyczerpany emocjonalnie i fizycznie. Ponieważ trochę już się rozgrzał, odczuwał ból w dziesiątkach miejsc, ale nie tak dotkliwy, jak kiedy się ruszał.

Gildia Pilotów postanowiła, że trzeba zbudować stację, która będzie ich bazą i udać się w poszukiwaniu materiałów w kierunku najbliższej odpowiedniej gwiazdy. Do diabła z technikami i budowlańcami nie należącymi do załogi statku. Każde dziecko na Mospheirze znało tę historię. Każde dziecko wiedziało, jak „Feniks” ich zdradził i dlaczego „Feniks” nie odgrywa w ich życiu żadnej roli. Wśród gwiazd czas płynie powoli, a życie nie mija tak, jak powinno – zupełnie jak w tych opowieściach o człowieku, który, nic o tym nie wiedząc, przespał sto lat.

Bren nie był pewien, czy to historia atewska, czy ludzka.

Kury i jajka. Nie ośmiela się zabić paidhiego. No bo jak inaczej dowiedzą się tego, czego chcą się dowiedzieć?

– Bren-ji.

Błyskawicznie wrócił myślami do piwnicy, otaczających go cieni i dotyku zimnego metalu na skroni. Nie. To tylko muśnięcie policzka.

– Bren-ji.

Ponowny dotyk. Bren zamrugał oczyma na widok czarnej, żółtookiej twarzy, twarzy pełnej ciepła i troski.

– Jago!

– Bren-ji, Bren-ji, musisz opuścić tę prowincję. Do Maidingi przybyły pewne osoby, kierując się plotkami – te same osoby, które podjęły działania przeciwko tobie. Musimy cię

natychmiast stąd wydostać – dla twojego i ich dobra. Zbyt wiele niewinnych osób, Bren-ji. Otrzymaliśmy informacje od aiji-wdowy, od jej atevich działających wewnątrz rebelii... Niektórzy z nich posłuchają jej rozkazów, inni z tej grupy nie. Zbuntowali się aijiin dwóch prowincji; wysłali drogą oddziały, by zabrały cię z Malguri. – Wierzchem palców musnęła jego policzek po raz trzeci, paraliżując go swym żółtym wzrokiem. – Zatrzymamy ich wszelkimi dostępnymi środkami. Polegaj na Ilisidi. Dołączymy do ciebie, kiedy będziemy mogli.

– Jago?

– Muszę iść. Naprawdę, Bren-ji.

Usiłował ją zatrzymać, żeby zapytać o Banichiego i co miała na myśli, mówiąc „zatrzymamy ich”, lecz Jago wyswobodziła palce z jego dłoni i zniknęła za drzwiami, kołysząc czarnym warkoczem.

Niepokój zmusił go do wstania. Dały o sobie znać nadwreżone stawy i ból głowy, na podółku miał pełno koców, a po oszołomionym i wyczerpanym mózgu objęły się z grzechotem słowa Jago.

Zatrzymać ich? Zatrzymać hołotę atakującą Malguri? Jak, do diabła?

I po co? Czy to jeszcze jedno cholerne złudzenie, Jago? A może tym razem to rzeczywistość?

Niewinne osoby, powiedziała Jago.

Osoby, które chciały go zabić? Niewinne?

Po prostu przerażone osoby, bo wiadomość o tym, co się pojawiło na niebie, zaczęła się już rozchodzić. W Malguri wciąż palono na kominkach i zapalano świece. Na okolicznych terenach nie było lamp. Mieszkańcy miast nie spędzali czasu na dachach swoich domów, wpatrując się w stację, której w miejskiej poświacie nie było widać bez teleskopu, ale jedna czwarta okręgu Maidingi nie miała światła i zwykli atevi mogli teraz zobaczyć to, co astronomowie i entuzjaści astronomii widzieli przez teleskopy od kilku dni.

Teraz zaczynała się panika, strach przed lądowaniem, plotki o ataku na planetę ze strony wrogów będących poza zasięgiem atevich.

Nie mając żadnego komunikatu z biura paidhiego, za co mieli wziąć to zjawisko, jak nie za wznowienie Wojny, za kolejną inwazję, kolejne, jeszcze gwałtowniejsze narzucenie światu ludzkich zasad? Mieli już doświadczenie z ludźmi szukającymi punktu zaczepienia na ich terytorium.

Bren tkwił zagubiony w środku koszmaru. Zdał sobie sprawę, że strażnicy Ilisidi obserwują go z niepokojem. Nie wiedział, co robić, nie wiedział nic poza tym, że paidhi jest jedynym, absolutnie jedynym głosem, mogącym reprezentować interesy atevich wobec władz na Mospheirze i tego statku w górze.

Żadnych kontaktów, upierała się Gildia, lecz ta zasada padła przy pierwszej konfrontacji. Żeby wymóc na stacji umowę, jakiej chcieli, żeby zdobyć środki umożliwiające poszukiwanie Ziemi, członkowie Gildii poddali się i zezwolili na pierwsze zrzuty personelu i sprzętu.

A po dwustu latach od Wojny Lądowania wszyscy ludzie na ziemi znali tylko ten świat, sposób życia, do którego przywykli oraz sąsiadów, na których zrozumienie, z dystansu, wreszcie mieli nadzieję.

Cholera, pomyślał Bren, zły, wręcz wściekły na to orbitalne wtargnięcie. Nie sądził, żeby rozmowy Mospheiry ze statkiem były szczególnie radosne.

Wzajemne oskarżenia. Oskarżenia, na które jego biuro potrafiłoby odpowiedzieć z pewną stanowczością. Kiedy jednak „Feniks” zapyta: no to gdzie jest ten tłumacz, gdzie jest paidhi-aiji, co on o tym sądzi i dlaczego nie możemy go znaleźć? – to co odpowie Mospheira? Przepraszamy, ale nie wiemy?

Przepraszamy, ale nigdy dotąd go nie zgubiliśmy?

A czy biuro Komisji, wiedząc to, co wie, nie mogłoby się domyślić, że w obliczu zaistniałej sytuacji powinno zadzwonić do jego biura w Shejidan? Albo, jeśli nie otrzymałoby połączenia, nie mogłoby się domyślić, że Bren ma kłopoty, że atevi wiedzą, co się dzieje, i że mogą go gdzieś przesłuchiwać?

Cholera jasna, Hanks na pewno o tym wiedziała. Deana „Zniszczyć Opozycję Wszelkimi Środkami” Hanks podejmuje w jego imieniu decyzje na Mospheirze, bo on jest nieosiągalny.

Potrzebował telefonu, radia, czegokolwiek.

– Muszę porozmawiać o tym statku z moją ochroną – powiedział. – Proszę, nadiin, czy możecie posłać kogoś po Jago czy Banichiego... po kogokolwiek z mojego personelu? Chciałbym porozmawiać z Cenedim. Albo wdową.

– Obawiam się, że nie, nand’ paidhi. Sprawy toczą się teraz bardzo szybko. Ktoś poszedł po twój kaftan i cieplejsze ubranie. Jeśli zechciałbyś zjeść śniadanie...

– Mój kaftan. Dokąd się wybieramy, nadiin? I kiedy? Muszę się dostać do telefonu albo radia. Muszę się skontaktować z moim biurem. Jest bardzo ważne, żeby wiedzieli, że nic mi się nie stało. Ktoś mógłby podjąć bardzo głupie, bardzo niebezpieczne działania, nadiin!

– Możemy przedstawić twoją prośbę Cenediemu – rzekł Giri. – Tymczasem jest już gorąca woda, nand’ paidhi. Herbata może być gotowa w każdej chwili. Czeka śniadanie. Szczerze radzimy, żebyś je zjadł teraz. Prosimy cię, nand’ paidhi. Osobiście przekażę twoją prośbę Cenediemu.

Nie uzyska niczego więcej. Znów ogarnął go chłód, nagły atak zimna i osłabienia, który powiedział mu, że Giri dobrze mu radzi. Bren poszedł na spotkanie z Cenedim przed kolacją. Żołądek przysechł mu do kręgosłupa.

A jeśli czekali z gorącą wodą i śniadaniem od jego spotkania z Ilisidi, to znaczy, że nie będą się jak zwykle guzdrali z podaniem go.

– Dobrze – zgodził się Bren. – Śniadanie. Ale powiedz wdowie!

Giri zniknął. Jego miejsce zajął drugi strażnik, a Bren wrócił do kominka. Włosy znów wymknęły mu się z warkocza i spadały luźno na ramiona. Ubranie miał pobrudzone piwnicznym kurzem. Koszula była rozdarta z przodu – pewnie stało się to podczas próby ucieczki. Nie była to najlepsza reklama ludzkości. Otaczający go atevi, mimo tego, że też się nie wyspali, wyglądali na odpornych na brud i zmęczenie, mieli nienagannie zaplecione warkocze i trzymali się prosto jak trzcina. Bren uniósł tym razem obie ręce, krzywiąc się z wysiłku, i rozdzieliwszy splątane włosy, zrobił trzy czy cztery sploty, żeby nie opadały mu na twarz – Bóg jeden wie, co się stało ze spinką. Prawdopodobnie zgubił ją na schodach. Jeżeli będą nimi schodzić, to może ją znajdzie.

Służący wniósł ciężką tacę ze śniadaniem – ryba, ser i chleb z mąki mielonej na żarnach, a do tego pół dzbanka mocnej, czarnej herbaty – i nakrył mały stół. Bren zasiadł do niego z lepszym apetytem, niż sądził, szczególnie, że zapach był zachęcający, a Giri ostrzegwał, że nie wiadomo, kiedy będzie jadł następny raz, co razem z informacją o kaftanie oznaczało, że postarają się go stąd wydostać, może nawet przedzierając się przez przeciwników w Maidingi... Być może ucieczkę umożliwi im autorytet Ilisidi.

Co prawda, przedzieranie się przez zdeterminowany tłum stanowiło przerażającą perspektywę. Z drugiej strony, atewscy wielmoże wiedzieli, jak daleko mogą się posunąć. Atevi opanowali tę sztukę do perfekcji.

Mimo wszystko wzburzony tłum mógłby nie uszanować aiji-wdowy. Bren domyślił się, że Ilisidi trzymała z nimi, lecz zeszłej nocy zmieniła zdanie. Jeżeli spróbuje kłamać, czy użyje gróźb względem tłumu, który mógłby bez skrupułów zamordować paidniego, to może wywiązać się strzelanina. Odpowiednio duży tłum może zatrzymać furgonetkę.

W takim zaś przypadku miniona noc mogłaby być jedynie przedsmakiem tego, co byłaby mu w stanie zrobić radykalna opozycja antyludzka, gdyby wpadł w jej ręce. Jeżeli stracą panowanie nad sytuacją i nie dotrą do samolotu, to jeszcze przed zachodem słońca mogą skończyć z kulami w głowach: on, Ilisidi, Bóg wie, kto jeszcze... a i tak mogłoby to okazać się o wiele lepsze niż ta poprzednia alternatywa.

Bren zjadł śniadanie, wypił herbatę i wytłumaczył sobie, że przynajmniej Cenedi wie, co robi. Osoba wykonująca zawód Cenediego nie miałaby tylu siwych włosów ani dowództwa ochrony kogoś o pozycji Ilisidi, nie wykazując się pewną dozą finezji i dobrym rozeznaniem, na co może sobie pozwolić legalnie i nie tylko.

Bren jednak chciał Banichiego i Jago, do cholery, a jeżeli w wyniku jakiejś decyzji politycznej, czy pozycji Cenediego wśród personelu Ilisidi, Banichi i Jago otrzymali do wykonania tę gorszą część planu...

Jeżeli ich straci...

– Nand' paidhi.

Odwrócił się na krześle, zaskoczony i ucieszony znajomym głosem. To przyszedł Djinana z jego kaftanem i czymś, co wyglądało na zmianę ubrania, z neserem Brena i, dzięki Bogu,

jego komputerem – czy pomyślał o nim Djinana, czy powiedzieli mu Banichi albo Jago, czy też była to zasługa kogokolwiek innego, dość, że komputer nie zostanie tu z całą zawartością, którą, wyjętą z kontekstu, atevi mogliby fałszywie zinterpretować, a Bren nie zamierzał błagać Cenediego o jego zwrot.

– Djinana-ji – powiedział z przerażającą świadomością, że jeżeli on wyjeżdża i udaje się w bezpieczne miejsce, to personel Malguri nie ma takiej możliwości, a w każdym razie nie mają jej ci służący, których man'chi jest związane z samą fortecą. – Podobno z Maidingi mają wyruszyć pewne osoby, żeby mnie tu szukać. Jacyś dwaj aijiin popierają atak na Malguri. Z pewnością nie będziecie próbować stawić im czoła osobiście, nadi. Choć doskonale wykonujecie swoje zadania...

Djinana położył wszystko na stole.

– Personel nie ma zamiaru poddania Malguri jakiemuś nierozsądnemu motłochowi. – Djinana wyszperał w neseserze grzebień i szczotkę i podszedł do krzesła Brena. – Wybacz mi, nand' paidhi, nie przerywaj sobie śniadania, oni trochę się śpieszą, a ja mogę się zająć twoimi włosami.

– Jesteś wart więcej niż kamienie, Djinano!

– Proszę cię. – Djinana poprawił Brena na krześle, pochylił mu głowę i zaczął gwałtownie szczotkować włosy, po czym szybko zaplótł równy warkocz. Bren zjadł kawałek chleba, który urósł mu w ustach, i popił go gorzką herbatą.

– Nadi-ji, czy wiedziałeś, po co zostałem tu sprowadzony? Czy wiedziałeś o statku? Czy rozumiesz, że to nie jest atak? Statek nie jest wymierzony w was.

– Wiedziałem. Wiedziałem, że podejrzejecie, że potrafisz to wyjaśnić. I bardzo szybko poznałem, że ty nigdy nie będziesz naszym wrogiem, paidhi-ji. – Djinana wyjął skądś spinkę; zawsze był na wszystko przygotowany. Skończył swoje dzieło, otrzepał Brenowi ramiona i wziął do ręki kaftan. – Obawiam się, że nie ma czasu, żeby się przebrać i najlepiej będzie, jeśli zaczekasz z tym do chwili, kiedy znajdziesz się w samolocie. Spakowałem ciepłe rzeczy na wieczór.

Bren wstał, odwrócił się od Djinany i wyjrzał przez okno.

– Czy przyjedzie furgonetka?

– Nie, paidhi-ji. Słyszałem, że pewna liczba osób już tu jedzie autobusami. Naprawdę nie uważam, że trzeba się ich bać. Znajdujesz się jednak w bardzo dobrych rękach. Słuchaj poleceń. – Djinana okręcił go, trzymając za ramię, pomógł mu włożyć kaftan i ułożył warkocz na kołnierzu. – Proszę. Wyglądasz na dżentelmena, nadi. Może wrócisz do Malguri. Powiedz aijiemu, że żąda tego personel.

– Djinano... – Człowiek nawet nie mógł powiedzieć „lubie”. – Na pewno mu to powiem. Proszę cię, podziękuj wszystkim ode mnie. – Posunął się do tego, że dotknął ręki Djinany. – Postaraj się tu być, kiedy przyjadę w odwiedzinę, bo inaczej będę bardzo zawiedziony.

Wydawało się, że te słowa sprawiły przyjemność Djinanie, który skinął głową i cicho wyszedł. W sąsiednim pokoju coś się działo – dobiegał stamtąd dobitny głos Ilisidi:

– Nie podniosą na mnie ręki!

Oraz Cenediego, równie stanowczy:

– ‘Sidi-ji, wyjeżdżamy, niech mnie diabli, jeżeli nie wtargną do środka! Zamknij się i bierz kaftan!

– Cenedi, zupełnie wystarczy, jeżeli wywieziemy go poza...

– Giri, przynieś kaftan ‘Sidi! Już!

Oczy strażników powędrowały w tamtym kierunku, ale w ich postawie nic się nie zmieniło. Bren zebrał zapasowe ubranie i owinał nim komputer. Czekał tak z tym tobołkiem w ramionach i neseserem w ręku, słuchając, jak Cenedi wydaje rozkazy zamknięcia drzwi i wygaszenia ognia w kominkach.

Z dala dobiegł jednak głos Djinany, który mówił, że zajmie się tym personel, że powinni już iść – pośpieszcie się, proszę – i zabrać paidhiego w bezpieczne miejsce.

A Bren spokojnie stał – on, ośrodek wszystkich trudności, powód zagrożenia Malguri. Czuł, że najmniej, co może zrobić, to pozostawać posłusznie tam, gdzie ma być. Sądził, że przejdą korytarzem i na dół; dotarł nawet do drzwi pokoju przyjęć, ale przez te właśnie drzwi wpadł Cenedi, Ilisidi i kilku strażników. Wszyscy zmierzali w przeciwnym kierunku, prosto do najdalszego pokoju Ilisidi.

– Gdzie jest Banichi? – spróbował zapytać Bren, idąc przez sypialnię z depczącymi mu po piętach strażnikami, ale Cenedi sprzeczał się z Ilisidi, popędzając ją przez korytarze apartamentu ku tylnym schodom. U ich szczytu stał ateva, którego chyba pamiętał z zeszłej nocy. W ręce trzymał nieznaną Brenowi broń i ładował ją przez kolbę pociskami z pudła stojącego na słupku balustrady.

Ta broń nie miała dla niego istnieć. Bren nigdy nie widział tego mężczyzny wśród personelu Malguri. Banichi i Jago, prawdopodobnie razem z Tano i Alginim, udali się w jakieś nieznane miejsce, tłum wrogo nastawionych atevich chce go wydać grupie zbuntowanej przeciwko Tabiniemu – a oni schodzą na tyły Malguri, w dół, z czego zdał sobie sprawę, kiedy Cenedi i Ilisidi otworzyli drzwi wychodzące na pogrążone w cieniu kamienie, do schodów biegnących obok stajni, gdzie syczenie i pomrukiwanie mecheiti wyprowadzanych na dziedziniec powiedziało mu, w jaki to sposób wyjadą z Malguri, chyba że szli tędy tylko po to, żeby zmylić pogoń...

To szaleństwo, pomyślał, kiedy znalazł się na podeście wychodzącym na dziedziniec i zobaczył, że wierzchowce są nie tylko osiodłane, ale że na ich oporządzenie składają się też juki oraz inny ekwipunek, jakiego nigdy nie używali podczas porannych przejażdżek.

To się nie dzieje dwieście lat temu. Mają samoloty, mają broń jak ta u szczytu schodów...

Coś wybuchło, wstrząsając kamiennymi murami, odzywając się wibracją w kolanach i wnętrzościach Brena. Ktoś nie czekał na tłum w autobusach.

– Prędej! – wrzasnął na nich Cenedi z dziedzińca. Bren popędził w dół, mając za sobą któregoś ze strażników. Stajenni usiłowali zaprowadzić porządek wśród mecheiti.

To był zwariowany plan. Rozum mówił mu, że wyruszenie w teren w taki sposób przekracza granice szaleństwa. Przecież jest jezioro. Mogli załatwić łódź, która przewiezie ich do innej prowincji.

Jeśli prowincje leżące po drugiej stronie jeziora nie są właśnie tymi zbuntowanymi.

Mury zadrżały od drugiego wybuchu. Ilisidi obejrzała się za siebie i zakląła, ale Cenedi chwycił ją za ramię i pociągnął do stajennych przytrzymujących Babsa.

Bren spostrzegł Nokhadę i mimo zajętych rąk rzucił się w jej kierunku między olbrzymimi, niespokojnymi wierzchowcami. Zastanawiał się, jak ma włożyć do juków kłab ubrań i komputer, ale stajenni mu je odebrali.

– Ostrożnie! – zawołał i skrzywił się, bo stajenny omal nie upuścił komputera, którego ciężaru nie przewidział. Urządzenie znalazło się w jednym juku, ubrania i neseser w innym, po drugiej stronie smukłego, wysokiego zadu Nokhady, która szarpała wodzą. Tego ranka wszystkie mecheiti lśniły w okolicy szczęk mosiądzem. Nie były to tępe nakładki na kły, lecz ostro zakończone stożki, jakie widywał tylko w machimi.

W czasie wojny.

To było nierzeczywiste. Przy talencie Nokhady do bodzenia mosiężne nakładki nie były bronią, z którą Bren chciałby zawrzeć bliższą znajomość, a nawet tylko znaleźć się w jej pobliżu. Wziął do ręki wodzę, którą podał mu stajenny, nie potrafił sobie z nią poradzić nadwerżoną ręką, przełożył do drugiej i uderzył Nokhadę pięścią, usiłując zmusić mecheitę do ugięcia nogi. Wszyscy naokoło już siedzieli w siodłach. Nokhada odmówiła posłuszeństwa, szarpnęła się, nie zareagowała na drugi rozkaz i okrążyła Brena, tocząc wytrzeszczonymi oczyma i poddając się ogólnej atmosferze podniecenia. Tak właśnie wszystko się potoczy, pomyślał Bren, niepewny, czy w razie konieczności potrafi utrzymać zwierzę, jak nigdy przedtem przerażony jego siłą i kłami.

– Nadi – rzekł stajenny, wyciągając mocną rękę, a drugą chwytając i przytrzymując wodzę.

Bren chwycił za ramię służący do wsiadania, poddał się bezceremonialnemu pchnięciu stajennych, po drodze wepchnął nogę w strzemień i wylądował w siodle z bijącym sercem i szarpnięciem naciągniętych ramion. Bolały go wszystkie kości. Szybko chwycił wodzę całą garścią, żeby w ogólnym zamęcie odzyskać panowanie nad Nokhadą – ktoś właśnie otworzył bramę.

Na dziedzińcu wpadł podmuch zimnego porannego wiatru, kłując Brena w twarz. Wszystkie mecheiti ruszyły do bramy. Rozejrzał się rozpaczliwie za Babsem i Ilisidi. Zatoczył Nokhadą koło i mecheita zlokalizowała Babsa, jeszcze zanim Bren dostrzegł Ilisidi.

Babs zmierzał w kierunku bramy i Bren po prostu nie był w stanie utrzymać Nokhady, która, roztrzaskując inne mecheiti, ruszyła potężnymi susami śladem Babsa prosto pod wiatr, który sprawiał wrażenie ściany lodu.

Sklepienie bramy mignęło nad Brenem jako rozmazana plama cienia i kamienia. Rozległa szarość jeziora zjawiała się chwilową, rozchwianą nicością najpierw przed nim, a potem z jego prawej strony, ponieważ Nokhada skręciła ostro wzdłuż krawędzi i rzuciła się pod górę.

To pewne, że Nokhada pójdzie za Babsem do piekła.

Rozdział 12

Jechali w poprzek zbocza góry, a potem coraz wyżej po porośniętym krzakami stoku, przecinając żleb, gdzie rozciął sobie wargę, kiedy po raz pierwszy cwałował za Ilisidi.

Tuż za nimi znajdowało się około dziesięciu ochroniarzy, prowadzących sześć osiodłanych wierzchowców, o czym Bren przekonał się, zerkając za siebie, kiedy trochę zwolnili.

Zabrali ze sobą całą stajnię, nie zostawiając ani jednego mecheity, którego można by wykorzystać w pościgu – znał ten wybieg z machimi. Sam nagle znalazł się w środku machimi, wśród uzbrojonych jeźdźców i wojennego sprzętu. Brakowało tylko chorągwi i lanc... To nie miejsce dla człowieka, wciąż sobie powtarzał. Nie wiedział, jak ma sobie radzić z Nokhadą, jeśli będą musieli przedzierać się przez tłum, nie wiedział nawet, czy utrzyma się w siodle, jeżeli na ich drodze znajdą się jakieś trudniejsze przeszkody.

I jechać do Shejdanu przez cały kontynent? Mało prawdopodobne.

Jago powiedziała, żeby wierzył Ilisidi. Djinana powiedział, żeby wierzył Cenediemu.

Jechali jednak na północny zachód, i sądząc z kierunku, z którego dochodziły eksplozje, byli odcięci od lotniska – odcięci od komunikacji, od jego własnej ochrony, od wszystkich znanych mu możliwości ratunku, chyba że Tabini wysłał do prowincji Madingi posiłki, które miały zawładnąć lotniskiem znajdującym się w rękach buntowników.

Oznaczało to, że tamci mają dostęp do samolotów – podczas gdy oni poruszali się zaledwie z szybkością, na jaką było stać mecheiti. Buntownicy mogli ich wysledzić i nękać do woli z ziemi i z powietrza.

Jedyna nadzieja w tym, że brakuje im samolotów wyposażonych w urządzenia celownicze. To pewne, że mogli o tym pomyśleć – bez żadnego cholernego biichi-gi. Mospheira zaprojektowała atewskie samoloty w taki sposób, żeby wprowadzenie tej zmiany było bardzo trudne – trzymali się stałopłatów i zasadniczo szybszych samolotów, nie było jednak wykluczone, że jakiś uparty ateva przyłoży się do problemu. Finezja, jak słyszał w

machimi, nie ma zastosowania podczas wojny – a ci dwaj zbuntowani aijiin właśnie próbowali wywołać wojnę.

Doprowadzić Tabiniego na skraj przepaści, rozbić Patronat Zachodni i utworzyć go na nowo wokół jakiegoś innego przywódcy – takiego jak Ilisidi?

A ona, dwukrotnie pominięta przez hasdrawad, zwodzi buntowników?

Czy można uwierzyć w coś takiego?

Od murów Malguri odbiła się echem kolejna eksplozja.

Bren zaryzykował drugie zerknięcie do tyłu i zobaczył unoszący się w niebo słup dymu, który wiatr po chwili przegonił nad zachodnim murem. To było w środku, pomyślał w narastającej panice, a odwróciwszy z powrotem głowę, zobaczył przed sobą grzbiet wzgórza, obiecujący schronienie przed ostrzałem, który mógł ich dosięgnąć od strony fortecy.

Może ich zniknięcie za grzbietem spowoduje przerwanie ataku na Malguri, jeśli personelowi uda się przekonać tłum i uzbrojonych zawodowców, że ich tam nie ma? Niech Bóg ma w opiece Djinanę i Maigiego, którzy nie prosili się, żeby zostać żołnierzami, którzy mieli na głowie obcych, jak ten ateva z bronią na schodach, obcych, których pewnie sprowadzili Ilisidi i Cenedi, obcych, którzy mogą nie uszanować historycznych murów Malguri.

Z zimna mącił mu się wzrok. Przeszywający ból ramion pulsował w rytm chwiejnych kroków Nokhady. Właśnie zostawili za sobą skalisty pagórek, mogący stanowić osłonę przed strzelcami, którzy być może ustawiali się pod murami fortecy od strony gór – ale Bren pomyślał, że zajęli się już nimi Banichi i Jago. Przed nimi pojawiły się zarośla i skały, a po chwili błękitne niebo. Na chwilę perspektywa zwariowała – najpierw Ilisidi, a potem Cenedi zniknęli za grzbietem, po czym Nokhada opuściła łeb i runęła w dół po drugiej stronie, robiąc oszałamiającą, przyprawiającą o zawrót głowy serię skoków wśród ostrych skał i powykęcanych krzewów, które podświadomość Brena zabarwiła śnieżną bielą, lecz zdrowy rozsądek przywrócił im brązy ziemi. Każdy nierówny krok Nokhady akcentował ból nadwreżonych stawów i ponaciąganych mięśni, a jakby tego było mało, Bren zaczynał tracić czucie w przemarzniętych dłoniach i nogach.

Fatalne miejsce na upadek. Przeżył chwilę paniki, a potem – o Boże – po prostu poczuł górę: Nokhada biegła, kierując się tą samą logiką, którą stosowałby on, i wybierała tę samą trasę. Bren zacisnął zdrową dłoń na rzemieniu do wsiadania, a wodzą owinął palce tej słabszej. Zaczynał reagować na wiatr, smagający go po twarzy, falą adrenaliny, wzmożonym wyczuciem stoku i miejsca, którego Nokhada choćby przez chwilę musi dotknąć nogami, żeby zrobić następny krok.

Planował trasę w dół, pijany tym zrozumieniem. To właśnie było szaleństwo – widział trasę, a serce biło mu w przyśpieszonym rytmie. Wyczuł wybuch, ale pocisk rozerwał się bardzo daleko, a Bren pędził na złamanie karku, żeby dogonić jeźdźców przed sobą. To nie było normalne. Ani odpowiedzialne. A jemu się podobało. Prawie już dogonił Ilisidi, kiedy

Babs nagle machnął ogonem i gwałtownie skręcił. Nokhada prawie zabiła ich oboje, chcąc dotrzymać mu kroku.

– ‘Sidi! – Bren usłyszał głos Cenediego, dobiegający daleko z tyłu.

Przeżył sekundę zdrowej, zimnej paniki, ponieważ zdał sobie sprawę, że wyprzedził Cenediego, a Ilisidi wie, że siedzi jej na ogonie.

Tuż obok nich wybuchł któryś z kamieni, po prostu wyleciał w powietrze. Babs wpadł w szczelinę obok wąskiego wodospadu i ruszył pod górę między głazami wielkości domów, coraz wyżej i wyżej.

Snajper, podpowiadał rozsądek. Wciąż znajdowali się niebezpiecznie blisko Malguri.

Jechał jednak za Ilisidi, teraz już wolniej, znajdując osłonę wśród głazów oraz czas na uświadomienie sobie właśnie popełnionego głupstwa: przepchnął się tuż za Ilisidi, a Cenedi jedzie za nim i Nokhada całkiem rozsądnie nie chce teraz zwolnić i stracić siły rozpędu.

Głupi, pomyślał Bren. Na tej górze stracił zdrowy rozsądek. Znając spoczywającą na nim odpowiedzialność, ryzykował życie właśnie dlatego, że na nim spoczywała i dlatego, że istniały rzeczy, których nie mógł ani zrobić, ani mieć, i wcale a wcale go to nie obchodziło podczas tych kilku samolubnych, szaleńczych minut. Niech ich wszystkich diabli, niech diabli Tabiniego, atevich, jego matkę, niech diabli Toby’ego, Barb i całą rasę ludzką.

Mógł zginąć. Z łatwością mógł zginąć podczas tej szaleńczej jazdy. Odkrył u siebie tyle gorzkiego, ukrytego gniewu – taką wściekłość, że aż się od niej trząśł. Tymczasem normalniejsze już i rozsądniejsze kroki Nokhady niosły go w górę ku bezpiecznym skałom. A zatem to, co porwało go w dół, nie było upojeniem wolnością, jak sobie wmówił, lecz tym, czego właśnie doświadczył: złośliwym, bezrozumnym życzeniem własnej śmierci, wymierzonym przeciwko wszystkim i wszystkiemu, czemu służył. Z tym właśnie igrał.

To cholernie niesprawiedliwe. Jedyna rzecz w życiu, która sprawiła mu taką dziką przyjemność. I co to jest? Cholerne życzenie śmierci.

Nie znosił tych wszystkich nacisków w domu na Mospheirze, nacisków stwarzanych przez jego pracę, a już najbardziej nacisków emocjonalnych, czysto ludzkich. W tej chwili nienawidził atevich, przynajmniej jako abstrakcji, nie znosił ich beznamietnej przemocy, kłamstw i tej nie kończącej się, schizofrenicznej analizy, jakiej musiał wśród nich poddawać każdą swoją myśl, każdą emocję czy odczucie, tylko po to, by określić, czy jest to wynik ludzkiej biologii, czy też obróbki logicznej.

A najbardziej nie znosił żalować osób, które nie odpłacały mu tym samym. Nie dowierzał swoim uczuciom. Był osłabiony, wycieńczony, obolały i nie podchodził już rozsądnie do żadnej z tych dwóch rzeczywistości.

To była druga prawda o nim samym, z którą się zetknął, począwszy od tej mrocznej chwili, kiedy przytknięto mu broń do głowy. Dowiedział się, że paidhi nie daje sobie rady ze stresem związanym z pracą. Że jest diabelnie przerażony, niepewny otaczających go osób oraz tego, czy kiedykolwiek postępował słusznie.

Nie wiadomo, z atevimi po prostu nie wiadomo, co się dzieje w najgłębszych warstwach ich psyche – nie dlatego, że nie da się tego przetłumaczyć, ale dlatego, że się tego nie czuje, nie wpada się w rezonans emocjonalny, nie można się ani trochę domyślić, jak to jest być atevim.

Znaleźli się na krawędzi wojny, atevi strzelali do siebie, nie mogąc dojść do porozumienia, co zrobić z ludźmi, a paidhi się rozklejał – zeszłej nocy zabrali mu zbyt wiele. Może nie chcieli tego zrobić, może nie wiedzieli, że to zrobili, on i tak mógł to sobie wytłumaczyć, znał wszystkie psychologiczne etykiety: że jest zbyt wiele niewiadomych, że za nagłym atakiem dreszczy, strachu i ponurą poranną samoanalizą, którą zawdzięczał jedynie wydarzeniom minionej nocy, stoi nawet fizjologia.

Nie, minionej nocy tamci nie prowadzili żadnej gry. Nie grozili mu na niby. Cenedi był cholernie dobry w tym, co robił, i zadając Brenowi pytania, które musiał zadać, nie brał pod uwagę jego stanu psychicznego.

Nie zmieniało to faktu, że wstrząsnęli jego psychiką, która i tak nie była zbyt stabilna. Echa tego wstrząsu wciąż dawały o sobie znać.

Nie mógł sobie pozwolić na załamanie. Nie teraz. Musi dać sobie spokój z rozpamiętywaniem i wymyślić niezbędne minimum tego, co powie atevim i ludziom, a co doprowadzi do zawieszenia broni i zdyskredytuje szaleńców dążących do wojny.

Właśnie tak.

Przynajmniej umilkły strzały. Odjechali już na tyle daleko, że nie słyszeliby wybuchów, cokolwiek mogło dziać się w Malguri, i posuwali się wolniejszym, rozsądniejszym tempem po łatwiejszym terenie, gdzie mogliby jechać szybciej. Droga odcinkami była równa, czasami wspinała się w górę, czasami zjeżdżali kłusem na ukos w dół, ogólnie kierując się teraz bardziej na południe, a tylko czasem na zachód, co w sumie zbliżało ich do lotniska w Maidingi, centrum kłopotów.

A także na spotkanie posiłkom od Tabiniego, jeżeli Tabini miał jakiegokolwiek pojęcie, co się tu dzieje... Można jednak polegać na Banichim, że Tabini wie, i to ze szczegółami, jeśli tylko Banichi dostał się do telefonu albo zawiadomił za pomocą radia kogoś, kto mógł przekazać wiadomość przez pół kontynentu.

– Jedziemy na południe – powiedział do Cenediego, kiedy znalazł się dostatecznie blisko.
– Nadi, czy zmierzamy do Maidingi?

– Mamy spotkanie na zachodniej drodze – odparł ateva. – Tuż za miejscem zwanym Wieżami. Zabierzemy stamtąd twój personel, oczywiście zakładając, że uda mu się tam dotrzeć.

Co za ulga. Rozładowało to niektóre podejrzenia Brena.

– A stamtąd?

– Na północny zachód, do osoby, która według nas zapewni nam bezpieczeństwo. Uważaj, nand' paidhi!

Skończyło się wolne miejsce. Mecheita Cenediego, Tali, wysunęła się do przodu, zmuszając Nokhadę do cofnięcia się. Nokhada rzuciła głową i chciała ugryźć oddalającą się Tali w zad, w ale w tym wąskim przesmyku między dwoma głazami wielkości pokoju nie mogła jej wyprzedzić.

Zabierzemy twój personel, powiedział Cenedi. Zdecydowanie podniosło to Brena na duchu. Reszta, czyli ominięcie lotniska i dotarcie do kogoś, kto być może ma transport, brzmiało dla niego o wiele rozsądniej, niż dotychczasowe poczynania. Zamiast krążyć w nie opisaną na mapie próżni, ich trasa zaczęła prowadzić w określonym kierunku, do prowincji leżących po drugiej stronie gór, w sumie na zachód – Bren orientował się w geografii. To było znacznie pewniejsze niż jakiegokolwiek granice między atevimi, gdzie man'chi poszczególnych miast i rodów były dość płynne, nawet na jednej ulicy. Cenedi znał jedno nazwisko, jedno man'chi, które uważał za bezpieczne.

Zawodowiec Cenedi na pewno nie opierał swych sądów na domysłach. Ilisidi być może zwodzi swoich sprzymierzeńców – ale aijiin po prostu nie byli winni man'chi nikomu stojącemu wyżej od nich: taka była natura ich pozycji i sprzymierzeńcy o tym wiedzieli, podobnie jak o tym, że nie powinni jej drażnić.

Najwyraźniej jednak to uczynili. Tabini wykonał swój ruch, co prawda dość rozpaczliwy, wysyłając paidhiego do Malguri i pozwalając Ilisidi zaspokoić ciekawość, ryzykując przy tym, że Ilisidi może wydać Brena opozycji. Tabini najwyraźniej był czegoś pewien – może (myśląc jak ateva, a nie człowiek) wiedział, że buntownicy niewątpliwie rozdrażnią Ilisidi albo że zamierzają ją oszukać: wdowa na pewno zorientowałaby się, gdyby coś takiego wisiało w powietrzu. Ilisidi była zbyt bystra, zbyt przebiegła, żeby dać się omamić wyznawcom liczb i handlarzom strachu – a jeśli przysłanie Brena było tym pojednawczym gestem, który zrobił w jej kierunku Tabini, to Ilisidi mogła się zaniepokoić delikatną aluzją wnuka, że przewidział jej zbliżenie z buntownikami, i będąc już wiekową damą, mogła uznać tę milczącą ofertę pokoju za bardziej atrakcyjną od niepewnego układu z jakąś ambitną kliką prowincjonalnych wielmożów, pragnących stawić czoło ludzkiej potędze, z którą Tabini mógł nawiązać współpracę.

Układu z konspiratorami, którzy, zgodnie ze zwyczajami atewskich wielmożów, również dobrze mogli w końcu powstać przeciwko sobie nawzajem.

Bren nie znajdował się w takich stosunkach z Ilisidi czy Cenedim, żeby zadać im te zasadnicze pytania. Sytuacja i tak była już drażliwa. Próbował zachowywać hierarchię ważności grupy: Babs zawsze był pierwszy, mecheita Cenediego, Tali, najczęściej druga, a Nokhada współzawodniczyła z nią za każdym razem, kiedy ruszali szybciej, która to polityka nie miała nic wspólnego z motywacją jeźdźców, lecz stawała się niebezpieczna, jeśli dochodziły do niej ich ambicje osobiste. Bren poznał już tę zasadę machimi i wiedział, że nie powinien pozwolić Nokhadzie na wpychanie się w ten podwójny patronat z przodu, a w każdym razie nie wtedy, kiedy miała na kłach nakładki bojowe. Cenedi na pewno mu za to

nie podziękuję, Tali tego nie zniesie, a on i tak miał dość zajęcia, usiłując utrzymać się z jedną niesprawną ręką na grzbiecie Nokhady.

Odzyskał już zdrowe zmysły, przynajmniej na tyle, żeby chociaż z grubsza wiedzieć, dokąd zmierzają.

Nie śmiał jednak naciskać. Zyskał pomoc Ilisidi, ale było to niepewne, warunkowe wsparcie dla niego i Tabiniego, na którym wciąż nie śmiał w pełni polegać. Nie można wierzyć, że kobieta, którą Tabini nazywał 'Sidi-ji, nie zmierza do własnych korzyści i zdobycia władzy w Patronacie Zachodnim albo w jakimś innym.

W żadnej przyprawiającej o zawrót głowy chwili nie wierzył żadnemu z nich.

Ich język miał czternaście słów na oznaczenie zdrady, a jedno z nich znaczyło jednocześnie „postępować w sposób oczywisty”.

Rozdział 13

Jeżeli nawet Ilisidi jechała jakimś ustalonym szlakiem, to Bren jej nie widział, nawet kiedy Nokhada deptała Babsowi po piętach. Zobaczył Ilisidi wysoko wśród potężnych głązów. Babs przemykał między nimi niczym któryś z ulotnych duchów Malguri.

Nie dostrzegł grzbietu wzgórza – jedynie w tej samej chwili z pola widzenia znikli mu Ilisidi i Cenedi. Jadąc za nimi na czele dwudziestokilkuosobowej kolumny znalazł się na wietrznym, zawalonym głązami stoku, wznoszącym się nad płytkim strumieniem i koleinami, które wiły się wśród zarośli.

Droga? zapytał się w duchu.

Czy te ślady to ta zachodnia droga, o której mówił Cenedi? Droga, na której mieli spotkać resztę grupy?

Inni jeźdźcy dołączyli do niego na grzbiecie wzgórza i Cenedi wysłał jednego z nich na dół, żeby sprawdził, jak usłyszał Bren, czy są jakieś świeże ślady.

Chodziło o ślady zrobione przez maszynę.

Ciężarówka mogłaby przebyć tę drogę pod warunkiem, że miałyby dobre zawieszenie i grube opony.

A jeśli przeciwnik dysponował zaledwie zwykłymi ciężarówkami i nie wykorzystał samolotu z lotniska w Maidingi, to Ilisidi mogłaby ich poprowadzić z powrotem przez grzbiet i nie dać się złapać żadnemu pieszemu pościgowi.

A zatem ich sposób ucieczki z Malguri nie był szalony. To nie były zagospodarowane wiejskie tereny na Mospheirze. W promieniu kilku dni podróży nie było tu linii telefonicznej ani linii wysokiego napięcia, bitej drogi czy torów kolejowych.

Stali tak na zboczu i czekali. Ateva wysłany przez Cenediego zjechał na dół, przyjrzał się koleinom i wrócił na górę. Dał ręką znak, że nic nie znalazł.

Bren wypuścił powietrze z płuc. Serce zrobiło mu się ciężkie od zbyt słabo tłumionych przypuszczeń i podejrzeń. Był gotów wtrącić swoje trzy grosze, że w związku z walkami w Malguri nie mogą wymagać od Banichiego punktualności i że powinni na niego poczekać.

Zanim jednak zdążył otworzyć usta, Cenedi stwierdził, że powinni zsiąść z wierzchowców i poczekać.

To poprawiło jego zdanie o Cenedim. Poczul się po stokroć swobodniej w obecnym towarzystwie, bez względu na kierujące nim motywy. Zaczął zsiadać tak, jak uczył go Cenedi. Szturchając Nokhadę stopą, usiłował ją zmusić do ugięcia nogi, ale pomysł ten najwyraźniej nie przypadł jej do gustu. Wyrwała mu wodzę z ręki swobodnym podrzutem głowy, co wywołało przeszywający ból w jego nadwerężonym ramieniu, po czym obróciła się złośliwie głową w górę stoku, tak że ze względu na stan swoich nóg, Bren po prostu nie mógł zsiąść z tej wysokości. Przekłęte bydlę.

Kopnął ją. Wykonali jeszcze jedno żenujące, niepotrzebne kółko na zboczu.

Wtedy zlitował się nad nim jeden z jeźdźców, który zsiadł ze swego wierzchowca i wziął wodzę Nokhady.

– Nand' paidhi. – Bren poznał po głosie, że to ten sam mężczyzna, który stłukł go w łazience. Ateva obrócił Nokhadę bokiem do stoku i czekał, żeby podtrzymać Brena, kiedy ten zsunie się na ziemię.

Bren na pewno nie zamierzał wybaczyć nikomu, kto pomagał w tej zeszlonocej szaradzie.

Nie znajdował się też jednak wśród wrogów, co przez cały czas starał się wyjaśnić Cenedi, a ten ateva właściwie nie stłukł go dla własnej przyjemności, tylko odwiódł go od dalszych prób ucieczki.

Bren zrezygnował więc z pretensji i pozbył się urazy. Z cichym „Dziękuję, nadi” zsunął się z siodła i padł na ziemię. Sądził, że przynajmniej uda mu się ustać. Puściły mu kolana – znalazłby się pod brzuchem Nokhady, gdyby nie podtrzymał go podwładny Cenediego. Odzyskał czucie w nogach prawie w tej samej chwili, kiedy je wyprostował.

Udało mu się wziąć do ręki wodzę Nokhady i mrucząc podziękowania za ratunek, odkuśtykał na bok, żeby usiąść w samotności. Pomyślał, że to bardzo dziwny ból, nie taki znów zły: krew wracała na swoje miejsce, a ciało dochodziło do wniosku, że powinno go być więcej wokół pewnych, wcześniej nie odkrytych, części ludzkiego kośćca.

Stwierdził jednak, że nie chce mu się siedzieć. Oczy łzawiły mu na chłodnym wietrze, wytarł je więc ręką, której o mało sobie nie wykręcił przy zsiadaniu. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest – przypomniała mu się piwnica, własny gniew. Patrząc w dół stoku, Bren stracił poczucie czasu. Postanowił odpoczywać, przestępując z jednej nogi na drugą, podczas gdy Nokhada opuściła głowę i ryła okrytymi metalem kłami pod zdrewniałym krzaczkiem, który wreszcie dał się oderwać od ziemi. Nokhada zaczęła go miesić muskularną górną wargą i z zadowoleniem pożarła.

Zimno uśmierzało ból. Bren chciał tak bezmyślnie stać i patrzeć, jak Nokhada niszczy roślinność, lecz wciąż nawiedzały go myśli – o tej drodze na dole i o tym, że być może Banichemu i Jago nie udało się wydostać z Malguri.

Oraz o tym, że kwestia stanowiska, jakie zajmuje Ilisidi, wcale nie musi być prosta ani nawet zamknięta. Wdowa stanowiła dziką kartę, niebezpieczną dla wszystkich w sytuacji, kiedy Patronat praktycznie się rozpadał. O tym, że Bren znajduje się w pewnych rękach, przekonał go jedynie fakt, że czekają na Banichiego, i to z wielką, jak na atevich, cierpliwością. Będąc atevą, Cenedi mógł wrócić do swego wczorajszego zadania i bez najmniejszych skrupułów odsłonić kolejną warstwę prawdy, bo, będąc atevą, Cenedi uważał, że jego moralność to dobro Ilisidi – dobro, którego ocena mogła się jednak okazać inna przy najdrobniejszej zmianie koniunktury.

Ilu ludzi mieszka na Mospheirze, nand' paidhi?

Szczerze żałował, że nie ma przy sobie broni, pistoletu jednak nie było w neseserze, który przyniósł mu Djinana. Bren wyczułby jego ciężar. Nie miał pojęcia, co się z nim stało.

Miał nadzieję, że wrócił do Banichiego i nie pojawi się jako dowód na jakiejś rozprawie, której Tabini-aiji nie będzie mógł zapobiec.

Z góry stoczyło się kilka kamyków – jakiś puszczony luzem mecheita rył w ziemi, szukając czegoś do zjedzenia. Nokhada, zajęta przeżuwaniami, nawet nie postawiła uszu.

Wtem wszystkie mecheiti podniosły głowy i popatrzyły w dół, gdzie krzywizna stoku zasłaniała dalszy odcinek drogi.

Atevi schowali się za głazami. Cenedi pojawił się przy Brenie dwoma szybkimi krokami, odciągnął go od Nokhady i pociągnął w dół za spory odłam skalny.

Wtedy, w zapadłej ciszy, Bren usłyszał silnik. Przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa, mecheiti skupiły się wokół Babsa, którego wodzę trzymała w ręku Ilisidi. W ten sposób wdowa panowała nad całym stadem, nie pozwalając mu zejść niżej.

Hałas silnika narastał, przybliżał się.

Jeden z atevich zapytał o coś, lecz Cenedi ruchem ręki nakazał mu pozostać w ukryciu.

Coś zagrzechotało, stuknęło i rozniosło się echem wśród wzgórz.

Co to takiego? zastanawiał się przez moment Bren.

Wtedy usłyszał huk eksplozji. Mięśnie mu drgnęły, serce zaczęło gwałtownie bić ze strachu. Cenedi zerwał się i zaczął przemykać od kryjówki do kryjówki, kierując wszystkich z powrotem na górę, do mecheiti.

Wycofywali się. Ten grzechot to były odgłosy strzałów; Bren poznał je, kiedy hałas się powtórzył. Wymiana ognia. Cenedi dał znak najpierw jemu. Bren poczuł w nogach drżenie, które przypisał czystemu przerażeniu. Miał nadzieję, że zza wzgórz zaraz się pojawią Banichi i Jago.

Nie mogą przecież teraz się wycofać – jeśli tamci strzelają, to do wrogów, co oznacza, że tuż za wzgórzem, blisko nich, są Banichi i Jago...

Wzdłuż biegnącej dołem drogi rozciągnęła się chmura czarnego dymu, niesionego silnym wiatrem. Bren zobaczył, że ktoś tam biegnie, jakaś pojedyncza postać w czarnym mundurze...

To nie atak, tylko jeden ateva, który okrążył skały i rzucił się, utykając, pod górę – ktoś drobniejszy od przeciętnego mężczyzny.

Jago. Bren zdał sobie z tego sprawę w ułamku sekundy; poderwał się i popędził w dół, wywołując drobne lawiny żwiru, ślizgając się i zdzierając sobie skórę na dłoniach. Dopadł do niej w połowie stoku, zakurzony i zdyszany. Kobieta oparła się o głaz.

– Zasadzka przy Wieżach – wydyszała. – Wracaj na górę! Powiedz Cenediemu, żeby się wycofał! Jazda!

– Gdzie jest Banichi?

– Idź, do cholery! Bak wybuchł, samochód się pali, Banichi nie może chodzić, zatrzyma ich, żeby dać wam trochę czasu...

– Do diabła! Jak to, zatrzyma ich? Czy on tu idzie?

– Nie może, do cholery. Bren-ji...

Nie słuchał atewskiej logiki. Rzucił się pędem ku zarośniętej krzakami drodze, w dym. Słyszał, że Jago biegnie za nim, klnąc go i wołając, że jest głupcem, żeby wracał i nie ryzykował.

Wtedy usłyszał za sobą jeźdźców. Zahamował na kamykach na ostatnim odcinku zbocza i chwycił się głazu, żeby ostro skrócić na drogę, w dym, bojąc się, że stratuja go mecheiti, a najbardziej tego, że złapie go Cenedi, zmuszając do odwrotu i zostawiając Banichiego bez pomocy.

Poczuł gorąco i zobaczył czerwony ośrodek czarnej, kłębiącej się chmury, która zmieniła się w płonący szkielet ciężarówki z otwartymi drzwiczkami. Po otaczających wzgórzach niósł się grzechot strzałów, a wśród nich Bren wychwycił ostry trzask pistoletu, dobiegający gdzieś z bliska, zza ciężarówki.

– Banichi! – wrzasnęła, rozcierając sobie po twarzy sadzę i łzy, usiłując cokolwiek dojrzeć przez gryzący dym. Zobaczył coś czarnego, odbijającego się od szarości skał, z boku drogi, czarną postać mierzącą z pistoletu we wzgórze. Ziemia wokół Brena podskoczyła nagle w kilku miejscach w górę, posypały się kamyki – ktoś do niego strzelał – rzucił się więc w kierunku tej postaci, mając za jedyną osłonę dym. Pociski trafiały w leżące przed nim głazy. Jeden z odłamków ukłuł go w nogę, kiedy nurkował między skały, gdzie schronił się Banichi.

– Ty cholerny głupcze! – wrzasnęła Banichi, ale Bren się tym nie przejął. Chwycił go za rękę, starając się postawić go na nogi. Banichi najwyraźniej cierpiał. Chwytał się skał i usiłował się wyswobodzić z rąk Brena, a wokół nich kule odłupywały drobne kawałki głazów.

Nie byli już sami – obok Brena zjawiała się Jago i chwyciła Banichiego z drugiej strony. W obliczu takiej pomocy Banichi skapitulował i przestał się opierać. Przebrnęli przez koleiny. Z lewej strony ktoś zaczął strzelać, nisko nad ziemią. Kule roztrzaskiwały kamienie albo z

głuchym stukiem wbijały się w płonący wrak ciężarówki. Żar płomieni pozbawiał tchu i palił skórę. Przeszli na drugą stronę drogi, kryjąc się w dymie.

W ciężarówkę trafiły kolejne pociski.

– To Cenedi – wydusiła Jago. – Jest na drodze!

– Wzdłuż strumienia! – krzyknął Banichi i, mocno utykając, poprowadził ich oboje w dół zbocza. Tuż za ciężarówką ześliznęli się między głazami do strumienia, w którym wylądowali po kolana w wodzie. Wszystko spowijała mgiełka dymu.

Płuca paliły. Oczy łzawiły. Bren tłumiał kaszel, trzymając Banichiego, usiłując zachować równowagę mimo nierówności terenu i chwiejnych kroków atewy. Jago była wyższa, więc radziła sobie o wiele lepiej.

Kaszłąc i potykając się, wyszli jednak spod ostrzału. Banichi osunął się na kolana na kamienistym brzegu i, wciąż kaszłąc, padł na kamienie, usiłując włożyć pistolet do kabury.

– Nadi, gdzie cię trafili? – zapytał Bren.

– Nie trafili – wykrztusił Banichi między atakami kaszlu. – Czekali na nas. Przy Wieżach. Środki wybuchowe. Cholera, czy to personel Cenediego?

– Tak – odparła zwięźle Jago i spróbowała postawić Banichiego na nogi. Chciał się podnieść na jednym kolanie. Jego noga od strony Jago nie mogła utrzymać ciężaru i Bren pchał z całej siły, pomagając Banichiemu wspinać się do stanowiska Cenediego, spowitego kłębam dymu.

Wokół nich uderzyły w ziemię kule, wzbijając obłoczki pyłu. Bren rzucił się na ziemię razem z Banichim i Jago, i rozplaszczył się między kamieniami na skraju drogi. Lada moment spodziewał się, że jakaś kula trafi go w plecy – salwa za salwą orała ziemię, a rykoszety przecinały powietrze we wszystkich kierunkach, obłupując skały i szeleszcząc w zielsku.

Potem nastąpiła chwila ciszy. Bren zaczął wstawać i ciągnąć ze sobą Banichiego, kiedy z dymu wypadł jakiś atewa, a za nim dwa mecheiti bez jeźdźców. Jeden z nich uderzył atewę głową i wyrzucił go w powietrze. Mężczyzna spadł na ziemię, a mecheiti rzuciły się do niego, rozszarpując go zbrojnymi w mosiądz kłami i tratując.

– Ruszać się! – krzyknęła Jago. Banichi rzucił się w górę i w przód, a Bren z całych sił podtrzymywał go z prawej strony. Banichi nie mógł stać na lewej nodze, więc kosztowało ich to sporo wysiłku. Zbliżały się do nich mecheiti, olbrzymie kształty spowite dymem. Banichi krzychał coś o swoim pistolecie.

Wtem pojawił się jeszcze jeden mecheita, Nokhada. Uderzała kłami na prawo i lewo, obracała się i błyskawicznie atakowała uciekających przed nią towarzyszy. Bren chwycił Banichiego za pas i usiłował odciągnąć go od drogi. Na Nokhadę natarł z boku inny mecheita, przeciągając kłami po jej żebrach, i wtedy do awantury włączył się Babs, rozdając ciosy obu walczącym, rozdzielając ich własnym ciałem, spychając Nokhadę za drogę w dół zbocza, a Tali w kłęby dymu. Reszta mecheiti rozproszyła się, Bren i Jago usiłowali doprowadzić Banichiego do skał – mecheiti szalały – i kiedy dotarli do głazów leżących u stóp wzgórza,

gdzieś z dymu znów rozległa się salwa. Bren usłyszał, jak ktoś krzyczy, żeby się wycofać, nie ścigać, zebrać mecheiti.

Jakiś inny głos wrzasnął:

– Dopadną nas, nadi!

– Już wysłali wiadomość przez radio! – krzyknął Banichi na całe gardło, opierając się rękoma o głaz.

– Cholera! Wynóście się stąd!

– Byliśmy w bezpiecznym miejscu! – odpowiedział ktoś. Giri, który pojawił się obok Brena i chwycił go za rękę. – Nand' paidhi, co ty zrobiłeś?

– Stracił rozum – odparła ostro Jago. Giri zajął miejsce Brena, podtrzymując z jego strony Banichiego. Z dymu wychodzili inni członkowie grupy, wciąż strzelając wzdłuż drogi, ale nikt im nie odpowiadał ogniem.

– Będą próbowali zająć nas od tyłu albo mają gdzieś dalej furgonetkę – usłyszał zadyszany głos Jago. – Musimy się stąd wynieść, podali nasze namiary. Samoloty pojawią się tu szybciej, niż zdążymy o nich pomyśleć. To nie są amatorzy.

Atevi biegali wśród mecheiti, usiłując zaprowadzić porządek. Bren spostrzegł Nokhadę i podbiegł do niej, żeby złapać wlokącą się za nią wodzę. Mecheita miała długą ranę na łopacie i krwawiący ślad po uderzeniu kłębem na szyi. Nie chciała ugiąć nogi, krążąc wokół Brena na napiętej wodzy i rzucając głową. Spróbował jeszcze raz, bolącą ręką trzymając się rzemieni do wsiadania, nie chcąc prosić nikogo o pomoc.

Ktoś chwycił go za prawe ramię, pchnął na Nokhadę i uderzył w głowę. Bren nawet nie widział, co się szykuje. Odzyskał świadomość, siedząc na ziemi. Tuż obok Jago z kimś się sprzeczała.

– Powiedz mi, co on zamierza! – To był głos Cenediego. – Powiedz mi, dokąd on według siebie zmierza, bo kiedy zaczyna się strzelanina, mężczyzna wybiera swój prawdziwy kierunek – a może w Shejidan tak się nie mówi?

Oczy Brenowi łzawiły, w uszach dzwoniło. Spróbował podeprzeć się zdrowszą ręką o ostrą skałę.

– On sam nie wie – mówiła Jago. – Nie wiem, co zrobi za chwilę, nadi! To nie ateva! Czy nie o to w tym wszystkim właśnie chodzi?

– Nadi – odrzekł zimno Cenedi – informuj go, co zrobi za chwilę. Następnym razem postrzelę go w kolano, i nie będzie żadnej dyskusji. Potraktuj to bardzo poważnie.

Między nich i słońce wszedł potężny cień. Babs i Ilisidi, która tylko obserwowała, jak Bren z wysiłkiem wstaje.

– Aiji-ma – rozległ się z boku cichy głos Jago, która chwyciła go mocno za rękę i odciągnęła na bok. Stał z płonącym policzkiem i lekko ogłuszony, a Ilisidi pojechała dalej. Cenedi poszedł za nią.

– Cholerny głupiec! – odezwała się Jago, potrząsając go za ramię.

– Zostawiliby cię!

– Słyszałeś go? – Kolejne szarpnięcie. – On cię okaleczy. To nie jest czcza pogroźka!

Dwóch atevich Cenediego schwytało Nokhadę i przyprowadziło ją. Mecheita rzucała głową i opierała się. Bren wyciągnął rękę po podawaną mu wodzę i z wysiłkiem spróbował obrócić strzemień do wsiadania – jeden z atevich zmusił Nokhadę do ugięcia nogi i Bren włożył czubek stopy w strzemień, ale zgubił je, kiedy Nokhada się wyprostowywała. Zwisał na rzemieniach do wsiadania, nie dotykając stopami ziemi, aż wreszcie ktoś pchnął go z dołu na tyle wysoko, że Bren pokonał resztę drogi już o własnych siłach.

Zobaczył, że Jago wsiada na jednego z zapasowych mecheiti. Ostatnich dwóch jeźdźców dosiadło swych wierzchowców, Ilisidi ruszyła z miejsca i Nokhada podążyła za nią. Nagły ruch sprawił, że Brenowi zrobiło się szaro przed oczyma – robiło mu się szaro przed oczyma od chwili, kiedy z niewątpliwie ważnych dla siebie powodów zaatakowała go Jago. Ręce mu się trzęsły, z trudem utrzymywał równowagę.

– Siedz – powiedziała Jago, podjeżdżając bliżej. – Zostań z mecheitą, słyszysz mnie, nadi?

Nie odpowiedział. Jej słowa go rozwścieczyły. Rozumiał, dlaczego uderzył go Cenedi, doskonale wiedział, co zrobił, idąc po Banichiego. Naruszył hierarchię personelu Ilisidi, zmusił go do walki, której Cenedi wolałby uniknąć, ponieważ Cenedi opiekował się wdową, i, być może – Brenowi przyszło teraz do głowy jeszcze mroczniejsze podejrzenie – ponieważ Cenedi chętnie zostawiłby Banichiego i Jago na łodzi, zdobywając go w ten sposób wyłącznie dla siebie i polityki wdowy. Cenedi osobiście sprzedałby go temu, kto zapłaci najwyższą cenę, i właśnie głęboko ukryty strach przed tym pchnął go w dół zbocza. Strach oraz równie głęboko ukryte ludzkie przekonanie, że zdrada, jaką popełnia, jest, po ludzku mówiąc, drobna i wybaczalna. Tak mu się teraz wydawało.

Cenedi tak nie sądził. Podobnie jak Jago – i tego właśnie Bren nie potrafił zrozumieć ani zaakceptować.

– Słyszysz mnie, nadi? Rozumiesz?

– Gdzie jest Algini i Tano? – postawił się jej.

– Na łodzi – warknęła Jago, uderzając kolanem w jego nogę, bo ich mecheiti znalazły się obok siebie. – Stanowią cel dla twoich wrogów, bo mogłeś się udać i w tamtym kierunku. Będziemy jednak mieli cholerne szczęście, jeżeli...

Jago zamilkła i spojrzała w niebo. I wypowiedziała słowo, jakiego nigdy u niej nie słyszał.

Bren też podniósł głowę. W uszach wciąż mu dzwoniło. Nie słyszał tego, co usłyszała Jago.

– Samolot – powiedziała. – Przekleństwo!

Ściągnęła wodzę, zostając z tyłu kolumny, a Ilisidi ruszyła szybkim klusem przez strumień, bliżej góry. Nokhada nabrała nagle chęci do wyprzedzania i zaczęła roztrącać inne mecheiti, nie zwracając uwagi na ciągnącego za wodzę Brena.

Słyszał już nadlatujący samolot. Niewiele mogli zrobić, oprócz ustawienia się pod jak najgorszym dla niego kątem wśród wzgórz – i to wydawało się najważniejszym celem Ilisidi. To nie był przypadkowy samolot. Sądząc po dźwięku, leciał nisko, i Brenowi serce zaczęło walić ze strachu. Zastanawiał się, czy Ilisidi i Cenedi dobrze robią, czy może powinni puścić mecheiti luzem, a sami ukryć się wśród głazów. To cholernie nieuczciwe, kiedy strzelają do człowieka pozbawionego broni, osłony i sposobu ucieczki – to wcale nie jest kabiu, nie tak atevi prowadzili wojny w przeszłości – to on jest kością niezgody, a atevi posługują się ludzką techniką i taktyką...

Jechali wzdłuż stoku za Ilisidi i Cenedim. Nokhada nie próbowała już ich wyprzedzić. Reszta kolumny rozciągnęła się za nimi wzdłuż strumienia. Cenedi się martwił. Bren widział, jak ogląda się za siebie i patrzy w niebo.

Dźwięk silnika narastał. Strzelanie z powietrza jest nielegalne – biorąc pod uwagę, że Mospheira leży w zasięgu małych samolotów, tak ustawili limity przeciągnięcia, żeby utrudnić strzelanie. Utrzymali dużą prędkość i nie przekazali niczego związanego z celowaniem – żadnych zapalników czy celowników; zadaniem paidhiego było zapobiegać takim wydarzeniom...

Kiedy samolot nadleciał prosto na nich, nisko, wzdłuż strumienia, Bren zajęty był właśnie takimi myślami. Otaczający go jeźdźcy wyciągnęli broń, kilku z nich miało myśliwskie strzelby – a on aż do tej chwili nie wiedział, czy atevi odkryli sposób, jak montować broń na samolotach, czy może był to tylko bezmyślny pilot, który ich zauważył i próbuje teraz nastraszyć.

Powłoka samolotu była na tyle cienka, że kule mogły trafić w pilota lub w jakąś ważną część maszyny, taką jak zbiorniki paliwa. Bren nie znał konstrukcji aż tak dobrze. To nie jego zmiana, zbudowali go pewnie za kadencji Wilsona...

Serce zabiło mu w panice. Kolumna zatrzymała się i zawróciła do ataku. Trzymał Nokhadę na krótkiej wodzy, a wokół niego wszyscy strzelali w górę.

Samolot przeleciał nad nimi z rykiem silników, a nad ich głowami nastąpiło kilka eksplozji, wywołując panikę wśród mecheiti. Po jasnych rozbłyskach ognia zostały obłoczki dymu. Po zboczu stoczyło się kilka głazów, wywołując lawiny żwiru.

– Rzucają ładunki wybuchowe – ktoś powiedział.

Bomby. Granaty. Atevi potrafią sobie radzić z liczbami. Nie robią tak dużo błędów.

– Nie wyliczyli dobrze czasu – gorączkowo powiedział Bren do Banichiego, który zatrzymał się obok niego. – Wybuchły nad nami. Poprawią to. Przystawią zapalniki. Nie możemy dopuścić do następnych prób.

– Nie mamy wyboru – odparł Banichi. Atevi się nie pocą, ale Banichi był spocony. Jego twarz przybrała kolor, jakiego Bren nie widział jeszcze u żadnego atewy. Spokojnie wymienił magazynek w pistolecie. Niewiele już mu ich zostało u pasa.

Samolot zawracał. Grupa ruszyła szybko za Babsem, posuwając się w dół drogą wyznaczoną przez strumień. Nie zważając na zarośla, mecheiti zbiły się tak ciasno, na ile pozwalało im ukształtowanie terenu.

Zmienia wysokość, zmienia równanie, pomyślał Bren. Tylko to im zostało oprócz znalezienia osłony, której tu nie było, podczas gdy atewski pilot usiłował wyliczyć miejsce zrzutu. Ktoś obok krzychał o skoncentrowaniu ognia na kadłubie i pilocie, a nie na skrzydłach, zbiorniki paliwa są bardziej w środku.

To szaleństwo. Bren usłyszał ryk silników i spojrzał w górę. Samolot pikował prosto na nich, tym razem z boku, znad góry leżącej po drugiej stronie drogi, co dawało im wąskie pole ostrzału.

Wybuchy wstrząsnęły zбочem nad nimi, obsypując ich kawałkami skał i ziemią – Nokhada podskoczyła i rzuciła głową, starając się dosięgnąć niewidzialnego wroga.

– Drań robi się sprytny – ktoś zauważył, a Ilisidi poprowadziła ich szybko za odnogę wzgórza, zjeżdżając z drogi. Słyszeli, że samolot znów zawrócił.

Z południa dało się słyszeć odległe dudnienie. Zbliżała się burza.

Boże, proszę cię, pomyślał Bren. Chmury i osłona. Przygotował się na uderzenie bomb. Na myśl o możliwym ratunku zaczęły mu drzeć ręce. Spocił się pod pachami.

Jeszcze jeden przelot. Bomba spadła za nimi i podpaliła zarośla.

Natychmiast potem przeleciał nad nimi drugi samolot i zrzucił bomby po drugiej stronie wzgórza.

– Są dwa – zawołał Giri. – Cholera!

– Ten ciągle nie może wyliczyć – powiedział Banichi. Samolot numer jeden wracał. Złapał ich na otwartym stoku. Banichi, Jago, Cenedi i cała reszta spokojnie celowała, prowadząc samolot na muszkach – w ostatniej chwili Cenedi powiedział:

– Za osłoną silnika.

Otworzyli ogień. Strzały odbiły się echem od przeciwległego wzgórza.

Samolot przeleciał im nad głowami i nie zrzucił bomb. Minął szczyt wzgórza i w sekundę później ziemią wstrząsnął głośny wybuch.

Nie było żadnych wiwatów. Drugi samolot nadlatywał szybko i znów trzeba było uciekać, wybierając drogę wśród skał. Znowu zagrzmiało. Wydawało się, że to grzmot. Nadleciał drugi samolot i zrzucił bomby. Za wcześnie. Trafiły w szczyt wzgórza.

Wtedy zjechali ostro w dół wąskim żlebem, co jeszcze bardziej utrudniło samolotowi zadanie. Usłyszeli, że się zbliża. Silnik mu się krztusił, a w oddali dudnił przetaczający się grzmot – to musiał być grzmot.

Samolot jest uszkodzony, pomyślał Bren. Coś z nim jest nie tak. Boże, w tym cała nadzieja.

Nie sądził, że rzuci bomby. Patrzył, jak przecina wąski pasek nieba, widoczny w górze.

Wtedy tuż nad nimi nastąpił wybuch. Nokhada rzuciła się w bok. Coś ostrego uderzyło Brena w ramię, a jadący obok niego ateva bez żadnego powodu spadł na ziemię. Bren zobaczył błyskawicznie zbliżające się krzewy i podniósł rękę, żeby osłonić twarz. Nokhada popędziła w górę i zatrzymała się obok Babsa.

Bren był na wpół ogłuszony wybuchem, ale mimo to słyszał, jak jakiś mecheita kwiczy z przerażenia czy bólu. Obejrzał się – w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą się znajdował, zobaczył kilku jeźdźców. Spróbował zawrócić, Nokhada miała jednak inne zdanie i uparcie go nie słuchała. Potem ci inni jeźdźcy dołączyli do nich.

W dalszym ciągu jednak widział Banichiego; wśród spieszonych atevich dostrzegł Jago i usłyszał pojedynczy strzał. Kwik urwał się nagle, zostawiając po sobie ciszę i dzwonienie w uszach. Po chwilowym zamieszaniu i jeszcze jednym kółku zatoczonym niechętnie przez Nokhadę, wszyscy znaleźli się w siodłach i ponownie ustawili w kolumnę.

Jeden z jeźdźców podjechał do czoła i złożył raport Cenediemu i Ilisidi. Trzech martwych, wśród nich Giri.

Bren poczuł wtedy – właściwie nie wiedział, co. Cios w żołądek. Utratę kogoś, kogo znał, pewnej stałej, kiedy wszystko wokół się zmieniało. Odczuł to osobiście, zarazem jednak cieszył się, że to nie Banichi ani Jago, miał też niejasne wrażenie, że jego poczucie straty wynika z egoizmu i jest oparte na ludzkich kryteriach, nie mających nic wspólnego z man'chi czy uczuciami lub brakiem uczuć atevich.

Nie wiedział już, co jest dobre, a co złe. Bolała go głowa. W uszach mu wciąż dzwoniło, a powietrze, którym oddychał, śmierdziało dymem i prochem. On sam i Nokhada byli pokryci ziemią, choć znajdowali się tak blisko czoła kolumny. Ziemią i kawałkami liści. Bren nie był pewien, czym jeszcze, i nie chciał tego wiedzieć. Pamiętał tylko wybuch bomby, fale powietrza i odłamków, wybuch, który połączył się w jedno z wybuchami na drodze. Przypomniał sobie, że coś mocno uderzyło go w ramię. Wciąż bolało. Ta pojedyncza celna bomba to szczęśliwy przypadek. Więcej już się to nie powtórzy.

A może przy kolejnym ataku... Nie wiedział, jak daleko jeszcze mają jechać ani jak długo wrogowie mogą podrywać samoloty z lotniska w Maidingi i atakować, podczas gdy oni nie mogli nic, ale to zupełnie nic na to poradzić.

Drugi samolot jednak nie wrócił – nie wiadomo, czy rozbił się w górach, czy dotarł na lotnisko. Tymczasem grzmiało coraz głośniejsze.

Po chwili pojawiło się więcej chmur, a wraz z nimi najpierw zimny podmuch, a potem deszcz i grzmoty. Jeźdźcy wokół Brena sięgnęli do juków, nie zsiadając na ziemię, wyciągnęli czarne plastikowe peleryny i zaczęli je wkładać przy pierwszych spadających kroplach. Bren miał nadzieję, że też dostał coś takiego i znalazł pelerynę w juku przy kolanie.

Ktoś o niego zadbał – była przecież pora zimnych górskich deszczów. Wydobył pelerynę, gdy zaczęło padać, włożył ją przez głowę, przykrył siebie i siodło i zapiął pod szyją w chwili, kiedy zaczął się chłodny potop, oślepiające gwałtowne podmuchy wiatru i woda ściekająca po szyi.

Plastik zatrzymywał ciepło ciała jego i Nokhady, wiatr i chmury przykrywające wzgórza stanowiły ochronę przed samolotami, a jeśli nawet Bren drętwiał z zimna w miejscach, gdzie plastik przylegał mu do ciała albo szarpany wiatrem podwijał się, odsłaniając koszulę i kaftan, które zaczynały już przemakać, to każda niedogodność spowodowana przez burzę była lepsza od ataków z powietrza.

Ponieważ Bren wierzył Nokhadzie, że będzie szła za Babsem, wsadził sobie dłonie pod pachy i zastanawiał się, skąd Ilisidi bierze tyle sił, bo im bardziej pozwalał sobie na rozluźnienie, tym bardziej mu ich brakowało i tym bardziej zaczynał się trząść z zimna. Chudzi szybciej przemarzają, powiedział Giri. Bren był pewien, że to powiedział Giri, który teraz był martwy, rozrzucony po całym wzgórzu.

W myślach ciągle słyszał wybuchy.

Kiedy zamykał oczy, ogarniała go ciemność, wracał myślami do tamtej piwnicy, słyszał grzmoty i czuł pistolet przytknięty do skroni. Wiedział, że Cenedi zrobi to jeszcze raz i bez udawania, ponieważ złość Cenediego na ludzi była związana z ambicją Ilisidi oraz tym, co atevi mogli osiągnąć, a czego nie, zanim statek pojawił się na orbicie. Tyle Bren jeszcze rozumiał. Man'chi Cenediego było związane z Ilisidi, buntownicy zaproponowali Ilisidi wejście z nimi w patronat, Ilisidi kazała Cenediemu dowiedzieć się, kim jest paidhi, i w oczach Cenediego to była jego wina, że Ilisidi nie przyjęła propozycji buntowników.

Stąd brał się gniew Cenediego – na niego, na to, że Ilisidi przestała walczyć o miejsce w Shejidan, poddając się wiekowi, czasowi, Bóg wie jakiej motywacji. Paidhi ostatnio zwątpił w swoją umiejętność rozumienia czegokolwiek, nawet siebie. Stał się towarem wymiennym wśród atewskich frakcji. Nie wiedział nawet, czyją jest w tej chwili własnością – nie wiedział, dlaczego Cenedi czekał na wzgórzu na Banichiego.

Nie wiedział, dlaczego Jago jest na niego zła, że poszedł po Banichiego.

Jago... Weszła w układ z Cenedim? Zdradziła Tabiniego i Banichiego? Chyba nie.

Nie chciał o tym myśleć, ale on nie kierował się logiką, tylko ludzkimi odczuciami, które w jej przypadku nie miały żadnego zastosowania. Mimo zamętu, panującego w jego myślach, to jedno wiedział. Nie zmienił jednak zdania.

Wzgórze za wzgórzem w oślepiającym deszczu.

A potem następny głęboki żleb, gdzie wysokie zarośla okrutnicy dawały schronienie przed podmuchami wiatru, a ich nitkowate liście ociekały wodą i robiły im zimny prysznic przy najłżejszym dotknięciu, celnie trafiając za kołnierze.

Te zarośla jednak stanowiły ich pierwszą osłonę przed wiatrem i Ilisidi zarządziła odpoczynek. Zgromadziła się wokół niej cała dwunastka – Bren z przerażeniem zobaczył, że

zostało tylko dwanaścioro jeźdźców i sześć zapasowych mecheiti, podążających za nimi przez krzaki i kamieniste zbocza. Nie zdawał sobie sprawy ze strat, nie liczył ofiar... Nie wiedział, czy stracili pozostałych, czy też na jakiś cichy sygnał, którego nie zauważył, grupa się podzieliła.

Przytrzymał się rzemieni do wsiadania i zsunął się po mokrym boku Nokhady, wcale nie mając pewności, czy potrafi wsiąść bez pomocy, ale potrzebował odpoczynku. W pierwszej chwili musiał stać, trzymając się rzędu Nokhady, bo nogi miał jak z waty. Nad ich głowami błysnęło i zagrzmiało. Ledwo szedł po śliskim od deszczu zboczu, musiał się chwycić gałęzi oraz napotykanym głazów. Szedł jak pijany, szukając jakiegoś cieplejszego miejsca, choćby tylko trochę osłoniętego od wiatru. Zobaczył, że Banichi zsiadł, ruszył więc w jego kierunku. Zebrało się tam czterech mężczyzn i Jago. Jeden z nich ukląkł i ujął Banichiego za kostkę. Nasiąknięty wodą wysoki but mocno i boleśnie opinał spuchnięty staw.

– Złamana, Jago-ji? – zapytał Bren, kucając obok niej.

– Prawdopodobnie – odparła ponuro, nie patrząc na niego. Dzięki zapobiegliwości stajennych, oboje z Banichim mieli peleryny. Jago skuliła się, nie patrząc na Brena, nic do niego nie mówiąc, nie mając ochoty na rozmowę; wyczytał to z ramienia, którym się do niego odwróciła. Nie było to jednak miejsce na sprzeczki: Banichi cierpiał ból i panowało ogólne napięcie.

Mężczyzna zajmujący się Banichim przynajmniej wyglądał na pewnego siebie – Bren pomyślał, że może jest nawet prawdziwym lekarzem. Tabini miał takiego w swojej straży. Podobne zabezpieczenie się ze strony Ilisidi byłoby rozsądne, zważywszy na jej szalone eskapady i politykę, do której się mieszała.

– Nie dotykajcie buta – rzekł Banichi na propozycję rozcięcia cholewy. – On wszystko trzyma. Mogę przynajmniej...

Przy tych słowach mężczyzna delikatnie dotknął kostki. Banichi odrzucił głowę w tył i syknął przez zęby.

– Przepraszam – rzekł ateva i powiedział coś do jednego z ochroniarzy klęczących obok niego. – Wytnij mi dwa albo trzy łupki.

Podszedł do nich jeszcze jeden ateva, żeby popatrzeć. Jego kroki szeleściły po namokniętych liściach, stukały czasem o skałę. Jago kuciała i chuchiała na złączone dłonie, żeby je ogrzać. Banichiemu nie podobało się, że stanowi ośrodek zainteresowania. Opuścił się na ziemię i leżał, patrząc w mżawkę, nie zwracając na nic uwagi. Ziąb musiał przeniknąć przez plastikową pelerynę, przezorność personelu nie była jednak tak duża, by zabrać koce czy namioty.

Podeszła, kulejąc, Ilisidi. Podpierała się laską, z drugiej strony podtrzymywał ją Cenedi. Wywiązała się kolejna dyskusja między Ilisidi i domniemanym lekarzem na temat tego, czy Banichi złamał nogę w kostce. Banichi, ponury, podparł się na łokciu i powiedział, że noga

zdrętwiała, kiedy ciężarówka wyleciała w powietrze, a on dokończył dzieła, gdy wyskakując z wozu pod ostrzałem, uderzył nogą w kamień.

Była to najbardziej szczegółowa relacja na temat zasadzki, jaką Bren usłyszał dotąd od Banichiego.

– Możesz na niej chodzić? – zapytał Cenedi.

– W razie konieczności – odparł Banichi, co niczego nie mówiło o jego prawdziwym stanie. Bren sądził, że kostka jest złamana. Noga nie spoczywała prosto. – I niechętnie, nadi. O jakim chodzeniu myślisz?

– Poza lotniskiem w Maidingi, które wydaje się nieosiągalne, istnieją dwie, ostatecznie trzy drogi, którymi można się stąd wydostać. – Zagrzmiało. Cenedi odczekał, aż grzmot się przetoczy. Deszcz padał równo. – Potwierdziło się, że możemy polegać na Wigairiin i jego pasie startowym – stąd fałszywe tropy prowadzące przez jezioro i południowy zachód. Teraz jednak nasz plan rozpadł się w kawałki. Buntownicy w okręgu Maidingi nie mają już wątpliwości, że nasza odpowiedź co do ich patronatu jest negatywna i że kierujemy się na zachód. Nie mogą być tak głupi, żeby zapomnieć o naszym związku z Wigairiin.

– Na północ stąd – rzekł Banichi.

– Na północny zachód. Na skraju wzgórz. Buntownicy na pewno zajmą tamtejszy pas startowy – albo go zniszczą.

– Uderzenie na Wigairiin byłoby głupie – odezwała się Ilisidi – zanim się nie upewnią, że i Malguri, i Wigairiin nie przystąpią do nich. A tego nie wiedzieli do chwili, kiedy wyjechaliśmy ze stajennego dziedzińca.

– Nie jest to lądowisko łatwe do opanowania z powietrza – rzekł Cenedi. – Kosztowne przedsięwzięcie.

– Chyba że przetrzucili siły lądem, spodziewając się odmowy Malguri – zauważył Banichi.

– Możliwe – odparł Cenedi. – Powiem ci jednak, jakie mamy inne możliwości. Jest granica. Prowincja Fagioni, tuż u stóp płaskowyżu Wigairiin. Może to być miękka granica. Cholernie miękka w ciągu kilku godzin, jeśli Wigairiin padnie, a możemy się tylko domyślać, gdzie granica z lojalnym terytorium stwardnieje później, po upadku Wigairiin. Jest też otwarty teren, jeśli ominiemy Wigairiin i okręg Fagioni, i zapuścimy się na teren tamtejszego rezerwatu. To trzysta mil pustkowiec, mnóstwo zwierzyny. Za to żadnej osłony.

– Więcej ataków z powietrza – wtrąciła Ilisidi.

– Jeśli wybierzemy tę drogę, to równie dobrze moglibyśmy się poddać. – Banichi podciągnął się wyżej, żeby usiąść, skrzywił się i wsparł na łokciu. – W Fagioni jest końcowa stacja linii kolejowej, znajdującej się w budowie. Jeśli mają choć trochę oleju w głowie, to ją opanowali. Duże siły już zostały wysłane. Burza nie zatrzyma pociągów. Wiedzą, że nie przepłynęliśmy jeziora. Znają nastroje polityczne po tej stronie. Ty stanowiłaś jedyny znak zapytania, nand' wdowo.

– Podobnie jak Wigairiin – rzekł Cenedi.

– Jest jeszcze południe – powiedział Banichi. – Maidingi.

– Przy dwunastu osobach? Wyłapałoby nas w ciągu godziny. Jeżeli prognoza pogody była dokładna, to do wieczora mamy tę burzę. To nasza osłona. Możemy dotrzeć do Wigairiin. Możemy się stamtąd wydostać.

– Czym? – zapytał Banichi. – Wybacz. Samolotem, który stanowi nisko latający cel?

– Odrzutowcem – odparł Cenedi.

Banichi zmarszczył brwi i powoli wciągnął powietrze, jakby się zastanawiał nad tym, co usłyszał.

– Ile czasu upłynęło od zajęcia Maidingi? – zapytał. – Cztery, pięć godzin? Tabini ma do dyspozycji samolot rejsowy. Właściwie mógłby już być w Maidingi. Mógłby przerzucić tam jakieś siły.

– A cały bunt mógłby być już stłumiony – odezwała się Ilisidi – tylko że nie dałabym za to głowy, nadiin. Patronat jeszcze się trzyma tylko dzięki zawierzeniu przez ogół zasadom Tabiniego. Odpowiedzieć na powstanie przeciwko niemu brutalną siłą zamiast negocjacjami, gdy nad głowami atevich wyraźnie wisi topór? Nie. Tabini wykonał już swój ruch, wysyłając Brena-paidhiego do mnie. Jeśli ten samolot wystartuje z Wigairiin, jeśli ja, znana przeciwniczka Traktatu, osobiście zwrócę mu paidhiego, to wytrączę im broń z ręki. To wojna polityczna, nadiin.

– Materiały wybuchowe spadające nam na głowy, nand' wdowo, nie były rezultatem nagłego natchnienia. Zostały przygotowane zawczasu. Wcześniej też postanowiono zrzucić je z samolotu. Z pewnością zostałam poinformowana o zakresie ich przygotowań.

– Z pewnością mój wnuk poinformował cię, nadi – odparła Ilisidi – o zakresie swoich.

O czym my mówimy? zadał sobie pytanie Bren. O co oni się wzajemnie pytają?

O zdradę?

– Tak się składa – rzekł Banichi – że powiedział nam bardzo mało. Na wypadek, gdybyś pytała.

Mój Boże.

– Jedziemy do Wigairiin – odezwał się Cenedi. – Nie zamierzam stawiać życia 'Sidi na Maidingi albo na to, co mógł zrobić, lub nie, Tabini.

– Muszę zostawić to wam – powiedział Banichi, krzywiąc się i nieco przesuwając łokieć.

– Znacie ten teren. Wiecie, kto tu mieszka.

– A zatem wszystko jasne – rzekła Ilisidi i przypieczętowała swoje słowa sztychem laski w namokłą ziemię. – Dzisiejszej nocy. Jeśli deszcz nie przestanie padać. Cenedi mówi, że w razie turbulencji nie jest to łatwe lotnisko. Szczególnie, jeśli strzelają do samolotu z ziemi. O ile tam dotrzemy, możemy je utrzymać, mając dwie strzelby, a przez resztę nocy odpocząć i zawiadomić mojego leniwego wnuka, żeby po nas przyleciał.

– Lądowałem tam – odezwał się Cenedi. – Osobiście. To wąski teren, jeden krótki pas startowy. Startuje się i ląduje tuż nad urwiskiem, za stromą skałą, gdzie mogą siedzieć snajperzy. Dom to willa z XVII wieku, połączona z Fagioni zwirową drogą. Poprzednia aiji miała zbyt arystokratyczne maniery, by latać do Maidingi i tam korzystać z samolotów rejsowych. Żeby wybudować sobie lotnisko, kazała zburzyć XIV-wieczny mur obronny.

– Komisja Konserwacji podniosła straszny rejwach – dodała Ilisidi. – Odrzutowcem lata, i utrzymuje go, syn aiji. Jest tam miejsce dla dziesięciu osób. Nasza dwunastka zmieści się z łatwością. Cenedi ma uprawnienia, a baki będą pełne.

– Jeżeli buntownicy nie wprowadzili do Wigairiin nikogo od siebie – powiedział Cenedi – albo nie wysłali oddziału do Fagioni, żeby dotarł tam lądem, jak mówiłeś. W wypadku, gdy będziemy musieli zająć lotnisko siłą, nadiin, czy przyłączycie się do nas? To właśnie może być ten konieczny spacer.

– Oczywiście – odrzekł ponuro Banichi. – Jestem z wami.

– Absolutnie – potwierdziła Jago.

– Paidhi będzie wykonywał rozkazy – powiedział Cenedi.

– Będę... – zaczął Bren, ale Jago uderzyła go wierzchem dłoni w kolano.

– Paidhi – rzekła zimno – będzie robił to, co mu się powie. Dokładnie to, co mu się powie.

– Chciałbym... – zaczął mówić we własnym imieniu, że rozumie, ale przerwała mu Jago:

– Zamknij się do cholery, nadi.

Zamknął się. Jago postawiła go w krępującej sytuacji. Gniew i napięcie między Banichim i Cenedim były wprost wyczuwalne. Bren patrzył na rozmokłą ziemię i obserwował, jak krople deszczu padają na zeszłoroczne liście i porozrzucane kamienie, a atevi omawiali położenie Wigairiin i lotniska oraz związki aiji Wigairiin z Ilisidi. Tymczasem domniemany lekarz przyniósł łupki – trzy proste patyki – i bandaż, po czym zajął się kostką Banichiego.

– Mocno, nadi – Banichi przerwał omawianie strategii, a lekarz odparł krótko, że powinien zająć się tym, na czym się zna.

Banichi zmarszczył się wtedy i odchylił do tyłu – pewnie go zabolalo – i wyłączył się z rozmowy. Jago zadawała szczegółowe pytania o układ terenu.

Na południu podejście do Wigairiin zagrażał stary mur z historyczną, ale używaną żelazną bramą; nie sądzili jednak, że będzie przed nimi zamknięta. Tuż przed tym podejściem planowali odesłać mecheiti do Malguri z jednym atewą, który miał je odprowadzić, posuwając się na północny zachód wzdłuż muru.

Dlaczego nie umieścić ich w stajni w Wigairiin? zapytał w duchu Bren. Dlaczego nie zostawić ich w odwodzie, gdyby sprawy przybrały zły obrót i musieli uciekać?

Wydawało się, że jak na kobietę, która najwyraźniej dużo wiedziała o atakowaniu fortec, o lotniskach i strategii, Ilisidi, pozbywając się takiego wsparcia, postępuje głupio. Jeszcze głupsze było to, że Cenedi pozwolił jej na wydanie takiego rozkazu, a zgoda na to Banichiego

i Jago była dla Brena zupełnie niezrozumiała. Już chciał coś powiedzieć na ten temat, ale przecież Jago kazała mu się zamknąć, a on i tak nie pojmował, co się dzieje.

Najlepiej zapytać później, pomyślał.

Wdowa prawdopodobnie wyżej ceniła Babsa niż kogokolwiek z nich. To nawet potrafił zrozumieć. Była już stara. Pomyślał, że gdyby cokolwiek stało się Babsowi, to Ilisidi straciłaby coś, czego nic by jej już nie zastąpiło.

To był ludzki sposób myślenia. W gruncie rzeczy, tak jak zawsze, ilekroć chodziło o uczucia atevich, Bren nie miał pojęcia, co czuje Ilisidi względem Babsa, za skaleczenie którego zaatakowała kiedyś winnego. Zapominając o tym choćby na chwilę, wpadało się w pułapkę, w niepokojące koleiny ludzkiego myślenia, i to w samym środku wydarzeń, od których rozdzwaniały mu się dzwonki alarmowe wzdłuż kręgosłupa, podczas gdy on sam nie potrafił właściwie odczytać sygnałów dawanych mu przez Banichiego i Jago. Boże, co tu się dzieje?

Nie mógł jednak złożyć całego obrazu, nie znając motywów postępowania Ilisidi, nie wiedząc, co najbardziej ceni, do czego podchodzi logicznie, a do czego nie chce stosować logiki.

Takimi właśnie zawikłanymi ścieżkami biegły jego myśli. Posuwał się wzdłuż fałszywych łańcuchów logicznych, dopatrując się powiązań między odseparowanymi wydarzeniami, usiłując znaleźć te szczegółowe i niestałe punkty, które niegdyś przekonały go, by wierzył w to, co uznał za prawdziwe – wskazówki dotyczące motywacji i postawy politycznej osób, które kłamały, podając mu do wierzenia najbardziej podstawowe fakty.

Iść za głosem instynktu? To najgorsza rzecz, jaką mógłby kiedykolwiek zrobić paidhi. Instynkt to ludzka cecha. Uczucia są ludzkie. Rozsądne oczekiwania z całą pewnością są ludzkie...

Ilisidi powiedziała, że powinni już ruszać. Według atewskiego osądu mieli przed sobą dobre pięćdziesiąt mil i wdowa oceniała, że powinni dotrzeć na miejsce przed północą.

– Naszym atutem jest szybkość – powiedziała – czego te mieszcuchy na pewno nie będą się spodziewały. Nie wiedzą, że mecheiti potrafią przebyć te wzgórza bardzo szybko. Zapomnieli cholernie dużo. I cholernie dużo o tej ziemi nigdy się nie nauczyli.

Wstając, oparła się na lasce. Bren chciał wierzyć w Ilisidi. Chciał wierzyć w to, co mówi. Emocjonalnie – zgodnie z ludzką psychiką – chciał wierzyć, że wdowa kocha tę ziemię i chce ją uratować.

A z intelektualnego punktu widzenia chciał wiedzieć, dlaczego odsyła mecheiti do Malguri – gdzie prawdopodobnie buntownicy jedzą śniadanie na historycznej porcelanie.

Nie wstał z innymi. Zaczekał, aż lekarz spakuje swoje rzeczy i odejdzie.

– Banichi-ji – odezwał się, klęcząc. Starał się mówić jak najciszej. – Wdowa odsyła mecheiti. Mogą się nam jeszcze przydać. Czy to rozsądne, nadi-ji?

Żółte oczy Banichiego niczego nie wyrażały. Zamrugął, ale jego usta pozostały nieruchome.

– Banichi, dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego Tabini zrobił to, co zrobił? Dlaczego po prostu mnie nie zapytał, po której stronie stoję?

– Wsiadaj, nadi.

– Dlaczego się rozzłościłeś, kiedy przyszedłem ci pomóc? Cenedi zostawiłby cię tam bez wsparcia, bez...

– Powiedziałem: wsiadaj. Ruszamy.

– Czy ja się całkowicie mylę, Banichi? Odpowiedz mi. Dlaczego wdowa odsyła mecheiti, skoro nie mamy jeszcze pewności, że nic nam nie grozi?

– Pomóżcie mi wstać – rzekł Banichi i sięgnął po rękę Jago. Bren chwycił go za drugą i Banichi wstał chwiejnie, wypróbując obandażowaną kostkę. Nie udało się. Banichi syknął i przy ich pomocy pokuśtykał do swego mecheity. Chwycił rzemienie do wsiadania.

– Banichi-ji. – Być może to była ostatnia chwila, kiedy Bren miał Banichiego i Jago wyłącznie dla siebie. Był zdesperowany. – Banichi, oni nas okłamują. Dlaczego?

Banichi spojrział na niego i przez jedną straszliwą chwilę Bren poczuł, jak to jest stawić czoło Banichiemu... zawodowo.

Banichi jednak odwrócił się, chwycił najwyższy rzemień przy siodle i skokiem, który nie zdradzał jego wzrostu i wagi, usadowił się na wierzchowcu bez zmuszania go do ugięcia nogi. Jago lekkim pchnięciem pomogła mu przerzucić nogę przez siodło, Banichi chwycił wodzę i zwiesił obandażowaną nogę, nie wkładając stopy w strzemię.

Banichi nie potrzebował jego pomocy. Atevi nie mieli przyjaciół, atevi opuszczali się nawzajem w obliczu śmierci. Paidhi miał przemyśleć sobie ten fakt dotyczący życia i śmierci, a żeby to wszystko wyjaśnić, powinien znaleźć dla niego jakieś racjonalne wytłumaczenie, możliwe do przyjęcia przez innych ludzi.

W tej jednak chwili, posiniaczony przez atevich paidhi nie rozumiał, nie potrafił, nie chciał zrozumieć, dlaczego Banichi miałby umrzeć bez najmniejszego powodu ani dlaczego Banichi też go okłamywał.

Atevi wsiadali, gotowi do odjazdu. Jeśli Bren nie wsiądzie na Nokhadę, to Nokhada odejdzie, był o tym święcie przekonany, a oni wrócą, żeby dowiedzieć się, o co chodzi i nikt nie będzie zadowolony z jego postępowania. Przyśpieszył kroku, kuśtykając na skos po stoku, i złapał Nokhadę.

Wtedy usłyszał za sobą kroki kogoś prowadzącego mecheitę po nasiąkniętych liściach. Odwrócił się.

To była Jago. Bardzo rozgniewana Jago.

– Nadi – odezwała się. – Nie dysponujesz jedynymi słusznymi poglądami na świecie. Tabini-ji powiedział ci, gdzie masz być i co robić. Słuchaj go.

Podciągnął pelerynę przeciwdeszczową i rękaw kaftana, pokazując sine ślady na przegubie ręki.

– To za ich gościnność zeszłej nocy, za pytania wdowy – na które odpowiedziałem, Jago-ji, odpowiedziałem na tyle dobrze, że mi uwierzyli. Nie ponoszę żadnej winy za to, co się dzieje, do cholery. Nie wiem, co takiego zrobiłem od wydarzeń w apartamencie wdowy, że tak na mnie patrzysz.

Jago uderzyła go w twarz dostatecznie mocno, żeby Bren musiał oprzeć się o bok Nokhady.

– Rób, co ci się mówi! – powiedziała. – Czy słyszę jeszcze jakieś pytania, nadi?

– Nie – odparł, czując w ustach smak krwi. Oczy mu łzawiły. Jago odeszła i wsiadła na mecheitę, cały czas odwrócona do niego plecami.

Uderzył Nokhadę mocniej, niż zamierzał. Ugięła nogę i została w przykłęku, dopóki nie włożył stopy w strzemię i nie usiadł pewnie w siodle. Na oślepa, ze złością szukał drugiego strzemienia, z furią odgarnął zawadzającą pelerynę. Nokhada ruszyła ostro do przodu. Po głowie i po ręce, którą próbował się osłonić, smagnęło go nisko zwisające pnącze.

Jago nie uderzyła z całej siły – zostawiła mu tylko na twarzy płonący odcisk dłoni, ale nie to było ważne. Liczył się gniew – jej i jego, gniew, który znalazł sobie bardzo czułe miejsce i mocno, boleśnie w nie uderzył.

Bren nie wiedział, co takiego powiedział czy zrobił. Nie wiedział, czym sobie zasłużył na jej nieopanowaną, a może wykalkulowaną złość, poza tym, że Jago nie podobały się pytania, które zadał Banichiemu. Głos rozsądku podszeptował mu, że w coś wdepnął. Gdyby odrzucił wszelkie osobiste uczucia, gdyby przypomniał sobie dokładnie, co powiedział on i wszyscy inni, to może doszedłby do jakichś wniosków. To jego zadanie. Nawet jeśli atevi nie chcieli, żeby je wykonał. Nawet jeśli nie miałby dotrzeć tam, gdzie mu obiecali.

Na chwilę zapomniał o wzgórzu. Był na balkonie Ilisidi, na przenikliwym wietrze, w ciemnościach, gdzie Ilisidi cisnęła mu w twarz fakty i prawdę, w którą nie mógł już wierzyć, tak jak nie mógł wyrzucić z pamięci fragmentów niedawnej sprzeczki.

Znajdował się na górze, sam, widział tylko śnieg...

Był na zalanym deszczem stoku, gdzie Jago opuściła Banichiego, przeklinając Brena za to, że wrócił po jej własnego partnera – w kłębach dymu, pod gradem śmigających we wszystkich kierunkach pocisków.

Pochłonęła go piwnica, chwila ciemności, beznadziejnego przerażenia... Nie wiedział, skąd się wzięła ta nawała obrazów, przesłaniająca mokre od deszczu zarośla i jadących przed nim Ilisidi i Cenediego.

To wstrząs spowodowany minioną nocą, naturalna reakcja, powiedział sobie w duchu Bren, tak jak powracające w pamięci szczegóły wypadku, które nakładają się na obecne

wydarzenia – ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Nigdzie wokół niego nie było bezpiecznego miejsca. I być może nigdy już nie będzie, tyle że przestały spadać bomby, a on musi się skupić i zająć się tym, co w tej chwili szarpie za linki jego dzwonek alarmowych.

Banichi nie bez kozery zarzucił Ilisidi przygotowanie tych bomb.

Banichi nie był lekkomyślny. Chciał się czegoś dowiedzieć i udało mu się: Ilisidi zapytała go ostro, co wie, a Banichi stwierdził, że nie zna planów Tabiniego, dając jej w ten sposób do zrozumienia, że jeśli się odważy, może go zabrać do tej piwnicy i spróbować coś z niego wydobyć.

Jaki Banichi miał cel w tej konfrontacji? Po co Ilisidi zadała mu to pytanie, skoro tyle innych rzeczy było niepewnych?

Kwestionując intencje Tabiniego...

Boże, mózg przestaje mu funkcjonować. Gubi wątki. Robiło się ich coraz więcej, a myśli kłębiły mu się pod czaszką – to pozbawione sensu, to znów przyprawiając go o straszliwy, irracjonalny strach, że wciąż jeszcze nie rozgryzł atevich, z którymi przebywa.

Jago nie poparła Banichiego w żadnym punkcie. Jago zaatakowała jego, Brena, kazała mu się zamknąć, poszła za nim na drugą stronę wzgórza, żeby powtórzyć mu dokładnie to samo, co już powiedziała przedtem, a potem uderzyła go w twarz. Mocno.

Nikt nie wziął jej tego za złe. Ani Ilisidi, ani Banichi. Na pewno o tym wiedzieli. I nikt jej nie powstrzymał. Nikt nie miał jej tego za złe. Nikogo to nie obchodziło, bo znajdujący się wśród nich człowiek nie odczytał sygnałów. Być może wszyscy wiedzieli, dlaczego Jago to zrobiła.

Wątki mnożyły się i plątały. Przez chwilę otoczyła go ciemność i Bren stracił równowagę – odzyskał ją z bijącym sercem, oparłszy rękę na mokrej od deszczu łopatkę Nokhady.

Znów znajdował się w piwnicy. Słyszał kroki, ale wiedział, że to złudzenie. Oberwał po głowie, która bolała go jak diabli, a ból docierał nawet do mózgu. Kroki umilkły, gdy skoncentrował się na szarości wzgórz, dotyku zimnych kropli spadających mu z gałęzi za kołnierz. Nierówny chód Nokhady właściwie nie robił już na nim wrażenia.

Banichi jednak żył. Bren dokonał tego wyboru bez względu na to, jak pojmowali go atevi. Nie potrafiłby odejść i zostawić go wraz z Jago, nie potrafiłby odejść z Ilisidi – nie wiedział, jaka część ludzkiego umysłu podjęła tę decyzję, tak jak atevi nie wiedzieli, dlaczego, tak jak mecheiti, idą za przywódcą, choćby się waliło i paliło. Nie pomyślał, ani przez chwilę nie pomyślał, że aijiin strzelają do siebie właśnie przez paidhiego. W tamtej chwili, kiedy zbiegał w dół, nie miało to dla niego znaczenia i wciąż nie wiedział, czy ma to znaczenie dla innych – na pewno nie dla Tabiniego, który w ciągu godziny mógł otrzymać jego następcę, dla Tabiniego, który nie zamierzał go słuchać, gdyby znalazł się w czyichkolwiek rękach i który nie zamierzał płacić za jego powrót, więc cały ten żart obracał się przeciwko tym, którzy sądzili inaczej. Bren nic już nie wiedział. Wszystko to było zbyt najeżone techniką – więc i ten żart obracał się przeciwko nim.

Jedyną cenną rzecz zawierał jego komputer, który powinien wrzucić do najbliższej głębokiej rozpadliny lub roztrzaskać o skałę, tylko że nie wymazałoby to danych, a jeśli by atevi go znaleźli, to wcale nie jest powiedziane, że ich specjaliści nie daliby sobie z tym rady. A Bren nie chciał, żeby jego komputer dostał się w ręce specjalistów.

Powinien był wymazać te dane ze względów bezpieczeństwa. Gdyby tylko mógł włączyć komputer.

Boże, co robić, żeby uratować sytuację? Dać im do zrozumienia, że komputer jest cenny? A potem zawalić sprawę, pozbywając się go?

Zostawić go w torbie i pozwolić, żeby Nokhada zniosła go z powrotem do Malguri?

W Malguri siedzą buntownicy.

Ciemność. Schody pojawiają się i znikają.

Zwierz na ścianie. Samotny przez te wszystkie stulecia.

Nie mógł porozmawiać z Banichim. Banichi nie mógł chodzić, nie mógł walczyć – Bren nie dowierzał własnym oczom, widząc, jak Banichi leży na ziemi, wycofując się z dyskusji i oddając ich życie w ręce Cenediego.

Cenedi jest jednak zawodowcem. Jak Banichi. Być może oni razem rozumieli to, czego on zrozumieć nie mógł.

Jago przeszła przez wzgórze, żeby obarczyć go winą i dać mu w twarz.

Zimno i ciemno. Kroki w korytarzu. Głosy rozmawiające o czymś do picia, cichnące na schodach.

Do głowy przytknięto mu pistolet, a on myślał o śniegu, o zewsząd otaczającym go śniegu. I ani żywego ducha. Jak Banichi. Po prostu odciał się od wszystkiego.

Poddał się.

Nie rozumiał. Giri nie żyje. Bomby zasypywały odłamkami całe zbocze, a Bren nie wiedział dlaczego, to było zupełnie bez sensu, że bomba spadała na tę, a nie inną osobę. Bomb nic nie obchodziło. Dla jego wrogów jego śmierć musi być równie korzystna jak pojmanie go.

Jednak Cenedi tego nie powiedział.

W głowie Brena pojawiło się coś w rodzaju szumu morza, ból pod wpływem uderzenia Cenediego i ból zadany przez Jago zlały się w jedno i nie pozwalały mu stracić poczucia miejsca.

W jego apartamencie, zanim przyszła wiadomość od Cenediego, zanim wyszła z niego Jago, powiedziała mu... Nigdy cię nie zdradzę, nadi Bren.

Nigdy cię nie zdradzę...

Rozdział 14

Wcale nie szło mu dobrze – jeden ból przeszywał mu oczy, drugi wędrował od łokcia do żołądka, a o jego uwagę współzawodniczyły też dwa czy trzy inne miejsca. Deszcz zmienił się na chwilę w ulewną burzę, po czym przeszedł w niesioną wiatrem mżawkę, a raczej zimną, gęstą mgłę. Niebo było kłębiącą się, szarą masą. Mecheiti szły gęsiego równym, długim krokiem. Babs prowadził je w górę i w dół zalewanych deszczem wąwozów, po zarośniętym brzegu strumienia, gdzie nad ich szlakiem zwieszały się pierzaste liście okrutnicy, z których na głowy i za kołnierze skapywała woda.

Teraz mecheiti znajdujące się na czele kolumny nie walczyły o pierwsze miejsce. Wydawało się, że uspokoiła się nie tylko Nokhada. Być może, że nakazała im to w jakiś sposób Ilisidi za pośrednictwem Babsa, a może po bombardowaniu, w strumieniach zimnego deszczu nawet mecheiti rozumiały potrzebę pośpiechu. Według ustalonego porządku, Nokhada znajdowała się na czwartym miejscu za jednym z ochroniarzy Ilisidi.

Jeden, dwa, trzy, cztery, z regularnością bicia serca, krok, krok, krok, krok.

„Nigdy cię nie zdradzę”. Akurat!

„Jeszcze herbaty?” – zapytał go Cenedi.

I wysłał go do piwnicy.

Oczy Brena łzawiły od bólu pulsującego mu pod czaszką i od uderzeń wiatru w twarz. Przez chwilę całkowicie oładnęło nim pragnienie rozbicia głowy Cenediego o skałę. Nie zapewniłoby to jednak odpowiedzi na pytania ani nie przeniosło go z powrotem na Mospheirę.

Tylko do jakiegoś cholernego miejsca, gdzie Ilisidi ma przyjaciół.

Kolejny dzwonek alarmowy, pomyślał Bren. Przyjaciele. Atevi nie mają przyjaciół. Atevi mają man'chi. Czy ktoś nie powiedział – chyba sam Cenedi – że Ilisidi z nikim nie jest związana man'chi?

Nie przecinali żadnych dróg, nie widzieli żadnej linii telefonicznej, żadnego uprawnego pola ani nie słyszeli choćby odległego dźwięku silnika, tylko regularne uderzenia nóg mecheiti w mokrą ziemię, skrzypienie rzędów, równe, chrapliwe oddechy – to hipnotyzowało: mila za nasiąkniętą deszczem, monotonną milą. Kończący się dzień był świetlistą, wszechogarniającą szarością. Bez względu na to, jak wysoko stało słońce nad wzgórzami, chmury równomiernie rozpraszały jego blask.

W końcu, na płaskim terenie, Ilisidi ściągnęła wodzę. Skrzywiła się, poprawiła w siodle i rozkazała czterem cięższym atevim przesiąść się na idące luzem mecheiti.

Dotyczyło to Cenediego i Banichiego, który powiedział coś z dezaprobatą i przesiadł się bezpośrednio na grzbiet drugiego mecheity. Prócz niego zrobił to w ten sposób tylko jeden z pozostałych – zupełnie jakby Banichi miał już kiedyś do czynienia z wierzchowcami.

Nie uraził przy tym nogi. Spodziewając się tego, Bren obserwował go, zagryzając wargę, dopóki Banichi nie usiadł w siodle.

Napotkał wtedy wzrok Jago i zobaczył w jej oczach mróz, całkowity brak wyrazu – a patrzyła na niego.

Ponieważ teraz ich zachowaniem rządzą ludzkie i atewskie hormony, powiedział sobie w duchu, to, co ściska go za gardło, oraz przypływ emocji, jakiego doświadczył w obliczu zimnej pogardy Jago, stanowi najpewniejszą receptę na katastrofę.

Odetnij się od tego, nakazał samemu sobie. Rób swoje. Przemyśl to.

Jago nie podjechała bliżej. Cała kolumna ustawiła się w poprzednim porządku i pierwsze nierówne kroki Nokhady wyprowadziły go z zasięgu wzroku Jago.

Kiedy się obejrzał, Banichi jechał jak poprzednio – z rękoma wspartymi o łopatki mecheity i z pochyloną głową. Bardzo cierpiał i Bren nie wiedział, czy jadący z nimi domniemany lekarz ma w swojej apteczce jakiś środek przeciwbólowy i czy Banichi go dostał, ale noga złamana w kostce, ujęta w łubki czy nie, musiała puchnąć, skoro zwisała bezwładnie obok strzemienia.

Stan Banichiego przekonał Brena, że jego własne bóle są niegodne uwagi. Przestraszył się na myśl o tym, na co się mogą natknąć i co może z tego wyniknąć, gdyby Wigairiin nie znajdowało się w przyjaznych rękach: Banichi jest ranny, a Ilisidi już raz chciała go zostawić.

Albo jeśli Ilisidi zataiła prawdę co do swoich intencji – Brenowi przyszło bowiem na myśl, że odmówiła buntownikom w Maidingi, ale najwyraźniej konspirowała też z Wigairiin jako starą towarzyszką, która byłaby skłonna związać się buntownikami tylko w wypadku, gdyby zrobiła to Ilisidi.

Oznaczało to chwiejne stosunki i chwiejne sojusze, kruche związki. Co się z nimi stanie pod naciskiem, nie można było przewidzieć.

W piwnicy nagrywali jego odpowiedzi na pytania – mówili, że to machimi, udawanie bez żadnej wartości.

Taśma ta jednak wciąż istniała, jeśli Ilisidi jej nie zniszczyła. Nie zostawiłaby jej w Malguri, dla osób będących podobno jej porzuconymi sprzymierzeńcami.

Jeśli Ilisidi jej nie zniszczyła – to mają tę taśmę, i to przy sobie.

Ściągnął wodzę, powodując zamęt w kolumnie. Udał, że ma jakieś kłopoty ze strzemiem i nie wyprostowywał się, przepuszczając kolejnych jeźdźców, mijających go w szybkim tempie.

Wypuścił wodzę, kiedy minął go Banichi. Ostatni ochroniarze zwolnili, wpuszczając go przed siebie.

– Banichi, istnieje to nagranie – powiedział. – Taśma ze mną. Wypytywanie o broń.

Przy tych słowach szturchnął Nokhadę piętą i prześliznął się szybszym krokiem obok ochroniarzy.

Nokhada uderzyła czwartego mecheitę w zad swymi uzbrojonymi kłami i jego jeździec musiał mocno ściągnąć wodzę, żeby zapobiec bóje.

– Wybacz mi, nadi – rzekł Bren, zdyszany i z mocno bijącym sercem. – Przekreśliło mi się strzemię.

I tak nieomal nie doszło do bójk. Znakomicie wpłynęło to jednak na słabnącego ducha Nokhady, mimo że nie udało się jej zająć ulubionego miejsca w rządzie.

Natomiast wcale nie wpłynęło to dobrze na bolącą głowę i ramię Brena, którego ból, jak sądził, w połowie zawdzięczał wojnie z Nokhadą o wodzę.

Szary dzień powoli zmienił się w sieczony deszczem zmierzch, upiorne półświatło, które niepostrzeżenie przeszło w czarną, bezgwiazdną noc. Bren sądził, że z zapadnięciem mroku będą musieli zwolnić – lecz atewskie oczy widziały w ciemności, a i mecheiti zapewne posiadały tę umiejętność. Babs utrzymywał szybkie, miarowe tempo, idąc z wysiłkiem tylko pod górę, nigdy nie przyspieszając ani nie zwalniając w obniżeniach terenu. Nokhada czasami wypuszczała się naprzód, rzutami głowy i nierównym krokiem dając wyraz dezaprobacie, kiedy trzeci mecheita zachodził jej drogę. Była to nieustanna, koszmarna walka o utrzymanie kontroli nad wierzchowcem; jednocześnie Bren musiał wyteżać słuch na szelest liści z przodu, który ostrzegał go przed nisko wiszącą gałęzią, odgarniętą przez wyprzedzającego go jeźdźca.

Deszcz przestał chyba padać już jakiś czas temu, ale tyle wody kapało z liści nad ich głowami, że Bren tego nie zauważył. Kiedy jednak wyjechali na otwartą przestrzeń, chmury się rozwiały, odsłaniając gwiazdy i pograżone w mroku wzgórza. Widok ten powinien złagodzić odczucie klaustrofobii u Brena – on jednak potrafił myśleć tylko o statku, który zagrażał temu światu, i o tym, że jeżeli nie dotrą do lotniska przed świtem, to nie będą mieli żadnej osłony przed atakiem lotniczym z Maidingi.

Ilisidi powiedziała, że będą w Wigairiin przed północą. Jeśli Bren umiał jeszcze ustalać czas na podstawie polarnych gwiazd, to ta godzina dawno już minęła.

Dajcie mi umrzeć, pomyślał, wyczerpany i obolały, kiedy znów zaczęli wspinać się bez końca na kamieniste wzgórze. Ilisidi zarządziła postój i Bren uznał, że znowu zmienia wierzchołki, co oznaczałoby, że mają przed sobą jeszcze drugie tyle drogi.

Zobaczył jednak na tle nocnego nieba nad wzgórzem poszarpaną linię zarośli okrutnicy. Ilisidi kazała wszystkim zsiąść, mówiąc, że mecheiti dalej nie idą.

Potem Bren żałował, że skończyła się jazda, bo nagle zrozumiał, że pora wyłożyć karty na stół. Podejmowali działanie, przeciwko któremu nie będzie oponować ani Jago, ani Banichi – nie po jego poprzednich daremnych protestach. Boże, ale się bał tej następnej odsłony.

Oprócz Brena, Banichi nie miał żadnego oparcia – nawet ze strony Jago, o ile Bren potrafił się zorientować. A on musiał zająć się komputerem... miał teraz ostatnią szansę odesłania go wraz z Nokhadą – w nadziei, że stajenni, lojalni względem Ilisidi, nie pozwolą, by wpadł w ręce buntowników.

Jeśli jednak buntownicy rzeczywiście zajęli Malguri, to będą zaciekawieni przybyciem mecheiti – a jeśli coś pójdzie źle i oni sami nie odlecą szybko z Wigairiin, to komputer wywoła wielkie zainteresowanie. Wtedy sprawy mogą się potoczyć bardzo, bardzo źle.

Baji-naji. Zostawienie go komukolwiek innemu oznaczało zbyt duże zaufanie Losowi i nadmierne zdanie się na Przypadek. Bren szarpnięciem odwiązał juki i zgarnął je najzwyklejszym, najbardziej niedbałym gestem na świecie – ręce trzęsły mu się cały czas – po czym ześliznął się na ziemię, chwytając się rzemieni do wsiadania.

Dyszał, nogi miał jak z waty. Oparł się o twarde, ciepły bok Nokhady i na chwilę stracił świadomość, poczuł chłód piwnicy, ucisk więzów. Usłyszał kroki...

Spróbował zarzucić torby na ramię.

Czyjaś dłoń dotknęła jego ręki i uwolniła go od bagażu.

– Dla mnie to żaden ciężar – powiedział ateva, a Bren stał jak głupi, wahając się między wiarą we współczucie, nie istniejące u atevich, a obawą przed przebiegłością, za którą mógł się kryć Cenedi. Bren tego nie wiedział, nie myślał, nie chciał robić z tego sprawy, dopóki istniała choćby niewielka szansa, że nie wiedzą o jego komputerze. Djinana mu go przyniosł. Załadowali go stajenni.

Mężczyzna odszedł. Nokhada potrąciła Brena i odeszła wraz z pozostałymi mecheiti: któryś z ochroniarzy Ilisidi dosiadł Babsa i zaczął się oddalać, podczas gdy reszta grupy ruszyła pieszo, prawdopodobnie w kierunku muru, o którym mówiła Ilisidi i w którym – daj Boże – będzie otwarta brama. Nic się nie skomplikuje i wszyscy wsiądą do samolotu, który zawiezie ich prosto do Shejidan.

Mężczyzna, który wziął torby Brena, wyprzedził go, idąc w ciemności pod górę długim, pewnym krokiem, zmierzając w kierunku Cenediego i Ilisidi, co tylko potwierdziło najgorsze podejrzenia Brena. Nie mógł go stracić z oczu i musiał powiedzieć Banichiemu, co się dzieje, ale Banichi, wsparty na Jago i jeszcze jednym atevie, został nieco w tyle.

Bren nie wiedział, kogo ma się trzymać – nie mógł porozmawiać z Banichim na osobności i nie mógł iść z obiema grupkami naraz. W rezultacie kuśtykał w połowie drogi między nimi, przeklinając się za to, że nie zdążył wymyślić odpowiedzi, która powstrzymałaby atewę przed odebraniem mu juków, ani sposobu powiadomienia Banichiego, co w nich jest, bez ujawniania ich zawartości idącemu obok ochroniarzowi. Teraz równie dobrze mógł to wykrzyczeć...

Udać, że potrzebuje czegoś z nesesera?

To może się udać. Przyśpieszył, tracąc na przemian oddech i jasność widzenia.

– Nadi – zaczął.

Kiedy jednak dogonił atewę, zobaczył przed sobą, na samym szczycie wzgórza, obiecany mur. Stara brama otwierała się na oświetloną blaskiem gwiazd, zarośniętą chwastami drogę.

Przybyli do Wigairiin.

Rozdział 15

Mur był samą ciemnością, a brama wyglądała tak, jakby nigdy już nie miała poruszyć się na zawiasach.

Cienie Ilisidi i Cenediego jako jedne z pierwszych pojawiły się wśród chwastów, starych kamieni brukowych i budowli. Droga przypominała ceremonialną drogę w Bu-javid, być może też pochodziła sprzed okresu Ragi. Bren myślał, jak to umysł podąża nieracjonalnymi, fantastycznymi ścieżkami, i rozpaczliwie starał się dogonić ochroniarza Ilisidi, który niósł jego bagaż i komputer.

Banichi i Jago byli gdzieś z tyłu. Atevi na przedzie szli tak szybko, jak mogła nadążyć Ilisidi, podpierając się laską i korzystając z pomocy Cenediego. Kiedy Ilisidi się śpieszyła, potrafiła iść naprawdę prędko. Teraz się śpieszyła.

– Mogę to wziąć, nadi – rzekł Bren, usiłując zdjąć pasek torby z ramienia atewy tak, jak ten zrobił to poprzednio z Brenem. – To nic trudnego. Potrzebuję czegoś z nesesera.

– Nie ma teraz czasu na szukanie czegokolwiek, nand' paidhi – odparł mężczyzna. – Proszę cię, trzymaj się nas.

To było idiotyczne. Zgubił krok, stracił równowagę, po czym rozżłościł się, co wcale nie pomagało podjąć rozsądnej decyzji. Trzymać się blisko tego ochroniarza, nie wspominać o torbach dopóki się nie zatrzymają, natychmiast po wejściu do samolotu stwierdzić, że jest w nich lek, który musi zażyć, a potem wepchnąć wszystko pod fotel, zabrać torby z widoku... tylko taki plan potrafił wymyślić, mozolnie prac do przodu. Wysilek wcale nie robił dobrze na jego ból głowy, a poza tym łamały go wszystkie kości.

Dotarli do zarośniętych chwastami schodów pod otwartym niebem. Tutaj droga wiodła między opuszczonymi budynkami. Zwolnili – Ilisidi niezbyt dobrze radziła sobie ze stopniami; po kilku krokach jeden z młodszych ochroniarzy po prostu wziął ją na rękę.

Nie wchodziło to w rachubę w przypadku Banichiego. Bren obejrzał się, został nieco z tyłu, ale jeden ze strażników wziął go za rękę i pociągnął do przodu.

– Trzymaj się nas, nand' paidhi. Czy potrzebujesz pomocy?

– Nie – odparł i zaczął mówić, że przydałaby się ona Banichiemu.

Coś stuknęło. Kula trafiła mężczyznę, z którym rozmawiał. Ateva oparł się o ścianę i chwycił za bok. Strzały nie milkły, odbijając się rykoszetami od ścian. Ateva szarpnięciem wciągnął Brena pod osłonę bramy i przydusił mu głowę do ziemi. Wywiązała się chaotyczna strzelanina.

– Musimy się stąd wydostać – wydyszał Bren, ale ochroniarz zgarbił się, a ogień nie ustawał. Bren spróbował po omacku wybadać, gdzie mężczyzna został ranny – znalazł zakrwawione miejsce i poszukał pulsu, ale go nie znalazł. Ateva był dziwnie bezwładny – martwy, powiedział sobie, trzęsąc się, Bren. Pociski odbijały się od ścian. Bren nie potrafił określić, skąd nadlatują ani kto strzela.

Banichi i Jago wchodzili po schodach. Mężczyzna, leżący teraz nieruchomo obok niego, wciągnął go do osłoniętej szczeliny, która chyba prowadziła dalej wśród chwastów. Bren pomyślał, że to może szlak biegnący wokół i w dół wzgórza, którym można iść, nie wychodząc na brukowaną drogę.

Wstał. Ateva osunął się na ziemię, a Bren spróbował bezsensownie podeprzeć mu głowę. Na czworakach, przerażony ruszył po omacku wzdłuż muru, nie wiedząc, dokąd poszła Ilisidi z Cenedim, ani czy to strzelają atevi Tabiniego, buntownicy czy ktoś inny.

Posuwał się wzdłuż muru. Skreślił tam, gdzie mur tworzył zakręt, i przeszedł w dół dobre dwadzieścia metrów, po czym natknął się na kolejną ścianę w stercie suchych liści. Cofnął się, ale kiedy spróbował pójść w innym kierunku, napotkał następny mur.

Wtedy umilkły strzały. Wszystko ucichło. Bren osunął się na ziemię, oparł plecami o ścianę ślepego zaułka i wyteżył słuch, usiłując uspokoić chrapliwy oddech i drżenie całego ciała.

Zrobiło się tak cicho, że słyszał, jak wiatr szeleści liśćmi wśród ruin.

Co to za miejsce? zapytał się w duchu. Kiedy spojrzął do tyłu, w głąb uliczki, zobaczył jedynie skrawek nocnego nieba, światło gwiazd na starych ceglach i chwastach oraz kawałek brukowanej drogi. Nasłuchując, zadawał sobie pytanie, dokąd to zaprowadziła ich Ilisidi i dlaczego Banichi i Jago nie zdawali sobie sprawy, że to stare ruiny? Czuł się, jakby wpadł do dziury w czasie – jego osobistej dziury, w której nie słyszał niczego, co powinien słyszeć, oprócz własnego urywanego oddechu i liścia sunącego z szelestem po kamieniach.

Żadnego hałasu samolotu.

Żadnych oznak ruchu.

Przecież wszyscy nie mogli zginąć. Na pewno ukrywają się, tak jak on. Gdyby zaczął się poruszać w tej ciszy, to ktoś mógłby go usłyszeć, a Bren nie wiedział, kto urządził tę zasadzkę – ale wydawało się bardzo prawdopodobne, że skoro napastnicy otworzyli ogień, to nie obchodziło ich, czy zabiją paidhiego. To wyglądało na atevich z lotniska Maidingi, którzy niedawno zrzucali bomby.

Zatem Ilisidi i Cenedi mylili się, a Banichi miał rację: ich wrogowie dotarli do tutejszego lotniska – jeśli rzeczywiście jest tu lotnisko...

Nikt się nie ruszał. Mogło to oznaczać, że jest wiele ofiar albo że wszyscy siedzą cicho i czekają, aż poruszy się któryś z przeciwników, co pozwoli ustalić, gdzie jest nieprzyjaciel.

Atevi widzieli w ciemnościach lepiej od ludzi. Dla atewskich oczu – gdyby ktoś spojrzął w kierunku Brena – w zaułku było dość światła.

Przetoczył się na brzuch, podparł rękoma i kolanem, wstał i jak najciszej cofnął się do samego końca zaułka. Tam usiadł i spróbował się zastanowić. Gdyby mógł dotrzeć do Banichiego, Cenediego czy któregoś z ochroniarzy – zakładając, że nie są oni wrogami ani Ilisidi, ani jego – to istniała szansa, że któryś z nich wie, dokąd trzeba iść (on tego nie wiedział), że mają broń (on jej nie miał) i że posiadają umiejętności pozwalające wydostać się z tej opresji (on ich nie posiadał).

Gdyby spróbował zejść w dół, wrócić do lasu... Byliby chyba głupcami, gdyby nie pilnowali bramy.

A może udałoby mu się uciec na wieś? Jest przecież to miasteczko, o którym wspominali, Fagioni. Ale Bren w żaden sposób nie mógłby uchodzić za atewę, a Cenedi powiedział – choć może to była Ilisidi – że jeśli buntownicy opanują Wigairiin, to Fagioni nie będzie bezpieczne.

Mógłby spróbować przedrzeć się do jakiejś politycznie trwałej granicy, śpiąc na ziemi i żywiąc się tym, co znajdzie po drodze, ale od wielu już lat nie miał do czynienia z botaniką i dawał sobie jakieś dwie, trzy próby, aż wreszcie się pomylił i otruje.

Jeśli jednak nie istniała lepsza szansa, było to jakieś wyjście – człowiek może przeżyć bez jedzenia, jeśli tylko ma wodę do picia, Bren był gotów podjąć takie ryzyko, ale wobec doskonałego wzroku i słuchu atewich jakkolwiek ruch wydawał się teraz bardzo niebezpieczny.

Co więcej, Banichi na pewno widział go przed sobą na stopniach, a jeśli Banichi i Jago żyją, to istnieje cień nadziei, że go odnajdą. Bren musiał przyjąć, że znalezienie go stanowi cel wszystkich – zarówno tych, których bardzo chciałby teraz zobaczyć, jak i tych, których nie chciałby nigdy oglądać.

Niestety, nikt nie miał na uwadze jego celów. Stracił komputer. Nie miał pojęcia, dokąd poszedł atewa z jego bagażem ani nawet, czy jeszcze żyje. Nie mógł przecież pójść go szukać. Cholerna kabała, pomyślał Bren i objął się ramionami pod zatrzymującym ciepło płaszczem od deszczu, który jednak nie chronił przed chłodem w miejscach, gdzie ciało stykało się z lodowatymi, mokrymi cegłami i kamiennymi płytami.

Cholerna kabała. A przez cały czas paidhi był dla Ilisidi i Tabiniego jedynie ciężarem.

Paidhi siedział przemarznięty do szpiku kości w ślepym zaułku, gdzie w razie nadejścia grupy poszukiwawczej nie miał możliwości manewru ani ukrycia się. Systematyczne poszukiwania na pewno go wykryją, jeśli czegoś nie zrobi, na przykład nie zejdzie do

miejsca, gdzie ostatnio widział Banichiego i Jago i gdzie na pewno któraś ze stron pilnuje bramy.

Nie może walczyć z atevimi gołymi rękoma. Może uda mu się znaleźć obluzowaną cegłę.

Usłyszał jakiś ruch. Siedział i oddychał cicho. Po kilkunastu sekundach szmery ustały.

Owinął się ciasno płaszczem, żeby plastik nie szeleścił, a potem wsparł się jedną ręką o ścianę, odciążając w ten sposób zdrtwiałe stopy, wstał i ruszył w jedynym możliwym kierunku tak szybko i cicho, jak pozwalały mu zeszywniałe nogi.

Dotarł do ciała ochroniarza, które leżało u wejścia do zaułka. Dotknął go, żeby upewnić się, że nie zostawił rannego, ale ateva był już zimny.

Takie miał towarzystwo w miejscu, gdzie stare mury tworzyły kąt, w którym mógł się schować człowiek i z którego mógł obserwować przez szparę drogę biegnącą za płataniną chwastów.

Gdzieś z góry, czy z dołu, Bren nie był pewien, dobiegły go nikłe odgłosy. Brakło mu oddechu, usiłował się nie poruszać.

Wtedy zobaczył przez szparę mężczyznę z bronią, który przeszukiwał pobocza drogi – mężczyznę bez płaszcza przeciwdeszczowego i w kurcie różniącej się od stroju któregośkolwiek z towarzyszy Cenediego.

Na pewno ktoś z przeciwnej strony. Przeszukuje każdy zaułek. I zbliża się do Brena.

Wziął bardzo głęboki oddech, oparł głowę o ścianę i schował twarz w cieniu. Blade dłonie wetknął pod pachy. Usłyszał, jak kroki się zbliżają, zatrzymują prawie w zasięgu ręki. Domyślił się, że ateva ogląda ciało ochroniarza.

Boże, ochroniarz był uzbrojony. Nawet o tym nie pomyślał. Usłyszał cichy dźwięk, jakiś trzask. Nie śmiał odwrócić głowy. Stał nieruchomo, aż w końcu ateva odszedł w głąb zaułka. Na ścianach ślepej uliczki, gdzie niedawno chował się Bren, rozbłysło światło latarki. Stał w bezruchu, starając się nie trząść w swej wąskiej kryjówce. Ateva wrócił, tym razem świecąc sobie latarką.

Promień światła zatrzymał się przed Brenem. Ateva znów zgasił latarkę, być może obawiając się snajperów, i przestąpiwszy nad ciałem ochroniarza, zaczął schodzić ze wzgórza.

Zgarnia niedobitków, pomyślał Bren, oddychając chrapliwie. Kiedy upewnił się, że nic mu nie grozi, przykucnął i zaczął obszukiwać ciało ochroniarza.

Kabura była pusta. Broni nie było ani w ręce, ani pod ciałem.

Do diabła, pomyślał. Nie brał pod uwagę kwestii broni, to nie była jego dziedzina, i dlatego popełnił głupi i być może zgubny błąd. Mierzył się z zawodowcami i prawdopodobnie wciąż popełniał błędy, jak wtedy, gdy znajdując się w ślepych zaułku, nie pomyślał o broni, zanim nie znalazł jej ten ateva. Oni robią wszystko dobrze, a on robi wszystko źle, tyle że, jak dotąd, go nie złapali.

Nie wiedział, dokąd ma iść, nie miał pojęcia o układzie terenu, ale stwierdził, że rozsądnie będzie przynajmniej wydostać się z tej ślepej uliczki. Iść za poszukiwaczami wydawało się lepszym wyjściem, niż czekać tu na nich.

Wstał, owinał się płaszczem, by jego sylwetka była możliwie najciemniejsza, i ruszył.

W tej samej jednak chwili usłyszał w głębi ulicy głosy i z mocno bijącym sercem z powrotem wcisnął się w swój zakamarek.

Nie wiedział, dokąd poszedł samotny poszukiwacz. Nie miał pewności, co się tam dzieje – czy atevi zawrócili, czy może dostali inne zadanie. Nie wiedział, co mógł wiedzieć ani czego mógł się spodziewać taki zawodowiec jak Banichi. Nie umiał się skradać, stwierdził więc, że jego jedyną przewagą może być cierpliwość, po prostu nieruchome trwanie w kryjówce, której nie zauważył już jeden poszukiwacz. Nie mieli noktowizorów, żadnych urządzeń, o których ludzie wiedzieli, że atevi natychmiast zastosują w swojej broni. Nie posługiwali się żadnymi zwierzętami tropiącymi – oprócz mecheiti. Bren miał nadzieję, że przeciwnicy ich nie mają. Widział już jedną rozszarpaną osobę.

Stał w cieniu. Atevi go mijali, też idąc w dół. Jeden z nich jeszcze raz sprawdził ciało leżące prawie u stóp Brena, a inny poszedł aż do końca zaułka. Rozmawiali cicho, tak że nie wszystko dawało się usłyszeć, ale mówili o liczbie wrogów i zgodzili się, że to trzeci na pewno zabity.

Po chwili odeszli w kierunku bramy.

Po dłuższym czasie Bren usłyszał od tamtej strony jakiś ruch i, sądząc z tonu, rozkazy. Głosy umilkły; ruch trwał jeszcze jakiś czas i w końcu Bren zobaczył obcych atevich idących do bramy.

Ta droga ucieczki była więc zamknięta. Jeżeli ktokolwiek z ich grupy żyje, nie będzie trzymał się bramy. Za Brenem gromadził się oddział mający przeszukać teren i wyobraził sobie, co sam zrobiłby w takiej sytuacji – zamknąłby bramę do rana, a za dnia przeczesałby teren w obrębie murów.

Wziął głęboki oddech, wyrzwał przez zasłonę chwastów rosnących w szczelinach muru obok jego głowy i wymknął się na drogę, owinięty w swój plastikowy płaszcz, chcąc dotrzeć do najbliższej kryjówki, do następnego zakamarka.

Znalazł kolejny zaułek. Wszedł do niego, usiłując znaleźć jakąś ciemną dziurę, w której szukający mogliby go nie wypatrzeć nawet za dnia. Potrafił się wcisnąć tam, gdzie nie było miejsca dla dorosłego atevy. Mógł znaleźć takie ukrycie, o którym poszukiwacze nawet by nie pomyśleli, że może się w nim zmieścić człowiek.

Dwa razy skręcił, za każdym razem bojąc się napotkać ślepe zakończenie, po czym zobaczył przed sobą otwartą przestrzeń – płaski teren, niebieskie światła, wzgórze i rozłożony na nim wielki dom otoczony murem, zza którego było widać białą lunę.

Wigairiin, powiedział do siebie Bren i zobaczył na końcu pasa startowego stojący w cieniu odrzutowiec. W okienkach było ciemno, silniki milczały.

A więc Ilisidi nie kłamała. Cenedi też. Czekał tu na nich samolot. Coś jednak poszło nie tak i wrogowie zajęli Wigairiin, tak jak ostrzegał ich Banichi. Banichi miał rację i nikt go nie słuchał, a on znalazł się w środku tej kabały.

Banichi powiedział, że Tabini podejmuje kroki przeciw buntownikom – ale na niebie pojawił się statek i Tabini nie mógł rozmawiać z Mospheirą, chyba że przyślą mu Hanks, ale Hanks, niech ją diabli, nie będzie pomagać aijiemu walczącemu o utrzymanie swoich wpływów ani społeczeństwu rozwiązującemu niepewne patronaty czy pomniejszym aijiin, usiłującym zająć pozycję, która umożliwiłaby im przetrwanie upadku aijiego w Shejidan. Hanks otwarcie mu powiedziała, że patronaty w terenie nie mają znaczenia, on utrzymywał, że jest inaczej, ale Hanks nie chciała zrozumieć, dlaczego Bren tak niezłomnie broni swego stanowiska.

Teraz wokół były dowody na to, że miał rację.

A Ilisidi i Cenedi nie kłamali. Samolot istnieje – nikt tu nie skłamał, to nie ich wina, że buntownicy przejrzeni ich plan. Do Brena dotarło wreszcie, że atevi, z którymi był, jak dotąd go nie zdradzili. Ilisidi prawdopodobnie cały czas zamierzała udać się do Shejidan – dopóki coś całkowicie nie zawiodło. Oparł się o ścianę. W gardle go ścisnęło, wirowało mu w głowie. Mimo wszystko usiłował myśleć. To wcale nie oznaczało, że nie mają zamiaru udać się gdzie indziej, ale wciąż był przekonany, że wciągnięto ich w pułapkę, choć przynajmniej wiedział, że zamykająca się wokół niego sieć nie jest dziełem atevich, których darzył przyjaźnią...

Przyjaźń... Słowo, którego paidhi nie używał. Lecz paidhi najwyraźniej postradał już zdolność osobistego i zawodowego osądu. Wytarł oczy drżącą ręką i jak najostrożniej ruszył wzdłuż opuszczonych budynków, przedzierając się przez chwasty i mijając jakieś stare maszyny, wypatrując kryjówki, nie mając pojęcia, jak długo będzie musiał w niej siedzieć i jak długo zdoła trzymać się nadziei, że Tabini zajmie Maidingi i przybędzie do Wigairiin tą samą drogą co oni.

Jeśli pozostanie na wolności, może to potrwać nawet kilka tygodni. Pora deszczowa. Nie umrze z pragnienia, chowając się w ruinach. Człowiek może przetrwać bez jedzenia jakiś tydzień, tylko nie powinien dużo się ruszać. Potrzebował jedynie kryjówki – jakiegokolwiek kryjówki, ale najlepiej takiej, z której mógłby obserwować okolicę.

Zobaczył przed sobą na skraju lądowiska jakieś stare zbiorniki na olej czy paliwo do samolotów, nie był pewien, ale ziemię porastały chwasty, a same zbiorniki wyglądały na nie używane. Być może mógłby znaleźć schronienie w ich cieniu, tam gdzie przylegały do muru – wrogowie spodziewali się go bliżej bramy, a nie przy lotnisku, w miejscu, gdzie prawdopodobnie pracują...

Kolejny irracjonalny obraz piwnicy. Nie widział, gdzie jest, zamiast tego zobaczył te zakurzone podziemia i już wiedział, co się dzieje. Oparł się ręką o ścianę, żeby nie upaść. Zachował przynajmniej na tyle przytomności umysłu, żeby uważać na nogi: wszędzie leżało

pełno gruzu. Atevi zwykle nie tolerowali bałaganu. Stare części maszyn, stare drewno, stare kamienie budowlane – tego miejsca w Wigairiin najwyraźniej nie sprzątało.

Zburzyli stary mur, żeby wybudować lotnisko, powiedziała Ilisidi. Nie bardzo przejmowali się przeszłością.

Ilisidi się nią przejmowała. Tu nie zgadzała się z aijiin Wigairiin.

Rozmawiali o smoketkach i utrzymaniu narodowego skarbu. A ten skarb rozsadyła eksplozje, atevi zabijali się nawzajem – ze strachu przed ludźmi, w imieniu Tabiniego, siedzącego tam, gdzie Ilisidi chciała się dostać przez całe życie...

Smoketki szybujące nad urwiskiem.

Atewskie starożytności zrównane z ziemią, żeby zrobić miejsce dla pasa startowego, bo postępowy miejscowy aiji nie chciał jeździć do Maidingi pociągiem.

Bren dotarł do zbiorników i poczuł na rękach sypiący się rdzą metal. Po omacku wczuł się do zakamarka utworzonego między zbiornikami i murem, następnie położył się w wilgotnych chwastach pod wspornikami.

Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Już go tak bardzo wszystko nie bolało. Z dziury, którą znalazł, nie miał dobrego widoku, chyba że na chwasty rosnące przed nosem. Serce biło mu tak mocno, że bolały go żebra. Nigdy przedtem nie przeżywał czegoś takiego. Właściwie żadna część ciała nie bolała go bardziej niż cała reszta. Zmarł z jednej strony, bo drugą okrywał płaszcz.

Znalazł schronienie. Nie musi się stąd ruszać. Może zamknąć oczy.

Nie musi też myśleć, może odpocząć i pozwolić, by odrętwienie zastąpiło ból.

Żałował, że nie poszło mu lepiej.

Nie wiedział, czy to możliwe. Żył i nie został znaleziony. To lepszy wynik od niektórych zawodowców. Miał więcej szczęścia od biednego Giriego, który był przyzwoitym atevą.

Miał więcej szczęścia od mężczyzny, który przed śmiercią wciągnął go do bramy. Bren sądził, że tamten wcale nie myślał, tylko działał. To chyba stanowiło największą różnicę, jeśli chodziło o reakcje atevich i ludzi. Można to nazwać miłością. Obowiązkiem. Tym, co robiły mecheiti, kiedy wokół spadały bomby, a one wciąż podążały za mecheit'-aiji.

Man'chi. To nie znaczy obowiązek. To książkowe tłumaczenie. Lecz to, co kazało temu mężczyźnie chwycić go w ostatnim przeblysku świadomości, też było man'chi. Przymus. To, co wiąże grupę.

Powiedzieli, że Ilisidi nie ma man'chi. Że to nie dotyczy aijiin. Kosmiczna samotność. Wolność absolutna. Babs. Ilisidi. Tabini.

„Posyłam ci do dyspozycji człowieka, 'Sidi-ji...'”.

Nie było niczego, czego nie uczyniłby Tabini, niczego lub nikogo, kogo Tabini by nie poświęcił. Z ludzkiego punktu widzenia Bren wciąż go, drania, lubił.

Wciąż lubił Banichiego.

Jeśli ktokolwiek przeżył, to na pewno Banichi. A Banichi zrobiłby to, co zrobił ten ateva w ostatniej chwili życia – lecz pierwszym wyborem Banichiego nie byłaby śmierć – ci dranie zapłaciliby za życie Banichiego i Jago.

Można się założyć, że są wolni. To ochroniarze Tabiniego, a Tabiniego tu nie ma.

Jest tylko on.

Gdyby mogli, już by go znaleźli.

W kąciakach oczu zebrały mu się łzy. Jedna z nich stoczyła się i zatrzymała z boku nosa. Droga pociekła po policzku i skapnęła w chwasty. Atevi nie płaczą. Kolejne kosmiczne upokorzenie, którego zaoszczędziła im natura.

W sumie jednak to przyzwoite osoby, jak ta para starszków z wnukami. Kierowali się impulsami, które nie sumowały się w miłość, czuli jednak coś głębokiego, czego nie odczuwali ludzie. Być może jest to coś, do czego zbliżył się bardziej niż którykolwiek paidhi przed nim...

Nie ma co czekać, żeby atevi odczuli miłość. Paidhi nauczył się zasypywać tę przepaść. Przestać polegać na słowach. Próbować odczuwać man'chi.

Poczuć, dlaczego Cenedi stłukł go za to, że poszedł po Banichiego na tę zrytą pociskami drogę. Poczuć to, co myślał Cenedi, tak wyraźnie, jakby to wykrzyczał: identyczne man'chi, dawno temu wybrane możliwości. Stare pytanie: co człowiek uratowałby z płonącego domu...?

Personel Tabiniego mający własne man'chi wśród atevich Ilisidi.

Jago miałaby przeciwstawić się man'chi?

Nie partnerka Banichiego.

„Nie zdradzę cię, Bren-ji...”

„Zamknij się, nadi Bren”.

Można wierzyć w Jago, nawet jeśli się jej nie rozumie. Można żywić ciepłe uczucia, obojętnie jak je nazywać. Ona jest po jego stronie, tak jak Banichi.

Ciepłe uczucia. To wszystko.

Od kamiennych płyt drogi odbijał się nikły blask świtu. A także kroki biegnącego atevy. Ktoś krzyczał. Bren spróbował się poruszyć – zesztyniała mu szyja. Nie mógł wyciągnąć spod siebie lewej ręki, a prawe ramię, nogi i grzbiet stanowiły osobny problem. Zasnął. Nie pamiętał, żeby przybierał tę pozycję, a teraz nie mógł się ruszyć.

– Stój! – rozległo się gdzieś w pobliżu.

Sięgnął ręką i ostrożnie rozgarnął chwasty rosnące mu przed nosem. Nad sobą miał wielki cień zbiornika, ściana nie pozwalała mu wyprostować stopy ani kolana.

Widział jedynie ciąg budynków wzdłuż pasa startowego. Współczesnych budynków. Nie wiedział, w jaki sposób dotarł tu nocą, idąc od ruin. Budynki były tandetne, z betonowych prefabrykatów – dwa budynki, lotniczy rękaw. Domyślił się, że wytwarzają tam pewnie prąd

do oświetlania pasa, są też może poczekalnie i warsztat. Mur obok zbiornika także był współczesny, o czym Bren przekonał się, kiedy usiadł, żeby ulżyć plecom.

Lewa ręka go bolała. Zesztywniała. Nogi nie były w o wiele lepszym stanie. Nie mógł do końca ich wyprostować, a z zesztywniałym ramieniem nie mógł się odwrócić, by zyskać nieco miejsca.

Strzały.

Ktoś z ich grupy, wciąż żywy. Bren nasłuchiwał w nagle zapadłej ciszy, usiłując sobie powiedzieć, że to nie jego sprawa i zastanawiając się, kogo złapią ostatniego i kogo ostatniego zabiją – nie mógł opędzić się od myśli, że prawdopodobnie będzie to Banichi albo Jago, podczas gdy on się chowa, trzęsąc się i wiedząc, że nic nie może zrobić.

Poczuł – nie wiedział, co. Wyrzuty sumienia, że się ukrywa. Złość, że atevi muszą za niego umierać. Że inni atevi chcą ich zabijać ze źle zrozumianych, głupich powodów, i że ludzie przypisują atevim rzeczy nie mające z nimi nic wspólnego.

Ktoś krzyknął – Bren nie usłyszał, co. Znów uniósł się na łokciu, grzbietem dłoni przycisnął do ziemi chwasty zasłaniające mu widok na przestrzeń między jego budynkiem a tymi położonymi dalej.

Zobaczył Cenediego i Ilisidi. Wdowa opierała się na jego ramieniu i mocno kulała. Pilnowało ich czterech groźnie wyglądających mężczyzn w skórzanych kurtach. Jeden z nich, odwrócony plecami do Brena, miał warkocz z niebieską i czerwoną wstążką.

Niebieski i czerwony. Niebieski i czerwony. Prowincja Brominandiego.

Niech go diabli, pomyślał Bren i zobaczył, jak strażnicy popychają Cenediego na ścianę budynku. Szarpnęli Ilisidi za rękę, co zmusiło ją do upuszczenia laski. Cenedi odbił się od ściany, chcąc ich powstrzymać, ale to oni powstrzymali jego, kolbą strzelby.

Kolejny cios, kiedy usiłował wstać. Cenedi nie był już młody

– Gdzie jest paidhi? – zapytali. – Gdzie on jest?

– Pewnie już w Shejidan – usłyszał odpowiedź Ilisidi.

Nie przełknęli tego. Uderzyli Ilisidi; Cenedi rzucił się na nich, kopnął jednego w głowę, ale sam otrzymał potężny cios kolbą w plecy, a drugi w bok, co rzuciło go na jedno kolano.

Wtedy przytknęli Ilisidi do głowy pistolet i kazali mu przestać. Cenedi przestał, a oni znowu go uderzyli, a potem jeszcze raz.

– Gdzie jest paidhi? – wciąż pytali. Podnieśli Cenediego za kołnierz z ziemi. – Zastrzelimy ją – powiedzieli.

Cenedi jednak nie wiedział. Nie mógł zdradzić Brena, nawet żeby ocalić Ilisidi, bo nie wiedział, gdzie on jest.

– Słyszałeś? – zapytali i uderzyli Cenediego w twarz tak, że aż uderzył głową o ścianę.

Zrobiliby to. Zamierzali to zrobić. Bren poruszył się, uderzył głową w zbiornik tak mocno, że w oczach stanęły mu łzy, znalazł wśród chwastów kamień i rzucił go.

To zdenerwowało przeciwników. Odepchnęli Cenediego i Ilisidi i zaczęli szukać sprawy, rozmawiając przez radio ze współnikami.

Naprawdę miał nadzieję, że Cenedi wykorzysta tę chwilę, ale oni trzymali Ilisidi na muszce, a Cenedi nie chciał jej zostawić ani ryzykować jej życia. Poszukiwania objęły fronty budynków i zaułek.

Zbliżyły się buty. Bren rozpląszczył się z bijącym sercem. Oddychał tak płytko, że zaczynało mu brakować powietrza.

Buty odeszły, ale zbliżyła się druga para.

– Tutaj! – ktoś zawołał.

O, cholera, pomyślał Bren.

– Ty! – wrzasnął głos i Bren podniósł wzrok na lufę strzelby szturchającą chwasty, i mężczyznę leżącego na płask po drugiej ich stronie, patrzącego na niego zza tej lufy ze zdumioną miną.

Bren pomyślał, że ten ateva jeszcze nie widział człowieka z bliska – ten moment szoku zawsze działał mu na nerwy. Tym bardziej, że wiedział, iż na spuście spoczywa palec.

– Wychodź – rozkazał mężczyzna.

Zaczął wypęłzać ze swej dziury. W jego geście czy w całej sytuacji nie było nic szlachetnego, nic rycerskiego. Bardzo głupio, pomyślał. Prawdopodobnie można było zrobić coś o wiele mądrzejszego, ale Bren nie mógł patrzeć, jak bije się kogoś na śmierć albo strzela się w głowę starej kobiecie. Nie był odpowiednio skonstruowany.

Wyszedł na światło dnia, pełzając na brzuchu. Lufa strzelby wbiła mu się w szyję, podczas gdy wokół niego zebrali się atevi i przeszukali go.

Poza tym, powiedział sobie w duchu, paidhi nie jest wojownikiem. Paidhi jest tłumaczem, mediatorem – posługuje się słowami, a jeśli byłby z Ilisidi, to może miałby nawet szansę prowadzenia negocjacji. Ilisidi łączyły kiedyś z buntownikami jakieś związki. Może jest jeszcze jakieś wyjście...

Zerwali z niego płaszcz przeciwdeszczowy. Zapięcie wytrzymało, więc rozdarł się kołnierz na plecach. Bren spróbował podeprzeć się kolaniem. Dwóch atevich chwyciło go za rękę i szarpnięciem postawiło na nogi.

– Jest nie większy od dziecka – zauważył jeden z nich z niesmakiem.

– Tacy już są – rzekł czerwono-niebieski. – Widziałem ostatniego. Przyprowadźcie go!

Usiłował iść. Wcale mu to nie wychodziło. Lewe ramię promieniowało przeszywającym bólem. Bren nie sądził, żeby zechcieli wysłuchać rozsądnych argumentów. Chciał tylko dostać się tam, dokąd szli, i miał nadzieję, że razem z nim przyprowadzą Cenediego i Ilisidi. Potrzebował Ilisidi, potrzebował kogoś, dla kogo mógłby negocjować, kładąc na szalę siebie samego i swoją lojalność.

Powiedzieć, że jego man'chi jest związane z Ilisidi. Odczytają jego działanie w ten sposób, a przynajmniej istnieje taka możliwość, jeżeli będzie przekonująco kłamał.

Zaprowadzili go do następnego budynku. Za nim rzeczywiście szli Cenedi z Ilisidi, trzymani na muszce i spychani na ścianę. Ktoś powiedział, że ktoś inny ma złamany kark – mężczyzna, którego kopnął Cenedi, pomyślał Bren w oszołomieniu i spróbował nawiązać kontakt wzrokowy z Ilisidi, patrząc na nią w sposób, który atevi uważali za impertynencki.

Spojrzała prosto na niego. Zacisnęła usta, lecz Bren nie zrozumiał tego grymasu, ale może przyjęła jego ofertę...

Ktoś chwycił go za koszulę, obrócił go i przyparł do jakiegoś mebla – to był ten czerwono-niebieski. Bren dostał potężny cios w twarz, zaćmiło mu się w oczach, nie stał już o własnych siłach. Usłyszał spokojny głos Cenediego, mówiący, że ludzie są wrażliwi i jeszcze jeden taki cios go zabije.

To miłe, pomyślał. Dzięki, Cenedi. Sam z nim porozmawiaj. Sukinsyn. Do oczu napłynęły mu łzy. Wyciekły. Coś kapało mu z nosa, Bren nie był pewien, co. Kiedy szarpnęli go w górę, pokój był rozmazaną plamą. Ktoś podniósł mu głowę, chwyciwszy go za włosy.

– Czy to twoje? – zapytał czerwono-niebieski i, wiodąc wzrokiem za jego palcem, Bren dostrzegł coś na stole.

Serce zabiło mu mocniej. Komputer. Na stole obok torba.

Ładowali go – na blacie był rozciągnięty przewód.

– Moje – powiedział.

– Chcemy dostępu.

Poczuł smak krwi, poczuł, jak coś ścieka mu po brodzie, mimo przetykania. A, rozcięta warga.

– Podaj nam kod dostępu – rzekł czerwono-niebieski i szarpnął Brena za koszulę.

Wtedy jego mózg zaczął funkcjonować. Wiedział, że nie dopuszczą go do komputera. Musiał spowodować, żeby sami zniszczyli system. Musi przypomnieć sobie kody zniszczenia. Sprawić, żeby chcieli uzyskać odpowiedź, żeby uwierzyli, że jest ona dla nich najważniejsza.

– Kod dostępu! – ryknął mu w twarz czerwono-niebieski.

O Boże, ta część planu mu się nie podobała.

– Odpieprz się – powiedział.

Oni go nie znali. Tą odpowiedzią ustawił się na równym poziomie z nimi – ledwie miał czas o tym pomyśleć, gdy czerwono-niebieski uderzył go w twarz.

Na chwilę oślepl i ogłuchł. Prawie stracił czucie. Wciąż go trzymali, coś krzyczeli, a czerwono-niebieski wydawał rozkazy, żeby go powiesili. Bren nie całkiem rozumiał, o co chodzi, ale ktoś chwycił za kołnierz kaftana i zdarł go zeń razem z koszulą. Ktoś inny związał mu z przodu ręce sztywnym skórzanym pasem.

Wtedy domyślił się, że nie jest dobrze. Być może czas zacząć mówić, tylko że mogą mu nie uwierzyć. Stał tak, a oni wzięli kawałek przewodu elektrycznego i przerzucili go nad rurami biegnącymi pod sufitem. Przewlekli koniec kabla przez związane ręce Brena i szarpnęli je w górę.

Ramię zapłonęło żywym ogniem. Bren wrzasnął. Nie mógł złapać tchu.

Dostał pasem po żebrach. Raz, dwa, trzy razy, z całą siłą atewskiej ręki. Nogami nie sięgał ziemi, nie mógł oddychać, nie mógł myśleć.

– Kod dostępu – rzekł czerwono-niebieski.

Nie mógł mówić. Mózg mu nie pracował z bólu.

– Zabijecie go! – ktoś krzyknął. Płuca odmawiały mu posłuszeństwa. Zaczynał tracić przytomność.

Czyjaś ręka opasała go na wysokości żeber. Uniosła do góry, przejęła ciężar jego ciała.

– Dostęp – powtórzył głos. Bren z trudem chwycił oddech.

– Dołóż mu jeszcze – ktoś powiedział i Brenowi zrobiło się białe przed oczyma ze strachu. Wciąż chwycił powietrze, kiedy puścili go, żeby się huśtał. Ktoś krzyknął, że nie może oddychać.

Znowu chwyciła go ta sama ręka. Zaszurało drewno, o podłogę uderzyło krzesło i coś jeszcze. Coś mocno ścisnęło Brenowi klatkę piersiową i uniosło go do góry. Złapał oddech.

„Kto ci dał pistolet, nand’ paidhi?

Powiedz, że Tabini?”

– Dostęp – odezwał się bezlitosny głos.

Walczył o oddech w miazdzącym uścisku opasującego go ramienia. Ramię pulsowało tęnym, dojmującym bólem. Nie pamiętał, czego chcą.

– Nie – odpowiedział. Uniwersalna odpowiedź. Na wszystko.

Pchnęli go i uderzyli dwa, trzy razy, podczas gdy Bren huśtał się na przewodzie. Szarpnął się, nadwreżył ramię, nie potrafił się zatrzymać, nie mógł oddychać.

– Dostęp – ktoś powiedział, a ktoś inny podtrzymał go, żeby powietrze dotarło mu do płuc. Ramię zgrzytało i promieniowało bólem, dochodzącym do żeber i do wnętrzości.

Pistolet, pomyślał. Nie powinien go brać.

– Dostęp – powiedział ateva i uderzył go w twarz. Jakaś ręka ujęła go za podbródek i przed załzawionymi oczyma Brena pojawiła się rozmazana twarz. – Podaj kod dostępu.

– Dostęp – powtórzył bezmyślnie. Nie wiedział, gdzie jest. Nie wiedział, czy ma odpowiedzieć na to pytanie, czy nie.

Drugie uderzenie w twarz.

– Kod, paidhi!

– Kod... – Proszę Cię, Boże, kod. Zaraz zwymiotuje z bólu. Nie wiedział, jak to wyjaśnić durniowi. – Kiedy pojawi się znak zachęty...

– Jest – powiedział głos. – Co dalej?

– Napiszcie... – Przypomniał sobie prawdziwy kod. Kiedy zamykał oczy, wszystko stawało się białe, a jeśli odpłynie w tę śnieżycę, to znowu będą go bić. – Kod... – Kod dla wścibskich. Dla złodziei. – Podajcie datę.

– Jaką?

– Dzisiejszą. – Głupiec. Usłyszał stuk klawiszy. Czerwono-niebieski wciąż był przy nim, ktoś inny unosił mu głowę, trzymając go całą garścią za włosy.

– Pokazało się „Czas” – ktoś powiedział.

– Nie podawajcie go. Wpiszcie klawiszami numerycznymi... 1024.

– Co to jest?

– Kod, do cholery!

Czerwono-niebieski odwrócił wzrok.

– Wpisz to!

Zastukały klawisze.

– Co masz? – zapytał czerwono-niebieski.

– Wrócił znak zachęty.

– To już? – spytał czerwono-niebieski.

– Weszście – powiedział Bren i cichutko odetchnął, słuchając stuku klawiszy pod sprawnymi palcami atewy zadającego komputerowi pytania.

A komputer będzie teraz kłamał. Włączyła się nakładka. Skłamię na temat swojej pamięci, nazw plików, konfiguracji... powie każdemu, kto zapyta, że istnieją pewne pliki, poda ich rozmiary, po czym wywoła różne kody maszynowe i inne bzdury, które powiedzą specjaliście, że pliki te naprawdę istnieją, chronione oddzielnymi hasłami.

Na podstawie pytań Bren wywnioskował, że zostanie wywieziony z Wigairiin. Czerwono-niebieski zupełnie się na tym nie znał.

– Co to za śmieci? – zapytał gniewnie, a Bren wstrzymał oddech z zamkniętymi oczyma i spytał z szaleńczą radością:

– Dziwne symbole?

– Tak.

– Weszście do adresowania. Coście z nim zrobili?

Znowu go uderzyli.

– Zapytałem o nazwy tych przeklętych plików!

– Ludzki język.

Zapadła wtedy długa cisza. Nie podobała mu się. Czerwono-niebieski to głupiec. Głupiec może zrobić coś głupiego, na przykład zatłuc go na śmierć, starając się nauczyć programowania komputerów. Bren wisiał na przewodzie, walcząc o odzyskanie oddechu, usiłując dosięgnąć stopami ziemi, a czerwono-niebieski zastanawiał się nad różnymi możliwościami.

– Mamy to, czego nam trzeba – rzekł w końcu. – Bierzemy ich do Negeran.

Zbuntowane miasto. Stolica prowincji. Terytorium buntowników. Była to odpowiedź, jakiej potrzebował. Miał być dokądś przeniesiony z tego zimna, błota i deszczu, gdzie będzie miał do czynienia z kimś bardziej inteligentnym i ambitnym, z kimś pociągającym za sznurki, z kim paidhi może mógłby się jakoś dogadać...

– Ich też?

Bren nie był pewien, o kim mówią. Kiedy odwiązywano go od rur, odwrócił głowę i zobaczył zakrwawioną twarz Cenediego. Była całkowicie obojętna. Podobnie jak twarz Ilisidi.

Szaleństwo, stwierdził w duchu. Miał nadzieję, że Cenedi nie będzie próbował odgrywać bohatera. Miał nadzieję, że po prostu go zwiążą i zachowają przy życiu, dopóki on sam czegoś nie wymyśli – musi wymyślić jakiś sposób na zachowanie Cenediego przy życiu, na przykład poprosić o Ilisidi.

Sprawić, żeby chcieli uzyskać współpracę Ilisidi. Kiedyś była jedną z nich. Zdradziła ich. Atevi nie traktowali jednak zdrady aijiin osobiście.

Z początku nie mógł iść. Krzyknął, kiedy ktoś go złapał za bolące ramię i otrzymał cios w głowę, lecz natychmiast chwycił go właściciel jakiegoś rozsądniejszego głosu, który stwierdził, że Bren ma złamaną rękę i że jeśli chce, to może iść o własnych siłach.

– Pójdę – odparł Bren i spróbował wprowadzić słowo w czyn, co prawda niezbyt pewnie i z cudzą pomocą. Starał się ustać na nogach. Wychodząc na zimny wiatr i słoneczny blask, usłyszał, jak czerwono-niebieski mówi coś do kieszonkowego komunikatora.

Zagrzmiały silniki odrzutowca. Bren spojrzał na samolot, który stał na pasie startowym, wzbijając kłęby kurzu, i spróbował obejrzeć się, żeby sprawdzić, czy Cenedi i Ilisidi też idą, lecz mężczyzna trzymający go za zdrowe ramię szarpnął nim i zapowiedział, że złamie mu i tę rękę.

Długi spacer na wietrze i zimnie. Trwało to wieczność, aż wreszcie pojawiły się przed nim schodki, a silniki odrzutowe na ogonie ogłuszyły go i zmroziły lodowatym strumieniem powietrza uderzającym w gołą skórę. Mężczyzna zwolnił uścisk i Bren wszedł po schodkach, trzymając się zdrową ręką cienkiej metalowej poręczy. Przed sobą miał jednego atewę, reszta szła z tyłu.

Omal nie zemdlął na schodkach. Wszedł do zacisznego, ciemnego wnętrza samolotu. Ktoś chwycił go za ramię i odciągnął na bok, robiąc miejsce w drzwiach. Obok pustych foteli stali atevi, robiąc im przejście. Cenedi pomógł wejść Ilisidi, a za nimi weszli pozostali.

Szarpnięcie za rękę odciągnęło Brena na bok. Uderzył w fotel, nie trafił na siedzenie, usiłował wstać z ruchomej poręczy, a w wejściu rozgorzała walka, ciało trafiało na kość, tryskała krew. Bren odwrócił się, siedząc na poręczy i zobaczył Banichiego stojącego przy drzwiach z metalową rurką w ręce.

Walka skończyła się tak szybko, jak zaczęła. Kilku atevich nie żyło, inni byli ciężko ranni. Ilisidi i Cenedi stali, Jago i trzech mężczyźni z ich grupy tkwili w wejściu, a jeszcze jeden atewa stał w kabinie z pistoletem w ręku.

– Nand’ paidhi – wydyszał Banichi i lekko się skłonił. – Nand’ wdowo. Usiądźcie. Cenedi, do przodu.

Bren zachłysnął się, i nie zwracając uwagi na pokrywającą go krew, osunął się na fotel. Banichi i Cenedi mierzyli się wzrokiem. Oprócz Banichiego i Jago wszyscy inni na pokładzie samolotu byli związani man'chi z Ilisidi.

Wdowa położyła rękę na ramieniu Cenediego.

– Polecimy z nimi – powiedziała.

Cenedi lekko się skłonił i zaprowadził wdowę do fotela, przechodząc nad ciałami zabitych, które młodszy atevi odciągali na bok.

– Niech nikt nie nadeptnie na komputer – powiedział Bren, trzymając się za bok. – Gdzieś tu musi być moja torba... nie podepczcie jej.

– Znajdźcie torbę paidhiego – rozkazał Banichi, a jeden z mężczyzn odpowiedział mu z całą powagą:

– Nadi Banichi, na pokładzie jest czternaście osób. W samolocie jest miejsce dla dziesięciorga pasażerów i dwóch osób załogi...

– Do dziesięciorga plus załoga – zawołał ktoś inny, a trzeci głos dorzucił:

– Martwi się nie liczą!

Na Mospheirze uznano by ich za szaleńców.

– Ilu więc jest martwych? – Sprzeczka toczyła się dalej, a Cenedi zawołał z kabiny:

– Pilot wychodzi! On jest z Wigairiin, chce się zająć domem.

– To jeden – ktoś powiedział.

– Wypuście tego – powiedział chrapliwie Bren, pokazując na atevę, który powiedział, że paidhi ma złamaną rękę – to była jedyna uprzejmość, jaka go od nich spotkała. Atevi Banichiego wiązali żywych i składali martwych w przejściu, lecz Banichi polecił wyrzucić jednego trupa.

Zaciągnęli więc do drzwi czerwono-niebieskiego i zrzucili go na dół, a ten, który zrzekł się pilotowania, pośpiesznie opuścił samolot.

Banichi uderzył w przycisk przy drzwiach, które zaczęły się zamykać. Silniki zawyły głośniejsze. Hamulce wciąż trzymały.

Bren zamknął oczy, bo przypomniał sobie o urwisku wznoszącym się obok pasa startowego. Ilisidi powiedziała, że snajperzy mogą nie dopuścić do wylądowania.

A zatem i do startu też.

Drzwi zamknęły się. Silniki wyły coraz głośniejsze. Cenedi zwolnił hamulce i samolot ruszył po pasie.

Banichi opadł na fotel przy oknie. Nogę w łubkach miał sztywną. Kiedy za oknami po jednej stronie przemknęła skała, a po drugiej budynki, Bren chwycił się poręczy fotela tak mocno, że o mało nie rozdarł materiału. Potem z lewej strony pojawiło się błękitnobiałe niebo, a po prawej wciąż widać było skałę.

Po chwili z obu stron pojawiło się niebo i Cenedi wciągnął koła.

– Nabierzemy paliwa, prawdopodobnie w Mogaru, a potem polecimy do Shejdan –
odezwał się Banichi.

Wtedy, dopiero wtedy, Bren w to wierzył.

Rozdział 16

Kiedy sądził, że umiera, wcale nie pomyślał o Barb, i to była gorzka prawda. Barb pojawiała się w jego myślach i uczuciach niczym gaszona i zapalana żarówka.

Gaszenie było diabelnie łatwe. Zapalanie wymagało wyobraźni, którą z trudem budził do rozpaczliwego, posłusznego życia, ilekroć zamykał się wokół niego atewski świat lub gdy Bren wybierał się na kilkudniowe wakacje na Mospheirę.

„Spotkanie z Barb” było wymówką, dzięki której nie musiał się widywać z rodziną.

„Spotkanie z Barb” było kłamstwem, którym raczył matkę, kiedy chciał po prostu pojechać w góry, gdzie nie było ani jego rodziny, ani Barb.

Taka była prawda, choć nigdy przedtem do niej się nie przyznawał.

Takie było jego życie, jego całe, po ludzku mówiąc, życie emocjonalne nie związane z pracą, Tabinim i intelektualnym wyważaniem ekwiwalentów, liczb oraz kołnierzy komór spalania w zbiornikach paliwa. Kiedyś wiedział, co ma robić i czuć w obecności ludzi.

Tyle że ostatnio chciał tylko gór, wiatru i śniegu.

Ostatnio był szczęśliwy wśród atevich, odnosił sukcesy w kontaktach z Tabinim, a wszystko to okazało się domkiem z kart. Sprawy, dzięki którym, jak sądził, był najlepszym z paidhiin, znieczuliły go na wszelkie niebezpieczeństwa. Osoby, którym ufał...

Coś mokrego i szorstkiego zaatakowało jego twarz, silna ręka odchyliła mu głowę do tyłu, coś znajomego zagrzmiało mu w uszach. Nie wiedział, co się dzieje, dopóki nie otworzył oczu, nie zobaczył czegoś białego poplamionego krwią i nie poczuł pod prawą ręką poręczą fotela.

Zakrwawiony ręcznik oddalił się. Nad Brenem zawisła ciemna twarz Jago. Silniki mruczały miarowo.

– Bren-ji – powiedziała Jago, osuszyła mu górną wargę i skrzywiła się. – Cenedi mówi, że jesteś niezwykle odważny. I bardzo głupi.

– Uratowałem mu ten cholerny... – to nie było ładne słowo w ragi. Obejrzał się, zobaczył, że Banichiego nie ma w pobliżu. – Kark.

– Cenedi wie, nadi-ji. – Znow zaczęła ocierać mu twarz, co znakomicie uniemożliwiało rozmowę. Następnie Jago powiesiła ręcznik na oparciu fotela z drugiej strony przejścia i usiadła na poręczy fotela Brena.

– Byłaś na mnie wściekła.

– Nie – odparła po swoim Jago.

– Boże.

– Co to jest „Boże”?

Czasami przy Jago człowiek nawet nie wiedział, od czego zacząć.

– A więc nie jesteś na mnie wściekła.

– Zachowywałeś się jak głupiec, Bren-ji. Poszłabym z tobą. Nic by ci się nie stało.

– Ale Banichi nie mógł iść!

– To prawda – przyznała.

Złość. Pomieszanie. Frustracja albo ból. Nie był pewien, co nim zawładnęło.

Jago wyciągnęła rękę i wytarła palcami policzek Brena. Bardzo fachowo. Była trzeźwiejsza od niego.

– Łzy – wyjaśnił.

– Co to są „łzy”?

– Boże.

– „Boże” to „łzy”?

Musiał się roześmiać. Wytarł oczy dłonią zdrowej ręki.

– Tak, między innymi, Jago-ji.

– Nic ci nie jest?

– Czasami myślę, że zawiodłem. Sam nie wiem. Podobno mam was rozumieć. W większości przypadków nie wiem, nadi Jago. Czy to oznacza niepowodzenie?

Jago zamrugła oczyma i dopiero po chwili powiedziała:

– Nie.

– Nie mogę sprawić, żebyś ty mnie zrozumiała. Jak może mi się udać z innymi?

– Ale ja rozumiem, nadi Bren.

– Co rozumiesz? – Poczul nagłą, irracjonalną rozpacz, a samolot z ładunkiem martwych i rannych na pokładzie niósł go tam, gdzie Bren nad niczym nie panował.

– Że masz w sobie ogromne pokłady dobrej woli, nadi Bren. – Jago znow wytarła mu twarz palcami, odgarnęła z niej włosy. – Banichi i ja przekonaliśmy dziesięć osób, żeby opowiedziały się za tobą. Opowiedzieliby się wszyscy. Dobrze się czujesz, nadi Bren?

Oczy miał przepełnione łzami. Nic nie mógł na to poradzić. Jago wciąż wycierała mu twarz.

– Nic mi nie jest. Gdzie mój komputer, Jago? Macie go?

- Tak. Jest całkowicie bezpieczny.
- Muszę się podłączyć do systemu łączności. Jeśli przynieśli mój neseser, to mam przewód.
- Po co, Bren-ji?
- Żeby porozmawiać z Mospheirą – odparł, bojąc się naraz, że Jago i Banichi mogą nie mieć odpowiedniej władzy. – W imieniu Tabiniego, nadi. Proszę cię.
- Porozmawiam z Banichim.

Naładowali baterie. Dranie zrobili chociaż taką przysługę światu. Jago przyniosła mu koc, więc lód w ciele zaczął tajać. Przelecieli nad granicą i dwaj więźniowie z tyłu samolotu zostali zamknięci w toalecie, w której wyłączono światło i której drzwi trzymało na muszce dwóch gorliwych ochroniarzy Ilisidi. Wszyscy orzekli, że mogą poczekać do lądowania na lotnisku Moghara.

Restart systemu, tryb trzeci, wcisnąć „m”, tryb czwarty, jednocześnie, WYŚLIJ.

Gładko i łatwo, jeśli funkcjonuje także lewa ręka. Poradził sobie prawą.

Pojawił się znak zachęty oraz słowa w mospheiranie: „Podać datę”.

Zamiast tego napisał w mospheiranie: „Być albo nie być”.

Zameldował się system.

Wypuścił powietrze z płuc i zaczął pisać pięcioma palcami, wywołując pliki, kody dostępu i łączności z siecią na Mospheirze, a potem umieszczając je w tekście jako ukryte znaki, które zapoczątkują wymianę informacji między jego komputerem i Mospheirą.

Gdyby rebelianci dotarli na poziom systemu, to mogliby z łatwością przelecieć samolotem przez linię obrony Mospheiry.

Mogliby rozłożyć całą sieć. Zniszczyć wszystko od systemu metra po antenę stacji naziemnej – chyba że rozsądna Mospheira już dawno się zorientowała, że paidhi ma kłopoty i zmieniła wszystkie kody.

Nie oznaczało to jednak, że nie ma z nimi połączenia. Bren dostałby inne łącza, aż wreszcie otrzymałby odpowiednie upoważnienie.

Z trudem przebijał się, klawisz za klawiszem, przez wstępny tekst.

„Przepraszam, że się nie kontaktowałem...”.

Banichi, stojąc, rozmawiał z Ilisidi i jednym z jej atevich, który siedział z przodu samolotu. Teraz podszedł do Brena, opierając się o fotele, uważając na kostkę ujętą w łubki.

– Usiądźże wreszcie, do cholery! – powiedział Bren i mruknął grzecznie: – Nadi.

Banichi dotarł do fotela obok niego i opadł na siedzenie z głębokim westchnieniem. Twarz miał pokrytą kropelkami potu. Nie wyglądał jednak na niezadowolonego, mimo że cierpiał straszliwy ból.

– Właśnie połączyłem się z Tabinim – powiedział. – Cieszy się, że nic ci się nie stało, mówi, że był głęboko przekonany, iż samodzielnie zdusisz rebelię.

Musiał się roześmiać. Zabolalo.

– Wysłała swój prywatny samolot – ciągnął Banichi. – Zostaliśmy skierowani do Alujisan. Dłuższy pas. Cenedi się trzyma, ale mówi, że zaczyna słabnąć i że cieszy się z pomocy. Przekażemy więźniów miejscowej straży, wsiądziemy do czystego samolotu i każemy sobie podać obiad. Tymczasem Tabini przerzuca oddziały drogą powietrzną aż do Bairimagi. To trzy godziny jazdy pociągiem od Maidingi, a dwie od Fagioni i Wigairiin. Pewnie zaproponuje potem amnestię – jeśli, jak mówi, wymyślisz na temat tego statku coś, co uspokoi hasdrawad. Chce, żebyś jeszcze dziś wieczorem stawił się na dworze.

– Z odpowiedzią. – Już nie chciało mu się śmiać. – Banichi-ji, atevi mają wszelkie prawa do obcych na statku. My na Mospheirze nie. Wiesz, że nasza obecność w tym systemie słonecznym była dziełem przypadku... w przeciwieństwie do lądowania. Byliśmy pasażerami na tym statku. Załoga go zabrała i zostawiła nas tu. Powiedzieli, że znajdują miejsce pod budowę. Nie podobało nam się ich odejście, a im nie podobały się nasze plany wylądowania tutaj. Możliwe, że dwieście lat wcale nie wpłynęło na poprawę naszych stosunków z tymi ludźmi.

– Czy przylecieli, żeby was zabrać?

– Uszczęśliwiłoby to niektórych atevich, prawda?

– Nie Tabiniego.

Jasne, że nie Tabiniego. Nie filar Patronatu Zachodniego. Dlatego mieli na pokładzie samolotu kilka trupów: strach przed ludźmi był tylko częścią tej sytuacji.

– Istnieją poważne naciski na Patronat – rzekł ponuro Banichi. – Siły konserwatywne. Zazdrośnicy. Ambitni. Pokój utrzymywało pięć administracji pod aijiin w Shejidan, działających pod dyktando paidhiin...

– My niczego nie dyktujemy.

– ...a więc działających według żelaznych sugestii paidhiin. Wspieranych przez stację kosmiczną i technologię, o jakiej nam się nie śniło.

– Stację kosmiczną, która przynajmniej raz w miesiącu nadlatuje z orbity i razi ogniem stolice prowincji – już raz o tym rozmawialiśmy, Banichi. Rozmawiałem o tym z atevimi Ilisidi w piwnicy, a całkiem niedawno z dżentelmenem z tyłu samolotu, który złamał mi rękę, serdeczne dzięki, nadi, ale nie zamierzamy w tym miesiącu opanować waszej planety. – Majaczył, plątały mu się wątki. Oparł głowę na zagłótku. – Oni wam niczym nie zagrażą, Banichi, przynajmniej jeśli chodzi o lądowanie. Oni nie lubią żyć na planetach. Chcą, żebyśmy przybyli do nich i za darmo utrzymywali im stację, żeby oni mogli sobie podróżować, dokąd chcą, i żebyśmy wykonywali wszelkie naprawy i zaopatrywali im statek.

– Zmuszą was zatem do powrotu na stację? – zapytał Banichi.

– Myślę, że do nas nie dotrą. Nie mają lądowników. Przynajmniej nie mieli ich wtedy. Będą musieli poczekać, aż my będziemy umieli wystartować. – Zaczął dostrzegać fragmenty

łamięłówki. Ramię bolało go jak sto szatanów. – O, będą musieli poczekać. Gildia Pilotów będzie negocjować. Boją się was jak cholera.

– Nas?

– Możliwości, że staniecie się ich wrogami. – Odwrócił głowę. – Czas płynie inaczej dla astronautów. Nie pytaj mnie, jak. Oni jednak myślą w kategoriach długich odcinków czasu. Bardzo długich odcinków. Nie jesteście do nich podobni, a oni nie potrafią na zawsze utrzymać was na dnie studni grawitacyjnej. – Roześmiał się sucho. – Tak zaczęła się waśń między nami, bo niektórzy z nas twierdzili, że musimy nawiązać kontakt z atevimi. A Gildia Pilotów mówiła: nie, wynieśmy się stąd, nawet nas nie zauważą.

– Żartujesz, nadi.

– Niezupełnie. Prześpij się, Banichi-ji. Ja popracuję trochę na komputerze.

– Nad czym?

– Nad łącznością długodystansową. Bardzo długodystansową.

Ilisidi stała nad ramieniem Cenediego, a Banichi i Jago zaglądali przez ramię Brenowi. On siedział w fotelu drugiego pilota. Przewód był dość krótki.

– Co robisz? – zapytała Ilisidi.

– Przesyłam komendę, nand' wdowo. O, tak. Komputer teraz rozmawia.

– Za pomocą liczb.

– Zasadniczo.

– Jak się wybiera te liczby?

– Według bardzo starej tabeli, nand' wdowo. Nie różnią się od modelu, który, zapewniam cię, przekazaliśmy atevim już dawno temu. – Czekał niecierpliwie na światelko. Zapłonęło na żółto i serce Brena podskoczyło. – Halo, Mospheira.

– Czy oni nas słyszą? – zapytała Ilisidi.

– Nie to, co mówimy w tej chwili. Tylko to, co wklepujemy.

– Cóż za straszne zmiany w języku.

– A zatem wpisujemy, nand' wdowo. – Światelka błyskały na przemian. Pojawił się napis „Identyfikacja”. Samolot leciał na autopilocie i Cenedi poświęcił uwagę literom i liczbom pełzającym po małym ekranie. Każda linijka kończyła się dwukropkiem – koniec linijki nie mieścił się na ekranie.

Ludzie zaprojektowali atewski system. Reagował on bardzo dobrze na transmisje z ludzkiej strony. Systemy rozmawiały ze sobą, dzięki Bogu. Dzięki Bogu.

Samolot natknął się na turbulencje. Ból przeszył zakończenia nerwowe w ramieniu Brena. Poszarzało i poczerwieniało mu przed oczyma; na chwilę musiał odchylić się w fotelu, o mało nie stracił przytomności.

– Nand' paidhi? – Poczul na policzku dłoń Jago.

Otworzył oczy. Zobaczył tekst na ekranie.

Biuro Spraw Zagranicznych chciało rozmawiać przez radio. Słuchawki miał w zasięgu ręki. Chwycił je i spróbował niezdarnie nałożyć jedną ręką. Pomogła mu Jago. Podał Cenediemu częstotliwość, usłyszał trzask zakłóceń.

– Tak – potwierdził. – Mówi Cameron. Trochę sfatygowany, ale jeszcze sprawny. Gdzie jest Hanks?

Chwila ciszy – pewnie się naradzali. W końcu powiedzieli, że nie mieli od niej żadnych wiadomości. Przed czterema dniami poleciała do Shejidan i wpadła w czarną dziurę.

– Pewnie nic się jej nie stało. Atevi zauważyli, że mamy na górze towarzystwo. Rozumiem, że to nasi?

Biuro Spraw Zagranicznych odpowiedziało:

– To „Feniks” w bardzo drażliwym nastroju.

– Jaka jest sytuacja?

– Delikatna.

– Chcecie współpracy atevich? Chcecie od nich zaproszenia?

„Czy mówisz pod przymusem?” – usłyszał zaszyfrowany zwrot.

Roześmiał się. Zabolało i poczuł w oczach łzy.

– Pierwszeństwo, pierwszeństwo, pierwszeństwo, BSZ jeden. Przekażcie kody Hanks z powrotem numerowi dwa i dajcie mi antenę na Adams, dzisiaj z Shejidanu. Nie działam pod przymusem.

Samo Biuro Spraw Zagranicznych nie mogło dać mu takiego upoważnienia – a przynajmniej tak twierdził urzędnik pełniący dyżur.

– Posłuchajcie, siedź tu, rozmawiając w mospheiranie, dzięki pół tuzinowi wysoko postawionych atevich, którzy udostępnili mi swój sprzęt. Powiedziałbym, że świadczy to o dużej dozie zaufania. Przekażcie to na odpowiedni poziom.

Atevi nie mieli słowa na zaufanie. Tak powiedziało Biuro Spraw Zagranicznych.

– Mają słowa, których nie mamy my, BSZ. Słuchajcie Hanks albo słuchajcie mnie. Ja muszę przeprowadzić tę rozmowę. Naprawdę potrzebujemy zezwolenia aijiego na pobyt na tej planecie. O co chodzi „Feniksowi”?

Biuro uznało, że powinno porozmawiać z prezydentem.

– Proszę bardzo. Będzie o wiele uprzejmiej, jeżeli moja rozmowa z „Feniksem” przejdzie przez antenę na Adams. Alternatywą aijiego jest antena satelitarna na Mogari-nai i on chyba użyje jej bezpośrednio. Atevi mogą sobie poradzić beze mnie. Gdyby zechcieli. Rozumiecie? Rząd Tabiniego znajduje się pod presją. W prowincji Maidingi wybuchły zamieszki. Tam właśnie byłem. Tabini musi zareagować na obecność statku. Zaproponuje Mospheirze szansę wzięcia udziału w tej reakcji. Jednolity front, BSZ. Myślę, że uda mi się to załatwić.

Trzy godziny, powiedziało Biuro. Będą musieli porozmawiać z prezydentem. Zebrać radę.

– Trzy godziny maksimum. Przypominam, że znajdujemy się w Patronacie Zachodnim. Tabini w ostatecznym rozrachunku będzie działał w interesie Patronatu. Gorąco doradzam przyłączenie się do niego.

Biuro Spraw Zagranicznych zakończyło rozmowę. Komputer rozłączył się. Bren zamknął oczy, poczuł delikatne ukłucie ludzkiej odpowiedzialności. Bardzo delikatne. Będzie człowiekiem po sesji hasdrawadu. Po rozmowie z Tabinim. Dostanie samolot na Mospheirę... Wierzył, że tamtejsze szpitale będą wiedziały, jak go poskładać.

– Nand’ paidhi – odezwał się po chwili Banichi.

Nie rozumieli tej rozmowy. Banichi być może rozumiał co trzecie słowo, ale nikt inny. Byli cholernie cierpliwi. I słusznie zaniepokojeni.

– Powiedz Tabiniemu, żeby przygotował antenę na Mogari-nai do rozmowy ze statkiem dziś wieczorem. Chyba dostaniemy antenę na Allan Thomas, ale kiedy ma się do czynienia z Mospheirą, nadiin, zawsze trzeba dać im do zrozumienia, że istnieje alternatywa.

– Jaką alternatywę przedstawimy temu statkowi? – zapytała Ilisidi.

Bystra kobieta.

– Jaką alternatywę? Przyszłość stosunków między atevimi i ludźmi. Współpracę, patronat i handel. Odpowiednim słowem jest tu „traktat”, nand’ wdowo. Posłuchają. Muszą posłuchać.

– Odpocznij – powiedziała stojąca za nim Jago i odgarnęła mu włosy z czoła. – Bren-ji.

Przez chwilę nie chciało mu się ruszyć. Wystarczająco bolało go w drodze do kabiny.

Prawdopodobnie Tabini wiedział o wszystkim, co właśnie zostało powiedziane – plus minus kilka kodów; ale i na to nie ma co za bardzo liczyć, jeśli wzięli się za to specjaliści. Jeżeli chodzi o liczby, to niczego, czym się posługiwano, żeby ominąć atevich, nie można było używać długo.

Pokój leżał jednak w interesie wszystkich. Na pewno w interesie Tabiniego. I ludzi – tych na statku oraz przywiązanych do planety kolonistów znajdujących się bardzo, bardzo daleko od swego macierzystego świata.

Powiedział Djinanie, że być może będą chodzić po księżycu. Teraz mógłby się o to założyć. Tylko żeby Malguri przetrwało.

Z wysiłkiem zamknął komputer. Jago zamknęła walizeczkę i odłączyła przewód. Potem trzeba było wstać.

Udało mu się tylko tyle. Podtrzymał go Banichi, stojąc na jednej nodze. Aiji-wdowa powiedziała coś nieprzyzwoitego o młodzieńcach, którzy padają u jej stóp. Idź usiąść, ona rządzi w tym samolocie.

– Pozwól – powiedziała Jago i objęła go w pasie, co znacznie wpłynęło na stabilność samolotu, przynajmniej w jego oczach.

Banichi pokuśtykał za nimi. Usiadł obok Brena.

– Daleko, prawda, nadi? – rzekł Banichi. – Jeśli wy tam polecicie, to my też, nadi.

Nie mógł powiedzieć, że rozumie Jago, Banichiego czy Tabiniego.

Nie mógł powiedzieć, że oni go rozumieją.

Banichi wpadł na przerażającą myśl. Bren jednak nagle uznał to za możliwe, kiedy nastąpią negocjacje, kiedy Moshpeira zbuduje ten pojazd orbitalny albo statek zbuduje lądownik. Atevi polecą w kosmos. Nie ma wątpliwości. Jeszcze za jego życia.

Baji-naji. Kości zostały rzucone, Los i Przypadek dokonały wyboru. Nikt nie rodzi się przywiązany do patronatu. Trzeba gdzieś znaleźć swoje man'chi i wejść w coś, co ludzie niezupełnie mogą zgłębić.

Chociaż może, jak to bywa z takimi sprawami, atevi też nie znaleźli na to dokładnego określenia.

DODATEK

WYMOWA

A=*a* po większości dźwięków; =*ej* po *j*; *e*=*e* lub =*ej*; *i* waha się od *i(h)* (prawie syk) na końcu wyrazu do *i* w innych pozycjach; *O*=*O*, *u*=*u*. Należy wybrać najlepsze brzmienie.

J to dźwięk między *cz* i *ż*; *ch*=*cz* jak w „czarny”; *t* powinno być niemal nieodróżnialne od *d* i odwrotnie. *G* jak w „góra”. *H* po spółgłosce jest palatalne (język wznosi się ku podniebieniu), jak w *paidhi*=*pait'*-(*h*)*i*.

Apostrof (‘) oznacza rozdzielenie: i tak *a'e* to dwie oddzielne sylaby *a-ej*; lecz *aj* to jedna sylaba; *ai*=*aj*, *ei*=*ej*.

Akcent wyrazowy pada na przedostatnią sylabę, jeśli samogłoska w tej sylabie jest długa lub następują po niej dwie spółgłoski; w innych przypadkach akcent pada na trzecią sylabę od końca: *BAnichi* (w piśmie *atevich* *ch* jest pojedynczą literą i nie uchodzi za dwie spółgłoski); *TaBlni* (z natury długa) – wszystkie słowa kończące się na *-Ini*; *BromiNANdi* (*-nd* to dwie spółgłoski); *meCHEIti* (ponieważ dwie samogłoski wymawiane jak jedna liczą się za długą samogłoskę). W razie niepewności należy wybrać najlepsze brzmienie – istnieje ponad pięćdziesięcioprocentowa szansa, że będzie się miało rację, a różnice między sylabami akcentowanymi i nieakcentowanymi i tak powinny być bardzo niewielkie.

Poza tym obcy akcent, jeżeli jest zrozumiały, może brzmieć całkiem seksownie.

Liczba: kategoria ta nie obejmuje jedynie liczby pojedynczej i „więcej niż jeden”. Istnieją zestawy potrójne, rzeczy występujące w dziesiątkach i tak dalej, co można poznać po końcówce wyrazu. Nieprecyzyjną formę oznaczającą „więcej niż jeden” stosuje się szczególnie w dyplomacji, przy zwracaniu się do dzieci czy, z jakiegokolwiek powodu, do *paidhiego*. W ogólnej liczbie mnogiej wyrazy kończące się na *-a* zwykle otrzymują końcówkę *-i*; wyrazy kończące się na *-i* zwykle otrzymują końcówkę *-iin*. Na przykład *ateva* to liczba pojedyncza, a *atevi* – mnoga.

Przyrostki: *-ji* dodany do imienia oznacza zażyłość, a do tytułu dobrą wolę; *-mai* lub *-ma* niosą z sobą o wiele więcej szacunku i są stosowane podobnie.

Zwroty grzecznościowe: *nadi* (pan, pani) łączy się ze zdaniem oznajmującym lub prośbą na znak uprzejmości; *nandi* dodaje się do tytułu, by okazać szacunek dla godności urzędu. Pełne szacunku zwroty jak *nadi* lub tytuł czy imię z *-ji* powinno się dodawać przy

każdym oddzielnym zwróceniu się lub prośbie do danej osoby, chyba że rozmówcy są w niezwykle zażyłych stosunkach lub z rozmowy wynika, że rozmówcę darzy się nieustającym szacunkiem. *Nadi* lub jego odpowiednik powinien zostać użyty przy każdym zastrzeżeniu oprócz najłagodniejszych przypadków; inaczej zdanie zostanie odczytane jako co najmniej obcesowe lub nawet obraźliwe. Wymowa waha się między *NA*di (zdanie twierdzące) a *na*DI? (jako ostatnie słowo w pytaniu).

Niektóre zaimki wykazują rodzaj. Używa się ich w zastępstwie rzeczowników mających rodzaj, takich jak „matka” czy „ojciec”, lub w sytuacjach intymnych. Na wszelki wypadek *paidhi* powinien stosować zaimki nie wykazujące rodzaju.

ODMIANA WYBRANEGO RZECZOWNIKA

L.poj. Ogólna l.mn.

Mianownik	<i>aiji</i>	<i>aijiin</i>
Dopełniacz	<i>aijiia</i>	<i>aijiian</i>
Biernik	<i>aiji</i>	<i>aijiin</i>
Miejscownik	<i>aijiu</i>	<i>aijiuu</i>

SŁOWNICZEK

agoi'ingai	pomyślna harmonia liczb
aiji	władca głównego patronatu
ateva, l. mn. – atevi	nazwa gatunku
Babsidi	„Zabójczy”; imię mecheity
baji	Los
bihawa	chęć sprawdzania nowicjuszy
biichi-gi	finezja w usuwaniu przeszkód
dahemidei	wyznawca herezji midei
dajdi	alkaliczny środek pobudzający
dimagi	środek odurzający
haronniin	systemy znajdujące się pod naciskiem, wymagające dostosowania
hasdrawad	niższa izba atewskiej legislatury
hata-mai	wszystko w porządku
hei	oczywiście
insheibi	niedyskretny, zwracający uwagę
-ji	pan; panna; pani

kabiu	„w duchu dobrego, tradycyjnego przykładu”.
krwawa waśń	główny środek dostosowania społecznego
-ma	szanowny pan, szanowna pani
matiawa	rasa wierzchowca Ilisidi
mospheiran	ludzki język
machimi	dramat historyczny z elementami humoru i zemsty
man’chi	lojalność względem patronatu lub przywódcy
mecheita	zwierzę, na którym bohaterowie jeżdżą wierzchem
midarga	alkaliczny środek pobudzający, szkodliwy dla ludzi
midedeni	osoba wspierająca herezję midei
midei	herezja dotycząca patronatu
mishidi	niezręczny, dotyczy czyjejs pozycji
nadi	pan
nadi-ji	szanowny pan
nai’aijiin	provincjonalni władcy, (1. mn.)
nai’am	jestem
nai’danei	wy (dwie osoby) jesteście
na’itada	niewzruszony
nai-ji	szacowna osoba
naji	Przypadek
nand’, nandi	szanowny
Nokhada	„Zadziorna”; imię mecheity
o’oi-ana	nocna niby-jaszczurka
paidhi	tłumacz
paidhi-ji	pan tłumacz
tadiiri	siostra
tashrid	wyższa izba atewskiej legislatury
wi’itkiti	smoketka